

RAYMOND KHOURY

OSMAŃSKI SEKRET



„DAWNO NIE CZYTAŁEM TAK DOBREGO THRILLERA PRZEDSTAWIAJĄCEGO
ALTERNATYWNĄ WERSJĘ HISTORII”. – LEE CHILD



WYDAWNICTWO
SOWA DRACULA

RAYMOND KHOURY

OSMAŃSKI SEKRET

Z języka angielskiego przełożyła
Violetta Dobosz



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

The Ottoman Secret
Copyright © 2019 by Raymond Khoury
Published by arrangement with Furniss Lawton

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2019 for the Polish translation by Violetta Dobosz (under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Bogusława Wójcikowska
Korekta: Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-66460-35-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują.

Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 2519, fax 32 253 77 28
[e-mail: info@soniadrage.pl](mailto:info@soniadrage.pl)
www.soniadrage.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2019

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

1 / 2 / 3 / 4 / 5 / 6 / 7 / 8 / 9 / 10 / 11 / 12 / 13 / 14 / 15 / 16 / 17 / 18 /
19 / 20 / 21 / 22 / 23 / 24 / 25 / 26 / 27 / 28 / 29 / 30 / 31 / 32 / 33 /
34 / 35 / 36 / 37 / 38 / 39 / 40 / 41 / 42 / 43 / 44 / 45 / 46 / 47 / 48 /
49 / 50 / 51 / 52 / 53 / 54 / 55 / 56 / 57 / 58 / 59 / 60 / 61 / 62 / 63 /
64 / 65 / 66 / 67 / 68 / 69 / 70 / 71 / 72 / 73 / 74 / 75 / 76 / 77 / 78 /

Epilog

Posłowie i podziękowania

Spis postaci

Przypisy

PROLOG

PAŁAC TOPKAPI, STAMBUŁ

WRZESIEŃ 1682

SUŁTAN NIE BYŁ pewien, co go obudziło.

Podmuch powietrza, ledwo wyczuwalny ruch czy jakieś zaburzenie na granicy świadomości. Cokolwiek to było, wystarczyło, by się poruszył w ogromie zbyt kownego pośłania i otworzył oczy – z początku lekko, żeby przywykły do słabej poświaty bijącej od żarzących się węgli, ale po chwili już patrzył, szeroko rozwierając powieki i koncentrując spojrzenie na wysokiej postaci stojącej obok łoża.

– *Salam alejkum*, padyszachu – powiedział mężczyzna niskim, spokojnym głosem.

Sułtan się zerwał i usiadł. Puls ze strachu walił mu jak oszalały, a mózg usiłował nadażyć za tym, co zobaczyły oczy: intruza – czyżby zamachowca? – tutaj, w tej urządzonej z przepychem komnacie w głębi pałacu, do której dostępu broniła cała armia strażników i eunuchów.

To nie był zwyczajny intruz. Do sułtana dotarło właśnie, że mężczyzna jest nagi.

– Co to... Kim je...

– Ćśś – uciszył go przybysz, schylając się szybko i mocno przyciskając dłoń do ust sułtana, a jednocześnie podnosząc do własnych warg palec drugiej ręki. – Proszę zachować spokój i milczenie, najjaśniejszy panie. Nie przyszedłem tu, by wyrządzić Waszej Wysokości krzywdę.

Teraz poza strachem sułtana ogarnęła konsternacja. Władca próbował wyrównać oddech i starał się odzyskać władzę nad zmysłami, ale zalew trudnych do pojęcia bodźców nie dawał mu chwili wytchnienia, bo gdy zdołał wreszcie skupić wzrok, zobaczył, że pierś mężczyzny jest pokryta dziwnymi znakami. Wytatuowane słowa, liczby, rysunki i schematy pokrywały cały jego tułów.

– Musi mnie Wasza Sułtańska Wysokość wysłuchać – powiedział mężczyzna.

Nie posługiwał się osmańskotureckim, urzędowym językiem obowiązującym w imperium od samego jego powstania. Nie była to też mowa perska, którą władali najlepiej wykształceni członkowie elit, pisarze i poeci. Nie, ten człowiek mówił nietypowym arabskim dialektem, którego sułtan używał tylko wtedy, gdy czytał religijne pisma i o nich rozprawiał.

– Ale zanim przejdziemy dalej – ciągnął nieznajomy – musi mi Wasza Sułtańska

Wysokość uwierzyć.

Mężczyzna popatrzył sułtanowi w oczy, po czym opuścił głowę i zacisnął powieki. Wyszepiał kilka słów, których padyszach nie zrozumiał. I znikł.

Po prostu przepadł.

Sułtan przekręcił głowę w lewo, potem w prawo, w kompletnej panice rozglądając się po obszernej komnacie. Co to były za czary? Nagle, po kilku sekundach, bez żadnego ostrzeżenia mężczyzna pojawił się znowu, tym razem po drugiej stronie pomieszczenia, przy dwupoziomowej marmurowej fontannie.

– Przychodzę, by pomóc, Wasza Wysokość – odezwał się przybysz. – Ale żeby to było możliwe, musi Wasza Wysokość uwierzyć w to, co mówię.

Znowu szepł i mężczyzna ponownie zniknął.

Sułtan siedział na łożu jak sparaliżowany. Oddech mu się rwał, serce w piersi łomotało jak oszalałe. Pomyślał, że powinien wezwać strażę. Jeden okrzyk i tuzin najbardziej zaufanych janczarów pędem zjawiłoby się w drzwiach z szablami w dłoniach. Zawahał się jednak. Po części dlatego, że za bardzo był wstrząśnięty, zbyt przerażony, by zareagować. Pomyślał też, że wezmą go jeszcze za wariata, jeśli intruza akurat tu nie będzie.

Nie miał czasu, by dłużej się zastanawiać, bo mężczyzna znów wrócił w to samo miejsce, w którym się pojawił za pierwszym razem, przy łóżku, i stał tuż obok sułtana. Tylko że teraz się schylił i podniósł z podłogi jatagan, krótką szablę z wygiętą klingą, tak ostrą, że jednym ruchem można by nią ściąć głowę człowieka. Sułtan rozpoznał, że była to ta broń, którą trzymał w gablocie przy otomanie, tylko że teraz jej tam nie było. Tkwiła przyciśnięta do jego szyi.

– Gdybym chciał zabić, już by Wasza Sułtańska Wysokość zginął tysiąc razy – powiedział mężczyzna. – Ale jak powiedziałem, przychodzę, żeby służyć. Co więcej, przychodzę, żeby uratować Waszą Wysokość i Kara Mustafę Paszę przed okrutną porażką.

I przybysz znowu zniknął, a szabla spadła z brzękiem na marmurową podłogę.

Niemal natychmiast pojawił się w nogach łożka.

Sułtan rzucił się w tył i uderzył głową o złożone wezglowie. Oddech miał szybki i urywany, wstrząsały nim gwałtowne dreszcze.

Co to była za istota i skąd wiedziała o jego planach?

Przyjrzał się intruzowi.

– Kim jesteś? – spytał. – Czym jesteś? Czy jesteś... – zawahał się, po czym dokończył: – ...dżinem?

Na twarzy nieznanego pojawił się cień uśmiechu.

W przeciwieństwie do swego ojca Mehmed nie był psychicznie nie zrównoważony ani chory. Był spokojnym człowiekiem o melancholijnym usposobieniu, ale miał jedną obsesję: dorównanie dziedzictwu swoich zwycięskich przodków. Nurzał się

w mistyce dynastii, do której należał, i pragnął dokonać podobnie wielkich czynów jak jego poprzednicy. W ostatnim czasie oddawał się przygotowaniom do zbliżającej się letniej ofensywy, uważnie studiując kroniki dawnych kampanii wojskowych stojące na półkach w archiwum imperium. Mehmed jednak był też człowiekiem pobożnym i jako taki dobrze znał się na dżinach, nadprzyrodzonych istotach z islamskiej mitologii, wyidealizowanych dobrych duchach spełniających życzenia. Dżiny tak naprawdę miały wolną wolę i mogły czynić dobro albo zło.

Niczym niewzruszony intruz wpatrywał się w niego w milczeniu.

– Jestem przyjacielem, który chce pomóc osiągnąć sukces, o jakim Wasza Wysokość nawet nie śnił – odezwał się w końcu. – I jeśli Wasza Wysokość rozważy moje słowa i pozwoli sobie pomóc, mogę obiecać, że „złote jabłko” będzie jedynie załącznikiem wspaniałego, wielce chwalebego dziedzictwa Waszej Wysokości.

Na te słowa sułtanowi zaparło dech w piersiach.

Skąd ten natręt mógł wiedzieć o ich planach?

Dwa miesiące wcześniej ogrodnicy zatknęli za pałacową bramę sułtański buńczuk – na zewnątrz, tak żeby wszyscy widzieli. Znaczenie tych pradawnych symboli wojennych – wysokich, ozdobnie rzeźbionych szkarłatnych drzewców zwieńczonych czupryną z końskich ogonów – było dobrze znane, a rytuał ich wystawiania sięgał czasów, w których waleczni przodkowie sułtana żyli jeszcze na stepie. Przywódca wiernych wybierał się na wojnę.

Cel kampanii był jednak pilnie strzeżoną tajemnicą.

– O tak, Wasza Wysokość. Wiem wszystko o spotkaniu Waszej Wysokości z Kara Mustafą, do którego doszło w zeszłym tygodniu – ciągnął wytatuowany mężczyzna, wspominając wielkiego wezyra. – Wiem, że gdy tylko stopnieją śniegi, wasza armia wyruszy na zachód. Wiem też, że celem nie będą ufortyfikowane mieściny pstrzące ziemię na zachód od Belgradu. Nie. Wasza armia pomaszeruje na Wiedeń i na Leopolda, tego uzurpatora, który ośmiela się mienić świętym cesarzem rzymskim.

Leopold. Na sam dźwięk jego imienia w Mehmedzie zagotowała się krew.

Sułtan żywił do Leopolda I nienawiść znacznie bardziej zaciekle niż ta, którą pałał do swoich innych wrogów w Rosji czy w Polsce. Zasiadając na dawnym tronie cesarstwa bizantyńskiego w Konstantynopolu, Mehmed uważał się za prawowitego *Kayser-i Rum* – cezara Imperium Rzymskiego. W jego oczach habsburski monarcha był fałszywym pretendentem do tronu, władającym z odległego miasta, które dla dawnego cesarstwa nie miało historycznie żadnego znaczenia. Pozbawienie go stolicy i nawrócenie jego ludu na jedyną prawdziwą wiarę byłoby najbardziej stosownym końcem tych bezwstydných rojeń.

– Proszę mnie wysłuchać – ciągnął intruz – a zatknie Wasza Wysokość chorągiew islamu nad „złotym jabłkiem” i przemieni jego wielką katedrę w meczet. Proszę mnie wysłuchać, a już dłużej nie będzie Wasza Wysokość znany jako *awdży*. Nawet miano

fatih okaże się wtedy za małe. Potrzeba będzie mocniejszego określenia, żeby opisać podboje Waszej Wysokości.

Awdży. Och, jakże on nienawidził tego słowa.

Czuł się tak, jakby ten obcy, nagi mężczyzna zaglądał mu w głąb duszy.

Za panowania poprzednich sułtanów Osmanowie dwukrotnie stawali u bram Wiednia. Ani razu nie udało im się jednak zająć miasta. I choć ekspansja terytorialna imperium w Europie i Afryce osiągnęła za panowania Mehmeda punkt kulminacyjny, to tak naprawdę nie był to jego triumf. Te podboje były zasługą jego wielkich wezyrów. Sam Mehmed bardziej się wsławił umiejętnością ścigania jeleni i niedźwiedzi w lasach otaczających pałac w Edirne – niewiele to miało wspólnego z wyczynami jego legendarnego stryja, Murada IV, który zajął Erywań i Bagdad, czy noszącego to samo co on imię, prześwietnego Mehmeda II, który ledwo osiągnąwszy pełnoletność, w wieku dwudziestu jeden lat podbił Konstantynopol i położył kres cesarstwu bizantyńskiemu. Obaj sułtani w pełni zasłużyli na przydomek *fatih* – zdobywca. Mehmed IV jednakże musiał się zadowolić mianem *awdży* – łowczego.

Zdobycie Wiednia wszystko by zmieniło.

W głowie władcy poczęły się kłębić pytania. Był porażony strachem, jakiego dotąd nie znał. Ale czuł się też zaintrygowany.

Uspokoił oddech i po jeszcze jednej wewnętrznej debacie skinął przyzwalająco głową.

– Powiedz mi coś więcej.

ROK PÓŹNIEJ, NIEMALŻE co do dnia, na początku września 1683 roku, wojska chrześcijańskiego świata znalazły się wreszcie w umożliwiającej atak odległości od Wiednia i od osmańskiej armii, która oblegała miasto od początku lata.

Sześćdziesiąt tysięcy rycerzy zgromadziło się na otwartym polu w pobliżu Tulln. Oddziały ustawiły się wzdłuż broniącej miasteczka drewnianej palisady, czekając na uroczysty przegląd, który miał poprzedzić bohaterski marsz w bój.

Aby dotrzeć do obleganej stolicy, żołnierze musieli pokonać nieco ponad trzydzieści kilometrów.

Naprzeciw nich w wielkim wystawnym namiocie zebrali się dowódcy – książęta i władcy wezwani i opłaceni przez papieża Innocentego XI, sami zaprawieni w boju, znający swe rzemiosło wojskowi najwyższej rangi. Wszyscy przybyli tutaj, by zatrzymać największą armię, jaką kiedykolwiek widziano w Europie, muzułmańską nawałę, która zagrażała nie tylko Wiedniowi, ale też ich własnym krajom.

Pośrodku tego znamienitego grona stał najważniejszy z przybyłych, główny dowódca wyzwolicielskich wojsk, król polski i wielki książę litewski Jan III Sobieski.

Sobieski – potężny jak dąb mężczyzna i genialny dowódca – nadciągnął tydzień wcześniej na czele piętnastotysięcznej armii konnej. W jej skład wchodziły dwa

tysiące „uskrzydłych” husarzy. Wyposażona w pięciometrowe kopie, przypominające dzidy miecze zwane koncerzami, i w hełmy z pióropuszcami husaria stanowiła siejącą największy popłoch ciężką jazdę tamtych czasów.

Po długim, trudnym marszu polski król był wyczerpany. A jednak dokonując przeglądu wojsk, poczuł przyływ dumy i nie mógł się już doczekać walki. Wiedział, że nadzieje głęboko zatroskanej Europy spoczywają głównie na jego barkach, i nie zamierzał zawieść. Nie mógł. Bóg powierzył mu zadanie ocalenia chrześcijańskich krajów przed poganami. Był pewien, że takie jest jego przeznaczenie. Wieczne miejsce u boku Świętego Piotra miał już zapewnione.

Stał w milczeniu i patrzył z uznaniem, jak kawalerzyści, muszkietery, dragoni i kirasjerzy wraz z armatami i moździerzami prezentują się przed nim i resztą dowódców. Gdy pozycję zajął ostatni regiment, król odwrócił głowę i spojrzał na stojącego po jego prawej stronie mężczyznę, Karola, księcia Lotaryngii.

Nie musiał nic mówić. Spojrzenie pełne absolutnej pewności siebie mówiło więcej niż słowa.

Lotaryńczyk dobrze znał to spojrzenie. Książę, wciąż utykający na nogę, którą złamał w bitwie przed siedmioma laty, był szwagrem habsburskiego cesarza. Nieco wcześniej Leopold mianował go feldmarszałkiem swoich sił. Życzliwy i bezpretensjonalny, był – tak jak Sobieski – wytrawnym żołnierzem, dumnym z wyniesionych z pól bitewnych blizn i cieszącym się u swych ludzi wielkim szacunkiem i zaufaniem.

Jego obecność u boku Sobieskiego jeszcze wzmacniała pewność siebie polskiego króla.

Gdy wszystkie oddziały były już na miejscach, król i książę dali przykład pozostałym dowódcom, klękając przed swoimi ludźmi. W tym samym czasie arcybiskup ostrzyhomski przygotowywał się, by odprawić mszę i pobłogosławić męźnych żołnierzy Chrystusa. Sam cesarz był nieobecny. Tchórzliwy Leopold wraz ze swoim dworem uciekł ze stolicy latem, na tydzień przed przybyciem osmańskiej armii, i nie miał zamiaru dołączyć do ludzi, którzy przybyli tu, by ocalić miasto. Nie był w tym osamotniony – przeszło pięćdziesiąt tysięcy wiedeńczyków opuściło miasto i podążyło za swoim władcą na zachód, licząc, że tam będzie bezpieczniej. Ich miejsce zajęła podobna liczba mieszkańców okolicznych wiosek, którzy porzucili swoje domy, by szukać schronienia za ufortyfikowanymi murami miasta – za murami, które mogły już długo nie wytrzymać.

Sobieski wiedział, jak rozpaczliwa jest sytuacja Wiednia. Od tygodni osmańska artyleria bombardowała miasto, a saperzy kopali tunele pod murami obronnymi i podkładali ładunki wybuchowe, żeby je zniszczyć. Wiedeńskim obrońcom udawało się dotąd odpierać ataki, ale byli wykrwawieni, wygłodzeni i wycieńczeni. Dzięki wiadomościom przemycanym przez nieustraszonych kurierów Sobieski wiedział, że wystarczy zaledwie jeden dobrze podłożony ładunek, by w murach powstała wyrwa,

a Turcy włąli się do miasta. Wiedział też, że gdy do tego dojdzie, nie będzie litości dla nikogo.

Sułtan posłał już do Leopolda dwa listy, w których w przerażająco jasnych słowach wyłożył swoje intencje. Osmańskie prawo wojenne przewidywało, że nie zostanie oszczędzone żadne miasto, które nie podda się sułtanowi i nie otworzy przed nim bram oraz którego mieszkańcy nie wyrzekną się swojej wiary i nie nawrócą się na islam. Zwycięskiemu paszy zostaną podarowane zdarte z niewiernych skóry i całe worki ściętych głów, a ci, którzy nie trafią pod miecz, staną się niewolnikami.

Sobieski i pozostali dowódcy słyszeli też od naocznych świadków, w jaki sposób Kara Mustafa Pasha, wielki wezyr stojący na czele sułtańskiej armii, pokazał, że jego panu należy wierzyć na słowo: po drodze do Wiednia, kilka kilometrów od jego murów, kazał swoim ludziom wymordować całe cztery tysiące mieszkańców małego miasteczka Perchtoldsdorf – po tym, jak się poddał jego garnizon. Oprawcy spalili kościół pełen kobiet i dzieci. Wiedeńczycy dobrze to zapamiętali. Świadomość żądzy krwi Kara Mustafy kazała im walczyć aż do śmierci.

W świątyniach odległej Anglii i Hiszpanii wznoszono trwożliwe modły o ocalenie przed pogańską inwazją.

A wszystko miało zależeć od ludzi zgromadzonych tutaj, pod Tulln.

Podczas śpiewanej przez dworski chór religijnej pieśni coś przykuło spojrzenie Sobieskiego. W oddali po prawej stronie równiny, za ostatnimi szeregami zgromadzonych sił dostrzegł kłęb kurzu, a nad nim kilka powiewających flag.

W tak uroczystej chwili podobne najście wydawało się wielką zuchwałością.

Nawet z dużej odległości król natychmiast rozpoznał, co ukazało się jego oczom – były to misternie tkane jedwabne flagi z wersetami Koranu, które miały przypominać żołnierzom o ich wierze i dawać ufność we wspomagane boską opieką zwycięstwo.

Osmańskie flagi.

Sobieski zeszywniał i spojrzał na Lotaryńczyka. Twarz księcia przyoblekła się w ten sam grymas niezadowolenia co jego własne oblicze. Lotaryńczyk najwyraźniej też rozpoznał chorągwie sułtana.

Orszak wzbudził poruszenie w szeregach wojska, lecz parł powoli naprzód, przez nikogo niezatrzymywany. Nieruchome, gorące powietrze dławiło wyobrażeniem złych zamiarów i zapowiedzią tego, co miało nastąpić, a jednak niewielki konwój poruszał się bez przeszkód. Kiedy się zbliżył, Sobieski dostrzegł trzech jeźdźców, z których każdy trzymał flagę i prowadził wielbłąda.

Przybysze sunęli przed siebie, aż znaleźli się jakieś piętnaście metrów od wystawnego namiotu. Straże ustawiły się w szeregu z podniesionymi mieczami, tworząc mur broniący dostępu do dowódców. Pierwszy z jeźdźców spokojnie podniósł rękę i zatrzymał konwój tuż przed strażnikami. Następnie wszyscy trzej przybysze zsiadli z koni i zrobili kilka kroków w stronę straży i miejsca, gdzie się

znajdował król. Z klingami mieczy strażników tuż przy własnych szyjach złożyli pokłon.

Sobieski i Lotaryńczyk wymienili skonsternowane spojrzenia. Nie wiedzieli, jak to rozumieć. Mieli przed sobą wysłanników osmańskiej armii – to pewne, ale z czym przybywali? W ciągu kilku dni, a może i godzin, wszyscy mieli przystąpić do walki na śmierć i życie. Co to mogło oznaczać? Król i księżę widzieli, że przybysze są ubrani w odświętne stroje; wydawali się też nieuzbrojeni. Jeszcze bardziej intrygujące były wielbłądy – wielkie, przystrojone kunsztownie haftowanymi tkaninami i drogocennymi metalowymi okuciami na uprzężach, z olbrzymimi pakunkami z wytłaczanej skóry na grzbietach.

Sobieski przyglądał się uważnie pierwszemu z jeźdźców, który teraz się wyprostował i powoli rozchylił płaszcz, a za jego przykładem poszli pozostali dwaj, pokazując, że są nieuzbrojeni. To prawda, do ich torsów nie były przytroczone żadne muszkiety, pistolety ani szable. Osmański przywódca się obrócił, by strażę mogły go dobrze obejrzeć także z tyłu, po czym znów stanął twarzą do króla i gestem poprosił o zgodę na wejście za kordon.

Polski król był człowiekiem twardym i z natury podejrzliwym, ale był też pragmatykiem. Gdyby usłyszał jeszcze jedno formalne żądanie kapitulacji, kazałby ściąć dwóch z posłańców, a trzeciego wysłałby z powrotem do jego pana, by przekazał odmowę. Ale do żądania kapitulacji nie potrzeba było trzech objuczonych wielbłądów. Czyżby sułtanowi chodziło o coś innego? Może o negocjowanie warunków rozejmu? O coś, co pozwoliłoby zapobiec śmierci wielu ludzi, bo tym okupione będzie ewentualne zwycięstwo.

Dowódca straży obejrzał się na Sobieskiego, czekając na rozkaz. Król dał znak, żeby przepuścić przybyszów.

Otoczeni przez trwających w gotowości strażników, którzy podążali za nimi krok w krok z nagimi mieczami, trzech mężczyzn, jeden na przedzie, a dwóch obok siebie za nim, równym, spokojnym krokiem pokonali niewielką odległość i stanęli jakies cztery i pół metra od zgromadzonego dowództwa. Tam znowu się uklonili.

Przywódca przemówił:

– Przynoszę pozdrowienia od mego najjaśniejszego pana padyszacha Mehmeda IV, sułtana sułtanów, chana chanów, przywódcy wiernych, władcy mórz czarnych i białych, władcy Rumelii, oraz od jego mężnego seraskiera w tej najświętszej z wojen, wielkiego wezyra Kara Mustafy Paszy.

Sobieski wpatrywał się w Turka, gdy tłumacz przekazywał jego słowa. Posłaniec, wysoki mężczyzna, który nie przekroczył jeszcze trzydziestki, obficie się pocił, ale król nie dostrzegł w jego oczach strachu. Najwyraźniej pot był skutkiem długiej jazdy w ostrym letnim słońcu i w pełnym galowym stroju: w szerokich szarawarach, butach z wysokimi cholewami, w turbanie i powłóczystym czerwonym płaszczu.

– Przekaż, żołnierzu, i moje pozdrowienie swemu najjaśniejszemu panu. A jakież to

jest powód waszej wyprawy?

Posłaniec znowu się skłonił. Dwaj przybyli z nim mężczyźni zrobili to samo. Po chwili przywódca się wyprostował i spojrział królowi prosto w oczy.

– Zostałem posłany, by przekazać wiadomość od mojego pana.

Sobieski zmarszczył brwi.

– Co to za wiadomość?

Mężczyzna nie zareagował od razu. Dopiero po chwili na jego twarz wypłynął cierpki, dziwnie spokojny uśmiech i rzekł:

– Mój pan życzy wam spokojnej podróży. – I dodał: – *Allahu akbar*.

W tej samej chwili wsunął ręce do kieszeni i zanim król, strażę czy ktokolwiek z dowódców zdołał zareagować, wysadził się w powietrze.

W powietrze wyleciało też dwóch pozostałych posłańców i wielbłądy – potężna eksplozja wstrząsnęła miejscem, gdzie przebywało dowództwo, i przeobraziła wszystko dokoła w płonące zgliszcza.

Zamęt i panika ogarnęły zgromadzone wojsko, które patrzyło, jak dowódcy znikają w kuli buzującego ognia. Prawdziwy horror jednak dopiero miał nastąpić, zapowiedziany przez wojenne okrzyki i głębokie złowieszcze dudnienie osmańskich bębnow, niosące się echem zza pobliskich wzgórz.

W tej jednej chwili wszystko się zmieniło.

Zmieniła się historia.

Sobieski nie poprowadził swej uskrzydłonej husarii do boju, którego zwieńczeniem byłaby klęska tureckiej armii na przedpolach Wiednia. Nie ocalił miasta ani nie stanął jako zwycięzca w spustoszonej obozie wielkiego wezyra, by ogłosić: *Venimus, vidimus, Deus vicit* (Przybyliśmy, zobaczyliśmy, Bóg zwyciężył). Wielki wezyr nie uciekł do Belgradu, gdzie trzy miesiące później – w dzień Bożego Narodzenia, gdy w całej Europie biły kościelne dzwony – z rozkazu sułtana zostałby uduszony, a jego głowa odcięta i obdarta ze skóry, którą wypchano by później i wręczono sułtanowi w jego myśliwskim pałacu w Edirne. Trzy lata później książę Lotaryngii nie odbił Budy z rąk osłabionych Turków. Po kolejnych dwóch latach Maksymilian Emanuel nie wyzwolił Belgradu. A w 1697 roku książę Eugeniusz Sabaudzki nie zadał miażdżącego ciosu sułtanowi pod Zentą.

Nie było żadnych cudownych zwycięstw, żadnego „czasu bohaterów”. Wszyscy zginęli, rozerwani na strzępy na łące pod Tulln, i nie znalazł się nikt równie wspaniały, kto zająłby ich miejsce.

Nic podobnego nigdy wcześniej się nie wydarzyło.

Osmański posłaniec użył materiału wybuchowego dwadzieścia razy silniejszego niż proch strzelniczy. Prawdę mówiąc, aż do tamtego dnia nikt nie widział lasek, którymi podszyty był jego płaszcz i wypchane sakwy na wielbłądzich grzbietach. I nikt ich nie miał oglądać przez kolejnych dwieście lat, aż do 1867 roku, kiedy to

szwedzki chemik Alfred Nobel wynalazł wybuchowy proszek zwany dynamitem.

Czymś wcześniej niespotykanym była też zuchwałość samej metody. Aż do tamtego dnia pojęcie zamachowca samobójcy w ogóle nie istniało. Miało w całej swej potworności zaistnieć dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku w Rosji, gdzie wynalazek Nobla stał się ulubionym środkiem do celu zamachowców rewolucjonistów.

Tak właśnie miało być.

Ale nie było.

A wszystko za sprawą człowieka, który odkrył wielką tajemnicę w pewnej podziemnej krypcie w Palmyrze.

PARYŻ

OBECNIE

SZAWWAŁ A.H. 1438^[1] (LIPIEC A.D. 2017)

LEKKIE OSZOŁOMIENIE I ZAWROTY głowy były dość znajome.

Choć Ayman Rasheed robił to już wcześniej, to ostatni raz wiele lat temu. Uczucie było tak niezwykle, tak intensywne, tak obezwładniające, że po każdej podróży zastanawiał się, czy ktokolwiek zdołałby się do niego przyzwyczaić. Zresztą nie przypuszczał, aby było wielu innych, którzy w ogóle o tym wiedzieli, nie mówiąc już o tych, którzy podobnych wędrówek doświadczyli. Choć jacyś „inni” musieli istnieć, to pewne – ostatecznie rzecz była znana już od wieków, nawet od tysiącleci – ale skoro tak, to gdzie się oni podziewali?

A raczej nie gdzie, ale kiedy?

Nie miał jak się tego dowiedzieć i dawno już się przekonał, że lepiej na ten temat nie spekulować. Takie rozważania prowadziły tylko w głąb bezdennej króliczej nory, w której roilo się od pytań i niekończących się ewentualności.

Tym razem jednak Ayman Rasheed odczuwał wszystko bardziej intensywnie, a to z tego prostego powodu, że nie był w najlepszej formie. Prawdę mówiąc, wiedział, że jego życie jest zagrożone, i dlatego właśnie musiał skoczyć tak szybko, jak to tylko możliwe.

Gdy jego wzrok usiłował się dostosować do słabego światła latarni na rozpiętym w górze moście, poczuł, że zawroty głowy wracają. Wymamrotał jakieś przekleństwo i splunął krwią, po czym skulił się i rozejrzał dokoła, bacznie wypatrując wszelkich potencjalnych niebezpieczeństw i czując, jak ciągnące od rzeki chłodne powietrze do szpiku kości przenika jego nagie ciało.

Bo tak właśnie zawsze zjawiał się po skoku: nagi, bez ubrań i w ogóle bez niczego.

Paryż, do którego przybył, był oczywiście całkiem inny. Oprócz różnic dostrzegalnych okiem był jeszcze smród; powietrze zdawało się gęste od zanieczyszczeń i unosił się w nim bardzo nieprzyjemny zapach – wręcz toksyczny w porównaniu z fetorem będącym skutkiem braku nowoczesnej kanalizacji, do którego przywykł w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci. Panował też hałas – właśnie to szokowało go zawsze najbardziej, nawet o tej porze, w nocy, gdy miasto prawie

spalo. Rozlegający się wokół szum, dudnienie, odległe dźwięki wydawane przez skrzynie biegów i tłoki samochodów, autobusów, generatorów i najróżniejszych urządzeń mechanicznych – dźwięki, które wnikały niemal niezauważalnie w świadomość, dobywając się zewsząd i znikąd.

Zapomniał już, jak hałaśliwy jest ten świat.

Wykaszał jeszcze trochę krwi i poczuł kolejny przyływ zawrotów głowy i mdłości. Niedobrze. Potrzebował wszystkich sił i całego sprytu, żeby sprostać zadaniu i przeżyć. Zamknął na chwilę oczy, koncentrując się na tym, by uspokoić szalejące serce i zmusić zmysły do działania, co dałoby mu szansę uniknięcia ewentualnych zagrożeń. Musiał tylko dostać się do szpitala. Tylko tyle. Reszta ułoży się sama. Nie wyobrażał sobie, by mogło być inaczej. Po wszystkim, przez co przeszedł, po wszystkim, co osiągnął, nie mógł sobie pozwolić na to, by skończyć tu tak żałośnie, samotnie i bezimiennie. Nie mógł stać się pozbawionym życia, nagim, wytatuowanym ciałem, skulonym w ciemnym kącie na brzegu Sekwany.

Chyłkiem przemknął ku pogrążonym w ciemności schodom prowadzącym z mostu w dół i czekał. Rzecz jasna dokładnie wiedział, gdzie jest. Dołożył starań, by zjawić się w miejscu, które zminimalizuje ryzyko demaskacji albo, co gorsza, unicestwienia. Do czego mogłoby dojść, gdyby pojawił się na środku ruchliwej drogi i, na przykład, został rozjechany przez autobus. Albo gdyby trafił w miejsce zajęte teraz przez coś naprawdę twardego, jak betonowy mur czy zaparkowany samochód. Albo gdyby ukazał się w zatłoczonym budynku, wywołując zamieszanie. Niezłym miejscem były parki: otwarte, niezbyt ludne przestrzenie, choć zawsze istniało ryzyko, że z czasem zostały zabudowane albo że w latach, jakie upłynęły od jego poprzedniego pobytu, wyrosły w nich drzewa o grubych pniach. Innym wyjściem był wybór zabytku: starego, klasycznego budynku, takiego, który najprawdopodobniej podlegał ochronie i był utrzymywany w pierwotnym kształcie – który miał największą szansę oprzeć się kaprysom czasu i nie ulec żadnym wielkim zmianom.

Najbardziej niebezpieczna była pierwsza z wycieczek Rasheeda do tego nowego świata. Ciekawiły go skutki jego własnych działań, ale była to wtedy podróż w nieznaną. Nigdy nie był w Paryżu w swoich czasach – zanim się to wszystko zaczęło, zanim wykonał pierwszy skok w przeszłość – i nie pomyślał, żeby czegoś się o tym mieście dowiedzieć. Podchodząc do tego pierwszego skoku w nowe czasy z wyjątkową ostrożnością, na swoje miejsce przybycia wybrał rzekę, gdyż przyjął, że w całym Paryżu właśnie ona mogła ulec z biegiem lat najmniejszym zmianom. Był gorący letni dzień w połowie sierpnia, mógł więc założyć, że temperatura wody będzie znośna. Wiedział też, że nie będzie miał na sobie ubrań, które by mu ciążyły. Jedyne, czego musiał się obawiać, to możliwości potrącenia przez któryś z licznych turystycznych statków kursujących po wodach Sekwany, ale w piątek w pobliżu brzegu ryzyko to było względnie niewielkie.

Wszystko poszło świetnie. Wolał się jednak nie moczyć podczas kolejnych wizyt,

dlatego poszukał innych bezpiecznych miejsc lądowania. W tej chwili znajdował się w jednym z nich: na brukowanym nabrzeżu po prawej stronie Sekwany, ukryty przed oczami kamer monitoringu miejskiego pod starym mostem Królewskim, mając przed sobą boczne skrzydło pałacu Tuileries i zachodni kraniec dziedzińca Luwru.

Mógł nie wiedzieć, że sam pałac nie powinien tam stać. Został spalony przez Komunę Paryską w 1871 roku. Tylko że w Paryżu, do którego przybył, nie było żadnej Komuny. Nie było też rewolucji francuskiej. Dokonał się za to osmański podbój, a imperium – o czym się przekonał na własne oczy podczas poprzednich wizyt – przetrwało i kwitło już od przeszło trzystu lat.

Dzięki niemu.

Tylko że tym razem nie przywiodła go tu ciekawość – nie przybył na zwycięski obchód. Teraz to była sprawa życia lub śmierci.

Jego życia lub śmierci.

Rozejrzał się dokoła i nikogo nie zauważył. Był piątek, święty dzień wypoczynku i zbiorowych modlitw. Ruchliwe nabrzeża portowe wzdłuż brzegów rzeki będą nieczynne. Ludzie wstaną nieco później, zjedzą z rodzinami śniadanie, po czym krótko przed nastaniem południa wyruszą do meczetów na wielką modlitwę džummuah. Ale to później. Teraz dopiero zaczynało świtać. Miasto jeszcze się nie obudziło i nad rzeką panował spokój.

W tej ciszy Rasheed wyczuł coś w oddali po swojej lewej stronie. Jakiś ruch. Umknął się w głębszy cień, lgnąc do ściany, i poczuł, jak pierś mu się ściska od tłumionego kaszlu.

Zaczekał i po chwili wyjrzał powoli, ostrożnie.

Zbliżał się do niego jakiś człowiek. Mężczyzna na spacerze, palący papierosa.

Jak okiem sięgnąć nikogo więcej nie było.

Rasheed zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie, mierząc spacerowicza wzrokiem. Wzrost, szerokie ramiona – wszystko pasowało.

Przywarł z powrotem do ściany i czekał w napięciu. Z głębi jego ciała zamierzał wytrysnąć kolejny gejzer krwi, ale Rasheed go powstrzymał, a pierś opanowało mu pieczenie, które zdawało się teraz wypalać płuca. Starał się uspokoić oddech, który przyspieszył niepokojąco nie z powodu strachu, lecz wysiłku układu krążenia. Wolałby poczekać nieco dłużej, zanimby uderzył, i odpocząć od skutków ubocznych podróży, ale sposobność nadarzała się tu i teraz, a zwłoka oznaczałaby większe ryzyko.

Gdy odgłos kroków się przybliżył, wyrzut adrenaliny pokonał zawroty głowy. Kiedy Rasheed uznał, że mężczyzna jest dostatecznie blisko, wyłonił się nagle z cienia, stając mu na drodze.

Spacerowicz zamarł, zdeprymowany widokiem stojącego przed nim silnego, nagiego człowieka pokrytego znakami. Zanim zdążył zareagować, zanim jego mózg

w ogóle przetworzył to dziwne zjawisko, Rasheed zebrał siły i zaatakował. Szybkie kopnięcie z półobrotu w krocze sprawiło, że mężczyzna poleciał do tyłu z twarzą wykrzywioną obezwładniającym bólem. Rasheed bez chwili wahania po pierwszym ciosie wymierzył następny, tym razem pięścią w lewe ucho, tak że mężczyzna prawie stracił przytomność. Nogi się pod nim ugięły, lecz zanim upadł na kolana, Rasheed znalazł się za jego plecami i od tyłu założył mu jedną rękę na szyję, drugą kładąc na potylicy.

I nacisnął.

Mężczyzna się miotał, próbując się uwolnić, ale Rasheed nie puszczał pomimo piekącego bólu, jaki rozlał się po jego bicepsie i przedramieniu. Czuł smród tytoniu wpływający nieprzyjemnie na zawroty głowy, które nagle opanowały znowu jego czaszkę. Zebrał wszystkie siły, jakie zdołał z siebie wykrzesać, żeby nie zwolnić uścisku. Sekundy wlokły się jak dręczące minuty, aż w końcu niedobór tlenu osłabił opór mężczyzny, a jego ciało zawisło bezwładnie.

Rasheed wciąż trzymał go za szyję. Pozbawienie przytomności mogło nie wystarczyć. Potrzebował czegoś bardziej pewnego.

Chwilę później osiągnął swój cel. Upuścił wiotkie ciało na ziemię akurat w chwili, gdy poczuł, że dusi się własną krwią, co wywołało gwałtowny kaszel. Wytarł dłonią usta i się oparł o ścianę, robiąc wszystko, by pomimo mdłości nie upaść. Nie mógł im się znowu poddać. Musiał działać, i to szybko.

Ściągnął z mężczyzny ubranie – płaszcz, koszulę, pas, szerokie spodnie – podniósł turban, który spadł w czasie szamotaniny, i założył wszystko na siebie. W małej kieszonce spodni znalazł dowód osobisty, kilka banknotów i pęk kluczy. Przyjrzał się dowodowi. Adres nic mu nie mówił, ale zapamiętał nazwisko. Nie zamierzał się nim teraz posługiwać, jednak szczegóły były istotne i wiedział, że kiedyś mogą się przydać.

Czując w głowie pulsujący ból, zawlókł nagie zwłoki mężczyzny nad samą wodę. Miał go już do niej zepchnąć, gdy ciche nocne powietrze rozdarł krzyk.

– Stój! Co robisz? Niech go ktoś powstrzyma – wołała jakaś kobieta.

Znieruchomiał i spojrzał na drugi brzeg rzeki. U podnóża prowadzących na most schodów, dokładnie na wprost niego stali kobieta i mężczyzna. Mężczyzna zbliżał się teraz do wody, pokazując go palcem i też krzycząc.

Rasheed ich zignorował.

Jak gdyby nigdy nic wrzucił ciało do wody, odwrócił się i ruszył w stronę schodów. Zataczając się i znowu plując krwią, zniknął w ciemności.

NNIM MINĘŁO POŁUDNIE miło zapowiadającego się piątku, bezwzględne słońce niepodzielnie zapanowało nad miastem, a jego męcząca obecność szczególnie dała się odczuć w zatłoczonym meczecie Mehmediyye.

Fala bezlitosnych upałów nie dawała żyć jak Paryż długi i szeroki. W cieniu kawiarni na jednym czy drugim brzegu Sekwany może było bardziej znośnie, ale pod wyniosłą kopułą sali modlitw w samo południe, gdy słońce grzało najmocniej, w ogromnym pomieszczeniu zatłoczonym do granic wytrzymałości, było jak w łaźni. A może tylko Kamal Arslan Aga z wydziału przeciwdziałania terroryzmowi Teşkilat-i Hafiye – sułtańskiej tajnej policji – odczuwał to bardziej niż inni modlący się dokoła niego ludzie. Był w galowym mundurze, co nie pomagało. Był też kluczową postacią wydarzeń, które zaplanowano po tej południowej modlitwie. Miało się na niego zwrócić wiele oczu.

Gdy wybrzmiał ostatni *rakat*, rzesza mężczyzn podniosła się z kolan i ruszyła po swoje obuwie. Cała sala zdawała się rozbrzmiewać zapowiedzią tego, co miało nastąpić, a upał jakby wzmagał jeszcze hałas spowodowany szuraniem nóg. Kamal spostrzegł swojego partnera, Taymoora Erkuna Agę, który przyszedł tu wcześniej od niego i modlił się kilka rzędów bliżej mównicy. Zanim sunąca z wolna fala wiernych dotarła do głównych drzwi, Taymoor zrównał się z Kamalem.

– Nie było lekko – odezwał się Taymoor. – Ten nowy imam działa jak środek nasenny.

– Kolejna zarwana noc? – spytał Kamal i natychmiast tego pożałował.

Taymoor się wzdrygnął z udawanym oburzeniem.

– Nie tutaj, bracie. Gdzie twój szacunek?

Kamal przewrócił nieznacznie oczami.

– Daruj sobie.

– Powiem tylko tyle: dzięki Bogu za esemesy. Jak naszym rodzicom udawało się bez nich z kimkolwiek spiknąć?

– Jestem w zasadzie pewien, że się nie udawało – odparł Kamal.

– To takie smutne.

– Ale dzięki za inspirującą metaforę.

Przechwałki Taymoora na temat jego nocnych eskapad męczyły Kamala. Musiał je

znosić, odkąd zostali partnerami w Hafiye, czyli odkąd przed trzema laty ukończyli akademię wojskową. Teraz jednak, gdy jako młodzi agenci zyskali rozgłos w swojej formacji, przechwałki te stały się bardziej dokuczliwe. Żaden z mężczyzn nie był zonaty, mimo że obaj mieli już po trzydzieści lat i obaj byli raczej przystojni. Ich atrakcyjność podnosiły ponadto lata intensywnych ćwiczeń i ranga urzędnika państwowego, co Taymoor z pewnością w pełni wykorzystywał, nie bacząc na bardziej konserwatywne i represyjne rządy nowego sułtana. Kamal nie umiał sobie wyobrazić, by jego partner mógł kiedyś wziąć ślub, zapewne na szczęście potencjalnych paryskich oblubienic. Dla Kamala małżeństwo też nie było szczytem marzeń i wydawało się raczej mało prawdopodobne, że dojdzie do niego w najbliższym czasie.

Jedyna kobieta, której pragnął jak żadnej innej, i tak nigdy nie mogła być jego.

Taymoor klepnął go po ramieniu i przepuścił w drzwiach.

– Chodź. Rzesze naszych wielbicieli czekają.

W wielkim przedsionku dwaj agenci odnaleźli swoje buty z cholewami i *börki* – nakrycia głowy w kształcie białej filcowej tuby, która tuż nad głową sterczała sztywno, po czym się zginała jak rękaw i opadała luźno, sięgając aż za szyję. Choć był to dzień odpoczynku i zbiorowych modłów, formalne uroczystości, które miały nastąpić po modlitwie, wymogły na Kamalu i jego partnerze założenie munduru: luźnych szarawarów, tuniki z długimi rękawami i kaftana z krótkimi. Przód kaftana na całej długości był ozdobiony wymyślnie plecionym sznurem w złowieszczych kolorach, czarnym i szarym. Na kołnierzu po prawej stronie znajdował się symbol Hafiye: trzy splecione ze sobą księżycy, z których każdy strzegł pomiędzy swoimi czubkami małej pięcioramiennej gwiazdki. Po lewej stronie kołnierza można było odczytać stopień – w przypadku Kamala i Taymoora był to *chaouch komiser*, czyli podkomisarz – wytatuowany także na prawym ramieniu i prawej nodze każdego agenta. Była to kilkunastowieczna tradycja, sięgająca czasów pierwszych janczarów, kiedy z jednej strony taki tatuaż symbolizował braterstwo, a z drugiej pomagał w identyfikacji zwłok po bitwie. Raczej mało prawdopodobne, by któryś z dwóch mężczyzn miał w najbliższym czasie wziąć udział w bitwie, ale wojna, w której uczestniczyli – wojna z zamachowcami samobójcami i samochodami pułapkami – czyniła prawdopodobnym to, że tatuaże mogą się przydać.

Obaj nosili także pasy z kaburami na służbowe pistolety automatyczne Galip i z trokami na noże zwane kandżarami.

Mężczyźni wraz z tłumem wyszli na rozległy prostokątny dziedziniec przed meczetem. Dwie kondygnacje sklepionych arkad otaczały ze wszystkich stron tę monumentalną przestrzeń, która w potocznej mowie zachowała swą pierwotną nazwę, *cour d'honneur*, mimo że w ciągu trzystu lat obcego panowania osmańskoturecki już dawno zajął w Paryżu miejsce francuskiego i był głównym językiem używanym w mieście.

Oryginalna nazwa tego olbrzymiego kompleksu, Les Invalides, rzecz jasna dawno poszła w zapomnienie. Nadanie mu nowej nazwy okazało się dość problematyczne dla Mehmeda IV, sułtana, którego armia podbiła francuską stolicę w 1100 roku^[2]. Oprócz wspaniałego, zwieńczonego kopułą kościoła Inwalidów, Paryż szczycił się też niezrównaną katedrą Notre Dame. Mehmed nie mógł nazwać na swoją cześć obu przybytków. W swej nieskończonej mądrości postanowił użyć własnego imienia temu pierwszemu, który stał się meczetem Mehmediyye – podobnie jak bazylika św. Piotra w Rzymie po tym, jak wierne papieżowi państwa upadły, a papież został ścięty, ale to akurat było możliwe, bo dotyczyło innego miasta. Notre Dame zaś musiała się zadowolić blaskiem chwały, jaki spłynął na nią z sułtańskiego przydomka Zdobywca. Pozbawiona witraży i innych chrześcijańskich symboli, przyozdobiona kopułami i otoczona przez minarety, stała się meczetem *Fatih*.

Słońce, wciąż prawie w zenicie, bombardowało niemiłosiernie swoimi promieniami, nie oszczędzając żadnego zakątka dziedzińca. Z brutalną siłą uderzyło w Kamala i Taymoora, gdy tylko znaleźli się na zewnątrz. Ich mundury, choć w letniej wersji, uszyte z lnu i bawełny, w takim upale wciąż wydawały się za ciężkie. Kamal, któremu pot spływał po plecach, zdecydowanie wolałby mieć na sobie znacznie lżejsze cywilne ubranie, ale dziś nie był tu jako cywil. On i Taymoor byli bohaterami uroczystości. Z czym Kamal nie czuł się najlepiej. Pracowali ciężko – to prawda. Poświęcili wiele godzin i przemierzili pieszo mnóstwo kilometrów. Przez cały czas musieli być skoncentrowani. Ale mieli farta, który – należy to przyznać – pozwolił ocalić życie wielu osób.

Z tego akurat Kamal był bardzo dumny.

Tłum na dziedzińcu falował. Kamal ogarnął go wzrokiem, nie po raz pierwszy. Widok robił wrażenie. Wzdłuż obu dłuższych boków dziedzińca urządzono widownię. Przy wschodnich arkadach ustawiono trybuny dla publiczności; były wprawdzie stopniowane, ale pozbawione siedzeń. Naprzeciwko nich, po drugiej stronie placu, usytuowano trybunę dla oficjeli. Zapewniała miejsca siedzące i była bardziej stroma, co mogło się przydać, zważywszy na bardziej okazałe turbany i wysokie filcowe czapy, które będzie miała na głowach większość z zasiadających tam osobistości. Kamal i Taymoor, jako goście honorowi, mieli oglądać widowisko właśnie stamtąd, razem ze swoimi przełożonymi z Hafiye i grupą urzędników państwowych. Na odległym końcu dziedzińca, wychodzącym na Sekwanę, wznosiły się dumnie dwa z sześciu minaretów meczetu, stanowiących najwyższe obiekty w całym wielkim mieście.

W jednym z narożników Kamal dostrzegł ekipę państwowej telewizji, która miała filmować uroczystość. Przy filarach wzdłuż arkad stali uzbrojeni, ubrani w galowe stroje strażnicy. Tak jak wszystkie miejsca publiczne w całym imperium, trybuny miały wyznaczone osobne sektory dla mężczyzn i dla kobiet. Po obu stronach olbrzymiego dziedzińca widzowie obu płci mogli się gromadzić w odgradzonych

strefach.

Kamal i Taymoor szli w wyznaczone miejsce, po drodze przyjmując gratulacje i poklepywanie po plecach ze strony funkcjonariuszy Hafiye.

– *Tebrikler, mulasim komiser* – pogratulował Kamalowi jeden z oficerów. – Najmłodszy w wydziale, co? Niech tylko za bardzo nie da się pan przytłoczyć oczekiwaniom. – Ścisnął Kamala za ramię. Nieco za mocno.

Kamal odpowiedział na dwuznaczne pochlebstwo krótkim skinieniem głowy i ruszył dalej. Słyszał już pogłoski: szykował się awans obu funkcjonariuszy do stopnia komisarza. A jednak trudno mu było znaleźć spokój ducha i cieszyć się tą chwilą. Co rusz zerkał na drugą stronę dziedzińca i przyglądał się twarzom w żeńskim sektorze trybuny, wypatrując tej jednej.

Prawie niemożliwością było rozpoznać jakąkolwiek kobietę – chusty i kwefy, jedne bardziej przezroczyste, inne mniej, miały za zadanie uniemożliwić taką obserwację. A mimo to raz albo dwa jego wzrok padł na jakąś sylwetkę i przez okamgnienie zdawało mu się, że to może być ona. Zaraz jednak coś w mowie ciała, wzrost, jakiś ledwo dostrzegalny szczegół mówił mu, że się pomylił.

Nie pomagało mu to uwolnić się od niepokoju.

Gdy się zrównał z Taymoorem, podniósł wzrok na górną kondygnację arkad i zobaczył Mumtaza Sikandera Paszę, bejlerbeja paryskiego ejaletu, prowincji obejmującej nie tylko samą wielką metropolię, ale i całe dawne królestwo Francji. Ubrany w ceremonialną szatę, z głową owiniętą w ogromny turban, któremu rozmiarem dorównywał tylko jego obwód w pasie, gubernator szedł w stronę swojej łoży, gdzie już tłoczyli się wysocy urzędnicy, w tym – jak zauważył Kamal – komendant paryskiej jednostki Hafiye Huseyin Celaleddin Pasza.

Celaleddin był wysoki i biorąc pod uwagę pozycję zajmowaną w osmańskim społeczeństwie, nadzwyczaj szczupły. Stercząca broda, zawsze lekko zadarta, i cofnięte czoło sprawiały, że trudno było odgadnąć, co skrywa spojrzenie bystrych oczu, które w tej chwili dostrzegły Kamala. Dowódca zaskoczył go, gratulując dyskretnie nieznacznym skinieniem głowy. Kamal odpowiedział, kłaniając się lekko, zanim przełożony się odwrócił, aby pozdrawić bejlerbeja.

Taymoor zaprowadził go na wyznaczone dla nich miejsca. Jeszcze przez chwilę upajał się tym, że jest w centrum uwagi, po czym usiadł i promieniejąc zadowoleniem, poklepał siedzenie obok siebie.

– Pierwszy rząd, bracie. To nasz dzień.

– *Maszallah* – odrzekł Kamal bez entuzjazmu i kolejny raz rozejrzał się po trybunie dla kobiet, zanim usiadł.

Jego rozkojarzenie nie uszło uwadze Taymoora.

– Skąd ta skwaszona mina? – spytał. Po czym jego twarz przepołowił sprośny uśmiech. – Wolałbyś być gdzieś indziej?

Kamal wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że nie.

Taymoor prychnął lekko. Potem przyglądał mu się przez chwilę.

– Wiesz co? Jesteśmy partnerami. Co dzień stawiamy czoło niebezpieczeństwu, może nawet śmierci, zawsze razem. Powinniśmy sobie o wszystkim mówić. Ja tobie mówię...

– Tak, może nawet za dużo – wkurzył się Kamal.

– Możesz narzekać, ile chcesz. I tak wiem, że to uwielbiasz. – Zniżył głos. – Jesteś tak samo zdeprawowanym *luti* jak ja. Tylko nie lubisz o tym mówić. No więc dalej, powiedz mi, kim ona jest? Kto przyprawia cię o ból jąder?

Kamal musiał ciągnąć tę grę. Miał świadomość, że okłamują się nawzajem, ale to mu pasowało. Nie chciał, żeby Taymoor wiedział, jaką udrękę nosi w sercu. Wystarczyło, że musiał się męczyć, skrywając ją głęboko; zapadłby się chyba pod ziemię ze wstydu, gdyby jego rozwiązyły partner poznał jego tajemnicę.

Postanowił dalej grać swoją rolę i nie odpowiadać. Tymczasem na dziedzińcu zapadła złowieszcza cisza. Uwaga wszystkich skupiła się na odległym końcu placu, gdzie w portalu stanowiącym część arkad ukazało się pięciu mężczyzn. Czterech było ubranych w galowe mundury, a piąty, idący pośrodku, wyróżniał się tym, że jego mocno zbudowane, ciężko się poruszające ciało obleczone było w czarną szatę, a na głowie tkwił czarny turban. Nawet pod szatą było widać, że na jego potężną sylwetkę składają się głównie mięśnie, a nie tłuszcz.

Rzucal się w oczy także z powodu niesionego długiego miecza.

Kamal i Taymoor patrzyli, jak pochód sunie z powagą na środek dziedzińca.

– Ciąg dalszy nastąpi – zapowiedział żartem Taymoor, grożąc partnerowi palcem. – Wiesz, że lepiej nie zadzierać z moim psim nosem, co, bracie?

Kamal się zmusił do tajemniczego uśmiechu – to prawda, że Taymoor miał kapitalną śledczą intuicję. W pracy był to jego niewątpliwy atut. Ale w życiu prywatnym Kamal chętnie by się bez niej obywał.

Skupił uwagę na odległym portalu, gdzie znowu pojawiło się czterech funkcjonariuszy, prowadzących tym razem człowieka ubranego w prostą białą szatę. Mężczyzna miał zawiązane oczy i skrępowane za plecami ręce.

Zebrani na placu milczeli, gdy funkcjonariusze szli z nim na środek dziedzińca, gdzie przekazali go wspomnianej wcześniej piątce i odmaszerowali z powrotem tam, skąd przyszedli.

Potężny mężczyzna z mieczem wystąpił naprzód, stanął twarzą do więźnia i chwycił go za ramiona, naciskając w taki sposób, że ten musiał klęknąć. Następnie osiłek się cofnął, wziął od jednego ze swoich pomocników kartkę i donośnym głosem, który się odbijał echem w zamkniętej przestrzeni, zaczął odczytywać nakaz egzekucji.

Kamal już wiele razy słyszał te same zarzuty – „wróg państwa”, „zdrada stanu” – podobnie zresztą jak wyrok. Zaledwie tydzień wcześniej te same słowa wybrzmiały w tym miejscu, wygłaszane przez tego samego człowieka, jako że korpus państwowych katów stanowił jednostkę małą i elitarną. Ale tym razem nakaz egzekucji miał dla niego większe znaczenie. Tym razem skazaniec klęczący na spalonym słońcem bruku *cour d'honneur* znalazł się tam za sprawą jego i Taymoora.

Powinien to być dla niego nieskalany złą myślą dzień wielkiej chwały. Gdy chodziło o terrorystów, barbarzyńców spiskujących po to, by mordować niewinnych obywateli, w jego głowie nigdy nie powstała wątpliwość, czy kara jest adekwatna do zbrodni. W tym konkretnym przypadku klęczący teraz na bruku skazaniec był algierskim ekstremistą, który przybył do Paryża wraz z bratem i paroma innymi mężczyznami z zamiarem przeprowadzenia ataku podczas uroczystości z okazji zbliżającego się ślubu najmłodszej córki bejlerbeja z jednym z ulubionych synów sultana. Miało w nich uczestniczyć wielu dygnitarzy, w tym sam bej. Zdołano zapobiec wielkiej katastrofie, a Kamal i Taymoor z dnia na dzień stali się bohaterami.

Kat skończył czytać uzasadnienie wyroku i zaczął recytować wersety z Koranu. Kamal utkwiał chmurne spojrzenie w skazanym mężczyźnie, który się zachowywał zupełnie spokojnie, nie szarpał się w więzach ani nie błagał o darowanie życia. Kamal wiedział, że nim nastał dzień egzekucji, wszelkie siły, jakie więzień zdołał jeszcze zachować, zostały podkopane przez strach przed tym, co go czekało. Wiedział też, że pogłoski o środkach uspokajających dodawanych ukradkiem do ostatnich posiłków skazańców były prawdziwe.

Kat zakończył recytację, po czym się wyprostował i popatrzył na łożę gubernatora.

Oczy Kamala i wszystkich zebranych na dziedzińcu podążyły za jego spojrzeniem.

Bejlerbej na chwilę opuścił wzrok, po czym dał mu znak lekkim, beznamiętnym skinieniem głowy.

Kat w odpowiedzi się skłonił i odwrócił do skazańca. Schylił się i wolną dłonią poprawił ułożenie głowy mężczyzny, bardziej odsłaniając szyję. Następnie się pochylił jeszcze niżej i wyrzekł kilka słów, każąc mu recytować szahadę, wyznanie najszczerzej wiary.

Kat zrobił krok w tył, pewnie stanął na nogach i oburącz uniósł miecz, po czym opuścił go powoli na kark, który tylko musnął ostrzem. Więzień, zaskoczony, wzdrygnął się odruchowo, napinając i prostując szyję – i właśnie o to chodziło katowi, który zdążył już podnieść miecz wysoko nad głowę mężczyzny i płynnym, szybkim jak błyskawica ruchem uderzył z całych sił.

Ostrze gładko przeszło przez szyję więźnia. Wystarczył jeden brutalnie skuteczny cios. Głowa mężczyzny nie opadła zwyczajnie, ale przeleciała kawałek, spadła na ziemię i się potoczyła, wykonując pełny obrót. Kat szybko zrobił krok w tył, żeby uniknąć ubrudzenia się krwią, która natychmiast wytrysnęła z okaleczonego ciała, pozostającego nieruchomo w klęczącej pozycji.

Na całym dziedzińcu rozbrzmiały okrzyki *Allahu akbar* – Bóg jest wielki. Taymoor też wysyczał te słowa, wymachując pięścią, po czym spojrział na Kamalą oczami pełnymi wściekłości i z zaciśniętymi zębami.

– To tych sukinsynów nauczy – wysapał.

Kamal skinął potakująco, choć wiedział, że to nieprawda. Fanatyków śmierć wcale nie zniechęcała. Wręcz przeciwnie.

Gdy krew zaczęła płynąć wolniejszym strumieniem, kat, nie okazując emocji, przyjrzał się swojemu dziełu. Jeden z asystentów podał mu niewielką butelkę z wodą i ścierkę, którą mężczyzna wziął jakby od niechcenia, nie odrywając wzroku od swojej ofiary. Oblał wodą ostrze i wytarł je ścierką, którą następnie rzucił na nieruchome zwłoki.

Z wnęki w głębi dziedzińca wyłoniło się czterech strażników ciągnących stalowy wózek. Sprawnie i fachowo rozłożyli białą folię na ziemi obok martwego, pozbawionego głowy ciała. Trzech z nich umieściło zwłoki na płachcie, a następnie na wózku, podczas gdy czwarty zajął się głową, wkładając ją do worka z takiej samej białej folii. Po chwili odjechali.

Na dziedzińcu można było powitać kolejną ofiarę.

Na ceremonię w tym dniu zaplanowano siedem egzekucji. Następne trzy miały być wykonane na towarzyszach Algierczyka w spisku, ale nie one zaprzętały myśli Kamalą. Ostatecznie to on i Taymoor odkryli spisek, poznali tożsamość terrorystów, a potem stanęli na czele zespołu, który ich wytropił i po intensywnej, szalonej obławie aresztował.

Dwoma ostatnimi skazańcami Kamal też się za bardzo nie przejmował. Nie odegrał żadnej roli w ich zatrzymaniu, ale obaj zostali osądzeni i skazani za zamordowanie na haju po czuwaliczce pary staruszków, do których włamali się z zamiarem obrabowania ich rezydencji w Saint Germain.

Jednak piąty ze skazańców nie dawał Kamalowi spokoju.

Nazywał się Halil Azmi i był *muderisem* – nauczycielem akademickim, a mówiąc dokładnie, profesorem prawa. Agenci z Wydziału Z Hafiye, stale rozwijającej się służby bezpieczeństwa wewnętrznego, której zadaniem było pilnowanie imperialnego porządku, aresztowali go wraz z dwoma innymi mężczyznami, znanym dziennikarzem i prawnikiem. Wszyscy trzej zostali oskarżeni o przynależność do Białej Róży, podziemnej organizacji wywrotowej, którą zdemaskowali niedawno agenci Z, a sąd w niejawnym procesie uznał, że byli w „zmowie mającej na celu wzniesienie rewolty”.

Azmi był też jej przyjacielem.

I to dlatego Kamal znowu przeszukiwał wzrokiem trybunę dla kobiet, wypatrując Nisreen, żony swojego brata, z nadzieją, że jej tam nie ma, gdy przy wtórze tłumionych okrzyków dochodzących z trybuny dla widzów wprowadzono profesora.

Kamal poniekąd miał Nisreen za złe dręczący go niepokój. Czuł irytację z powodu jej źle ulokowanej przyjaźni, która psuła teraz chwile jego chwały. Jednocześnie mimowolnie utożsamiał się z tym, co musiała czuć, wiedząc, że jej przyjaciel wkrótce straci życie. Miał nadzieję, że nie będzie świadkiem tego, co zaraz miało nastąpić; miał nadzieję, że to nie utrwali niezaprzeczalnego w jej przekonaniu powiązania pomiędzy nim, agentem Hafiye, a losem Azmiego.

Serce mu stanęło, gdy wzrok pochwycił spoglądającą w jego stronę parę oczu, i przez moment czuł, że to ona przygląda mu się nienawistnie z drugiej strony dziedzińca, a resztki przyjaźni, która połączyła ich, gdy byli dziećmi, znikają na zawsze w palących promieniach słońca. Zamarł na chwilę, po czym kobieta się obróciła i pomimo lekkiej chusty, która zakrywała też jej dolną część twarzy, Kamal zobaczył, że to nie ona.

Odwrócił wzrok. Tymczasem na bombardowanym blaskiem południowego słońca dziedzińcu Azmiego umieszczono tak jak innych skazańców przed nim: klęczał nie dalej niż dwadzieścia *kademów*^[3] od Kamala.

Profesor nie okazywał strachu. Głowę miał podniesioną wysoko i wydawał się nie zauważać nikogo w tłumie. Zamiast tego wpatrywał się ze stoickim spokojem w trybunę honorową.

Kamal, chcąc nie chcąc, napotkał jego spojrzenie i nie mógł oderwać wzroku od oczu mężczyzny, które zdawały się skupiać na nim w niemym oskarżeniu, wywołując łomot w uszach, tak że agent nie usłyszał głosu kata ani świstu miecza przecinającego najpierw powietrze, a potem szyję profesora.

W tym samym momencie w kieszeni Kamala odezwał się telefon.

W kieszeni Taymoora także.

SAJJID^[4] RAMAZAN HEKIM^[5] był w pewnym sensie zadowolony, że akurat w ten piątek wezwano go do pracy, odrywając od rodziny. To był trudny tydzień, a wiedział, że będzie jeszcze gorzej, gdy tylko Nisreen, co nieuchronnie, usłyszy, iż egzekucja jej przyjaciela Halila Azmiego została wykonana.

Chciałby przy niej być w tej chwili. Ale wiedział, że i tak nie potrafi jej pocieszyć. Powiedzieli już wszystko, co było do powiedzenia. Najlepsze, co mógł zrobić, to zostawić żonę z dziećmi. One przynajmniej zaprzętą jej uwagę.

Na Ramazanie los Azmiego nie zrobił tak wielkiego wrażenia jak na Nisreen. Nawet nie znał człowieka. Nie znał wielu kolegów po fachu swojej żony, a ostatnio celowo ich unikał. Nisreen jednak przy kilku okazjach wspominała o ich odszczepieńczych poglądach na temat tego, czym stało się państwo, a on wiedział, że takie poglądy mogą ściągnąć kłopoty, od których starał się za wszelką cenę trzymać z daleka. Oczywiście spierali się ze sobą. Nie popierać tego, co wyprawiał sultan i jego kolesie, to jedno, ale głośno wyrażać swoje poglądy na ten temat to już zupełnie coś innego. Ramazan czuł, że jest odpowiedzialny przede wszystkim za swoją żonę, dzieci i za pacjentów, których miał pod opieką. Czasem późną nocą zastanawiał się, czy to znaczy, że jest rozsądny i ostrożny, czy raczej że jest tchórzem. Ze stoickim spokojem odsuwał na bok myśli o tym drugim, a czerpał dumę z pierwszego. Wszystko to w końcu przeminie – takie okresy politycznych sporów zawsze przemijały. A gdy już to minie, jego rodzina dzięki niemu będzie bezpieczna.

W normalnych okolicznościach byłby to koniec jeszcze jednego tygodnia rutyny, a nazajutrz zacząłby się kolejny. Ramazan znał się na rutynie aż za dobrze. Lubił ją. Rutyna oznaczała porządek. Rutyna sprzyjała spokojowi ducha. Takie życie sobie wybrał. Ostatecznie zawód anestezjologa nie był szczególnie ekscytujący. Nie przynosił też wielkiej chwały. Prawdę mówiąc, jako doktor od usypiania był w zasadzie niewidzialny. Bo choć na sali operacyjnej życie pacjentów było w jego rękach, choć z własnej woli oddawali oni w jego władanie swoje ciała i dusze, to już dawno się przyzwyczaił, że po wszystkim zawsze pamiętali nazwiska chirurgów, którzy ich operowali, a nigdy anestezjologa.

W obecnej sytuacji anonimowość być może miała swoje plusy.

Dziś jednak, pokonując korytarze oddziału kardiologicznego szpitala będącego częścią Hurrem Sultan *Küllüye* na Île de la Cité, Ramazan wyczuł, że nadciąga coś

dalekiego od rutyny.

– Mówisz zatem, że przyszedł wczesnym rankiem sam, w kiepskim stanie, plując krwią, ale nic o nim nie wiemy? – pytał, idąc szybko obok Moshego Fonseki, chirurga, z którym często pracował.

– Nic poza tym, że dość pilnie potrzebuje operacji – odparł Fonseca.

Rozległy kompleks, największy *külliyeye* w Paryżu, zaczynał dosyć skromnie jako Hôtel-Dieu Hôpital jeszcze w siódmym wieku. Szpital rozrósł się znacznie po tym, jak miasto zajęli Osmanowie. Jak wszystkie *külliyeye* został ufundowany z darowizn zwanych wakfami. Islam bardzo promował dobroczynność i wielkie kompleksy ufundowane z wakfów stanowiły kluczowy element osmańskiej kolonizacji obcych ziem. Pobożne zapisy dokonywane przez monarszą rodzinę i klasę rządzącą obejmowały zajazdy, młyny i karawanseraje, a nawet całe wioski, łącznie ze wszystkimi przychodami, jakie te nieruchomości generowały.

Külliyeye Hurrem został ufundowany przez żonę jednego z sułtanów i nazwany jej imieniem. Jak wszystkie największe *külliyeye* mieścił także meczet, szkołę, łaźnię, przytułek, zajazd i jadalnię dla ubogich. Tutejszy szpital był jednym z najnowocześniejszych w Paryżu, a Ramazan cieszył się ugruntowaną opinią jego najlepszego anestezjologa.

– Wiemy przynajmniej, jak się nazywa? – spytał.

– Nie powiedział ani słowa – odrzekł chirurg. – Ale to i tak nie jest najdziwniejsze.

– A co?

Fonseca posłał mu z ukosa znaczące spojrzenie.

– Zobaczysz.

Odpowiedź chirurga nie tylko wprawiła Ramazana w większą konsternację, ale i zaniepokoiła.

– Zgłosiłeś to na Zaptiye?

Fonseca się zatrzymał. Obejrzał się szybko, by mieć pewność, że nikt go nie usłyszy, zniżył głos i powiedział:

– Na razie nie ma potrzeby angażowania w to policji. Najpierw uratujmy człowiekowi życie. Pozostanie u nas jakiś czas i będzie mocno osłabiony. Nie rzucajmy mu dodatkowych kłód pod nogi, dopóki nie poznamy jego historii.

Ramazan popatrzył mu w oczy i się zastanowił nad tym, co usłyszał, po czym skinął głową. Ani on, ani Fonseca nie byli wielbicielami Zaptiye – paryskiej policji. Nie w obecnych czasach.

Skręcili za róg i weszli na oddział, gdzie minęli kilku innych pacjentów, zanim dotarli do rzeczonoego mężczyzny.

Leżał w łóżku w kącie pod oknem, podłączony do kilku popiskujących cicho monitorów. Pielęgniarka o imieniu Anbara sprawdzała wijący się przewód kroplówki, którą dostawał przez kaniulę w prawej ręce. Gdy spostrzegła lekarzy,

skłoniła się lekko i odsunęła od łóżka. Chirurg odpowiedział jej lekkim ukłonem i odwrócił się do pacjenta.

Ramazan na pierwszy rzut oka niewiele mógł powiedzieć o mężczyźnie, zwłaszcza że leżał przykryty prześcieradłem, a na twarzy miał maseczkę tlenową z przezroczystego plastiku. Pomyślał jednak, że pacjent może dobiegać siedemdziesiątki. Zaczesane do tyłu włosy na jego głowie były siwe, ale gęste.

Poza tym niewiele widział.

– Nazywam się Moshe Fonseca, efendi – odezwał się do mężczyzny. Przemawiał typowym dla siebie optymistycznym, budzącym otuchę tonem. – Kieruję oddziałem kardiologicznym tutejszego szpitala. Jak pan się dzisiaj czuje?

Oczy mężczyzny się zwęziły i się zdawało, że przez moment przygląda się lekarzowi. Następnie odpowiedział powolnym, delikatnym skinieniem głowy, zamykając przy tym oczy.

– To dobrze. Cóż, pewnie ucieszy pana wiadomość, że nie dolega panu nic, z czym nie bylibyśmy w stanie sobie poradzić – ciągnął Fonseca. – W skrócie rzecz ujmując, ma pan zwężenie zastawki mitralnej. Każdy z nas ma w sercu cztery zastawki. Jedną z nich jest zastawka mitralna, która czasami się zwęża i nie otwiera prawidłowo. Dzieje się to z najróżniejszych powodów. U pana może to być skutek wieku, ale mógł też pan się z tym urodzić albo przejść kiedyś gorączkę reumatyczną. Tak czy inaczej, przez lewą komorę, czyli główne narzędzie pompujące w pańskim sercu, przepływa mniej krwi. Prawdopodobnie ostatnio czuł się pan bardzo zmęczony i miewał pan duszności, czy tak?

Mężczyzna skinął głową.

– To jest właśnie przyczyna pańskich objawów, płucia krwią czy arytmii serca. Ma pan mocno przekrwione płuca; serce najwyraźniej jest nadwyrężone już od dłuższego czasu. Szczerze mówiąc, dziwię się, że nie zostało to wcześniej wyleczone. Taka przypadłość prowadzi do tworzenia się skrzepów, które mogą być przyczyną przemijającego ataku niedokrwienego, czyli czegoś w rodzaju miniudar, a nawet udaru w pełnym tego słowa znaczeniu, a... cóż, tego przecież nie chcemy, prawda?

Fonseca wpatrywał się w mężczyznę, ten jednak milczał.

Po chwili doktor skinął głową i rzekł:

– Najważniejsze, że wreszcie pan do nas trafił i że będziemy mogli pana wyleczyć. Wstawimy bioprotezę, która będzie robiła to, czego pańska naturalna zastawka w tej chwili nie robi. To będzie moje zadanie. – Wskazał Ramazana. – A to jest Sajjid Ramazan Hekim, jeden z naszych najlepszych anestezjologów. To on uśpi pana przed operacją. A ponieważ pański stan jest dość poważny, wołałbym nie czekać dłużej, dlatego zaplanowaliśmy zabieg na dzisiejsze popołudnie. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Ramazan Hekim rozwieje pana ewentualne wątpliwości – ciągnął Fonseca. – Zada też kilka standardowych pytań przed operacją, choć nie jestem pewien, na ile to będzie owocne, zważywszy na... – zawahał się – na pańską kondycję.

Mężczyzna nie zareagował.

– Świetnie – rzekł Fonseca. – Teraz proszę tylko wypoczywać. Jest pan w dobrych rękach i nie ma powodu do większych zmartwień. Zobaczymy się na sali pooperacyjnej. – Zwrócił się do Ramazana: – Pacjent jest do twojej dyspozycji.

Ramazan spojrział pytająco, wciąż się zastanawiając, co jego kolega miał na myśli podczas ich wcześniejszej rozmowy.

– Byłoby dobrze, gdybyś raz jeszcze zbadał oddech pacjenta – odezwał się chirurg. – Ma sporo płynu w płucach.

Fonseca popatrzył na niego znacząco, jakby chciał się upewnić, że został właściwie zrozumiany, po czym odszedł.

Ramazan stał, niczego nie pojmując. Zerknął na Anbarę, która jednak nie zareagowała. Następnie spojrział na pacjenta, zadając sobie pytanie, o czym mówił Fonseca. Zbadać oddech? Człowiek leżał podłączony do monitorów, które dawały znacznie więcej informacji, niż mógłby uzyskać za pomocą zwykłych słuchawek. Mimo to chirurgowi wyraźnie na tym zależało.

Sięgnął do wózka przy łóżku, wyjął stetoskop i podszedł bliżej.

– No dobrze, sprawdzimy, jak pracują pańskie płuca, tak?

Mężczyzna zmrużył oczy, najwyraźniej nie mając ochoty na badanie, co Ramazan zauważył, gdy odchylił okrywające go prześcieradło. Rozchylił poły szpitalnej koszuli, żeby odsłonić klatkę piersiową pacjenta.

I zmarł.

Tors mężczyzny pokryty był tatuażami. Cały, aż do pasa. Ramazan nigdy się z czymś takim nie spotkał. Nie widział ich tak wyraźnie, jak by chciał, gdyż część ukrywała się pod zarostem, ale tatuaże nie wyglądały ani na ozdoby, ani na symbole. Były to raczej słowa i liczby zapisane perskim alfabetem, którego sam używał, tylko że w odwrotną stronę, od lewa do prawa. Litery były małe, lecz bardzo precyzyjnie wykonane. Zdawało mu się, że niektóre napisy mogą być imionami i datami, ale pewności mieć nie mógł. Trudno było cokolwiek odczytać, gdyż wyrazy stanowiły lustrzane obicie normalnego pisma.

Było też kilka rysunków i szkiców, które wyglądały bardzo technicznie i które nic Ramazanowi nie mówiły.

Wciąż zeszywniały z zaskoczenia, podniósł wzrok na twarz pacjenta. Mężczyzna mu się przyglądał, wyraźnie sondując go spojrzeniem zimnych, obojętnych oczu. Ramazan poczuł rodzący się gdzieś głęboko niepokój i – co dziwne – ogarnęło go przerażenie. Nie był pewien dlaczego, ale coś w uporczywym spojrzeniu pacjenta w połączeniu z jego tatuażami na silnym torsie sprawiło, że poczuł się bardzo

nieswojo.

Raz jeszcze ukradkiem spojrział na napisy i rysunki, po czym odwrócił wzrok i się postarał, by jego głos zabrzmiał jak najswobodniej, jak gdyby w ogóle nie poruszyło go to, co zobaczył.

– Może pan poczuć lekki chłód – rzekł, przykładając głowicę stetoskopu do piersi mężczyzny. – Proszę zrobić głęboki wdech.

LEŻĄC W SZPITALNYM ŁÓŻKU, Ayman Rasheed uważnie przyglądał się anestezjologowi i czekał na jego reakcję.

Gdy lekarz rozchylił poły koszuli, Rasheed dostrzegł na jego twarzy zaskoczenie i konsternację w połączeniu z tym, co lubił najbardziej: ze strachem. To dobrze. Doktor był nie tylko poruszony tym, co zobaczył. Był przerażony. A strach, jak wiedział Rasheed, sprawiał, że ludzie zamykali się w sobie i trzymali gębę na kłódkę.

Tatuaże zawsze miały stanowić problem. Wiedział o tym przez cały czas, ale nie miał wyboru. Przez te wszystkie lata bardzo uważał na to, komu pozwala je zobaczyć. Dawno przestał golić tors, bo nie były mu już potrzebne, ale wciąż można je było dojrzeć. Chirurg, anestezjolog, może i inni – wszyscy będą się zastanawiać i zadawać sobie pytania. A Hafiye – jego duchowe dziecko, agencja, którą stworzył zaraz po tym, jak kurz po podboju opadł, aby zapewnić przetrwanie imperium – miała swoje macki wszędzie.

Dobra wiadomość była taka, że wydawało się mało prawdopodobne, by ktokolwiek się domyślił znaczenia napisów i rysunków. Miał nadzieję, że wszyscy uznają je za osobliwość, ale nic ponadto. Wezmą go za jakiegoś dziwaka, kogoś z marginesu, ekscentryka. Tatuaże nie były niczym niezwykłym tam, skąd przybył, i z każdym pokoleniem stawały się coraz bardziej powszechne, ale nie wiedział, czy są równie popularne w tym nowym świecie – tym, który sam pomógł stworzyć.

Tak czy owak, nie zamierzał tkwić tutaj zbyt długo ani odpowiadać na żadne pytania. Gdy tylko go wyleczą, zaraz po operacji, gdy odzyska dawne siły, wróci do siebie i namiesza im w głowach jeszcze bardziej.

Kryzys przyszedł dzień wcześniej w jego letnim pałacu w Wersalu. Stało się to pod koniec długiego oficjalnego lunchu z kilkoma brytyjskimi dygnitarzami.

Od wielu już dni dokuczały mu coraz silniejsze zawroty głowy i koszmarne zmęczenie po najmniejszym nawet wysiłku. W przypadku tak twardego i silnego mężczyzny jak on było to bardzo niepokojące. Zmęczenie i duszności nasilały się, a dwa dni przed tym, co stało się w Wersalu, już zaczął pluć krwią. Wreszcie podczas lunchu, akurat gdy służący wnosili wielkie półmiski z deserami z owoców, pistacji i miodu, poczuł, że serce zaczyna mu nagle walić jak szalone, i zobaczył, że jego własna panika odbija się niczym w lustrze na twarzach zgromadzonych przy stole osób. Poblądł i próbował wstać z krzesła, ale skutek był taki, że upadł na podłogę

wśród przerażonych krzyków służby i gości.

Zaprowadzono go do prywatnej części pałacu. Próbował poprosić, by służący szybko udali się po *hekimbaşı*, jego głównego lekarza, ale mówił niewyraźnie i ledwo był w stanie przypomnieć sobie nazwisko medyka. Stracił czucie po prawej stronie twarzy i siłę w prawej ręce. Zebrani przy jego łożu lekarze wydawali się zbici z tropu i niewiele mogli zrobić, by lepiej się poczuł, gdy wzrok zasnuwała mu mgła, a pokój dookoła pogrążał się w ciemności.

Jakimś cudem po kilku godzinach Ayman Rasheed poczuł się nieco lepiej. Wiedział jednak, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie tak, jak być powinno. Wiedział też, że nie może liczyć na pomoc swoich lekarzy. Byli wedle jego nowoczesnych standardów zupełnie ciemni.

Nie wynikało to z ich złej woli czy braku starań: medycyna i nauka bazujące na starożytnych greckich tekstach odgrywały niezwykle ważną rolę już od pierwszych dni imperium. Osmanowie jako pierwsi szczepili swoje dzieci przeciw ospie wietrznej – zaczęli już pod koniec siedemnastego wieku, na długo przed innymi. Była to po prostu kwestia postępu. Ówczesni doktorzy jeszcze tak daleko nie dotarli. Osiemnastowieczna medycyna islamska nie знаła wirusów ani bakterii. Nadal bazowała na teoriach Galena, według których choroba oznaczała brak równowagi pomiędzy czterema humorami: krwią, flegmą, żółtą żółcią i czarną żółcią, które miały swoje odpowiedniki w czterech żywiołach. I choć Rasheed wniósł ze swojego świata sporo nowoczesnej wiedzy, to większa jej część dotyczyła rzemiosła wojennego, a nie medycyny.

Wiedział, że aby go wyleczyć, potrzeba czegoś więcej niż tylko ziół i destylatów figurujących w farmakopeach tamtej epoki. Nie było czasu do stracenia.

Potrzebował nowoczesnej medycyny. Ale musiał rozegrać to ostrożnie.

Rozkazał janczarom prędko zawieźć się do swojego paryskiego pałacu, gdzie się zamknął w komnatach, wydając najpierw polecenie, żeby mu nikt nie przeszkadzał. Noc upłynęła na niespokojnym oczekiwaniu. Obliczył dokładnie liczbę dni, jaką powinien pokonać, żeby się zjawić nazajutrz po swojej ostatniej wizycie. Potem tuż przed świtem wymknął się z Luvru tajemnym przejściem i udał na brzeg Sekwany, tak jak to robił już wiele razy wcześniej.

Stojąc nad samą rzeką, wypowiedział długą sekwencję palmyreńskich słów – przez dziesięciolecia zdołał się nauczyć zaklęcia na pamięć – i skoczył.

Poczuł ulgę, słysząc, że jego choroba jest uleczalna. Bez wątpienia podjął właściwą decyzję. Umarłby, gdyby tu teraz nie przybył. Chirurg go w tym przekonaniu utwierdził.

Pomimo bardzo złego samopoczucia przyjemnie było znowu się tu znaleźć. Upłynęły lata od dnia, kiedy cofnął się w czasie, więc obecny widok napawał go radością. Minęły stulecia, a imperium wciąż istniało. Może nie było wolne od napięć, ale istniało. Przetrwowało, choć miało na to niewielkie szanse; oparło się kaprysom

czasu i potężnym obcym armiom u swych granic; nie upadło pomimo istnienia licznych religijnych i etnicznych grup na jego terenie – mało tego: grupy te skurczyły się z upływem wieków dzięki nawróceniom na islam.

Z dumą mógł stwierdzić, że to on w znacznej mierze się do tego przyczynił.

Unikał powrotu w te czasy przez... ile to lat minęło? Prawie dziesięć. Widział, że imperium przeżywa ciężkie chwile – za sprawą Amerykanów, jak odkrył Rasheed, co wywołało u niego wielkie niezadowolenie. Znowu niszczyli jego świat, choć tym razem nie bezpośrednio, a pomagał im w gorącej wodzie kąpany tyran zasiadający obecnie na tronie w Stambule.

Może powinien coś z tym zrobić?

Chodziło mu to po głowie podczas ostatnich kilku wizyt, ale w końcu postanowił się nie angażować w sprawy świata, z którego się wywodził; wołał powrócić do wygod wystawnego życia gubernatora i pozostawić wszystko własnemu losowi.

Prawda była taka, że wiele zdziałał i czuł się zmęczony. Cieszył się owocami swojej pracy, rekompensatą za ciężkie czasy, jakie się stały jego udziałem przed dokonaniem brzemiennego w skutki odkrycia w Palmyrze całe życie temu. Nie pomagało też to, że w roku 2017 – tym 2017, czyli 1438 według obowiązującego w całym imperium kalendarza islamskiego – był nikim. Bezimiennym człowiekiem, z własnego wyboru nieznanym, zmuszonym do ostrożności, lękającym się, że ktoś odkryje jego tajemnice, i nawet jeszcze przed pogorszeniem stanu zdrowia niepewnym, czy ma dość energii i chęci, by spróbować wpłynąć na bieg zdarzeń i wprowadzić imperium znowu w lepsze czasy. W wieku osiemnastym miał wszystko. Miał władzę, budził lęk i szacunek. Uważano go za wizjonera, geniusza. Wiódł niesamowite życie, władając paryskim ejaletem, jednym z klejnotów imperium, ustępującym wspaniałością jedynie samemu Stambułowi. Nawet sułtan bardzo go považał. Tamto miejsce i tamten czas dawały mu znacznie więcej satysfakcji i radości.

Ale teraz wrócił. Nie z wyboru. I przy odrobinie szczęścia nie na długo.

Wiedział, oczywiście, że go wyleczą – bez względu na tatuaże, bez względu na jego milczenie, bez względu na to, że kompletnie nic o nim nie wiedzieli.

Szpital w Imperium Osmańskim – znany jako darüßifa, czyli „dom uzdrowienia” – był instytucją dobroczynną, działającą w zgodzie z islamskim imperatywem moralnym nakazującym leczenie każdego niezależnie od statusu czy nawet religii. Rasheed nie miał powodu, by sądzić, że z upływem wieków ta zasada uległa zmianie, ale podczas poprzedniej wizyty, przewidując, że może zajść taka potrzeba jak teraz, sprawdził, jak to wygląda w Hurrem, i ku swemu zadowoleniu przekonał się, że ma rację.

Przyglądając się badającemu go anestezjologowi, pomyślał, że nie będzie z nim problemów. Rasheed znał się na ludziach, a strach w oczach mężczyzny powiedział mu wszystko, co musiał o nim wiedzieć. Był słaby. Był naiwniakiem, potrzebującym

przywódcy mięczakiem bez kręgosłupa.

Z chirurgiem jednak sprawa się miała inaczej. Wydawał się bardziej przenikliwy i spostrzegawczy od swojego kolegi. Rasheed wiedział, że będzie musiał zachować czujność i wyławiać wszelkie, najmniejsze nawet zmiany w jego zachowaniu.

Kiedy mężczyzna się przedstawił, Rasheed ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że najwyraźniej jest Żydem. Poznał ich wielu od dnia lądowania w komnatach sułtana przed laty. Osmanowie powitali ich z otwartymi ramionami po wygnaniu przez Hiszpanów w czasach inkwizycji i Rasheed nauczył się ich cenić albo lekceważyć, w zależności od indywidualnych cech i bez względu na religię. Jednocześnie wiedział, że w ciągu wieków ich liczba w jego kraju zmalała. Choć w imperium panowała tolerancja religijna i można było bez przeszkód wyznawać inną wiarę, to tolerancja owa opierała się na założeniu wyższości muzułmanów nad niemuzułmanami. Nikt nikogo nie zmuszał do przechodzenia na islam, ale z biegiem wieków Osmanowie wprowadzili wiele form odwetu i nacisku wymierzonych w innowierców, takich jak podatki, brak dostępu do jakichkolwiek stanowisk publicznych, a nawet ograniczenie kolorów ubrań, jakie wolno im było nosić, co okazało się poważną zachętą do nawrócenia.

Początkowo chrześcijanie i żydzi się opierali, nawet gdy oznaczało to bycie obywatelami drugiej kategorii. Ale po upadku Wiednia, Rzymu i Paryża ich wola trwania przy rodzimej wierze osłabła, a potem zgasła zupełnie. Życie razem i współzależność pomiędzy wyznawcami różnych religii otworzyły drogę do masowych nawróceń.

To wiara była głównym czynnikiem organizującym osmańskie społeczeństwo i z etnicznej świadomości z czasem nic nie pozostało. Była to w znacznej mierze część wielkiego planu Rasheeda, który wiedział, że poczucie przynależności religijnej i narodowej stanowi największe zagrożenie dla stabilności. Doświadczył tego osobiście w swojej pierwotnej ojczyźnie w poprzednim życiu. Krwawe skutki zachwiania owej stabilności widywał w całym regionie.

Tak czy inaczej, imperium w znacznym stopniu właśnie jemu zawdzięczało przetrwanie; myślał o tym, kiedy przyglądał się obu mężczyznom, którzy mieli się przyczynić do spłaty tego długu, umożliwiając mu powrót i przeżycie ostatnich dni w luksusie.

Nic, ale to nic nie mogło mu w tym przeszkodzić.

NA NABRZEŻU PRZY moście Bajazyda Kamal i Taymoor mignęli odznakami i przeszli przez kordon Zaptiye, kierując się w stronę grupy policjantów.

Jeden z zebranych zmarszczył brwi na ich widok.

– Proszę bardzo – zarechotał do kolegów, wiedząc, że Kamal i Taymoor go usłyszą. – Możemy już wrzucić na luz. Przybyli „eksperci”.

Nie musiał nawet palcami pokazywać cudzysłowu. Jego ton nie pozostawiał złudzeń.

– *Salamu alaykum, mulasim komiser* – odpowiedział Kamal z sardonicznym uśmiechem. – Pozwoli pan, że spojrzymy?

– Spojrzeć pozwolę. Ale jeśli macie zamiar wkręcić się tutaj i przejąć sprawę, to takie coś mi się nie spodoba. Co się właściwie z wami dzieje, panowie? Czy jest jeszcze coś, do czego nie wtykacie swoich nosów?

– Nie do mnie z tym pytaniem. – Kamal wzruszył ramionami, podchodząc bliżej do zwłok. – Ja tylko wykonuję rozkazy.

– Szczerze mówiąc, znaleźlibyśmy dziś sobie ciekawsze zajęcie niż wtykanie nosa w waszą sprawę – dodał Taymoor, a szeroki uśmiech i uniesienie brwi przy słowie „wtykanie” pokazały, jaki jest z siebie zadowolony.

– Rozkazy. – Komisarz dosłownie wypluł to słowo. – Cóż, kto wie? Może ten nieszczęsny efendi wraz z przyjaciółmi spiskował, aby wykorzystać rzekę i zalać całe miasto, a wasza obecność tutaj wszystkich nas ocali.

– Takie rzeczy już się zdarzały. Przynajmniej gdy idzie o ocalenie – odpowiedział Taymoor, po czym minął komisarza, specjalnie się o niego ocierając, i podszedł do Kamala.

Rok wcześniej Kamal też nie widziałby konieczności zajmowania się wraz z Taymoorem taką sprawą. Z Sekwany wyłowiono zwłoki. Na tym etapie nic nie wskazywało na działanie terrorystów czy zagrożenie dla bezpieczeństwa wewnętrznego. Wypadek, morderstwo albo samobójstwo – to oczywiste, że sprawą powinna się zająć policja. Ale coś się zmieniło. Napięta sytuacja w całym imperium powodowała, że szefowie Hafiye uważali, iż muszą być na bieżąco ze wszystkim, co wydawało się nietypowe. Oznaczało to, że Kamal i Taymoor często byli delegowani do zapoznania się ze sprawami, które na pierwszy rzut oka nie leżały w ich kompetencjach.

To zaś często nie podobało się gliniarzom, którym wchodzili w paradę.

Kamal odciągnął prześcieradło, odsłaniając zwłoki.

Należały do mężczyzny w średnim wieku. Co niezwykle, denat był nagi.

– Co wiemy? – spytał Kamal.

– Serio? – zakpił komisarz. – To znaczy, że jeszcze tego nie odgadliście?

Kamal posłał mu zniecierpliwione, miażdżące spojrzenie.

– Im szybciej uznamy, że ta sprawa nas nie dotyczy, tym szybciej się nas pozbędziecie.

– Choć ja osobiście na zawsze zachowam w pamięci to nasze uroczne spotkanie – dodał Taymoor.

Komisarz skinął głową niechętnie.

– Cóż, w takim razie... – Wskazał mężczyznę siedzącego na ławce bliżej mostu. Stało nad nim kilku policjantów. – Widzicie tamtego gościa? Łowił ryby z mostu Osmańskiego. Zobaczył płynące z nurtem do połowy zanurzone ciało. Zadzwoił. Patrol rzeczny ustawił jakieś sieci przy moście i je wyłowił.

Kamal przykucnął, żeby się lepiej przyjrzeć denatowi. Natychmiast rzuciły się mu w oczy ciemne sińce na jego szyi. Nie dostrzegł natomiast objawów skurczu pośmiertnego, choć ten nie zawsze występował. Ale na pewno nie była to ofiara wypadku podczas pływania. Ani samobójca.

– Domyślałam się, że nie miał przy sobie żadnych dokumentów? – rzekł Taymoor. – To znaczy, sprawdziliście wszędzie, mam rację? – Uniósł brew, wymawiając słowo „wszędzie”.

Kamal zignorował go i spytał:

– Według koronera od jak dawna nie żyje?

– Od niedawna – odparł komisarz. – Nie przebywał w wodzie zbyt długo.

Kamal skinął głową i spojrzał na rzekę. Nurt nie wydawał się o tej porze roku zbyt silny. Odległość pokonana przez ciało nie mogła być duża.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie został wrzucony – stwierdził. – I co się stało z jego ubraniem.

– Geniusz – zakpił komisarz. – Dzięki Bogu, że was tutaj mamy.

Kamal się podniósł, ale nie zareagował na drwinę. Zamiast tego popatrzył w górę, szukając kamer, po czym sięgnął do kieszeni, wyjął wizytówkę i trzymając ją w dwóch palcach, podał policjantowi.

– Proszę mnie powiadomić, gdy się czegoś dowiecie. Wstrzymamy się ze składaniem meldunku, dopóki się nie odezwiecie. – Posłał mu znaczące spojrzenie.

Gliniarz zrozumiał i chwycił wizytówkę.

Kamal kiwnął głową na Taymoora i obaj odeszli.

– DASZ WIARĘ?! CO za kutas! – zrzędził Taymoor, jadąc nadrzecznym bulwarem na wschód. – Tak jakbyśmy nie mieli ważniejszych spraw na głowie – powiedział z pełnym wyższości uśmiechem.

Kamal spojrział na niego z boku, nachmurzony.

– Skończyłeś? Bo jak nie, to chętnie wrócę na piechotę.

Taymoor się roześmiał.

Prawdę mówiąc, Kamal nie cieszył się z wezwania do zwłok bardziej niż policjanci z ich obecności. To prawda, że wraz z Taymoorem mieli, jak to określił jego partner, ważniejsze sprawy na głowie. Powinni ścigać poważnych terrorystów, a nie zwykłych zabójców. Rozumiał też frustrację gliniarzy, jaką wywołało ich pojawienie się przy zwłokach. Jeśli doszło do morderstwa, bardzo niechętnie podzieliliby się tą sprawą z kimś innym, a to z tej prostej przyczyny, że takie przestępstwa w osmańskim Paryżu były rzadkością. Grożąca za nie według szariatu kara śmierci skutecznie odstraszała. Zdarzały się zbrodnie w afekcie czy honorowe zabójstwa dokonywane na kobietach przez spokrewnionych z nimi mężczyzn, którzy uznali, że ofiara zhańbiła rodzinę. Zazwyczaj były one skutkiem ucieczki z kochankiem bądź zajścia w nieślubną ciążę. Stały się jednak rzadkością w dużych miastach, gdzie podejście do tych spraw zmieniło się po tym, jak postępowy Murad V ustanowił prawo uznające taką karę za przestępstwo. Liczba honorowych zabójstw wzrosła znowu po tym, gdy jego następcą, Abdülhamid III, dał większą władzę imamom i cofnął wiele z reform Murada. Natomiast z dala od metropolii było tak, jakby reformy nigdy nie zostały wprowadzone. Powszechnie wyznawane motto „Mój koń, mój karabin i moja żona są święte” zostało może uaktualnione w ten sposób, że konia zastąpił samochód, ale poza tym wciąż było głęboko zakorzenione w patriarchalnych i plemiennych systemach społecznych wielu prowincji imperium.

Jednak tu nie chodziło o honorowe zabójstwo.

W sprawie znalezionych zwłok niewiele można było teraz zrobić. Nikt nie zgłosił zaginięcia. Kamal zadzwonił już do centrum nadzoru Hafiyę i polecił znajomemu starszemu analitykowi przejrzenie wszystkich zapisów monitoringu znad rzeki, zaczynając od dzisiejszego świtu, a cofając się – jeśli chodzi o obszar – o jeden *fersah*^[6] w górę rzeki od miejsca wyłowienia denata. Wiedział, że to może być pomocne. Służby bezpieczeństwa niemal każdego dnia montowały nowe kamery, tak że prawie nie było w mieście zakątka, który nie podlegałby ciągłej obserwacji.

Nadal trwał święty dzień wypoczynku, dlatego Kamal i Taymoor już wkrótce siedzieli na wybrukowanym tarasie *kahvehane* na lewym brzegu Sekwany. Dzielił ich stolik z rozłożoną rzeźbioną planszą do tryktraka i dzbankiem po miętowej lemoniadzie. Po obu stronach stolika stały dumnie fajki wodne zwane nargilami.

Wszędzie dokoła słychać było grzechotanie kostek do gry, bulgotanie wody i głośne rozmowy mężczyzn w różnym wieku, siedzących w kawiarni na krzesłach z giętego

bambusa i oddających się trzem z dawien dawna ulubionym rozrywkom. Pomędzy nimi przemykali kelnerzy w brudnych białych fartuchach, niebezpiecznie balansując maleńkimi filiżankami mocnej kawy, szklankami bardzo słodkiej arabskiej herbaty i szczypcami z rozżarzonymi węgielkami do fajek wodnych. Nigdzie nie było widać pań: ta kawiarnia nie miała wydzielonej „strefy rodzinnej”, gdzie kobiety mogłyby posiedzieć w swoim towarzystwie albo ze swoimi mężami, braćmi czy ojcami. Takich stref nie miała zresztą większość paryskich *kahvehane*.

– No, dalej – syknął Taymoor. – *Du shesh*.

Dwie szóstki. Trzymając w trzech palcach małe sześciiany z kości słoniowej, ucałował je i rzucił na ozdobną planszę.

Kostki się potoczyły, obróciły i znieruchomiały. Oczywiście pokazały się dwie szóstki.

– *Allez* – wychrypiał Taymoor, wymachując pięścią w powietrzu.

Co ciekawe, ludzie w całym imperium wciąż używali perskiego, mówiąc o wynikach rzutu kośćmi. Tradycja ta była tak stara, jak sama gra. Zwycięskie zawołanie Taymoora było zaś inną lingwistyczną anomalią, tym razem pamiątką po francuskiej przeszłości ejaletu.

Taymoor nie musiał nawet przesuwac żadnego ze swoich pionów. Jego zwycięstwem, statystycznie rzecz biorąc, nic już nie mogło zagrozić. Dla uczczenia go pociągnął solidnie z fajki, w której woda zabulgotała tak głośno, jakby chciała zakrzyczeć konkurencję, po czym rozparł się wygodnie na krzesle, szczerząc zęby.

– Masz dość? Czy jesteś dziś w wyjątkowo masochistycznym nastroju?

Kamal popatrzył na niego chmurnie i złożył obie części planszy, zatrzaszkując je jak połówki muszli.

– *Hasiktir* – zaklął. – Szło ci dzisiaj niemożliwie.

Taki wybuch przykuł uwagę wszystkich dokoła. Niesportowe zachowanie podczas gry w tryktraka było uważane za wielkie *faux pas* w osmańskich kręgach, ale tego wieczoru nikt nie zamierzał mieć im tego za złe.

– Proszę mu odpuścić, Taymoorze Ago – powiedział ze śmiechem mężczyzna przy sąsiednim stoliku. – Dziś obaj jesteście mistrzami. – Podniósł szklankę.

Inni goście kawiarni przyłączyli się do toastu.

Taymoor też uniósł szklankę, uśmiechnął się i skłonił głowę w podziękowaniu.

– Za naszych bohaterów! – zawołał głośno jowialny właściciel kawiarni, podchodząc nieśmiało z tacą, na której stały świeże napoje. – Jeszcze nigdy czegoś takiego nie próbowaliście, możecie mi wierzyć – powiedział, stawiając przed nimi dwie wysokie szklanki napoju zwanego *khoshâb* o smaku granatu i śliwki. – Zrobiłem specjalnie dla was z nutą bursztynu, piżma i mojego tajnego składnika. – Zamilkł na moment, po czym się nachylił, puścił oko i wyszeptał: – Wisterii.

Taymoor podziękował skinieniem głowy, a mężczyzna odszedł od stolika. Taymoor

zwrócił się do partnera:

– Przestaniesz wreszcie?

– Co?

– Spójrz na siebie. Siedzisz nadąsany w najważniejszym dniu naszego, co tam, do diabła, nie tylko naszego życia. Daj spokój, bracie. Ciesz się.

Pochylił się i mocno klepnął Kamala w ramię.

Kamal od niechcienia podniósł szklankę.

– Masz rację. – Pociągnął łyk.

Taymoor zmarszczył brwi.

– Twoja bratowa zaprzyjaźniła się z wrogiem państwa, czy tak? To jej problem, nie twój. Jest dorosła. Nic nie możesz zrobić.

Kamal pokiwał głową.

– Wiem, wiem.

– Musisz porozmawiać z Ramazanem – poradził mu Taymoor. – Powinien zrobić z nią porządek, zanim wpadnie w poważne tarapaty.

Kamal się zachnął.

– Zrobić z nią porządek? Żartujesz? Nisreen nikt nie jest w stanie do niczego zmusić. Nikt nigdy tego nie potrafił. Poza jej ojcem.

– To porozmawiaj z ojcem.

– To może być dosyć trudne, zważywszy, że od dwóch lat nie żyje.

Taymoor pociągnął znowu ze szklanki.

– Cóż, ktoś musi z nią pomówić. – Nachylił się, zniżając głos. – Nie chcę, żeby spotkały cię przez nią jakieś kłopoty.

– Mnie czy nas?

Taymoor popatrzył na niego krzywo.

– Jesteś niesprawiedliwy, bracie.

Twarz Kamala się wykrzywiła, wyrażając skruchę.

– Przepraszam. Rzecz w tym, że... dzieją się takie rzeczy, jakby coś nas wszystkich wciągało w jakieś kłopoty, nie uważasz?

To pytanie zaskoczyło Taymoora.

– O czym mówisz?

– O psycholach, którzy licząc na nagrodę z siedemdziesięciu dwóch dziewczyn, wysadzają się w powietrze? Tu można na mnie liczyć. Znaleźć ich i zlikwidować, wszystkich, co do jednego, pewnie, że tak. O wyrotowcach i anarchistach z Białej Róży, takich jak Azmi, spiskujących, by obalić Dywan? Trzeba ich powstrzymać, bez dwóch zdań. Ale reszta? Na ławie oskarżonych zasiada prezenter radiowy, a zarzuca mu się obrazę syna bejlerbeja, bo kwestionował jego poczynania na rynku

nieruchomości. Pewien profesor został zwolniony z uczelni za zorganizowanie seminarium na temat zalet energii słonecznej. Zamknęli nawet dwóch lalkarzy za „podburzanie do anarchii”, mówiąc w cudzysłowie, tylko dlatego, że w kukielkowym przedstawieniu powiązali zniesienie przez sułtana kontroli środowiskowej i posiadanie przez wielkiego wezyra wielkich fabryk z zanieczyszczeniem powietrza w mieście.

– Ta sprawa jeszcze nie jest zamknięta. Departament Środowiska wciąż ją bada.

– Chodzi o przedstawienie kukielkowe, bracie.

Taymoor wzruszył ramionami.

– To nie nasza działka. Zajmuje się tym Wydział Z. To ich zmartwienie.

– Gramy w tej samej drużynie.

– Naszym zadaniem jest łapanie zabójców. I to właśnie robimy. To nic skomplikowanego.

– No tak, ale... nie uważasz, że to się wymyka spod kontroli? Wydaje się, że ostatnio wszyscy mają coś na sumieniu. Ludzie boją się już myśleć.

– Może tak jest lepiej. – Przysunął się bliżej. – Niektóre myśli mogą być bardziej niebezpieczne od nafaszerowanych dynamitem kamizelek zamachowców. To wojna, bracie. Może nie w dawnym sensie tego słowa, ale jednak wojna. Jesteśmy atakowani ze wszystkich stron i grozi nam niebezpieczeństwo. I jeśli pozwolimy, żeby pojawiły się jakiegokolwiek spękania, wszystko może się zawalić.

W tej chwili telefon Taymoora zasygnalizował przyjście esemesa. Mężczyzna odebrał z szerokim uśmiechem.

– Ocaleni przez dzwonek. To zdecydowanie zbyt poważna rozmowa jak na dzisiaj, bracie. – Spojrzał na wyświetlacz i się uśmiechnął jeszcze szerzej.

– Gorąca randka? – spytał Kamal.

– Czy zechciałbyś powtórzyć to pytanie, nie ograniczając się do liczby pojedynczej?

Kamal podłapał grę i teatralnie przewrócił oczami, gdy jego partner wstawał.

– Spadam stąd – oznajmił Taymoor. – Zrób głęboki wdech i odpuść trochę, bracie. Bo jak nie, to będę musiał sobie znaleźć nowego partnera. – Posłał mu rozbawione, lecz znaczące spojrzenie.

Kamal skinął głową.

– Będę jak nowy. Jutro. Obiecuję.

– To dobrze. Do zobaczenia rano w Twierdzy. Masz być radosny jak skowronek. – Taymoor pogroził mu palcem i ruszył, przyjmując po drodze gratulacje, którym towarzyszyło poklepywanie po plecach. – Nie ma odpoczynku dla stróżów prawa: pamiętaj, złoczyńcy czekają.

OD POJAWIENIA SIĘ w szpitalu tajemniczego pacjenta do zachodu słońca i pory modlitwy maghrib było dość czasu na bezpieczne przygotowanie operacji.

Wciąż pozostawało jednak wiele niewiadomych, zwłaszcza dla Ramazana, który miał podawać narkozę. Mężczyzna nie posiadał żadnej kartoteki medycznej. Sytuacja wydawała się daleka od ideału, mogła nawet okazać się groźna, ale nie mieli wyjścia. Operacja – i to na otwartym sercu, nie jakiś tam prosty zabieg – była koniecznością. Po prostu będzie musiał zachować wyjątkową czujność i przyglądać się czynnościom życiowym uważnie jak jastrząb przez całą operację, czyli przez dobrych kilka godzin.

Ale łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić, biorąc pod uwagę kłębiące się w głowie Ramazana pytania dotyczące osobliwych tatuaży mężczyzny. Nigdy nie widział czegoś takiego, a kilka słów, które zdołał odczytać, obudziły w nim nadzwyczaj dręczącą ciekawość.

Byli na sali przedoperacyjnej i przygotowywali pacjenta. Jedna z pielęgniarek stała przy łóżku i zapisywała na karcie odczyty z monitorów, a Ramazan gromadził medykamenty, które miały trafić do kroplówki mężczyzny.

Podczas pracy wzrok Ramazana mimowolnie wędrował w stronę pacjenta i za każdym razem napotykał to samo zagadkowe harde spojrzenie. Było niezwykle i... niepokojące. Ludzie idący pod nóż zazwyczaj odznaczali się nerwowością. Mieli oddać swoje życie w ręce kogoś innego, powierzyć kontrolę nad swoim ciałem i umysłem zupełnie obcej osobie. Na domiar złego anestezjolog mógł być ostatnim człowiekiem, z jakim rozmawiali na tym świecie. Zwykle wywoływało to u nich nadmierną gadatliwość, przy czym najczęściej mówili o swoich lękach: Co, jeśli się nie obudzą? Albo, na dokładkę, co, jeśli obudzą się w trakcie operacji? Przeważnie pragnęli pocieszenia, którego Ramazan nie szczędził. A potem zajmował ich uwagę rozmową na codzienne tematy.

Ten pacjent nie potrzebował pocieszenia i raczej się nie denerwował. Jeśli już, to wydawał się przeczajony, zniecierpliwiony, czujny, skoncentrowany. Gotów do konfrontacji. A w dodatku tak deprymująco milcząco.

„Skąd się tu wziął i co przeżył?” – zastanawiał się Ramazan, choć nie był pewien, czy naprawdę chce się tego dowiedzieć.

– Czekają już na was – powiedziała Anbara, wchodząc do sali.

Ramazan skinął do niej głową i odwrócił się do pacjenta; zauważył, że po słowach

pielęgniarki serce mężczyzny przyspieszyło, co nie było niczym niezwykłym. Dziwne raczej było to, że aż do tej chwili mężczyzna wydawał się zupełnie niewzruszony.

– Podam panu teraz krótko działający środek uspokajający – powiedział Ramazan. – Potem przewieziemy pana na salę.

Miał właśnie wcisnąć do pojemnika kroplówki zawartość strzykawki, gdy pacjent nagle wyciągnął rękę i złapał go za nadgarstek. Przytrzymał tak mocno, że Ramazana zabolalo. Czy mężczyzny zwężyły się groźnie, drugą ręką odsunął na bok maskę tlenową, odsłaniając usta. Pacjent po raz pierwszy przemówił.

– Obyście tego nie spieprzyli, *hakim* – wyszczał cicho. – Lepiej się pilnujcie. Bo pan i cała reszta, wszyscy... wszyscy jesteście moimi dłużnikami. – W geście groźby skierował palec w twarz Ramazana. – Gdyby nie ja, nikogo z was by tu nie było. Nic z tego... nikt z was by w ogóle nie istniał, gdybym nie zrobił tego, co zrobiłem. Więc się postarajcie. Rozumie mnie pan?

Ramazan nie mógł złapać tchu. Stał przygwożdżony do podłogi. Wreszcie jego wolna ręka wróciła do życia; nacisnął tłok strzykawki, uwalniając środek usypiający – całą dawkę jednym ruchem. Lek szybko zadziałał i po kilku sekundach Ramazan poczuł, jak uchwyt mężczyzny słabnie. Uwolnił nadgarstek i starając się opanować nerwy, ułożył rękę pacjenta wzdłuż jego boku. Zerknął nerwowo na Anbarę i zobaczył, że zdumienie i przestrasz malują się również na jej twarzy.

Nie odezwała się. On także. Popatrzył tylko na nią przez chwilę, po czym powrócił wzrokiem do pacjenta.

Mężczyzna nadal lustrował go spojrzeniem, ale już łagodniejszym

– Proszę się o nic nie martwić – powiedział do niego Ramazan, starając się, by w głosie nie było słyhać, jak jest poruszony tym, co się stało. – Razem z narkozą podam panu środek przeciwbólowy i *inszallah*, jeśli taka będzie wola Boga, zanim pan się spostrzeże, będzie po wszystkim.

Powieki mężczyzny opadły i trudno mu je było na powrót otworzyć. Jego wargi wykrzywiły się w niepokojącym półuśmiechu.

– Postarajcie się, *hakim* – wymamrotał niewyraźnie. – Jesteście moimi dłużnikami. Wszyscy. Nawet sułtan. On wie.

Nawet w tym półprzytomnym stanie zmarszczenie brwi mężczyzny mogło wytrącić z równowagi. Po chwili jego słowa zmieniły się w ciche mamrotanie i zapadł w sen.

Gdy Anbara zakładała mu z powrotem maskę tlenową, jego powieki zdrząły. Podniosła wzrok na Ramazana, a na jej twarzy malowała się doprawiona strachem niepewność.

– Zawieźmy go – powiedział doktor.

PRZEZ CAŁĄ OPERACJĘ Ramazan poruszał się jak we mgle.

Fonseca dokonał wymiany zastawki spokojnie i fachowo, tak jak niezliczoną ilość razy wcześniej. Ramazan jednak musiał bardzo się starać, żeby zachować skupienie. Spokoju ciągle nie dawał mu dziwny wybuch nieznanego.

Nie wspominał o nim Fonsece. Zrobiłby to, rzecz jasna, ale nie chciał go denerwować przed samą operacją. Potrzebował też czasu, żeby samemu wszystko przemyśleć.

Ramazan jako doświadczony anestezjolog wiedział, że ludzka natura często ujawnia się pod wpływem silnych środków uspokajających, a zwłaszcza pod wpływem narkozy. Widział to przed operacjami, gdy pacjenci z wolna tracili przytomność, a jeszcze częściej po zabiegach, gdy trzeba było wielu godzin, aby organizm pozbył się leku. W tej strefie cienia pomiędzy przytomnością a nieprzytomnością odsłaniały się naturalne skłonności i prawdziwy temperament. Mili, spokojni ludzie zaczynali chichotać; osoby skłonne do agresji okazywały wrogość. Dzieci budziły się z płaczem, wzywając mamę. Czasem była też wyjawiana prawda o jakichś wydarzeniach, najczęściej takich, które odcisnęły piętno na ciele bądź duszy: o niechcianych ciążyach, o raku, o przemocy fizycznej. Ludzie, którzy wcześniej zachowywali zimną krew, zaczynali przyznawać się do strachu przed tym, że mogą się już nie obudzić; inni wyjawiali tajemnice jak na spowiedzi, być może szukając rozgrzeszenia przed możliwym spotkaniem ze śmiercią.

Gdy środki zupełnie przestały działać, pacjenci zwykle nie pamiętali, co mówili.

Tym razem, niezależnie od tego, jak absurdalnie i bezsensownie brzmiały słowa nieznanego, Ramazan czuł, że są dziwnie autentyczne. Dręczyło go poczucie, że mężczyzna absolutnie wierzył w to, co mówił. A mogło to oznaczać tylko tyle, że cierpiał na jakąś chorobę psychiczną. Był wariatem.

Jednak nie chodziło tylko o to, co powiedział. Znacznie bardziej niepokojący był sposób, w jaki to zrobił.

Mówił bardzo dziwnym dialektem. Ramazan nie potrafił go umiejscowić. Nie była to lokalna odmiana tureckiego, do jakiej był przyzwyczajony – języka, który zastąpił francuski jako lingua franca całego regionu i w ciągu wieków nasycił się mnóstwem francuskich słów. Nieznajomy posługiwał się osmańskotureckim, skomplikowanym językiem władców, którego użycie ograniczało się teraz do ważnych dokumentów, prac naukowych i pretensjonalnych rozmów bardzo wykształconej elity. Ramazan rzadko słyszał go w zwyczajnych rozmowach. Zresztą wiedział, że nie jest to też normalny osmańskoturecki: składnia i słownictwo mężczyzny były dosyć osobliwe, a sposób jego mówienia sztywny i oficjalny. Ramazan uważał się za bywałego w świecie, podróżował nawet do Stambułu i Kairu, ale jeszcze nigdy nie słyszał, aby gdzieś mówiono w ten sposób. Mowa nieznanego była absolutnie niezwykła i przypominała Ramazanowi stare, klasyczne teksty, które czytał na studiach.

A do tego wszystkiego te zrobione w lustrzanym odbiciu tatuaże.

Ramazan był zaintrygowany i nic nie mógł na to poradzić. Często słyszał, że

zdarza mu się ulegać obsesjom – Nisreen podśmiewała się z niego z tego powodu, mówili mu o tym ojciec i brat w czasach, gdy jeszcze łączyły ich bliższe stosunki – ale w jego wymagającym dokładności zawodzie było to dość powszechne. Koledzy ze szpitala często żartowali z dziesięciominutowego rytuału, jaki odprawiał przed każdym założeniem kaniuli. Czy ulegał obsesjom czy nie, jego wzrok wędrował do tatuaży przez całą operację, która ostatecznie zakończyła się po prawie pięciu godzinach. Choć pielęgniarki ogoliły pierś mężczyzny, Ramazan tak naprawdę niewiele mógł zobaczyć. Klatka piersiowa została otwarta, a skóra była odciągnięta na boki i zasłaniały ją hak chirurgiczny, pojemnik ze środkiem antyseptycznym i chusta.

Widząc, że Fonseca skończył zszywać mężczyznę, Ramazan ograniczył ilość podstawowego anestetyku. Pacjent oczywiście miał pozostać zaintubowany i pod wpływem środków nasennych. Dyskomfort spowodowany obecnością rurki intubacyjnej w gardle i samo przebywanie na oddziale intensywnej opieki byłyby równie nieprzyjemne jak sama operacja. Dopiero po kilku godzinach mógł zacząć wybudzać pacjenta – po ilu dokładnie, tego nie wiedział, bo każdy przypadek był inny. Choć podczas operacji nie pojawiły się żadne komplikacje, to biorąc pod uwagę wiek i stan mężczyzny, Ramazan uznał, że nie odzyska on przytomności przed upływem pięciu, sześciu godzin.

Fonseca wyszedł z sali operacyjnej, pozostawiając nieznanego i jego wybudzenie w rękach anestezjologa. Zanim pacjent wreszcie trafił na OIOM dla mężczyzn, zrobiło się późno i Ramazan był wykończony. Powinien iść do domu.

Ale nie mógł opuścić szpitala. Jeszcze nie.

Nie potrafił oprzeć się pragnieniu dowiedzenia się czegoś więcej, pomimo głosu ostrzegającego w jego głowie, żeby trzymał się od tego pacjenta z daleka.

Musiał popatrzeć jeszcze ten jeden raz.

Ramazan przyglądał się spokojnie, jak pielęgniarki podłączają pacjenta do różnych monitorów i kroplówek, a potem przypinają mu pasami ręce do łóżka, żeby nie wyrwał sobie rurki intubacyjnej. Powinien dać znać Nisreen, że wróci do domu później, niż zakładał. Nie chciał ryzykować, że ją obudzi, dlatego wyjął komórkę i wysłał esemes. Odpisała natychmiast, że kładzie się do łóżka. Napisał „Dobranoc”, a w odpowiedzi dostał tylko ب – skrót oznaczający bawsa, czyli całusa, symbol powszechnie używany w całym Imperium Osmańskim, odpowiednik wywodzącego się z chrześcijaństwa x, stosowanego w obu Amerykach. Nie była to szczególnie namiętna rozmowa, ale też Ramazan nie spodziewał się, że po wydarzeniach mijającego dnia jego żona będzie w dobrym nastroju. A w ich małżeństwie od dawna już brakowało namiętności, której zresztą nigdy nie było za wiele. Ale przynajmniej wciąż byli razem.

Opuścił OIOM i zrobił sobie filiżankę mocnej kawy. Kiedy wrócił do pacjenta, ostatnia z pielęgniarek właśnie wychodziła. Skinął do niej, gdy go mijała, po czym

zbliżył się do łóżka, czując narastający niepokój.

Nieznajomy wciąż był nieprzytomny.

Ramazan stał przez dłuższą chwilę, znużony i oziębiały, nie bardzo wiedząc, co tam właściwie robi; ciche pikanie sprzętu i bulgotanie respiratora zdawały się wprawiać go w coraz głębszy trans. Ocknął się wreszcie, wyciągnął niepewnie rękę i palcami odsunął koc oraz szpitalną koszulę, żeby odsłonić pierś mężczyzny.

Pacjent miał szeroki bandaż pośrodku klatki piersiowej, w miejscu, gdzie wykonano pionowe nacięcie, ale część tatuaży nad nim i pod nim pozostała widoczna.

Ramazan wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany. Po chwili obejrzał się przez ramię, by się upewnić, że nikt nie nadchodzi, i wyciągnął telefon. Zrobił kilka szybkich zdjęć tatuaży. Sfotografował też twarz mężczyzny, choć nie wiedział do końca dlaczego. Schował telefon i przykrył pacjenta.

Postał jeszcze przez chwilę, przyglądając się nieznajomemu. Zastanawiał się, co go tak do niego ciągnie. Wreszcie wyrwał się spod jego uroku, wyszedł z pokoju i ruszył do domu.

Po ODEJŚCIU TAYMOORA Kamal również postanowił udać się do domu i w końcu dotarł do małej kawalerki na najwyższym piętrze budynku trzy przecznice na wschód od Halles Bazaar. Wypełniały ją teraz opary o miodowo-jabłkowym zapachu dobywające się z nargili, zapachy zimnego *raki* i pizzy na wynos – najnowszej mody rodem z ejaletu neapolitańskiego, opanowującej ostatnio miasto – i dźwięki nijakiej, eskapistycznej telewizji.

Choć Kamala nie można było nazwać duszą towarzystwa, to nie zawsze był takim odludkiem jak teraz. Mieszkał sam, co akurat było normalne, skoro nie był żonaty. Mieszkanie z osobą płci przeciwnej w osmańskim społeczeństwie oczywiście nie wchodziło w grę, zważywszy na surowe ograniczenia, jakie na relacje damsko-męskie nakładała tradycja. Randki były zabronione; niezamężne kobiety i niezonaci mężczyźni mogli się spotykać, ale na krótko, zawsze w towarzystwie przyzwoitek i wyłącznie z myślą o ślubie. Nawet reformy Murada nie zdołały uelastyczyć tych sztywnych zasad. Chociaż, rzecz jasna, ludzkiego pożądania nie dało się do końca ujarzmić. Kobiety i mężczyźni znajdowali sposoby i spotykali się potajemnie pomimo związanego z tym ryzyka. W takich sytuacjach kobietom bardzo przydawał się kwef, za którym mogły się ukryć.

Jakby mało było ograniczeń wynikających z życia w pojedynkę, ostatnio sprawy się skomplikowały jeszcze bardziej, utrudniając Kamalowi przebywanie w towarzystwie pewnych osób. Ludzie stawali się bardziej drażliwi, bardziej strachliwi i coraz bardziej się polaryzowali. Z powodu pracy, którą wykonywał, nawet najbliżsi przyjaciele i rodzina nie czuli się w jego towarzystwie swobodnie. Dla wielu z nich był bohaterem i obrońcą – zwłaszcza po ostatnich aresztowaniach – ale dla innych stał się pariasem, mimo że służył w jednostce antyterrorystycznej, a nie w budzącym strach Wydziale Z, zajmującym się bezpieczeństwem wewnętrznym. Zazwyczaj zbyt szybko się tym nie przejmował; postrzegał ich lęk przed sobą jako chybioną paranoję. Nie dawało mu jednak spokoju – powodując udrękę, jakiej dotąd nie znał – to, że do owej trwożliwej grupy zaliczali się jego brat Ramazan i żona Ramazana, Nisreen.

Cóż warte były wszystkie zaszczyty tego świata, kiedy ci, których kochał najbardziej, tak bardzo się od niego odsunęli?

Gdy kilka tygodni temu kolejna sprzeczka sprowadziła się do raniących słów, przestali go do siebie zapraszać, a nawet z nim rozmawiać. Nie widział brata,

bratowej ani ich dzieci, które tak bardzo kochał, od... ile to już minęło? Nie pamiętał. To był jakiś... obłąd. Przecież narażał się na niebezpieczeństwo, żeby chronić ich i styl życia, jakie prowadzili. Jak mogli tego nie widzieć?

Taymoor miał rację. A oni się mylili. Nisreen kiepsko dobierała przyjaciół. Ostatecznie Azmi okazał się zdrajcą, członkiem Białej Róży. Powinna była wiedzieć, że lepiej się z nim nie zadawać. I tyle.

Jeszcze się opamiętają. Muszą.

A jednak... Ramazan i Nisreen nie byli głupcami. W żadnym razie. Zastanawiał się, dlaczego tak bardzo się pomylili.

Jak na ironię w rozpoczynających się właśnie wiadomościach jako pierwszą wyemitowano relację ze straceń przeprowadzonych tego poranka. Kamal sięgnął po pilota, zmienił kanał i natrafił na identyczny materiał. Na trzecim kanale znalazł to samo. Wyłączył telewizor i zaciągnął się głęboko parą z fajki, po czym wyjrzał przez otwarte drzwi balkonowe. Późnowieczorne niebo kąpało się w purpurach i różach, tchnęło spokojem, obojętne na jego kiepskie samopoczucie.

Kiedyś było inaczej.

Jako dziecko Kamal zdążył poznać subtelniejszy świat. Oczywiście zimna wojna z CRA – Chrześcijańską Republiką Ameryki – zawsze wisiała w powietrzu, ale jej groźba nigdy nie była tak realna jak teraz. A ogień potencjalnej wielkiej wojny z Rosją tlił się tylko lekko, mimo że car wykorzystywał każdą okazję, by mleć językiem o wdzieraniu się islamu na prawosławne ziemie, nie bacząc na to, jak dobrze Murad V traktował słowiańskie ludy żyjące pod jego panowaniem na Bałkanach.

Ale panowały pokój i dobrobyt: dawno już podporządkowawszy sobie swoich perskich przeciwników i podbiwszy Arabię, Osmanowie kontrolowali największe zasoby ropy naftowej na całej planecie. A mając w zasadzie globalny monopol na jej dostawy – przy niskich kosztach wydobycia tego surowca – od ponad stulecia skutecznie hamowali zapędy swoich wrogów.

Pod oświeconym przywództwem poprzedniego sułtana imperium kwitło. Ambicją Murada był postęp. Jako niestrudzony reformator opowiadał się za społeczną, ekonomiczną, kulturalną, a nawet religijną transformacją imperium i niewiele brakowało, a wprowadziłby także reformy polityczne. Ostrożnie, ale zauważalnie zwiększał też dostępność edukacji, dbał o prawa kobiet i warunki życia ubogich, wspierał sztukę. Murad czuwał także nad rozwojem i dostępnością w całym imperium Internetu, wynalazku, który miał swoje początki w laboratorium uniwersytetu stambulskiego, a którego wielce purytańscy Amerykanie wciąż nie mieli ochoty zaakceptować.

Wprowadził imperium na drogę ku bardziej sprawiedliwej, świetlanej przyszłości. Ale droga ta okazała się pełna zasadzek. Zniesienie części ograniczeń wolności słowa w połączeniu z możliwością nawiązywania kontaktów, jaką dawał Internet, sprawiło, że zaczęły się szerzyć nowe, radykalne idee. Murad wypuścił dzina z butelki i musiał

dopilnować, by ten nie zdominował jego samego i jego rządów. Musiał też uważać, by żadna publiczna debata nad reformami nie wywołała niepokojów społecznych, gdyż sprzeciw wobec reform i ich zwolenników był głęboko zakorzeniony w religijnym establishmentie, nad którym nie dawało się łatwo zapanować.

Przez jakiś czas Muradowi udawało się utrzymywać porządek i stabilność oraz bronić *hayba* – rangi i prestiżu – swojego imperium bez konieczności uciekania się do środków nadmiernego przymusu. Jednak z dala od stolicy, w odległym zakątku imperium, w ejalecie Ad-Dirijja na Półwyspie Arabskim droga reform okazała się znacznie bardziej wyboista.

Tam tłące się od dłuższego czasu niezadowolenie islamskich fundamentalistów zapłonęło ogniem prawdziwej rebelii.

To niezadowolenie zrodziło się już trzy wieki wcześniej, gdy Saud ibn Muhammad ibn Muqrin, emir Al Dirijji, zaczął głośno krytykować Osmanów, którzy podbili jego ziemie. Uważał Mehmeda IV, panującego wówczas sułtana, za niegodnego pozycji kalifa – przywódcy muzułmanów na całym świecie i obrońcy wiary. Ostatecznie większość Osmanów nie znała nawet arabskiego, języka Koranu, a wiele elementów ich kultury i codziennego życia klóciło się z nauczaniem ortodoksyjnego islamu. Co więcej, żaden sułtan nigdy nie odbył hadżdżu, pielgrzymki do Mekki, co było świętym obowiązkiem każdego muzułmanina. Saud postanowił wyzwolić swoją ojczyznę spod wpływów Osmanów i uwolnić ją od – jak mawiał – heretyckich osmańskich zwyczajów. Sułtan, który uważał się za cień Boga na ziemi, wpadł w szal. Krótco po zdobyciu Wiednia, Rzymu i reszty zachodniej Europy posłał swoich egipskich wasali, by zawładnęli półwyspem, a Sauda i kilku z jego salafickich uczonych, przede wszystkim nauczyciela znanego jako Abd al-Wahhab, kazał publicznie zgromić i upokorzyć, a następnie ściąć.

Trzysta lat później idee Sauda wypłynęły ze zwielokrotnioną siłą. Potomkowie Abd al-Wahhaba powstali przeciwko reformom Murada, żarliwie wierząc, że odrywają one imperium od jego islamskich korzeni, z tym że w obecnych czasach obrali zupełnie inną taktykę. Uzbrojeni napastnicy i zamachowcy samobójcy zaczęli uderzać w przypadkowe cele w całym imperium. Aż w końcu zaatakowali sam Sambuł: porwali samolot pasażerski i wlecieli nim w pałac Topkapi.

Sułtan wybrał się tego ranka na nieplanowane polowanie, ale zginęło przeszło dwustu jego poddanych.

Murad zareagował brutalnie. Podobnie jak jego przodek, wysłał egipskie wojsko, tym razem wspomagane nalotami powietrznymi i dronami, by ujarzmić rebeliantów. Wojsko napotkało silny opór, zginęła ogromna liczba cywili, ale ostatecznie odtrąbiono sukces kampanii, mimo że sporadyczne ataki fanatyków wciąż się zdarzały.

Atak przy użyciu samolotu odbił się echem także w pewnym spokojnym domu – domu rodzinnym Kamala w Paryżu. To właśnie wtedy Kamal, mając osiemnaście lat,

po ukończeniu szkoły postanowił wstąpić do akademii wojskowej w Poitiers, a nie tak jak jego starszy brat – na uniwersytet.

Nigdy nie był typem naukowca. Zawsze bardziej polegał na instynkcie, a myśl o obronie własnej rodziny i rodaków była tak kusząca, że nie zdołał się jej oprzeć. Zanim jednak ukończył akademię i podjął służbę w wydziale przeciwdziałania terroryzmowi tajnej policji Hafiye, wszystko się zmieniło.

Po czterech dekadach godnego panowania Murada V w wieku siedemdziesięciu jeden lat pokonał tętniak mózgu.

Abdülhamid III, drażliwy tyran, który objął po nim tron, okazał się przeciwieństwem swojego ojca.

Okrutny pech chciał, że w tym samym czasie Amerykę ogarnęła energetyczna rewolucja, dusząc osmańską kurę znoszącą złote jajka i niemal z dnia na dzień wywracając do góry nogami całą gospodarkę.

Kamala irytowało to, że naród, z którego Osmanowie od wieków szydzili, bo taki był zacofany i rasistowski – w CRA było miejsce wyłącznie dla białych chrześcijan – sprawił, że usunął im się w gospodarce grunt pod nogami. Ale prawda była taka, że amerykańska alternatywa dla ropy nie powinna była uderzyć w Osmanów aż tak mocno. Ostatecznie ich elekcyjny władca Elijah Huntington publicznie ogłosił swoje zamiary w tej sprawie na długo przed tym, jak udało mu się je zrealizować.

Już dekadę wcześniej Huntington stwierdził, że zaspokojenie potrzeb energetycznych jego narodu nie może i nie będzie zależeć od obcego mocarstwa, zwłaszcza muzułmańskiego. Oświadczył, że Ameryka musi wynaleźć alternatywne źródło energii, takie, które sama będzie w stanie wyprodukować. Oznajmił także, że ma ono być nieszkodliwe dla środowiska. Jego wizja została ukształtowana nie tylko jako wynik strategicznej dalekowzroczności, ale i przez wiarę. Jako oddany sługa Chrystusa i gorliwy zwolennik odwiecznej purytańskiej tradycji, stanowiącej drogowskaz dla jego panowania, żarliwie wierzył, że uczynienie wszystkiego, co w jego mocy, by chronić będącą dziełem Boga planetę, jest jego świętym obowiązkiem.

Płomienne przemowy Huntingтона elektryzowały opinię publiczną; wysocy urzędnicy i przedstawiciele wielkich przedsiębiorstw, pomimo silnego lobbingu branży górniczej i samochodowej, nie mieli wyjścia i musieli pójść za przykładem swego przywódcy. Największe umysły obu Ameryk przystąpiły do pracy i w niecałą dekadę przeobraziły jego wizję czystej energii w rzeczywistość: farmy wiatrowe, generatory pozyskujące energię z fal oceanicznych i promieni słonecznych stały się głównymi źródłami energii dla całej chrześcijańskiej nacji. Podczas gdy Imperium Osmańskie uparcie trwało przy wykorzystywaniu paliw kopalnych, Amerykanie, mając na celu osłabienie swoich muzułmańskich rywali, agresywnie promowali nowe technologie na Dalekim Wschodzie i w Afryce, których mieszkańcy z radością przyłączyli się do rewolucji.

Cena ropy – głównego źródła przychodów imperium – spadła błyskawicznie ze stu kuruszy do obecnych dziesięciu.

Dla imperium była to bolesna strata. Bardzo bolesna.

W czasach takiego kryzysu Osmanom przydałby się mądry, szlachetny przywódca, ktoś o spokojnym temperamencie, ktoś, kto potrafiłby rozsądnie myśleć. Ktoś taki jak Murad V. On jednak nie żył, a Abdülhamid III nie był ani spokojny, ani rozsądny.

Nowy sułtan miał czterdzieści sześć lat, gdy objął władzę po śmierci ojca. Nie został wybrany do rządzenia, nie był też najstarszym synem sułtana. Sukcesja w Imperium Osmańskim nadal opierała się na wielowiekowej tradycji, według której nie było jednego wyznaczonego następcy tronu. Liczni synowie sułtana, bracia rodzeni i przyrodni, synowie niezliczonych chrześcijańskich niewolnic, które nie mogły poślubić władcy, musieli walczyć o tron. Ten, który zwyciężył, nakazywał wymordowanie swoich rywali – braci, kuzynów, stryjów, wszystkich mężczyzn, którzy mogli zgłosić pretensje do tronu. Według „prawa bratobójstwa” władzę dziedziczyli tylko najbardziej bezwzględni z książąt.

Abdülhamid miał, niestety, niewiele do zaoferowania imperium poza narcystycznym pragnieniem władzy. Kierowały nim wybujałe ponad wszelką miarę ego i wybuchowy temperament, a jako nieciekawy świata człowiek o wąskich horyzontach nie posiadał cech, które pozwoliłyby mu się zmierzyć z ekonomicznym tsunami wywołanym wizją Huntingtona.

Przy spadającym gwałtownie kursie waluty imperium, stojąc w obliczu gospodarczej zapaści, Abdülhamid wraz ze swoim złożonym z wyrachowanych pochlebców gabinetem podjął kroki, które mocno uderzyły w społeczeństwo. Podniesiono podatki, choć ku wyraźnemu niezadowoleniu opinii publicznej *askeri*, uprzywilejowana klasa rządząca złożona z duchownych, wojskowych i urzędników państwowych, wciąż była z nich zwolniona. Wydatki publiczne, zwłaszcza na edukację i opiekę zdrowotną, były ciągle obcinane. Galopowała inflacja. Środki publiczne imperium się kurczyły i trafiały głównie do Stambułu, gdzie były przeznaczane na funkcjonowanie pałacu sułtana wraz z otoczeniem i przejadane przez manipulujących rosnącymi cenami jego koleśi.

Co nieuniknione, w społeczeństwie zaczęło wzrastać niezadowolenie.

Jego widzialnymi przejawami były zamieszki i demonstracje, szybko tłumione przez władze, które uciekały się do przemocy i masowych aresztowań.

Inna reakcja na kryzys gospodarczy była znacznie bardziej podstępna i trudniejsza do zdławienia – zaczęto podawać w wątpliwość sens władzy absolutnej.

Zainspirowani powszechnym niezadowoleniem intelektualności w całym imperium, a w szczególności w jego oddalonej od Stambułu prowincji – obejmującej niegdysiejsze królestwo Francji z dawną stolicą kultury i sztuki, Paryżem – zaczęli szukać alternatywy dla istniejącego od wieków status quo. Szepty rozbrzmiewały coraz głośniejsze. Radykalne idee nie były już wyrażane tylko w prywatnych rozmowach;

pytania, o których wcześniej strach było pomyśleć, przenikały do gazet, a nawet do audycji w radiu i telewizji.

Państwo przeprowadziło kontratak.

Nadzór, wspomagany i wspierany przez obejmujący wszystkich System Wiarygodności Społecznej, przybrał niespotykane dotąd rozmiary i dotyczył każdego. Stacje radiowe i telewizyjne zostały znacjonalizowane i podlegały kontroli Najwyższej Rady Radiofonii i Telewizji. Gazety kwestionujące działania państwa szkalowano, zwalniano z nich najlepszych dziennikarzy, a na koniec oddawano w zarząd ludziom, do których władza miała zaufanie. Profesorowie uniwersyteccy i prawnicy masowo tracili pracę.

Jeszcze w czasach, gdy Kamal był studentem akademii w Poitiers, ci, którym starczało odwagi, by podjąć ryzyko i skrytykować Dywan bądź rządzącą elitę, mogli się spodziewać wysokiej kary pieniężnej, biczowania albo krótkiego pobytu w areszcie. Te czasy dawno minęły. Więzienia były pełne „wrogów państwa”, a ich rodzinom nie udzielano żadnych informacji, bo wszelkie zarzuty z artykułu 275 osmańskiego kodeksu karnego – tego, który traktował o zdradzie – były tajne.

Kamal tkwił w tym po uszy. Jako patriota i wierny poddany sułtana miał obowiązek strzec swego kraju przed wszelkimi zagrożeniami, a było pewne, że kraj znajduje się w niebezpieczeństwie. Wiedział, że konieczne jest podjęcie ekstremalnych kroków. Ale coraz większa liczba osób, których opinie cenił – z Nisreen i jego bratem na czele – była innego zdania. Dla nich te ekstremalne środki stanowiły jedynie cyniczną zagrywkę; Abdülhamid i jego skorumpowani wezyrowie wykorzystywali widmo islamistycznego terroryzmu, by zatrzeć granice pomiędzy ekstremizmem a odmiennością poglądów, piętnując wszystko, co zagrażało ich rządowi, jako „ideologiczną działalność wywrotową” i zdradę.

Kamal zaciągnął się mocno dymem z nargili i czując, jak jej kojące działanie ogarnia najciemniejsze zakamarki jego umysłu, cofnął się myślą do chwili, gdy podczas rozmowy telefonicznej kilka tygodni wcześniej dyskutował o tym ze swoim ojcem. Ojciec Kamala i Ramazana, z zawodu lekarz weterynarii, przeniósł się z Paryża do Périgord i został hodowcą drobiu po tym, jak przed siedmioma laty błyskawicznie postępujący rak zabrał mu żonę. Był poważnym przedstawicielem starszego, konserwatywnego pokolenia, skłonного bardziej bezkrytycznie popierać politykę sułtana. Przypominał Kamalowi o jego obowiązku zapewnienia bezpieczeństwa innym poddanym imperium, a także o służbie sułtanowi i Bogu. Oprócz tej rozmowy Kamal czerpał też pociechę z doktryny, jaką wpojono mu w akademii, tej, którą przełożeni głośno przypominali, odkąd zaczęły się niepokoje: obywatele nie mają prawa powstawać przeciwko rządzącym, bo cywilizacja jest owocem społecznego i politycznego konsensusu, a ciągłe podważanie jej tradycji prowadzi nieuchronnie do anarchii.

Nie istniało zaś nic gorszego niż anarchia.

Pukanie do drzwi mieszkania dotarło do świadomości Kamala dopiero po chwili.

Nie było głośne, raczej ukradkowe – dwa krótkie stuknięcia. Brzmiało znajomo. Spojrzał na zegarek. Było dobrze po dziesiątej. Zastanawiał się, czy otworzyć, gdy stukanie rozbrzmiało ponownie, wtedy wstał z wielkiej poduchy na podłodze, podszedł do drzwi i je otworzył.

Leyla się wślizgnęła, cicho zamknęła za sobą drzwi i stała oparta o ścianę, a z jej oczu i ust biło podniecenie.

Kamal przyglądał się jej niepewnie.

– Leylo, dzisiaj to nie jest...

Szybko go uciszyła, zdecydowanie przykładając mu do warg palec z wymanikiowanym paznokciem.

– Nie bądź niemądry. Przyszłam do ciebie. Mój bohaterze. – Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Nie... – zaczęła, lecz ona się przysunęła i go pocałowała.

– Wszyscy śpią. Bardzo, bardzo mocno.

Mieszkała z rodzicami i młodszym bratem dwa piętra niżej.

W społeczeństwie, które wciąż krępowały restrykcyjne ograniczenia szariatu, jej obecność w mieszkaniu Kamala wiązała się dla nich obojga z wielkim niebezpieczeństwem – ale była też bardzo kusząca.

Trudno powiedzieć, co było bardziej prowokujące: jej twarz czy jej ciało. Kamal dobrze je poznał przy różnych okazjach, zawsze z jej inicjatywy. Była młoda – ledwo skończyła dwadzieścia lat – i nieujarzmiona, a przy tym cechowały ją odwaga i zuchwałość, które zdawały się nie mieć granic. Jak wiele innych młodych kobiet w jej świecie Leyla wiedziała, jak omijać surowe ograniczenia dyktujące, co można robić, gdzie chodzić i z kim się spotykać, i była zdecydowana jak najlepiej tę wiedzę wykorzystywać. Wkrótce miała poślubić starszego od siebie mężczyznę, mającego jubilera, z którym widziała się dwa razy w towarzystwie przyzwoitki i z kwefem na twarzy. Te dwa spotkania wystarczyły, by odniosła nieodparte wrażenie, iż jej przyszły mąż bardziej interesuje się mężczyznami niż kobietami, ale wiedziała, że będzie mógł jej zapewnić warunki, na jakie nigdy nie byłoby stać jej rodziców. Czekano ją luksusowe, wygodne życie i choć wolałaby je spędzić z Kamalem, to on od początku ich romansu zastrzegł, że małżeństwo nie wchodzi w grę.

Pokręcił lekko głową i się zaśmiał, lecz ona go uciszyła, znowu przykładając mu palec do ust i przesuwając nim kusząco od lewa do prawa, jednocześnie karcąc go i podniecając. Głowę pochyliła lekko do przodu i wabiąco podniosła na niego swe ciemne oczy, rozchylając lekko pełne, wilgotne i nęcące wargi. I przy wtórze łomotu galopujących serc początkowo niemile odebrane przez Kamala najście wzbudziło w nim nieposkromiony, wilczy głód.

Złapał jej dłoń i odepchnął, a uwolnione wargi przyłożył do jej warg i mocno ją

pocałował. Ciało Leyli wygięło się w łuk, by znaleźć się bliżej niego, a usta się rozkoszowały obecnością jego języka, gdy napierał na nią i przyszpilał do ściany, dłońmi przytrzymując jej twarz, by móc się nią karmić jak wygłodniałe zwierzę. Po chwili opuścił dłonie i przesunął po jej ciele w dół, odnajdując i obejmując krągłości, naciskając w najczulszych punktach, podczas gdy jej przyspieszony oddech sterował jego palcami, jakby był pociągana za sznurki marionetką. Wreszcie, miotając się jak szalenciec, ściągnął ubranie i z niej, i z siebie, chwycił ją od dołu za uda, podniósł tak, by oplotła go nogami, i w nią wszedł.

Osunęli się na podłogę, gdzie Kamal zatracił się w gorączce nagłego pożądania, wzmaganego stale jej urywanym oddechem. Jedną ręką zasłonił jej usta, by zdławić jęki, wzrok wbił w wykrzywioną rozkoszą twarz, ale wcale jej nie widział, bo każdy desperacki ruch w niej był jak smagnięcie biczem, które miało zatrzeć w jego pamięci oskarżające spojrzenia tamtych oczu, które go prześladowały.

One jednak nie odpuszczały – ani spojrzenie Nisreen, które Kamal widział u każdej z kobiet na trybunie, ani nieruchome oczy jej przyjaciela Azmiego, przewiercające go na wylot w ostatnich chwilach przed śmiercią.

Towarzyszyły mu jeszcze długo po wyjściu Leyli. Nie pomogła nawet kolejna spora szklaneczka *raki*. Co gorsza, myśli prowadziły go w głąb niewyobrażalnej dotąd otchłani: w jego głowie pojawiły się wątpliwości, czy dobrze wybrał zawód.

Patrząc na rysujące się na tle nieba, pogrążone we śnie kopuły i minarety, zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej, gdyby podążył ścieżką jakiejś mniej wojowniczej kariery, tak jak chociażby jego brat, zwyczajny ojciec rodziny, który w spokoju wykonywał swoją pracę, a w piątki budował modele pociągów. Ramazan też ratował ludziom życie, ale na niego nikt nie patrzył jak na potwora.

W dodatku miał u swego boku Nisreen.

Gdy chodzi o Kamala, akurat to, bardziej niż cokolwiek innego, uzasadniłoby wybór jakiegokolwiek innego zawodu.

Ale było już za późno, aby cokolwiek z tym zrobić, i on o tym dobrze wiedział.

SIEDEM PRZECZNIC na północ od kawalerki Kamala Ramazan starał się jak najciszej otworzyć drzwi, by wreszcie znaleźć się w domu.

Mieszkanie jego rodziny mieściło się na piątym piętrze dziewiętnastowiecznej kamienicy w mahale Mahmuda Paszy, jednej z dzielnic mieszkalnych Paryża, dogodnie ulokowanej zaledwie o rzut kamieniem od alei Bekri Mustafy i tętniących tam życiem bazarów.

Było późno i przy wejściu paliła się tylko stojąca na konsolce w przedpokoju słaba lampka.

Odstawił torbę, zsunął buty, potem zdjął płaszcz i rozwiązał turban. Jak zawsze, gdy zdarzyło mu się późno wrócić, pierwsze kroki skierował do pokoju dzieci. Spały mocno w typowych dla siebie pozycjach: Tarek, jego ośmioletni syn, leżał w poprzek łóżka obok skopanej pościeli i jedną ręką tulił do siebie Firasa, pluszowego dinozaura, z którym się nie rozstawał; Noor, mająca niedługo skończyć sześć lat, kuliła się pod kocem, opatulona tak, że ledwo było widać jej rozrzucone loki. Mała nocna lampka oświetlała sufit, tworząc rysunek księżyca i gwiazd. Niezależnie od tego, czym zaskoczyło go życie, niezależnie od stresu, jakiego doświadczał, ich widok działał na niego jak napój z miodem i anyżem w mroźny zimowy wieczór.

Stał przez chwilę, tylko na nie patrząc, czerpiąc spokój z dźwięku ich delikatnych oddechów. Wreszcie wyszedł i stąpając cicho, ruszył do sypialni.

Zajrzał do pokoju przez uchylone drzwi. Jego wzrok się przyzwyczaił do słabego światła sączącego się od wejścia i choć w pokoju było ciemno, z ulgą stwierdził, że Nisreen też mocno śpi. To dobrze, że się jej udało zasnąć; Ramazan nie miał wątpliwości, że przez cały dzień przeżywała katusze związane z egzekucją Azmiego. Leżała z twarzą zwróconą w jego stronę, a on stał w drzwiach i ją podziwiał.

Nawet w udręce wyglądała przepięknie, co do tego nie było wątpliwości. I teraz, we śnie, z twarzą wtuloną w poduszkę, gdy nie było widać jej hipnotyzujących migdałowych oczu, gdy bijąca od niej za dnia aura spała wraz z nią, też była urzekająca.

Piękna, mądra, zdolna, a do tego wspinała matka. Poszczyliło mu się, o czym dobrze wiedział. Może nawet za bardzo – często myślał o swoim ogromnym farcie przed dziesięciu laty, gdy rodzice zaaranżowali to małżeństwo. Liczył sobie wtedy dwadzieścia cztery lata, a ona nie skończyła jeszcze dwudziestu. Nie miał wielkich

powodów do zmartwienia w ciągu kilku pierwszych lat wypełnionych optymizmem i szczęściem, gdy życie w związku było jeszcze nowością, gdy pojawiały się dzieci, gdy potem rosły, a kariera nabierała rozpędu. Z czasem jednak zaczęła go nękać myśl, że to małżeństwo go przerosło. Zdecydowanie. Było to boleśnie widoczne na proszonych kolacjach czy podczas innych spotkań towarzyskich: Nisreen znakomicie się na nich odnajdowała i przyciągała do siebie charyzmatycznych mężczyzn. Trzeba jej jednak oddać, że nigdy nie próbowała żadnych gier, nigdy żadnego z nich nie prowokowała, nigdy nie dawała im nadziei. Niezawodnie okazywała swojemu mężowi szacunek i lojalność. Ale on czuł, że ogarniają ją marazm, apatia, niezadowolenie. Czuł, że mu się wymyka. Nie rozmawiali o tym wprost, ale delikatnie krążyli wokół tematu, a ona zawsze wtedy go zapewniała, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ramazan jednak i tak widział to w jej twarzy każdego ranka i każdego wieczoru, zanim zgasił światło.

Ogólna sytuacja w kraju także im nie pomagała, a wręcz przeciwnie, uwypuklała dzielące ich różnice. Przyjaciele Nisreen przyciągali problemy. Jako prawniczka należąca do awangardy reform w dziedzinie praw kobiet, sama też ocierała się o kłopoty, i to jeszcze zanim zaczęła bronić wywlekanych z domów dziennikarzy i naukowców czy zgarnianych z ulic protestujących. To właśnie niepokoiło Ramazana; czasem starał się znaleźć pocieszenie w tym, że jego brat służy w tajnej policji, ale nie był pewien, na ile by to pomogło, gdyby sprawy przybrały naprawdę zły obrót.

Nisreen dawała się wessać w spiralę społecznego niepokoju, a on bał się o jej bezpieczeństwo, ale wiedział, że niewiele może zrobić. Nisreen była oddaną żoną i matką – to pewne. Ale była też kobietą o silnych przekonaniach i wojowniczką. Do działania napędzał ją płomień, którego on nie był w stanie pojąć, nie mówiąc już o tym, żeby samemu rozpaść w sobie podobny. A im był ostrożniejszy, im bardziej unikał czyhających dookoła kłopotów i wymigiwał się od udziału w jakiegokolwiek formie protestu, tym częściej widział malujące się na jej twarzy rozgoryczenie.

Kiedy tak stał, błogość, jaką poczuł wcześniej na widok dzieci, zupełnie go opuściła, a jej miejsce zajął niepokój o to, co czeka w przyszłości jego i Nisreen.

Nie był jeszcze gotów, żeby się położyć. Wrócił do frontowej części mieszkania, minął rodzinny salonik, a potem bardziej elegancko i formalnie urządzonego salonu, w którym przyjmowali gości, i wszedł do znajdującego się w pobliżu wejścia do mieszkania gabinetu. To był jego azyl. Ze względu na swój zawód Ramazan musiał mieć zainteresowania pozwalające zapomnieć o napięciu, stresie, a czasem też nudzie, doznawanych w pracy. Kilku znanych mu anestezjologów uważało tak samo. Jeden z jego najbliższych kolegów w wolnym czasie jeździł jako wolontariusz w pogotowiu ratunkowym. Paru było zapalonymi sportowcami, jeszcze kilku innych można by uznać za prawdziwych ludzi renesansu: realizowali się jako muzycy, pisarze, malarze. Ramazan był maniakiem pociągów, o czym świadczył nie tylko

wielki stół stojący dumnie pośrodku pokoju, a na nim ogromna kolejka, której zbudowanie zajęło mu całe lata, ale też modele zajmujące półki regałów.

Stąpając cicho, ominął stół i otworzył narożną szafkę, z której wyjął yeni *raki*, zdecydowanie bardziej gorzką odmianę *raki*, destylowaną z alkoholu wyrabianego z buraków cukrowych, i nalał sobie sporą szklaneczkę.

Alkohol był oczywiście wciąż zabroniony dla muzułmanów w całym imperium, ale w ciągu wieków prohibicja obowiązywała z mniejszą lub większą mocą, w zależności od tego, kto dzierżył władzę. Niektórzy sułtani wyznawali wyjątkowo purytańskie zasady. Sulejman Wspaniały, na przykład, wydał dekret, na mocy którego pijaków karano, wlewając im do gardeł roztopiony ołów. Jego syn natomiast, Selim II, był nieposkromionym hedonistą, który uchylił rozporządzenie ojca, twierdząc, że chociaż prohibicja jest słuszna i mądra, to powinna obowiązywać tylko szarych obywateli, a nie bardziej doskonałe, wyższe warstwy społeczeństwa, które wiedziały, jak pić z umiarem.

W pałacach i w całym imperium jedynymi napojami dozwolonymi dla muzułmanów i spożywanymi w miejscach publicznych były woda, kawa, herbata i soki owocowe. Inaczej było w prywatnych domach. Zaptiye przymykała oko na to, co działo się w domowym zaciszu; wpadała tylko i aresztowała sprawców wykroczeń, gdy sprawy wymknęły się spod kontroli albo sytuacja polityczna wymagała pokazówki, która pozwoliłaby zachować twarz.

Ze szklaneczką w dłoni Ramazan podszedł do drzwi balkonowych i wyjrzał na zewnątrz. Oświetlone minarety, zgodnie z zarządzeniem wyższe od wszelkich innych budynków w całym mieście, dźgały nocne niebo, a powolne mruganie światła na ich zwieńczeniach koło nerwy i hipnotyzowało. W oddali wznosiła się przepięknie oświetlona kopuła pograżonego we śnie wspaniałego meczetu Mehmediyye. W tak ciepłą letnią noc i w świetle niezwykle jasnego sierpa księżyca można było uwierzyć, że miasto jest oazą spokoju. Zło czyhające na jego mieszkańców nie było widoczne, ale Ramazan, jak każdy, kto o tak późnej porze jeszcze nie śpi, wiedział, że gdzieś tam jest. Przyczaiło się tylko w mroku, czekając na dogodną okazję, by znów zaatakować.

Ramazan dopił drinka i nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę. Czuł zmęczenie, ale nie był śpiący. Przepływał przez niego dziwny prąd. Umysł miał pobudzony; nie mógł się uwolnić od troski o żonę ani od ciekawości, jaką w nim wywołał tajemniczy pacjent.

Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po drugiej.

Nie był jeszcze gotów, aby się położyć. Wziął do ręki komórkę i nie zważając na niemy ostrzegawczy krzyk w swojej głowie, wyświetlił zdjęcia tatuaży nieznanego mężczyzny.

RAMAZAN POWIĘKSZAŁ każde zdjęcie, by lepiej mu się przyjrzeć.

Wyrazy wytatuowane na torsie pacjenta, zapisane od tyłu do przodu, trudno było rozszyfrować. Pomyślał przez chwilę. Wydawało się oczywiste, że zostały utrwalone w ten sposób, żeby nieznamy mógł je odczytać, patrząc w lustro. Ramazanowi przyszedł do głowy jeszcze jeden powód: trudniej je było odgadnąć przypadkowemu obserwatorowi. Co mogło być istotne, jeśli rzeczywiście w grę wchodziło coś, co się chciało ukryć.

Wyszedł do przedpokoju i skierował telefon wyświetlaczem do lustra nad konsolką. Przyjrzał się zdjęciu. Teraz wszystko stało się czytelne. Ujrzał kilka nazwisk i dat: „Djordje Petrović, Viševac, 16.11.1762”, „Alexander Ypsilantis, Stambuł, 12.12.1792” i jeszcze parę innych, ale żadnego z nich nie znał. Wyświetlił kolejne zdjęcie. Jeszcze więcej nazwisk, całe mnóstwo: „François-Marie Arouet/Voltaire”, „Rousseau”, „Napoleon” i wiele innych, a przy nich nazwy miejsc i liczby wyglądające jak daty z odległej o całe wieki przyszłości. Nic mu to wszystko nie mówiło. Przeszedł do następnego ujęcia. Odkrył kolejną porcję niezrozumiałej bazgraniny w rodzaju „3NG/1ziemia okrzemk/min węg sod”.

Przejrzał jeszcze kilka zdjęć ukazujących wytatuowane rysunki. Te również wydawały się pozbawione sensu. Jeden przedstawiał przekrój jakiejś skrzynki mieszczącej w środku oplecione czymś walce, a na zewnątrz wyposażonej w długą rączkę. Inny szkic prezentował jakieś urządzenie mechaniczne z korbą, coś, co wyglądało jak obracająca się beczka zrobiona z kilku cylindrów oraz sprężyn i łączących wszystko sworzni. Na paru kolejnych schematach było widać kadzie, cylindry, rury i łączące je zawory oraz ogień – i wtedy zaczęło mu coś świtać. Skręcając się z ciekawości, kontynuował oglądanie, aż kilka zdjęć później natknął się na coś, dzięki czemu wpadł na konkretny trop.

Początkowo wydawało mu się, że to były jakieś zestawienia nazwisk i miejsc typu: „Thomas Savery/Salisbury Court/Londyn”, „Denis Papin/Paryż 75/Londyn 87/Margburg”. Kiedy miał wyświetlić następną fotkę, coś mu się skojarzyło i zdał sobie sprawę z tego, co ogląda. Cofnął się do rysunku kadzi i rur.

Savery, Papin i parę jeszcze innych, takich jak Huygens i Newcomen – to były nazwiska żyjących kilka stuleci wcześniej wynalazców, dzięki którym wprowadzono maszynę parową.

Wytatuowane schematy przedstawiały jej najwcześniejsze wersje.

Wynalazcy – Anglicy, Francuzi, Holendrzy – przybyli do Wiednia niedługo po jego poddaniu się imperium w 1094 roku^[2]. Jak wielu innych naukowców zwiabiła ich złożona przez sułtana oferta nieograniczonych funduszy i środków. Wszyscy stali za osmańską rewolucją przemysłową, złotą erą imperium, zapoczątkowaną zwycięskim pochodem przez Europę pod koniec siedemnastego wieku, pochodem, który zmienił świat.

Rzeczeni wynalazcy przyczynili się do stworzenia pierwszych napędzanych parą pociągów, które w spektakularny sposób skróciły czas podróży pomiędzy Stambułem a odległymi zakątkami imperium, umożliwiając efektywny przerzut wojsk i dostaw wojennych. Odegrało to ogromną rolę w podboju Europy po upadku Wiednia.

Dlaczego nieznajomy miał wszystkie te nazwiska i schematy wytatuowane na własnym torsie?

Ramazan, rozmyślając w ciemności, doszedł do wniosku, że musi to zbadać. Bolały go nogi, przeszedł więc do rodzinnego salonu, gdzie usiadł przy wygodnym, niskim biurku i włączył komputer. Raz jeszcze przejrzał zdjęcia tatuaży, cały czas się nad nimi zastanawiając. Nie był przekonany co do tego, czy powinien wrzucać zapytania o interesujące go rzeczy do Hafizy, kontrolowanej przez rząd przeglądarki internetowej, jedynej dostępnej w całym imperium. Skrupulatne kontrole Abdülhamida oznaczały, że online były dostępne tylko zaaprobowane przez rząd strony i treści. Wszystko inne blokowano. Mimo to Ramazan wiedział, że i tak musi uważać, co wpisuje w okienko wyszukiwania. Wszystko, co działało w trybie online, musiało przejść przez rządowe filtry. Strony internetowe, maile – każde uderzenie w klawiaturę stawało się podejrzane i jako takie podlegało analizie za pomocą algorytmów. Nie sposób było tego uniknąć. Internet ściśle cenzurowano i monitorowano – co nie nastęrczało trudności, zważywszy na to, że państwo było też jedynym dostawcą tego narzędzia na ziemiach całego imperium i wszystko przechodziło przez państwowe serwery. Niewielka grupa zbuntowanych programistów próbowała po kryjomu rozprowadzać wgraną na dyski wirtualną sieć prywatną VPN, jednak szybko się to skończyło, gdyż władze ich przyłapały, skazały na chłostę i uwięziły. Dyski z VPN, które wciąż były w obiegu, osiągały wysokie ceny, dopóki rządowi programiści nie znaleźli sposobu, żeby oflagować każdego, kto się nimi posługuje. Nastąpiły aresztowania. Teraz już nikt nie używał VPN.

Ramazan się wahał, obmyślając kolejny ruch. Było bardzo późno, miał za sobą długi dzień, czuł się wyczerpany i znużony. Ale gdzieś głęboko tliła się w nim uporczywa ciekawość, której nie potrafił zgasić. Wzruszył ramionami i stwierdził, że jego zapytania nie powinny podnieść żadnych czerwonych flag, po czym metodycznie i ostrożnie zaczął wpisywać do Hafizy kolejne hasła. Większość wyszukiwań nie dała żadnych rezultatów. Wiele nazwisk w ogóle się nie pojawiało

w sieci, jakby ci ludzie nigdy nie istnieli. Kilku, jak na przykład Baruch Spinoza, było mało znanymi pisarzami i politycznymi myślicielami, których dzieła oficjalnie poddano krytyce już całe wieki temu. Ale wynik jednego z wyszukiwań sprawił, że Ramazanowi przebiegł po plecach dreszcz strachu: sekwencja słów „3NG/1ziemia okrzemk/min węg sod” okazała się uproszczonym składem dynamitu. Odkrycie to wywołało u niego nagłe, niespodziewane skojarzenie z jednym z wytatuowanych schematów, którego wcześniej nie rozpoznał – był teraz pewien, że przedstawiał starodawny detonator z dźwignią.

Ogarnięty paniką, zamknął okno przeglądarki i wyłączył zasilanie komputera. Popatrzył, jak ekran gaśnie, po czym przymknął oczy, wściekły na siebie. Wyszukiwanie w Internecie dynamitu nie wróżyło niczego dobrego. Naprawdę niczego dobrego. Pewnie będzie się musiał tłumaczyć. A taka perspektywa nie ucieszyłaby nikogo. Serce mu waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi, rozum żałował nadmiernej ciekawości – a jednak Ramazan nie był w stanie zignorować dręczącego go pytania: Co to wszystko znaczy?

Zupełnie nie rozumiał tego, co odkrył – nie był nawet pewien, czy wciąż chce to zrozumieć – przez co dopadły go złe przeczucia dotyczące tajemniczego pacjenta. Tatuaze mogły wskazywać, że ma do czynienia z niebezpiecznym psychotykiem, z osobnikiem, o którym trzeba poinformować władze. Z wrogiem państwa. Gdyby go spytali, zawsze mógłby się tym posłużyć jako usprawiedliwieniem. Kierował się patriotyzmem. Zresztą rysunki na skórze można było uznać co najwyżej za ekscentryczny przejaw oryginalności bądź niepoczytalności, a dziwny wybuch męczyzny byłby tylko kolejnym dowodem jego niezrównowazenia. Do takiego wniosku doszedłby racjonalny, opanowany umysł, a Ramazan był racjonalnym i opanowanym człowiekiem. Może nawet zbyt racjonalnym i zbyt opanowanym. Ale był też człowiekiem inteligentnym i polegającym na intuicji, więc trudno mu było zlekceważyć to, co zobaczył. Coś mu tu nie pasowało. I w jakiś dziwny, nieznan mu dotąd sposób budziło w nim nie tylko strach.

Rodziło też ekscytację.

A Sajjid Ramazan Hekim nieczęsto się ekscytował.

Tajemniczy męczyzna krył w sobie jakąś historię. Ramazan znowu pomyślał o dynamicie, zastanawiając się, czy jego pacjent nie stanowi zagrożenia dla ludzi, dla miasta, dla imperium. Musiał dowiedzieć się więcej. Musiał przeprowadzić śledztwo. A gdyby męczyzna rzeczywiście okazał się wrogiem państwa gotowym spowodować śmierć niewinnych i gdyby to Ramazan ujawnił jego zamiary i doprowadził go za kratki, zanim ten zdążyłby uderzyć, byłby to naprawdę wielki czyn. Czyn, który odmieniłby jego życie, zwłaszcza małżeńskie. Ramazan zasłużyłby na pochwały i wielki szacunek, w jakich od czasu ostatnich aresztowań pławił się jego brat, Kamal. Co ważniejsze, mógłby nawet cieszyć się podziwem, takim, jakim kiedyś Nisreen darzyła jego brata. Byłby bohaterem, i to bez skazy, jaką nosił Kamal.

Taka perspektywa była elektryzująca.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta. Niedługo miało świtać.

– Dlaczego nie śpisz? Jest środek nocy.

Jej głos wyrwał go z zamyślenia i kazał podnieść wzrok.

Nisreen stała oparta o framugę, zasnana, z potarganymi włosami i opadającymi wbrew jej woli powiekami.

– Ja... nie mogłem spać. Ta operacja... trwała całe wieki – odpowiedział, starając się mówić tak, by się nie zdradzić, że kłamie.

– Aha. Czy pacjent dobrze się czuje?

– Tak. Cóż... tak mi się wydaje. Na pewno.

Chyba nie do końca wiedziała, jak to rozumieć, lecz po chwili jej twarz nieco się rozluźniła.

– To dobrze. – Popatrzyła na niego uważnie i spytała: – Zamierzasz tak siedzieć do rana?

– Nie. To znaczy... nie wiem. – Udał, że sprawdza, która jest godzina. – Prawdę mówiąc, zaraz powinienem tam wracać. Ten człowiek niedługo zacznie się budzić, a ja naprawdę powinienem wtedy tam być.

Nisreen zareagowała z opóźnieniem. Przyszło mu do głowy, że może powinien z nią zostać, być przy niej w tę trudną noc, jakoś ją pocieszyć. Ale nie chciał rozmawiać o śmierci Azmiego, a ich rozmowa na pewno by się do tego sprowadziła. I chciał się dowiedzieć więcej o tajemniczym mężczyźnie. Jeśli ukrywał coś groźnego, coś, co mogłoby z niego, Ramazana, uczynić bohatera, to musiał teraz skorzystać z okazji, bo później mogła się już nie powtórzyć.

Nisreen wolno pokiwała głową i spytała:

– Czy chcesz, żebym ci zrobiła filiżankę kawy?

– Nie, dziękuję. Wypiję w szpitalu.

Uśmiechnął się i natychmiast tego pożałował. Za dobrze go znała, aby nie zauważyć, że zrobił to z przymusem.

Znowu pokiwała głową.

– A więc do zobaczenia później. – Miała się już odwrócić, ale dodała jeszcze: – Powinieneś chyba się przebrać. Może weźmiesz prysznic? To cię orzeźwi.

– Nie chciałem cię obudzić.

Posłała mu niepewne spojrzenie.

– I tak już nie śpię.

– No dobrze.

Ruszył za nią do sypialni. Wróciła do łóżka, a on udał się do łazienki, żeby się umyć. Gdy wyszedł, aby się ubrać, już znowu spała.

Odmówił modlitwę *fadžr*, lecz nie przyniosła mu jasności umysłu, na jaką liczył, ani nie uwolniła od lęku przed tym, co robił. Wreszcie wyszedł cicho z mieszkania i ruszył z powrotem do szpitala.

Chciał tam być, gdy tajemniczy pacjent odzyska przytomność.

NISREEN USŁYSZAŁA, jak zamykają się drzwi mieszkania, i usiadła.

Obudziła się, gdy Ramazan wrócił do domu, ale nie wstawała i udawała, że śpi, słysząc, jak zbliża się do sypialni. Nie lubiła się tak zachowywać i nie robiła tego często. Miała jednak za sobą ciężki dzień i nie chciała rozmawiać o nim z mężem, narażając się na kolejną nerwową dyskusję. Nie miała też ochoty angażować się w pogawędkę o czymkolwiek innym.

Zdziwiła się, że nie przyszedł do łóżka, jak miał w zwyczaju, zważywszy na późną porę – to też było raczej niezwykle. Zamiast tego usłyszała, że kieruje się do frontowej części mieszkania; poznała cichy odgłos kostek lodu wrzucanych do szklanki – raz, potem jeszcze raz – czuła, jak minuty zmieniają się w godziny, a on nie przychodził. Wszystko to było bardzo dziwne. A gdy w końcu zdecydowała się wstać i sprawdzić, co się dzieje, w chwili gdy dochodziła do drzwi rodzinnego salonu, usłyszała, jak Ramazan głośno wciąga powietrze, mamrocze przekleństwo i dźga palcem klawiaturę komputera.

Stała jak wryta, zastanawiając się, czy przerwać to, co się dzieje. Pomyślała jednak, że być może usłyszał jej kroki i dlatego tak nagle wyłączył komputer. Gdy w końcu weszła do pokoju, było jasne, że unika szczerych odpowiedzi. Przez to, że był taki zasadniczy i uczciwy, właściwie nie umiał kłamać, zwłaszcza przed kimś, kto znał go tak dobrze jak ona.

Kłamstwa nie były elementem ich wspólnego życia. Tak uważała – przynajmniej te poważne kłamstwa, bo małe, niewinne kłamstewka zdarzały im się jak każdej innej parze. Tym razem jednak zyskała absolutną pewność, że Ramazan coś ukrywa, a to nie było normalne. W ich związku zdarzało się to niezwykle rzadko. Jej mąż cechował się nieskazitelną uczciwością, był dobrym człowiekiem, tak dobrym, że aż nudnym, jak teraz uważała – nie czuła się dobrze z tą swoją opinią, ale to wcale nie czyniło jej mniej prawdziwą.

Wciąż cierpiała z powodu śmierci Azmiego i nie była pewna, czy jest w stanie jasno myśleć. Ale nie mogła już zasnąć, nie po tym, co się właśnie stało. Myśl o ukrywaniu przed nią czegoś przez męża była tak dręcząca, że Nisreen musiała wstać z łóżka, przejść do pokoju rodzinnego i włączyć komputer.

A potem wyświetlić historię wyszukiwania w Internecie.

POWINNA BYŁA WIEDZIEĆ, że lepiej tego nie robić, ale zmęczenie wzięło górę nad ostrożnością, a hasła wyszukiwane przez jej męża, które kompletnie ją zaskoczyły, zaspokoili jej ciekawość, ale przy okazji stało się coś jeszcze.

Wszystkie przebyły cztery *fersahy*, czyli około dwudziestu trzech kilometrów na wschód od ich mieszkania, i trafiły do pilnie strzeżonego obiektu, do którego wstępu nie miał żaden cywil.

Rozległy kompleks zajmował powierzchnię przeszło dziesięciu *dunamów*^[8] i składał się z elektrowni wraz z instalacjami chłodzącymi i chłodniami kominowymi, umożliwiającymi jej działanie, oraz z centralnej, pozbawionej okien budowli mieszczącej niezliczone rzędy komputerów, zdolnych przechowywać i przetwarzać dane komunikacyjne z całego imperium. Trafiły tu hasła wyszukiwane w Internecie, maile, stacjonarne i komórkowe rozmowy telefoniczne i esemesy, jak również wszelkiego rodzaju dane osobiste, takie jak paragony zakupów poszczególnych osób, rachunki z kawiarni, bilety parkingowe, dokumenty podróży i inne cyfrowe „śmieci”, które w papierowej wersji często nosimy w kieszeniach.

Dla nielicznych wybrańców, którzy o nim wiedzieli, kompleks nosił nazwę Centrum Gromadzenia Cyberdanych dla Bezpieczeństwa Imperium, a eksabajty informacji z jego serwerów były wykorzystywane w dwóch programach. Pierwszym był System Wiarygodności Społecznej, oceniający wszystkich obywateli i dostępny dla urzędników państwowych, którym jeden rzut oka wystarczał, aby wiedzieć, kto się spóźnia z opłacaniem rachunków, kto popełnił plagiat na uczelni, kto miał problemy ze zdrowiem, a kto czynił online niestosowne uwagi. Taki sam zestaw danych był przeznaczony dla Programu Preciwdziałania Zagrożeniom Wewnętrznym, prowadzonego przez Hafiye, i mógł być o wiele groźniejszy. Podpadnięcie w tym programie nieuchronnie rodziło konsekwencje znacznie poważniejsze niż odmowa zawarcia umowy ubezpieczenia czy przyjęcia do pracy.

Oba programy zasysały dane, o czym wszyscy obywatele wiedzieli, co wszyscy obywatele zakładali i o czym plotkowali – a jednak zwykle o tym zapominali. I najczęściej dawali się złapać.

Tak jak tej nocy.

NA ODDZIAŁACH HURREM panowała cisza – tak powinien się kończyć dzień odpoczynku.

Nazajutrz zaczynał się nowy tydzień i na korytarzach miał znowu zapanować ruch.

Ale nie tej nocy. I nie w pokoju numer siedem oddziału intensywnej opieki, gdzie wytatuowany mężczyzna nurzał się błogo w oceanie środków przeciwbólowych i uspokajających.

Jego uwolniony umysł krążył po ogromie przestrzeni, gdyż życie Aymana Rasheeda było z pewnością bogatsze w doświadczenia niż życie jakiegokolwiek innego człowieka. Tej nocy zaś jego myśli zechciały odwiedzić miejsce i czas będące katalizatorem wszystkiego, co później nastąpiło, zapalnikiem, który doprowadził do zburzenia barier ograniczających to, co możliwe, i posłał go w podróż w nieznane. Jego myśli zawędrowały do człowieka, który mu ten zapalnik podarował.

Rzecz miała miejsce w Palmyrze w Syrii w październiku 2015 roku. I nie były to tylko inny czas i inne miejsce.

To był zupełnie inny świat.

Więzień podniósł zniszczone, brudne ręce i się w nie wpatrywał. Nadal się trzęsły, a on nie mógł nad tym zapanować. Tak naprawdę nie przestały się trząść ani na chwilę od czasu pierwszego pobicia sprzed... ile to już minęło? Ile dni? Tygodni?

Nie był pewien.

Pojęcie czasu straciło tak naprawdę wszelkie znaczenie. Przynajmniej dla niego. I jak wiedział, dla wszystkich tych, których słyszał, kiedy ich bito i torturowano za tą czy inną z czterech ścian zimnego, brudnego pomieszczenia, gdzie był przetrzymywany.

Własne ręce jednak dziwnie go fascynowały z tego prostego powodu, że wciąż istniały. Biorąc pod uwagę to, że reszta jego ciała też nie znikła, że nadal stanowił żywą, oddychającą masę komórek, że wciąż był, zaczął się zastanawiać, czy wewnętrzna udręka, jaką odczuwał w związku z tym, co zrobił, w związku z wielką tajemnicą, do której ujawnienia został zmuszony – i strach przed siłami, które to ujawnienie mogło uwolnić – była w ogóle zasadna.

Pierwsze bicie zniósł jak na swój wiek względnie dobrze. Miał w końcu siedemdziesiąt trzy lata. Był wprawdzie w dobrej kondycji, cieszył się wręcz młodzieńczą energią po wielu latach spędzonych na powietrzu przy wykopaliskach, gdzie w upale i kurzu, jako naczelnik wydziału do spraw zabytków i dyrektor miejscowego muzeum, wydobywał skarby chwalebnej przeszłości starego miasta. Mimo wszystko jednak w wieku siedemdziesięciu trzech lat okładanie

gumowym węzłem człowiekowi nie służy.

Ale kolejny etap przesłuchania i zadane wówczas cierpienie wystarczyło, żeby go złamać.

Nie wytrzymał nawet pół godziny, gdy zafundowali mu shabah – „ducha” – czyli związali mu ręce za plecami i podnieśli za nadgarstki nad ziemię. Prosta rzecz, a tak zabójczo skuteczna. Pierwsze ramię wyskoczyło mu ze stawu prawie natychmiast, drugie po najdalej dziesięciu minutach niewyobrażalnego cierpienia. Ból był potworny, a on nigdy nie doświadczył niczego, co mogłoby się z nim równać. Opuścili go dopiero, gdy stracił przytomność. Przynajmniej oszczędzili mu jeszcze bardziej wyrafinowanych tortur, które on i jego rodacy, Syryjczycy, znali aż za dobrze, a które reżim Asada stosował wobec swojego narodu przez całe dziesięciolecie, tych samych, które teraz mściciele z ISIS, przetrzymujący go islamiści, stosowali wobec rzesz innych. Były to sadystyczne metody o wymyślnych nazwach, takich jak „latający dywan”, „niemieckie krzesło” czy „czarny niewolnik”.

W jego przypadku nie były już potrzebne.

Nie, po „duchu” zaczął mówić. Dał im to, czego chcieli.

Widział, jak islamiści, zbliżając się do Palmyry, plądrują i niszczą dziesiątki najcenniejszych stanowisk archeologicznych w Syrii, dlatego wraz z kolegami z muzeum wyniósł i ukrył setki posągów i starożytnych artefaktów, rzymskich i bizantyjskich skarbów, które ci barbarzyńcy chcieli dorwać i sprzedać, by móc finansować swoje mordercze zapędy.

A teraz nie był im dłużej potrzebny, wiedział, że wkrótce go zabiją.

Mógł uniknąć tego losu, gdyby chciał. Mógł dołączyć do tych, którzy wyjechali, zanim bojówki ISIS opanowały miasto. Wielu tak zrobiło. Ale Palmyra była jego domem. Poświęcił jej całe życie. Starożytni Grecy, Rzymianie, Cesarstwo Palmyry, Bizancjum, Umajjadzi, Mamelucy, Osmanowie – miasto założone przed przeszło dziesięcioma tysiącami lat rozkwitało pod panowaniem najróżniejszych imperiów. On zaś walnie przyczynił się do odkrycia i zachowania jego przebogatego dziedzictwa. A było tutaj co chronić: świątynie i grobowce, posągi i płaskorzeźby, których nie dało się przenieść w bezpieczne miejsce ani schować. Palmyra była jego życiem, miastem, które powierzyło mu wiele ze swych tajemnic. Zawsze zakładał, że tutaj umrze, choć nie w ten sposób. Nie z rąk tych dzikusów.

Liczył na to, że wyjawienie sekretu oszczędzi mu potwornego bólu związanego z powolnym ścinaniem, które jak to sobie posępnie wyobraził, zostanie nagrane i umieszczone na ich kontach na YouTube i Facebooku. Ale sama śmierć będzie w tym momencie aktem miłosierdzia. Przyjmie ją z wdzięcznością, zwłaszcza gdy usłyszał, co nadciąga, z ust demona siedzącego naprzeciwko niego ze skrzyżowanymi nogami na posadzce tej paskudnej celi.

Jego dręczyciel.

Człowiek, który podczas przesłuchań idealnie odczytywał wyraz jego twarzy. Inkwizytor, który wyczuł, że stary naczelnik wydziału zabytków ukrywa coś jeszcze, coś o wiele ważniejszego niż artefakty, które pomagał zakopać. Mężczyzna, który się domyślił, że więzień nie zdradził jeszcze swojej największej tajemnicy. Potwór, który przywłókł do tego piekła jego dziewięcioletnią siostrzenicę, przyłożył jej nóż do gardła i opisał każde koszmarnie cierpienie,

jakie jej zadadzą, jeśli on nie zacznie mówić.

Nie miał wyjścia, musiał mu dać to, czego pragnął. A teraz potwór powrócił z dziwnym spojrzeniem beznamiętnych, wyrachowanych oczu. Spojrzeniem będącym zapowiedzią katastrofy.

Więzień czuł się w swoim nieszczęściu zupełnie bezradny i zdany na jego łaskę, był żalonym, zgnębionym żebrakiem. Bardzo żałował, że nie zapamiętał słów zaklęcia. Było skomplikowane, stanowiło dziwną sekwencję słów z dawno zapomnianego języka i przyswojenie ich nie było łatwe, zwłaszcza że najmniejszy błąd mógłby przerwać jego działanie i wówczas człowiek byłby zdany na własne siły. Mimo to żałował, że nie może z niego teraz skorzystać, żeby uciec. Zaryzykowałby, nawet wiedząc, że może gdzieś utknąć; wołałby być wszędzie, tylko nie tutaj. Ale teraz było już na to za późno.

Bardzo się bał o to zapytać, lecz w końcu nie wytrzymał.

– Myślę, że... że pan to wypróbował, czy mam rację?

Jego oprawca odpowiedział, powoli, w zamyśleniu kiwając głową.

Więźniowi zaparło dech w piersiach.

– I...?

Mężczyzna przez chwilę milczał, zastanawiając się nad odpowiedzią, po czym jego twarz opanował niepokojący, chytry wyraz satysfakcji.

– To było... emocjonujące. Tak naprawdę trudno to opisać słowami. Ale przecież sam pan wie. Też pan próbował.

Więzień ośmielił się wypróbować swój sekret tylko raz, i to na bardzo krótko. Kilka lat wcześniej zadziwiło go odkrycie starożytnych inskrypcji wyrytych na ścianach malej, ukrytej salki w świątyni Szamin-Baala, pochodzącej z drugiego wieku budowli poświęconej kananejskiemu bogu nieba. Przez wiele długich godzin próbował rozszyfrować ich treść, a gdy mu się to udało, sprawdzał je wciąż od nowa, by się upewnić, że wszystko dobrze zrozumiał. To, o czym mówiły napisy, było nieprawdopodobne. Oczywiście, że nieprawdopodobne. A jednak zdawało się wylaniać z zamierzchłej przeszłości, rzucając na niego urok, wabiąc go swoim czarem, tak że nie zdołał się oprzeć.

Nikt by nie zdołał.

I tak, namyśliwszy się dobrze, na jak daleką podróż sobie pozwolić, zrobił to. Wszystko się udało, ale też diabelnie go przeraziło. Nigdy nie zdobył się na odwagę, by spróbować ponownie. Być może tak samo zareagowałby każdy zdrowy na umyśle człowiek.

Pytanie, czy jego oprawca był zdrowy na umyśle? Czy można to było powiedzieć o którymkolwiek z nich?

Nie był tego pewien.

W chwilach większego spokoju, gdy zdarzyło mu się jaśniej pomyśleć, starał się nie oceniać siebie zbyt surowo. Nie zdradził swej tajemnicy tak od razu. Tego nikt mu nie mógł zarzucić. Nie po tym, co mu zrobili.

– Dokąd...? – spytał swojego oprawcę. – Jak daleko wstecz...?

Mężczyzna uciszył go, cmokając z dezaprobatą i szybko jak błyskawica grożąc palcem. Nic jednak nie powiedział.

Więzień zamarł.

Mężczyzna przyglądał mu się, a w jego głowie najwyraźniej toczyła się jakaś wewnętrzna debata.

– Dał mi pan coś o nieograniczonym potencjale. Powinienem być panu za to ogromnie wdzięczny. Ale z czymś o takim potencjale trzeba się obchodzić ostrożnie. Wyjątkowo ostrożnie. I wyjątkowo dyskretnie. Będę potrzebował czasu, żeby to przemyśleć. Mnóstwa czasu. Jak się pan pewnie domyśla, istnieje tak wiele możliwości, tak wiele szans. Co oznacza, że czeka mnie sporo pracy. Sporo czytania, rozmyślań, planowania. I nie mogę sobie pozwolić na ryzyko, że ktoś się może o tym dowiedzieć.

Sięgnął pod kurtkę i wyciągnął nóż. Był to czarny matowy nóż wojskowych sił specjalnych z zakrzywionym ostrzem.

Na jego widok naczelnik zeszywniał.

– Zresztą – ciągnął mężczyzna, klepiąc się niedbale ostrzem po otwartej dłoni – to, że teraz pan zginie, tak naprawdę niewiele zmieni, gdy chodzi o pańską przyszłość. Bo gdy skończę, nie będzie mowy o żadnej pańskiej przyszłości. Nie będzie pana, żeby się o tym przekonać, przynajmniej tak mi się wydaje. To by nie miało sensu, prawda?

Naczelnik nie był w stanie się skupić na tym, co mówił mężczyzna. Każdy jego neuron koncentrował się na ostrzu. Starał się sformułować coś w rodzaju błagania, zmusić swoje usta do powiedzenia czegoś, co mogłoby się przyczynić do zmiany decyzji oprawcy, ale zmysły miał zbyt pomieszane, by zareagować. Zdołał jedynie wydusić z siebie pokorne, słabe „Proszę”, ale już kiedy je wypowiadał, wiedział, że to słowo niczego nie zmieni.

– Właściwie to szkoda, że pana tutaj nie będzie i pan tego nie zobaczy – stwierdził mężczyzna, kładąc nóż na posadzce obok niego i wyciągając zza pasa pistolet – bo naprawdę wierzę, że będzie przewspaniale.

Mówiąc te słowa, podniósł broń do głowy naczelnika i pociągnął za spust.

„Tak wiele możliwości”, myślał Ayman Rasheed, siedząc w zdemolowanym gabinecie naczelnika wydziału do spraw zabytków.

Tak wiele możliwości i tak ważna decyzja, którą należało podjąć... ale też ogromna satysfakcja, jeśli się dobrze wybierze.

Widząc przez okno obraz destrukcji i chaosu poza bramami muzeum, Rasheed rozmyślał, jak bardzo zmienił się jego świat. Jak czynniki zewnętrzne pozostające zupełnie poza jego kontrolą doprowadziły go tutaj, do Palmyry, gdzie się znalazł w otoczeniu nieznanym, walcząc z wrogiem o wielu twarzach w kraju, który nie był jego ojczyzną.

Minął tydzień od tamtej pamiętnej chwili, gdy po raz pierwszy dostrzegł w oczach naczelnika wahanie i strach, i od tamtej pory nie mógł przestać o tym myśleć. Ledwo udawało mu się zasnąć. Natomiast od czasu, kiedy to zrobił, kiedy sam spróbował, jego umysł był pijany z podekscytowania. Tajemnica naczelnika otwierała dosłownie wszechświat możliwości. Co

oznaczało, że Rasheed musiał dobrze pomyśleć i wybrać z tej ogromnej puli bardzo, ale to bardzo uważnie. Przyszłość setek milionów – a może i miliardów – ludzi spoczywała na jego barkach.

Ich przyszłość... czy ich przeszłość?

Wciąż z trudem mu przychodziło ogarnięcie myślą tego wszystkiego.

Niewiarygodny wybór dla każdego, kto by go musiał dokonać – to pewne. Potworna odpowiedzialność i dar, który w niewłaściwych rękach łatwo mógł zostać zmarnowany.

Rasheed nie miał zamiaru na to pozwolić.

Ostatecznie ów ogromny dar nie wpadł w ręce żadnego niepiśmiennego, porywczego durnia. Trafił do niego, uczonego, rozważnego człowieka. Człowieka, którego kariera była zbudowana na intelekcie, ale i na intuicji. Wyrachowanego stratega, który cenił dalekosiężne plany i w przeciwieństwie do wielu swoich rówieśników nigdy w nic się nie pakował bez namysłu.

Co zaś najważniejsze w świetle tego, na co się natknął, dar trafił w ręce dociekliwego badacza, podchodzącego z pasją do dziedziny nauki, która teraz miała mu się przysłużyć: do historii.

Doprawdy, niezbadane są wyroki Allacha.

PARYŻ

OBECNIE

– KIEDY JEDZIEMY nad morze, *anne*?

Tarek, Noor i Nisreen jedli w kuchni śniadanie. Słońce, którego promienie przedzierały się przez żaluzje, wisiało jeszcze dość nisko. Nawet o tak wczesnej porze zapowiadało skwar.

Nisreen po niepokojącym odkryciu w historii wyszukiwania nie wróciła do łóżka. Drzemała od jakichś dwóch godzin na sofie, gdy podeszła Noor i próbowała ją obudzić. Zaczęła ją ciągnąć za rękę, lecz po chwili zrezygnowała, wdrapała się na kanapę i wtuliła w mamę.

– Za dwa tygodnie – odpowiedziała Nisreen z uśmiechem.

Tarek się rozpromienił i podniósł Firasa, swojego pluszowego dinozaura.

– Za dwa tygodnie. Słyszałeś? – Zwrócił się do mamy: – Obiecałem, że mu zbuduję zamek. Taki wiiiieelki – dodał podnieconym głosem, szeroko rozkładając ramiona i jeszcze szerzej się uśmiechając.

Nisreen zachichotała. Wraz z Ramazanem zaplanowali, że zabiorą dzieci na południowe wybrzeże na doroczne tygodniowe uroczystości upamiętniające wstąpienie na tron sułtana. Starali się wyjeżdżać przynajmniej trzy razy w roku w góry albo nad morze. Nisreen nie mogła się już doczekać i na myśl o wyjeździe w głąbi jej serca zapaliło się słabe światełko.

– *Baba* obiecał, że nauczy mnie pływać – powiedziała Noor pomiędzy ostrożnymi kęsami burka z serem.

– Jesteś za mała na pływanie – odparował Tarek.

– Tarek – rzekła Nisreen, podnosząc palec. I w tej chwili zadzwonił jej telefon.

– Ja się nauczyłem dopiero w zeszłym roku. A ona ma tylko pięć lat – zaprotestował chłopczyk. – Zresztą – uśmiechnął się szeroko do siostry – tak śmiesznie wygląda w tych różowych dmuchanych rękawkach.

Noor pokazała mu język, a Nisreen spojrzała na aparat i odebrała.

Z jej twarzy niemal natychmiast znikła wszelka radość.

Kilka słów wystarczyło, by zgasić światełko, które zapaliło w jej duszy pytanie Tareka.

SIEDZIBA HAFIYE ODDALONA była o pół godziny szybkiego marszu od mieszkania Kamala.

Mieściła się w starym zamku Grand Châtelet na prawym brzegu Sekwany, naprzeciwko Île de la Cité. Kamal często chodził do pracy pieszo, a lenistwu w ciepłe taksówki lub tramwaju ulegał tylko w najbardziej nieprzyjemne, ciemne zimowe poranki. Dziś jednak obudził się z ciężką głową, a mając niewielkie opóźnienie, postanowił pojechać na motorze. Przyjemność wcinania się w sznury pojazdów uczyniła upalne i wilgotne powietrze nieco łatwiejszym do zniesienia.

Nikt nie zganiłby go dzisiaj za spóźnienie. Nie po wczorajszej ceremonii, o której przypominał mu radośnie niemal każdy, kogo spotkał, gdy przedzierał się przez przypominający labirynt kompleks w drodze do swojego biurka. Nie, dziś Kamal płynął na fali szacunku okazywanego mu przez kolegów, począwszy od strażników przy wejściu, którzy niemal przepaszali, że muszą sprawdzić jego identyfikator, aż po starszych oficerów, witających go pełnymi uznania skinieniami głowy, kiedy mijali ich przeszklone gabinety. Powinien się czuć wspaniale, ale jakoś nie doznawał żadnego przyjemnego uczucia. Pomyślał, że najlepiej będzie pogрузić się w pracy, żywiąc nadzieję, że wkrótce uda mu się wytropić innego, prawdziwego wroga państwa, kogoś o morderczych zamiarach, kto dostanie potem za swoje, a jemu pomoże odzyskać wiarę w to, co robi.

Nawet w swej unowocześnionej wersji bastion dawnego reżimu pozostawał ponurym miejscem. Zamek całkowicie przebudował Ludwik XIV w roku 1684, dziesięć lat przed tym, jak Osmanowie zajęli Paryż i ścięli króla. Bardzo pomogło im to, że czternaście lat wcześniej Ludwik w porywie fatalnej niefrasobliwości uznał, iż Paryżowi nie zagraża żaden atak z zewnątrz, i aby umożliwić rozwój miasta, kazał zburzyć mury obronne, w ich miejscu budując szerokie bulwary. Za jego panowania Grand Châtelet był rozległą fortecą, do której dostępu broniły złowrogie mury i grupa przysadzistych wież zwieńczonych wieżyczkami, mieszczących siedzibę policji, sądy i kilka więzień. Wilgotne podziemne lochy budziły strach znacznie większy niż lochy Bastylli, która znajdowała się jakieś półtora kilometra na wschód. Osmanowie nie widzieli powodu, by niszczyć tę reputację. Pod ich panowaniem więzienia pozostawały równie pełne, a sława, jaką cieszył się zamek, wcale nie była lepsza. Kompleks rozrósł się w ciągu wieków, powiększony o nowe budynki, idealnie wpasowane w starą fortecę i jej kamienne wieże. Osmanowie lubili zachowywać historycznie ważne budowle, zmieniając je tylko tak, żeby wyglądały na niezaprzeczalnie osmańskie i muzułmańskie, i traktując jak totemiczne pamiątki przeszłości sprzed podboju.

Hafiye początkowo dzieliła kompleks – nazwany z czasem Cytadelą – z Zaptiye, policją zajmującą się codziennymi sprawami, takimi jak wykroczenia drogowe, rodzinne awantury, spożywanie alkoholu i zażywanie narkotyków, kradzieże

i nieliczne zabójstwa. W związku z tym, że kary według zasad szariatu były surowe i łatwo można było stracić kończynę albo i narazić się na coś jeszcze gorszego, wskaźnik przestępczości był niski. Jednak Hafiyeh, zmagając się nieustannie z zagrożeniem terroryzmem i niepokojami społecznymi, rozrosła się i zajęła cały kompleks. W mieście rządzą teraz Kamal i jego bracia, a Zaptiyeh musiała się przenieść do pobliskiego budynku, niedaleko starego Hôtel de Ville.

Stanowiska pracy Kamala i Taymoora znajdowały się naprzeciwko siebie na czwartym piętrze jednej z dobudówek, w niskim, otwartym pomieszczeniu, które dzielili z tuzinem innych kolegów. Było jeszcze kilka takich pomieszczeń podobnych rozmiarów, po jednym na każdą sekcję, i we wszystkich roilo się od agentów zajętych przesiewaniem raportów z obserwacji, nagrań i zapisów rozmów oraz doniesień informatorów. Po korytarzach biegali gońcy z kawą i dokumentami. Nigdzie nie było kobiet. Niewielki oddział agentek zajmujących się sprawami dotyczącymi pań miał siedzibę w osobnym budynku z własnym wejściem. Mężczyźni i kobiety mogli pracować razem tylko wtedy, gdy uznano to za niezbędne dla sprawy. Pod konserwatywnymi rządami Abdülhamida bratanie się jednych z drugimi było nie tylko źle widziane. Było zabronione.

Na biurku Taymoora panował bałagan – jak zwykle – a on sam jeszcze się nie pojawił. Najwyraźniej partner Kamala chciał wycisnąć z wczorajszego blasku chwały ile tylko się dało. Kamalowi nawet to pasowało. Nie był pewien, czy zdoła już teraz znieść bojowy zapach Taymoora.

Pół godziny spędził na przeglądaniu raportów z obserwacji z minionej nocy, ale nie znalazł niczego godnego uwagi. Gdy skończył, wziął do ręki telefon i zadzwonił do analityka, któremu powierzył zadanie przejrzenia zapisów nadrzecznego monitoringu.

– *Chaouch komiser* – odezwał się mężczyzna. – Właśnie miałem do pana dzwonić.

– Proszę mówić – rzekł Kamal.

– Jest coś, co powinien pan zobaczyć. Może to nic takiego, ale...

– Zaraz zejdę – odpowiedział Kamal.

Wstawał już, żeby wyjść, gdy zobaczył zmierzającego w stronę biurka Taymoora. Ich oczy się spotkały, a twarz przyjaciela napięła się nagle i spoważniała.

– Mogę zapytać, dlaczego się spóźniłeś? – odezwał się Kamal, gdy partner do niego podszedł.

Taymoor zbył jego pytanie.

– Daj spokój, bracie. Wiedziałeś, że jest tu Nisreen?

– Co? Gdzie?

– Na dole. W recepcji. Robi scenę. Chyba lepiej, żebyś tam poszedł.

Kamal już ruszył na dół.

Przy windach stało dwóch jego kolegów i goniec. Skinął im szybko głową i ze

zniecierpliwieniem dźgnął guzik, groźnym wzrokiem wpatrując się w cyfrowy wyświetlacz pokazujący, że obie windy utknęły na wyższych kondygnacjach. Zrezygnowany rzucił się ku schodom, zbiegł, pokonując po trzy stopnie naraz, i wparował na parter. Przemierzył ruchliwy hol, a zbliżając się do recepcji, ujrzał napierającą na kontuar niewielką grupę złożoną z mężczyzn i dwóch kobiet.

Jedną z nich była Nisreen. Dostrzegł ją z drugiej strony ogromnego holu. Początkowo nie był pewien. Jako mężatka jeszcze nie tak dawno temu nie musiała zupełnie zasłaniać twarzy, gdy znalazła się poza domem albo w towarzystwie innych kobiet za zamkniętymi drzwiami, i zazwyczaj tego nie robiła – zakładała tylko, jak niemuzułmanka, cienki woal na włosy, które z każdym rokiem były coraz dłuższe. Dziś jednak założyła niezbyt przezroczystry kwef, przez co trudniej ją było rozpoznać – jeszcze jedna zmiana w porządku społecznym miasta za nowego reżimu. Resztę ciała musiała mieć dokładnie zakrytą – to akurat nigdy się zbytnio nie zmieniało. Tego ranka miała na sobie letni *ferace*, luźny płaszcz z szerokimi rękawami, w których mogła ukryć dłonie.

Jej towarzyszka była jeszcze bardziej zakryta; jej twarz chowała się za grubym kwefem z szarego muślinu. Kamal nie wiedział, czy ją zna.

Policjanci obserwowali wszystko z boku, a centralną postacią zamieszania była Nisreen, która klóciła się zawzięcie z dyżurnym i dwoma jego ludźmi.

– Co to znaczy, że nie musicie niczego wyjaśniać? – Jej rozwścieczony głos odbijał się echem od kamiennych ścian, gdy Kamal przeciskał się przez niewielki tłum, by do niej dotrzeć. – Zaginął człowiek i chcemy tylko wiedzieć, czy jest u was, czy go tutaj nie ma.

Funkcjonariusz dyżurny był nieporuszony.

– Dobrze pani wie, że w sprawach dotyczących bezpieczeństwa państwa nie ma o czym dyskutować. Koniec kropka.

– Koniec kropka? Ten człowiek ma żonę – naciskała, pokazując palcem swoją towarzyszkę. Kobietę, jak Kamal teraz widział, trzydziestokilkuletnią, stojącą obok ze spuszczoną głową.

W tym momencie Nisreen go zauważyła. Rozpoznała go, a Kamal poczuł, jak przeszywa go zimne, ostre spojrzenie, nasycone poczuciem krzywdy i smutkiem, wściekłością i buntem. Nisreen mówiła jednak dalej, jakby brat jej męża w ogóle nie istniał.

– Ma czwórkę dzieci. Czy one nie zasługują na to, by usłyszeć coś więcej niż „koniec kropka”? W jakich barbarzyńców się zmieniliście? – Rozsierzona, zwróciła się do pozostałych: – Wy wszyscy. Jak możecie tak postępować? – Jej oczy znowu go wychwyciły, a ich migdałowy czar prysł, zastąpiony teraz przez bezgraniczną złość.

Kamal miał już interweniować, gdy funkcjonariusz dyżurny mocno uderzył dłońmi o biurko.

– Nisreen Hatun^[9], z całym szacunkiem proponuję, żeby pani wyszła, póki jeszcze ma pani taką możliwość.

– Bo jak nie, to co? – odparowała gniewnie Nisreen. – Nas też zamkniecie? Zamierzacie uwięzić w swoich klatkach cały Paryż?

Kamal wkroczył i gestem próbował uspokoić dyżurnego sierżanta.

– *Başçavuş...*

Sierżant go zignorował.

– Nic na ten temat nie wiem, ale na pewno chętnie bym zaczął od...

Kamal przerwał mu, odzywając się tym razem głośniej i bardziej stanowczo.

– *Başçavuş* Ahmet Efendi, proszę. Nie ma potrzeby bardziej zaogniać i tak już zaognionej sytuacji. Jestem pewien, że pani nie chciała okazać braku szacunku...

– Owszem, chciałam – wtrąciła się Nisreen tonem ociekającym pogardą. – Jestem świadoma każdego cholernego...

Kamal podniósł jedną dłoń, żeby ją uspokoić.

– Nisreen, proszę. Musisz się opanować. – Spojrzał na dyżurnego i dał mu do zrozumienia, że się tym zajmie, po czym zwrócił się znów do bratowej: – O co chodzi?

– To nie wiesz? – Doprawiła to taką dawką sarkazmu i pogardy, na jaką tylko mogła się zdobyć.

– Nie, nie wiem.

Nisreen obrzuciła go wzrokiem, trwało to tyle co krótki wdech, po czym rzekła:

– Ta kobieta to żona Ibrahima Sinasiego. Jej mąż nie wrócił wczoraj wieczorem z pracy. Sklepikarz, który go zna, widział, jak trzej mężczyźni prowadzili go do czarnego SUV-a i odjechali. Jego żona zamartwia się na śmierć. Jego dzieci tak samo. Człowiek jest dramaturgiem, na litość boską. – Urwała, po czym machnęła na niego ręką. – Po co, u diabła, zawracam sobie głowę i ci o tym mówię? Jesteś gorszy od nich. – Zwróciła się do swojej towarzyszki: – Chodźmy stąd.

– Nisreen, proszę, zaczekaj. Ja tylko...

Odwróciła się gwałtownie.

– Co? Co masz zamiar powiedzieć? – W oskarżycielskim geście skierowała palec w stronę sierżanta dyżurnego. – Wiemy, że go macie. Wiemy, że tu jest. – Mężczyzna zachował kamienną twarz, a ona przeniosła wzrok na Kamala. – Czy zamierzasz kazać mu powiedzieć nam, co się dzieje? Czy zamierzasz pomóc mi dociec prawdy, żebym mogła sprowadzić męża tej kobiety z powrotem do domu, gdzie jest jego miejsce?

– To nie jest takie proste. Wiesz przecież.

– A powinno być – wyrzuciła z siebie. – Kiedyś było. Wtedy gdy byliśmy jeszcze cywilizowanym krajem. Wtedy gdy ty i reszta tych zbirów mieliście sumienie i zasady. – Poprawiła chustę i zwróciła się do swojej towarzyszki: – Idziemy.

Wyciągnął rękę i złapał ją za ramię, żeby się zatrzymała.

– Nisreen...

Obróciła się ze złością i strąciła jego rękę.

– Nie dotykaj mnie. Nie waż się mnie dotykać.

Kamal zamarł.

Stali tak przez chwilę równą kilku uderzeniom oszalałych serc; patrzyli na siebie, a jej gniew przenikał go na wskroś jak gorące żelazo.

– Do czego to wszystko doprowadzi, Kamalu Ago? – syknęła w końcu. – Co zamierzacie zrobić? Wszystkich nas pozamykać? Czy wszystkich nas wydać swoim katom?

Spuścił wzrok i pokręcił głową. Zaczął mówić:

– To niesprawiedliwe... – Ona jednak już sunęła jak furia do wyjścia.

Patrzył za nią, aż znikła, a wtedy poczuł, jak coś w środku rozrywa go na strzępy.

W HURREM SULTAN KÜLLIYE Ramazan wybudzał swojego pacjenta.

Minęło już dość czasu od operacji, a wszystkie funkcje życiowe wydawały się w porządku. Serce tajemniczego mężczyzny biło równomiernie. Nerki działały prawidłowo. W rurkach drenażowych wychodzących z piersi nie było krwi, a zdjęcia rentgenowskie płuc nie wykazały niczego niepokojącego. Jednak dla Ramazana równie ważne było to, że zaraz kończyła się zmiana pielęgniarek na oddziale kardiologicznym, co jak wiedział, mogło oznaczać, że zmęczone siostry prawdopodobnie zostawią go samego z pacjentem.

Ucieszył się, widząc, że Anbara zeszła już z dyżuru. Nie rozmawiali o zaskakującym zachowaniu mężczyzny tuż przed operacją i teraz Ramazan też nie miał ochoty tego robić. Musiał zrozumieć, co się dzieje, a pomyślał, że im więcej czasu upłynie bez roztrząsania tego tematu, tym łatwiej będzie mu potem wszystko zbagatelizować, jeśli zajdzie taka potrzeba.

W asyście jednej z pielęgniarek Ramazan rozpoczął proces wybudzania pacjenta, stopniowo zmniejszając ilość podawanych dożylnie leków i przez cały czas monitorując jego reakcje, tylko że tym razem robił to nieco inaczej niż zwykle. Jego celem nie było to, żeby mężczyzna jak najszybciej się wybudził.

Chodziło mu po głowie coś innego.

Obserwował, jak czynności życiowe przyspieszają, aż zauważył pierwsze oznaki wybudzania. Oczy wytatuowanego pacjenta poruszyły się pod powiekami, które po chwili zamrugały, najpierw ledwo dostrzegalnie, potem już wyraźniej. Budząc się po operacji, pacjenci są otumanieni i zdezorientowani. Niektórzy dosyć szybko odzyskują zdolność jasnego myślenia, innym może to zająć wiele godzin. O to właśnie chodziło Ramazanowi: zamierzał jak najdłużej utrzymywać pacjenta w tym półprzytomnym stanie. W stanie, w którym nie będzie uważał na to, co mówi.

Pilnując, żeby pielęgniarka była zajęta czymś innym, Ramazan zmienił ustawienie kroplówki tak, aby wytatuowany mężczyzna nadal otrzymywał niewielką dawkę środka uspokajającego razem z anestetykiem. Dokładana doza potrzebna do osiągnięcia stanu, o jaki mu chodziło, pozostawała jednak zagadką. Nigdy jeszcze nie próbował przedłużać delirium pacjenta. Klóciło się to ze wszystkim, co powinien reprezentować sobą lekarz, i w oczywisty sposób łamało zasady i zwyczaje obowiązujące w tym zawodzie. Pomimo pulsującego niepokoju, pomimo napięcia

ogarniającego z wolna całe jego ciało, nie zamierzał się wycofać.

Nie był pewien, dlaczego to robi, ale nie chciał się za długo zastanawiać. Zdecydował się na to, nie bacząc na konsekwencje, powodowany niepohamowaną ciekawością, a towarzysząca tej decyzji ekscytacja napędzała go do działania i sama rosła w siłę. To było do niego niepodobne. Prawdę mówiąc, nigdy jeszcze do czegoś takiego nie doszło. Takie postępowanie nie było w jego stylu. Robiąc to, pomyślał o swoim bracie, Kamalu. To on z nich dwóch był tym, który lubił ryzyko i gardził zasadami. Ramazan zawsze był tym rozsądnym. Ostrożnym, rozważnym, zrównoważonym. Był nudnym, metodycznym anestezjologiem. I może dlatego właśnie teraz tak postępował. Może potrzebował przygody.

Może tego właśnie szukała w nim Nisreen.

Niecałą minutę później wytatuowany mężczyzna zaczął powoli odzyskiwać przytomność.

– Jak się pan czuje? – spytał Ramazan. Odczekał chwilę, po czym poklepał go lekko po lewym ramieniu. – Może pan podnieść tę rękę?

Mężczyzna był z pewnością półprzytomny. Nie mógł też mówić, bo w gardle nadal miał rurkę od respiratora. Ramazan poczuł, że pacjent lekko porusza ręką. Sprawdził mu oddech, ujął dłoń i ścisnął, jednocześnie sprawdzając reakcję, by się upewnić, że nie wystąpiło resztkowe zwiótczenie. Przekonawszy się, że wszystkie symptomy są prawidłowe, poprosił pielęgniarkę, by pomogła mu usunąć rurkę respiratora i zastąpić ją nosową kaniulą.

– Widzi pan – rzekł Ramazan, gdy już się z tym uporali – jest pan jak nowy. Niczego nie spieprzyliśmy, jak pan sobie życzył. Jakżebyśmy mogli, mając do czynienia z kimś tak ważnym.

Mówiąc to, żartobliwie puścił oko do pielęgniarki, ale przez cały czas skupiał się na pacjencie. Obserwował jego reakcje. Oczy mężczyzny błędziły po suficie, a on sam walczył z opadającymi powiekami, lecz po chwili ich spojrzenia się spotkały i Ramazan coś zauważył: cień uśmiechu i niezwykle powolne skinienie głową.

Ramazan osiągnął to, o co mu chodziło.

Zwrócił się do pielęgniarki:

– Już sobie tutaj poradzę. Może się pani zająć innymi obowiązkami.

Pielęgniarka wydawała się zaskoczona.

– Jest pan pewien?

– Tak. Ma pani za sobą długą noc. Pora kończyć pracę i iść do domu.

Pielęgniarka się zawahała, lecz w końcu kiwnęła głową, że się z nim zgadza.

– Dobrze. Dziękuję, to bardzo miłe z pana strony. – Uśmiechnęła się, rzuciła jeszcze przelotne spojrzenie na pacjenta i wyszła.

W pokoju zapanowała wymowna cisza, przerywana tylko cichym pikaniem urządzeń monitorujących.

Ramazan sprawdził dawkowanie leków i nachylił się tak, aby wytatuowany mężczyzna go widział.

– Miał pan rację – powiedział. – Jesteśmy pańskimi dłużnikami. Wszyscy. Wszyscy jesteście panu wdzięczni.

Mężczyzna popatrzył na niego z wyrazem konsternacji i zmęczenia na twarzy. A potem znów pojawiło się to lekkie, pełne samozadowolenia skinienie głowy.

Ramazana ogarnęła gorączka zniecierpliwienia.

– Ale jestem pewien, że chciałby pan, bym przekazał pańskie podziękowania reszcie personelu – rzekł, delikatnie biorąc go pod włos. – Wszyscy byliby zaszczytzeni. Co mogę im od pana przekazać?

Ramazan patrzył wyczekująco, a twarz pacjenta zasnęła się mgłą. Mężczyzna wydawał się zagubiony i najwyraźniej nie bardzo był w stanie uporządkować myśli. Wreszcie odnalazł chyba wewnętrzny spokój i odezwał się głosem ochrypłym i słabym, znowu przemawiając tamtym formalnym, klasycznym dialektem.

– Proszę im przekazać, że nie tylko ja, wasz gubernator, ale i nasz wielce szanowany padyszach, sułtan *muhteşem* Mehmed we własnej osobie, a także cały lud imperium, wszyscy jesteśmy wdzięczni za trud, jaki podjęliście, by uzdrowić waszego gubernatora.

Ramazan poczuł, jak powietrze uchodzi mu z płuc w przyływie zniechęcenia.

„Gubernatora?”

Ramazan prychnął drwiąco w duchu, starając się zdławić wzgardę, a jednocześnie wyrzucając sobie, że pozwolił, aby sprawy zaszły tak daleko. Gubernator. Każdy mieszkaniec paryskiego ejaletu, a może i całego imperium, wiedział, kto nim był w czasach *muhteşem* Mehmeda – Mehmeda Wspaniałego, prześwietnego Mehmeda IV, sułtana, którego armia podbiła Paryż i znaczną część Europy. Gubernator nazywał się Ayman Rasheed Pasza. Był nadwornym filozofem sułtana i jego specjalnym doradcą, tytanem osmańskiej historii. Imię Aymana Rasheeda Paszy widniało we wszystkich podręcznikach historii, a pomniki jego dziedzictwa, świadczące o jego chwale, można było zobaczyć w całym mieście.

„A więc ten pomyłony żartowniś uważa, że jest Aymanem Rasheedem Paszą”, pomyślał. Poczul się przygnębiony i zawiedziony. Wszystko okazało się wielką stratą czasu, ale z drugiej strony czego się spodziewał? Dał się ponieść wyobraźni pobudzanej głęboko zakorzenioną potrzebą przeżycia czegoś nieoczekiwanego, czegoś magicznego, co wlałoby nieco energii do jego życia i... małżeństwa.

Musiał odciąć dopływ leków i mieć nadzieję, że jego mała wycieczka poza granice szpitalnych przepisów pozostanie niezauważona. Zostawi pacjenta pod opieką pielęgniarek i postara się zapomnieć, że to w ogóle się wydarzyło.

Sięgał już do kroplówki, gdy mężczyzna powiedział:

– Chętnie zabrałbym pana z powrotem ze sobą. Byłby pan moim *hekimbaşı* – dodał.

Jego głównym lekarzem.

Ramazan się zawahał. Podejmując grę, powiedział:

– Czułbym się zaszczycony. Ale dokąd by mnie pan zabrał?

Mężczyzna popatrzył na niego z zaciekawieniem, jakby był zdziwiony, że Ramazan nie wie.

– Do Paryża, rzecz jasna.

Kolejny nonsens.

– Ależ jesteśmy w Paryżu, Wasza Ekscelencjo.

Mężczyzna wolno pokręcił głową z błyskiem przebiegłości w oczach.

– Nie mówię o waszym Paryżu, ale o moim.

– O pańskim Paryżu?

– Tak – odrzekł mężczyzna. – Mógłby pan zadbać o moje zdrowie i oszczędzić mi kolejnej podróży tutaj, gdyby pojawiły się komplikacje. To dość męczące, wie pan? I zawsze wiąże się z ryzykiem.

Ramazan ostrożnie przyglądał się pacjentowi, zastanawiając się teraz, kiedy wreszcie będzie mógł zakończyć tę absurdalną rozmowę i wrócić do rzeczywistości.

– Z ryzykiem? – spytał, uznając, że równie dobrze mógłby już teraz przywrócić pacjentowi całkowitą przytomność i skończyć z tą farsą. – Jak to?

– Nie jest łatwo pokonać trzysta lat w czasie. Trzeba być bardzo ostrożnym.

Ramazan powstrzymał się przed prychnięciem.

– A więc robił pan to już wcześniej?

– O tak.

– Kiedy się to wszystko zaczęło?

I wtedy Rasheed zaczął wyjaśniać.

Najpierw powoli. Potem, gdy Ramazan uświadomił sobie, że musi usłyszeć więcej, i postanowił dawkować leki tak, by utrzymać pacjenta na granicy delirium, jednocześnie nie pozbawiając go zdolności sensownego mówienia, mężczyzna się rozkręcił, a doktor naprowadzał go uważnie formułowanymi pytaniami i podpowiedziami.

Nie dopuszczając do siebie pielęgniarek, Ramazan słuchał pacjenta bardzo długo. A opowieść, którą usłyszał, nie wydała mu się bredzeniem żyjącego złudzeniami wariata czy wroga państwa.

Nic z tych rzeczy.

Ulegając własnym mrzonkom, Ramazan przyszedł do szpitala, aby poznać jakąś sensacyjną historię, która odmieni jego życie.

Zamiast tego usłyszał opowieść, która przerosła wszystko, co był w stanie sobie wyobrazić.

Historia Aymana Rasheeda zaczęła się w małym miasteczku Qayyarah w irackiej prowincji Niniwa. Był najmłodszym z trójki braci i dorastał w skromnym domu na zachodnim brzegu rzeki Tygrys, w domu, w którym największy wpływ na życie wywierała nie religia, lecz tradycja.

Ojciec Rasheeda był poważnym, umiarkowanie pobożnym mężczyzną o konserwatywnych poglądach, który modlił się codziennie, ale miał tylko jedną żonę i nie wzbraniał się przed zapaleniem czasem papierosa czy wypiciem szklaneczki araku. Był właścicielem niewielkiego zakładu wyrabiającego betonowe bloczki i sprzedającego miejscowym firmom dekoracyjny kamień oraz naturalny materiał brukarski. Zapewniał rodzinie chleb i dach nad głową i choć nie opuścił ani jednego dnia pracy, to udawało mu się czasem wygospodarować wolny wieczór, żeby pójść na ryby czy popływać z synami w rzece.

Po lekcjach chłopcy od najmłodszych lat pracowali z ojcem. Rasheed żywił do szkoły mieszane uczucia. Uwielbiał czytać i był prymusem w swojej klasie, a bystry umysł rekompensował mu brak tężyzny fizycznej, ale był z tego powodu wyśmiewany przez kolegów i przez swoich raczej nieokrzesanych braci. Praca w zakładzie mniej go interesowała, a przy tym była wymagająca fizycznie, zwłaszcza gdy ojciec chłopców wrócił z wojny Iraku z Iranem bez nogi i trzech palców u dłoni, za to przepelniony goryczą, która znajdowała ujście w laniu paskiem, jakie sprawiał swoim synom.

Po inwazji Saddama na Kuwejt w 1990 roku, gdy na Irak nałożono sankcje i zaczęło brakować pracy, starsi bracia Rasheeda zostali wcieleni do militarnej maszyny dyktatora. Rasheed wkrótce poszedł w ich ślady. A gdy już się znalazł w wojsku, prędko prześcignął braci, mimo że brakowało mu ich brutalności i męskości. Szybko dostrzeżono możliwości jego intelektu, a ponadto pomogła mu jego etyka pracy. Został awansowany na stopień majora w Dyrektoriacie Wywiadu Wojskowego dosłownie kilka tygodni przed tym, jak samoloty uderzyły w bliźniacze wieże.

Po jedenastym września Rasheed wyczuł, co się święci w najbliższych miesiącach. Wiedział, że szykuje się inwazja, ale miał za krótki staż w wywiadzie i został zagłuszony przez aroganckich pyszałków z kręgów najbliższych Saddamowi. Ostrzeżenia, które udało mu się wystosować, zostały zignorowane. Stracił obu braci, którzy zginęli od pocisków samosterujących dalekiego zasięgu już w pierwszym tygodniu wojny. Rzeź, która potem nastąpiła, zniszczyła resztę jego życia. Reżim się posypał, armia została rozwiązana i Rasheed wkrótce znalazł się z powrotem w Qayyarah, bezrobotny i upodlony na własnej ziemi.

Tak jak wielu innych młodych oficerów, w wyniku inwazji pozbawionych celu i targanych gniewem, odkrył w sobie żyłkę bojownika. Śmierć i zniszczenie w jego otoczeniu, a do tego widok amerykańskich żołnierzy paradujących w okularach przeciwsłonecznych na nosach i z najnowocześniejszą bronią u boku, wywoływały u niego wściekłość. Co gorsza, podobnie jak jego liczni sunniccy bracia, Rasheed był przekonany, że najeźdźcy próbują narzucić zmianę władzy, faworyzując większość szyicką kosztem sunnitów.

Intelektualista przeobraził się w żołnierza. Pomimo sprzeciwów ojca Rasheed wkrótce dołączył do bojówek, których przybywało w okolicach Mosulu, niedaleko od jego rodzinnego miasteczka. Wraz ze swoim powstańczym oddziałem na początku odnosił nawet pewne sukcesy, atakując amerykańskie konwoje wojskowe za pomocą min pułapek, a także organizując błyskawiczne napady na prywatnych dostawców sprzętu i kurdyjskie oddziały, ale wkrótce został uwięziony. Po ostrej wymianie ognia z oddziałem piechoty morskiej w pobliżu Kirkuku latem 2004 roku został zakuty w kajdanki i błyskawicznie przewieziony do Camp Bucca na południu Iraku.

To w rozległym kompleksie obozowym w Bucce narodziło się ISIS.

Jego bracia nie żyli, kraj był w ruinie i dzień po dniu wszystko, co Rasheed widział i słyszał wokół siebie, napępniało go wściekłością. Znęcanie się, upokarzanie i maltretowanie było na porządku dziennym. Mężowie, ojcowie i synowie byli otaczani podczas nalotów na okoliczne miejscowości i zamykani, mimo iż wielu z nich nigdy nie walczyło. Część więźniów jednak nie była tak niewinna i to do nich ciągnęło Rasheeda, zwłaszcza po otrzymaniu wiadomości, że jego rodzice zginęli w ataku szyickich bojowników na jego rodzinne miasto.

Rasheed się zmienił. Wpadł w bolesną spiralę żalu, gniewu i poczucia beznadziei. Początkowo odliczał długie godziny samotności, ćwicząc na siłowni i pożytkując swoją wściekłość, by podnieść sprawność fizyczną. Co bardziej istotne, zaczął też dyskutować z ludźmi, o których dotąd miał jak najgorsze zdanie, z radykalnymi islamistami.

Większość tych, którzy zostali przywódcami ISIS, podczas okupacji Iraku siedziała w amerykańskich więzieniach Camp Bucca, Camp Cropper czy w owianym najgorszą sławą – Abu Ghraib. Pobyt w tych miejscach sprawiał, że ludzie się radykalizowali, działał na nich jak zapalnik. Ale to Bucca okazała się głównym inkubatorem ruchu. To tam zwolennicy partii Baas Saddama Husajna, tacy jak Rasheed – umiarkowanie religijni – oraz fundamentaliści islamscy, dwie grupy dotąd wrogo do siebie nastawione, po raz pierwszy przymusowo się ze sobą zetknęły. Uwięzienie dało im możliwość rozmowy, wyrażenia pretensji i odkrycia tego, co ich łączy: jedni i drudzy byli sunnitami, jedni i drudzy nienawidzili Amerykanów i szyitów, swoich odwiecznych religijnych wrogów. W więzieniach przygotowywali się do tego, co zamierzali robić, gdy odzyskają wolność, a odzyskali ją albo tak jak Rasheed jesienią 2007 roku za sprawą tych, którzy ich schwyтали, albo w wyniku jednej ze zbrojnych ucieczek z więzienia po tym, gdy Amerykanie przekazali je swoim nowym sojusznikom, szyitom.

W przypadku Rasheeda powrót do domu nie wchodził już w grę. Chęć znalezienia się w rodzinnych stronach została zastąpiona przez palące pragnienie ukarania winnych i żądze walki.

I to nie byle jakiej walki. Jego pragnieniem była święta wojna. Dżihad.

Zwykłych żołnierzy, którzy mieliby ją prowadzić, nie brakowało, i nie tylko po tym, jak Amerykanie rozwiązali iracką armię i czterysta tysięcy mężczyzn zostało bez pracy i bez płacy – ale z bronią.

W Bagdadzie Rasheed odnalazł człowieka, którego poznał w Bucce, i znowu przystąpił do walki – walki, która zaczęła się w Iraku i wkrótce rozlała po Syrii. Do tysięcy miejscowych bojowników dołączały hordy zagranicznych dżihadystów, fanatyków marzących o ustanowieniu islamskiego kalifatu, gdzie obowiązywałyby zasady z siódmego wieku, albo o męczeńskiej śmierci, która spotkałaby ich w zmaganiach o wcielenie tej idei w życie. I choć rozszerzające się powstanie zdawało się dziełem zbieraniny religijnych ekstremistów, to kryjące się za ich plecami dowództwo składało się prawie wyłącznie z doskonale wyszkolonych byłych irackich oficerów, takich jak Rasheed, którzy służyli pod rządami Saddama i dla których islamiści byli jedynie dającymi się łatwo wykorzystać idiotami – użytecznymi, ale nie niezbędnymi sojusznikami.

Rasheed ze swoją fachową znajomością sztuki wojskowego wywiadu, ze strategiczną przebiegłością i taktyczną bezwzględnością szybko piął się w strukturach dowództwa ISIS. Z każdym mijającym tygodniem przybywało ofiar, a powstańcy kontrolowali coraz więcej ziem. Rozległe tereny Iraku i Syrii – obszar wielkości Wielkiej Brytanii – znalazły się w rękach obszarpanych powstańców, a z ich tyranią musiało się mierzyć przeszło dwanaście milionów ludzi. Ale to nie mogło długo potrwać, a Rasheed dzięki swej inteligencji zdołał przewidzieć, że się kiedyś skończy.

I to skończy się źle. Źle dla walki przeciwko syryjskiemu reżimowi, źle dla zmagañ z ich szyckim wrogiem i źle dla niego. Ataki w Europie i przyklaskiwanie aktom terroryzmu w dalekim Bostonie czy San Bernardino wywołały ogromną falę wrogości do ISIS. Rosja i Ameryka zaangażowały się głęboko w konflikt i choć miały różne plany działania, to łączył je wspólny cel: zetrzeć ISIS z powierzchni ziemi, nawet za cenę utrzymania przy władzy syryjskiego reżimu z jego rzeźnikami i bronią chemiczną.

Ataki powietrzne na Rakkę i inne bastiony ISIS pochłonęły życie setek wojowników, a także zniszczyły wiele rafinerii i poruszających się w konwojach cystern. Amerykańskie samoloty wojskowe zbombardowały jeden ze skarbców, zmieniając w popiół banknoty o wartości setek milionów dolarów. Najbogatsze ugrupowanie terrorystyczne na świecie zaczynało cienko przuć. Bojownicy tłumnie uciekali z tonącego statku, golili brody i dawali się pochłonać chaosowi.

Ich kalifat miał nigdy nie powstać.

Na długo przed tym, jak losy wojny się odwróciły, Rasheedowi przestało być po drodze z obskurancą dystopią, którą próbowali powołać do życia dżihadysty. Zamykanie szkół, wymuszanie, by wszystkie firmy przerywały pracę na czas modlitwy, zakazywanie palenia papierosów i słuchania muzyki. Zmuszanie kobiet do chowania się od stóp do głów w czerni i chłosta, jeśli którejs zdarzyło się pokazać choćby brew. Pełne sadyzmu publiczne kamienowania i egzekucje, w tym ukrzyżowania. Było to równie złe jak życie pod rządami

talibów, jeśli nie gorsze. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby tak egzystować.

Rasheed z pewnością się na to nie godził.

Uważał się za dobrego muzułmanina, ale nie taki świat chciał stworzyć. Tydzień po tygodniu przyglądał się z rosnącą irytacją, jak stojący na czele ruchu idioci popełniają kolejne błędy i wydają coraz bardziej kretyńskie zarządzenia. Dołączył do nich swój wagonik w gniewie i rozpacz, ale cały pociąg jadący do kalifatu się wykoleił i lada moment mógł runąć w przepaść.

Nadszedł czas, żeby z niego wyskoczyć.

W najbardziej odpowiednim momencie pojął dyrektora muzeum i wydobył z niego informację o fenomenalnym odkryciu. Rasheed, znając dobrze historię, wiedział, jak bardzo wielkie kalifaty różniły się od prostackiego tworu, który miał być dziełem wojujących teraz barbarzyńców.

Tysiąc lat przed powstaniem ISIS to arabskie dokonania intelektualne i kulturalne wyznaczały kierunki rozwoju na całym świecie, podczas gdy kraje chrześcijańskie nurzały się w mrokach średniowiecza. Muzułmańskie społeczności w tamtym czasie były otwarte i ciekawe świata, chrześcijańską Europę zaś cechowały zaściankowość i strach przed bluźnierstwem. Ceniono wykształcenie i wiedzę naukową. Tłumaczono dzieła Arystotelesa, które studiowano potem w Bagdadzie i Kordobie, podczas gdy w Rzymie i Paryżu były one zakazane.

Rasheed dobrze znał te ekscytujące czasy, gdy jego przodków napędzały do działania płynąca z pewności siebie otwartość na nowatorskie idee i pragnienie posiadania nowych terytoriów, zdobywania wiedzy i rozwoju. Światopogląd bazujący na jedynym w swoim rodzaju połączeniu teologii i racjonalnego myślenia przyczynił się do przełomowych odkryć w dziedzinie medycyny, astronomii, kartografii czy matematyki. Rozkwitały malarstwo, poezja i muzyka. Muzułmańscy myśliciele należeli też do awangardy raczkujących dopiero wyrafinowanych sporów w dziedzinie filozofii, teologii, prawa i literatury. Teksty starożytnych Greków, pisma hinduskie i perskie były tłumaczone na język arabski i studiowane przez muzułmańskich uczonych, idących ramię w ramię ze swoimi chrześcijańskimi i żydowskimi kolegami po fachu; stały się natchnieniem dla późniejszych odkryć dokonywanych przez ludzi takich jak Tomasz z Akwinu. Przez siedemset lat międzynarodowym językiem nauki był arabski. Bagdad, gdzie znalazło się miejsce dla Bajt al-Hikma, Domu Mądrości, ufundowanego pod koniec ósmego wieku przez kalifa Haruna ar-Raszida, stanowił epicentrum świata intelektu.

Rasheed sporo też wiedział o tych wspaniałych czasach, gdy islamskie imperia rozciągały się od Hiszpanii aż po Chiny. Władza Maurów sięgała po Półwysep Iberyjski i południe Francji; Osmanowie podbili Bałkany i Węgry, po czym stanęli u bram Wiednia. To dopiero były dni imperium i kalifatu. Świat chrześcijański drżał przed armiami islamu, armiami, w których Rasheed sam z dumą by służył, armiami dowodzonymi przez ludzi powodowanych pragnieniem podboju i sławy, wielkich duchem, pobudzanych do działania także przez głód wiedzy, sztuki, mądrości i ciekawej rozmowy. Te wspaniałe dni należały jednak do zamierzchłej przeszłości. Rasheed miał wrażenie, że wieki minęły od czasu, kiedy jego lud

osiągnął coś, z czego mógł być dumny.

Awicenna, Awerroes, Rhazes.

Abd ar-Rahman II, Saladyn, Sulejman Wspaniały.

Imiona, które po dziś dzień, po tylu wiekach, budzą respekt, podziw i szacunek.

Kiedy ostatni raz ktoś z tej części świata, w której żył Rasheed, był darzony takim poważaniem – nie tylko przez swój własny lud, ale i przez cały świat?

Rasheed wiedział, że aspiracje jego towarzyszy broni ogłaszających džihad były od tego wszystkiego dalekie, bardzo dalekie. Ale dzięki tajemnicy dyrektora muzeum pojawiła się przed nim alternatywa.

Zdecydowanie warto było walczyć o kalifat.

Ale nie taki, o jakim myślało ISIS.

PARYŻ

OBECNIE

STOJĄC WRAZ Z ŻONĄ dramaturga w duchocie przed centralnym dworcem tramwajowym przy Hôtel de Ville, Nisreen wciąż była roztrzęsiona i nie mogła uwolnić się od myśli o swojej konfrontacji z Kamalem.

„Jak to możliwe, że tak się zmienił?”

– Przepraszam – wyszeptała, próbując się opanować. – Niepotrzebnie dałam się ponieść.

Kobieta popatrzyła wzrokiem, w którym ukazał się ogrom jej cierpienia.

– Co teraz zrobimy? Dokąd nas to zaprowadzi?

– Pójdę do znajomego sędziego. Mam nadzieję, że będzie mógł nam pomóc. – Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na przedramieniu kobiety, by okazać jej wsparcie. – Bądź, proszę, dobrej myśli. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby jak najszybciej go stamtąd wydostać.

Kobieta niepewnie pokiwała głową. Po chwili wahania spytała:

– Tamten mężczyzna. Ten, z którym... To twój szwagier, prawda?

Nisreen popatrzyła na nią, po czym skinęła głową z miną wyrażającą coś pomiędzy przeprosinami, żalem i zażenowaniem. Kamal był obecnie gwiazdą Hafiye, a w plotkarskich kręgach osmańskiego społeczeństwa takie rzeczy nie pozostawały niezauważone. Nisreen nie była pewna, czy to właśnie przyciągało do niej ludzi potrzebujących pomocy, czy raczej kazało im trzymać się od niej z daleka.

– Wydawało się, że chciał pomóc – dodała kobieta. – Ale nie dałaś mu szansy.

Nisreen smutno pokręciła głową.

– Przepraszam – powiedziała. – Rzecz w tym...

– Chciał pomóc – upierała się kobieta, a w jej głosie zaczynała pobrzmiwać desperacja. – Może powinnaś z nim pomówić, przeprosić...?

Nisreen popatrzyła na nią i powoli pokiwała głową, starając się opanować. W ostatnich dniach już sam dźwięk imienia jej szwagra rozpałał w niej płomień wściekłości.

Kobieta wyczuła niepokój Nisreen i dodała:

– A może twój mąż mógłby z nim porozmawiać?

– Chciałabym – odrzekła Nisreen. – Ale ostatnio nie są w najlepszych stosunkach.

Jej myśli, uwięzione do tej pory w błędnym kole, zaczęły zataczać kolejny krąg: Jak to możliwe, że dwóch braci wyrosło na tak różnych ludzi?

Znała Kamalą i Ramazana od czasów dzieciństwa. Razem się bawili. Na litość boską, Kamal był stryjem Tareka i Noor. Ale on i jego brat zawsze się różnili.

Może źle sformułowała pytanie. Może powinna raczej spytać, jak to możliwe, że Kamal nie dostrzega, kim się stał? Jak może patrzeć na siebie każdego dnia w lustrze, wiedząc, w czym uczestniczy?

Nie mogła znieść tego uczucia. Ale niezależnie od odrazy, jaka się w niej wezbrała na widok Kamalą w tym miejscu, w tym mundurze, wśród tych ludzi, wiedziała, że nie może znieść czegoś jeszcze. Dawnej, nienazwanej więzi, która wciąż żyła, pamiątki po młodości. Mimo wszystko istniało między nimi coś, czego nigdy nie zdołała do końca zapomnieć.

I nie mogła ścierpieć myśli, że tak musiało być.

NISREEN URODZIŁA SIĘ W ubogim domu na obrzeżach paryskiej metropolii. Nie pozostała w nim jednak długo. Gdy miała osiem lat, sytuacja zmusiła jej rodziców do sprzedania córki pewnej zamożnej rodzinie.

Choć formalnie rzecz biorąc, uczyniło to z niej niewolnicę, rzeczywistość w społeczeństwie osmańskim była inna. Handel niewolnikami, przez wieki bardzo istotny element osmańskiego systemu militarnego i społecznego, został ukrócony już kilka dekad wcześniej. Jedną z niewielu jego wciąż żywych form była prywatna sprzedaż dzieci przez ich rodziców, lecz obowiązywały przy tym bardzo surowe zasady. Nisreen miała być traktowana jak dziecko w pieczy zastępczej i mogła liczyć na przysługujące w tej sytuacji wsparcie i opiekę. Jej miejsce było wśród służby i musiała wypełniać swoje obowiązki związane z prowadzeniem domu, ale miała też jeść to samo co rodzina, u której mieszkała, i nosić takie same ubrania. Przybrani rodzice mieli ją wychowywać, utrzymywać, byli zobowiązani zapewnić jej takie samo wykształcenie i naukę zawodu, jakby była „wolną” osmańską dziewczynką – albo ich córką, gdyby ją mieli. Czas jej niewoli także był ograniczony; miała otrzymać dożywotnią pensję, a w chwili osiągnięcia pełnoletności jej chlebodawcy mieli zapewnić jej posag i zgodnie z tym, co zostało ustalone z jej biologicznymi rodzicami, wybrać męża. Miała też do dyspozycji sąd, przed którym mogła się ubiegać o zadośćuczynienie za wszelkie krzywdy doznane z rąk właścicieli.

Szczęśliwie trafiła do wyjątkowo szlachetnego i szczodrego pana, należącego do kręgu uczonych i prawników radcy prawnego, który mając trzech synów, nigdy nie przestał marzyć o córce. Nisreen to jego marzenie spełniła. Szybko poznał się na jej inteligencji, dociekliwości i sile charakteru. Podsycił jej pragnienie poszerzania horyzontów wbrew rozpowszechnionym i głęboko zakorzenionym opiniom oraz temu, że dzieląc ją krzywo na to patrzyli. W większości osmańskich rodzin,

pomimo postępu, jaki zapewniły reformy Murada, edukacja dziewcząt była ograniczona do spraw religii. Zgodnie z tradycją kobietom nie było wolno studiować przedmiotów, które mogły podkopać patriarchy, a prawo zajmowało wśród nich miejsce szczególne. Nawet literatura nie była uważana za stosowną dla nich dziedzinę studiów. Nauka kobiet miała się koncentrować na tym, jak być dobrą muzułmańską żoną, umiejącą się zachować w towarzystwie, a niekoniecznie skupioną na dążeniu do osiągnięcia sukcesów w życiu zawodowym. Kobiety, które pracowały, zarabiały zauważalnie mniej od mężczyzn. Wiele dziewcząt wciąż musiało toczyć boje z własnymi rodzinami – zwłaszcza z ojcami i braćmi – jeśli tylko nie chciały się dostosować do przyjętych norm.

Jednak Nisreen słuchanie niekończących się recytacji religijnych tekstów nie wystarczało, żeby zaspokoić głód wiedzy. Jej pan skwapliwie skorzystał z reform Murada i pozwolił jej zrobić użytek ze swojej biblioteki. Poznawała klasyczne pozycje z literatury i poezji lirycznej Bliskiego Wschodu, nauczyła się francuskiego i perskiego, by wreszcie zacząć zgłębiać teksty prawnicze. Gdy w końcu zaczęła przelewać swoje myśli na papier, przybrany ojciec nadal ją wspierał, zwłaszcza gdy postanowiła się przeciwstawić konserwatywnemu pomniejszeniu roli płci żeńskiej, opowiadając się za prawem do nauki dla dziewcząt i w ogóle za prawami dla kobiet. Z czasem pomógł jej uzyskać dyplom prawniczy i otworzyć własną firmę, małą, postępową kancelarię prawną, w której mężczyźni i kobiety pracowali razem i która nie wzbierała się przed prowadzeniem drażliwych spraw, jakich nie brakowało, szczególnie w oczach kobiety o takich przekonaniach jak Nisreen.

Gros jej pracy dotyczyło praw kobiet, wciąż ograniczonych, mimo że podejście do tego tematu w imperium i tak było bardziej postępowe niż w wielu innych częściach świata, zwłaszcza w Chrześcijańskiej Republice Ameryki, hołdującej purytańskiemu stylowi życia, czy w ortodoksyjnie prawosławnej Rosji. Osmańskie kobiety mogły posiadać własny dobytek, mogły dziedziczyć i zapisywać w spadku majątki; mogły zakładać i prowadzić fundacje; mogły pozywać mężczyzn – nawet własnych mężów czy krewnych – do sądu, by przedstawić swoją sprawę sędziom i bronić własnych interesów. Po ślubie zgodnie z islamskim prawem mogły zachować swój odrębny status prawny i własne nazwisko. W krajach chrześcijańskich większość takich rozwiązań była czymś nie do pomyślenia.

Co więcej, osmańskie kobiety mogły zakończyć niechciane małżeństwo w sposób, o którym kobiety w tamtych krajach mogły tylko pomarzyć. Wśród osmańskich par często zdarzały się rozwody, inicjowane zarówno przez kobiety, jak i przez mężczyzn. Słyszano nawet o przypadkach, gdy żyjące w imperium niemuzułmanki przechodziły na islam, by wyzwolić się z niechcianego związku.

Kobiety w CRA natomiast miały lepiej pod innym względem: mogły głosować. Pod koniec minionego wieku prawo wyborcze uzyskały wdowy i niezamężne panie powyżej trzydziestego roku życia.

Dla Nisreen wszystko sprowadzało się do dwóch prostych zasad: przysługujące ludziom prawa nie mogą się opierać na zwyczajach, ale powinny być wypracowywane, tak by bazowały na rozsądku i sprawiedliwości, niezależnie od tradycji, z jakiej się wywodzą; kobiety zaś jako istoty ludzkie zasługują na takie same fundamentalne prawa, jakie mają mężczyźni. Odniosła sukces w walce przeciwko wprowadzeniu w życie prawa, na mocy którego mężczyzna oskarżony o gwałt na nieletniej mógł uniknąć skazania, gdy poślubi swoją ofiarę. Złożyła apelację w sprawie pani chirurg skazanej za zszywanie błon dziewiczych młodych dziewcząt. Broniła handlarza przemycającego z Dalekiego Wschodu sztuczne błony dziewicze. Ale odkąd na tronie zasiadł Abdülhamid, Nisreen w swojej pracy coraz częściej popadała w publiczny konflikt z religijnymi przywódcami i z konserwatywnymi filarami społeczeństwa, a żarliwej obrony wymagały już nie tylko prawa kobiet.

Pewien komik został skazany na chłostę za zniesławienie bejlerbeja, gdy rozprzestrzenił się zamieszczony przez niego w Internecie mem ukazujący hipopotama z popularnej kreskówki zestawionego ze zdjęciem urzędnika, na którym wyglądał on bardzo podobnie do zwierzaka. Redaktor jednej z najbardziej szanowanych gazet w całym ejalecie, nieowijającej w bawełnę „Tasvir-i efkâr” – której tytuł znaczy „obraz idei” – został uwięziony za opublikowanie, jak powiedzieli państwowi urzędnicy, „sfabrykowanych wiadomości”. Terminem tym posługiwali się zresztą niepokojąco często.

Sytuacja stała się poważniejsza i nie była to już tylko kwestia zasad.

Stawką było ludzkie życie.

– SPRÓBUJ – BŁAGAŁA ŻONA dramatopisarza, gdy nadjechał tramwaj, dzwoniąc na nieuważnych pieszych, by zeszli z torów. – On w tym siedzi. I należy do twojej rodziny. Przyda nam się każda pomoc.

– Spróbuję. Przyrzekam – zapewniła ją Nisreen. – Wrócę już lepiej do kancelarii i podzwonię do różnych ludzi.

– Dasz mi znać, gdy tylko się czegoś dowiesz?

– Oczywiście.

Kobieta popatrzyła na nią przez chwilę, a z jej oczu bił ogromny niepokój. Wreszcie skinęła głową i wsiadła do wagonu dla kobiet.

Nisreen stała z ciężkim sercem i patrzyła za oddalającym się tramwajem, dopóki nie zniknął w przedpołudniowym ulicznym chaosie.

Odeszła, wciąż targana emocjonalnym huraganem, który sama wywołała. Musiała ochłonąć i wrócić do kancelarii, skąd będzie mogła zatelefonować do jednego z sędziów, tego, który był bliskim przyjacielem jej pana.

Co do Kamala... chciała porozmawiać o tym z Ramazanem.

Postanowiła pójść do kancelarii pieszo i uspokoić w ten sposób rozszalałe myśli.

Przeszła przez zatłoczoną ulicę i ruszyła nabrzeżem, tuż nad wodą, gdzie powietrze było odrobinę chłodniejsze. Lubiła spacerować nad rzeką. Woda – mętna i ciemna, ale płynąca z niewzruszoną niezmiennością – działała jak środek uspokajający na jej wzburzone zmysły.

Patrząc przed siebie, myślała z czułością o swoim panu. Bolała nad tym, że nie ma go przy niej; żałowała, że nie żyje i nie może jej wesprzeć czy poprowadzić przez te trudne czasy. Gdzieś w głębi duszy czuła jednak pewną ulgę, że już go nie ma i nie widzi, co się stało z jego krajem, choć się zastanawiała, czy gdyby widział, nie rzuciłby się z lubością w wir walki o duszę imperium. Nigdy nie stronił od zmagania. Właśnie ta jego cecha pobudzała ją do działania i dawała siłę do dalszej pracy pomimo strachu i gróźb. W jakimś sensie czuła, że jest to winna jego pamięci. Bez wsparcia swojego pana nigdy nie została by tak szanowaną obrończynią praw kobiet ani tak rozpoznawalną autorką artykułów w paryskiej prasie, wysoce poważaną i chętnie czytaną przez zwiększającą się stale grupę piśmiennych pań. Stworzył jej możliwości, a ona dołożyła starań, by je dobrze wykorzystać. Kochała go i uważała za swego prawdziwego ojca, nawet po odejściu z jego domu, gdy jego żona wraz ze swą koterią uznała, że nadszedł czas, by Nisreen wyszła za mąż.

Jej zastępczy rodzice przyjaźnili się z rodzicami Kamala i Ramazana – tak właśnie Nisreen poznała obu braci. Byli, wraz z jej przyszywanym rodzeństwem, przyjaciółmi z dzieciństwa. Wolno im było razem się bawić i jeździć na wycieczki, dopóki Nisreen nie weszła w wiek dojrzewania. Mniej więcej w tym czasie zauważyła, że Kamal nie jest jej obojętny, i czuła, że ona też mu się podoba. Zwyczaj jednak nakazywał, aby zaczęła nosić kwef i aby znikła z życia braci. Pojawiła się w nim znowu dopiero wtedy, gdy rodzice zaaranżowali jej małżeństwo z Ramazanem. Oczywiście z dwójki młodzieńców wybrany został Ramazan: był straszny od Kamala, choć tylko o cztery lata, wydawał się bardziej zrównoważony, miał pewną, dobrze płatną pracę i medyczny zawód, gwarantujący stabilne zatrudnienie. Ani ona, ani Kamal nie mieli sposobności wypowiedzieć się na ten temat, postawiono ich przed faktem dokonanym, a Nisreen z szacunku dla swego pana i jego żony nigdy nie zakwestionowała tej decyzji, choć widziała, jak w oczach Kamala odbija się jej własny niewysłowiony smutek. Wszystko to jednak należało do odległej przeszłości, a jej rodzice koniec końców mieli chyba rację. Ramazan okazał się odpowiedzialnym mężem i ojcem ich dwojga dzieci, darzył ją szacunkiem, był dobry i szczodry, mimo że płomień namiętności nigdy nie zdołał się między nimi rozpalic do rozmiarów pożogi, o jakiej słyszała nieraz w szeptanych rozmowach czy czytała w zakazanych książkach. Kamal zaś podążył drogą swojej rozbrykanej młodości i stał się... „tym kimś”.

A jednak...

Starła się uwolnić od wszelkich myśli o nim i skupić na tym, co naprawdę ważne: na umożliwieniu dramatopisarzowi powrotu do rodziny.

W końcu rodzina była najważniejsza.

Mocno w to wierzyła, nawet jeśli ta wiara wymagała poświęcenia.

W ŚLEPEJ PIWNICY jednej z nowoczesnych dobudówek starego zamku Kamal bezskutecznie walczył z emocjonalnymi wstrząsami wtórnymi po spotkaniu z Nisreen.

Był teraz z Taymoorem u analityka, który przeglądał zapis monitoringu znad rzeki.

Ogromne pomieszczenie było jednym z kilku pokoiów analizy danych znanych ogólnie jako Groty. Każde ze stanowisk wideonadzoru wyglądało tak samo: biurko z kontrolerami, na nim wielki płaski ekran w otoczeniu mniejszych monitorów. Panowała tu złowieszcza cisza. Ściany i sufit były pozbawione ozdób i wyłożone dźwiękochłonną materią w kolorze matowego grafitu. Klimatyzacja pracowała na wysokich obrotach. Analitycy nosili specjalne okulary chroniące wzrok przed blaskiem monitorów. Ich identyczne ciemnoszare uniformy zdawały się wysysać z tej surowej, przytłaczającej przestrzeni resztki człowieczeństwa.

– Proszę, popatrzcie na tę parę – zwrócił się do nich analityk, wciskając guzik odtwarzania, a drugą ręką wskazując wielki ekran.

Zapis z kamery monitoringu ukazał nabrzeże nad Sekwaną. I choć była noc, obraz wydawał się zaskakująco jasny. Działo się tak dzięki stale ulepszanym filtrom, które sprawiały, że filmowanie nocą dawało równie dobre efekty jak za dnia.

Na ekranie ukazali się schodzący po schodach z mostu mężczyzna i kobieta. Gdy dotarli na nabrzeże, coś ich wyraźnie zaskoczyło – po chwili zaskoczenie przerodziło się w szok. Kobieta pokazuje coś i krzyczy. Następnie mężczyzna podchodzi bliżej wody i robi to samo, przyjmując bardzo wojowniczą pozę. Po chwili przestaje krzyczeć i się odwraca, żeby pocieszyć swoją towarzyszkę. Wydają się o coś spierać, ale to też nie trwa długo. W końcu wchodzą z powrotem po schodach i znikają z widoku, wyraźnie zmierzając do jakiegoś określonego celu.

Analityk zatrzymał nagranie.

– To wszystko. Ani przedtem, ani potem nie zdarzyło się nic ciekawego.

– Coś zobaczyli – stwierdził Taymoor.

Kamal spojrział na oznaczenie czasu nagrania. Była godzina 5.34. Przed świtem.

– Czy mamy kamerę skierowaną na drugą stronę rzeki?

– Są zainstalowane po obu stronach mostu, ale nic na nich nie ma.

– Jest jakiś martwy punkt?

– Tak. Dokładnie pod mostem. Kamery nie sięgają jeszcze w każdy zakamarek. Kamal zmarszczył brwi.

– Musimy ich odnaleźć – stwierdził Taymoor. – Dowiedzieć się, co zobaczyli.

– Wytropimy ich – odrzekł analityk.

– A co mamy na poziomie ulicy? – spytał Kamal. – Przy wejściu na most? U szczytu schodów?

– Chwileczkę.

Analityk pomajstrował przy kontrolerach i znalazł odpowiedni zapis. Ustawił czas i włączył odtwarzanie.

Na monitorze pojawiły się przejeżdżające samochody i autobusy – ruch jak każdego dnia wcześniej rano. Nagle z klatki schodowej wyłonił się mężczyzna.

– Spójrzcie – pokazał Kamal.

Patrzyli, jak mężczyzna chwiejnym krokiem wychodzi na chodnik i oddala się od mostu. Porusza się z wyraźnym trudem.

– Pijany? – spytał analityk.

– Pijany albo ranny – odparł Kamal. – Może w bójce.

Mężczyzna zatrzymuje się przy przejściu dla pieszych w pobliżu wjazdu na most. Czeka lekko skulony i rozgląda się w lewo i w prawo. Wreszcie przechodzi przez jezdnię, nie czekając na zmianę świateł, i znika w odchodzącej od rzeki ciemnej bocznej uliczce.

– Trzeba go wytropić – powiedział Kamal. – Musimy wiedzieć, dokąd poszedł.

– I musimy zobaczyć jego twarz – dodał Taymoor.

Analityk za pomocą kontrolerów cofnął nagranie, po czym odtworzył je znowu, ale w zwolnionym tempie.

Mężczyzna miał zwieszoną głowę, ale w pewnym momencie, gdy rozglądał się przed przejściem przez jezdnię, jego twarz częściowo stała się widoczna.

Analityk zatrzymał i powiększył obraz.

Jakość nie była najlepsza, bo kamerę zamontowano wysoko nad ulicą, ale zawsze coś mieli. Zobaczyli mężczyznę po sześćdziesiątce, z gęstymi włosami, ale bez zarostu.

– Sprawdźmy, dokąd poszedł – rzekł Taymoor.

Analityk zajął się kontrolerami, żeby w sieci monitoringu namierzyć ich cel.

Kamal miał wielką ochotę stamtąd wyjść.

Akurat w tej chwili odezwał się telefon Taymoora. Gdy sprawdzał, kto dzwoni, Kamal rzekł:

– Poradzicie sobie sami? Muszę się czymś zająć.

Taymoor o nic go nie zapytał – nie tutaj, nie w obecności analityka monitoringu.

Skinął tylko głową, że się zgadza, i odebrał telefon, a Kamal wyszedł.

TAYMOOR, PATRZĄC za odchodzącym partnerem, odebrał telefon.

Na wyświetlaczu pokazało się tylko „A” – w jego komórce wiele kontaktów było zapisanych pod samymi inicjałami przez wzgląd, jak twierdził, na dyskrecję. Ale „A” nie oznaczało osoby, której Kamal czy ktokolwiek inny, kto spojrzełby na wyświetlacz, mógł się w naturalny sposób spodziewać. Dzwonił Ali Huseyin, też agent. Tylko że Huseyin nie był z wydziału antyterrorystycznego. Był z Wydziału Z.

– Co tam?

– Jesteś sam czy z Kamalem Agą?

Taymoorowi się to nie spodobało.

– Właśnie wyszedł. A co?

Huseyin zawahał się przez chwilę, jakby się zastanawiał, co powiedzieć.

– Ktoś został oflagowany. Pomyślałem, że powinieneś wiedzieć. Ale nie możesz mu niczego zdradzić. Mówię ci o tym w ramach przysługi, bo jestem twoim dłużnikiem i nie chcę, żebyś oberwał rykoszetem.

– O kogo chodzi?

– O Sajjida Ramazana Hekima. Brata Kamala.

Taymoor odsunął się od specja od monitoringu i odruchowo spojrzeł na drzwi do pomieszczenia, choć wiedział, że Kamal nie wróci.

– A jaki jest powód?

– Wyszukiwania w Internecie. Na jego domowym komputerze.

Taymoor się spał.

– Wiesz, że to na pewno nic takiego – powiedział spokojnym, pewnym głosem.

– Być może. Prawdopodobnie. Na razie sprawa ma niski priorytet, ale wiesz, jak bywa, bracie. To nie ode mnie zależy.

– Wiem. Mimo wszystko to na pewno bzdura.

– Mam taką nadzieję. Ze względu na niego i na ciebie. Sporo ryzykuję, ale pomyślałem, że powinieneś wiedzieć. Wdrożono procedurę inwigilacji na poziomie trzecim. Może coś w tym jest, może nic nie ma. Tak czy inaczej, dowiemy się, jak jest naprawdę.

Do Taymoora dopiero po chwili dotarło znaczenie tej informacji. Poziom trzeci – niedobrze.

– Informuj mnie na bieżąco. Cokolwiek się zdarzy.

Nie była to prośba, lecz polecenie. Wiedział, że na Huseyinie może polegać.

– Oczywiście.

– Świetnie – odparł Taymoor, po czym się rozłączył, klnąc pod nosem.

KAMAL NIE POTRZEBOWAŁ dużo czasu, żeby przejść przez Cytadelę. Po kilku minutach od wyjścia z pokoju analizy danych dotarł do wielkiego kompleksu więziennego.

Nie znał sierżanta, który pełnił tego dnia poranną służbę w dyżurce.

Kamal mignął identyfikatorem i rzekł:

– Jest tu u was ktoś, z kim muszę się zobaczyć. Ibrahim Sinasi.

Dyżurny sierżant spojrział na monitor i zrobił kwaśną minę.

– Jakiś problem? – spytał Kamal.

Sierżant jakby ważył słowa, zanim zdecydował się powiedzieć:

– Nie jest pan upoważniony.

– Słucham?

– To sprawa Wydziału Z. Tylko oni mogą się widzieć z więźniem, a i tu lista upoważnionych jest ograniczona.

Kamal pohamował złość i rzekł jasno i wyraźnie:

– Ten człowiek jest także związany z naszą sprawą. Muszę się z nim zobaczyć.

– Już panu mówiłem. Nie mogę na to pozwolić – odpowiedział strażnik równie stanowczo. – Musi pan to załatwić z Wydziałem Z.

Kamal się zagotował.

– Chyba gramy w tej samej drużynie, czy nie?

– Nie słucha mnie pan, Kamalu Ago – opierał się sierżant twardo. – To nie zależy ode mnie. Nie ja ustalam procedury.

– A kto? Kto prowadzi tę sprawę? Proszę mi podać nazwiska agentów. Chyba że to też wbrew procedurom?

Sierżant dyżurny spojrział na monitor. Po chwili wahania rzekł:

– Jamal Banna i Onur Goskun.

Kamal zmarszczył brwi. Nie znał gości. Mógł się tego spodziewać. Hafiye była dużą instytucją, a w Cytadeli pracowało kilka setek agentów. Nie wszyscy się znali, a tym bardziej nie wiedzieli, kto nad czym pracuje.

Spojrzał groźnie na sierżanta w dyżurce. Mężczyzna się nie spieszył, siedział z kamienną twarzą, nieporuszony. Wreszcie z wyraźną niechęcią się nachylił, zniżył głos i dodał:

– Naprawdę nie powinienem tego mówić, ale... nie drążyłbym w tym za bardzo.

– Dlaczego?

– Słyszałem, że to członek Białej Róży – powiedział i wzruszył ramionami.

Nic więcej nie dodał. Nie musiał.

Kamal zmarszczył brwi. Następny cholerny spiskowiec. W głowie Kamala niczym lonty zaiskrzyły powiązania – Azmi, Sinasi, Biała Róża – i wszystkie prowadziły do

Nisreen.

Mogło ją to narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo.

– *Bok* – zaklął, po czym skinął poważnie głową w stronę sierżanta i odszedł.

Nie wrócił za swoje biurko. Przeciął z powrotem wielkie szklane atrium i wszedł do budynku Wydziału Z, nie zwracając uwagi na znajomych napotkanych w windzie czy mijanych na długich korytarzach.

Obaj agenci, Banna i Goskun, byli nieobecni. Podał swoje nazwisko i numer telefonu sierżantowi dyżurnemu Wydziału Z i poprosił, żeby jak najszybciej się z nim skontaktowali.

Musiał spróbować to załatwić. Dla dobra Nisreen.

A jednak coś w głębi duszy mówiło mu, że ta sprawa jest już poza jego zasięgiem.

SIEDZĄCY W MILCZENIU PRZY łóżku pacjenta Ramazan był jak porażony.

Udało mu się odbyć jeszcze kilka sesji z tajemniczym mężczyzną, znajdując czas pomiędzy zabiegami i sposób na to, by pozostać z nim sam na sam. Ostrożnie dawkował leki i doprowadzał pacjenta na skraj przytomności, żeby kontynuował swoją opowieść, a jednocześnie nie był świadom tego, co się z nim dzieje.

Przez resztę czasu utrzymywał mężczyznę podającego się za Aymana Rasheeda Paszę w stanie głębokiego uśpienia. Jako anestezjolog Aymana był odpowiedzialny za jego wybudzenie i żadna pielęgniarka nie miała powodu kwestionować tego, co robił, zwłaszcza gdy oznajmił, że nie dzieje się nic niepokojącego, ale chce dać pacjentowi więcej czasu na zagojenie ran, zanim pozwoli mu w pełni odzyskać przytomność. Wiedział, że nie będzie mógł tego ciągnąć w nieskończoność, ale jeden dzień z pewnością mieścił się w granicach rozsądku.

A ten dzień właśnie dobiegał końca. Musiał usłyszeć resztę opowieści. I to szybko.

Przez cały czas Ramazan nie był pewien, w co wierzyć. Jak dotąd historia mężczyzny wydawała się wytworem czystej fantazji, czymś zupełnie niewiarygodnym. A jednak szczegółowość opowieści nadawała jej tak silne cechy prawdopodobieństwa, że Ramazan nie mógł się oprzeć i wciąż do niej wracał, podpytując pacjenta i słuchając mamrotanych przez niego odpowiedzi. Zresztą jak niby miał to wszystko wymyślić? Albo mężczyzna poza niesłychanie bujną wyobraźnię posiadał niezwykłą zdolność zachowania jasności umysłu i manipulowania ludźmi pod wpływem potężnej dawki środków uspokajających podanych przez wysokiej klasy anestezjologa – co jak wiedział Ramazan, było bardzo, bardzo nieprawdopodobne – albo... cóż, alternatywa była wprost niewyobrażalna. A jednak wbrew logice, wbrew temu, co podpowiadał rozum, Ramazan jakimś zmysłem wyczuwał, że to, co słyszy, jest prawdą, jak gdyby w gruncie rzeczy mężczyzna był skrycie zadowolony, mogąc podzielić się z kimś swoją opowieścią, jak gdyby jego jaźń wstrzymywała się z tym tak długo, że teraz tama pękła, a Ramazan, jego lekarz, mógł się pławić w blasku jego wspaniałych osiągnięć.

Czuł się tak, jakby otworzył służę podświadomości, i nie był pewien, jak rozumieć wszystko, co się przez nią zaczęło przelewać.

Na początku 2016 roku Ayman Rasheed był już poza Syrią. Jego służba dla ISIS należała do

przeszłości, a on sam tkwił po uszy w pracy badawczej w Stambule.

Nie było mu trudno zniknąć. Kiedy miał już potrzebne dokumenty i pieniądze, umówił się na spotkanie ze swoimi dżihadystycznymi zwierzchnikami w Rakce, bastionie Państwa Islamskiego, leżącej dogodnie na północ od Palmyry, dalej niż w połowie drogi do tureckiej granicy. W pewien ponury listopadowy poranek wsiadł do pick-upa – jak na ironię był to samochód niezjącego naczelnika wydziału do spraw zabytków – i wyruszył samotnie, zostawiając Wenecję Pustyni daleko w tyle.

Nie pojawił się na umówionym spotkaniu w Rakce. I choć nie znaleziono jego ciała z dziurami po kulach porzuconego na poboczu drogi czy zmiżdżonego we wraku samochodu, na który spadły lotnicze pociski, wiedział, że jego dowódcy nie będą zbyt dociekliwi – Syria się zmieniła w postapokaliptyczne pustkowia i Ayman Rasheed miał się stać po prostu jeszcze jedną ofiarą wchłoniętą przez wojenną czarną dziurę.

Nie miał trudności z dostaniem się do Stambułu. Granica pomiędzy Syrią a Turcją była dziewięciusetkilometrową podziurawioną linią istniejącą tylko na mapie. Dżihadysty udający się na wojnę w Syrii bądź z niej wracający od lat nie napotykali prawie żadnych przeszkód przy jej przekraczaniu, a nie wdzielali nawet butów trekkingowych i nie wysilali się, by przechodzić w trudno dostępnym terenie. Rozbudowana sieć komunikacyjna, ściśle regulowana i kontrolowana po obu stronach granicy, powstała już dawno, by ułatwić stałe przemieszczanie się ludzi – napływających wojowników i odpływających uchodźców – a także umożliwić dostawy broni, pieniędzy i ropy.

Gdy już się znalazł na miejscu, wyszukał małe, niedrogie mieszkancko w tętniącej życiem dzielnicy Beşiktaş w centrum Stambułu. Urządziwszy się wygodnie, nikomu nieznanym, mógł wreszcie przystąpić do pracy.

Większość czasu upływała mu w Bibliotece Atatürka, spędzał tam długie, psychicznie wyczerpujące godziny, koncentrując się tylko na jednym: na zdobyciu wiedzy niezbędnej do tego, by wprowadzić w życie plan zmiany świata. Zadanie było trudne, ale i inspirujące – bardziej niż cokolwiek, czego do tej pory doświadczył.

Nocą, gdy wreszcie zjawiał się w domu, obserwował i podziwiał wszystko, co go otaczało, tworząc w głowie wizję przyszłej Europy. Stambuł był miastem, któremu udało się pogodzić islamskie dziedzictwo z nowoczesnością, co stanowiło ciekawą pożywkę dla jego przemyśleń. Nawoływanie muezinów do modlitwy niosło się po mieście niczym kojąca fala, zwalniając jego zbiorowy puls i ofiarując wiernym codziennie pięć chwil, kiedy mogli się zatrzymać i pomyśleć.

Rasheed uwielbiał ogarniające go uczucie spokoju i błogości, gdy słyszał melodyjne azany, zwłaszcza jeśli były wyśpiewywane przez imamów, którzy mieli do tego prawdziwy talent.

„Z pomocą Allacha – myślał – już niedługo cała Europa doceni ten inspirujący rytuał i padnie na kolana na jego święte wołanie”.

Z pomocą Allacha – i przy jego wsparciu.

Tylko o tym myślał dniami i nocami.

Początkowo zamierzał zrobić coś, żeby zapobiec tragedii, która zaprowadziła go do Palmyry.

Mógłby spróbować przerobić najnowszą historię swojej ojczyzny: powrócić do czasu sprzed amerykańskiego ataku, ostrzec Saddama przed tym, co się szykuje, spróbować rozładować kryzys, zanim odpalono by pociski dalekiego zasięgu. Ale czy naprawdę zdołałby tego dokonać? Jak ostrzegłby Saddama? Czy Saddam i jego generałowie by mu uwierzyli, czy raczej pomyśleliby, że postradał zmysły albo – co bardziej prawdopodobne i znacznie gorsze – że pracuje dla Amerykanów? Zresztą co by przez to osiągnął? Wiedział, że Amerykanom bardzo zależy na tym, żeby ich zaatakować. Historia pokazała to jasno i dobitnie. Jeśli nawet zdołałby zapobiec inwazji, to tylko na chwilę. Znaleźliby inny powód, by rozpętać wojnę, inne usprawiedliwienie.

Zresztą i tak było to bez znaczenia. Z darem związana była pewna zasada, jedyna, ale kluczowa, która zamykała sprawę: nie można się było przenieść do żadnego momentu z własnego życia. Nie można było wylądować w miejscu – w czasie – w którym się już istniało. Dar na to nie pozwalał.

Nie dało się istnieć w dwóch osobach w jednej chwili.

Nie, nawet gdyby było to możliwe, wykorzystanie daru w taki sposób byłoby zbyt dużym uproszczeniem i marnotrawstwem. Powinien myśleć bardziej ambitnie. Dar zasługiwał na to, by zaplanować jego użycie z większym rozmachem. A dzięki temu, że wszyscy, na których mu zależało, nie żyli, miał pewność, że niczego nie będzie mu brakowało z jego obecnej egzystencji.

Ta konstatacja pozwoliła jego myślom na swobodną wędrówkę i eksplorację bardziej odległej przeszłości.

Szybko skupił się na trzech wydarzeniach w historii, kiedy islam był o krok od absolutnego zwycięstwa nad chrześcijańskim Zachodem – i przegrał. Był to rok 732, gdy Maurowie znaleźli się kilkaset kilometrów od Paryża, rok 1529, u szczytu świetności imperium, gdy Osmanowie zostali pokonani podczas oblężenia Wiednia, siedziby Habsburgów i nieoficjalnej stolicy Świętego Cesarstwa Rzymskiego, i rok 1683, gdy Osmanowie podjęli drugą nieudaną próbę zajęcia austriackiego miasta.

Mógł na te porażki wpłynąć i mógł je zmienić.

Mógł je przekuć w sukces.

Wszystkie trzy daty mogły stanowić jego cel. Musiał wybrać jedną.

Najpierw był rok 732. Wtedy to bojownicy kalifatu Umajjadów opanowali Afrykę Północną, przekroczyli Cieśninę Gibraltarską i zajęli Hiszpanię, Portugalię i południe Francji. Emir Abd ar-Rahman i jego ludzie znaleźli się zaledwie trzysta dwadzieścia kilometrów na południe od Paryża, gdzie na polach pomiędzy Tours a Poitiers w końcu zatrzymał ich Karol Młot na czele armii złożonej z frankijskich i germańskich wojowników. Ta porażka zadana przez mocno zdziesiątkowane siły, nieposiadające według historyków jazdy ani kolczug, wybitnie przyczyniła się do ugruntowania chrześcijaństwa w Europie.

Z historycznego punktu widzenia rok 732 był interesujący. Islam pewnie panował w mauretańskiej południowo-zachodniej Europie. Stwierdził, że wnosząc wiedzę na temat przyszłości wraz ze znajomością rzemiosła wojennego i broni, z łatwością pomógłby emirowi

pokonać Młota i kontynuować podbój terenów obecnej Francji. Rok 732 kusił także tym, że nie odkryto jeszcze Ameryki. Również na to wydarzenie mógł wywrzeć jakiś wpływ, a wizji islamskich chorągwi powiewających na galerach, które jako pierwsze przybijają do brzegów nowego lądu po drugiej stronie Atlantyku, trudno się było oprzeć. Wyobraził sobie Amerykę jako muzułmański kontynent – z meczetami i minaretami, z nawoływaniem muezinów niosącym się echem po ziemi, którą Amerykanie nazywają teraz swoim domem. Myśl ta niesamowicie go rozbawiła. Ale rok 732 miał też swoje wady. Umiejętności i narzędzia dostępne w ósmym wieku – ówczesna technologia, jeśli w ogóle tak ją można nazwać – były bardzo dalekie od tego, czego potrzebował, żeby wprowadzić swój plan w życie. Istniało też niewiele tekstów źródłowych, z których mógłby skorzystać, żeby zapoznać się ze środowiskiem prawdopodobnie różniącym się diametralnie, jak się obawiał, od wszystkiego, co był w stanie sobie wyobrazić. Mógł mieć za to pewność, że dwie późniejsze daty oznaczały czasy, w których życie było znacznie wygodniejsze i przyjemniejsze.

Otóż to! Z całą pewnością należało się skupić na erze Osmanów.

Znał jej historię całkiem dobrze. Początki imperium były skromne: w trzynastym wieku przywódca plemienny o imieniu Osman wyruszył z centralnej Azji na czele swej tureckiej hordy i kawałek po kawałku podbijał terytorium Bizancjum. Dwieście lat później jego potomek, Mehmed II, zajął Konstantynopol, bizantyńską stolicę, zyskując tytuł Kayser-i Rûm – cesarza Rzymu. Ambicja sultana i tych, którzy po nim nastąpili, została więc jasno zakomunikowana: zdobyć ziemie Cesarstwa Rzymskiego ciągnące się dalej na zachód, aż po sam Rzym.

Była to ambicja, która rozpalila wyobraźnię Rasheeda.

U szczytu świetności Imperium Osmańskie zajmowało przeszło dwa i pół miliona kilometrów kwadratowych i przez przeszło sześć wieków pozostawało pod panowaniem tej samej dynastii. Było oszałamiająco zamożne i dobrze zorganizowane, bezsprzecznie można je uznać za supermocarstwo swoich czasów. Każdy z sultanów mógł się mienić najpotężniejszym człowiekiem na świecie, przywódcą budzącym na Zachodzie strach i trwogę, a turecką jazdę brano za prawdziwych jeźdźców Apokalipsy. Jednak najcenniejsze zdobycze, Wiedeń i, bardziej odległy, Rzym, wciąż wymykały im się z rąk.

Osmańskie armie dotarły do bram Wiednia dwukrotnie. Choć każda z prób miała miejsce w czasie, gdy imperium było u szczytu świetności, a Europą targaly konflikty pomiędzy protestantami a katolikami, szczęście odwracało się od wyznawców Allacha w ostatniej chwili.

Gdyby Rasheed mógł zmienić wynik jednego z tych oblężeń, wówczas do wzięcia byłoby wszystko. Przyszłość zachodniej Europy, a być może i reszty świata, zostałaby zbudowana na nowo w zupełnie inny sposób.

Pytanie brzmiało: Którą z rzeczonych dwóch kampanii wybrać?

We wrześniu 1529 roku Sulejman Wspaniały i jego ludzie rozpoczęli niemal miesięczne oblężenie austriackiego miasta, prowadząc ostrzał z dział i kopiąc rowy w celu zaminowania fortyfikacji. Jednak w połowie października, gdy już się wydawało, że Wiedeń lada moment padnie, ulewny deszcz nękający oblegających przeszedł w wyjątkowo wczesny śnieg. Armia osmańska musiała się w pośpiechu wycofać i rozpoczęła odwrót w powiększających się

śnieżnych zaspach. Wiedeń i chrześcijańska zachodnia Europa raz jeszcze zostały ocalone.

Latem 1683 roku Osmanowie znowu stanęli pod Wiedniem. Sultán Mehmed IV i prowadzący kampanię jego wielki wezyr, Kara Mustafa, wyciągnęli wnioski z poprzedniej nieudanej próby zdobycia miasta: armia imperium wyruszyła ze Stambułu, gdy tylko pozwoliła na to wiosenna odwilż na Bałkanach, i dotarła do bram Wiednia w połowie lipca. Oblężenie trwało dwa miesiące i Osmanowie byli o włos – dosłownie o włos – od zdobycia swojego wymarzonego „złotego jabłka”. Ale historia znowu pokrzyżowała im plany, a klęska na polach pod murami miasta zapoczątkowała długie, powolne konanie imperium.

W miarę upływu dni i tygodni myśli Aymana Rasheeda zaczęły się koncentrować na tej trzeciej dacie, na roku 1683.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większego nabierał przekonania, że to idealny wybór. Jednak stwierdzenie, że wykonanie planu wymaga mnóstwa przygotowań, byłoby niedopowiedzeniem tysiąclecia.

Musiał dowiedzieć się o tamtych czasach tyle, ile tylko się dało. Musiał przeczytać wszystko, co wpadnie mu w ręce, i bardzo, ale to bardzo starannie całe przedsięwzięcie zaplanować. Dopiero wtedy będzie mógł wprowadzić w życie swój zuchwały plan.

Zamierzał pomóc Osmanom latem 1683 roku podbić Wiedeń.

A po Wiedniu musiał dopilnować, żeby pod mieczem islamu ukłękła reszta Europy.

ZAPIS NADRZECZNEGO MONITORINGU umożliwił analitykowi z centrum nadzoru prześledzenie trasy, jaką pokonała para w górę rzeki; od miejsca, gdzie została sfilmowana, gdy krzyczała i coś pokazywała, aż do parkingu, na którym stał jej samochód. Kilka uderzeń w klawiaturę wystarczyło, by z numerem rejestracyjnym auta skojarzyć konkretny adres. I dlatego właśnie Kamal i Taymoor stali teraz przed służbowym wejściem do pewnej restauracji i rozmawiali ze spoconym szefem kuchni.

– Nabrzeże? Tak, byłem tam wczoraj rano – mówił mężczyzna nieco zbyt swobodnie. – Razem z żoną zazwyczaj chodzimy na spacer przed pracą, zanim zrobi się gorąco. A co się stało?

– Nie zauważyliście podczas spaceru niczego niezwykłego? – spytał Kamal.

On i Taymoor mogliby przekazać sprawę gliniarzom z Zaptiye, ale tego nie zrobili. Kamal stwierdził, że przyda mu się teraz coś, co zaabsorbuje jego myśli.

To nie był jego najlepszy dzień. Poranna utarczka z Nisreen popsła go już u zarania. Zapis danych z pewnego arabskiego banku, na który liczył, a który pozwoliłby im wpaść na trop nielegalnych finansowych powiązań jednego z członków tamtejszej kadry kierowniczej z obserwowanym przez nich meczetem, okazał się niewypałem. Nadal nie skontaktowali się z nim dwaj agenci z Wydziału Z, których szukał z rana, co nie dawało mu spokoju. Zwłaszcza dziś, dzień po piątkowych egzekucjach, gdy jego imię wciąż powinno budzić respekt i skłaniać do natychmiastowego kontaktu poproszone o to osoby. A jednak nic się nie wydarzyło. Natomiast sprawa znalezionej w rzece ciała wcale nie okazała się odmianą, której teraz potrzebował.

Mężczyzna był wyraźnie zdenerwowany. Były to czasy, kiedy nikt nie lubił rozmawiać z policją, tajną czy jakąkolwiek inną. Z udawanym wzruszeniem ramion odpowiedział:

– W sumie to nie. A dlaczego?

Kamal przewrócił oczami i wyciągnął do niego rękę, w której trzymał telefon. Wyświetlił fragment nagrania ukazujący mężczyznę i jego żonę, gdy krzyczą i coś pokazują.

Mężczyzna wyraźnie zeszywniał.

– Ja... to tylko...

– Powinien pan to zgłosić – naciskał Kamal. – Zdaje pan sobie sprawę, że niezgłoszenie przestępstwa też jest przestępstwem?

– Czy na pewno była z panem żona? Czy może powinniśmy ją o to zapytać? – odezwał się Taymoor.

– Oczywiście, że to była moja żona. Proszę... – Mężczyźnie załamał się głos. Pokiwał głową i rzekł: – Wiem, że powinniśmy byli kogoś powiadomić. Ale... – Urwał.

Nie musiał niczego tłumaczyć. Zgłoszenie przestępstwa mogło wciągnąć człowieka w niebezpieczne grzęzawisko pytań. Domniemanie niewinności mocno straciło na znaczeniu, odkąd władzę sprawował Abdülhamid.

– No więc co widzieliście? – spytał Kamal.

Kucharz się zawahał, ale zaczął mówić.

– Był tam jakiś mężczyzna, na nabrzeżu po drugiej stronie rzeki. Pochylał się nad innym mężczyzną, który się nie ruszał... chyba nie żył. Rozbierał go i zakładał na siebie jego ubranie. – Świadek znad Sekwany nie ukrywał dłużej odczuwanej konsternacji ani strachu. – Ten człowiek był nagi.

Kamal popatrzył pytająco na Taymoora.

– Przede wszystkim mieliśmy mętlik w głowie i byliśmy po prostu zszokowani, naprawdę. To było takie... dziwne. Potem, gdy zaczął ciągnąć tego nieruchomego na skraj nabrzeża, zrozumieliśmy, co się zaraz stanie. To wtedy moja żona zaczęła krzyczeć, a on nas zobaczył.

– I co się stało?

– Popatrzył na nas z drugiego brzegu. Śmiertelnie nas wystraszył. Ale nie spanikował. Zwyczajnie wrzucił ciało do wody i uciekł.

Kamal i Taymoor byli zaintrygowani. I to jeszcze zanim mężczyzna dodał:

– Aha, jeszcze jedno. Ten człowiek... na całym ciele miał jakieś znaki.

– Znaki? – spytał Kamal.

– Tak. Coś jak... tatuaże. Na całym torsie.

Sprawa robiła się poważna; była już czymś więcej niż tylko odskocznią od codzienności.

– Bez wątpienia musimy namierzyć tego gościa – stwierdził Taymoor, kiedy wracali do samochodu. – Choćby po to, żeby zobaczyć te jego tatuaże.

Kamal lekko skinął głową. Rzecz jasna miał pytania. Dlaczego zginął tamten mężczyzna? Dla ubrań? O co jeszcze chodziło zabójcy? I co się stało z jego własnymi rzeczami? Wrzucił je do rzeki? Kucharz nie widział, żeby to robił. No i te tatuaże. Mimo wszystko jego myśli błądziły gdzie indziej.

Był podenerwowany i spojrzał na zegarek.

– Muszę gdzieś szybko zadzwonić – powiedział do Taymoora i się od niego oddalił.

Zadzwoił na centralę Wydziału Z i poprosił o połączenie z jednym z agentów

prowadzących sprawę dramaturga. Od razu odezwała się poczta głosowa. Zostawił obcesową wiadomość, dosłownie rozkazując mężczyźnie, by się do niego odezwał.

Twarz miał stężoną od złości. Nie uszło to uwadze Taymoora.

– Hola, bracie, powinieneś się wziąć w garść. – Taymoor przyglądał mu się z zaciekawieniem. – Co się dzieje?

Kamal odwrócił wzrok i nie odpowiadał. Dopiero po chwili rzekł:

– Muszę się czymś zająć. Dołączę do ciebie później.

Taymoor zaczął coś mówić. Kamal zatrzymał się na moment, lecz jego partner najwyraźniej zmienił zdanie i machnął ręką.

– Nieważne. Niech Allah będzie z tobą, bracie.

Kamal odszedł, zadowolony, że na tym się skończyło.

TO BYŁ STRZAŁ W ciemno, ale się opłacił.

Wiedział, że Nisreen zawsze bardzo się stara, żeby wyjść na spotkanie dzieciom, gdy wysiadają ze szkolnego autobusu za rogiem budynku, w którym mieszkali. I dziś nie zrobiła wyjątku. Nie musiał nawet zbyt długo czekać.

Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie – bynajmniej nie miłe – gdy go zauważyła. Gdy była jeszcze dosyć daleko, spytała:

– Co tutaj robisz?

– Wypadłaś jak burza, nie dając mi nawet możliwości...

– Czego? Tego, byś mi powiedział, że ściągnęliście go na przyjacielską pogawędkę nad filiżanką różanej herbaty i kawałkiem bakławy? Bo tym się właśnie zajmujecie, prawda?

– Czy mogłabyś ochłonąć i po prostu dać mi szansę?

– Na co?

– Nie jestem twoim wrogiem, Nisreen. Próbuję ci pomóc.

– Twój mundur mówi co innego.

– Zatrzymaliśmy pięciu ludzi, którzy zamierzali przeprowadzić atak podczas uroczystości związanych ze ślubem córki bejlerbeja. Zabiliby Bóg wie ile osób. Cholera, ty i Ramazan też mogliście tam być. I Tarek, i Noor. Więc może... może jednak ten mundur nie jest aż taki zły, co?

Widząc jego wybuch, Nisreen zamarła. Patrzyła zupełnie oniemiała i mało brakowało, a przegapiłaby nawet podjeżdżający szkolny autobus.

Wysiadło kilkoro dzieci, w tym Tarek i Noor. Ich twarze pojaśniały, gdy zobaczyli Kamalą.

Noor podbiegła do niego z otwartymi ramionami i szerokim uśmiechem.

– Wujek Kamal!

Podniósł ją i mocno uściskał.

– Jak się ma moja ulubiona mała księżniczka? Strasznie się za tobą stęskniłem, *hayatım*. – Pieszczotliwy zwrot oznaczał „moje życie” i w ustach Kamalą wcale nie był przesadą.

Dał dziewczynce długiego całusa w czoło i postawił ją na chodniku, po czym

kucnął, by zrównać się z Tarekiem. Przywołał go gestem.

– A jak się miewa mój mały szampiyon?

Jego mały mistrz się zawahał i obejrzał na matkę. Ta, wyraźnie spięta, nieśmiało skinęła mu głową. Tarek podszedł bliżej, a Kamal go uściskał, spoglądając na Nisreen.

– Zjesz z nami obiad? – spytała Noor z entuzjazmem.

Kamal poczuł, że te słowa rozdzierają mu serce, ale nie dał tego po sobie poznać i tylko ciepło się do niej uśmiechnął.

– Chyba nie, *hayatim*.

– Dzieci, muszę porozmawiać z wujkiem Kamalem – odezwała się Nisreen. – Może pójdziecie na górę? Ja zaraz przyjdę.

Dzieciaki spojrzały na nich niepewnie i skinęły głowami. Na pożegnanie popatrzyły smutno na Kamala. Noor pomachała mu niepewnie i wraz z bratem odeszła.

Kamal popatrzył za nimi, po czym zwrócił się do Nisreen:

– Przepraszam. Nie chciałem, żeby się ze mną spotkały. Ale tylko w ten sposób...

– Po co przyszedłeś?

Starął się mówić łagodnym głosem.

– Martwię się o ciebie. Powiedz mi, co wiesz o Sinasim.

– Nie musisz się o mnie martwić. Ani o niego. On...

Kamal jej przerwał.

– Nisreen, proszę, po prostu... odpowiedz.

Pohamowała niechęć.

– To odnoszący sukcesy dramaturg. Na pewno widziałeś jakąś jego sztukę, jeśli nie w teatrze, to w telewizji. Kompletował obsadę do nowego przedstawienia, gdy jeden z aktorów na niego doniósł.

– Co miał mu do zarzucenia?

– Podburzanie do zamieszek. Tak powiedział twój kolega z Hafiye. – Nisreen zmarszczyła brwi i dodała: – Chodzi o sztukę.

– O czym jest?

– To historia polskiego rolnika żyjącego w małej miejscowości na rubieżach imperium. W miejscu lekceważonym przez władze. Jego wioskę nękają bandy rosyjskich partyzantów. Wymuszają na mieszkańcach pieniądze i żywność. Porywają kobiety. Zabijają kilku rolników, którzy się im przeciwstawiają. *Ra'ayah*, „lud”, błaga rządzącego w tym regionie beja o pomoc, ale jemu nie chce się nawet kiwnąć palcem w tej sprawie. To mała, prowincjonalna miejscowość, a on nie ma ochoty się narażać na ryzyko militarnego konfliktu, który mógłby zakłócić jego luksusowe życie, a ponadto kosztować sporo pieniędzy. Dlatego rolnik postanawia wziąć sprawy w swoje ręce. Chodzi od wioski do wioski i prosi ludzi, żeby przemówili. Prosi ich,

żeby się postawili i sami wybrali tego, którego chcą mieć za beja. Zapewnia, że jeśli wybiorą jego, przejmie kontrolę nad miejscowym pułkiem i użyje go przeciwko partyzantom.

To przykuło uwagę Kamala.

– Co też robi i ratuje sytuację?

– Nie – odparła Nisreen. – Bej każe go zlikwidować. Powstanie zostaje stłumione. Rosjanie wkraczają przez nikogo niezatrzymywani, gwałcą i rabują; a potem odchodzą. Przywrócony zostaje porządek.

Kamal kręci głową.

– To tylko sztuka – przekonywała Nisreen, znów pełna złości. – Opowieść. Ktoś przynosi na scenę swoje pomysły. Sinasi nie spiskował, żeby wysadzić kogoś w powietrze.

Kamal niespokojnie wypuścił powietrze.

– Nie wiesz, w co jeszcze jest zaangażowany.

Jego słowa podsyciły złość Nisreen.

– Chodzi o tę sztukę, Kamal.

Zawahał się, lecz uznał w końcu, że to powie.

– Podobno należy do Białej Róży.

– Bzdura – prychnęła Nisreen, ale zrobiła to nerwowo, tak że nie zdołała ukryć najwyraźniej głęboko zakorzenionego strachu.

– A gdyby to była prawda? – postawił się jej Kamal.

– Biała Róża, Biała Róża... Co to za tajemnicza Biała Róża, do której nagle wszyscy zaczęli należeć? – zadrwiła Nisreen. – Co tak naprawdę o niej wiecie? I dlaczego wszystkie procesy sądowe z nią związane odbywają się za zamkniętymi drzwiami? – Pokręciła powoli głową i odwróciła smutne spojrzenie, ale zaraz znowu na niego popatrzyła. – Ten atak, któremu zapobiegliście... Oczywiście jestem wdzięczna. Jak każdy. Oczywiście uważam, że postępujecie słusznie. Ale to tylko część walki, w jakiej uczestniczymy. I być może jesteś za blisko tego wszystkiego, żeby zobaczyć, co się tak naprawdę dzieje. Ludzie, dla których pracujesz, ci, w których tak ślepo wierzysz... to oni powinni siedzieć w więzieniu, nie Sinasi. Abdülhamid i jego gang... okradają nas ze wszystkiego i zamykają każdego, kto głośno o tym mówi. I ta szalejąca korupcja, mój Boże, i tak już jest fatalnie, ale gdy się dorzuci jeszcze totalny brak kompetencji? Nie rozumiesz? Oni niszczą postęp, jaki dokonał się za Murada; niszczą naszą wiarę w rząd i cofają nas o sto lat. Cholera, mogą nas nawet wciągnąć w wojnę z Ameryką, jeśli to im akurat będzie pasowało. Musisz się ocknąć, Kamal. Jeśli tacy ludzie jak ty nie przejrzą na oczy, to jaka nam pozostanie nadzieja?

Jej słowa docierały do niego jak odgłos eksplodujących głęboko w jego wnętrzu ładunków głębinowych i nie potrafił znaleźć słów, żeby odpowiedzieć. Pokiwał tylko głową i powrócił do interesującej go sprawy. Reszta mogła poczekać.

– W porządku. Daj mi szansę zająć się Sinasim – powiedział. – Jeśli nie wpłatał się w nic poważnego, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go jak najszybciej uwolnili.

Nisreen wypuściła powietrze z płuc, jej twarz ociekała wręcz sceptycyzmem.

– Ale jeśli naprawdę się w coś zaangażował, będziesz musiała od tej pory być o wiele ostrożniejsza – przekonywał ją Kamal. – Ci ludzie są niebezpieczni.

– Ci z Białej Róży? Czy ty i twoi koledzy?

Kamal puścił to mimo uszu.

– Proszę cię... Mówię poważnie.

Popatrzyła mu w oczy. Przez kilka sekund, nie dłużej. A jednak to wystarczyło, aby wskrzesić na nowo całą historię łączącej ich dawniej bliskości.

– Tęsknię za wami. Wszystkimi – powiedział.

– My też tęsknimy. – Po chwili milczenia dodała: – Wszyscy.

Czuł, jak rozdarcie w jego sercu się powiększa.

– Nie powinienem cię dłużej zatrzymywać. Odezwę się, gdy tylko się czegoś dowiem.

Nisreen skinęła głową.

Nie chciał odchodzić. Pragnął przedłużyć tę chwilę, pragnął odprowadzić ją do domu, zobaczyć się z bratem, z bratankiem i bratanicą. Przede wszystkim zaś chciał po prostu dłużej pobyc z Nisreen. Ale to nie była dobra pora.

Odchodząc, dostrzegł jej tęskne spojrzenie i ono rozdarło mu serce do końca.

NISREEN ZJADŁA OBIAD z Tarekiem i Noor – przygotowała swoją specjalność, jagnięcinę duszoną z karczochami i kolendrą, ulubione danie całej rodziny, jedzenie na poprawę humoru, co było jej tego wieczoru bardzo potrzebne.

Jedli jak zawsze przy kwadratowym stole w kuchni. Francuska tradycja spożywania posiłków w ten sposób, przy użyciu osobnych talerzy i sztućców dla każdego, przetrwała podbój i oparła się natarciu starej osmańskiej tradycji jedzenia palcami z jednej, stojącej pośrodku misy i siedzenia na ułożonych na podłodze poduchach.

Noor była nadzwyczaj radosna, co pozwalało Nisreen choć częściowo zapomnieć o dręczącym ją niepokojem. Wcześniej wysłała do Ramazana esemes z pytaniem, kiedy wróci, a on odpisał, że znowu zostaje do późna w pracy, co tylko wzmogło nerwowość, którą wywołało spotkanie z Kamalem. To, co znalazła w historii wyszukiwania w Internecie, nie przestawało jej martwić, po jakimś czasie zaczęła się nawet zastanawiać, czy jej mąż naprawdę jest w szpitalu, czy może w coś się wplątał, a to z kolei utorowało drogę kolejnej, jeszcze bardziej nieprzyjemnej myśli: dziwny to zbieg okoliczności, że Kamal pojawił się akurat w tym momencie. „Ależ skąd”, odpowiedziała sobie. Miała wątpliwości dotyczące jego osoby, ale wiedziała, że wciąż potrafi go rozszyfrować, i wierzyła w noszone przez niego w głębi serca dobro.

Ale czy na pewno?

Dzieci odstawily talerze. Nisreen wykapała je i przygotowała do spania.

– Dobrze się czujesz, *anne*? – spytał Tarek, kiedy go okrywała.

Przywołała na twarz uśmiech, w którym zawarła całą otuchę, na jaką ją było stać.

– Oczywiście, *hayatım*. Czemu pytasz?

Zawahał się, po czym rzekł:

– Dlaczego nie widzimy się już z wujkiem Kamalem?

Próbowała znaleźć odpowiednie słowa.

– Chodzi o to, że... wujek jest ostatnio bardzo zajęty. Po prostu.

Tarek pokiwał głową.

– Chłopaki w klasie... wszyscy mówili, jakim jest wielkim bohaterem. Ale ty i *baba* nie cieszyście się, kiedy ktoś go wspomina.

Nisreen szybko wypuściła powietrze.

– To nie jest takie proste, *hayatım*. Może to zrozumiesz, kiedy podrośniesz.

– Ale wujek jest bohaterem, prawda?

Nie była pewna, co o tym myśleć, ale mogła dać mu tylko jedną odpowiedź.

– Oczywiście, że tak.

Tarek popatrzył na nią niepewnie, zwątpienie zasnulo mu twarz, lecz w końcu skinął głową.

Nisreen się nachyliła i pocałowała go w czoło.

– Śpij dobrze, mój mały şampiyon.

W DYŻURCE PIELEŃNIAREK na OIOM-ie Ramazan oddał ostatnie dokumenty i spojrzął na zegarek.

Było późno. Bardzo późno. Ale nie mógł pójść do domu. Jeszcze nie. Opowieść jeszcze się nie skończyła i dziś wieczorem mógł mieć ostatnią szansę, by wysłuchać jej do końca.

Przez cały dzień się zastanawiał, czy może być prawdziwa, ale chciał to kontynuować, skoro już pozwolił, aby desperacja i wyobrażenia pchnęły go ku tak wielkiemu ryzyku. Nie wiedział, czy cała ta sprawa nie wypali mu prosto w twarz jak jeden wielki kiepski żart, który – jeśli wyjdzie na jaw – może uczynić z niego obiekt kpín, a nawet kosztować go posadę.

Niczego nie był pewien. Ponieważ jednak zabrnął tak daleko, nie mógł pozostawić całej reszty bez odpowiedzi.

– Koniec na dziś, *hekim?* – spytała Anbara, wylaniając się z korytarza. Najwyraźniej miała nocną zmianę.

– W zasadzie tak. – Uśmiechnął się.

– To do zobaczenia jutro. – Pomachała mu ręką na pożegnanie i odeszła.

Zaczekał, aż się oddali, skinął niewyraźnie do pielęgniarki za biurkiem, po czym ruszył w przeciwnym kierunku.

Z powrotem do pokoju numer siedem, w którym leżał bardzo szczególny, wręcz niezwykły pacjent.

Początkowo pomysł wydawał się niewyobrażalnie śmiały.

Czyn na taką skalę, którego miał dokonać sam – zadanie godne Herkulesa, bez dwóch zdań. Miał to być jeden z najzuchwalszych projektów w historii, być może najbardziej ambitny, a Ayman Rasheed zamierzał zrealizować go bez niczyjej pomocy.

Z pewnością kierowała nim pewna arogancja, być może także iluzja czy nawet obłąd. Wyobrażanie sobie tego wszystkiego było nieodparcie uzależniające i pobudzające; Rasheed czuł się, jakby mu podłączono wprost do mózgu kroplówkę z adrenaliną. Miał pełną świadomość gigantyczności celu, jaki sobie postawił, dlatego nie wyznaczył żadnej konkretnej daty jego realizacji. Miał wprowadzić swój plan w życie dopiero wtedy, gdy będzie w pełni gotowy.

Jako człowiek o metodycznym i analitycznym umyśle, postanowił podzielić pracę na trzy etapy.

Pierwszym był podbój Wiednia. To wymagało dowiedzenia się wszystkiego, co możliwe, na temat oblężenia z 1683 roku i przyczyn ówczesnej porażki, a następnie opracowania strategii, która tym razem miała zapewnić zwycięstwo.

To zadanie stanowiło najprostszy element całej układanki, gdyż dotyczyło zaistniałych wydarzeń historycznych. Zamierzał wpłynąć na jedno konkretne zdarzenie, na jedną z bitew. Istniało mnóstwo tekstów spisanych przez specjalistów od dynastii Osmanów, którzy mieli dostęp do licznych relacji naocznych świadków. Całe książki poświęcono analizowaniu szczegółów kampanii i rozbieraniu na czynniki pierwsze przyczyn jej porażki. Rasheed bardzo szybko zyskał względną pewność, że zdoła ją zmienić w zwycięstwo, o ile uda mu się skłonić sułtana do przyjęcia jego rady, ale sposób na to też wymagał obmyślenia.

Miał już kilka pomysłów, jak to zrobić.

Taktyczne błędy popełnione przez Kara Mustafę wydawały się oczywiste. Zwycięstwo miał w zasięgu ręki, ale je zaprzepaścił. Możliwość spojrzenia na wszystko z perspektywy czasu była czymś cudownym, zwłaszcza że Rasheed mógł czerpać mądrość z trzystu lat wypełnionych wojennymi kampaniami, z których część była genialna, a część katastrofalna w skutkach. Kilka przemyślanych ruchów powinno wystarczyć, żeby wszystko zmienić. Kilka ruchów – kilka niespodziewanych, decydujących posunięć, które już mu chodziły po głowie – miało sprawić, że zajęcie Wiednia pójdzie jak z płatka.

Drugi etap badań miał go przygotować do sprostania znacznie większemu wyzwaniu: opanowaniu reszty zachodniej Europy.

Zdobycie Wiednia to jedno, ale czymś zupełnie innym było jego utrzymanie, które stanowiło warunek podboju dalszych terytoriów. Miasto leżało przeszło półtora tysiąca kilometrów od stolicy imperium, a mówimy o czasach, gdy podróżowało się powoli i mozolnie. Na drodze pomiędzy obydwoma miastami przeszkodę stanowiły rzeki i górskie łańcuchy. Osmańska armia oblegająca Wiedeń była gigantyczną siłą, liczącą przeszło sto tysięcy żołnierzy. Przemieszczając się, tworzyła konwój prawie dziesięciokilometrowej długości, wzbijający widoczne z bardzo daleka tumany kurzu. Aby utrzymać panowanie nad miastem, należało ją tam zostawić i zapewnić płynność dostaw, co z kolei wiązało się z ryzykiem nadszarpnięcia zasobów imperium i osłabienia obrony wschodniej granicy z odwiecznym rywalem Osmanów, Persją.

Rasheed musiał skrócić tę odległość i sprawić, by przemieszczanie się wojska i wyposażenia stało się szybsze i łatwiejsze.

Rozwiązaniem były pociągi. Nad maszyną parową wówczas zaczęto dopiero pracować. Jej rozwój należało radykalnie przyspieszyć – ściągnąć pionierów w tej dziedzinie, genialnych wynalazców z Anglii, Francji i Holandii i skłonić ich do pracy dla sułtana. Pieniądze albo porwania powinny załatwić sprawę. Wprowadzenie ulepszeń technologicznych, które nie miały być znane przez kilka jeszcze dziesięcioleci, jeśli nie stuleci, zapewniłoby Osmanom gigantyczną przewagę.

Kiedy panowanie Osmanów w Wiedniu już by okrzepło, a zaopatrzenie miasta nie sprawiałoby większych trudności, Rasheed mógłby pomyśleć o podboju reszty Europy. W przeciwieństwie do samego oblężenia miała to być podróż w nieznaną, niekończący się ciąg teoretycznych akcji, reakcji i ich skutków, bo z chwilą upadku Wiednia historia zaczęłaby się pisać od nowa i wszystko, o czym czytał, uległoby zmianie.

Rozmach czekającego go zadania nie mieścił się w głowie. Zagłębił się w studiach nad życiem tych, którzy próbowali czegoś na podobną skalę, i koniec końców skoncentrował się na Aleksandrze Wielkim, Napoleonie i Hitlerze. Pragnął im dorównać i się inspirował ich ambicją, ale też nie zamierzał popełnić ich błędów. Były to badania, którymi siedzący w Rasheedzie wytrawny strateg się delectował. Dokonywał symulacji, która miała położyć kres wszystkim innym symulacjom, by w końcu przestać być tylko i wyłącznie symulacją – i stać się rzeczywistością.

Będzie musiał, rzecz jasna, wprowadzić nowe rodzaje broni i nową taktykę.

Na początku swoich dociekań przypomniawszy sobie pewne zdarzenie, o którym usłyszał podczas wykładu w akademii wojskowej w Iraku, anegdotę, która odcisnęła się wyraźnie w jego pamięci. Dotyczyła hiszpańskiego podboju Ameryki Południowej, a dokładnie tego, co zaszło pewnego pamiętnego dnia w listopadzie 1532 roku w górach Peru. Wykładowca wyjaśnił, jak owego dnia Francisco Pizarro na czele stu sześćdziesięciu ośmiu Hiszpanów stanął naprzeciw inkaskiego władcy Atahualpy i całej armii jego imperium. Hiszpanie jechali konno, byli uzbrojeni w rapiery i arkebuzy, coś w rodzaju wczesnej wersji muszkietu. Inkowie, prymitywny lud walczący za pomocą włóczni, nigdy wcześniej nie widział jeźdźców ani broni palnej. Przed końcem dnia Pizarro i jego ludzie zabili przeszło siedem tysięcy Inków i uwięzili ich cesarza –

a dokonali tego bez jednej ofiary śmiertelnej w swoich szeregach.

Klucz do sukcesu stanowiła lepsza broń, przy czym koncepcja ta nie była Osmanom obca. Przekonali się o jej słuszności podczas swojego pierwszego istotnego podboju, gdy w 1453 roku zajęli Konstantynopol. Cesarz bizantyński Konstantyn XI zatrudniał w tym czasie węgierskiego inżyniera o nazwisku Urban, który pracował nad stworzeniem dla niego wielkiego działa. Niestety, niemądrzy Bizantyńczycy skąpili pieniędzy na wypłaty dla Urbana, a skutek tego był taki, że ten zaproponował swoje usługi sultanowi, który był zachwycony, że genialny chrześcijański inżynier postanowił przejść na jego stronę. Owocem jego pracy było działo Imperial, w tamtych czasach największe, jakie zostało zbudowane. Miało ośmiometrową lufę i wyrzucało kamienne pociski o wadze przekraczającej sześćset kilogramów, samo zaś było tak ciężkie, że musiał je ciągnąć zaprzęg z sześćdziesięciu wołów. Właśnie to działo zburzyło starożytne fortyfikacje i pozwoliło Osmanom zająć miasto.

Ponad dwieście lat później Rasheed zamierzał dać im jeszcze większą przewagę. Posiadał raczej podstawową wiedzę na temat broni używanej przez Osmanów w siedemnastym wieku, ale wiedział, że ładowanym przez lufę karabinom skałkowym daleko było do AK-47, do których sam był przyzwyczajony. Potrzebował broni, która zupełnie oszołomiłaby wrogów imperium i powaliła ich na kolana, ale też takiej, która dałaby się wyprodukować w tamtych czasach. Rozwiązanie tego problemu znalazł w amerykańskim projekcie Richarda Gatlinga z 1861 roku – w genialnej broni opartej na stosunkowo prostej technologii.

Kartacznica Gatlinga wyglądała jak niewielkie działo i zazwyczaj montowano ją na prostym wózku. Miała kilka obracających się luf, z których strzelało się, kręcąc ręczną korbą. Kartacznicę obsługiwało dwóch ludzi, jej szybkostrzelność wynosiła dwieście pocisków na minutę, a po polu bitwy bez trudu mogły ją ciągnąć dwa konie.

W świecie muszkietów i mieczy mogła to być straszliwa broń. Podobnie straszna w skutkach mogła się okazać taktyka, o jakiej nikt nie słyszał jeszcze przez kilka kolejnych stuleci, i parę innych niespodzianek, które Rasheed zamierzał do tej mieszanki dorzucić wraz ze swoją wiedzą o różnych naturalnych zjawiskach mających miejsce po lecie 1683 roku, takich jak okresy złej pogody, epidemie głodu i chorób.

Pod jego przewodnictwem Osmanowie będą nie do powstrzymania.

Kiedy król Jan III Sobieski zginie, a jego husaria zostanie zdziesiątkowana, Polska szybko upadnie. W następnej kolejności będą kraje niemieckie. Na południu Państwo Kościelne nie powinno stanowić militarnie większego problemu. Po Wenecji padną Urbino i Genua, a potem tureckie wojska zajmą Rzym. Następnie poddadzą się Sabaudia, Marsylia i Lyon, a armia sultana dotrze do pałacu Ludwika XIV w Wersalu. Francja była siłą, z którą należało się liczyć, nawet gdy podejmowała próby przewidzenia reakcji swoich innych wrogów, Brytyjczyków i Holendrów. Rasheed zaczeka pewnie do roku 1694, gdy po kilku latach złych zbiorów spowodowanych fatalną pogodą w kraju zapanuje wielki głód, który zabije dwa miliony francuskich mężczyzn i kobiet – przeszło tysiąc osób dziennie będzie umierało w samym tylko Paryżu – i powali Francję na kolana.

Za północną granicą imperium trzeba będzie zaradzić rosnącej potędze rosyjskich carów;

sojusznik Osmanów, chan krymski i jego nieustraszeni Tatarzy z pewnością się przydadzą, by odwrócić uwagę Rosjan, podobnie jak Szwedzi, historyczni sprzymierzeńcy sultana.

Oczywiście nie wszystko musiało pójść dokładnie tak, jak zaplanował. Ale dobrze się przygotował i mógł zaczynać.

Europa upadła. I nie powróciła do poprzedniego stanu po dziś dzień.

JEDNĄ Z NAJLEPSZYCH CECH Moshego Fonseki była jego otwartość. Ten człowiek miał wprost niezaspokojony apetyt na towarzyskie rozmowy i przywiązywał dużą wagę do szczegółów, co oznaczało, że Ramazan miał szczęście, bo go usłyszał, zanim wszedł do pokoju Rasheeda.

Przed wejściem chirurga ledwo zdążył podkreślić kroplówki i pogrążyć Rasheeda na powrót we śnie.

– Powiedzieli mi, że wciąż tutaj jesteś – zwrócił się do Ramazana tym swoim radosnym głosem. – Jak się miewa nasz chodzący notatnik?

Ramazan wzruszył ramionami, siląc się na nonszalancję.

– Chyba w porządku.

Fonseca sięgnął po kartę pacjenta wiszącą w nogach łóżka i przerzucił kilka jej stron.

– Wyniki ma dobre. Mimo to nadal utrzymujesz go pod narkozą?

Chwila wahania.

– Wybudziłem go dzisiaj rano – wydusił z siebie w końcu. – Ale był bardzo obolały, dlatego pomyślałem, że dam mu jeszcze trochę pospać. Żeby się bardziej podgoił.

Chirurg skinął głową. Ta odpowiedź go przekonała. Odwiesił kartę na miejsce.

– Udało ci się skłonić go do powiedzenia czegokolwiek? Czy wiemy o nim coś więcej, a raczej, czy wiemy o nim więcej niż nic?

Ramazan zamarł. Nie powiedział jeszcze Fonsece o dziwnym zachowaniu mężczyzny przed operacją, a pielęgniarka, Anbara, najwyraźniej też o niczym nie wspomniała. Przyszło mu do głowy, by napomknąć o tym teraz, ale ostatecznie stwierdził, że lepiej tego nie robić. Nie chciał otwierać tych drzwi i nie chciał usłyszeć pytania, dlaczego nic nie powiedział wcześniej. Przede wszystkim zaś nie miał ochoty ryzykować, że Fonseca dowie się o jego pozasłużbowych sesjach z pacjentem.

– Nie – odrzekł, czując, jak gdzieś w środku zaciska mu się węzeł strachu. – Był za słaby, żeby mówić, zwłaszcza po usunięciu rurki intubacyjnej.

– Więc kiedy twoim zdaniem będzie gotów? Jutro rano?

– *Inszallah*. Powinien być już w lepszej formie.

Fonseca zamyślił się przez chwilę, po czym rzekł:

– To może być ciekawe. Chętnie bym usłyszał, co ma do powiedzenia. Zakładając, że zechce mówić. Zakładając, że będzie mógł mówić.

Ramazan poczuł, jak zalewa go niepokój, i prychnął lekko z drwiną.

– Zobaczymy.

– Czy ktoś o niego pytał? Ktoś z administracji?

– Nie.

– Wiesz, że niedługo będziemy musieli to zgłosić.

Choć sam o tym wspomniał, Fonseca wyraźnie nie czuł się dobrze z tą myślą. Ramazan wiedział, że to dlatego, iż nie uśmiechało mu się wzbudzanie podejrzeń, jeśli nie miał ku temu poważnych powodów. Zdarzało im się rozmawiać o tym, że odkąd kraj opanowały ultraimperialistyczne nastroje, chirurg, będąc Żydem, doświadczył kilku nieprzyjemnych sytuacji. Wiedział, jak to jest być postrzeganym przez krzywe zwierciadło podejrzliwości i uprzedzeń.

– Cóż, zaczekajmy i się przekonajmy, co ma do powiedzenia – zasugerował Ramazan. – Może nie ma się czym przejmować.

Fonseca przytaknęła.

– Racja. – Spojrzał na Ramazana, po czym kiwnął głową w stronę drzwi. – Jak się czuje hodża Abdullah? – Miał na myśli pacjenta, którego operował tego dnia razem z Ramazanem. – Sprawdziłeś go już?

Ramazan się zawahał, po czym odrzekł:

– Nie, jeszcze nie.

Fonseca znów kiwnął głową w stronę drzwi:

– Zajrzymy do niego?

Anestezjolog stał zakłopotany, zastanawiając się, co powiedzieć. Oczywiście chciał zostać. Rozpaczliwie tego pragnął. Tracił okazję, a potrzebował jeszcze trochę czasu na rozmowę z wytatuowanym pacjentem. Ale kolega go zaskoczył i zabrakło mu słów. Nie umiał podać żadnego wiarygodnego powodu, żeby zostać, i upłynęło za dużo czasu, żeby mógł posłużyć się jakąś wymówką. Nie miał wyboru.

– Prowadź – odrzekł, starając się nie dać po sobie poznać niepokoju.

Na odchodnym rzucił jeszcze jedno spojrzenie na tajemniczego mężczyznę i podążył za chirurgiem.

Ramazan musiał tam jeszcze wrócić, ale wiedział, że z kręcącym się po korytarzach Fonseką będzie to trudne. Poza tym nie mógł się już doczekać, żeby poszukać informacji, przekonać się, co na temat opowieści wytatuowanego mężczyzny powiedzą mu historyczne książki. Może zadadzą jej kłam i kolejna sesja z pacjentem nie będzie potrzebna. A może ją potwierdzą, wtedy będzie chciał się dowiedzieć znacznie więcej.

Postanowił, że uda się do domu i poczyta trochę o słynnym gubernatorze. I wtedy, jeśli zajdzie potrzeba, wróci tu z samego rana, tak jak dziś. A potem będzie już musiał ostatecznie wybudzić pacjenta z wywołanego lekami snu.

Należało dobrze wykorzystać każdą minutę.

GDY TYLKO RAMAZAN wszedł do mieszkania, Nisreen wyczuła, że jest czymś bardzo przejęty.

Wiedziała, że jego nastrój ma związek z tym, co przed nią ukrywał. Po wszystkich latach życia razem potrafiła odczytać każdą najdrobniejszą zmianę w jego wyrazie twarzy i mowie ciała, mimo że nigdy nie był szczególnie wylewny i posiadał denerwująco ograniczone spektrum reakcji na większość z tego, co ich jako parę w życiu spotykało. Oznaki, które dostrzegła tego wieczoru, powiedziały jej, że chyba zamierza kontynuować to, co zaczął minionej nocy.

Było to wysoce niepokojące.

Wyczuwała niebezpieczeństwo w tym, co robił. Z racji swojego zawodu doskonale umiała to rozpoznać.

Gdy sprzątnęła talerze i schowała resztę potrawki, zastała Ramazana stojącego przy drzwiach balkonowych w pokoju rodzinnym i patrzącego w milczeniu na miasto. Postanowiła zapomnieć o niepokojach, podeszła do niego jak gdyby nigdy nic i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Dobrze się czujesz?

Odwrócił się z niepewną miną. Odpowiedział dopiero po chwili.

– Oczywiście. Czemu pytasz?

Zawahała się. Ledwo powstrzymywała pytanie o to, co wyprawia. Ale знаła Ramazana i wiedziała, że musi podejść do sprawy ostrożnie. Gdyby chciała, mogłaby wywołać temat całkiem niewinnie. Mogłaby powiedzieć, że korzystała wcześniej z komputera i kiedy wyświetliła historię wyszukiwania, chcąc znaleźć stronę, którą już kiedyś otwierała, natknęła się na wpisywane przez niego hasła i jest ciekawa, dlaczego się nimi interesuje. Ale po jego nocnej reakcji uznała, że pewnie by ją zbył i nie dowiedziałyby się niczego ponad to, co już wiedziała.

– Na pewno? – rzekła. – Wydajesz się nieco rozkojarzony.

Odpowiedział jej delikatnym uśmiechem, który jednak nie odbił się w jego oczach.

– Jestem tylko zmęczony. Nic więcej. Prawie nie spałem ostatniej nocy.

– Wiem. Nigdy tak długo nie przesiadywałeś. Czy wszystko w porządku?

I znów lekkie zawahanie.

– Tak, mówiłem ci przecież. Po prostu mam skomplikowany przypadek, i tyle.

Muszę trochę odpocząć. Przepraszam.

– Jesteś pewien?

Przesunął dłonią po jej włosach.

– Tak.

Wytrzymała jego spojrzenie, pohamowała się i skinęła głową.

– No dobrze. – Postanowiła dać mu nieco przestrzeni, czy może raczej popuściła nieco smycz. – Też jestem zmęczona. Wykąpię się i wcześniej położę.

– Nie spiesz się. I tak mam tutaj coś do zrobienia.

– Nie siedź za długo.

Uśmiechnął się znowu.

– Nie będę.

Nachylił się i ją pocałował, a raczej cmoknął beznamyślnie. Zostawiła go w pokoju rodzinnym i poszła do sypialni.

Wciąż nękana trudnym do uciszenia niepokojem, zaczęła przygotowywać kąpiel, zostawiając otwarte drzwi do łazienki i sypialni, żeby dać mu fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Gdy wanna była pełna, zakręciła krany i z głośniejszym pluskiem niż zazwyczaj weszła do wody.

Nisreen uwielbiała kąpiele i w domu, i poza nim. Korzystanie z publicznych hammamów stanowiło stały element życia paryżanek. Łaźnie były jednym z nielicznych miejsc poza domem, gdzie kobiety mogły się gromadzić i utrzymywać kontakty towarzyskie. Spędzanie w nich czasu było skutkiem wielowiekowej tradycji i zbyt kownym rytuałem, który stawał się popularny na każdym podbitym terytorium, mimo że obecnie niewolnice i eunuchowie nie byli często widywani w ich starannie wykafelkowanych ścianach. W mniej trudnych czasach Nisreen i jej przyjaciółki godzinami przesiadywały w osiemnastowiecznym hammamie przy pompowni wody La Samaritaine, ale minęło już sporo czasu od jej ostatniego wyjścia do tego rozkosznego miejsca. Te beztróskie dni były odległym wspomnieniem.

Dziś jednak kąpiel Nisreen ani nie była okazją do nadrobienia zaległości w kontaktach z przyjaciółkami, ani nie dawała jej możliwości odprężenia się w zaciszu własnego domu. Dzisiejsza kąpiel była nieprzyjemnym oszustwem, pułapką, i wydawała się oznaką wielkiego braku szacunku dla jej męża, ojca jej dzieci.

Była też jednak – Nisreen nie miała co do tego wątpliwości – koniecznością.

RAMAZAN USŁYSZAŁ LECĄCĄ z pełnym impetem wodę, zaczekał, aż Nisreen zakręci krany, po czym do jego uszu dotarł odgłos skóry ocierającej się o ściankę porcelanowej wanny, gdy sadowiła się w wodzie.

Zanim przeszkodził mu Fonseca, zdążył wysłuchać znacznej części opowieści mężczyzny: od momentu jego schwytania w rejonie Bagdadu przez amerykańskich

żołnierzy – historia sama w sobie zupełnie niedorzeczna – przez jego pierwsze pojawienie się w sypialnej komnacie sułtana w środku nocy, aż po chwilę, w której interweniował na przedpolach Wiednia. Ale musiał się dowiedzieć więcej, znacznie więcej. Mężczyzna nie powiedział mu zbyt wiele o tym, jak wyglądał jego świat – świat, który zostawił, zanim przestawił wielki zegar. Dla Ramazana było to równie intrygujące jak jego historia, może nawet bardziej. Jeśli mężczyzna fantazjował, tę część mogło mu być trudniej zmyślić. Rzeczą chyba jednak najważniejszą, kluczem do oceny tego, czy mężczyzna był wariatem, czy swego rodzaju czarodziejem, była odpowiedź na pytanie, jak to robi. Jaka metoda pozwala mu poruszać się w czasie?

Znał rytuał kąpielowy Nisreen na tyle dobrze, by wiedzieć, że odgłos lecącej z kranów wody zapowiada dobre, niczym niezakłócone pół godziny prywatności, które mógł teraz wykorzystać.

Włączył komputer, otworzył przeglądarkę Hafiza i wystukał „Ayman Rasheed Pasza”.

Tak jak się spodziewał, wyskoczyły tysiące stron. Osiemnastowieczny gubernator paryskiego ejaletu, olbrzymiej osmańskiej prowincji obejmującej terytorium królestwa Francji za panowania Ludwika XIV. Był osmańskim gigantem. Jak większość wykształconych ludzi, Ramazan wiedział co nieco o życiu Rasheeda Paszy z lekcji historii w szkole, ale minęło sporo czasu i musiał nieco odświeżyć pamięć. Zanim jednak zdążył przeczytać choćby słowo, zobaczył coś, co zmroziło mu krew w żyłach – był to obraz, który przykuł całą jego uwagę, zmienił go w pozbawioną tchu, sztywną, zmumifikowaną wersję samego siebie i sprawił, że jego mózg zwątpił w zasady logiki, desperacko poszukując sensownego wytłumaczenia.

Był to olejny portret namalowany w czasach największej świetności słynnego gubernatora, całe lata po upadku Paryża, gdy odnosił największe sukcesy, władając wielkim miastem – największym wówczas w Europie po Stambule – i przyległym do niego terytorium. Mężczyzna na portrecie uosabiał imperialną wspaniałość. Ukazany był z półprofilu, oglądał się przez ramię, spoczywając na wielkiej luksusowej sofie, stojącej pod wspartym na filarach wielolistnym łukiem. Miał na sobie białą koszulę ze stójką i bardzo czerwony wykwintny kaftan, ozdobiony przy zapięciu wymyślnie plecionym sznurem i szerokim futrzanym kołnierzem. Na jego głowie tkwił typowy osmański tâj, turban, w którym długi pas białej tkaniny owinięty został wokół sztywnej prążkowanej czapki z czerwonego filcu. U pasa wisiał wysadzany klejnotami miecz, a spod długiej szaty wystawały złotego koloru pantofle. A jednak to nie przepych stroju przykuł uwagę Ramazana. Zamurowało go na widok twarzy mężczyzny. Pomogło mu to, że portret wykonano w weneckim stylu, wierniej przedstawiającym rzeczywistość za sprawą zachodniego sposobu cieniowania. Oddawało ono lepiej głębię niż pozbawione życia, niewymodelowane płaszczyzny wcześniejszych osmańskich portretów. Artysta, kimkolwiek był, miał talent. Ramazan, gdyby zechciał, z pewnością znalazłby gdzieś jego nazwisko. Bez

wątpienia surowa, wyzywająca twarz patrząca na niego z ekranu należała do wytatuowanego mężczyzny.

To był on.

Ramazan wpatrywał się w portret całe wieki, nie będąc w stanie przestać myśleć o tym, co to odkrycie oznacza. Jego myśli się miotaly, wędrując w najróżniejszych kierunkach i szukając odpowiedzi na pytanie, jak to jest możliwe. Czy wytatuowany mężczyzna ze szpitala po prostu bardzo przypominał z wyglądu Rasheeda, czy miał obsesję na punkcie tej wielkiej postaci, był psychopata, który uroił sobie, że nim jest, i pokusił się o wykonanie na ciele tatuaży, by uwiarygodnić swoją historię? Czy może nawet posunął się do zafundowania sobie operacji plastycznej, by się do niego upodobnić? Ale z jakiego powodu? I po co te tatuaże?

Otworzył nowe okno przeglądarki i zaczął szukać wzmianki o tatuażach, lecz niczego nie znalazł. Wpisał do wyszukiwarki nawet bardzo konkretne dane, ale i tak nic to nie dało. Czyżby znaki na ciele mężczyzny stanowiły tylko kolejny dowód na jego niepoczytalność? To z pewnością było jedyne logiczne wytłumaczenie. Ale co z jego akcentem, ze starodawną mową, którą już nikt się nie posługiwał? Skąd się wzięła? Czy była udawana? Czy miała być jeszcze jednym sposobem na przydanie jego opowieści autentyczności? Czy oparłaby się analizie językoznawcy? Najważniejsza jednak była niewymuszona szczegółowość, a także sposób opowiadania, który wydawał się tak bardzo autentyczny i tak bardzo uczciwy. „To jednak też mogło być udawane”, napomniał sam siebie. Jeśli mężczyzna miał obsesję na punkcie Rasheeda, to musiał wiedzieć o jego życiu wszystko. Musiał być przekonujący.

Ale dlaczego? Po co ktoś miałby to robić? Jaki mógł mieć powód, by wywinąć taki numer? Swojej choroby nie zmyślił – to jedno było pewne. Co do reszty... Łatwiej było uwierzyć, że jest oszustem, niż w to, że naprawdę jest Aymanem Rasheedem Paszą i że w Palmyrze, która cieszyła się teraz taką popularnością wśród turystów, poznał starożytny sekret, a potem go wykorzystał, żeby zmienić historię.

To niemożliwe.

Znalazł jeszcze kilka portretów Rasheeda autorstwa innych malarzy z epoki. Nie było ich wiele i żaden nie dorównywał realizmem pierwszemu obrazowi, ale wszystkie zdawały się potwierdzać oszałamiającą konstatację wyprowadzoną po jego obejrzeniu. Rozpaczliwie pragnąc zdobyć więcej danych, Ramazan zaczął gorączkowo wyszukiwać artykuły na temat Rasheeda i jego życia, szybko zapoznając się z ich treścią i starając się ją dopasować do tego, co mówił mężczyzna.

Szczegóły dotyczące życia Rasheeda sprzed podboju Wiednia były nieliczne i oczywiście odpowiadały temu, co usłyszał w szpitalu. Gdyby Rasheed rzeczywiście, tak jak powiedział, zjawił się znikąd w sypialnej komnacie sułtana, wówczas musiałby wymyślić swój wcześniejszy życiorys: gdzie się urodził, kim byli jego rodzice, gdzie pobierał nauki. Pomogłoby mu to, że w tamtym czasie dostęp do

wszelkich informacji był raczej słaby. Wystarczyłoby więc kilka najważniejszych faktów. Poza tym brak danych ułatwiłby mu też zbudowanie aury tajemniczości wokół własnej osoby.

A potem, rzecz jasna, po przybyciu Rasheeda i po rozpoczęciu kampanii pod Wiedniem było już o czym pisać. Mężczyzna błyskawicznie wspiął się na szczyty osmańskiej władzy i okrzepł w roli doradcy, bez którego sułtan nie mógł się obyć – został jego nadwornym mędrce. Oprócz wywierania bezpośredniego wpływu na sprawy militarne prawdziwy, historyczny Rasheed Pasza dużo przemawiał i pisał na wiele różnych tematów, takich jak historia, strategia wojskowa, teoria polityki czy socjologia. Był nawet uważany za wizjonera w dziedzinie technologii za sprawą wynalazków, które wprowadził w życie, a także opisów i szkiców ulepszeń, jakie mogła przynieść przyszłość. Czytając o nim, Ramazan natknął się na najbardziej symptomatyczne określenie, które przypomniało mu się jeszcze ze szkolnych czasów, mówiące, że Ayman Rasheed Pasza był osmańskim Leonardem da Vinci, a jego wielki, twórczy umysł przewyższał nawet umysł tego geniusza włoskiego renesansu.

– Co robisz?

Ramazan podniósł gwałtownie głowę.

Nisreen stała w drzwiach owinięta w powłóczysty szlafrok, bez kaptura na głowie. Nie wyglądała na zadowoloną.

– Jak długo tutaj stoisz? – Ledwo wydusił z siebie to pytanie.

– Jakiś czas. – Weszła do pokoju i zbliżyła się do niego. Jej głos przybrał bardziej oskarżycielski ton. – Ramazan, co ty kombinujesz?

Jego palec powędrował do klawiatury, by zamknąć okno przeglądarki, lecz ona szybko podniosła rękę i go powstrzymała.

– Nie. Nie zamykaj. I nie okłamuj mnie.

Ręka Ramazana zawisała nad klawiaturą.

– Skarbie, nie mam powodu, żeby cię okłamywać. Mówiłem ci. Chodzi o moją pracę.

Zatrzymała się, patrząc mu prosto w twarz ponad stołem i dzielącym ich monitorem.

– Nie okłamuj mnie – powtórzyła. – Widziałam, czego szukałeś. Dynamit? Detonatory? Pociągi? W co ty się, do cholery, wplątałeś?

Jej słowa zabolaly jak policzek.

– Słucham?

– Twoja historia wyszukiwania. Z zeszłej nocy. Wszystko tam jest.

Panika zalała mu twarz.

– A więc teraz mnie szpiegujesz i sprawdzasz, czego szukam w Internecie?

– Nie szpieguję cię – odparowała. – Martwię się. O ciebie. O nas. Skoro ja

widziałam, myślisz, że im to umknęło?

– Im?

– Wiesz, że wszystko obserwują. Zapomniałeś, że jestem na ich liście osób do inwigilacji? Nie wiesz, że widzą każdy klawisz, w który stukniesz na klawiaturze komputera?

Szukał słów, ale zanim zdołał sformułować odpowiedź, ona znów spytała:

– W co ty się wpakowałeś?

Utkwił w niej wzrok sparaliżowany rozpełzającym się po ciele przerażeniem.

– W nic się nie wpakowałem.

Jej gniew zapłonął.

– Nie wciskaj mi bzdur. I nie bądź naiwny. Narażasz nas. Wszystkich. – Kipiała ze złości, rzucając mu wściekłe spojrzenia. – Muszę wiedzieć. Natychmiast.

Wypuścił powoli powietrze z płuc i nieznacznie pokiwał głową. W pewnym sensie poczuł ulgę. Ogromną, wielce pożądaną ulgę. Nie był pewien, czy zdoła udźwignąć coś tak doniosłego sam. Spadło to na niego znikąd jak niewyobrażalny ciężar, tak wielki i niesłychany, że się martwił, iż go to zupełnie przytłoczy.

– Usiądź – powiedział cicho. – Lepiej, żebyś siedziała.

I wtedy jej opowiedział.

O wszystkim.

SŁOWA RAMAZANA I NISREEN nie pozostały w ich czterech ścianach.

Nie wiedzieli ani nawet nie podejrzewali, że mieli w domu mikrofon wbudowany w komputer i internetową kamerę, a także połączony z siecią sterowany głosem zestaw głośnikowy w kuchni, i że tego ranka urządzenia te zostały zdalnie aktywowane, tak by umożliwić podsłuch.

Z tego powodu każde słowo, które padło z ich ust, było przechwytywane i niemal natychmiast przekazywane do serwerowni Centrum Gromadzenia Cyberdanych dla Bezpieczeństwa Imperium, gdzie żarłoczne algorytmy przeżuwały je w coraz bardziej innowacyjny sposób, by na koniec wypluć w postaci gotowych raportów.

Raportów, które nierzadko w ciągu kilku godzin potrafiły zniszczyć człowiekowi życie.

SKULONY W ŁÓŻKU w swojej kawalerce na najwyższym piętrze budynku Kamal prowadził kolejną przegraną walkę z bezsennością.

Wciąż bolała go głowa po *raki* i *nargili*, którymi raczył się przez wiele godzin zarówno przed jeszcze jedną ze spontanicznych późnowieczornych wizyt Leyli, jak i po niej. Robił sobie wyrzuty – że ją wpuścił, że tak brutalnie się z nią obszedł, choć wiedział, iż tak lubi najbardziej, że w tak prostacki sposób pozbył się jej z mieszkania, gdy było po wszystkim.

Spokoju wciąż mu nie dawały dwie rozmowy, które przeprowadził, a dwa sprzeczne głosy powodowały w nim wewnętrzne rozdarcie.

Wciąż miał w uszach słowa Taymoora wypowiedziane na parkingu przed Hafiye wczesnym wieczorem po tym, jak mu przekazał, co Nisreen powiedziała na temat zaginionego dramaturga.

– Ty, ja, podobnie jak wielu innych ludzi w tym mieście – mówił Taymoor – wiemy, jak sobie radzić z nowymi ideami. Chroni nas nasze wykształcenie. Ale pozostali, prości ludzie w wioskach i na farmach, mogą łatwo dać się uwieść kłamstwom. A jest ich cała armia. Wielka, uśpiona, nieprzewidywalna armia, którą łatwo jest obudzić i łatwo manipulować. Musimy ich chronić przed nimi samymi.

– Za pomocą przemocy i zastraszania? – zapytał Kamal.

– Bronimy systemu. Podarowanego nam przez Boga systemu, który jest oparty na mądrości i rozumie, i który działa. Ty o tym wiesz i ja o tym wiem, bo obaj wiemy, co jest alternatywą. Chaos. Czyżbyś zapomniał, czego się uczyłeś w akademii?

– Oczywiście, że nie.

– Tacy ludzie jak twój dramaturg łatwo ulegają złudzeniu, że ludźmi da się rządzić, pozostawiając im wolność – argumentował Taymoor. – Ale historia nieraz nam pokazała, że takie rozumowanie jest błędne. Jesteśmy po prostu zbyt samolubni i chciwi. Taka jest ludzka natura. Potrzebujemy ograniczeń. Musimy czuć strach, który ochroni nas przed naszym własnym instynktem, bo wolność, o jakiej mówią, pozwala się wkraść korupcji i dekadencji, tak jak to było w Grecji i Rzymie. Czy tego dla nas pragniesz? Chcesz doprowadzić do naszego upadku?

W tym momencie dopadły go słowa Nisreen obalające argumenty Taymoora. Kamal wiedział, że jego bratowa nie ma skłonności do przesady i nie daje się ponosić nonsensownym teoriom. Dlatego właśnie jej słowa tak trudno było zlekceważyć,

pomimo argumentacji Taymoora.

„Co to za tajemnicza Biała Róża, do której nagle wszyscy zaczęli należeć? Co tak naprawdę o niej wiecie?”

Co tak naprawdę o niej wiedział poza informacjami, które niezwykle oszczędnie dawkował im Wydział Z?

„Musisz się ocknać, Kamal”.

To spotkanie mocno nim wstrząsnęło. Właściwie oba spotkania w ciągu jednego dnia – i to po bolesnej, narzuconej samemu sobie banicji, która zdawała się trwać całe wieki.

Życie było brutalne. Wszystko, za czym tęsknił – wspomnienia chwil spędzonych z nią, z Ramazanem i dziećmi, magiczne momenty, których tak mu brakowało – wszystko to ożyło nagle, by za chwilę znowu zniknąć.

Boże, jak on za nimi tęsknił. Za wszystkimi.

Musiał wymyślić sposób, by z powrotem się znaleźli w jego życiu.

PO DRUGIEJ STRONIE rzeki, na małej wysepce Île de la Cité, na korytarzach oddziału intensywnej opieki Hurrem Sultan *Küllüye* panował tej nocy spokój.

Najspokojniej zaś było w pokoju numer siedem, gdzie jeśli nie liczyć pikania monitora, które rozlegało się raz na jakiś czas, zupełnie nic się nie działo.

Ayman Rasheed był w głębokiej narkozie i mocno spał.

Jego mózg jednak nie odpoczywał. Pytania, coraz więcej pytań, pobudzały go do eksplorowania chwil, o których nie myślał od lat. Sprawiały one, że raz jeszcze odtwarzał najróżniejsze, dawno zapomniane przeżycia, od tych najbardziej instynktownych po najbardziej kontemplacyjne, a jedno z nich rozgrywało się właśnie w jego głowie: miesiące spędzone w Stambule w bibliotece, kiedy dawał się pochłonać książkom, a potem spacerował długo wzdłuż brzegu Bosforu o świcie albo późną nocą, rozmyślając bądź opracowując strategię.

Wyobrażał sobie, jak niemożliwe uczyni możliwym.

Największe wyzwanie stanowił trzeci obszar studiów Rasheeda: rozpoznanie wszelkich ewentualnych zagrożeń, jakie mogą czyhać na imperium, i znalezienie sposobu na ich zneutralizowanie.

Nie chodziło tylko o doprowadzenie do upadku i podporządkowanie sobie chrześcijańskiej Europy. Prawdopodobnie za jego życia nawet nie mogłoby się to dokonać. Przede wszystkim czuł się w obowiązku, by zrobić wszystko dla zapewnienia imperium przetrwania, tak by było obecne w odległej przyszłości – przyszłości, którą on będzie mógł do woli odwiedzać i cieszyć się owocami swojego trudu, jeśli tylko wszystko się powiedzie.

Zaczął od próby zrozumienia, co doprowadziło do upadku Imperium Osmańskiego. Po klęsce pod Wiedniem Osmanowie zostali wyparci przez Habsburgów, których kontrataki pozwoliły

im odzyskać utracone przed wiekami ziemie. Powierzchnia imperium radykalnie się skurczyła, ale był to dopiero początek większych problemów, z jakimi musieli się zmierzyć, gdyż działo się to wszystko w czasie, gdy Europa – chrześcijańska Europa – ewoluowała, wdrażając liczne innowacje w wielu kluczowych dziedzinach. Uprzemysłowienie, postęp w edukacji, stosowanie coraz nowocześniejszej broni i taktyki na polu walki – pod tymi względami Osmanowie zostawali w tyle, trzymając się kurczowo swojej przeszłości, hamowani dodatkowo przez religijny i intelektualny konserwatyzm, który się opierał wszystkiemu, co nowe, gardził nieszyblonowym myśleniem i nie ufał nauce.

Jednym z pierwszych przykładów owego zacofania był stosunek do prasy drukarskiej. Potępiona przez islamskie duchowieństwo jako „diabelski wynalazek”, trafiła do Stambułu przeszło pięćdziesiąt lat po tym, jak w 1440 roku wynalazł ją Gutenberg, i to tylko dlatego, że przywieźli ją ze sobą Żydzi wygnani z Hiszpanii w 1492 roku. Ówczesny sułtan Bajazyd II wysłał swoją flotę, żeby ich ewakuowała, i zachęcił do osiedlania się w całym imperium. Jednak przez opór duchowieństwa muzułmanom nie było wolno korzystać z maszyny aż do końca osiemnastego wieku. Takie reakcyjne, uwsteczniające podejście do postępu bardziej niż cokolwiek innego przyczyniło się do upadku. Imperium walczyło czas jakiś o utrzymanie się na powierzchni, aż w końcu się rozpadło, bez przekonania próbując znaleźć sposób na dostosowanie do szybko zmieniającego się świata.

To było coś, co Rasheed musiał naprawić. W jego świecie Imperium Osmańskie nie miało się wlec w ogonie Europy. Miało być jej liderem.

Im bardziej zagłębiał się w tę kwestię, tym wyraźniej zdawał sobie sprawę, że sednem wszystkiego, najpotężniejszym zagrożeniem dla imperium okaże się ludzki umysł. W chwili jego interwencji europejska myśl będzie w stanie ciągłego rozwoju, ewoluując od uległej akceptacji autokratycznej władzy do tęsknoty za wolnością. Z tego powodu zaczął się koncentrować na oświeceniu i – będących poniekąd jego owocem – rewolucjach we Francji i Ameryce, a także na towarzyszącemu owym rebeliom rozprzestrzenianiu się liberalistycznych i republikańskich idei.

Filozoficzne ziarno oświecenia zostało zasiane już przed oblężeniem Wiednia, ale jego rozkwit jeszcze nie nastąpił. Rasheed musiał stawić mu czoło, gdyż wiele oświeceniowych ideałów, takich jak wolność jednostki, konstytucyjne rządy czy rozdział Kościoła od państwa, stało w sprzeczności z podstawami kalifatu. Bacon, Kartezjusz, Locke, Spinoza, Leibniz – należało pomniejszyć znaczenie ich dzieł, a tych, którzy żyliby jeszcze w chwili jego przybycia, trzeba zlikwidować. Inne kluczowe postacie oświecenia wciąż będą dziećmi albo nawet się jeszcze nie narodzą do chwili, w której przybędzie. Będzie musiał unieszkodliwić tych ludzi, zanim wykiełkują ich niebezpieczne pomysły, mimo że zdawał sobie sprawę, iż mogłyby one okazać się zupełnie bez znaczenia w innej rzeczywistości, w której by dorastali. Mimo wszystko nazwiska takie jak Monteskiusz, Wolter, Rousseau, Beccaria, Hume, Kant i Smith znalazły się na jego celowniku. Będzie musiał wynająć zamachowców, którzy zabiją ich we wczesnym dzieciństwie. Dopilnuje, by księgi takie jak „Dwa traktaty o rządzie” czy „Wielka encyklopedia francuska”, najbardziej wpływowe publikacje oświecenia, nigdy nie powstały.

Oczywiście wiedział, że w ich miejsce mogą się pojawić inni. Sprawą najważniejszą było, aby zidentyfikować ich jak najwcześniej, wyeliminować i przede wszystkim stworzyć środowisko, które nie będzie sprzyjało takiemu myśleniu.

Thumiac idee oświecenia, rozbroi zagrażającą imperium potencjalną bombę zegarową. Jeśli nawet nie będzie to trwała zmiana, przynajmniej zyska czas, w którym kalifat zdąży się rozrosnąć, rozkwitnąć i okrzepnąć w swej nowej wielkości. Bez rewolucyjnych idei szerzących się po Europie łatwiej przyjdzie mu zapanować nad podbitym kontynentem. Nie będzie rewolucji francuskiej, nie będzie gilotynowania monarchów ani kwestionowania imperialnej władzy czy boskiego prawa. Konsekwencje jego ingerencji w historię będą odczuwalne daleko poza granicami kalifatu właśnie dlatego, że dojdzie do niej w czasie, gdy ideały wolności i praw człowieka dopiero zaczną opanowywać świat.

Czy mimo wszystko dojdzie do angielskiej chwalebnej rewolucji 1688 roku, czy też osmańska inwazja zaprzętnie uwagę Wilhelma Orańskiego i każe mu bronić jego holenderskich terytoriów? Czy po zgładzeniu najważniejszych oświeceniowych myślicieli, zanim zdążą przelać swe rewolucyjne ideały na papier, dojdzie jednak do amerykańskiej wojny o niepodległość? A jeśli tak, to czy Brytyjczycy będą na tyle pochłonięci tym, co Osmanowie robią w Europie, że oddadzą swoje kolonie bez walki, czy też tym bardziej będą chcieli je utrzymać?

Sama myśl, że jego czyn może mieć tak potężne i tak daleko idące konsekwencje, podsycała ekscytację Rasheeda, zwłaszcza gdy chodziło o Amerykę. Oczywiście nie mógł przewidzieć, jak jego interwencja wpłynie na te wielkie historyczne kataklizmy, i był w pełni świadom tego, że w którymś momencie w przyszłości instynkt pchający ludzkość ku wolności nieuchronnie zagrozi jego kalifatowi. Aby zażegnać to niebezpieczeństwo, będzie musiał pomyśleć, jak znaleźć równowagę pomiędzy nowoczesnością a islamskim panowaniem – które z definicji nie pozwoli na rozdział meczetu od państwa – tak, by zapewnić imperium długowieczność. W swych poszukiwaniach zagłębił się w dzieła pionierów islamskiego modernizmu, takich jak Rifa'a al-Tahtawi i Dżamal ad-Din al-Afghani, i spróbował sobie wyobrazić imperium, które stawiałoby na multietniczność, kulturę i nowoczesność, ale w przeciwieństwie do ruchu baasistowskiego w Iraku, w którym dorastał, nie lekceważyłoby znaczenia religii.

Nie było to niemożliwe zadanie. Choć w dwudziestym wieku nie udało się tego wprowadzić, to społeczeństwa funkcjonowały na podobnych zasadach pod rządami kilku sultanów i znacznie wcześniej, w czasach konkwisty w islamskiej Hiszpanii.

Mimo że ta część jego pracy miała związek z odległą przyszłością imperium, to i tak musiał przeprowadzić dogłębne badania przed wyruszeniem w podróż. Gdy już w nią wyruszy, nigdy nie będzie mógł wrócić i niczego doczytać. Obecne źródła wiedzy bowiem znikną, gdyż wszystko – jak miał nadzieję – się zmieni.

Z tygodni robiły się miesiące, a on wciąż czytał, rozmyślał, notował i knuł, wypełniając swoimi myślami kilka zeszytów.

Musiał zapamiętać tak wiele nazwisk i dat, tak wiele pomysłów i strategii, tak wiele specyfikacji technicznych. Wkrótce miał być gotów, ale musiał wyrycić w pamięci wszystkie te

informacje, co wydawało się najbardziej przytłaczającym zadaniem, bo nie mógł przecież zabrać ze sobą nic materialnego, żadnych książek, notatek, nawet jednej kartki.

Musiał polegać na swojej pamięci – tak mu się wydawało, aż pewnego wieczoru, siedząc w kawiarni w pobliżu placu Taksim, zauważył muskularnego człowieka w obcisłych dżinsach z fryzurą na jeża rozmawiającego nieco zbyt czule z dwoma podobnie zbudowanymi mężczyznami.

Uwagi Rasheeda nie przykuło to, że wszyscy byli niewątpliwie gejami.

Jego uwagę zwróciły ręce pierwszego z nich.

Były silne. Umięśnione.

A na napiętej, gładkiej skórze widniały wytatuowane całe akapity słów i najróżniejsze rysunki.

Ostatni element układanki znalazł swoje miejsce.

Teraz nie potrzebował dużo czasu. Wkrótce miał być gotów do drogi.

Początkową część planu już dokładnie obmyślił.

Gdy tylko będzie gotów, odwiedzi pałac Topkapi, udając turystę. Znajdzie jakąś kryjówkę i zostanie w niej do zamknięcia obiektu dla zwiedzających. A wtedy, o odpowiedniej godzinie w środku nocy, uda się do komnaty sypialnej sultana, gdzie się to wszystko zacznie.

Sułtan i historia czekali.

NISREEN I RAMAZAN NIE zmrużyli tej nocy oka.

Jak mogli? Tyle było do przedyskutowania, do zgłębienia, do omówienia.

Początkowo Nisreen nie potrafiła w to uwierzyć. Jej pierwszą reakcją była złość, która przerodziła się w niedowierzenie, a potem w przekonanie, że Ramazan snuje szaloną opowieść, żeby ukryć jakiś koszmar, w który się wplątał, by po chwili znów przejść w zwątpienie, tym razem jednak podszyte rosnącym strachem.

Rozmyślali, debatowali i rozbierali wszystko na czynniki pierwsze przez wiele godzin. Pod koniec dyskusji, gdy się przenieśli do sypialni, gdzie Nisreen usiadła, opierając się plecami o wezłowie łóżka, a Ramazan rozparł się w fotelu naprzeciwko, oboje byli wyczerpani fizycznie i duchowo.

Po długiej chwili milczenia Ramazan rzekł:

– I co z tym teraz zrobimy?

– Tak jak mówisz. Jeśli ten człowiek zmyśla... to dlaczego?

– Nie wiem.

Nisreen złożyła dłonie w wieżyczkę, przyłożyła do ust i zamknęła oczy, myśląc: „Ale jeśli to prawda... jeśli nie mamy do czynienia z chorobliwym kłamcą...”. Otworzyła oczy i znowu wbiła w męża przenikliwy wzrok.

– Nie powiedział ci, jak to robi? Jak podróżuje w czasie?

– Zamierzałem zapytać go dziś wieczorem, ale Fonseca mi przeszkodził i nie zdołałem.

Nisreen w zamyśleniu pokiwała głową.

– Potrafisz to sobie wyobrazić?

– Co takiego?

– Jeśli to prawda... czy potrafisz sobie wyobrazić, czego można by dokonać, mając taką wiedzę? Taką władzę?

Ramazan smutno pokręcił głową.

– Można by zrobić wszystko. – Ogrom tego, w co się wplątał, nagle zaczął do niego docierać. – Co ja zrobiłem? Jeśli ktoś się dowie...

– Nikt nie musi się dowiedzieć. Zresztą nie wiemy, czy mówi prawdę. Ale jeśli tak jest... musi to być coś, co może przekazać dalej. Nam. Coś, czego oboje moglibyśmy

spróbować.

Ramazan, zaskoczony, pochylił się gwałtownie do przodu.

– Chcesz to wypróbować?

– A ty nie? To znaczy, jeśli to bezpieczne, to kto by nie chciał? Poza tym w jaki inny sposób mamy się przekonać, że nie kłamię?

Ramazan pokręcił głową.

– To szaleństwo.

– Twierdzi, że przybył z innego świata, tak? Z innej wersji historii, tak? Z innego roku tysiąc czterysta trzydziestego ósmego^[10].

– Tak.

– No i jak wyglądał ten jego tysiąc czterysta trzydziesty ósmy? Nie chcesz wiedzieć? Jak wyglądał świat, który porzucił?

– Nie mówił o nim wiele; opowiadał tylko o wojnie, w której uczestniczył.

– O wielkiej wojnie na wschodzie, czy tak?

– Mówił o tych miejscach Irak i Syria, co moim zdaniem oznacza Al Jazirę i Al Sham.

– O wojnie, którą rozpoczęli Amerykanie? – kontynuowała pytającym tonem. – Ale powiedział też jedną wyjątkowo ważną rzecz. Że imperium, nasze imperium, wtedy nie istniało?

– Tak – potwierdził Ramazan. – Powiedział, że uległo osłabieniu po porażce pod Wiedniem; w końcu się rozpadło i jego miejsce zajęły inne potęgi.

– Co oznacza, że świat, jego świat, miał za sobą trzysta lat zupełnie innej historii. – Zamilkła na chwilę. – Jeśli to prawda... chcę wiedzieć, co to był za świat.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Oczywiście – upierała się Nisreen. – Chcę wiedzieć, pod jakimi względami różnił się od naszego. I dlaczego on chciał go zmienić. Nie rozumiesz? Tak właśnie powinien wyglądać teraz.

– Zakładając, że nikt inny nie cofnął się i nie zmienił wszystkiego jeszcze przed nim.

Zastanowiła się przez chwilę.

– Może. Ale i tak chcę wiedzieć, czy jego świat był lepszy, czy gorszy od naszego.

– Ten człowiek był uwikłany w wielką wojnę.

– Nam też zdarzały się wojny. I w razie gdybyś jeszcze nie zauważył, toczy się właśnie kolejna, a my w niej tkwimy po uszy. I jest to gorsza wojna. Cicha. Wojna, w której wszystko, co powiemy, może sprowadzić na nas śmierć z ręki naszych własnych rodaków. Nie chciałbyś się przekonać, czy gdzieś tam nie istniał lepszy świat?

– Może powinniśmy dać temu spokój. Ta rozmowa o innym świecie zakrawa na szaleństwo.

Nisreen przyjrzała się mężowi.

– Jesteś zadowolony z tego, jak się sprawy mają?

– Co masz na myśli?

– Czy podoba ci się to, jak w ciągu ostatnich kilku lat zmieniło się nasze życie?

Ramazan wzruszył ramionami.

– Cóż, jeśli chodzi ci o ciebie, o mnie, o nasze dzieci i...

– Chodzi mi o świat, w którym dorastają Tarek i Noor. Świat, który wszystkich korumpuje, w którym brat zwraca się przeciwko bratu, przeciwko własnej rodzinie... świat, który wysysa z ludzi rozsądek i przyzwoitość. Gdyby istniała gdzieś lepsza wersja tego świata, czy nie chciałbyś jej poznać?

Ramazan doskonale wiedział, co ma na myśli i do kogo się odnosi, i poczuł ukłucie zazdrości. Choć bardzo kochał brata, zawsze był świadom tego, jak ciągnęło do niego Nisreen i inne kobiety do niej podobne. Oczywiście dawniej. Zanim świat tak się nagle dla nich zmienił. Zanim jego brat popadł u jego żony w niełaskę.

– A jaką nam to zrobi różnicę? – odparował. – Żyjemy w naszym świecie. Nic tego nie zmieni. A ludzie są, jacy są. Nikt nie zmusza nikogo, by był kimś, kim nie chce być. – Pokręcił głową, zły na siebie, że zrobił aluzję do Kamala. Musiał stawić opór zapędom Nisreen. – Nie. To zbyt niebezpieczne. Musimy dać temu spokój.

– Pewnie nie powinno mnie to dziwić – rzekła Nisreen wyraźnie zniechęcona. – Zawsze lepiej się czułeś, obierając bezpieczną drogę.

– Hej, to ty objechałaś mnie za to, że w ogóle się w to wplątałem – wysyczał, uważając, żeby nie obudzić dzieci. – Pamiętasz?

Nisreen się skuliła, słysząc te słowa.

– W porządku, ale skoro wypuściłeś dzina z butelki, to jest już za późno, żeby go wepchnąć z powrotem.

Ramazan zobaczył skruchę na jej twarzy, ale dostrzegł też coś jeszcze. To znane mu rozczarowanie – rozczarowanie jego osobą. Nie mógł go znieść. Nawet gdy rugała go za grzebanie w Internecie, było mu całkiem przyjemnie, bo wiedział, że pokazał się jej z zupełnie innej strony, odważnej i zuchwałej.

Chciał znów to poczuć.

– Więc co chcesz powiedzieć? – spytał ją. – Co mamy twoim zdaniem zrobić?

– Chcę się dowiedzieć, jak wtedy było. I chcę wiedzieć, jak on to robi.

– Jeśli to prawda.

– Jeśli to prawda.

Ramazan pokiwał głową, głęboko zamyślony.

– W porządku – uległ w końcu. – Mogę go zapytać.

Nisreen się wyprostowała.

– Nie ty. My. Razem możemy go zapytać.

Ramazan poczuł niepokój; nie podobał mu się kierunek, w jakim to wszystko zmierzało.

– My?

– Tak. Ty i ja. Razem. Chcę być przy tym, kiedy znowu będziesz z nim rozmawiał.

– Nie. Nie ma mowy.

– Dlaczego?

Próbował znaleźć jakąś odpowiedź.

– Jest na OIOM-ie. Nie mogę cię tam tak po prostu wprowadzić.

– To twój pacjent – upierała się. – A ja jestem twoją żoną. Coś wymyślisz. Nikt nie będzie się specjalnie czepiał. Ten człowiek jest nikim.

Ramazan z niezadowoleniem zmarszczył brwi.

– To, co robię, i tak jest podejrzane. Twoja obecność zwróci na to uwagę.

– Sam mówiłeś, że dziś rano musisz go wybudzić. Pewnie uda ci się z nim odbyć jeszcze tylko jedną rozmowę. Wejdiesz pierwszy, upewnisz się, że droga wolna, i wtedy do ciebie dołączę. Zawsze możemy powiedzieć, że chodzi o ważną sprawę rodzinną, w związku z którą musiałam się z tobą zobaczyć. Coś pilnego. Nikogo to nie będzie obchodzić.

– A co z dziećmi?

– Zadzwonię po Sumayyę.

Sumayya była nastolatką, ulubioną opiekunką ich dzieci, i mieszkała po drugiej stronie ulicy.

– Tak wcześniej?

– Będzie zadowolona. Przydadzą się jej pieniądze.

Ramazan zamknął oczy i odchylił w tył głowę, ale nic nie powiedział. Po chwili znów spojrzał na Nisreen. Wiedział, że to zły pomysł. Ale widokowi jej płonących oczu i perspektywie zrobienia wraz z nią czegoś szalonego i zuchwałego trudno się było oprzeć.

Za oknami sypialni w czerń nocy wdzierali się pierwsi zwiadowcy świtu. Wkrótce z minaretów miasta miały się rozleć nawoływania do modlitwy.

Spojrzał kpiarsko na Nisreen, delektując się tym, co zamierzał powiedzieć, i odsuwając od siebie strach, by zrobić miejsce dla słów, które przedzierały się przez pokłady przekonania, że nie postępuje właściwie.

– Szykujmy się zatem – rzekł. – Zaraz zacznie świtać. A im szybciej dotrzemy do szpitala, tym lepiej.

NISREEN CZEKAŁA w kobiecej strefie dla odwiedzających, gdy Ramazan zjawił się w szpitalu, znowu, tak jak poprzedniego dnia, wcześniej niż zwykle. Miał mieć tego ranka dwa zabiegi, więc musiał się spieszyć. Wiedział też, że powinien uważać na personel wyższego szczebla, zwłaszcza na Fonsecę. I tak spędził już z tym pacjentem więcej czasu, niż zazwyczaj to robił. Musiał też zachować trzeźwość umysłu, mimo że miał za sobą bezsenność i psychicznie wyczerpującą noc.

Skrzydło męskie było stosunkowo spokojne, nie zatrudniało zbyt licznych personelu. Jak gdyby nigdy nic zajął się swoją pracą, sprawdził samopoczucie kilku pacjentów i wymienił parę uwag z dyżurnymi pielęgniarkami – wtedy zobaczył idącą w swoją stronę Anbarę. O tej porze musiała właśnie kończyć nocny dyżur. Zjeżył się na jej widok. Lubił ją oczywiście, ale jej obecność była teraz niepożądana, mogła wszystko popsuć, zważywszy na jej udział w opiece nad niezwykle pacjentem.

– *Sabahel nour* – powiedział do niej, uśmiechając się uprzejmie, gdy się do niego zbliżyła. – Noc minęła spokojnie, mam nadzieję?

– Tak – odrzekła. – Dla odmiany.

– To dobrze. A jak się miewa – nachylił się i zniżył głos, puszczając oko – nasz szczególny przypadek?

Anbara wydała się nieco zdezorientowana; dopiero po chwili dotarło do niej, co Ramazan miał na myśli.

– Ach, nasz prześwietny gość? – Zachichotała cicho. – Jego ekscelencja mocno śpi. – Jej twarz spoważniała. – Czy są powody, żeby się o niego martwić?

– Dlaczego?

– Słyszałam, że zaglądał pan wczoraj do niego kilka razy.

Ramazan się spał, ale ukrył nerwowość.

– Nie, to tylko... Woląłem mieć oko na jego dreny, ale wszystko wydaje się w porządku. Bo wiesz – dodał ze znaczącą sarkastyczną miną – pacjent jest dość wyjątkowy.

Anbara skinęła konspiracyjnie.

– Otóż to – powiedziała.

– Wybudzę go i zabiorę od was, jak tylko wyjdę z sali operacyjnej. Wiem, że potrzebujecie łóżek. – Zmieniając temat, spytał: – Skończyłaś dyżur?

– Tak – odrzekła. – Marzę już tylko o łóżku.

– Należy ci się.

Popatrzył, jak odchodzi, i zerknął na zegarek. Czas był odpowiedni. Wołał mieć pewność, że Anbara opuściła oddział, zanim przemyci tu Nisreen.

Spacerował przez jakiś czas, starając się nie zwracać na siebie uwagi, aż zobaczył, jak wychodzi. Kilka minut później, gdy na oddziale zapanował spokój, Ramazan się wymknął, żeby znaleźć Nisreen. Już wcześniej zdobył dla niej biały lekarski fartuch i czepek, w których na OIOM-ie powinna się mniej rzucać w oczy. Nisreen szybko je nałożyła w damskiej toalecie i po chwili ruszyła za nim na oddział.

Dotarli do pokoju numer siedem, idąc swobodnym krokiem, przez nikogo niezauważeni. Gdy tylko znaleźli się w środku, Ramazan cicho zamknął drzwi.

– Mamy niewiele czasu – zwrócił się do żony.

– Jak myślisz, ile?

– Udawało mi się utrzymać go w tym półprzytomnym stanie przez piętnaście minut, może trochę dłużej. Potem muszę go na powrót głęboko uśpić, zanim stanie się zbyt świadomy. To sztuka balansowania.

Nisreen popatrzyła na śpiącego pacjenta, po czym spojrzała uważnie na męża.

Oboje ich przeszły dreszcz. Nigdy w niczym podobnym nie uczestniczyli, nigdy nie spiskowali, próbując zrobić coś, co wiązało się z jakąś dozą niebezpieczeństwa – choć niebezpieczeństwo, które im w tej chwili groziło, było raczej niewielkie, mogli co najwyżej znaleźć się w niezręcznej sytuacji, z której Ramazan bez trudu by wybrnął, gdyby ktoś ich przyłapał. To potencjalne skutki tego, co mieli usłyszeć, wywoływały nerwowość; rewelacje, które nieświadomie mógł im zdradzić mężczyzna, jeśli mówił prawdę.

– Gotowa? – spytał Ramazan.

Wciągnęła głęboko powietrze.

– Zdecydowanie – odpowiedziała, a jej twarz rozpromieniła się nowym pomysłem. – Zaczekaj – szepnęła, podnosząc rękę, by go powstrzymać.

Sięgnęła pod płaszcz i wyciągnęła torebkę, płaską, z czarnej skóry, na pasku. Włożyła dłoń do środka i wyjęła telefon, wprowadziła PIN, odszukała kamerę i włączyła nagrywanie.

– Co robisz?

– Chcę to uwiecznić – odpowiedziała. – Jeśli mówi prawdę, szaleństwem byłoby tego nie zarejestrować. Potrzebujemy dowodu.

– Dowodu? Potrzebujesz dowodu, że to robimy?

– Oczywiście. Musimy mieć nagranie.

– Nie – upierał się. – Odłóż to. To zbyt ryzykowne.

– Wiem o tym, ale nie chodzi tylko o ciebie i o mnie. Chodzi o coś znacznie

większego.

Ramazan stał przez chwilę nieruchomo, robiąc wrażenie człowieka niezdecydowanego.

– Jeśli to się okaże prawdą, a twoje nagranie zostanie kiedykolwiek odkryte...

– Zdaję sobie z tego sprawę – przerwała mu. – Ale musimy to udokumentować. Każde słowo. Nie możemy sobie pozwolić, żeby nam cokolwiek umknęło.

Wpatrywał się w nią zaskoczony i zdumiony, aż wreszcie uległ.

– W porządku. – Wzruszył ramionami. – To może się źle skończyć, ale... jak sobie życzysz.

Skinęła tylko głową. Była wyraźnie zdenerwowana.

– Tracimy czas. Zaczynamy.

Odwrócił się i zabrał do pracy. Pomajstrował przy kroplówkach, zmieniając dozowanie anestetyku i środków uspokajających przepływających przez żyły mężczyzny. Przez cały czas bacznie obserwował odczyty na urządzeniach monitorujących akcję serca i oddech.

Efekt uzyskał szybciej niż poprzedniego dnia, co znaczyło, że organizm wytatuowanego mężczyzny robi postępy na drodze do wyzdrowienia. Pierwszą reakcją był delikatny ruch pod powiekami, a potem drgnięcie palców. Następnie otworzyły się oczy – powoli – widać było walkę o to, by się z powrotem nie zamknęły.

– Miło, że znowu pan do nas dołączył, ekscelencjo – odezwał się Ramazan, zerkając na Nisreen z telefonem skierowanym w twarz pacjenta. Ramazan nachylił się tak, by jego twarz znalazła się nad mężczyzną, i zmusił się do kojącego uśmiechu. – Jak się pan czuje?

Nastąpiła chwila ciszy, w której mężczyzna, idealnie nieruchomy, z półżywym spojrzeniem wydawał się przetwarzać pytanie.

– Dobrze – wymamrotał. – Usta. Mam bardzo suche usta.

– Proszę – rzekł Ramazan, biorąc ze stolika kubek z wodą i podając mężczyźnie słomkę. – Małymi łyčzkami. Powoli.

Gdy wytatuowany pacjent pił, Ramazan zerkał nerwowo na Nisreen. Pochylała się nad łóżkiem z telefonem, żeby mieć lepszy widok. Mężczyzna miał wciąż nieobecne oczy i nie obejmował jej spojrzeniem.

Ramazan odstawił kubek.

– Właśnie mi pan opowiadał o swoim świecie – powiedział spokojnym, pełnym otuchy tonem. – O tym, jak wyglądał, zanim go pan zmienił. To takie fascynujące.

Mężczyzna zamknął oczy i westchnął ciężko, po czym w odpowiedzi pokiwał powoli głową.

– Tak, mój świat – wymamrotał. – Zupełnie inny świat.

– A więc Francja w tamtym innym świecie... nie była osmańska?

Zdawało się, że to pytanie zbiło go z tropu.

– Nie... była francuska.

– A reszta Europy?

Mężczyźnie powoli wracała świadomość, rozpalając światło w jego oczach.

– Włochy, Niemcy, Grecja... wszystko to były niepodległe kraje.

– Chrześcijańskie?

– Oczywiście. – Jego oczy przewędrowały od lewa do prawa, błąkając się po suficie, jakby umysł szukał zakotwiczenia. – Imperium Osmańskie przestało istnieć. To, co z niego zostało... jego małą cząsteczkę... nazwano Turcją.

– Rozumiem – odrzekł Ramazan, dusząc w sobie zdumienie i nerwowość, ale starając się zachowywać tak, jakby to była najbardziej błaha i zwyczajna rozmowa na świecie. – I jak to było w pańskim świecie? Znał pan Paryż?

– Nie.

– Ciekawe, czy był tak piękny jak dziś – odpowiedział Ramazan.

Mężczyzna potulnie skinął głową.

– O tak. Paryż słynął ze swej urody. Ale się rozpadał. Zachód... cały Zachód się sypał. I to wszystko przez nich.

– Przez kogo?

Mężczyzna odpowiedział jakby skwaszony:

– Przez nich. Przez Zachód.

Ramazan nie był pewien, o co chodzi.

– Jak to? Co się stało?

Mężczyzna zmarszczył brwi i przez chwilę formułował odpowiedź.

– Mieli obsesję na punkcie niewłaściwych wrogów: imigrantów, islamu, Rosji. Nie widzieli swojego prawdziwego wroga.

– Czyli...?

– Własnej arogancji i... chciwości. – Mężczyzna spojrzął bardziej świadomie, a monitory urządzeń wykazały szybsze tętno. – Amerykanie... ci byli ze wszystkich najgorsi. – Mówił teraz z większą łatwością, jego słowa brzmiały mniej bełkotliwie. – Jeśli chciałbym czegoś z tamtego świata, to tylko tego, żebym mógł popatrzeć, jak ulegają zagładzie, stając się ofiarą własnej głupoty.

To akurat ich zaskoczyło.

– Dlaczego Amerykanie byli tacy źli? – spytał Ramazan.

Odczyty na monitorach znowu pokazały wyższe wartości, a głos mężczyzny zabrzmiał ostrzej i wyraźniej.

– Wydawało im się, że są wyjątkowi. I pod wieloma względami tacy byli. Wysłali człowieka na Księżyc, poczynili fenomenalny postęp w medycynie, przetrwali

komunizm. Posiadali ogromne bogactwo i zaawansowane technologie, i najnowocześniejszą broń, ale w pewnym momencie uwierzyli, że wszyscy powinni żyć tak jak oni. I nie potrafili dostrzec, jak bardzo ten ich świat się myli, do jakiego stopnia ulegli dekadencji. Ani jak chore jest ich społeczeństwo.

Oblizwał wargi, chcąc je zwilżyć, a Ramazan podał mu znowu wodę. Kiedy się napił, lekarz spytał:

– Chore? W jakim sensie?

– Mieli obsesję na punkcie wolności. Lubili powtarzać, że wszyscy ludzie rodzą się równi, mimo że ci, którzy to wymyślili, byli dumnymi posiadaczami niewolników. Ta naiwna, mylna wizja z czasem coraz bardziej przybierała na znaczeniu. Ale wolność, ta ich nieposkromiona demokracja, to był zatruty puchar. W ich społeczeństwie prawie wszystko było dozwolone. Mów, co chcesz, rób, co chcesz. Ludzie nie mieli wstydu. Pary żyły razem bez ślubu, nie prosząc nawet o zgodę rodziców. Dziewczeta dokonywały aborcji z taką łatwością, jakby robiły sobie manikiur, albo rodziły dzieci, nie mając męża. Kobiety paradowały półnagie. Mężczyźni brali ślub z mężczyznami. Zupełnie zatracili poczucie dobra i zła.

Poprosił znowu o wodę. Ramazan pomógł mu z kubkiem, po czym sprawdził kroplówki. Tym razem mężczyzna nie potrzebował zachęty.

– Liczyło się dla nich tylko zarabianie pieniędzy – ciągnął napędzany gniewem, który nosił w sobie, a który teraz znalazł ujście. – Nieważne, w jaki sposób, ważne tylko, żeby wszystko uszło na sucho. Im bardziej skandalicznie się ktoś zachowywał, im bardziej był zepsuty, tym bardziej go podziwiali. Każdy, kto dzierżył władzę, był kłamcą albo oszustem, albo siedział w kieszeni wielkiego biznesu. Ludzie szli do polityki, żeby napełnić sobie portfele i nakarmić ego. Bankierzy i przemysłowcy sponsorowali ich, żeby jeszcze bardziej się wzbogacić, podczas gdy ludzie biedni stawali się coraz biedniejsi. Szczycili się, że są mistrzami przestrzegania praw człowieka, a jednocześnie wspierali bezwzględnych dyktatorów i rujnowali kraje dla własnego zysku. Chełpili się demokracją i demonizowali państwa, w których jej nie było, lecz wcale tak naprawdę w demokrację nie wierzyli. Wierzyli w hipokryzję. Ich kompas moralny wpadł w wir, nad którym nie dało się zapanować, i runął ze szczytu na sam dół. Jeden z prezydentów posłał ich na długą, katastrofalną w skutkach wojnę bazującą na kłamstwach, a mimo to został ponownie wybrany. Inny prezydent, żonaty, został przyłapany na tym, jak jakaś dziewczyna robiła mu w gabinecie loda, a oni i tak go uwielbiali. Potem prezydentem próbowała zostać jego żona – dodał tonem ociekającym drwiną – kobieta miałaby rządzić najpotężniejszym państwem na świecie. Wyobraźcie sobie, co za bezczelność, po takim skandalu, który tuszowała.

Nisreen nie zdołała się powstrzymać.

– Powiedział pan, że próbowała – wtrąciła. – To znaczy, że to naprawdę było możliwe?

Rasheed przekręcił lekko głowę, przez chwilę zbity z tropu tym nieznanym

głosem. Nisreen prędko opuściła telefon i się odsunęła, ale i tak ją zobaczył.

– Pani...? Kim pani jest...?

Ramazan zbliżył się szybko, żeby odwrócić uwagę Rasheeda i przywrócić jego myślom właściwy tor.

– Ekscelencjo, proszę.

Rasheed spojrział na niego, wyraźnie skołowany.

– Kobieta, która chciała zostać prezydentem. Mówił pan, że próbowała.

Rasheed popatrzył na Nisreen, potem znów na Ramazana i przez moment wydawało się, że jest zbyt oszołomiony, by odpowiedzieć.

– Nie udało jej się? – spytał cicho Ramazan.

Rasheed przekręcił powoli głowę, tak że znów patrzył w sufit, po czym odrzekł z pogardą:

– Oczywiście, że przegrała. Nawet bez tamtego skandalu byłoby już tego za wiele, kobieta, a w dodatku po czarnym mężczyźnie. To ich doprowadziło do szału. Widzi pan, w głębi duszy Amerykanie to reakjoniści. Wszyscy.

Ramazan spojrział na Nisreen; oboje byli oszołomieni tym, co usłyszeli.

– Czarny mężczyzna był prezydentem Ameryki? – spytał Ramazan, starając się wzmocnić niedowierzenie w swoim głosie. – To w Ameryce byli czarni? Wolni czarnoskórzy ludzie?

Ramazan sięgnął myślami do tego, co wiedział o historii Chrześcijańskiej Republiki. Niewolnictwo czarnoskórych Afrykanów zaczęło się w Ameryce długo przed zajęciem przez Osmanów Wiednia. Ale po tym, jak przez Europę przetoczyły się siły sultana, do amerykańskich brzegów przybiła fala europejskich uchodźców uciekających przed muzułmańską inwazją. Białej służby i robotników było pod dostatkiem i import Afrykanów ustał. W reakcji na islamski podbój Europy zapanował religijny fanatyzm, który skutkowało tym, że każdego, kto nie był białym chrześcijaninem, uznawano za zagrożenie. W Wirginii stłumiono gwałtowny bunt czarnoskórych niewolników, po którym wszyscy czarni, nawet ci, którzy urodzili się już w Ameryce, zostali wydaleny z powrotem do Afryki. W Chrześcijańskiej Republice, takiej, jaką znali Ramazan i Nisreen, żyli wyłącznie biali chrześcijanie.

Pytanie Ramazana wyraźnie zdezorientowało Rasheeda.

– Wolni czarnoskórzy? – Wydawało się, że na chwilę się na nim zaciął.

– Powiedział pan, że mieli czarnego prezydenta, po którym o ten urząd ubiegała się kobieta – naprowadził go Ramazan. – Ale jej się nie powiodło?

Rasheed zmarszczył czoło, usiłując ubrać myśli w słowa.

– Tak, zgadza się... Ale stało się coś jeszcze gorszego. Zamiast niej wybrali kanciarza, nieokrzesanego oszusta, który pragnął, żeby go podziwiano, i zrobiłby i powiedział wszystko, co potrzeba, żeby wygrać. To podzieliło ich jeszcze bardziej.

Z ogromną przyjemnością zobaczyłbym, jak źle się to wszystko skończyło, ale opuściłem tamten świat zaraz po tych wyborach. Zresztą to bez znaczenia. Ich świat i tak się sypał. – Jego spojrzenie ujawniło głęboką wrogość. – Nazywali się chrześcijanami, ale nie było w nich nic chrześcijańskiego. Wielbili tylko pieniądze, seks i bezmyślną rozrywkę. Bardziej efekciarski samochód, większe piersi i więcej lajków pod postami na Facebooku: po to istnieli, a jednak mieli czelność patrzeć na nas z góry i krytykować nasz styl życia. Te tłuste, leniwe, głupie kanalie radośnie napełniały swoje brzuchy i umysły śmieciami, aż zaczęły czerpać dumę z własnej ignorancji, zaciekle jej broniąc. I to było właśnie największe oszustwo demokracji: szalona myśl, że ignorancja jednego człowieka jest tyle samo warta, co wiedza innego. Absurdalny pomysł, że głos nieuka jest równie ważny jak głos człowieka wykształconego.

Pokój wypełniła brzemienna cisza. Ramazan i Nisreen mieli nad czym myśleć.

– Ale co z resztą świata? – spytał w końcu Ramazan. – Co z Francją i resztą Europy? Jakie one były?

– O, problemy miała nie tylko Ameryka. Zgnilizna rozlała się też po Europie. Wszędzie panowała ta sama dekadencja. Ta sama głupia, uporczywa wiara w zbiorową mądrość ignorancji jednostek, którą wykorzystywali bezduszni podżegacze, chcąc się dorwać do władzy. Szerząc najrozmaitsze kłamstwa i wmawiając tłumom, że ich wielkie dziedzictwo, ich praca i ich przyszłość zostały im skradzione, niemoralni politycy manipulowali gawiedzią tak, by ta na nich głosowała i powierzała im władzę. Wszystko to zmierzało do smutnego końca nie tylko dla nich, ale i dla nas. Ich upadek spowodowałby cierpienie i biedę także na nasze ziemie. Jak zawsze. Nigdy nie byliśmy niczym więcej jak pionkami w ich egoistycznych gierkach. To się ciągnęło od wieków. Dlatego właśnie uważam, że to Bóg zesłał mi ten dar. Nie tylko na chwałę naszego ludu, ale także dla nich. Choć wcale nie taka była moja intencja, być może ocaliłem ich przed nimi samymi. Europa od stuleci stanowi jedność, a Amerykanie... spójrzcie na nich teraz. Ich prezydent piastuje swoje stanowisko dożywotnio, dzięki czemu nie są narażeni na destrukcyjne spory związane z częstymi wyborami. Nadal hołdują swoim wartościom, swoim tradycjom. Rzucają nawet wyzwanie naszemu imperium – stwierdził Rasheed, po czym na jego twarzy pojawił się cień zakłopotania, a w pokoju zapanowała pełna niepokoju cisza. – Powinienem się tym zająć – wymamrotał w końcu do siebie. – Naprawdę powinienem... – Jego wzrok stał się nieobecny, a głos zamilkł.

Ramazan odwrócił się do żony, nie wiedząc, co powiedzieć.

Nisreen wydawała się oszołomiona, jej mózg wyraźnie się zmagił z każdym słowem, usiłując przetworzyć poszczególne detale usłyszonej opowieści. Ramazan jeszcze nigdy nie widział jej tak głęboko poruszonej. Zresztą czuł się tak samo.

Spojrzał na zegarek, a potem na nią. Zrozumiała.

Wiedział, o czym myśli. On też mógłby siedzieć godzinami, słuchając

tajemniczego mężczyzny, zadając mu pytania na temat tego dziwnego, alternatywnego świata, w którym ponoć żył, ale wiedział, że nie mogą sobie na taki luksus pozwolić. Kończył się czas, w którym mężczyzna mógł pozostawać w tym stanie świadomości, a poza tym musieli mieć na względzie personel szpitala i to, że ktoś mógł im w każdej chwili przeszkodzić.

Nadszedł moment prawdy. Należało wreszcie zadać kluczowe pytanie.

Ramazan sprawdził kroplówki, lekko je podkręcił, po czym zwrócił się do wytatuowanego mężczyzny.

– Ekscelencjo – rzekł – to, co pan mówi, jest niebywale fascynujące. Ale proszę mi powiedzieć, jak to się dzieje, że jest pan do tego zdolny? – Zrobił głęboki wdech i dodał: – Jak to się dzieje, że może pan podróżować w czasie?

TEGO RANKA KAMAL czuł się rozdrażniony, jeszcze zanim postawił stopę w kompleksie Hafiye.

Nie udał się wprost do swojego biurka. Zamiast tego przeszedł przez atrium do Wydziału Z, żeby odszukać dwóch agentów, którzy wciąż jeszcze nie odpowiedzieli na jego prośbę o kontakt.

Nie zastał Banny i Goskuna w pracy, co tylko podsyciło jego irytację.

Zostawił im jeszcze jedną wiadomość i wypadł jak burza, czując, że krew w żyłach zamienia mu się w ogień. To nie miał być dobry dzień dla żadnej z osób, które znajdowały się na jego i Taymoora celowniku.

Nie dotarł do swojego biurka. Sierżant dyżurny poinformował go o pilnej sprawie, która wymagała jego obecności.

Chciał się z nim widzieć *başhafiye*.

Kamal nigdy jeszcze nie uczestniczył w spotkaniu w cztery oczy z komendantem. Nigdy nie był w jego gabinecie. Nie był nawet na tym piętrze budynku i o ile wiedział, bardzo niewielu agentów miało ku temu okazję. *Başhafiye* nigdy nie wzywał do swojego zacisznego sanktuarium szeregowych agentów. To musiało być coś bardzo, ale to bardzo poważnego.

Przychodziły mu do głowy dwa powody, dla których mógł zostać wezwany: jeden dobry, drugi niezbyt. Miał nadzieję, że nie chodzi o ten drugi.

Kamal, odprowadzony przez prywatnego sekretarza komendanta, wetknął głowę przez wysokie rzeźbione drzwi.

– Wzywał mnie pan, paszo?

Huseyin Celaleddin Pasza, *başhafiye* – szef paryskiej jednostki tajnej policji – przeglądał jakieś papiery, które miał na biurku. Podniósł wzrok i kiwnął do Kamala, żeby wszedł.

– Tak, tak, wejdz. Usiądź.

Machnął ręką w kierunku stojących naprzeciw niego foteli.

Gabinet, jak przystało na miejsce pracy funkcjonariusza najpotężniejszego organu porządku publicznego w mieście, znajdował się na najwyższym piętrze jednej z nowoczesnych przybudówek starej twierdzy. Był na tyle duży, że mieścił wygodny zestaw wypoczynkowy, na którym swobodnie mógł zasiąść tuzin ludzi, i rozciągał się

z niego imponujący widok na stare wieże Cytadeli i dalej, na ogromne kopuły i minarety największych meczetów w mieście, widocznych nawet przez przymknięte żaluzje, blokujące częściowo natarczywe promienie porannego słońca. Celaledin był wysoki i szczupły, co stanowiło rzadkość wśród członków *askeri*. Elitarna klasa rządząca, złożona głównie z duchowieństwa oraz urzędników państwowych i wysokich rangą przedstawicieli służb mundurowych, w przeważającej części nic sobie nie robiła z naukowych dowodów na to, że otyłość może być niebezpieczna dla zdrowia. Jej członkowie nadal uważali, że pękaty brzuch i pulchne kończyny to oznaka powodzenia i powód do dumy.

Wielki blat rzeźbionego mahoniowego biurka był tak samo nieprzeładowany i schludny jak sam komendant – nie znajdowało się na nim nic poza monitorem i klawiaturą komputera, telefonem komórkowym, długopisem i wydrukami, które przeglądał, a które w tej chwili ułożył starannie przed sobą.

Komendant odchylił głowę, przybierając typową dla siebie sondującą pozę, wzmacniającą jeszcze niepokojący wyraz głęboko osadzonych, przepastnych oczu.

– Pracujesz? – spytał. – Domyślam się, że po piątkowej uroczystości musisz być poruszony jak nigdy dotąd.

– Nie ma odpoczynku dla stróżujących – odrzekł Kamal, posługując się zdaniem wypowiedzianym przez Taymoora.

– Świetnie. – Przełożony przyglądał mu się przez chwilę. – Szukałem cię po skończonej ceremonii, wiesz? Powiedzieli, że otrzymałeś wezwanie.

– Najmocniej przepraszam, paszo. Nie wiedziałem.

– Bej chciał cię poznać.

– Bej?

– O, tak. Jest bardzo wdzięczny, jak się pewnie domyślasz. Za to, co zrobiliście, ty i Taymoor. Ślub jego córki... ocaliliście nas przed naprawdę wielką katastrofą.

– Cieszę się, że udało nam się jej zapobiec.

– Chodzą słuchy, że obaj macie dostać Nişan-i İftihar – powiedział, mając na myśli Order Chwały, jedno z najwyższych odznaczeń, jakie może otrzymać osmański oficer.

Kamal skłonił lekko głowę.

– Byłby to ogromny zaszczyt.

– W pełni zasłużony. Podobnie jak twój awans na *mulasim komiser*. Byłbyś najmłodszym oficerem w tym stopniu w historii. Jak ci się to podoba?

A więc pogłoski okazały się prawdziwe. Komisarz. Znowu się uklonił.

– Będę służył z pokorą, paszo.

Wysoki mężczyzna zamilkł na chwilę, po czym się nachylił.

– Powiedz mi, Kamalu. Jak się miewa twoja rodzina?

No to się zaczęło. Pytanie mimo wszystko zaskoczyło Kamala, ale jakoś wybrnął.

– Doskonale. Miło, że pan pyta. – Zawahał się, po czym jednak rzekł: – Ale skąd to zainteresowanie?

– Szukałeś informacji na temat osoby, którą niedawno aresztowaliśmy – odparł *başhafiye*. – Osoby, którą jak mniemam, interesuje się twoja bratowa.

A więc o to tak naprawdę chodzi.

Kamal poczuł ukłucie niepokoju.

– Żona tego człowieka poprosiła ją, by pomogła jej się dowiedzieć, co się z nim stało.

– Rzeczywiście. A twoja bratowa to... bardzo uparta kobieta, nieprawdaż? Rzec by można... nieustępliwa?

– Taka właśnie jest.

Komendant złożył dłonie w wieżyczkę i stuknął jednym palcem wskazującym o drugi, zastanawiając się, co teraz powiedzieć.

– Posłuchaj, wiem, jak to bywa z rodziną. To, co się dzieje dokoła, co musimy robić... nie należy do łatwych spraw. I dla wielu z nas jest źródłem problemów. To, przez co przechodzisz, nie jest w żadnym razie niczym wyjątkowym. Ale w którymś momencie wszyscy musimy tupnąć nogą i przypomnieć ludziom, nawet tym najbliższym, że robimy to dla nich. Bronimy ich stylu życia, nawet jeśli oznacza to, że czasem musimy zrobić coś, co nam się nie podoba. Albo coś, z czym oni się nie zgadzają. Muszą zrozumieć, że to my podejmujemy te trudne decyzje, nie oni. I powinni być nam za to wdzięczni. – Zamilkł i przyglądał się Kamalowi, jakby czekał, by się przekonać, że do niego trafił.

Kamal powiedział tylko:

– Tak jest.

– Ten konkretny przypadek może być dla ciebie wyjątkowo trudny. Biorąc pod uwagę jej zainteresowanie tym człowiekiem.

– W jakim sensie?

– Sinasi umarł dziś w nocy. W swojej więziennej celi.

Głos komendanta brzmiał monotonna, wydawał się niezmałony choćby odrobiną emocji.

Jego słowa wstrząsnęły Kamalem.

– Nie żyje? Jak to?

– Koroner twierdzi, że wygląda to na zawał. Pewnie spowodowany stresem zrodzonym z poczucia winy. Wydaje się, że człowiek nie umiał poradzić sobie z tym, w co się wpakował. Przyznał się do członkostwa w Białej Róży.

Przez Kamala przetoczyła się fala emocji. Zawał w areszcie? Nie pierwszy raz przytrafiało się to w Cytadeli, choć gdy poprzednio o tym słyszał, chodziło

o zatwardziałego terrorystę, którego serce nie wytrzymało po intensywnym przesłuchaniu. Jego myśli jednak szybko wróciły do Nisreen. Zainteresowanie jego bratowej spiskowcem z Białej Róży nie wróżyło niczego dobrego. W tej chwili sparaliżował go potężny strach, który sprawił, że serce zaczęło mu łomotać: Czy to możliwe, że Nisreen sama się do nich przyłączyła?

Celaleddin jakby wyczuł jego nieme przerażenie i dodał:

– To prawdziwa tragedia, rzecz jasna. Ale biorąc pod uwagę jego winę, prędzej czy później i tak skończyłby podobnie. – Dowódca lekceważąco machnął ręką. – Z czasem niepokój wywołany niefortunną śmiercią tego mężczyzny ucichnie i przeminie, dobrze o tym wiemy. Zawsze tak jest. Ale w ciągu kilku następnych dni, gdy wieść się rozniesie, będziemy musieli zapanować... – zrobił pauzę – ...nad wszelkimi nieprzyjemnościami, jakie mogą z tej sprawy wyniknąć. – Jego przepastne oczy przybrały wyraz subtelnej, acz wzmożonej czujności. – Ufam, że twoja bratowa nie będzie dla nas w tej sprawie ciężarem. Mogłoby to być dla niej niebezpieczne. Zwłaszcza jeśli jej zainteresowanie osobą Sinasiego samo w sobie zacznie rodzić pytania.

Jego serce tłukło się teraz w piersi jak oszalałe, jak gdyby zostało uwięzione w rozpalonym piecu. Kamal pokręcił głową.

– Do niczego takiego nie dojdzie, panie komendancie.

– To dobrze. Bo istnieją pewne granice naszej tolerancji i granice swobody, jaką możemy zapewnić, nawet gdy chodzi o bratową znamienitego bohatera. Czy się rozumiemy?

– Najzupełniej, panie komendancie.

Wysoki mężczyzna popatrzył uważnie na Kamala, po czym skinął głową.

– To wszystko.

Wychodząc z gabinetu i kierując się do wind, Kamal czuł, jak mu pulsują skronie. Było gorzej, niż się spodziewał. Mieli na celowniku Nisreen.

Musiał dotrzeć do sedna sprawy. Co teraz, gdy Sinasi nie żył, było znacznie utrudnione. Czuł, że kłopoty wiszą w powietrzu. Musiał coś zrobić.

Wyciągnął telefon; rozejrzał się dokoła ukradkiem, wiedziony raczej odruchem niż poczuciem prawdziwego zagrożenia, i wybrał numer brata. Sygnał rozbrzmiewał długo, dopóki nie włączyła się poczta głosowa.

– Mówi Kamal. Musimy porozmawiać. Oddzwon, dobrze? – Zawahał się, po czym dodał: – Naprawdę muszę z tobą pomówić. Proszę, zadzwon do mnie.

DWIE KONDYGNACJE POD powierzchnią ziemi, niedaleko od miejsca, w którym stał Kamal, jeden z ekspertów z sekcji analizy danych w Grotach wpatrywał się z zainteresowaniem w raport na swoim monitorze.

Tak jak wszystkie inne raporty, które on i jego koledzy analizowali na swoich

zmianach, ten także pochodził z Centrum Gromadzenia Cyberdanych dla Bezpieczeństwa Imperium, gdzie serwery przekopywały tony danych i stosowały zaawansowane metody analityczne do przetwarzania ogromnych ilości informacji wpływających z najróżniejszych źródeł. Wszystko, co zostało uznane za podejrzane lub groźne, było przekazywane do Grot, w których dalszej analizie dokonywali już ludzie.

Komputery potrafiły znacznie więcej, niż tylko skanować wystukane na klawiaturze słowa czy łączyć ze sobą i analizować znane tematy i rozmaite strzępy informacji. Rozpoznawanie głosu osiągnęło taki poziom zaawansowania, że algorytmy centrum były teraz w stanie porównywać dane cyfrowe z zapisami rozmów telefonicznych i materiałów audio z podsłuchów, co miało na celu wyszukiwanie podejrzanych zachowań i wychwytywanie groźnych zamiarów. Co miesiąc do centrum analiz przekazywanych było przeszło dziesięć tysięcy pakietów danych. Niektóre z nich trafiały wprost do organów ochrony porządku publicznego, takich jak Hafiye, podczas gdy reszta – większość z nich – stanowiła tylko zbiór metadanych, które tonęły w otchłani ciągłych analiz.

W tym przypadku analityk był raczej zaintrygowany niż zaniepokojony. Raport, o którym mowa, mający swe korzenie w nakazie inwigilacji niskiego stopnia, był dość niezwykły. Łączył w sobie analizę kilku wyszukiwań w Internecie z zapisem rozmowy, która odbyła się minionej nocy w jednym z mieszkań w Paryżu. Dynamit, detonatory, Al Jazira i Al Sham, wojna, Amerykanie, „martwi mnie, w co ty się wplątałeś” – te słowa i jeszcze parę innych wystarczyły, żeby oflagować rozmowę. W połączeniu z wynikiem analizy stresu w głosach i z tym, że jedna z rozmawiających osób już była przedmiotem inwigilacji, plik danych wymagał zainteresowania. I to dlatego znalazł się w skrzynce odbiorczej analityka jako oznaczony na pomarańczowo, który to kolor sygnalizował średni poziom zagrożenia.

Analityk był przyzwyczajony do rozbierania na czynniki pierwsze zapisów rozmów i ogromnych ilości danych, które wydawały się jedynie pełnymi złości rodzinnymi sporami albo nieszkodliwym, bezsensownym bełkotem na drażliwe tematy – i zazwyczaj nimi były. Nie raz i nie dwa rozmowy pomiędzy ludźmi związanymi z przemysłem wydawniczym czy filmowym i telewizyjnym były oflagowywane na czerwono z powodu fikcyjnych pomysłów, o których dyskutowano. Społeczeństwo coraz bardziej się polaryzowało w związku z niepokojami przetaczającymi się po całym imperium i obywatele głośno wyrażali swoje poglądy, zakładając, że nie są monitorowani. Ten raport jednak wydawał się inny. Trudno go było tak po prostu odłożyć na bok.

Jego streszczenie przykuło uwagę analityka na tyle, że wyciągnął transkrypcję rozmowy i przeczytał ją w całości.

Lektura wprawiła go w osłupienie.

Przeczytał zapis raz jeszcze, lecz pierwsze wrażenie pozostało. Postanowił

odstuchać materiał źródłowy. Ściągnął plik audio, założył słuchawki i włączył odtwarzanie, po czym robiąc notatki, wysłuchał rozmowy dwojga małżonków.

Ich głosy nie wskazywały na jakiegokolwiek nieznównoważenie. Nie wydawało się, żeby się wygłupiali, śmiali, żeby byli pijani czy pod wpływem innych zakazanych substancji. Wypowiadali się jak osoby trzeźwo myślące i rozsądne, mimo że analiza wykazała u nich podniesiony poziom stresu.

Pomyślał, że zignoruje ten raport, ale coś mu na to nie pozwalało. Słyszał już tyle rozmów i przeczytał tyle transkrypcji, że wyrobił w sobie silne wyczucie potencjalnych konsekwencji – bądź ich braku – jakie mogły zrodzić raporty przechodzące przez jego system. Przeczucie mówiło mu, że akurat ten zasługuje, by mu się uważniej przyjrzeć.

Anestezjolog i jego żona najwyraźniej wierzyli w to, o czym rozmawiali. Pytanie, czy źródło ich informacji było wiarygodne. Czy wytatuowany mężczyzna był tylko pomysłowym gawędziarzem, zabawiającym się kosztem doktora i mieszającym mu w głowie? Czy w grę wchodziło jedynie bardzo zręczne oszustwo?

Przebiegł palcami po klawiaturze i sprawdził akta głównego obserwowanego. Zanotował nazwę szpitala, w którym pracował mężczyzna. Następnie wszedł do szpitalnych dokumentów i wyszukał rejestr zabiegów na bloku operacyjnym. Główny obserwowany, zgodnie z jego podejrzeniami, często współpracował z chirurgiem, o którym wspominał w zarejestrowanej rozmowie, z Fonseca. A jednej z operacji przeprowadzonych przez nich dwa dni wcześniej poddany był pacjent, który figurował w dokumentach jako „nagły przypadek, tożsamość nieustalona”. Mężczyzna przeszedł operację serca i nadal przebywał w szpitalu na oddziale intensywnej opieki medycznej. Wszystko zgadzało się z tym, o czym obserwowany rozmawiał z żoną.

Dziwne.

Analityk się zastanawiał, co z tym zrobić. Z jednej strony wyglądało to na wymyślny żart, opowieść szaleńca, urojenie. Może to była gra albo kłamstwo służące za przykrywkę dla jakiegoś niecnego zachowania – słyszał już różne niestworzone rzeczy opowiadane nawet, a może przede wszystkim, małżonkom. Z drugiej strony była w tym jakaś niewysłowiona, bolesna szczerłość. Czuł to w kościach. Czuł przy tym coś jeszcze: że uruchomienie procedury w związku z tym raportem narobi niezłego zamieszania w jego życiu.

Tak czy inaczej, miał niewielki wybór. Nie mógł ryzykować, nie zgłaszając sprawy wyżej. Gdyby się okazało, że to coś złego, a on by to przeoczył albo postanowił zignorować, musiałby się zmierzyć z czymś znacznie gorszym niż nawet potężne zamieszanie.

Wziął do ręki telefon i wybrał numer swojego przełożonego.

– Przepraszam, że przeszkadzam, beju – rzekł – ale mam tutaj coś, na co chyba powinien pan spojrzeć.

TO CZAR – POWIEDZIAŁ wytatuowany mężczyzna. – Zakłęcie.

Stojąc przy łóżku w szpitalnym pokoju bez okien, Ramazan spojrział na żonę, rozdziawiając usta.

– Zakłęcie?

– Mój więzień odkrył je w Palmyrze. – Mówił powoli, a że nadal był półprzytomny, jego słowa brzmiały nieco bełkotliwie. – W starej świątyni. Było wyryte na ścianie. Zmusiłem go, żeby zdradził mi swój sekret... – Jego twarz stężała; zmarszczył brwi, jakby go coś mocno strapiło. – A potem go zabiłem. Żeby mieć pewność, że nikt inny się nie dowie.

Słyszając pulsowanie własnej krwi, Ramazan zapytał:

– Jak to działa?

– To po palmyreńsku. To tylko... słowa.

– Więc po prostu wypowiada się te słowa i... podróżuje w czasie?

– Jest tylko jedna zasada. Nie można udać się do czasu, w którym już się istniało. Wtedy czar nie zadziała. I... i... – Mężczyzna zamilkł, jego twarz zasnuła mgła zakłopotania, a oczy powiodły po pokoju szerszym niż dotąd łukiem.

Puls Ramazana przyspieszył; zalała go fala niepokoju. Czyżby mężczyzna za bardzo oprzytomniał? Czyżby miał opory przed dalszym wyjawianiem informacji? Jednym szybkim ruchem Ramazan sięgnął do przewodów kroplówek i lekko zwiększył przepływ specyfików, które utrzymywały pacjenta na granicy pełnej świadomości. Rzucił krótkie spojrzenie Nisreen, która na twarzy też miała wymalowane niepewność i zmartwienie, po czym zwrócił się znowu do mężczyzny w łóżku.

– Coś tak niezwyklego nie może być, oczywiście, proste – stwierdził Ramazan, żeby się przypochlebić rozmówcy – a jednak pan to opanował.

Wzrok mężczyzny błąkał się przez chwilę po suficie, po czym spoczął na Ramazanie.

– Tak – rzekł głosem niższym niż dotąd.

– Proszę powiedzieć, jak to działa – naciskał Ramazan.

– Wypowiada się te słowa, w odpowiednim miejscu podaje się liczbę dni, księżyców, tak, liczbę księżyców, o jaką chce się przenieść i... voilà. – Grymas

zakłopotania przeszedł w niepewny półuśmiech. – Bez ubrań. Łąduje się tam nago.

Ramazan bardzo się starał zachować skupienie – zbyt wiele pytań kłębiło mu się w głowie. Po chwili zauważył, że oczy mężczyzny zwracają się ku niemu, a jego czoło marszczy się w konsternacji.

– Coś za jeden? – wymamrotał.

Odzyskiwał przytomność. Jego spojrzenie nabrało ostrości i jasności, a na twarzy pojawił się złowrogi wyraz sprzed operacji.

– Jaki mamy dzień? Gdzie jestem?

Powoli obrócił głowę, jakby zwabiło go coś, co wcześniej zapamiętał. Nisreen.

Szybko opuściła telefon, gdy ich oczy się spotkały, a zakłopotanie na twarzy mężczyzny jeszcze się pogłębiło.

Ramazan wstrzymał oddech. Pacjent przekraczał próg świadomości. Nie było czasu do stracenia. Musiał spróbować utrzymać go w tym półprzytomnym stanie jeszcze odrobinę dłużej, żeby tylko wydobyć z niego tę ostatnią odpowiedź – tę najważniejszą – choćby nawet miał zaryzykować pełnym wybudzeniem pacjenta.

Zwiększył znowu dawkowanie leków, nieznacznie, wiedząc, że bardzo łatwo może przesadzić i z powrotem uspić pacjenta, i przez cały czas próbował naprędce wymyślić odpowiedź, która nie wzbudzi podejrzeń mężczyzny. Obserwował reakcje pacjenta, starając się ocenić działanie leków.

– Jestem pańskim *hekimbaşı*, ekscelencjo – powiedział, posługując się tradycyjnym określeniem głównego lekarza. – Ma pan niewielką gorączkę, to wszystko. Opowiadał mi pan o tym cudownym palmyreńskim zakłęciu, które pan odkrył. Pamięta pan, nieprawdaż?

Mężczyzna miał teraz jeszcze bardziej szkliste i zdezorientowane spojrzenie. Po kilku sekundach wyszeptał:

– Ach tak... zakłęcie...

Ramazan dyskretnie sięgnął po długopis i po kartę pacjenta; przerzucił kilka kartek, aż dotarł do czystego arkusza na końcu.

– A więc gdyby teraz chciał pan wrócić do swoich czasów... to co by pan powiedział? Jak brzmi to zakłęcie?

I tak w obecności Nisreen, która przysunęła się z telefonem, by pochwycić każde słowo i zarejestrować, jak jego wargi formułują tajemnicze sylaby, i z Ramazanem obok, gotowym do zanotowania wszystkiego, co usłyszy, wytatuowany mężczyzna zamknął w skupieniu oczy i wypowiedział zakłęcie powoli i z wahaniem. Przerwał w miejscu, gdzie należało podać liczbę księżyców, na tyle przytomny, by uniknąć mimowolnego powrotu ze szpitalnego łóżka do swoich czasów, i dopiero po chwili dopowiedział resztę.

Słowa, które docierały do ich uszu, brzmiały dziwnie i zupełnie obco; z ust mężczyzny płynęły sylaby nieznanego, dawno zapomnianego języka, który wyszedł

z użycia wiele wieków temu. A jednak było w nich jakieś piękno, liryzm, rytm, które zdawały się stanowić jedno z ich fenomenalną mocą.

Ramazan poczuł nieopisaną trwogę. Spojrzał na Nisreen, której twarz też promieniała zadziwieniem. Mały szpitalny pokój bez okien, cały Paryż – wszystko to odplynęło, otaczające ich obrazy i dźwięki znikły, a oni stali jak zaczarowani, przez chwilę zagubieni w porywach własnej wyobraźni, w której kotłowało się od możliwości będących teraz w ich zasięgu, jeśli wszystko to było prawdą. Była to ulotna, magiczna chwila głębokiej zadumy, która jednak korzeniami sięgała przerażenia. Chwila ta trwała krótko, jako że w zadumę zaraz wkradła się rzeczywistość, przypominając im, gdzie są i jak niebezpieczna jest sytuacja, w której się znajdują.

Ramazan wyciągnął rękę i zmienił dawkowanie leku z kroplówki.

– Dziękuję, wasza ekscelencjo. Teraz powinien pan nieco odpocząć.

Patrzył, jak powieki wytatuowanego mężczyzny opadają, a jego oddech zwalnia.

– Musisz już iść – zwrócił się Ramazan do żony.

– Powinniśmy porozmawiać.

– Wiem. Wiem. Ale nie teraz. Czekają mnie operacje. Muszę się przygotować. A ty powinnaś już stąd pójść.

– To kiedy? Nie możemy czekać do wieczora. Musimy porozmawiać. Podczas lunchu? Dasz radę się wyrwać?

– Nie wiem.

– Należy ci się przecież przerwa na lunch – nie odpuszczała Nisreen.

– Dobrze już. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę wiedział, że mogę wyjść. – Wskazał na jej telefon. – Nagrałaś? Masz wszystko?

– Co do słowa.

Skinął głową.

– Chodźmy.

Mieli już wyjść z pokoju, gdy chwyciła go za rękę i zatrzymała.

– Bądź ostrożny – powiedziała. – Uważaj, żeby nikt inny się o tym nie dowiedział.

Ramazan początkowo milczał. Wreszcie pokiwał głową.

– Wiem.

Stali tak, a w głowach wrzało im od potencjalnych skutków tego, co usłyszeli. W końcu Ramazan otworzył drzwi, rozejrzał się i wyprowadził Nisreen.

Zbliżali się do szerokich drzwi OIOM-u, gdy te się otworzyły i wszedł Fonseca w towarzystwie jednej z pielęgniarek.

Ramazan szybko zareagował, wysuwając się przed Nisreen i rozkładając szeroko ramiona w powitalnym geście. Zawołał:

– Moshe, właśnie chciałem cię poszukać.

Nisreen natychmiast zrozumiała. Pochyliła głowę i poprawiła kwef, omijając ich, gdy Fonseca odpowiadał:

– Czeka nas pracowity poranek, bracie.

Ramazan nie miał odwagi, by się obejrzeć i sprawdzić, gdzie jest jego żona, ale poczuł, że się oddala.

– Czy zdarzają się inne? – spytał chirurga wesołym głosem.

– To zaczynamy.

Kiedy wracali na oddział, Fonseca spytał:

– Jak się czuje nasz zilustrowany pacjent?

Ramazan starał się z całych sił odpowiedzieć spokojnym głosem.

– Jeszcze go nie wybudziłem.

Chirurg się zdziwił.

– Jeszcze nie? Czy pojawiły się jakieś komplikacje, o których powinienem wiedzieć?

– Nie, w zasadzie nie. Chciałem tylko, żeby ból jeszcze trochę ustąpił.

– Nie możesz bez końca trzymać go pod narkozą – powiedział Fonseca, klepiąc Ramazana po plecach. – Jak tylko skończymy, pójdziemy go wybudzić. Muszę przyznać, że bardzo jestem ciekaw tego człowieka. Wszystkie te dziwne znaki... Może mieć do opowiedzenia jakąś interesującą historię.

– Może – przyznał Ramazan, czując nieprzyjemny skurcz w trzewiach.

NISREEN OPUŚCIŁA KOMPLEKS Hurrem i snuła się bez celu wąskimi uliczkami Île de la Cité, przytłoczona rewelacjami, które zaczęły na nią spadać minionej nocy.

Szybko dotarła na skraj wyspy i szła dalej. Pokonała zatłoczony zabudowany most prowadzący na prawy brzeg Sekwany. Gdy się tam znalazła, podążyła aleją biegnącą wzdłuż brzegu rzeki, nie zwracając uwagi na miasto, które wokół niej się budziło do życia. Była głucha na uliczną kakofonię, mieszaninę brzęczenia tramwajów, gniewnych samochodowych klaksonów i przenikliwych rowerowych dzwonek; nie zważała na upartych ulicznych sprzedawców wciskających swoje towary przechodniom. Zatrzymała się raz albo dwa, żeby odpocząć i ponapawać się widokiem wspaniałych budynków stojących w szeregach wzdłuż rzeki i stanowiących mieszaninę architektury greko-romańskiej z islamskimi kopułami i minaretami – bardzo podobnymi do tych, które można podziwiać w mającej bizantyńskie korzenie stolicy imperium, Stambule, co ona widziała tylko na zdjęciach – ale miasto szybko znikło jej przed oczu, tętniąca życiem metropolia zmieniła się w niemą martwą naturę, gdy jej umysł dał się znowu porwać wirowi możliwości, które się przed nim otworzyły.

Po schodach zeszła nad samą rzekę. Mimo że przy brzegu tłoczyło się mnóstwo mąjących wodę barek, a na nabrzeżu roilo od ludzi, udało jej się znaleźć spokojne miejsce, gdzie mogłaby odsłuchać opowieści wytatuowanego mężczyzny. Trzymając telefon przy samym uchu i pilnując, by w pobliżu nie znalazł się nikt, kto mógłby usłyszeć choćby słowo, odtwarzała nagranie w kółko do nowa, analizując każde zdanie, każdą sylabę.

Krótko przed dziesiątą, gdy czuć już było gorące promienie słońca, dopadła ją rzeczywistość: dzwoniła jej asystentka, przypominając o zebraniu w kancelarii jeszcze tego przedpołudnia. Nisreen wstąpiła do małej kawiarenki z salą rodzinną w głębi, szybko wypila kawę, zjadła burka ze szpinakiem i przypomniała sobie, że miała zadzwonić do opiekunki, żeby się upewnić, że u dzieci wszystko w porządku. Sumayya zapewniła ją, że wszystko poszło gładko, i zapytała, czy ma wyjść po Tareka i Noor do autobusu. Nisreen zastanowiła się przez chwilę, odpowiedziała, że nie ma takiej potrzeby, i się rozłączyła. Potem wyszła na ulicę. Przyglądała się przejeżdżającym samochodom, wypatrując taksówki dla kobiet, czarnej, z przyciemnionymi szybami i przede wszystkim z kobietą za kierownicą. Żadnej nie zauważyła. W końcu pokonała pieszo dwie przecznice, doszła do dużego

skrzyżowania i wsiadła do tramwaju, by przejechać kilka przystanków w wagonie dla kobiet.

Jej kancelaria zajmowała pół kondygnacji starego budynku w dzielnicy Marais, przycupniętego w cieniu wspaniałych *hôtels particuliers*, wielkich rezydencji wzniesionych przez francuską szlachtę w siedemnastym wieku, jeszcze przed osmańskim najazdem. Teraz zajmowali je głównie spadkobiercy elitarnych rodów, *askeri*, z których część wyznawała kiedyś katolicyzm – przedstawiciele arystokracji, która dawno zapomniała o swoich francuskich korzeniach i w pełni zaakceptowała nową tożsamość. Kancelaria zatrudniała niemal wyłącznie kobiety, nie licząc jednego prawnika – to jego nazwisko widniało obok nazwiska Nisreen na szyldzie – i dwóch młodszych kancelistów, którzy z nim pracowali. Nisreen poznała go przez Halila Amiego, profesora prawa, który właśnie został stracony. Oboje opłakiwali jego stratę.

Nisreen czuła się wśród swoich współpracowników na tyle swobodnie, że mogła się przy nich rozluźnić bardziej, niż to było przyjęte w pracy, i gdy tylko weszła do środka, zdjęła kwef, chustę i lekki płaszcz, mimo że w pobliżu byli mężczyźni nienależący do jej najbliższej rodziny. Przesiedziała całe zebranie, nie angażując się zbyt ani nie angażując innych, i zakończyła je najszybciej, jak się dało, po czym zaszła się w swoim gabinecie, ale nie mogła się skupić nawet na najbardziej prozaicznych zadaniach.

Przez resztę przedpołudnia unikała kolegów, a odbieranie telefonów powierzyła poczcie głosowej. Wkrótce zaczęła opadać z sił. Adrenalina, która pomagała jej funkcjonować do tej pory po bezsennej nocy, zaczęła się wyczerpywać, więc wypila jeszcze dwie filiżanki mocnej kawy i zjadła trochę bakławy z miodem i pistacjami, żeby się pobudzić. Nie mogła sobie pozwolić na to, by górę wzięło zmęczenie. Za dużo musiała przemyśleć, za dużo omówić z Ramazanem.

Zaczęła ściągać z Internetu artykuły na temat osmańskiej historii i czytać o rozwoju imperium od chwalebego podboju Wiednia w 1094 roku^[1]. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz pochylała się nad tym tematem, i tak wiele było szczegółów, które chciała – właściwie nie tylko chciała, ale i musiała – poznać. W uszach wciąż dźwięczały jej słowa wytatuowanego mężczyzny, gdy postanowiła odświeżyć wiedzę na temat starożytnego Rzymu i Grecji i ich fatalnej polityki, a potem z zaciekawieniem przeglądała zapiski o teorii demokracji Platona i Sokratesa, z którymi ostatni raz miała do czynienia na studiach prawniczych. Nagle przypomniała sobie inny aspekt opowieści i zaczęła przeglądać artykuły o Palmyrze; najpierw zapoznała się z ogólną historią miasta, po czym przeszła do zdjęć wspaniałych, niezmiennie popularnych wśród turystów greko-romańskich ruin, takich jak świątynia Bela czy tetrapylon, i zaczęła sobie wyobrażać, co musiał czuć człowiek będący odkrywcą tajemniczych napisów wyrytych na ścianach w jakimś dawno zapomnianym zakamarku starożytnej metropolii – napisów, których znalezienie przypłacił życiem.

Wreszcie ściągnęła szczegółową biografię Aymana Rasheeda i poczuła, jak puls jej przyspiesza na widok jego portretu. Przeczytała o kluczowej roli, jaką ten filozof i mędrzec odegrał w bitwie o Wiedeń. Wszystko zgadzało się z tym, co wytatuowany mężczyzna opowiedział Ramazanowi. To on był odpowiedzialny za taktykę zastosowaną w tamtym wielkim dniu – dniu, który zmienił bieg dziejów.

Oderwała się w końcu od biografii Rasheeda i zaczęła szukać informacji na temat języka palmyreńskiego. Palmyra przez tysiące lat była pogańska, dopiero Rzymianie po przyjęciu chrześcijaństwa zaczęli głosić nową religię wśród lokalnych ludów. Chrześcijaństwo w Palmyrze przetrwało do siódmego wieku, kiedy zrodził się islam, biorąc we władanie cały tamtejszy region. Nisreen przeglądała nieliczne przetłumaczone teksty, szukając słów podobnych do tych, które znalazły się w zaklęciu wytatuowanego mężczyzny. Wyjęła z torebki notes i zaczęła robić notatki, najpierw zapisując samo zaklęcie, a potem podstawiając palmyreńskie wyrazy, które zdawały się do niego pasować. Poczuła dreszcz podniecenia, widząc, że coraz więcej słów znajduje swoje miejsce, ale w głębi duszy zaczęło w niej narastać nieprzyjemne uczucie – coś domagało się jej uwagi. Zanim zdążyła zrozumieć, co to jest, jej telefon zadrział, sygnalizując połączenie.

Na wyświetlaczu pojawiło się imię żony dramaturga i Nisreen natychmiast ogarnęły wyrzuty sumienia, że nie zajmuje się jej sprawą. Odebrała telefon i poinformowała kobietę, że nie ma żadnych nowych wiadomości. Powiedziała jej, że nadal będzie naciskać na władze, i zrobiła wszystko, żeby wlać w nią nieco spokoju i otuchy. Delikatnie zakończyła rozmowę.

Dłońmi otarła twarz i przeczesła palcami włosy. Musiała wziąć się w garść i uspokoić. Na dobre i na złe sekret – o ile był prawdziwy, a była teraz skłonna wierzyć, że tak jest – spoczywał w jej i Ramazana rękach. Nic nie mogło tego zmienić. Musieli się teraz zastanowić, co z nim zrobić, i dopilnować, żeby koniec końców nie zrujnował im życia.

Przez następne kilka godzin jej myśli krążyły wokół zaklęcia. Zagadka związana z jego tłumaczeniem niezwykle ją wciągała, ale zbyt wiele było do przeczytania, zbyt wiele do przemyślenia. Zadanie to okazało się nader frustrujące w sytuacji, gdy Nisreen czuła się za bardzo zmęczona na tego typu dociekania. Będzie musiała z tym poczekać. Gdy wreszcie usiadła w cichym kąciku przy stole w rodzinnej sali *kahvehane* przy Imperialnej Bibliotece Sultana Majida, znajdującej się mniej więcej w połowie drogi pomiędzy jej kancelarią a szpitalem, poczuła się wyczerpana i znużona.

Sądząc po wyglądzie, Ramazan wcale nie czuł się lepiej.

Szybko zamówili sok z granatów i paszteciki ze smażoną jagnięciną i sosem chałwowym, zczekali, aż kelner odejdzie, i dopiero wtedy zaczęli rozmawiać.

– Nie mogę przestać o tym myśleć – odezwała się Nisreen.

– Ja też.

– To znaczy, to jest po prostu... niepojęte. Ty, ja, dzieci... wszystko, co znamy.

Wszyscy istniejemy dzięki niemu. Dzięki temu, co zrobił.

– Jeśli to, co mówi, jest prawdą.

Nisreen westchnęła, co było wyrazem zmęczenia psychicznego bardziej niż fizycznego, które też odczuwała.

– To wielkie „jeśli”.

– Jeśli mówi prawdę, to jest z niego jeszcze większy bohater, niż do tej pory myśleliśmy.

– Jeszcze większy bohater?

Ramazan popatrzył, skonsternowany.

– Oczywiście. Słyszałaś, co powiedział.

– Naturalnie, ale... co masz na myśli?

– Świat, który opisał... jego świat. Ten, który zmienił. To musiała być zupełna katastrofa.

– Tak pomyślałeś?

– A jak niby miałbym pomyśleć? Słyszałaś go. Chciwość. Dekadencja. Moralne zepsucie. Korupcja. Przywódcy grabiący własne narody i nieponoszący za to żadnych konsekwencji. Wojny wywoływane kłamstwem. Rozpadający się świat.

– Wszystko to słyszałam. Ale usłyszałam o czymś jeszcze.

– O czym?

– O wolności.

– Wolności? Chyba raczej o chaosie, anarchii.

– Nie – obstawała przy swoim Nisreen. – O wolności. Nie słyszałaś, o czym mówił? O świecie, gdzie prawie wszystko wolno. Gdzie ludziom wolno wybierać, kto ma nimi rządzić, gdzie każdy żyje, jak chce i z kim chce, ubiera się w to, na co ma ochotę. O świecie, gdzie prezydentem był czarnoskóry człowiek. Gdzie prezydentem może zostać kobieta. Gdzie ludzie otwarcie krytykują swoich przywódców i nie idą za to do więzienia. Pomyśl tylko.

Mąż Nisreen zmarszczył brwi.

– Też mieliśmy kobiety, które rządziły imperium.

– Były matkami małoletnich sułtanów, Ramazanie. Regentkami, a nie kobietami, które rządziły we własnym imieniu. Nie kobietami wybranymi przez własny naród. On mówił o świecie, gdzie kobieta może zająć tak wysoko – rzekła ze smutkiem w głosie – a to musi oznaczać świat, gdzie można dokonać absolutnie wszystkiego. Każdy może.

– Otóż to. Można robić wszystko. Każdy może robić, co chce. I to właśnie doprowadziło ich do upadku. Uczyli nas o tym w szkole, Nisreen. Chyba nie zapomiałaś? Demokracja nieuchronnie prowadzi do anarchii.

– Niemożliwe, żeby to było takie proste.

– Umysły większe niż twój czy mój doszły do tego, że tak właśnie jest. Nasze imperium istnieje już siedem wieków. Dłużej niż jakiegokolwiek inne w historii. Zapewne nie bez powodu.

– A tym powodem równie dobrze może być twój pacjent i to, co on zrobił.

– Jeśli tak, to powinniśmy mu być wdzięczni – kategorycznie stwierdził Ramazan. – Nasz styl życia się sprawdza. Jest tak, jak mówił. Ludzie potrzebują silnej przywódczej ręki.

– Przywódczej ręki, a nie żelaznej pięści – odparowała celnie. – Naprawdę uważasz, że ludzka natura jest taka nikczemna i słaba, że nie można nam pozwolić na samodzielne podejmowanie decyzji?

– To właśnie pokazała historia.

– Cóż, może historia nie dała nam szansy. Może to proces, który wymaga więcej czasu, żeby osiągnąć dojrzałość. To odkrywczą podróż i być może wszyscy zasługujemy na szansę jej odbycia.

Ramazan wzruszył ramionami.

– Widzieliśmy już, co się dzieje, gdy ludzie mają za dużo wolności. Jest dokładnie tak, jak mówił.

Nisreen już miała odpowiedzieć, ale zamilkła, bo przechodził za nią kelner. Gdy była pewna, że znalazł się dostatecznie daleko, rzekła:

– Cóż, ja na pewno wolałabym świat, w którym wolno żyć tak, jak nam się podoba, bez tego ciągłego strachu o to, co mówimy czy myślimy.

Ramazan wydawał się zmęczony i rozdrażniony.

– I co z tego? Żyjemy tu i teraz. Rzeczy, o których mówi ten człowiek, nie odnoszą się do naszego świata.

Nisreen się wycofała, przybita.

– Zresztą nie powinniśmy nawet o tym rozmawiać. Jeśli to wszystko prawda, to mamy do czynienia z *haram* – stwierdził, posługując się słowem oznaczającym coś, czego zakazuje islamskie prawo. – Przecież to *suhr*, magia, nieprawdaż? A w takim razie kim on jest? Jakimś dżinem? Bóg tego zabrania.

– Jak może to być coś zakazanego, jeśli dzięki tej *suhr* cała Europa jest pod naszym panowaniem? To znaczy, zawsze nam mówiono, że nasze wielkie imperium to ucieleśnienie woli Boga. Ale wcale tak nie jest, prawda? Imperium jest tym, czym jest, za sprawą tego, co zrobił twój pacjent. Dlaczego Bóg miałby się posłużyć czymś, co jest *haram*, żeby spełnić swoją wolę?

– Nie wiem, Nisreen. To wszystko to jakiś obłąd. – Ramazan westchnął ciężko i odwrócił wzrok, powoli kręcąc głową. Po dłuższej pauzie rzekł:

– A więc, jak mniemam, zgadzamy się już, że mu wierzymy?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, czy mówi prawdę.

Ramazan zrobił wielkie oczy.

– Nie.

Nisreen się nachyliła i zniżyła beznamiętny głos.

– Musimy. Musimy to wypróbować.

– Nisreen, nie. Zabraniam ci.

– Musimy – nalegała. – Muszę wiedzieć, czy to jest prawda czy nie. A inaczej się nie dowiemy.

– Nie.

– Będziemy ostrożni.

– Jak możemy być ostrożni, robiąc coś, czego nie rozumiemy? – wypalił głośno i dopiero po chwili się opanował, wyraźnie żałując swego wybuchu. – Wiemy jedynie, że czar nie działa w obrębie naszego życia. Ale co to dokładnie znaczy? I dokąd chciałabyś się udać? Do przeszłości? Czy do przyszłości?

I w tym momencie coś do niej dotarło; przerażenie zapiekło w każdym porze jej skóry i zrobiła się sztywna, jakby połknęła kij.

– *Bok* – zakłęta.

– Co się stało?

Nisreen grzebała teraz we własnej pamięci, próbując sobie przypomnieć, co powiedział wytatuowany mężczyzna i czego nie powiedział. Myślała o czymś, ale nic nie rzekła, bo musiała się upewnić. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła notes. Przewróciła kilka kartek, aż dotarła do notatek dotyczących zakłęcia i uważnie je przejrzała. Wreszcie rozedrganymi palcami chwyciła za telefon, zmniejszyła głośność, żeby nikt nie mógł niczego usłyszeć, i trzymając aparat tuż przy uchu, odtworzyła nagranie od miejsca, które nie dawało jej spokoju.

Ramazan był wyraźnie zaniepokojony. Przez cały czas się nachylał, strzelając dookoła oczami, by mieć pewność, że nikogo nie ma w pobliżu.

– Co robisz? – syknął.

– Zaczekaj.

Znalazła odpowiedni fragment i wysłuchała.

Miała rację.

– Niech to – zachnęła się. – Jak mogliśmy to przeoczyć?

– Co?

– Zapomnieliśmy zadać kluczowe pytanie.

– Jakie?

– Gdy zdradzał nam zakłęcie, za przykład podał, jak wróciłby do swoich czasów, bo o to go zapytałeś. Ale nie powiedział nam, jak podróżować do przodu. – Słowa sypały się z jej ust, ledwo nadążając za umysłem, który gorączkowo szukał rozwiązania. – Nie wiedzielibyśmy, jak tutaj wrócić, gdybyśmy cofnęli się w czasie. Musisz z nim

jeszcze raz pomówić. Musisz go skłonić do powiedzenia, jak się tu znalazł.

SŁOWA NISREEN PODZIAŁAŁY jak piła motorowa na jego już i tak zszargane nerwy. Prosiła go, żeby wrócił i znowu ryzykował, rozmawiając z półprzytomnym Rasheedem.

– Nie mogę – wycedził.

– Musisz.

– Nie mogę. Dziś po południu mam jeszcze dwie operacje. Fonseca chce, żebym po nich go wybudził. Mocno przy tym obstaje.

– I wtedy go zapytaj.

Jej zacieklej determinacji trudno się było oprzeć. A jednak musiał być stanowczy.

– Fonseca chce przy tym być. Ten człowiek mocno go zaciekawiał.

– Zatrzymaj go. Zrób to sam.

– Nie – odparł Ramazan. – I tak już bardzo ryzykowaliśmy. – Miał dodać: „Powinniśmy odpuścić”, ale znowu pojawiło się to znajome uczucie, że Nisreen uważa go za słabeusza i tchórza. – Zresztą – powiedział zamiast tamtego – Moshe... to uparty drań. No i opuści blok operacyjny prędzej ode mnie. Będzie na mnie czekał.

– Znajdź jakiś sposób. – W jej oczach płonął ogień. – Musisz, Ramazanie. Zatrzymaj go jakoś.

Jego twarz spochmurniała jeszcze bardziej. Strach osaczał go ze wszystkich stron.

– To nie jest dobry pomysł. Nawet jeśli mi się uda... jeśli zaraz potem go wybudzę, jest prawdopodobne, że coś zapamięta. To zaś może okazać się bodźcem, który spowoduje, że przypomni sobie całą resztę. A to ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba. No bo kto wie, co gość zrobi, gdy uzmysłowi sobie, że wiemy o czymś, o czym nie powinniśmy wiedzieć? I co, jeśli zapyta mnie o coś w obecności Fonseki?

– Nie wiem. Powiesz po prostu... że bredzi. Powiesz, że coś mu się przyśniło. Że to się czasem zdarza. To ty jesteś fachowcem, nie on.

Tak łatwo przychodziło jej wyszukiwanie rozwiązań.

– Nie podoba mi się to, hatun.

– Bez tej wiedzy zakłęcie to bilet w jedną stronę. Jest bezużyteczne.

– Nie możemy go wypróbować, Nisreen.

– Nie możemy, nie znając go w całości.

Ramazan spojrział na zegarek.

– Muszę wracać.

Nisreen złapała go za ramię.

– Znajdź sposób, Ramazanie. Proszę. Tak wiele stracimy, jeśli tego nie zrobisz.

Popatrzył na nią, szukając śladu tamtego nowo odkrytego podziwu, który widział w jej oczach zeszłej nocy w domu, zanim wyruszyli do szpitala. Ulegając, rzekł:

– Postaram się.

Gdy to powiedział, zdawało mu się, że dostrzegł iskierkę tego, na co liczył.

Nisreen puściła jego ramię i chwyciła dłoń.

– Niezależnie od tego, co się stanie... tkwimy w tym razem. Do końca. A ja w ciebie wierzę.

Poczuł, jak serce mu rośnie, rozprasząc spowijającą go ponurą chmurę; wstał, pocałował ją w policzek i odszedł.

HUSEYIN CELALEDDIN PASZA stał z rękoma splecionymi za plecami przy oknie w swoim gabinecie na najwyższym piętrze budynku i wyglądał na zewnątrz, myśląc o tym, co właśnie usłyszał.

Nie był sam. Po drugiej stronie biurka siedział Fehmi Kuzey, człowiek kierujący Wydziałem Z. Niski i korpulentny, wyglądający wręcz zabawnie w porównaniu z szefem, bezpośredni podwładny Celaleddina przyglądał się swemu dowódcy w pełnym szacunku milczeniu, delikatnie szarpiąc swoją puszystą, przyciętą w trapez bródkę.

Spotkanie mocno się przedłużało. Dowódca zazwyczaj skąpił swego czasu. Dzisiaj jednak spędzili razem przeszło godzinę, słuchając całego nagrania.

Cisza ciążyła Kuzeyowi, choć zdążył się już do tego przyzwyczaić. Komendant Hafiye był rozważnym, kalkulującym człowiekiem. Co wydawało się bardzo na miejscu, gdy weźmie się pod uwagę ciężar decyzji, jakie musiał na co dzień podejmować.

– Niezwykłe to interesujące – odezwał się w końcu Celaleddin.

– Też tak pomyślałem – zgodził się Kuzey.

Wysoki mężczyzna odwrócił się i podszedł z powrotem do biurka.

– Zwłaszcza ze względu na zaangażowaną osobę. Brat Kamala Agi. W dodatku anestezjolog.

– Tak.

– Szkoda, że nie mamy całej rozmowy.

– Przechodzili z pokoju do pokoju. Stosowaliśmy wobec nich tylko trzeci poziom inwigilacji.

Komendant skinął głową, po czym wyciągnął rękę i podniósł teczkę, przeglądając fotografie dwojga obserwowanych w ramach Programu Przeciwdziałania Zagrożeniom Wewnętrznym. Jego strusia twarz zmarszczyła się w skupieniu, gdy patrzył na zdjęcie Nisreen, wracając myślą do wcześniejszej rozmowy z Kamalem.

– O żonie wiemy. Potrafi być niesforna. Ale ten doktor? Nasz radar jeszcze nigdy go nie namierzył.

– Nie, dowódco. Jego akta są czyste.

– Oboje są poważni i konkretni i mają stabilną sytuację małżeńską, jak widzę. Nie

jest to typ osób, które można by podejrzewać o skłonność do urojeń.

– Zgadza się.

– Ani o to, że łatwo się dadzą oszukać.

– Otóż to.

Popatrzył znowu na zdjęcie Ramazana.

– Właśnie, otóż to. Czy mamy do czynienia z łatwowiernym głupcem, który dał się nabrać jakiemuś wytatuowanemu żartownisiowi? Z tego co wiem o Nisreen Hatun, trudno mi uwierzyć, żeby wyszła za mąż za kogoś skrajnie naiwnego.

– A jednak wydaje się to najbardziej racjonalnym wytłumaczeniem – stwierdził Kuzey. Zawahał się, po czym dodał: – Ale jeśli to prawda...

Celaleddin wszedł mu w słowo.

– Prawda jest taka, że niezależnie od tego, czy ktoś sobie z nich zażartował czy nie, oni postanowili się w to zaangażować. W coś, co jest *haram*. A tego imperium nie może tolerować.

Kuzey się wyprostował, czując się zganiony.

– I dlatego właśnie uznałem, że muszę z tym do pana przyjść, paszo.

– Dobrze pan zrobił – powiedział komendant.

Słyszając to, jego podwładny poczuł ulgę.

– Ale trzeba tę sprawę zamknąć szybko i ostatecznie. Nie możemy pozwolić, by tego rodzaju myślenie uchodziło bezkarnie.

– Nie, beju.

– Kluczem do wszystkiego jest oczywiście pacjent. To on jest przyczyną całego zamieszania. Rzecz jasna świetnie się bawi, nabierając anestezjologa, mimo że wie, jakie mogą być tego konsekwencje dla nich wszystkich. Czy nadal jest w szpitalu?

– W pokoju numer siedem na OIOM-ie.

– Proszę tam kogoś posłać. Jeśli można go przewieźć bez większego uszczerbku dla zdrowia, sprowadźcie go tutaj.

– A anestezjolog?

– Obserwacja i podsłuch non stop. To samo dotyczy Nisreen Hatun. Ale na razie nie ma potrzeby ich tu ściągać, zwłaszcza jej. Zdamy to zrobić, gdy tylko się dowiemy, o co tak naprawdę chodzi ich tajemniczemu znajomemu.

Kuzey wstał, uklonił się i wyszedł z gabinetu.

Celaleddin popatrzył za nim, po czym podszedł do okna i znowu wyjrzał na zewnątrz.

„Niedorzeczność”, pomyślał. Cała ta sprawa była niedorzecznością. Fascynującą wprawdzie, ale niedorzecznością.

Uczepił się tej myśli, mimo że nie potrafił się pozbyć niepokojących wątpliwości,

które zaczęły już sączyć się szczelinami w jego umysł.

KAMAL ZNÓW SPOJRZAŁ na telefon, zaklinając go w myślach, żeby zadzwonił.

Razem z Taymoorem, obaj po cywilnemu, siedzieli w nieoznakowanym sedanie zaparkowanym za rogiem Pałacu Luksemburskiego, mając na oku biura banku Bereket Arabian, gdzie pracował bankowiec podejrzewany o przekazywanie pieniędzy pewnemu ekstremistycznemu kaznodziei.

Inwigilacja elektroniczna nie przyniosła jak dotąd żadnych rezultatów: bankowiec i jego współpiskowcy najwyraźniej bardzo się pilnowali, by nie zostawić za sobą żadnych elektronicznych śladów. To zaś oznaczało konieczność powrotu do staromodnych metod obserwacji.

Taymoor wydawał się skupiony na czymś w swoim telefonie, mimo to Kamal wiedział, że jego partner doskonale zdaje sobie sprawę z tego, iż jest zdenerwowany. Zapytał Kamala, po co wzywał go Celaleddin. Kamal odpowiedział, że chciał go poinformować o możliwości otrzymania medalu, a wtedy jego partner spytał, dlaczego i on nie został zaproszony. Kamal nie potrafił wymyślić przekonującej odpowiedzi, dlatego zbył Taymoora, twierdząc po prostu, że nie ma pojęcia.

Sprawdził zasięg, choć wiedział już, że sygnał w tym miejscu jest bardzo silny. No jasne – na wyświetlaczu widniały wszystkie kreski. Nie z tego więc powodu Ramazan się nie odzywał.

Miał już wysiąść z auta i raz jeszcze do niego zadzwonić, ale zmienił zdanie.

– Wszystko w porządku, bracie? – spytał Taymoor.

– Tak – mruknął Kamal. Czoło miał od rana pokryte zmarszczkami świadczącymi o trawiącym go niepokojem.

Nagle zadzwonił telefon Taymoora, zapewniając Kamalowi wytchnienie od niewygodnych pytań, a zarazem wywołując frustrację, że jego własny aparat milczy.

TAYMOOR WIEDZIAŁ, CZEGO będzie dotyczyć rozmowa, gdy tylko usłyszał głos mężczyzny.

– Rozkręca się. – Dzwonił „A”, Ali Huseyin, agent Z, który wcześniej poinformował go, że brat Kamala stał się obiektem inwigilacji.

Taymoor lekko się obrócił i udawał swobodę i wesołość, jednocześnie przyciskając guzik w telefonie, by ściszyć głos. Hałas wpadający z ulicy przez otwarte okno też pomagał ukryć treść rozmowy.

– Mów, co wiesz.

– Nie jestem niczego pewien. Sprawa została utajniona. Wiem tylko, że w ciągu nocy spłynęły jakieś informacje i są traktowane bardzo poważnie.

– Jak bardzo?

– Sprawa poszła wyżej.

Taymoor zeszywniał.

W co ten brat Kamala się wpakował i czy miało to coś wspólnego z Nisreen? Na pewno. Wciągnęła męża w jakieś podejrzone sprawy. A teraz jeszcze angażował się w nie Kamal. To pewnie dlatego wzywał go Celaledin – tak jak Taymoor podejrzewał.

Zaryzykował i spojrzął z ukosa na partnera. Kamal wydawał się skupiony na czymś innym. Nie zwracał uwagi na rozmowę Taymoora.

„Co wie?” – zastanawiał się Taymoor. „Czy powinienem mu powiedzieć?”

Zdawał sobie sprawę z tego, że nie powinien. Musiał postępować bardzo ostrożnie.

– Dowiedz się, ile zdołasz – powiedział do swojego rozmówcy, starając się stłumić złość, która zaczynała się w nim gotować.

– Mówiłem ci, że jest embargo na informacje.

– Dowiedz się – powtórzył tonem spokojnym, ale stanowczym. – I daj mi znać. Jak najszybciej.

– Dobra, zrobię to, ale posłuchaj, Taymoor. Musisz być ostrożny. Ze względu na nas wszystkich.

– Nie martw się. Zadzwoń później.

Rozłączył się i znów spojrzął na Kamala, nie bardzo wiedząc, co zrobić z otrzymaną przed chwilą wiadomością.

Jego partner właśnie do kogoś dzwonił.

KAMAL NIE ZWRACAŁ uwagi na rozmowę telefoniczną Taymoora.

Myślni błędził gdzie indziej. Jeśli chodzi o emocje, przez cały czas spacerował po linie rozciągniętej nad przepaścią. Zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do Nisreen, ale powstrzymywało go wiele powodów, z których niemałe znaczenie miał ten, że zakładając wariant optymistyczny – czyli że jego bratowa nie miała nic wspólnego z podziemną grupą – bardzo trudno byłoby mu przekazać jej informację o losie dramaturga.

Korzystając z tego, że Taymoor był zajęty, wziął telefon i znowu wybrał numer brata.

„Odbierz, do cholery”, zaklął w duchu.

Na próżno.

Zgłosiła się tylko poczta głosowa, tak jak poprzednio. Rozłączył się w tej samej chwili co Taymoor.

Popatrzyli na siebie ze skrepowaniem. I wtedy Kamal coś przed sobą zobaczył: z budynku wyszedł lekko przygarbiony mężczyzna w średnim wieku, w okrągłych metalowych okularach i ze sterczącymi nawoskowanymi wąsami. Na ramieniu niósł

skórzaną torbę, przyciskając ją do siebie.

– To nasz człowiek – rzekł, pokazując mężczyźnię.

– Ciekawe, co ma w tej torbie.

– Gość jest bardzo ostrożny. Wątpię, by spacerował po mieście z czymś, co mogłoby go obciążać.

Taymoor wydawał się bardziej spięty niż zwykle.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Mówiąc to, otworzył drzwi samochodu i wysiadł.

Zanim Kamal zdążył zareagować, Taymoor już przechodził przez ulicę, kierując się w stronę bankowca.

Opuszczając pośpiesznie pojazd, Kamal zobaczył, jak jego partner wyjmuje coś, co do tej pory miał w rękawie: składaną stalową pałkę. Patrzył, jak Taymoor porusza nadgarstkiem, żeby rozciągnąć ją do pełnej długości, przez cały czas sunąc wprost na bankowca niczym skierowany na cel pocisk.

– Taymoor! – zawołał Kamal, pędząc za nim, ale na próżno.

Jego partner dopadł już swoją ofiarę.

Bankowiec odwrócił się na wołanie Kamala, po czym znieruchomiał zaniepokojony widokiem zbliżającego się Taymoora.

– *Masal kheir*, efendi – pozdrowił go agent z lodowatym uśmiechem, ale nim mężczyzna zdążył zareagować, uśmiech znikł, a Taymoor zacisnął zęby, podniósł pałkę i mocno uderzył bankowca w bark.

Cios był potężny. Mężczyzna stracił równowagę i się zatoczył, wpadając na bok zaparkowanego samochodu. Taymoor był już przy nim.

– Ostrożnie, efendi. Chodniki bywają bardzo śliskie – zawarczał, łapiąc go za kołnierz i odwracając twarzą do siebie.

– Taymoor! – krzyknął Kamal, biegnąc w jego stronę. Zatrzymał się, by nie wpaść pod nadjeżdżający samochód, którego kierowca zatrąbił i pomknął dalej.

Bankowiec trzymał się za bolący bark i z pełną cierpienia miną patrzył na Taymoora, skołowany i przerażony.

– Co pan ro...?

– Proszę pozwolić, że pomogę – powiedział Taymoor, ignorując jego pytanie i ściągając mu z ramienia torbę. – W tym stanie naprawdę nie powinien pan nosić takich ciężkich rzeczy.

Kamal w końcu do niego dotarł.

– Taymoor, co ty wyprawiasz?

– Pomagam naszemu współobywatelowi – warknął Taymoor, po czym zwrócił się nagle do bankowca, złapał go za bolącą rękę, pociągnął i oparł jego dłoń o dach auta. Następnie zamachnął się potężnie pałką i opuścił ją jednym szybkim ruchem, z całej

siły uderzając mężczyznę w przedramię, w połowie odległości pomiędzy łokciem a nadgarstkiem.

Odgłosu pękającej kości nie sposób było pomylić z czymkolwiek innym.

Bankowiec krzyknął z bólu, nogi się pod nim ugięły i osunął się na ziemię, plecami opierając się o samochód.

Kamal oniemiał. Taymoor spoglądał groźnie na leżącego mężczyznę, w końcu się odwrócił i ruszył w stronę partnera swobodnym krokiem, jakby się nic nie stało. Za jego plecami przerażeni przechodnie ostrożnie zbliżali się do pobitego bankowca, żeby mu pomóc.

Taymoor minął Kamala, kierując się do ich samochodu.

– Co to, do cholery, było? – warknął na niego Kamal.

Taymoor podniósł torbę.

– Zaraz się dowiemy.

Kamal chwycił go za bark i obrócił, tak by widzieć jego twarz.

– Nie na tym polegało nasze zadanie. Nie musiałeś tego robić.

– Bracie. Straciliśmy już dość czasu, bawiąc się z tymi kanałiami w kotka i myszkę – odparł Taymoor. – Co, jeśli ten tutaj prześlizgnąłby się przez naszą sieć? Co, jeśli w porę ich nie zatrzymamy?

– Nie wiemy, czy faktycznie ma coś na sumieniu – upierał się Kamal. – Jest tylko podejrzany.

– Gdy chodzi o tych sukinsynów, to mi w zupełności wystarczy – odrzekł Taymoor. – Zresztą być może wyświadczyłem mu właśnie największą przysługę w życiu.

– O czym ty mówisz?

– Może potraktuje to jako poważne ostrzeżenie. Może potrzebował czegoś, żeby się ocknąć, i teraz zda sobie sprawę, że musi poniechać tego, w co się zaangażował, zanim przytrafi mu się coś znacznie gorszego.

Kamal był wściekły, ale miał ważniejsze rzeczy na głowie. Nie chciał zaognić sytuacji. Nie teraz. To będzie musiało poczekać.

Nie mógł też dłużej tkwić w tym miejscu.

– Świetnie. Sporządzisz raport. Ja muszę iść.

I się oddalił.

– Gdzie ty się, do cholery, wybierasz? – zawołał za nim Taymoor.

Kamal pomachał do niego, ale nawet się nie odwrócił.

– Muszę coś załatwić.

– Serio? Mamy tu...

– Dołączę do ciebie, jak tylko będę mógł – krzyknął.

Nie zatrzymał się, bo nie chciał usłyszeć kolejnego pytania. Przyspieszył kroku i wyciągnął telefon, by znowu zadzwonić do Ramazana, przez cały czas rozglądając się za taksówką.

RAMAZAN POCZUŁ WIBROWANIE aparatu w kieszeni fartucha, ale je zignorował. Mimo wszystko nie dawało mu ono spokoju. Wcześniej już dzwonił i esemesował do niego brat, a on nie oddzwonił. Ciekawe, czy to znowu on. Niezależnie od tego, z czym dzwonił Kamal, nie mogło to być nic dobrego. A zła wiadomość była ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, zwłaszcza że był właśnie w trakcie wybudzania wytatuowanego mężczyzny ze sztucznego snu.

Umówił się z Fonsecą w pokoju Rasheeda, ale wkradł się na OIOM przed ustaloną godziną. Obliczył, że ma jakieś piętnaście minut do przyjścia chirurga. Niewiele, ale przy odrobinie szczęścia mogło wystarczyć, żeby uzyskać informację, której potrzebował.

Nerwowo obserwował, jak Rasheed powraca do rzeczywistości, i spoglądał na zegarek. Fonseca był maniakiem punktualności. Jego czas szybko się kurczył.

Oczy Rasheeda otworzyły się i mężczyzna powiódł nimi dokoła. Ramazan patrzył, jak zataczają coraz szersze kręgi, aż w końcu spoczęły na nim. Twarz pacjenta lekko stężała w poczuciu zagubienia, które Ramazan widywał już wcześniej.

– Wasza ekscelencjo – rzekł, utrzymując przepływ leków na ustalonym poziomie. – Jak się ekscelencja czuje?

Mężczyzna zaczął składać zauważalnie suche usta w jakieś słowo i miał już odpowiedzieć, gdy Ramazan usłyszał rozmowę za drzwiami.

Zbliżał się Fonseca.

RAMAZAN NIE WIEDZIAŁ, co robić. Działając instynktownie, szybko zwiększył dawkę leków. Przyglądał się spanikowany, jak spojrzenie Rasheeda robi się nieobecne, a oczy kierują w górę, aż w końcu znikają pod powiekami akurat w chwili, gdy otworzyły się drzwi i do środka wszedł Fonseca. Chirurgowi towarzyszyła jedna z pielęgniarek.

– O, Ramazan, już jesteś – powiedział lekarz. – Znakomicie. – Podszedł do łóżka i obdarzył wytatuowanego pacjenta długim, zaciekawionym spojrzeniem. – Wydaje mi się, że dostatecznie już wypoczął. A ty jak sądzisz?

Ramazan nie odpowiedział, ale też Fonseca nie czekał w zasadzie na odpowiedź. Obejrzał cienkie gumowe rurki wychodzące spod koldry mężczyzny i prowadzące do małego plastikowego zbiornika, który wisiał na ramie łóżka.

– Dreny są czyste.

– Tak, po pierwszej nocy nie było już śladów krwawienia – odrzekł spokojnie Ramazan.

– To dobrze. Rano je wyciągnę. – Zrobił w stronę Ramazana zapraszający gest. – Jest twój.

Ramazan zdołał przywołać na twarz uśmiech i pomimo drżenia rąk zaczął przywracać Rasheedowi pełną przytomność.

I znowu, tak jak zaledwie kilka chwil wcześniej, wytatuowany mężczyzna się poruszył. Jego oczy pod powiekami ożyły. Wreszcie je otworzył; jego twarz zasnuło takie samo jak wcześniej oszołomienie, a wzrok spoczął wreszcie na życzliwej twarzy Ramazana.

– Witamy z powrotem, efendi – odezwał się anestezjolog, sprytnie wybierając pełen szacunku, lecz mało imperialny tytuł. – Jak się pan czuje?

Rasheed nie odpowiedział. Jego oczy błędziły po pokoju, a on sam najwyraźniej próbował dojść do tego, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Ramazan wiedział, że tym razem jest inaczej niż wtedy, gdy wyciągał z Rasheeda informacje o przeszłości. Wtedy był półprzytomny i nie całkiem świadomy tego, co mówi. Teraz działanie leków powinno za chwilę ustąpić, a pacjent miał odzyskać pełną przytomność. Pytanie jednak o to, co pamiętał sprzed operacji, pozostawało wciąż bez odpowiedzi.

Ramazan dał mu chwilę. Następnie poklepał go delikatnie po lewym ramieniu, tak jak wcześniej.

– Czy może pan podnieść tę rękę?

Rasheed, najwyraźniej wciąż próbując zrozumieć, co się dzieje, wykonał polecenie.

– Doskonale. Na pewno chce się panu pić. Proszę. – Ramazan wziął ze stolika kubek z wodą i wsunął słomkę do ust mężczyzny. – Proszę się napić wody, efendi. Małymi łyżkami.

Odczekał chwilę, po czym zabrał kubek i zwrócił się do Fonseki:

– Nadal jest otumaniony – rzekł. – Dajmy mu kilka minut.

Przyglądał się nerwowo, jak Fonseca podchodzi do łóżka mężczyzny.

– Chcę się tylko przekonać, czy zdecydował się już mówić – powiedział do Ramazana, nie spuszczając wzroku z pacjenta – czy raczej zamierza nas nadal zbywać milczeniem. Może w tym półprzytomnym stanie będzie bardziej rozmowny. Co pan powie, efendi? – zwrócił się do pacjenta. – Zechce nas pan oświecić, kim pan jest? Może zacznie pan od nazwiska?

Rasheed patrzył na chirurga obojętnym, otumanionym wzrokiem, a Ramazan obserwował go w niemym przerażeniu, żywiąc rozpaczliwą nadzieję, że mężczyzna postanowi jednak milczeć, jak wtedy, gdy się zjawił.

KIM JEST – wróciło jako pierwsze.

Potem Rasheed usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest i co tu robi.

W jego zamroczonej głowie wykwitwały ciągle nowe, dezorientujące strzępy informacji, przypadkowe skojarzenia słów i obrazów, którym próbował nadać jakiś sens. Czy były to wspomnienia, czy wyobrażenia? Nie mógł się dostatecznie skupić, by to rozstrzygnąć. Jednak twarz patrząca na niego z góry była nieznamoma. Czy widział już kiedyś tego człowieka? Mężczyzna najwyraźniej uważał, że tak, ale... kim był?

Rozejrzał się wokół. Leżał w szpitalnym pokoju. Nowoczesnym. Ach tak, szpital. W Paryżu. Przybył do Paryża, żeby się poddać leczeniu. Zgadza się. Żeby go wyleczyli. Przybył do szpitala, w którym wcześniej przeprowadził zwiad, do... Nie mógł sobie przypomnieć nazwy.

Jakaś kobieta, pielęgniarka – nie pamiętał jej. Jeszcze jeden mężczyzna – ten wydał mu się jakby znajomy. Dlaczego? Kim był? Tak, wiązało się z nim coś, co tkwiło w jego pamięci. Ale co? Pewnie był lekarzem, tak jak ten pierwszy. Inaczej co by tu robili? Ale w jakim był stanie? Dostrzegł kilka rurek kroplówki biegnących wzdłuż ręki. Czy go wyleczyli? Czy naprawili to, co z nim było nie tak?

A co było nie tak? Nie pamiętał. Powracały wspomnienia dolegliwości – gwałtownego kaszlu, płucia krwią, duszności i wyczerpania. Pomyślał przez chwilę. Zdawało się, że... czuje się lepiej. Zrobił ostrożny wdech, poczuł ból w płucach, ale

i tak było lepiej. Jakby jego drogi oddechowe zostały oczyszczone i poszerzone.

Tak, przybył do Paryża, żeby się poddać leczeniu. Przypomniawszy sobie ciemność, tamtą noc nad rzeką. Uczucie zimna i nagość. Przypomniawszy sobie mężczyznę. Czy go zabił? Błyskawicznie powrócił obraz duszenia człowieka ramieniem. Tak. Zabrał jego ubrania. A potem był szpital, a potem... co?

Mężczyzna znowu patrzył na niego z góry. Co powiedział? „Czy zdecydował się już mówić?” Co miał na myśli?

Jedno wiedział. Musi zachować ostrożność. Ci ludzie nie mogli się dowiedzieć, kim naprawdę jest. A najwyraźniej byli tego ciekawi. Ile już wiedzieli? Czy coś im powiedział? Jasne, że nie. Nie mógł. Pewnie to właśnie doktor miał na myśli. Rasheed niczego nie powiedział. Nie wiedzieli, kim jest.

To dobrze. To bardzo dobrze.

Należało tak ciągnąć jak najdłużej. Tak było bezpieczniej.

Chociaż... Powracały jakieś strzępy rozmów. Rozmów o... przeszłości. Jego przeszłości. Czy były to tylko odległe wspomnienia, czy coś więcej? A może to jedynie wytwory jego wyobraźni? Wydawały się jednak całkiem rzeczywiste, nad wyraz realne. Ale przecież z nikim o swojej przeszłości nie rozmawiał. A może? Nie. Był tego pewien. Wtedy na pewno nie. Nikt nie mógł znać prawdy.

A jednak w jego świadomości krążyły te zlepki dźwięków. I to go niepokoiło.

Z każdym oddechem coraz bardziej rozjaśniał mu się umysł. Ale dopóki nie odzyska pełni władzy nad zmysłami, będzie musiał zachować milczenie albo przynajmniej mówić bardzo niewiele. To akurat było pewne. Gdy tylko wydobrzeje, gdy będzie wiedział, że został wyleczony, zaczeka na moment, w którym zostanie sam w pokoju, i zniknie. I niech się wtedy dziwią, ile chcą. Nigdy nie poznają prawdy.

Wpatrywał się w pochyloną nad sobą twarz i milczał. Ale jego uwagę przykuł znowu drugi z mężczyzn. Coś w nim nie dawało mu spokoju.

Kim był?

Musiał się tego dowiedzieć. Musiał się też dowiedzieć, jaki jest stan jego zdrowia. Zastanowił się przez chwilę, po czym uznał, że powinien się odezwać.

– Czy... jestem zdrowy? – spytał słabym głosem, nie porzucając zupełnie pozycji obronnej.

Patrzący na niego z góry mężczyzna odwrócił się do tego drugiego, bardziej znajomego, uśmiechając się z wyraźną satysfakcją.

– Kim pan jest? – dodał cicho Rasheed.

– Jest pan w doskonałej kondycji – odpowiedział mu Fonseca. – Jestem pańskim chirurgiem, nazywam się Moshe Fonseca. Nie pamięta pan naszego spotkania przed operacją?

Rasheed udał, że mu się przygląda, po czym pokręcił głową.

Fonseca wydawał się zaskoczony.

– No cóż. Pewnie się pan ucieszy, słysząc, że wszystko odbyło się jak należy, bez najmniejszych komplikacji. Ma pan śliczną, nową zastawkę i nie widzę powodu, dla którego lada moment nie miałby pan stanąć na nogi.

Fonseca. Moshe Fonseca. Coś mu zaświtało. Chirurg, który go operował – Żyd. Popatrzył na drugiego z mężczyzn. Z nim też się wcześniej spotkał. Był... tak, był anestezjologiem. Widzieli się przed operacją. Ale miał w sobie coś jeszcze. Rasheed był tego pewien. Tylko co?

Do pokoju weszła pielęgniarka. Wydawała się zmartwiona.

– Moshe Hekim? – odezwała się do Fonseki. – Jacyś ludzie chcą się z panem widzieć. Są z Hafiye. – Zwróciła się do drugiego z mężczyzn: – Z panem też, Ramazan Hekim.

Ramazan. Tak miał zatem na imię.

Mężczyźni popatrzyli na siebie z konsternacją na twarzach.

– Gdzie ich znajdziemy? – spytał Fonseca.

– W poczekalni. Nalegają, żeby obaj panowie natychmiast się z nimi spotkali.

Rasheed zauważył, że Fonseca spojrział na Ramazana i jakby porozumieli się bez słów. Wreszcie chirurg wzruszył ramionami, niechętnie godząc się na spotkanie.

– Dowiedzmy się, czego chcą. – Zwrócił się do pielęgniarki, która wcześniej z nim tu przysła: – To chyba nie potrwa długo. Może wypełni pani kartę w czasie, gdy nas nie będzie. – Po czym zerknął na Ramazana i obaj podążyli za drugą pielęgniarką do drzwi.

W myśli Rasheeda zakradł się niepokój. Agenci Hafiye proszą o spotkanie z jego lekarzami? To nie mógł być przypadek.

Przygotował się i odetchnął najgłębiej, jak tylko zdołał, pomimo bólu, który rozpalil mu pierś, czym zmusił się do jasnego myślenia. Wiedział, że powinien być na tyle przytomny, by poradzić sobie z zagrożeniem, którego nadejście przeczuwał.

KAMAL KIPIAŁ Z NIECIERPLIWOŚCI uwięziony w brnącej przez korki taksówce, gdy zadzwonił jego telefon.

Spojrział na wyświetlacz. Dzwonił analityk z Grot. Ze złością wduśił przycisk, odbierając połączenie, i natychmiast tego pożałował, bo ostatnią rzeczą, jaką chciał sobie teraz zwracać głowę, było tamto żalosne ciało wyłowione z Sekwany.

– *Chaouch komiser* – odezwał się analityk. – Wiem, dokąd się udał wasz podejrzany.

Znaczenie tej wiadomości dotarło do niego z opóźnieniem.

– Słucham?

– Wasz podejrzany. Mężczyzna znad rzeki. Wiem, dokąd poszedł. Udało mi się prześledzić jego trasę, sprawdzając nagrania z ulicznego monitoringu i godziny

kursów taksówek z zainstalowanych w nich kamer, no i...

Dla Kamala za dużo już było tego gadania.

– Dość tych szczegółów. Gdzie poszedł?

– Do Hurrem Sultan *Külliyeye*. To tam wysiadł z taksówki. Sprawdziłem szpitalne rejestry. Zgłosił się w szpitalu tego ranka i o tej samej porze. A teraz to, co najlepsze, *chaouch komiser*. On nadal tam jest. Na oddziale intensywnej opieki.

Nazwa placówki spadła na Kamala jak grom z jasnego nieba. Szpital Sułtanki Hurrem – ten, w którym pracował jego brat.

Spojrzał przez okno taksówki. Szpital majaczył z przodu po drugiej stronie rzeki. Uliczne korki uniemożliwiały jazdę.

– W porządku, dzięki. Teraz już sam się tym zajmę – powiedział Kamal i się rozłączył.

Szpital. Na pierwszy rzut oka nie miało to, rzecz jasna, nic wspólnego z Ramazanem. Mógł to być zwykły zbieg okoliczności. Ale biorąc pod uwagę wszystko, co się działo z Nisreen, poczuł, że coś się za tym może kryć. Jakieś niebezpieczeństwo. Być może niemałe.

– Pójdę pieszo – zwrócił się do kierowcy i podał mu pieniądze.

Po czym wyskoczył z taksówki i ruszył biegiem.

RAMAZAN CZUŁ, jak w gardle rośnie mu klucha, gdy razem z Fonsecą opuścili OIOM, by się spotkać z czekającymi na nich agentami Hafiye.

Przy podwójnych drzwiach prowadzących do poczekalni stało czterech mężczyzn. Wszyscy byli w mundurach i mieli to zgorzkniałe, pogardliwe spojrzenie, mówiące, że świat pełen jest niepożądanych elementów, a na nich spoczywa ciężar ich eliminowania. Dwaj zrobili kilka kroków w kierunku Ramazana i Fonseki, a dwóch pozostałych nie ruszało się z miejsca. Niższy z tych, którzy szli w ich stronę, miał ziemistą cerę, zniszczoną w przeszłości przez trądzik, wyższy zaś prezentował trzy świeże, położone równolegle strupy na lewym policzku, wyglądające, jakby ktoś potraktował go paznokciami. Takie znaki szczególne nie pomagały stłumić bijącej od nich wrogości.

Cała czwórka szybko się sobie przedstawiła, po czym Fonseca od razu przeszedł do rzeczy, pytając:

– O co chodzi?

– Interesuje nas jeden z waszych pacjentów – powiedział ten z bliźniami po trądziku. – Mężczyzna o nieustalonej tożsamości i pokrytej tatuażami skórze. Chcielibyśmy zamienić z nim kilka słów. – Mówiąc to, popatrzył na Ramazana.

Ramazana musiał się mocno wysilić, by zapanować nad strachem. Starał się zachowywać swobodnie i pozwolił, by to Fonseca prowadził rozmowę.

– Przeszedł poważną operację i dopiero wybudziliśmy go z narkozy. Jest półprzytomny. Nie wiem, o czym chcecie z nim, panowie, rozmawiać, ale wątpię, by był w stanie odpowiedzieć na wasze pytania.

– Może pozwoli pan, że sami to ocenimy. – Agent pełnym agresji gestem pokazał Fonsece drzwi OIOM-u. – Proszę prowadzić, *hekim*.

W GŁOWIE RASHEEDA kłębiło się od myśli, gdy obserwował, jak pielęgniarka spisuje odczyty z monitorów przy jego łóżku.

– Pańskie wyniki są idealne – obwieściła, podchodząc bliżej i poprawiając czujnik ciśnienia krwi na jego ramieniu.

Musiał być gotów, musiał być w stanie stawić czoło zagrożeniu z ich strony. Najpierw spróbuje znów zastosować taktykę milczenia, zobaczy, co z tego wyjdzie. Przynajmniej zyska nieco czasu, by ocenić, co się tak naprawdę dzieje. Musiał też

dowiedzieć się czegoś więcej o stanie swojego zdrowia. Fonseca powiedział, że rano usunie mu dreny, co oznaczało, że wcześniej nie będzie mógł wrócić.

– Jak długo będę musiał tu zostać? – zapytał pielęgniarkę.

– Och, niezbyt długo – odpowiedziała. – Jutro rano przeniesiemy pana na oddział i za kilka dni będzie pan mógł wyjść do domu.

– Kiedy będę mógł chodzić? – spytał.

– Zapytam lekarzy, ale nie ma powodu, żeby już teraz nie stanął pan na nogi – odparła radosnym głosem. – Jeśli czuje się pan na siłach, doktorzy będą zachwyceni, widząc, jak robi pan kilka kroków. Ale tylko kilka, proszę pamiętać. I nie sam. Oczywiście ktoś musi panu towarzyszyć. I nieść dreny. – Stuknęła w urządzenie monitorujące i sprawdziła wynik. – Widzi pan? Wszystko jest w porządku. Ma pan idealne ciśnienie. Nawet nieco wyższe, niż się spodziewałam.

– To dobrze – mruknął Rasheed.

– Cóż, znalazł się pan w dobrych rękach – powiedziała, zapisując coś w karcie. – Prawdę mówiąc, w najlepszych. I muszę powiedzieć, że miał pan szczęście, bo Ramazan Hekim pieczołowicie doglądał pana po operacji.

Rasheedowi krew zahuczała w uszach.

– Co pani ma na myśli?

– Zaglądał do pana chyba z tuzin razy. Nigdy nie widziałam, żeby tak się interesował pacjentem. Jesteście spokrewnieni? A może to pański przyjaciel?

Ze wszystkich stron natarły na niego niepokojące pytania.

– A to... nie jest normalne? – spytał.

– Oj, nie. Zazwyczaj przychodzi do pacjenta raz, i tyle. Gdyby był pan traktowany zwyczajnie, to znalazłby się pan na oddziale znacznie szybciej, co wszystkim byłoby na rękę, bo potrzebujemy łóżek na OIOM-ie dla innych pacjentów.

– A do mnie przychodził więcej razy?

– Owszem. Doświadczył pan iście królewskiego traktowania – powiedziała pielęgniarka.

– Jak długo tutaj leżę?

– Niech pomyślę. – Wyteżyła pamięć. – Został pan przyjęty w piątek rano, a wieczorem miał pan operację. A więc jest pan tu od dwóch dni.

Pytania ustąpiły miejsca poważnym obawom, gdyż słowa pielęgniarki poruszyły pewne niepokojące obrazy w jego mózgu – obrazy i zlepkki dźwięków, fragmenty rozmów krążące mu po głowie, domagające się uwagi. Ale czym były? Czy były rzeczywiste, czy urojone? Nie umiał powiedzieć. Przynajmniej na początku. Jednak gdy zamknął oczy i się skoncentrował, kilka z nich zaczęło się układać na swoim miejscu, ukazał się pewien ład, struktura obracająca się wokół jednego centralnego obrazu – obrazu lekarza siedzącego przy jego łóżku i mówiącego.

Mówiącego.

Do niego.

Prowadzili rozmowę. Którą Rasheed ledwo pamiętał. We dwóch... czy we troje? Niewyraźnie mignęła mu przed oczami jeszcze jedna twarz, kobiety, także w tym pokoju, przy łóżku – ale znikła.

Co ten lekarz zrobił? Co wiedział? Czy Rasheedowi coś zagrażało? Czy ci ludzie znali prawdę? Czy to dlatego zjawili się tutaj agenci? Czy zadzwonił po nich ten lekarz? A może chodziło mu o coś innego?

„Czy on wie?”

Nagle ogarnęła go trwoga. Musi być bardzo czujny. Niebezpieczeństwo groziło wszystkiemu, co osiągnął.

Nie miał zbyt wiele czasu, żeby nad tym rozmyślać. Jego organizm wciąż jeszcze zdawał się walczyć z działaniem leków, które mąciły mu umysł. W tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju weszło czterech mężczyzn – jego dwóch lekarzy i dwóch agentów w mundurach.

– JAK SIĘ PAN nazywa, efendi?

Rasheed nie odpowiedział.

Agent z bliznami po trądziku podszedł bliżej i się nachylił, żeby móc lepiej widzieć pacjenta.

– Spytałem, jak się pan nazywa.

I znów brak odpowiedzi.

Agent obrócił głowę w stronę Fonseki.

– Czy istnieje jakaś przyczyna medyczna, dla której nie może mówić?

Fonseca wydawał się przyparty do muru i wahał się, co odpowiedzieć.

– Cóż... jak już wspominałem, był pod wpływem silnych środków uspokajających – wydukał.

Dziobaty agent znowu uważnie przyjrzał się Rasheedowi.

– Czyżby? – Popatrzył mu w oczy, jakby próbował odgadnąć, co się za nimi kryje. – A mnie się zdaje, że słyszy mnie doskonale. Myślę, że zwyczajnie mnie ignoruje. Ma mnie za głupca. Jak sądzisz, Kerim? – spytał kolegę, nawet się do niego nie odwracając. – Myślisz, że ma mnie za głupca?

– Jeśli tak – odrzekł agent z podrapaną twarzą – to bardzo się myli.

Dziobaty przez cały czas patrzył Rasheedowi w twarz. Rasheed milczał. Wreszcie oczy agenta się poruszyły i spoczęły na rurce wychodzącej spod pościeli.

– Co to za rurka?

– To dren. Z płuc.

Agent powiódł wzrokiem w dół. Rurka prowadziła do plastikowego woreczka wiszącego z boku łóżka.

– Nic tam nie leci.

– Nie.

– A więc jest niepotrzebna.

– Teraz już nie – doprecyzował Fonseca. – Jeszcze dziś zamierzamy ją wyjąć.

– Czy istnieje powód, dla którego nie można tego zrobić teraz?

Fonseca próbował znaleźć odpowiedź.

– Hm, to... potrzebne jest miejscowe znieczulenie i...

Agent wszedł mu w słowo.

– Czyli możecie ją wyjąć tu i teraz?

Fonseca się plątał.

– Myślę... to znaczy, tak, jeśli to naprawdę konieczne. Ale dlaczego?

– Bo bez niej łatwiej nam będzie go przewieźć.

– Przewieźć? – Fonseca się zaniepokoił. – Nie możecie go zabrać. Dopiero co przeszedł poważną operację.

– Dwa dni temu – poprawił go agent. – Nic mu nie będzie. W Cytadeli też mamy personel medyczny, w razie gdyby czegoś mu było potrzeba.

– Proszę posłuchać, jestem jego chirurgiem. Nie mogę wam pozwolić...

Agent popatrzył groźnie i podniósł palec, uciszając Fonsecę.

– Moshe Hekim. Proszę robić, co każe.

RASHEED OBSERWOWAŁ NERWOWO, jak Fonseca wykonuje to, co mu polecono.

Dostał zastrzyk znieczulający, a reszta poszła szybko i bezboleśnie. Głęboki wdech i rurka została wyciągnięta. Była zdumiewająco długa, miała chyba ponad metr, a szok wywołany jej widokiem wzmógł jeszcze ogarniającą go panikę.

„Wiedzą. Wszyscy wiedzą. Lekarze do nich zadzwonili i dlatego chcą mnie zabrać”.

Doskonale zrozumiał, co to Cytadela. Ostatecznie to za jego panowania w mieście została przejęta i zamieniona w siedzibę organów porządku publicznego. Nadzorował pierwszy etap jej rozbudowy.

Zmęczenie i leki igrały z jego umysłem, a lęk targał nim na wszystkie strony. „Chodzi im o zakłęcie. Chcą je poznać”. Wiedział, do czego są zdolni, i wiedział, że prędzej czy później dostaną to, czego chcą. Miał też świadomość, że w każdej chwili może uciec, po prostu wypowiadając tamtą sekwencję słów, ale nagle zdał sobie sprawę, że jeśli oni wiedzą, jaką posiada zdolność, to mogą go zakneblować, żeby nie był w stanie wykorzystać czaru do ucieczki. A potem będą mogli go odurzyć. I zmusić do spisania zakłęcia.

Jakkolwiek by na to spojrział, widział katastrofę. Jego umysł miotał się pod wpływem paniki, a nieustępliwy, dziki instynkt przetrwania walczył, próbując znaleźć wyjście. Zamierzali go zabrać. Zamierzali to z niego wyciągnąć, a do tego nie mógł dopuścić. Za nic na świecie. Musiał coś zrobić, i to natychmiast. Nie miał wyboru. Musiał wykonać ruch, teraz, zanim będzie za późno. Musiał zniknąć stąd w cholere, póki jeszcze mógł, wrócić do domu i poczekać, aż zupełnie wydobrzeje, a wtedy dopiero przybyć tu raz jeszcze i posprzątać ten bałagan. Zaczynając od chirurga i tego drugiego chytrego lisa, który z nim pracował. Jeszcze się na nich zemści. Ale to mogło poczekać.

Przymrużył oczy i strzelał nimi po całym pokoju, rejestrując, gdzie kto stoi,

podczas gdy Fonseca zakładał mu szwy w miejscu po drenie.

Chirurg, skończywszy, odwrócił się do agentów.

– Gotowe? – spytał ten z trądzikową cerą.

Fonseca niechętnie skinął głową.

– Ale nadal uważam, że to błąd. Kładziecie na szali jego zdrowie.

– Jeśli zacznie się dziać coś złego, zadzwonimy do pana. – Zwrócił się do pielęgniarki: – Proszę przyprowadzić tu wózek i będziemy się zbierać.

Rasheed zamknął oczy, szykując się do skoku. W głowie jednak wciąż miał płataninę myśli, a na pierwszy plan wysunął się zupełnie inny pomysł.

„Mogę ich dostać tutaj, teraz. Zlikwidować. Zanim to wszystko wymknie mi się spod kontroli, zanim wszyscy zaczną rozpowiadać o mnie to, co wiedzą. I w ten sposób nie będę musiał podejmować ryzyka związanego z powrotem”.

Przekręcił głowę na bok, żeby lepiej widzieć dziobatego agenta. I zaczął działać.

Zobaczył, jak agent się do niego odwraca, i skinął głową, lekko i żałośnie. Następnie słabym, ledwo słyszalnym głosem powiedział:

– Zaczekajcie. Proszę. Ja... ja wam powiem.

Dziobaty, zaciekawiony, podchodząc bliżej, przekrzywił głowę.

– Chce pan coś powiedzieć?

Rasheed znowu kiwnął powoli, po czym wyszeptał:

– Moje nazwisko. Nazywam się... Anwar.

Agent ledwo go słyszał. Posłał swojemu wyższemu koledze pełen zadowolenia z siebie uśmiech, zbliżył się do łóżka i nachylił, żeby lepiej słyszeć.

– Proszę mówić, efendi. Nie możemy tu spędzić całego dnia.

– Ja... moje nazwisko... – powtórzył Rasheed, napinając mięśnie i czując, jak puls przyspiesza mu jak rakietą.

Agent przysunął się jeszcze bliżej. Był dosłownie kilka centymetrów nad Rasheedem.

Rasheed zaatakował.

Jego ręka wystrzeliła spod kołdry i owinęła się wokół szyi dziobatego, ciągnąc go i ściskając z całej siły; gardło mężczyzny zostało uwięzione w haku. Wszyscy obecni w pokoju zareagowali w tym samym momencie, ale uwaga Rasheeda przeniosła się na wyższego agenta, który sunął w stronę łóżka, wyjmując pistolet. Rasheed działał równie szybko: sięgnął ręką do paska człowieka, którego trzymał w uścisku, i wyszarpnął broń. Drugi z agentów trzymał ją już wyciągniętą i celował w łóżko, ale się zawahał, widząc, że na linii strzału ma własnego partnera. Ten ułamek sekundy dał Rasheedowi przewagę, której potrzebował. Strzelił dwa razy do zbliżającego się mężczyzny – w głowę i w pierś. Agent uderzył o brzeg łóżka i osunął się na podłogę.

Rasheed nie tracił ani sekundy. Nic nie było go w stanie rozproszyć, nawet nagły

krzyk pielęgniarki, gdy puścił agenta z bliznami, odpychając go gwałtownie i pakując w niego dwie kule. Mężczyzna poleciał do tyłu i wpadł na wózek z urządzeniami monitorującymi, po czym razem z nim runął na podłogę.

Rasheed wyrwał z ręki wenflon od kroplówki, odrzucił pościel i usiadł, ale pierś zapłonęła mu żywym ogniem i aż się skulił od niespodziewanego bólu. Jedną ręką opierał się o łóżko, a drugą, z bronią, wiódł wokół pokoju, szukając kolejnego celu. Fonseca stał z podniesionymi rękami, niepewnie, centymetr po centymetrze przesuwając stopy w tył, z twarzą wykrzywioną strachem. Szeptał bezgłośnie:

– Nie, proszę, nie. – Nic to jednak nie dało.

Rasheed pozbawił go życia dwoma kolejnymi celnymi strzałami, z których jeden roztrzaskał lekarzowi czaszkę, rozpryskując jej zawartość po nieskazitelnie białej ścianie za jego plecami.

Kątem oka dostrzegł szeroko otwarte drzwi pokoju i uciekających drugiego lekarza i pielęgniarkę. Strzelił do nich, opierając się na łóżku i stając, ale poczuł zawroty głowy, zachwiał się i kule nie trafiły w cel, ale w ścianę i futrynę.

Przez chwilę łapał równowagę przy łóżku; zamknął oczy, zrobił długi wdech i się skrzywił, czując pieczenie w głębi piersi. Zniósł je w nadziei, że łyk tlenu jest wart tego bólu.

Wreszcie się odepchnął i rzucił za zbiegami.

RAMAZAN WSTRZYMAŁ ODDECH w chwili, gdy mężczyzna twierdzący, że nazywa się Anwar Rasheed, chwycił agenta Hafiye. Kilka następnych sekund zlało się w jedną gmatwaninę surrealistycznych obrazów i dźwięków, z jaką jeszcze nigdy nie miał do czynienia. Będąc świadkiem przemocy, znieruchomiał jak sparaliżowany, ale zaraz się otrząsnął. W momencie gdy wytatuowany mężczyzna wycelował z broni do Fonseki i wystrzelił dwa pociski, rzucił się do drzwi, popychając przed sobą krzyczącą pielęgniarkę.

W holu oddziału intensywnej opieki zapanowała panika – pielęgniarki i lekarze biegali, szukając schronienia.

– Wezwać ochronę! – wrzasnął Ramazan, pędząc szaleńczo przed siebie, wprost na dwóch czekających tu agentów Hafiye, którzy właśnie ruszyli w jego stronę w bojowej pozie, nisko pochyleni, z wyciągniętymi pistoletami.

Ramazan w biegu podniósł jedną rękę, a drugą dźgając gorączkowo powietrze, wskazywał pokój.

– On ma broń – krzyknął. – Zastrzelił wszystkich.

I odwróciwszy głowę, ujrzał Rasheeda, który się wytoczył z sali z podniesionym pistoletem.

Ramazan odskoczył w bok, a obaj agenci wrzasnęli:

– Rzuć broń!

Niemal natychmiast rozległy się kolejne strzały. Ramazan padł na podłogę i przekreślił się szybko, żeby widzieć, co się dzieje. Agenci się schronili – jeden za szafką na kółkach, drugi za filarem – i strzelali nieustępliwie. Kule z pistoletu Rasheeda też cięły powietrze, dziurawiąc szafkę i odłupując z filaru tynk. Ramazan początkowo go nie widział. Dopiero po chwili dostrzegł, że kryje się za innym filarem.

– Rzuć broń! – krzyknął ponownie jeden z agentów.

Rasheed oddał jeszcze trzy strzały, po czym Ramazan usłyszał krótką serię głośniejszych metalicznych trzasków. Nie był ekspertem od broni, ale orientował się wystarczająco, by rozpoznać ten dźwięk.

Rasheedowi skończyły się naboje.

RASHEED CZUŁ SIĘ fatalnie, jeszcze zanim opuścił pokój.

Za szybko wstał z łóżka i nie pomyślał, że wciąż jest bardzo słaby, a jego organizm potrzebuje czasu na regenerację. Zrobił krok i odniósł wrażenie, że brnie przez ruchome piaski. Ból pojawiał się w różnych miejscach, ale najgorszy był ten w piersi – zupełnie jakby ją ktoś rozdzierał. Kręciło mu się w głowie, wzrok się mącił, a pistolet w ręce zdawał się ważyć tonę.

Źle ocenił sytuację, przeszacował swoje możliwości. Pomimo otumanienia teraz to dostrzegł. Spieprzył sprawę.

A na dodatek skończyły mu się naboje.

Ale wciąż jeszcze miał wyjście. Trzeba było skorzystać z niego od razu, zamiast podejmować próbę posprzątania bałaganu przed opuszczeniem tego świata.

Czas ruszać.

– Dobrze, już dobrze, nie strzelać – krzyknął, podnosząc rękę z bronią. Nie wyszedł jednak z ukrycia za filarem. – Rzuć broń. Nie strzelać.

Schylił się i odłożył pistolet na podłogę, po czym pchnął go w stronę agentów.

– Jestem nieuzbrojony. W porządku? Wychodzę – zawołał.

RAMAZAN PATrzył, jak Rasheed wychodzi z za filara. Ręce podniósł wysoko nad głowę, dłonie miał otwarte, palce szeroko rozstawione.

Dwadzieścia metrów od niego, po drugiej stronie przestronnego holu, dwaj agenci także opuścili kryjówki.

– Kładź się! Na podłogę! Już! – wrzasnął jeden z nich, gdy posuwali się ostrożnie w jego stronę, przez cały czas celując z broni, którą trzymali w wyciągniętych rękach.

Ramazan obejrzał się znów na Rasheeda. Wytatuowany mężczyzna zatrzymał się i chciał uklęknąć. Wydawał się zaskakująco spokojny. I wtedy Ramazana olśniło. Wiedział już, co jego były pacjent ma zamiar zrobić.

Podniósł się, nie spuszczając z mężczyzny wzroku, zalewany mieszanką strachu, niedowierzania i oczekiwania, wzmocnioną jeszcze, gdy Rasheed spojrzał mu w oczy i nawet nie drgnął – dopiero po chwili jego wargi zaczęły się poruszać.

Ramazan chciał krzyknąć, chciał ostrzec agentów, chciał powstrzymać Rasheeda przed zrobieniem tego, co jak się domyślał, chodziło mu po głowie – ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, podobnie jak usta.

Jedynym słowem, jakie zdołał z siebie wydobyć, było pokornie wyszeptane:

– Nie.

OSZOŁOMIONY, OBOLAŁY, z wirującymi przed oczami obrazami Rasheed usiłował się skupić.

„Pora wracać. Pora wynosić się stąd, do diabła”.

Zobaczył twarz Ramazana Hekima wyglądającą zza zbliżających się do niego mężczyzn; oczy doktora były wielkie z przerażenia. Rasheed opuścił powieki i zaczął szeptać słowa zaklęcia.

Nie trwało to długo.

A gdy skończył, poczuł znajomy lodowaty dreszcz pędzący przez żyły oraz nagłe ukłucie tysięcy maleńkich igieł wewnątrz czaszki – i już go nie było.

RAMAZAN POCZUŁ, jak jego ciało tężeje.

Mimo że słyszał opowieści wytatuowanego mężczyzny, mimo że rozmawiał o tym z Nisreen, mimo że przez ostatnie dwa dni o niczym innym nie myślał, i tak był totalnie wstrząśnięty.

W jednej sekundzie człowiek był widziany przez wszystkich, klęczał z podniesionymi rękami – a w następnej już go nie było. Tak po prostu.

Zero dźwięku, zero wiatru, zero pirotechniki.

Zwyczajnie zniknął.

Agenci wciąż parli naprzód, nieco już wolniej, rozglądając się po holu, wzrokiem szukając odpowiedzi na to, z czym ich mózgi wciąż nie mogły sobie poradzić.

Do Ramazana mimo oszołomienia dotarła jedna jasna myśl, przywracając mu przytomność umysłu.

Musiał uciekać.

Zaczął się wycofywać, robiąc jeden ostrożny krok i drugi, potem nieco przyspieszył, aż przeszedł przez podwójne drzwi i rzucił się pędem do wyjścia ze szpitala.

W biegu wyciągnął telefon i starając się nie wypuścić go z trzęsących się palców, nacisnął przycisk szybkiego wybierania.

Nisreen odebrała po drugim sygnale.

– Gdzie jesteś? – wychrypiał.

GDY TYLKO RASHEED skończył wypowiadać zaklęcie, poczuł, że tym razem jest jakoś inaczej.

Każdy skok stanowił wstrząs dla zmysłów – wywoływał przerażające wrażenie odcieśnienia, nieważkości, przyprawiające o mdłości uczucie bycia rozrywanym na nieskończoną ilość części, które niemal natychmiast układały się z powrotem w dokładnie ten sam wzór, tylko że cały wszechświat dalej. Nie przyzwyczał się do tego – doznanie to było zbyt intensywne, zbyt obezwładniające, by był w stanie do niego przywyknąć, ale robił to już tyle razy, że wiedział, czego się spodziewać.

Tego się jednak nie spodziewał.

Gdy chodzi o wrażenia wzrokowe, to nigdy wcześniej nie widział takich rzeczy jak teraz – miał przed oczami widok z lotu ptaka na dachy kryte cynkową blachą i łupkiem, a w oddali górujące nad wszystkim bliźniacze wieże i minarety meczetu *Fatih* z łukami odporowymi, otaczającymi jego przysadziste kopuły.

Jednak ważniejsze od wrażeń wzrokowych było to, co czuł. A było to uczucie docierające do niego przez podeszwy stóp – a właściwie brak uczucia. Gdyż pod jego stopami niczego nie było.

Znajdował się w powietrzu. I ułamek sekundy po odzyskaniu ciała zaczął spadać.

Gwałtownie.

Trwało to niecałe dwie i pół sekundy. Tyle potrzebowała grawitacja, by ściągnąć go z nieba i rzucić trzydzieści metrów w dół.

Na jego obronę trzeba rzec, że nie mógł wiedzieć, iż jego sala bez okien na OIOM-ie w Hurrem Sultan *Küllüye* znajdowała się na dziesiątym piętrze budynku stojącego w miejscu, które w roku 1721 zajmowane było tylko przez wypielegnowany ogród, przylegający do starego Hôtel-Dieu Hôpital, poprzednika Hurrem. Znał ten ogród; ostatecznie przez wszystkie te lata był kilka razy w osmańskim darüşşifa, ostatni raz po to, żeby dać się zbadać po powracających dolegliwościach kilka tygodni przed skokiem do roku 2017, w którym chciał poddać się leczeniu. Ale nigdy nie miał okazji oglądać przyległych do niego zielonych terenów z tak wysoka: stary szpital miał tylko cztery kondygnacje.

Jego umysł też nie był w najlepszej formie. Głęboka długotrwała narkoza, jakiej był poddawany przez ostatnie dwa dni, wciąż blokowała kluczowe ścieżki reagowania w jego mózgu, wzmagając panikę i mącąc zdolność oceny sytuacji.

Jednak w ciągu tych dwóch i pół sekundy całkiem sporo zdołało się przebić przez grzęzawisko w jego głowie. Wciąż pozostaje nieodgadnioną zagadką medycyny, jak to się właściwie dzieje, że nasze mózgi są w stanie uwolnić niemal kaskadę obrazów, myśli i wspomnień w bardzo krótkim czasie. A jednak tego właśnie doświadczył Ayman Rasheed w ciągu ostatnich dwóch i pół sekundy swojego wspaniałego, wyjątkowego życia. Tylko że nikomu już nie mógł o tym opowiedzieć.

Najpierw ogarnęła go złość, że wszystko zakończy się tu i teraz. Zakończy się w taki sposób, że zostanie z niego tylko krwawa plama, i to po tym, jak zdołał stawić czoło tylu zagrożeniom i wyjść cało z tylu bitew, w których walczył. Przetrwał wojnę w Iraku i pobyt w barbarzyńskich irackich więzieniach, przetrwał brutalne jatki w Syrii i wymiany ognia z najróżniejszymi wrogami na tamtym terenie. Bez szwanku przedostał się do Turcji i zdołał zapewnić sobie miejsce u boku sułtana, uchodząc cało z politycznych intryg, skrytobójstw i machlojek, których później nie brakowało; przetrwał liczne bitwy i kampanie zapoczątkowane na przedpolach Wiednia w 1683 roku, wśród których momentem kulminacyjnym był podbój Paryża dziesięć lat później. Wszystko to zniósł – i miał teraz tutaj umrzeć na skutek czegoś tak mało chwalebego jak upadek z okna w czasie.

W dodatku był nagi. Tak go mieli znaleźć. Rozciągniętego na ziemi, zapewne z połamanymi i powyginanymi dziwnie kończynami i... nagiego. Okiem wyobraźni ujrzał ten żaloszny, odpychający widok. Nie tak chciał zostać zapamiętany.

Ta towarzysząca mu podczas spadania złość – furia z powodu tego, co zrobił, co musiał zrobić, i sytuacji, która go do tego zmusiła – była wprost rozdzierająca. Przeklinał anestezjologa, przeklinał chirurga, ale najbardziej ze wszystkich przeklinał sam siebie, wściekły na własną głupotę, własną panikę, własne błędy w ocenie sytuacji, własną porażkę.

Oprócz złości inną dojmującą emocją, która dławiła w nim ostatni oddech, był żal. Jego sekret – jego zdolny zmieniać świat, zdumiewający sekret – miał zginąć razem z nim. Kiedyś sam chciał, żeby tak się stało, ale teraz nie był pewien, czy podjął właściwą decyzję.

Od samego początku myślał o śmierci i zadawał sobie pytanie, co zrobić ze swoją wiedzą, gdy nadejdzie jego czas.

Początkowo martwił się, jak sułtan zareaguje na rewelacje, które mu objawił. Oprócz strachu i podejrzliwości istniał jeszcze religijny zakaz dotyczący tego, co miał do zaoferowania. Islam zabraniał czarów i można się było do nich uciec tylko wtedy, gdy w grę wchodziły złe zamiary fałszywych proroków. Histeryczny stosunek do magii nie był zresztą ograniczony do Imperium Osmańskiego. W Ameryce, w Salem, w tym samym czasie odbywały się procesy czarownic. Ale sułtan szybko dostrzegł ogromne korzyści płynące z daru Rasheeda i z radością zgodził się zachować go w tajemnicy przed wezyrami i w ogóle przed wszystkimi.

Gdy tylko zrealizował swój plan i Osmanowie podbili Europę, gdy został

nagrodzony urzędem gubernatora Francji, Rasheed wiele czasu spędził na rozmyślaniu, co zrobić ze swoją schedą. Zastanawiał się, czy nie zdradzić tajemnicy jednemu wybranemu akolicie, komuś, kogo najpierw by przyuczył, a dopiero potem uczynił powiernikiem zaklęcia. Był to jedyny sposób zabezpieczenia tego, co już osiągnął: gdyby kiedyś zagroziła imperium jakaś katastrofa, jego dziedzic mógłby wykorzystać tajemnicze słowa, by cofnąć się w czasie i zapobiec nieszczęściu. Ale z drugiej strony co by się stało, gdyby ten dziedzic niespodziewanie stracił życie? Czy jego tajemnica nie zasługiwała na większą liczbę strażników? Ta troska przerodziła się w pytanie, czy nie przekazać swojej wiedzy nie jednemu dziedzicowi, ale dwóm albo trzem. Mogłoby być zaczątkiem intrygi, która ciągnęłaby się w nieskończoność, ustanowiliby tajemne koło obrońców imperium, którzy by się nim opiekowali i byli gwarantem jego trwałości. Ale w ten tok myślenia wkradły się inne troski. Co, jeśli sekret dostałby się w niewłaściwe ręce? Co, jeśli poznaliby go wrogowie państwa albo obce potęgi, takie jak Amerykanie czy Rosjanie? Co, jeśli ci wykorzystaliby go przeciwko Osmanom? Co, jeśli wysłaliby grupę ludzi z powrotem do roku 1683, żeby odkręcić wszystko, czego dokonał?

Ostatecznie to ta właśnie obawa – obawa, że jego dokonania mogłyby zostać cofnięte i wymazane z historii – sprawiła, że postanowił zachować sekret dla siebie. Nie podzielił się nim z nikim; wykorzystał znajomość przyszłości, żeby jak najskuteczniej ostrzec ludzi ze swojego otoczenia przed potencjalnymi zagrożeniami czyhającymi na imperium. Będzie szeroko pisał o rozmaitych politycznych, społecznych i technologicznych wyzwaniach, jakie się mogą pojawić. Dalej imperium będzie musiało radzić sobie samo. Zapewni mu bardzo solidne podstawy, by mogło przetrwać znacznie dłużej niż jakakolwiek inna cywilizacja w historii. Jeśli poniesie klęskę z jakiegokolwiek innego powodu niż za sprawą działania samego Boga, to trudno.

W ciągu tych ostatnich dwóch i pół sekundy swojego życia znowu zwątpił w słuszność tej decyzji, a pęd ku ziemi był tym bardziej bolesny, że towarzyszyły mu wywołane tym zwątpieniem żal i wściekłość. Nie chciał, żeby wszystko przepadło. Nikomu o niczym nie powiedział. Nie ożenił się, nigdy nie zdradził swojej tajemnicy żadnej z licznych kochanek, nie powiedział ani słowa żadnemu z dzieci, które spłodził. Jedyna osoba, która wiedziała o jego darze, sułtan, już nie żyła. Nie było nikogo, kto byłby świadomy rozmiaru jego niezwykłych dokonań. Miał teraz umrzeć w tym miejscu jako szanowany, podziwiany przywódca, wizjoner, filar osmańskiej historii, ale nikt nie miał się dowiedzieć, że sam, w pojedynkę, zmienił świat.

Zdecydowanie wolałby umrzeć z bardziej podnoszącą na duchu, bardziej optymistyczną myślą, która złagodziłaby brutalną pewność czekającego go końca. Niestety, nim spadł na ziemię, żadna taka myśl się nie pojawiła. Szaleńcze, zapierające dech w piersiach dwie i pół sekundy wystarczyły, aby jego opowieść i jego tajemnica zginęły na zawsze.

Tak mu się przynajmniej wydawało.

– JESTEM W DOMU, czemu pytasz?

Nisreen się zdenerwowała, słysząc zdyszany, gorączkowy głos męża.

Po wyjściu Ramazana z kawiarni pospieszyła z powrotem do kancelarii na spotkanie z klientem, którego nie mogła odwołać. Po spotkaniu wsiadła do tramwaju i przyjechała na przystanek autobusowy, żeby odebrać dzieci. Była w domu i pomagała Tarekowi i Noor w lekcjach, gdy zadzwonił Ramazan.

– Wszystko się pogmatwało – wypalił. – Wszystko.

Nisreen odwróciła się od dzieci i zniżyła głos.

– O czym mówisz?

– Ayman Pasza. Przyszli po niego. Agenci z Hafiye. Zastrzelił dwóch z nich, a potem zniknął. Zniknął, Nisreen.

Jego słowa były jak elektryczny impuls dla jej mózgu.

– Co takiego?

– Zniknął. Był, a za chwilę już go nie było, i to na moich oczach.

– *Aman Tanrı* – wyszeptała trwożliwie.

– To działa, Nisreen. Działa. Wszystko to prawda. Ale pozostali dwaj agenci... oni tam byli. Też to widzieli. – W jego głosie pobrzmiwały i ponaglenie, i lęk. – Co ja mam robić?

Jego strach wypalał drogę w eterze i rozniecał jej własne przerażenie.

– Nie zrobiłeś niczego złego.

– Nie żyje dwóch ich ludzi, Nisreen.

– Ale to nie twoja wina. Mówiłeś, że to on ich zastrzelił.

– Będą chcieli wiedzieć, dlaczego do tego doszło. Będą chcieli wiedzieć, dlaczego zniknął. Zakładając, że jeszcze tego nie wiedzą.

Próbowała szukać rozwiązań.

– To im powiedz.

Jego głos zabrzmiał jeszcze bardziej rozpaczliwie.

– Zwariowałaś? Powiedzieć im? I jak myślisz, co wtedy zrobią? Myślisz, że podziękują: „*Teşekkür, hekim*, jesteśmy panu niezmiernie wdzięczni, a teraz proszę wracać do domu i żyć dalej tak, jakby się nic nie stało”? Nie zaryzykują wypuszczenia

mnie, nie pozwolą, żebym chodził wolno, wiedząc to, co wiem.

– To powiedz, że nic nie wiesz. Powiedz, że byłeś w takim samym szoku jak oni.

– Nie uwierzą w to. Nie w stu procentach. Co oznacza, że nie pozostawią mnie na wolności. Tak na wszelki wypadek, w razie gdybym jednak wiedział.

Miał rację. Nisreen była tego świadoma.

– Gdzie teraz jesteś?

– Idę na parking.

– Okej. Okej. – Ze wszystkich sił starała się zapanować nad zalewem gorączkowych myśli. – Musimy się stąd wynieść.

– My? To nie ma z tobą nic wspólnego.

– Musimy zniknąć razem, Ramazanie. Inaczej wezmą mnie i wykorzystają, żeby na ciebie naciskać, aż się wreszcie poddasz.

– Nie...

– Może już o mnie wiedzą. – Powiedziała to, co dotarło do niej nagle. – Jakkolwiek by na to spojrzeć, tkwimy w tym bałaganie razem.

– Tak czy owak, to beznadziejna sprawa. Znajdą nas... wiesz, że tak będzie. Jesteśmy udupieni.

– Nie – obstawała przy swoim. – Musimy zniknąć, Ramazanie. Przynajmniej na razie. Musimy uciec.

– I dokąd pójdziemy?

– Nie wiem. Ale nie przyjeżdżaj do domu. Zaraz tu przyślą swoich ludzi. Spotkajmy się gdzieś.

– Gdzie?

Zacisnęła powieki, szukając odpowiedzi.

– W kwaciarni niedaleko Zeynep. Stamtąd nas zabierzesz.

– Nas?

– Muszę wziąć ze sobą dzieci. Przecież ich nie zostawię.

– *Istaghfarullah*, Nisreen. Dzieci? To szaleństwo.

– Nie mamy wyboru. Nie możemy ich zostawić. – Wpadła jej do głowy inna myśl. – A co z Kamalem? Dzwoniłeś do niego?

– Nie.

– Mógłby pomóc.

– Nie, Nisreen. To jeden z nich.

– Jest twoim bratem. Zadzwoń do niego, jestem pewna, że...

– Nie, Nisreen. I ty też nie dzwoń. Wiesz, że nie można mu ufać.

– Ale to...

– Nie dzwoń do niego. Obiecay mi to. Przynajmniej dopóki się nie zobaczymy.

Wtedy porozmawiamy.

Nisreen musiała poniechać sporu. Ta sprawa mogła poczekać. Teraz najważniejsze było znalezienie bezpiecznej kryjówki. Musiała jak najszybciej stąd uciec, i to razem z dziećmi.

- Okej – powiedziała. – A więc w kwiaciarni.
- Pospiesz się. I uważaj na siebie.
- Ty też.

KAMAL DOSTRZEGL ZAMIESZANIE przed szpitalem, gdy tylko przeszedł przez most.

Z daleka zobaczył policyjny kordon przed wejściem. Wyciągnął legitymację i pospieszył w stronę funkcjonariuszy.

- Kamal Arslan Aga – powiedział, machając odznaką. – Co się dzieje?
- Doszło do strzelaniny. Trzy ofiary śmiertelne – poinformował go jeden z policjantów, po czym znacząco dodał: – Zdaje się, że dwie z nich to wasi ludzie.
- Słucham? – Jego ciało ścisnął niepokój. – A ta trzecia ofiara?
- To lekarz.
- Niepokój zgniótł go jeszcze mocniej.
- Jaki? Znacie jego nazwisko?
- Nie. Wciąż panuje tam wielki bałagan.

Walcząc z zalewem zdenerwowania, Kamal próbował sobie radzić z zamętem na szpitalnym parkingu. Sięgnął po telefon i kolejny raz wybrał numer brata, rozpaczliwie przeczesując wzrokiem grupę wyraźnie poruszonych lekarzy, pielęgniarek i postronnych osób, które opuszczały szpital i gromadziły się w sporej odległości od wejścia. Nie widział wśród nich Ramazana. Przed wiatą prowadzącą do holu stało w przypadkowych miejscach pięć policyjnych radiowozów, a z oddali docierał dźwięk zbliżających się syren.

Ramazana wciąż nie odbierał. Kamal się rozłączył, dochodząc do wejścia, gdzie spostrzegł łysiejącego mężczyznę w białym szpitalnym fartuchu rozmawiającego z trzema funkcjonariuszami policji.

- Kto tu jest szefem? – przerwał im, pokazując odznakę.
- Jestem dyrektorem do spraw medycznych – odpowiedział łysiejący mężczyzna.
- Co się stało?

Twarz doktora zmarszczyła się w niepewności.

– Sam dokładnie nie wiem. Zdaje się, że czterech ludzi od was przyszło kogoś aresztować. Chodziło o pacjenta z OIOM-u. Ten zastrzelił dwóch z nich i jednego z naszych chirurgów.

- Pacjent. OIOM. Telefon analityka. W jego głowie iskrzyło od powiązań.
- Przygotował się na najgorsze.

– Jak się nazywał ten chirurg?

– Moshe Fonseca.

Kamal się wzdrygnął. Na szczęście nie był to jego brat, ale nazwisko brzmiało znajomo – Ramazan często je wymieniał, należało do kogoś, z kim pracował. Wspominał o tym człowieku, gdy jeszcze ze sobą rozmawiali.

– Mój brat tutaj pracuje. Sajjid Ramazan Hekim. Wie pan, gdzie jest?

– Nie, nie wiem. Ale mężczyzna, który zabił Moshego... Moshe i pański brat operowali go dwa dni temu. Był ich pacjentem. Obaj z nim byli, kiedy to się stało.

– A więc gdzie jest mój brat?

– Nie wiem. Szukamy go.

– A co ze strzelającym?

Jeden z policjantów odrzekł:

– Nie wiemy. Być może nadal tam jest.

Akurat w tej chwili tłum rozrzedził się na tyle, że Kamal dostrzegł w holu dwóch funkcjonariuszy, których znał z widzenia. Stali obok siebie wraz z czterema policjantami i prawdopodobnie udzielali im instrukcji. Widywał ich w Cytadeli. Nie znał ich osobiście, ale wiedział, że są agentami.

Z Wydziału Z.

– Przepraszam – rzucił szorstko, opuszczając doktora i biegnąc do tamtych.

Dotarł do nich w momencie, gdy policjanci w parach ruszyli w dwóch różnych kierunkach. Szedł z wyciągniętą odznaką, ale sądząc po reakcji, dwaj agenci wiedzieli już, kim jest.

– Kamal Aga – odezwał się jeden z nich.

– Byliście tutaj? Gdy doszło do strzelaniny?

Agent popatrzył pytająco na swojego kolegę i się zawahał z odpowiedzią. Drugi z mężczyzn spojrzał równie niepewnie, po czym na jego twarzy pojawił się wyraz nieugiętości.

– Otrzymaliśmy rozkaz, żeby o tym nie rozmawiać.

– Słucham?

– Nie wolno nam o tym mówić.

– Kto tak powiedział?

Mężczyźni milczeli.

– Kto tak powiedział? – warknął Kamal.

Chwila wahania. A potem:

– Fehmi Pasza – padło z ust tego pierwszego.

Fehmi Kuzey. Pierwszy zastępca Celaleddina i szef Wydziału Z. To, że osobiście się zaangażował w sprawę już na tym etapie, nie wróżyło niczego dobrego.

Kamal zmarszczył brwi, usiłując poskładać w całość sprzeczne ze sobą strzępy informacji.

– Gramy w tej samej drużynie. Ze mną możecie rozmawiać.

– Rozkaz brzmiał jednoznacznie. Nie rozmawiać z nikim.

Kamal miał ochotę w coś wałnąć.

– Posłuchajcie, mój brat gdzieś przepadł, Ramazan Hekim. Wiecie, gdzie jest?

Kolejna wymiana ukradkowych spojrzeń, po której ten sam agent odważył się na skinienie głowy.

– Widzieliście go?

Znowu skinienie.

– Był tam? Gdy doszło do strzelaniny?

Znów chwila wahania. Tym razem bez odpowiedzi.

– *Bismillah*, to mój brat. Muszę wiedzieć, czy nic mu się nie stało.

Agent, który mówił wcześniej, niechętnie pokiwał głową.

– Był tam...

– Dość – wtrącił się bardziej twardy z partnerów.

– To jego brat – sprzeciwił się pierwszy z mężczyzn, po czym przeszedł do rzeczy, szybko wyrzucając z siebie słowa: – Był tam, kiedy się to zaczęło. Był w pokoju ze strzelającym. Ale po wszystkim zniknął.

– To gdzie teraz jest?

– Nie wiem. Byliśmy zajęci zabójcą.

– A co się z nim stało?

To pytanie wywołało u obu mężczyzn największy dyskomfort.

– No co? Nie żyje?

Cisza.

– Żyje? Wciąż tam jest? Uciekł?

Byli niczym mur. Betonowy, dźwiękoszczelny i nie do ruszenia. Wreszcie bardziej hardy z agentów pokręcił głową.

– Będziesz musiał zapytać Fehmiego Paszę.

Kamala dużo kosztowało, żeby go nie złapać i nie wycisnąć z niego odpowiedzi. Ale wiedział, że musi nad sobą panować. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Nie miał wyboru. Musiał się dowiedzieć, co się dzieje z jego bratem.

Zadzwoił do Nisreen.

ZNIKNAŁ?

– Tak mówią – odpowiedział Fehmi Kuzey komendantowi Hafiye. – W jednej sekundzie tam był, a w następnej już go nie było.

– To znaczy, że im zwał.

– To znaczy, że dosłownie rozpląnął się w powietrzu.

Celaleddin zmarszczył brwi.

– Fehmi...

– Wiem, jak to brzmi, paszo. Ale tak powiedzieli. Należą do moich najlepszych ludzi i powiem panu, że są poważnie wystraszeni. Szkoda, że pan nie słyszał, jak opisują całe zdarzenie.

– I stało się to na ich oczach? Naprawdę to widzieli?

– Przyparli go do muru na OIOM-ie. Zero okien. Tylko jedno wyjście, które mieli za swoimi plecami. Też nie chce mi się w to wierzyć, lecz o ile nie są z nim w zмовie, nie ma innego wytłumaczenia.

Umysł Huseyina Celaleddina Paszy, niezwykle bystry i całkowicie racjonalny, raczej tego nie kupował. A jednak w jakimś małym zakamarku, gdzie mieszkał instynkt, coś się w nim buntowało. Tak, ludzie przecież nie ulegają naglej dematerializacji. To z pewnością nie było możliwe. A jednak...

Nie żyło dwóch jego funkcjonariuszy i chirurg. Niezależnie od tego, co się naprawdę stało, nie był to już jakiś tam żart. Sprawa zrobiła się śmiertelnie poważna. A jego zastępca zapewniał go, że agenci, którzy widzieli, jak to się stało, są wiarygodni. Kary za kłamstwa czy za przynależność do jakiejś pokrętnej konspiracji stały się na tyle surowe, że trudno było znaleźć funkcjonariusza Hafiye, który nie mówiłby prawdy.

Kuzey szybko i sprawnie przedstawił mu resztę sprawozdania. Było oczywiste, że liczy się czas.

– No dobrze – rzekł. – Musimy opanować sytuację. Proszę dopilnować, żeby pańscy ludzie z nikim o tym nie rozmawiali. I to dosłownie z nikim. Niech zgarną i odizolują każdego, kto mógł widzieć, co się stało. Tylko dyskretnie.

– Tak, paszo.

– I znajdźcie Ramazana Hekima i jego żonę. Chcę ich tu mieć jeszcze przed wieczorem.

KAMAL WYSŁUCHAŁ PIĘCIU albo sześciu sygnałów w telefonie i miał się już rozłączyć, gdy Nisreen odebrała.

– Nisreen, to ja. – Nie był pewien, co powiedzieć. Nie chciał jej denerwować, a nie wiedział, czy słyszała o strzelaninie w szpitalu. – Muszę porozmawiać z Ramazanem. Czy wiesz, gdzie on jest?

Jej odpowiedź nie padła od razu.

– Nie wiem – rzekła głosem pełnym wahania. – Dlaczego? Co się dzieje?

Okłamywała go. Bez wątplenia. Słyszał, że wstrzymuje oddech, i Kamal

dobrze znał tę jej urywaną mowę. Była zestresowana.

– Jest z tobą?

– Nie, powiedziałam ci...

– Nisreen, posłuchaj. Nie wiem, co się dzieje, ale sprawa jest poważna. Pozwól, że wam pomogę.

Znowu wahanie. Tym razem usłyszał kroki i klakson przejeżdżającego samochodu i zdał sobie sprawę, że Nisreen jest poza domem, gdzieś na ulicy, idzie. I to szybko.

– Nisreen...

– Nie. Nie mogę. Przykro mi.

– Nisreen, posłuchaj...

– Nie mogę, Kamal. Obiecałam mu.

– To bez znaczenia. Pozwól, że...

– Nie mogę.

W tym momencie usłyszał głos Noor mówiącej:

– Anne? – Słysząc było, że jest zmartwiona i wystraszona. Połączenie zostało przerwane.

Kamal zaklął dwa, nie, trzy razy. Niewidzącym wzrokiem popatrzył w dal, w popłochu obmyślając właściwy ruch. Nie musiał długo myśleć.

Znowu uderzył w klawisz szybkiego wybierania. Jego telefon został sprawdzony i zaakceptowany przez system, a jeden z telefonistów śledzących numery odebrał prawie natychmiast. Był to młody rekrut; już z nim wcześniej rozmawiał.

– Potrzebna mi jest lokalizacja telefonu – powiedział Kamal i podał numer komórki Ramazana.

– Się robi – odpowiedział telefonista.

Kamal usłyszał, jak stuka w klawisze. Po chwili, zbyt krótkiej nawet na rozpoczęcie lokalizowania, chłopak odezwał się znowu.

– Moment, dopiero co podawałem wam lokalizację tego numeru.

– Słucham?

– Ten numer, który pan podał. Śledzimy go na żywo. Widzę go na monitorze teraz, gdy rozmawiamy.

Wzmozona czujność. Już mają oko na Ramazana.

– Kto to był? Kto o to prosił?

– Ktoś z Wydziału Z. Samer Alameddin Aga. Ale kogo właściwie śledzimy? To musi być jakiś ważny gość, skoro wszyscy za nim chodzą.

– Proszę przekazać tę lokalizację na mój telefon, dobrze? I to szybko.

Znowu stukanie w klawiaturę.

– Powinien ją pan mieć... o, już.

Kamal otworzył przesłany link i popatrzył na wyświetlacz. Ramazan oddalał się od szpitala – sądząc po prędkości przesuwanego się punktu, jechał samochodem. Kierował się w stronę domu.

– Chcę to przez cały czas widzieć – powiedział Kamal do telefonisty, po czym rozłączył się i wybrał klawisz, do którego przypisany był numer Ramazana.

Musiał go ostrzec, że jest śledzony. Musiał powiedzieć bratu, żeby wyjął baterię z telefonu, zanim go złapią.

Usłyszał sygnał połączenia. Podobnie jak wcześniej, Ramazan nie odbierał. Kamal nie czekał. Już pędził przed siebie. Rozłączył się tuż przed włączeniem poczty głosowej i wszedł na jezdnię naprzeciw wolno jadącego sedana. Rozłożył szeroko ramiona, w jednej ręce trzymając odznakę.

Samochód zahamował z piskiem opon. Wystarczyło kilka sekund, by Kamal otworzył drzwi, wywłócił nieszczęsnego kierowcę i pognął za poruszającą się kropką z wyświetlacza swojego telefonu.

NIE MAJĄC W GŁOWIE żadnego konkretnego pomysłu, Ramazan skierował ich rodzinne auto na północ, na szeroki bulwar prowadzący ku obwodnicy miasta. Obok siebie miał Nisreen, Tarek i Noor siedzieli przypięci pasami na tylnym siedzeniu. Wieczorem na ulicy panował spory ruch, ale bez korków. Wieczorne modlitwy dobiegły końca, a na chodnikach roіło się od ludzi, głównie mężczyzn wracających z pracy do domu.

– Dokąd jedziemy, *baba*? – spytał Tarek cichym, wystraszonym głosem.

Ramazan spojrział we wsteczne lusterko. Ledwo zdołał zobaczyć wpatrujące się w niego nisko osadzone, pełne strachu oczy. Nie wiedział, co odpowiedzieć, i zerknął na Nisreen.

Odwróciła się, by widzieć dzieci, przywołała na twarz uśmiech i tyle beztrouski, na ile tylko ją było stać.

– Jedziemy... jedziemy po prostu na przejazdzkę, *hayatım*. Może wpadniemy gdzieś na pyszne lody. Mielibyście ochotę?

Dzieci skinęły z wahaniem głowami, co nijak się miało do zachwytu, jaki zwykle wywoływała taka propozycja.

Nisreen zwróciła się do Ramazana. Zniżyła głos:

– Dokąd jedziemy?

– Nie wiem.

W samochodzie zapanowała przytłaczająca cisza.

Nisreen ją przerwała:

– Dzwonił Kamal.

– Do mnie też wydzwania.

– Szukał cię.

– *Bok* – zaklął. – Rozmawiałaś z nim?

– Musiałam, Ramzanie. Myślę...

Przerwał jej szorstko:

– Co mu powiedziałaś?

– Nic. Ale spójrz na nas. Spójrz, co się dzieje. Nie wydaje mi się, byśmy mieli wybór. Uważam, że potrzebujemy jego pomocy.

- Żeby mógł nas wydać i zostać jeszcze większym bohaterem?
- To nadal twój brat – odparła. – I nie widzę innego wyjścia.
- Mój brat nie byłby teraz jednym z nich – odparował z goryczą Ramazan.
- To co zrobimy?

Ramazan nie zdążył odpowiedzieć.

Policyjna syrena, która rozdarła powietrze, zrobiła to za niego.

KAMAL PRZEZ CAŁY czas kątem oka spoglądał na wyświetlacz swojego telefonu, przedzierając się przez korki, lawirując pomiędzy wolno jadącymi autami, to przyspieszając, to zwalniając, ale przez cały czas goniąc ruchomą czerwoną kropkę na interaktywnej mapie miasta.

Nie pracował w drogówce, a przez to nie miał dostępu do radia i nie mógł monitorować postępów innych jednostek śledzących jego brata. Nie miał też syreny ani migających kogutów, które pomogłyby mu się przedrzeć przez morze samochodów na przedzie. Musiał wystarczyć klakson, lecz jego skuteczność była ograniczona – osmańscy kierowcy korzystali z klaksonów tak często, że byli na nie zupełnie uodpornieni.

Zastanawiał się, dokąd zmierzają. Byli jakieś trzy przecznice od drogi prowadzącej za miasto. Niezależnie od tego, dokąd się wybierali, Kamal miał pewność, że tam nie dotrą. Śledzący ich ludzie bez wątpienia zatrzymają auto Ramazana, nie pozwalając mu się za bardzo oddalić.

Kamal musiał być na miejscu, gdy do tego dojdzie.

Samochód przed nim zwolnił, dojeżdżając do skrzyżowania, na którym się zapaliło czerwone światło. Kamal wcisnął klakson, ominął go i pomknął przed siebie, ledwo unikając zderzenia z zatłoczonym autobusem – w tym samym momencie usłyszał w oddali zbliżającą się z lewej strony syrenę policyjnego wozu, który prawie równo z nim musiał pokonywać sąsiednie skrzyżowanie. To mu podsunęło pewien pomysł. Parł naprzód, wypatrując najbliższego zjazdu w lewo, a gdy tylko go dostrzegł, skręcił. Pognał wąską uliczką, aż dotarł do alei równoległej do tej, którą jechał. Przed sobą ujrzał białe migające światła swojego celu. Nie tylko syrena brzmiała inaczej niż ta używana przez policję, lecz także inaczej wyglądały migające czerwone i niebieskie lampy.

Był to samochód Hafiye, wielki matowoczarny SUV marki Kartal. Zapewne to on ścigał Ramazana i Nisreen.

Ta myśl zapłonęła jaśniejszym ogniem w głowie Kamala i popędził naprzód jeszcze agresywniej, niemal siłą torując sobie drogę wśród samochodów, aż znalazł się za pojazdem Hafiye.

A wtedy wcisnął na swoim telefonie przycisk ponownego wybierania ostatniego numeru i cofnął się o jedną pozycję, żeby się połączyć.

– JAK NAS ZNALEŻLI? – wyrzucił z siebie Ramazan ogarnięty paniką.

Do Nisreen dotarło to w jednej chwili.

– Telefony. Przeklęte telefony. Musieli je śledzić.

Ramazan wcisnął gaz do oporu i gnał dalej.

– Ramazan, co ty wyprawiasz? – krzyknęła Nisreen. – Zatrzymaj auto.

Ramazan nie odpowiadał. Całą uwagę skupił na tym, by nie dać się dogonić radiowozowi Zaptiye, jadącemu w odległości dwóch samochodów za nimi.

– Ramazan! – krzyczała Nisreen.

– Daj mi pomyśleć – odparował ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie przed sobą. Twarz i czoło miał pokryte kropelkami potu.

– Anne – odezwał się z tyłu Tarek potulnym, błagalnym głosem.

– Ramazan, proszę – nalegała Nisreen, sięgając za siebie, by chwycić wyciągnięte ręce obojga dzieci i je pocieszyć.

I w tym momencie zadzwonił jej telefon. Wyświetlił się Kamal. Stuknęła w wyświetlacz, żeby odebrać.

– Kamal...

– Gdzie jesteście?

Rozejrzała się dokoła w popłochu.

– Nie wiem, ale gonią nas. Jedźcie za nami samochód policji.

KAMAL USŁYSZAŁ ZAWODZĄCĄ gdzieś w tle syrenę.

Był to policyjny radiowóz, a nie pojazd Hafiyę. Może tak było lepiej, choć nie wydawało mu się, by robiło to wielką różnicę. Na pewno już nadciągały wozy Hafiyę, które miały ich dopaść prędzej od niego.

– Już do was dojeżdżam, ale musicie się zatrzymać, zanim komuś się coś stanie.

– On cię nie posłucha.

– Powiedz mu, że każę mu się zatrzymać. Powiedz mu to – upierał się Kamal.

– Ramazan, proszę cię... Kamal mówi, że powinniśmy stanąć. On już tu jedzie – dotarł do niego jej głos.

Usłyszał, jak Ramazan chrypi:

– A może nam zagwarantować bezpieczeństwo?

– Co? – zdziwił się Kamal.

– Zapytaj go, czy może zagwarantować, że będziemy bezpieczni – powtórzył Ramazan. W jego głosie wyraźnie brzmiała zrodzona z instynktu desperacja.

– O czym on mówi? – dopytywał się Kamal, wciskając gaz, żeby wskoczyć w wolne miejsce, które zobaczył przed sobą. – Nisreen. O czym on mówi? Oczywiście, że mogę

wam zapewnić bezpieczeństwo, ale co się dzieje?

Zamiast odpowiedzi usłyszał po chwili syrenę Hafiyę i krzyk Nisreen.

– Nie! – A po nim ogłuszający, metaliczny zgrzyt, następnie jeszcze jeden, a potem głuchy łomot, jakby telefon zaczął się obijać po samochodzie. Usłyszał krzyk dzieci i przenikliwy, przerażony wrzask Nisreen.

– Ramazan!

I jego odpowiedź:

– Trzymaj się! – Była równie głośna i wypowiedziana z podobnym przerażeniem. A potem przeszywający pisk gumy wpijającej się w asfalt, po którym rozległ się huk i zapadła cisza.

– Nisreen? Nisreen! – wrzasnął do telefonu.

Nie było odpowiedzi.

Po chwili usłyszał gorączkowe, przytłumione dźwięki – odgłos otwieranych drzwi samochodu, szamotaninę, powtarzane głośno „nie” i błagania, żeby ich zostawić w spokoju. Wszystko działo się bardzo szybko i z brutalną intensywnością. A później zapadła cisza.

– *Bok* – warknął Kamal, wściekle waląc dłonią w kierownicę.

Rzucił okiem na wyświetlacz, przełączając się z powrotem na mapę. Czerwona kropka się nie poruszała. Stali jakieś sześć, siedem przecznic od niego. Nie tak daleko – tylko że samochodów przed nim robiło się coraz więcej i coraz bardziej zwalniały, być może z powodu tego, co stało się z Nisreen i Ramazanem.

Krew w uszach Kamala głośno tętniła. Każdy neuron jego ciała koncentrował się na tym, jak ruszyć naprzód, a on sam rozpaczliwie pragnął się dostać do swoich bliskich, rozpaczliwie pragnął się przekonać, że nic im nie jest, że nie wydarzyła się tragedia. Ale droga wyraźnie się blokowała, układanka z pojazdów gęstniała i zapełniała każdy wolny centymetr jezdni, ruch stopniowo wygaszał, aż ustał zupełnie i ulica zmieniła się w zastygłe morze samochodów osobowych, ciężarówek, furgonetek i autobusów.

Kamal nie mógł czekać, nie mógł siedzieć beczynnym, nie mógł ograniczać się jedynie do trąbienia i krzyczenia przez okno. Zaklął głośno, otworzył drzwi auta i ruszył przed siebie, lawirując między pojazdami. Nogi niosły go tak szybko jak mogły, płuca zasysały i spalały każdą cząsteczkę tlenu, jaką zdołały pochwycić, umysł starał się opędzać od przerażających obrazów, które stawały mu przed oczami. Już po chwili ujrzał przed sobą karnawałowy pokaz wirujących świateł: czerwień, błękit i biel błyskały w nierównym tempie, oświetlając pobliskie budynki. Poruszał się najszybciej jak potrafił, dopóki nie dotarł do epicentrum chaosu, którym był rodzinny samochód Ramazana. Wydawał się zepchnięty i zmuszony do zatrzymania, wciśnięty pomiędzy nieoznakowanego sedana po lewej stronie i policyjny radiowóz po prawej. Kamal dostrzegł wielkie wgniecenie w błotniku od strony kierowcy, a oboje drzwi miało paskudne otarcia. Wóz, który go zepchnął, był poważne

uszkodzony po prawej stronie zderzaka i na boku. Drugi bok auta Ramazana i policyjny wóz z tamtej strony były zapewne podobnie poobijane, ale Kamal z miejsca, gdzie stał, nie widział, z jaką siłą się ze sobą zderzyły.

Widział natomiast, że w pobliżu nie ma nikogo z jego rodziny: ani Ramazana, ani Nisreen, ani dzieci. Na miejscu zdarzenia stała grupka policjantów; dwóch kierowało ruchem, przepuszczając auta wąskim przesmykiem po lewej stronie szerokiego bulwaru, z dala od rozbitych samochodów. Było tam też dwóch agentów Hafiye, dobiegało do nich dwóch kolejnych z wozu, za którym jechał Kamal – oni również postanowili dotrzeć tu na piechotę i właśnie go doganiali.

Kamal skierował się w stronę dwóch pierwszych. Gdy do nich dotarł, wyjął legitymację.

– Ludzie z tego samochodu – rzucił, wskazując auto Ramazana. – Rodzina, która nim jechała. Gdzie oni są?

– Zostali zatrzymani – odpowiedział jeden z zapytanych, spokojny i dumny. – Mamy ich.

– Kto ich ma? Gdzie są? – chrypiał Kamal.

Jego furia zbiła agenta z tropu. Posłał Kamalowi skonsternowane, powątpiewające spojrzenie, po czym rzekł:

– Właśnie ich zabrali. Uspokój się, co? Mamy ich.

– Nic im się nie stało? Nikt nie jest ranny?

– Wszystko z nimi w porządku, bracie. Wszystko w porządku.

Kamal wpatrywał się w niego ze złością, wciąż analizując to, co usłyszał. Wreszcie skinął głową i odszedł, głęboko zamyślony, odruchowo kierując się w stronę rozbitego samochodu.

Zajrzał przez okno kierowcy. Nie było tam co oglądać – zwykle wewnątrz względnie zadbanego rodzinnego auta, które z pewnością było świadkiem wielu radosnych wydarzeń, a teraz stało poobijane i sponiewierane. Zerknął na tylne siedzenia, na odpięte foteliki, a potem na przedni fotel pasażera, gdzie musiała siedzieć Nisreen, przez cały czas mając w głowie to, co usłyszał przez telefon: strach, rozpacz, przerażenie.

Raptem coś przykuło jego uwagę. Coś małego, co ledwo wystawało spod siedzenia Nisreen. Obszedł auto i otworzył drzwi pasażera. Nie były tak zniszczone, jak te po stronie kierowcy i otworzyły się bez oporu. Kamal się schylił, sięgnął do środka i wyciągnął to, co dostrzegł. Był to telefon komórkowy. Telefon Nisreen. Rozpoznał etui z brązowej skóry, w którym go trzymała. Odtwarzając w myślach przebieg rozmowy, zdał sobie sprawę, że komórka musiała wypaść jej z ręki, gdy służby wjechały w ich samochód.

Rozejrzał się i sprawdził, czy nikt nie patrzy, po czym wsunął telefon do kieszeni, wywiczonymi palcami szybko wyciągając baterię, i odszedł, skupiony tylko na

jednym.

Na tym, jak ich odnaleźć.

MAŁY POKOIK BYŁ szarym ucieleśnieniem koszmaru: ściany, drzwi, podłogę i sufit wykończono lśniącą winylową powłoką w tym samym surowym, okrutnym odcieniu, wybraną zapewne nie tylko ze względu na ponure wrażenie, jakie robiła, ale i na łatwość, z jaką dawały się z niej usuwać kompromitujące plamy. Nawet meble były szare, tyle że matowe, nie z połyskiem – w pokoju stał wielki metalowy stół przytwierdzony do podłogi, z biegnącym pośrodku mocno porysowanym prętem do przypinania kajdanek, i cztery metalowe krzesła. Jeśli nie liczyć drzwi, ściany były puste, a jedną prawie w całości stanowiło szerokie lustrzane przepierzenie.

Nisreen i Ramazan zostali posadzeni przy stole. Nie odzywali się ani słowem. Siedzieli tylko, oboje tak samo wystraszeni, oboje w takim samym szoku wywołanym tym, co się stało. Przede wszystkim jednak oboje tak samo martwili się, gdzie są dzieci, bo razem z nimi w pokoju ich nie było. Zostali tu przyprowadzeni prawie przed godziną, sami, a ich uporczywe, desperackie pytania o dzieci pozostawały bez odpowiedzi. W końcu pozostawiono ich w tym szarym bunkrze, by poczuli skruchę.

Teraz już mieli towarzystwo. Po drugiej stronie stołu siedział mężczyzna. Był wysoki, szczupły i miał głęboko osadzone, żywe oczy oraz sterczącą brodę, która już sama w sobie wydawała się groźna. Przedstawił się jako Heuseyin Celaleddin Pasza, *başhafiye*, mimo że taka prezentacja wcale nie była potrzebna. To, że zjawił się osobiście, nie stanowiło dla Nisreen i Ramazana żadnej pociechy. Wręcz przeciwnie.

Przy drzwiach stał inny mężczyzna. Był przysadzisty, okrągły i szczyił się kruczoczną, wyraźnie widoczną bródką w kształcie trapezu. Nie był ubrany w mundur strażnika, mimo to biła od niego aura dostojeństwa związanego z zajmowanym wysokim stanowiskiem, choć nie była tak wyraźna jak w przypadku *başhafiye*.

– Gdzie są nasze dzieci? – zapytała po raz kolejny Nisreen.

Jej pierwsza próba została zignorowana; zamiast odpowiedzieć, *başhafiye* się przedstawił.

– Nic im nie jest – odpowiedział teraz Celaleddin. – I mogę panią zapewnić, że są pod dobrą opieką.

– Pod opieką? – odwarknęła gniewnie Nisreen. – Na litość boską, to tylko dzieci. Na pewno są kompletnie przerażone. Musicie nam pozwolić je zobaczyć.

– Czemu nie? Popatrzmy, dobrze?

Odwrócił się do mężczyzny przy drzwiach i skinął do niego głową. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni małego pilota i wcisnął guzik.

Wielkie lustro zmieniło się w szklaną przegrodę, a za nią ukazał się pokój podobny do tego, w którym przebywali Nisreen i Ramazan.

Odsłonięte pomieszczenie też było paskudnie szare i podobnie umeblowane. Tarek i Noor siedzieli przy stole, mając przed sobą pucharki z lodami i talerz miodowo-pistacjowych przysmaków. Dzieci wydawały się spokojne, piły przez białe plastikowe słomki, każde ze swego kubka, a ich uwagę pochłaniało to, w co grały albo co oglądały na ekranach trzymanyh przez siebie tabletów.

Za ich plecami stała jakaś kobieta. Miała na sobie cywilne ubranie i przyglądała im się w milczeniu z założonymi na piersi rękami. Starła się zachować neutralny wyraz twarzy, ale Nisreen dostrzegła wrzącą w jej oczach złość albo wrogość.

Nisreen nie zdołała się powstrzymać. Zerwała się z krzesła i rzuciła w stronę szklanej przegrody, po czym zaczęła w nią walić dłońmi, nie będąc w stanie pohamować łez.

– Tarek! Noor! – krzyczała, ale za szybą nie było widać żadnej reakcji.

Znieruchomiła z dłońmi przyciśniętymi do szkła, z rozstawionymi szeroko palcami, rozpaczliwie próbując być jak najbliżej dzieci.

– Tarek... Noor... – jęczała. – Moje maleństwa.

Żadnej reakcji.

Najwyraźniej nie widzieli jej ani nie słyszeli.

– To lustro fenickie, całkowicie dźwiękoszczelne – poinformował ich Celaleddin. – Ale jak widzicie, nic im nie jest. I nie stanie im się żadna krzywda, jeśli wyczerpująco i zgodnie z prawdą odpowiecie na moje pytania.

– Jakie pytania? – odezwał się Ramazan drżącym głosem. – Dlaczego tu trafiliśmy?

– Wiecie, dlaczego tu trafiliście. Chcę poznać całą tę historię, calusieńką. Każdy jej szczegół, każde słowo. Zaczynjcie od początku i niczego nie pomijajcie. Bardzo was proszę, abyście się postarali i bezwzględnie o wszystkim mi powiedzieli. Bo jeśli wyczuję, że coś zatajacie, będę musiał polecić mojej pracownicy, by zaczęła się zachowywać mniej przyjemnie.

Wpatrywał się w nich przez chwilę, chcąc się upewnić, że jego słowa mocno zapuściły korzenie w ich świadomości. Następnie odwrócił się do mężczyzny przy drzwiach i znowu dał mu jakiś znak.

Mężczyzna podniósł do ust małą krótkofalówkę i wymamrotał do niej coś niezrozumiale.

Nisreen wciąż była przy szklanej ścianie i Ramazan popatrzył w tamtą stronę. Oboje ogarnął paraliżujący strach.

Stojąca za dziećmi kobieta sięgnęła za plecy i wyciągnęła wielki nóż. Miał gładkie, szerokie ostrze, które połyskiwało, łapiąc promienie światła, kiedy strażniczka go

lekką uniosła, niewidziana przez dzieci, wciąż pochłonięta tym, co działo się na tabletach. Nieusatysfakcjonowana obezwładniającym efektem, jaki już uzyskała, prowokująco przesunęła wzdłuż krawędzi dwoma palcami.

Pokój wypełniła grobowa cisza.

– Jest bardzo zręczna – powiedział Celaleddin. – Jej wyjątkowy talent polega na tym, że wie, jak sprawić, by wszystko trwało tak długo, jak to konieczne.

Nisreen skuliła ramiona, po czym odwróciła się twarzą do przesłuchującego. Zaczęła w niej wzbierać nienawiść, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyła.

– Jest pan potworem – stwierdziła lodowatym, drżącym głosem.

– Być może. – Celaleddin z mrozącą krew w żyłach nonszalancją wzruszył ramionami. – Ale muszę robić wszystko, co konieczne, by bronić imperium, i zmuszony jestem dołożyć wszelkich starań, żebyście w to uwierzyli. Mam jednak nadzieję, że do niczego takiego nie dojdzie. Muszę się tylko dowiedzieć, co zaszło na tym szpitalnym oddziale. A im szybciej mi to powiecie, tym szybciej wszyscy będziemy mogli opuścić to okropne miejsce.

Oparł się na krzesło i wyciągnął przed siebie ręce.

– Kto zacznie?

W CYTADELI, W JEJ NADZIEMNEJ części, Kamal też się czuł na swój sposób niczym zwierzę w klatce.

Rozmowa z funkcjonariuszem pełniącym służbę w dyżurce niczego nie dała: nie istniał żaden zapis dotyczący aresztowania Ramazana i Nisreen. W dyspozytorni sierżant dyżurny twierdził, że nie ma żadnych meldunków od ekipy, która została za nimi posłana. Kamal zszedł następnie do strefy mieszczącej cele i pokoje przesłuchań i zapytał tamtejszego dyżurnego, czy coś wie. I znowu niczego się nie dowiedział. Nie widząc już innego wyjścia, postanowił zwrócić się z tą sprawą do szefa Wydziału Z, ale powiedziano mu, że Fehmi Kuzey skończył pracę i poszedł do domu. Kamal zostawił wiadomość, że pilnie musi z nim porozmawiać. Po głębokim zastanowieniu zdecydował się na wielki krok – na pójście do samego *başhafiye*, ale kategorycznie oznajmiono mu, że szefa Hafiye także nie ma już w Cytadeli.

Miał odcięty dostęp do informacji – tego był pewien. Celaleddin wyraźnie ostrzegł go przed Nisreen, ale w grę najwidoczniej wchodziło coś jeszcze. Coś większego, coś, w co zamieszany był też Ramazan. Coś na tyle wielkiego, że konieczne stało się zablokowanie mu dostępu do informacji, co jak wiedział Kamal, oznaczało, iż jego brat i bratowa znajdują się w poważnych tarapatach.

Stojąc przed wejściem do twierdzy, tonącej teraz w półmroku nadchodzącej nocy, czuł się zniewolony w równej mierze przez wściekłość, frustrację i niepokój, ale nie mógł się poddać. Musiał znaleźć lukę w systemie, sposób, by ich odszukać.

Łamał sobie głowę nad tym, gdy zadzwonił jego telefon. Pojawiła się iskierka

nadziei, która zgasła, gdy zobaczył, że to tylko Taymoor.

– Gdzie jesteś? – spytał go partner. – Co się dzieje?

Kamal się zawahał.

– Jestem... muszę się czymś zająć.

– Czym?

– Mam problem. To sprawa rodzinna.

Taymoor milczał przez kilka sekund.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

Kamal znowu się zawahał. Gdyby miał poprosić Taymoora o pomoc, to teraz był dogodny moment, żeby to zrobić. Z drugiej strony dopóki nie wiedział, co się dzieje, pomyślał, że może będzie bezpieczniej dla wszystkich, jeśli zachowa to dla siebie.

– Lepiej, żebyś się nie angażował – powiedział w końcu.

Taymoor chyba poczuł się urażony.

– Jestem twoim partnerem, bracie. Stanowimy drużynę.

– Wiem. I doceniam twoje chęci. Słuchaj, to może być jakiś drobiazg – skłamał.

– Nie brzmisz, jakby chodziło o drobiazg.

Kamal wzruszył ramionami – i w tym momencie z otaczającego go mroku wyłonił się pomysł.

– Żałuję, że nie mogę się z tobą nie zgodzić. Muszę kończyć.

Rozłączył się, zanim Taymoor zdążył odpowiedzieć.

Wrócił do dyspozytorni. Na jego widok sierżant dyżurny zmarszczył brwi, najwyraźniej nie mając ochoty na jego ponowne uporczywe dociekania. Kamal odczytał tę reakcję i postarał się mówić mniej wojowniczym tonem.

– Byłem wcześniej w szpitalu Sułtanki Hurrem, zaraz po strzelaninie. Rozmawiałem z dwoma agentami, którzy byli na miejscu, kiedy to się stało, i muszę jeszcze ich o coś dopytać, ale w całym tym zamieszaniu nie zapisałem nazwisk. Mógłby pan sprawdzić, kto to był?

Sierżant dyżurny popatrzył na niego z rezerwą, lecz w końcu uległ i wcisnął kilka klawiszy.

– Straszne jest to, co się stało.

– Okropny, naprawdę okropny dzień – przytaknął Kamal, siląc się na empatię.

– Mam tu Marwana Jamala i Omara Salamouna – odrzekł sierżant.

– Wie pan, gdzie ich mogę znaleźć? Pewnie czeka ich koszmarne przesłuchanie.

– Dzisiaj ich nie widziałem.

To zaskoczyło Kamala. Udał zupełnie inny rodzaj frustracji niż ten, który naprawdę odczuwał – czysto zawodowy.

– Cholera. Naprawdę muszę z nimi pogadać.

- Mogę im wysłać powiadomienie, żeby się z panem skontaktowali.
- Świetnie. Da mi pan znać, kiedy odpowiedzą?
- Jasne, ale biorąc pod uwagę, jaki dzień mają za sobą, nie liczyłbym, że zaraz się odezwą – odrzekł, wzruszając ramionami, co raczej nie dawało Kamalowi nadziei.

Sam też wzruszył ramionami i skierował się do wyjścia.

Nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Wszystkie źródła informacji zdawały się zablokowane. Choć dobijało go to, że nie może nic zrobić, nie było sensu tkwić w Cytadeli. Mógł jedynie czekać na telefon od Kuzeya albo jednego z agentów ze szpitala – ale jakoś szczególnie na to nie liczył. Spróbuje poszukać innego sposobu odnalezienia brata i Nisreen, a jeśli wszystko zawiedzie, z rana pójdzie do gabinetu Celaleddina i zażąda spotkania z Ramazanem.

Włożył rękę do kieszeni po kluczyki do motoru, ale jego dłoń napotkała coś innego: telefon Nisreen. Wyciągnął go i obejrzał, zastanawiając się, czy go włączyć, przez co uaktywniłby funkcję śledzenia. Pomyślał o ryzyku, jakie się z tym wiązało. Wciąż znajdował się w pobliżu Cytadeli. Jeśli agenci wiedzieli, że nie mają u siebie aparatu, jeśli wciąż go szukali, to siedziba Hafiye była równie dobrym miejscem do tego, żeby go uruchomić, jak każde inne. Mogli dojść do wniosku, że telefon tkwi niewinnie w którymś z wozów agencji albo leży upchnięty w jakimś pudle na dowody rzeczowe gdzieś w wydziale i czeka, aż zgłoszą się po niego pracujący nad sprawą agenci. Uruchomienie komórki wcale nie musiało mu jednak w jakiś znaczący sposób pomóc w odkryciu, co się stało z jego rodziną. Poza tym była ona zapewne chroniona hasłem, którego raczej nie miał szansy odgadnąć.

Postanowił mimo wszystko spróbować. Włożył baterię i włączył telefon. Wyświetlacz wykonał typowe czynności, aż wreszcie zajaśniał zdjęciem Tareka i Noor, uśmiechających się psotnie do obiektywu. Zatrzymał się na dłuższą chwilę, patrząc w ich twarzyczki i myśląc o wszystkich tych miłych chwilach, które z pewnością mu umknęły, odkąd on i rodzina jego brata się od siebie oddalili, o wszystkich tych chwilach, których już nie odzyska. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś będzie tak jak dawniej. W tej chwili najzupełniej by mu wystarczyło, gdyby tylko wiedział, że wszyscy są cali i bezpieczni.

Zastanawiał się, jakie liczby wprowadzić, i poczuł wstyd, że tak bardzo musi się wysilać, by odtworzyć daty urodzin dzieci. W końcu je sobie przypomniał i podjął kilka prób, wykorzystując różne kombinacje cyfr z owych dat, które – jak wiedział – nie mogły zadziałać. I oczywiście nie zadziałały. Nisreen była zbyt inteligentna, by użyć hasła, które można by było tak łatwo złamać. Postanowił na razie zrezygnować, wyjął baterię i schował telefon z powrotem do kieszeni.

Ruszył w stronę motocykla, usiłując uwolnić się od obaw i utwierdzić w przekonaniu, że tej pierwszej nocy nie może się stać nic strasznego. Do ranka być może sprawa się wyjaśni, a on wstanie i dowie się, że wszystko wróciło do normy.

Ta optymistyczna myśl żyła raptem przez trzy sekundy, po których intuicja

i doświadczenie posłały ją w niebyt.

Zanosiło się na coś bardzo złego, a on w tej chwili w żaden sposób nie mógł temu zapobiec.

SIEDZĄC NA BRZEGU cienkiego materaca w pozbawionej okien celi, Nisreen walczyła ze sobą, żeby nie zasnąć.

Była kompletnie wyczerpana. Zmęczona na ciele, ale i na umyśle, który wpadł w korkociąg i mknął w dół ku totalnemu wyłączeniu. Wydarzenia minionych czterdziestu ośmiu godzin złamałyby nawet najtwardsze dusze. Była zdruzgotana tym, dokąd ich to wszystko doprowadziło. Zamknięcie w dusznej, ponurej celi bez dzieci, bez możliwości pocieszenia ich i bez wiedzy, gdzie są i kto się nimi zajmuje, było jak wolno działająca trucizna, która zabijała ją stopniowo, komórka po komórce.

Naprzeciwno niej, na drugim posłaniu w tym ciasnym pomieszczeniu, siedział Ramazan. Kulił się, trzymając głowę w dłoniach, roztrzęsiony i milczący. Powiedzieli wszystko, co mieli do powiedzenia. Teraz mogli jedynie czekać – i nie tracić nadziei.

Sparaliżowana niepokojem Nisreen przyłapała się na tym, że w kółko odtwarza w myślach wydarzenia ostatnich kilku dni, kolejny raz przeżywając każdy krok. Dręczył ją żal, że dała się zwabić w tę niezaprzeczalnie kuszącą pułapkę. Zarzucała sobie, że nie potrafiła się oprzeć pokusie. Powinna była wiedzieć, że grzebanie w tajemnicy Rasheeda to okropnie grząski grunt, i powinna była się wycofać, zanim zagadka wciągnęła ją i Ramazana i oboje zniszczyła. Nisreen bowiem nie miała złudzeń – wiedziała, do czego ich to wszystko nieuchronnie doprowadzi, do zniszczenia. Unicestwienia. Jej i Ramazanowi nigdy nie będzie wolno wyjść stąd z taką tajemnicą. Ich los był przesądzony. Podobnie – zadrżała – jak los ich dzieci.

Przez kilka upojnych, budzących nadzieję sekund myślała, czy jej katastrofalna w skutkach wyprawa do świata czarów nie mogłaby jednak przynieść pozytywnych skutków, czy nie mogłaby im umożliwić ucieczki. Tyle czasu spędziła, badając słowa zaklęcia, że zdawało jej się, iż może je już znać na pamięć, ale nie miała pewności. Zaklęcie było długie i zapisane w kompletnie obcym języku, a jej notes był teraz w rękach prześladowców. Wyobrażała sobie jednak, jak wszyscy korzystają z tajemniczych słów i cofają się do bezpieczniejszych czasów, do miejsca, gdzie nikt ich nie zna i nikt nie może im zagrozić. Pomyślała, że mimo wszystko zaryzykowałaby i użyła tego zaklęcia, gdyby tylko Tarek i Noor byli z nimi. W ich sytuacji pomysł ucieczki był nie do przyjęcia. Pewnie zresztą z tego właśnie powodu ich prześladowcy przetrzymywali ich osobno.

Wolałaby zachować te magiczne słowa w tajemnicy, potraktować zaklęcie jako

gwarancję dalszej użyteczności swojej i Ramazana, jako sposób na przetrwanie, choćby tymczasowe. Ale nie mogła. Naprawdę nie mogła. Nie wtedy, gdy jej dzieci pozostawały w rękach tych krwiożerczych bestii. Nie wtedy, gdy tkwiły zamknięte w jakimś pokoju z osobą, którą z dumą przedstawiono jako psychotyczną rzeźniczkę.

W otchłani rozpacz, w której się pogрузyła, zamigotało jeszcze jedno światełko nadziei.

Pomyślała o Kamalu.

Wyobraziła go sobie, że ich szuka, że walczy, aby do nich dotrzeć. Wbrew wszystkiemu, gdy przedwcześniej zjawił się na przystanku, na który przyjeżdżał autobus szkolny, wyczuła w nim coś, co pozwoliło jej wierzyć, że tak właśnie jest. I teraz, wycofując się pod ścianę i zwijając w kłębek, z rękoma ciasno oplatającymi kolana, żeby powstrzymać dreszcze, obsesyjnie trzymała się tej myśli.

W SAMOTNOŚCI I ZACISZU SWEGO wielkiego gabinetu Huseyin Celeleddin Pasza musiał podjąć kilka ważnych decyzji.

Wyglądał przez panoramiczne okno, zatopiony w myślach, pozwalając pięścić zmysły działającemu jak narkotyki skupisku podświetlonych wież, minaretów i kopuł, które rozciągały się przed nim i migotały w parnym nocnym powietrzu.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tak go pochłaniała jakaś sprawa. Rzecz jasna zdarzały się w ostatnim czasie kryzysowe sytuacje. Imperium przechodziło dość burzliwy okres, a on jako szef tajnej policji znajdował się w samym środku większości zawirowań. Ale zanosilo się na to, że obecny kryzys przyćmi wszystkie wcześniejsze. Jeśli to, co usłyszał w pokoju przesłuchań, było prawdą, miał do czynienia z ogromnym zagrożeniem dla istnienia imperium, z sytuacją, w której wyszeptanie kilku słów przez nieodpowiednią osobę może doprowadzić do jego wymazania z kart historii.

Sytuacja ta miała też mniej monumentalny, mniej druzgocący, choć nie mniej niebezpieczny aspekt. Wiązała się z samym funkcjonowaniem imperium. Główną religijną zasadą, jaka w nim obowiązywała, była uległość wobec woli Boga. Ufność w nią została wpisana w definicję imperium, a sułtan, jako kalif, stał na jej straży. Jeśli zaś to, co usłyszał Celeleddin, było prawdą, to chwalebne podboje imperium nie stanowiły dzieła woli Boga. Nie były częścią boskiego planu, lecz jedynie owocem machinacji jednego człowieka, podstępem przebiegłego wędrowca w czasie, intrygą szarlatana. Były oszustwem historii, i to sensacyjne odkrycie, gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, mogłoby spowodować wrzenie, którego nie dałoby się opanować.

Tak czy inaczej, ryzyko, że ktoś przeniesie się w przeszłość i cofnie wszystko, co zostało osiągnięte – albo że na jaw wyjdzie prawda o tym, jak imperium utorowało sobie drogę przez Europę – było zbyt wielkie, by dało o sobie zapomnieć. Należało pozbyć się tego zagrożenia szybko, całkowicie i nieodwracalnie.

Miał pewność, że anestezjolog i jego żona powiedzieli mu prawdę, całą prawdę.

Widział ich przerażenie w reakcji na niebezpieczeństwo grożące dzieciom, a miał z więźniami dostatecznie duże doświadczenie, by wiedzieć, że nie mogli niczego zataić. Powiedzieli mu wszystko.

I stali się zbędni.

Nie mogło być mowy o żadnym pośrednim rozwiązaniu, o czymś innym niż najwyższa kara, która musiała spotkać każdego, kto zetknął się z tą sprawą, i którą należało wymierzyć natychmiast.

Jeszcze tej nocy.

Zależało od tego dosłownie wszystko – jego cały świat.

KAMAL ZAWSZE kiepsko sypiał.

A obecny stan umysłu, ten huragan, który nim pomiatał, nie pozwolił mu tej nocy nawet zmrużyć oka. I dlatego usiadł teraz w łóżku wyprostowany jak świeca na ledwo słyszalny dźwięk wydawany przez zamek w drzwiach wejściowych do mieszkania. Ktoś przy nim majstrował.

Kompletnie nagi wstał po cichu, ale się spóźnił. Usłyszał złowieszczy odgłos wskakującego na miejsce ostatniego bolca i zbolały jęk otwieranych drzwi, nim zdążył dotrzeć do salonu. Stanowiło to problem z dwóch powodów.

Pierwszy był taki, że chętnie wykorzystałby efekt zaskoczenia. Intruzi – zakładając, że niechciany gość nie działał w pojedynkę – byli profesjonalistami. To pewne. Jego zamek był na tyle porządny, że byle komu nie dałby się tak łatwo pokonać. Zaskoczenie by się przydało.

Drugi z powodów dotyczył jego broni, która leżała w przedpokoju przy drzwiach. Teraz nie dość, że musiał pozostać w sypialni, to na domiar złego był goły, i to w dosłownym i przenośnym sensie tego słowa. Z taktycznego punktu widzenia sytuacja była daleka od ideału, ale roztkliwianie się nad tym nie miało większego sensu.

Podkraść się z powrotem do łóżka i szybko ułożyć pościel tak, by wyglądała, jakby ktoś wciąż pod nią leżał. Następnie chyłkiem przemknął do drzwi sypialni i za nimi stanął.

W zasięgu ręki nie miał niczego, co mogłoby mu posłużyć za broń. Musiał polegać na swoich gołych rękach.

Usłyszał skradające się kroki. Miał do czynienia z więcej niż jednym intruzem, tego był pewien, ale chyba było ich najwyżej dwóch. Nie padały żadne słowa. Słyszać było tylko, jak powoli, ostrożnie posuwają się w głąb mieszkania, robiąc sekundowej długości przerwy, podczas których orientowali się w tym, co ich otacza. Kamal nie widział też światła latarek tańczącego po ciemnych ścianach. Słaba poświata wpadająca przez okno prawdopodobnie wystarczała im do poruszania się po nieznanym wnętrzu. Chyba że korzystali z noktowizorów.

Zresztą nie miało to znaczenia.

Dotarli do drzwi sypialni.

Ciało Kamala napięło się, gotowe do ataku. Wstrzymał oddech, patrząc

w skupieniu przez szparę między drzwiami a ścianą. Ledwo widoczne ciemne sylwetki sunęły naprzód powoli, w absolutnym milczeniu. Widział dwóch mężczyzn. Jeden był już kilka centymetrów od niego po drugiej stronie szpary, drugi przechodził właśnie przez drzwi.

Skradał się, trzymając przed sobą pistolet z tłumikiem.

Kamal stał nieruchomy jak skała.

Musiał zaczekać, aż obaj znajdą się w sypialni, by móc skutecznie zadziałać.

Odliczał kolejne niekończące się, pełne udręki sekundy, obserwując, jak pierwszy z cieni zbliża się ostrożnie do łóżka. Przez cały czas pilnował pozycji cienia numer dwa, który w końcu zrobił krok i znalazł się po drugiej stronie drzwi, naprzeciwko Kamala.

Idealnie.

Kamal uwolnił wstrzymywaną dotąd energię i rzucił się na drzwi, uderzając w znajdujące się za nimi mężczyznę z całą siłą, na jaką go było stać. Drzwi uderzyły w intruza jak taran, zupełnie go zaskakując. Mężczyzna wydał głośny jęk, poleciał na bok i z impetem wpadł na ścianę.

Kamal wiedział, że ma zaledwie ułamek sekundy przewagi, dlatego nawet się nie obejrzał, by sprawdzić efekt swojego działania. Już atakował włamywacza znajdującego się w sypialni, którego dopadł akurat w chwili, gdy ten obracał się w jego stronę. Każda z rąk Kamala miała inne zadanie do wykonania: lewa pomknęła w stronę broni, ścisnęła intruza za nadgarstek i odepchnęła ramię w bok, zanim pistolet zdołał wystrzelić, podczas gdy prawa, już zwinięta w pięść, cięła powietrze i sunęła wprost ku twarzy mężczyzny.

Częściowo mu się powiodło. Zdołał odepchnąć rękę z bronią, ale w ciemności i podnieceniu jego cios nie trafił dokładnie tam, gdzie powinien, a pięść ześlizgnęła się po brodzie intruza. Mężczyzna skulił się i odpowiedział brutalnym kopniakiem prosto w brzuch Kamala. Kamal poczuł, jak powietrze uchodzi mu z płuc, zgiął się wpół, ale na skraju przytomności wyczuł ruch za swoimi plecami, usłyszał ciche przekleństwo, szelest tkaniny, wracające do życia nogi, szukające oparcia buty. Musiał poruszać się szybko – jeszcze sekunda albo dwie, a będzie miał na głowie ich obu.

Obrócił się w lewo i podniósł lewą rękę, zginając ją w łokciu; pchnął łokieć gwałtownie w tył, trafiając w głowę napastnika, którego miał teraz za swoimi plecami. Tym razem cios trafił tak jak trzeba, a mężczyzna zachwiał się i rozluźnił nieco dłoń z bronią. Kamal chwycił ją oburącz i skierował lufę w stronę drugiego włamywacza, który sunął wprost na niego i jeszcze parę centymetrów, a by go dopadł. Raz za razem naciskał spust. Z broni wystrzeliły cicho cztery pociski, a mężczyzna runął bezwładnie na podłogę, kuląc się jak szmaciana lalka u stóp Kamala, który tego nawet nie zauważył, bo już się obracał, tym razem w prawo, odpychając rękę z pistoletem i pakując pięść w sam środek twarzy pierwszego z intruzów. Grzbietem

dłoni zmiądzzył mu nos. Chrząstka, kość i tkanka miękka eksplodowały krwawą papką, a mężczyzna stracił władzę w nogach i padł na podłogę.

Kamal wyszarpnął mu z ręki pistolet, po czym chwycił mężczyznę za szyję i rzucił na ścianę obok łóżka. Nie spuszczając go z oka, wyciągnął rękę i włączył nocną lampkę.

Facet miał zapuchnięte oczy i obiema dłońmi otulał nos. Krew lała mu się przez palce i plamiła ubranie.

Kamal sprawdził stan drugiego intruza. Ten najwyraźniej nie miał już stanowić zagrożenia – dla nikogo, nigdy. Kamal obrócił się z powrotem do swojego jeńca, złapał go za włosy i odchylił w tył głowę, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Nie znał gościa.

– Kim, do cholery, jesteście i co tutaj robicie?

Na pytanie Kamala mężczyzna odpowiedział tylko oszołomionym spojrzeniem. Po chwili oszołomienie znikło, a oczy zaczęły ciskać pioruny. Kamal odparł je, mocno uderzając pistoletem w lewą skroń mężczyzny, tak że jego głowa poleciała na bok i dał się słyszeć jęk bólu.

– Odpowiadaj na pytania – naciskał Kamal. – Kto was przysłał?

Mężczyzna wypluł trochę krwi, prostując się, ale milczał i tylko jego skrzywiona z pogardą twarz zdawała się rozpalać powietrze pomiędzy nimi.

Kamal wyciągnął lewą rękę i mocno zacisnął palce na szyi intruza, unieruchamiając go i podduszając. Następnie skierował pistolet w dół i przytrzymał pionowo z tłumikiem przyciśniętym do lewego kolana mężczyzny.

– Kolejny raz nie zapytam. A ty już nigdy nie będziesz normalnie chodził. Twój wybór.

Brak odpowiedzi.

Kamal nacisnął spust.

Mężczyzna wrzasnął i zadrzał, gdy wewnątrz jego kolana eksplodowało, a w ciele wybuchł wulkan bólu, który jak lawa rozlał się po wszystkich członkach.

Kamal mocno ścisnął włamywacza, podtrzymując mu głowę i zmuszając do utrzymania kontaktu wzrokowego. Mężczyzna wił się z bólu, gwałtownie kręcąc głową na prawo i lewo.

Kamal podniósł znowu pistolet, tak że znalazł się na wysokości ust intruza.

– Nie zamierzam cię zabić. Ale sprawię, że już nigdy nie będziesz w stanie nawet odlać się bez czyjejś pomocy. Więc pytam raz jeszcze. Kim jesteście? Kto was przysłał?

Mężczyzna był ledwo przytomny. Dygotał gwałtownie, a po twarzy spływały mu strużki potu i mieszały się z krwawą papką i śliną wokół ust.

Kamal z rozmysłem odsunął pistolet od twarzy swego przeciwnika i skierował w drugie kolano. Wtedy mężczyzna zmiękł.

– Nie – wymamrotał. – Nie.

Kamal zatrzymał rękę, przyjrzał mu się uważnie, po czym umiejscowił broń tak, że lufa opierała się o brzuch intruza.

– Mów.

Mężczyzna znowu splunął krwią.

– Jestem z Wydziału Z. – Mówiąc to, wbijał w Kamala chmurne, harde spojrzenie przymrużonych oczu.

Słowa te były dla Kamala jak włócznia, która przeszła mu wewnątrz.

– Dlaczego was przysłali? Dlaczego chcą mojej śmierci?

– Nie mieliśmy cię zabić. Dostaliśmy rozkaz, żeby cię stąd zabrać.

Kamal nic z tego nie rozumiał.

– Dlaczego?

Mężczyzna odchrząknął. Chyba sprawiło mu to ból.

– Nie wiem.

– Niech zgadnę. Uważają, że ja też należę do Białej Róży?

Mężczyzna, pomimo udręczenia, prychnął z drwiną. Kamal zdołał to zauważyć, ale nie zdołał zrozumieć.

– No co? – warknął.

Mężczyzna nie odpowiedział, ale cień szyderstwa wyraźnie błąkał się po jego twarzy.

Kamal starł go uderzeniem z otwartej dłoni.

– Co?

Mężczyzna przełknął z trudem, po czym jakby czerpiąc siłę z frustracji Kamala, popatrzył na niego z wyraźną pogardą.

– O niczym nie masz pojęcia, co?

Kamal mocniej wbił lufę w brzuch mężczyzny, tak że ten się skrzywił.

– Zaraz się dowiem.

Pogarda zmieniła się w pełen samozadowolenia cyniczny uśmiech. Wydawało się, że z tego, co ukrywa, czerpie resztki desperackiego poczucia przewagi.

– Nie ma żadnej Białej Róży, ty durniu.

Kamala zatkało.

– Co takiego?

Mężczyzna przyglądał mu się z widoczną satysfakcją.

– Zmyśliliśmy to. Wszystko. A wy... wy wszyscy tak po prostu to lyknieście. – Prychnął znowu, a po dolnej wardze spłynęła mu strużka krwi.

Kamal poczuł, jak mu się ściska żołądek, podczas gdy mózg gorączkowo przetwarzał znaczenie tej informacji. Na powierzchnię świadomości zaczęły nagle wypływać postacie i nazwiska, przed którymi w żaden sposób nie mógł uciec:

profesor prawa Azmi i dramatopisarz Sinasi. No i oczywiście Nisreen.

„Musisz się ocknać, Kamal”.

Dopadł go nagły niepokój o nią.

– Mój brat Ramazan Hekim. Jego żona, Nisreen. Macie ich, czy tak?

Mężczyzna nie odpowiadał. Patrzył tak, jakby podobała mu się taka zmiana w układzie sił.

Kamal przycisnął pistolet do jego całego jeszcze kolana.

– Nie powtórzę pytania.

Układ sił powrócił do poprzedniego stanu.

– Nie wiem – odparł niechętnie. – Nic o nich nie wiem.

Kamal myślał szybko.

– Dokąd mieliście mnie zabrać? Z powrotem do Cytadeli?

Mężczyzna pokręcił głową.

– No to dokąd?

Mężczyzna milczał. Kamal mocniej przycisnął broń.

– Dokąd?

– Za miasto. Do pewnego miejsca w lesie Chevreuse. Do zamku Madeleine.

Kamal nigdy o nim nie słyszał.

– Co tam jest?

Mężczyzna zamknął się w sobie.

– Co tam jest?

– Nic... To tylko jakieś stare ruiny. Pośrodku lasu.

– To dlaczego akurat tam?

Mężczyzna się zawahał, ale odpowiedział.

– To tam zabieramy czasem ludzi.

„Zabierają ludzi?”

Kamal poczuł, jak włócznia wbija się głębiej w jego ciało.

– A więc jaki był plan? Tam mnie zabić?

– Nie. Dostaliśmy rozkaz, żeby cię tam tylko doprowadzić. Nic więcej. Przysięgam.

– Czyli ktoś miał tam na was czekać?

Mężczyzna skinął głową.

– Kto?

– Nie wiem.

Kamal wierzył mężczyźnie. Za bardzo był sponiewierany, żeby kłamać. Co oznaczało, że mógł nawet odpowiedzieć na następne pytanie, nie chcąc ryzykować utraty drugiej nogi.

– Czyj to był rozkaz? – Musiał o to zapytać, mimo że wiedział, co usłyszy.

W oczach mężczyzny zapłonął strach na zupełnie innym poziomie.

Kamal z miną zwiastującą nieuchronność tego, co zamierzał, przesunął broń do krocza mężczyzny.

Nie musiał nawet powtarzać pytania.

– Kuzey Paszy. – Wypowiadając to nazwisko, włamywacz się skrzywił.

Kamal poczuł, jak resztki krwi odpływają mu z twarzy.

No i dostał to, czego chciał. Potwierdzenie. Fehmi Kuzey. Prawa ręka Celaeddina, szef Wydziału Z.

„Dlaczego?”

Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

– Gdzie jest to miejsce?

– Na zachód od miasta. Za Wersalem. Mogę ci pokazać. Mam to w telefonie.

Kamal mocniej przycisnął lufę do krocza mężczyzny, gdy ten zaczął grzebać w kieszeniach.

– Niczego nie kombinuj.

Wyciągnął telefon.

Drżącymi mocno palcami zdołał otworzyć mapę ukazującą las na obrzeżach Paryża, na zachód i nieco na południe od Wersalu. Niedaleko jego wschodniej granicy tkwiła czerwona pinezka.

– Okej.

Kamal zabrał telefon. Następnie podniósł pistolet i uderzył nim mocno w głowę intruza. Mężczyzna upadł z hukiem na podłogę i znieruchomiał.

Kamal działał szybko. Związał swojego więźnia, wyjął mu z kieszeni kluczyki do samochodu, po czym zabrał oba pistolety i obie odznaki. Ubrał się.

Zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Pokonywał podest piętro niżej, gdy kątem oka dostrzegł, że drzwi mieszkania w tym samym pionie co jego mieszkanie są uchylone, a zza ciemnej sylwetki wyglądającej ukradkiem przez szparę sączy się światło. Kamal wiedział, kim był patrzący – jego sąsiadem, właścicielem popularnej restauracji. Zatrzymał się i podszedł.

Restaurator otworzył drzwi nieco szerzej. Wyglądał na wystraszonego.

– Słyszałem hałas – powiedział do Kamala z drzeniem w głosie. – Zamierzałem zadzwonić na...

– Wszystko jest pod kontrolą – zapewnił go spokojnie Kamal. – Nie ma się czym przejmować. Proszę wracać do łóżka.

– Jest pan pewien?

– Najzupełniej. Proszę iść spać. Przykro mi, że hałas pana obudził. Panujemy nad

sytuacją – powiedział, dając do zrozumienia, że nie jest sam, i machnął uspokajająco ręką.

Czas naglił. Tracił cenne sekundy.

Sąsiad z wahaniem pokiwał głową, po czym wycofał się do mieszkania.

Kamal nie czekał, aż zamknie drzwi.

Już po chwili mknął ciemnymi, pustymi ulicami nieoznakowanym sedanem włamywaczy, kierując się ku czerwonej pinezce na mapie. Czuł łomot serca, gdy próbował zgadnąć, kogo tam zastanie i czy zdoła dotrzeć na miejsce, zanim będzie za późno.

Do ŚWITU WCIĄŻ jeszcze było daleko, gdy zamajaczył przed nim średniowieczny zamek, przyczajona krępa budowla, zajmująca niewielkie wzgórze i panująca nad morzem czerni. Byłby niewidoczny, gdyby nie wielki, bliski pełni księżyc, który sprawiał, że jego sylwetka rysowała się na tle jasnego nieba i migotała eterycznie, zadając kłam ponurej rzeczywistości i temu, do czego – jak już wiedział Kamal – był wykorzystywany.

Wjeżdżając do lasu, przygasił światła. Gładki asfalt głównej drogi ustąpił miejsca nierównej, nieutwardzonej nawierzchni traktu wijącego się przez gęsty olchowo-dębowy las. Prymitywna, niezamieszкана okolica pewnie nie zmieniła się zbyt od czasów, gdy prowadził tędy główny szlak pielgrzymi i handlowy pomiędzy Paryżem a Chartres. Po kilku fersahach znowu ukazały się ruiny zamku: dwie przysadziste, okrągłe wieże, w tym jedna zakończona wieżyczką, jeden wyższy donżon na planie prostokąta z resztkami jednospadowego dachu, i mur obronny zwieńczony blankami, którego wielkie fragmenty już dawno się rozpadły i wyglądały jak szczyby w uzębieniu. Po wiekach nieużywania był jedynie bladym cieniem siebie z chwalebnej przeszłości, kiedy stanowił tętniące życiem i przynoszące niezłe dochody miejsce postoju dla przemierzających te ziemie wędrowców i kupców. Najwyraźniej nikt już się nie dobijał do jego wartowni. Ci, którzy teraz się znaleźli w zamku, jak podejrzewał Kamal, już nigdy z niego nie wychodzili.

Samochód bez świateł prowadził w blasku księżyca, sunąc gładko przez gęsty las, aż zobaczył majaczące przed sobą mury. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości, wycofał auto na małą polanę i wyłączył silnik.

Otworzył schowek i znalazł w nim zwykłą latarkę, którą wypróbował, zapalając na moment i zakrywając światło. Wyciągnął pistolet, odbezpieczył go i wysiadł.

Ruszył w stronę zamku.

Wokół panował jakby śmiertelny bezruch, ale Kamal znał tego typu lasy na tyle, by wiedzieć, że wcale bez życia nie są. Kręciły się po nich liczne dziki czy zwierzyna płowa. Zrodziła się w nim koszmarna myśl o zwłokach pozostawionych na żer zwierzętom. Las był ogromny i oddalony od ludzkich siedzib – idealne miejsce do pozbywania się wścibskich typów i wichrzycieli, a on mimowolnie stał się właśnie jednym z nich.

Dotarł do zamkowych murów. Okalająca je fosa była sucha i zarośnięta paprociami

i krzewami, ale stary drewniany most nad nią rozpięty wciąż się trzymał. Przeszedł na drugą stronę ostrożnie, pilnując, by jego kroki nie wywoływały żadnych dźwięków, które mogłyby zwrócić uwagę przebywających w środku.

Na dziedzińcu panowała cisza. Nie widział nikogo, nie dostrzegł też palących się świec. Miejsce wyglądałoby na opuszczone, gdyby nie czarny SUV Kartal – standardowy model wykorzystywany przez Hafiye – zaparkowany przed wejściem do donżonu. Dobrze, że był tylko jeden. Kamal miał nadzieję, że oznacza to, iż nie będzie musiał stawiać czoła zbyt wielu przeciwnikom.

Wodził powoli po łuku pistoletem w prawo i w lewo i pokonywał ostrożnie dziedzińiec, kierując się do wejścia do donżonu, gdy w panujący dookoła bezruch wdarł się krzyk. Pełen złości, a zarazem błagalny kobiecy okrzyk – „Nie!” – dochodzący z lewej strony i odbijający się echem od ścian czworobocznej baszty, w której były tylko jedne drzwi i żadnych okien.

Nisreen.

Był tego pewien

Nigdy nie słyszał, żeby tak krzyczała, ale miał absolutną pewność, że to ona.

Dźwięk eksplodował w jego głowie, gdy ruszył pędem w stronę, skąd dochodził. Gnał przez otwartą przestrzeń najprędzej jak mógł.

Wpadł przez drzwi do baszty i natychmiast spostrzegł blade światło sączące się z wejścia po prawej stronie wąskiego korytarza. Wtedy znowu usłyszał jej krzyk. Potem dotarł do Kamala odgłos potężnego uderzenia, po którym ktoś zaklął głośno i rozległ się dźwięk rozdieranej tkaniny. Kamal chciał zawołać Nisreen, rozpaczliwie pragnął krzyknąć, żeby powiadomić ją o swojej obecności, ale się powstrzymał i popędził korytarzem, słysząc głośne pulsowanie krwi w uszach.

Wpadł do pomieszczenia, nie zwalniając. Jego oczy miały ułamek sekundy, by połapać się w tym, co się działo: Nisreen na posadzce, półnaga, i siedzący okrakiem na jej kolanach mężczyzna, którego twarzy Kamal nie widział, a wszystko to w upiornym świetle gazowej latarni. Mężczyzna lewą ręką trzymał oba nadgarstki Nisreen, a prawą ściągał z siebie spodnie.

– Przestań się wiercić, suko – wściekał się – albo przysięgam, że cię...

Nie dokończył zdania ani nie zauważył przybysza do chwili, gdy Kamal runął na niego całą siłą, spychając go z Nisreen, po czym zderzając kolbą pistoletu tak mocno, że mężczyzna znieruchomiał i stał się w zasadzie nie do rozpoznania.

Kamal zajął się Nisreen. Szlochała, łapiąc gwałtownie powietrze i drżącymi palcami zbierając strzępy ubrań, by zakryć obnażone ciało.

Kamal wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

– Już dobrze, Nisreen. Już dobrze.

Rozluźniła się na okamgnienie, ale natychmiast zdjął ją niepohamowany lęk. Odepchnęła go, a na jej twarzy odmalowało się skrajne przerażenie.

– Ramazan, dzieci – wysapała głosem, w którym dał się wychwycić zbolący jęk. – Są tutaj. Mają je.

– Gdzie?

– Nie wiem. Założyli nam kaptury na głowy. Ale są tutaj. Przywieźli nas wszystkich. Nagły strach ścisnął go tak mocno, że ledwo mógł oddychać.

– Zostań tu – polecił jej, rzucając się do wyjścia.

Pobiegł najszybciej jak mógł korytarzem, wypadł na dziedziniec i pomknął w stronę zaparkowanego SUV-a i wejścia do donżonu, pokonując krótki dystans, który wydawał się ciągnąć bez końca. Jego ciało pracowało na pełnych obrotach, a umysł bezskutecznie próbował odrzucić najgorszy scenariusz i najkoszmarniejsze myśli; coś coraz mocniej ścisnęło go w piersi, dławiąc oddech, a on chwycił się słabej nadziei, że zdąży, że jeszcze nie jest za późno. W chwili gdy minął tył SUV-a i był już blisko drzwi donżonu, pojawiła się w nich jakaś osoba wychodząca swobodnym krokiem.

Mężczyzna zamarł na widok sunącego wprost na niego Kamala. Słaba księżycowa poświata nie pozwoliła zobaczyć rysów, ale wystarczyła, by dostrzec sięgającą po broń rękę.

Kamal się nie zawahał – w pełnym pędzie wpakował w jego pierś trzy kule.

Mężczyzna runął na ziemię nieopodal drzwi.

Od teraz Kamal poruszał się powoli i ostrożnie z wyciągniętą przed siebie bronią i zmysłami wyczulonymi na każdy ruch.

Początkowo niczego nie słyszał. Złowieszcza cisza przygniotła całe wzgórze. Po chwili gdzieś na granicy świadomości wyczuł za sobą niepewne, umęczone kroki. Odwrócił się. To Nisreen szła przez dziedziniec, z trudem się poruszając.

Przeniósł wzrok ku ciemnemu wejściu do donżonu, które miał przed sobą, po czym znów spojrzął na nią.

– Stój.

Szła dalej.

– Nisreen, posłuchaj mnie. Stój.

Zwolniła. Po chwili się zatrzymała.

Spojrzał na nią, unosząc lekko rękę w delikatnym, powstrzymującym geście.

– Zaczekaj tutaj. Proszę.

Patrzyła na niego tępo. Spojrzął jej prosto w oczy, chcąc dodać nieco otuchy, tchnąć w nią coś, czego nie byłyby w stanie wyrazić żadne słowa, ale wyszło mu tylko jeszcze jedno „Proszę”.

Odpowiedziała lekkim, powolnym skinieniem głowy.

Odwrócił się i przeszedł nad leżącym mężczyzną. Tuż za wejściem do donżonu znajdowała się mała, nisko sklepiona sień, z której dwoje drzwi – jedno po lewej,

drugie po prawej stronie – prowadziło w głąb budynku.

Zza drzwi po lewej sączyło się słabe światło.

Podążył w tym kierunku.

Obszerne, wysokie pomieszczenie było oświetlone przez kolejną gazową latarnię. Na przeciwległej ścianie dominował monumentalny kamienny kominek, ale izba była pusta. Nie to jednak Kamal zauważył w pierwszej kolejności.

Jego uwagę przykuły ledwo widoczne w słabym świetle wzgórki, kształtem przypominające ludzkie sylwetki, leżące na posadzce pod ścianą po prawej stronie.

Poczuł narastającą pustkę w swoim wnętrzu, poczuł, jak uginają się pod nim nogi, ale zdołał ustać i pokonując centymetr po centymetrze, zbliżył się do nich.

Sylwetki były trzy. Jedna należała do osoby dorosłej, do mężczyzny, sądząc po ubraniu.

Dwie pozostałe były mniejsze.

Dzieci.

Ich głowy były zakryte czarnymi kapturami.

Nikt się nie ruszał.

Jego nogi zignorowały paraliżujący strach, który go ogarnął, i niosły go dalej naprzód jak w transie, dopóki do nich nie dotarł.

Pochylił się nad jednym z mniejszych ciał. Położył pistolet na posadzce i patrzył, jak jedna z jego rąk się wyciąga, jak drżące palce sięgają i dotykają czarnego kaptura zasłaniającego głowę nieruchomego ciała.

Przyglądał się, jak delikatnie odciągają tkaninę.

To był Tarek. Wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami z wyrazem wiecznego przerażenia wyrytym na małej buźce.

Szyję miał w ciemnych sińcach.

Oczy Kamala zaszyły łzami. Poczuł narastającą, wywołującą mdłości suchość w ustach; poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, ale jakoś nad tym zapanował, czule przenosząc palce na szyję chłopca i delikatnie, rozpaczliwie szukając oznak życia, których jak wiedział, nie mógł znaleźć.

I nie znalazł.

Raptem ciszę rozdarł krzyk – krzyk, którego Kamal nigdy nie zapomni: chrypliwy, przesywający jęk zrodzony z niewyobrażalnego bólu i tnący powietrze w przepastnej komnacie.

Kamal odwrócił głowę.

Nisreen była przy drzwiach i zataczając się, szła w głąb pomieszczenia z podniesionymi rękami, z szeroko rozstawionymi palcami, z rozpalonymi grozą oczami i otwartymi ustami, na których zamarł krzyk.

– Nie – wychrypiał Kamal, zrywając się na równe nogi i pędząc w jej stronę.

Złapał ją w pół kroku, chwycił w ramiona i nie pozwolił dalej iść, tylko tulił mocno do siebie, podczas gdy ona walczyła, uderzając go rozpaczliwie słabnącymi rękami.

– Puść mnie – krzyczała z twarzą zalewaną łzami. – Puść...

– Nie – szeptał Kamal, starając się ją zatrzymać. – Nie.

– Puść mnie – szlochała.

Jej ciało wiło się w jego uścisku, gdy próbowała się uwolnić, młóciły go jej ręce, nogi kopały, z warg, które gorączkowo chwyciły powietrze, w kółko, bez końca, dobywało się wysapywane „nie”. Wreszcie straciła siły i razem z Kamalem osunęła się na zimną kamienną posadzkę; Kamal wciąż obejmował ją mocno jedną ręką, a drugą trzymał od tyłu za głowę i tulił, podczas gdy nad obojgiem przetaczały się fale druzgocącego bólu.

Nie ruszali się.

Tak mijały minuty. Może nawet godziny.

Poczucie czasu i miejsca zwyczajnie ich opuściło, porwane przez tsunami cierpienia i bólu.

Przez cały czas Nisreen powtarzała jedno słowo: „nie”.

Całą wieczność później, gdy wstrząsające nią konwulsje nieco osłabły, a szlochanie przycichło, Kamal w końcu powoli się od niej odsunął. Delikatnie, ostrożnie rozluźnił uścisk i nie odzywając się ani słowem, patrzył, jak Nisreen wstaje, potyka się i rusza w głąb komnaty.

Uklękła przy ciałach bez życia i delikatnie, z wahaniem dokończyła to, co rozpoczął Kamal.

ZOSTALI UDUSZENI.

Wszyscy.

Ramazan, Tarek i Noor.

W odległym kącie komnaty Kamal znalazł ciała dwóch innych ludzi. Rozpoznał ich – byli to agenci, z którymi rozmawiał przed szpitalem, ci, którzy należeli do zespołu uwikłanego w strzelaninę.

To była zagadka na później.

Na razie ani Kamala, ani Nisreen kompletnie nie obchodziło, co tutaj robili i dlaczego zostali zabici.

Musieli najpierw ogarnąć myślą coś niewyobraźnego.

Minuty ciągnęły się bez końca. Nisreen siedziała na zimnej posadzce ze skrzyżowanymi nogami, zgarbiona, ze zwieszoną głową i kołysała się lekko w przód i w tył, tuląc do siebie nieżyjące dzieci i nosem muskając ich włosy. Kamal, bezradny świadek, usiadł w pobliżu, przy ciele swojego brata, i słuchał jej ledwo słyszalnego pochlipywania i wznoszonych do Boga błagań, wpatrując się to w tył jej głowy, to w nicość, a potem znowu w nią i znowu w nicość, otępiały, oniemiały, zagubiony w – jak się wydawało – surrealistycznym, pozacielesnym przeżyciu w świątyni bólu, od którego jak wiedział, nie ma ucieczki.

Jego brat. Jego mały bratanek. Uwielbiana przez niego bratanica.

Trójka z garstki ludzi, którzy znaczyli dla niego najwięcej na świecie – którzy być może jako jedyni w ogóle coś dla niego znaczyli – leżała martwa, brutalnie, nieludzko, barbarzyńsko zamordowana.

Czwarta zaś osoba z tej garstki, podobnie jak on, była zdruzgotana, rozdarta bólem, którego nie da się z niczym porównać.

Śmierć nie była mu obca, utrata życia przez ludzi na skutek aktów terroryzmu czy usankcjonowanych przez państwo egzekucji nie była dla niego niczym nowym. Z każdym kolejnym przypadkiem coraz bardziej się uodparniał na jej brutalną ostateczność i czerpał siłę i determinację do jak najskuteczniejszej walki o to, by powstrzymać zabijanie niewinnych.

Teraz cała ta siła i odporność uszły z niego na widok martwych ciał ukochanych osób, a jego dusza ze wszystkim, co w niej istniało, została unicestwiona

i przemieniona w zimne, jałowe pustkowie.

TO KAMAL PRZERWAŁ W KOŃCU CISZĘ.

Nie wiedział, ile minęło czasu, ale widział, że na dworze wciąż jest ciemno. Świt jednak musiał być już blisko. Co oznaczało, że jego wściekłość i jego pytania będą musiały poczekać. Należało podjąć bardziej pilne działania.

– Nie możemy tu zostać – powiedział cicho. – To niebezpieczne.

Nisreen początkowo nie odpowiedziała. Wciąż siedziała skulona na posadzce i mocno tuliła do siebie dzieci.

Podszedł do niej, powłócząc nogami, i powoli, z wielkim wahaniem wyciągnął rękę, by położyć dłoń na jej ramieniu.

Wzdrygnęła się i odsunęła, gdy tylko jej dotknął.

– Nie – powiedziała, lecz nawet się do niego nie odwróciła. – Nie dotykaj mnie.

– Nisreen...

Przez kilka oddechów milczała.

– Wiedziałaś o tym miejscu? – spytała w końcu, nie patrząc na niego. Głos miała spokojny, ale nieustępliwy, przepełniony goryczą i wyraźnie oskarżający.

Poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod stóp.

– Nie, oczywiście, że nie...

– Czy bywałeś tu już wcześniej i... – Nie potrafiła dokończyć tego pytania.

– Nisreen, posłuchaj mnie. Przysięgam ci, ja nigdy... Znasz mnie, na litość boską. Myślisz, że kiedykolwiek zrobiłbym coś takiego?

– Nie wiem.

– Wiesz. Pewnie, że wiesz. Znasz mnie – naciskał.

Skinęła ledwo widocznie, ale nie odpowiedziała. Jeszcze niżej spuściła głowę i wtuliła twarz we włosy Tareka, po czym zamilkła, a jedynym dźwiękiem, jaki się rozległ, był znowu jej cichy szloch.

Po kilku minutach ucichła, a po chwili wymamrotała:

– Ci dranie... ci, którzy nas tutaj przywieźli, ci, których zabiłeś... znałeś ich?

– Nie.

– Ale byli przecież agentami. Tak jak ty.

– Nisreen, proszę.

– Wykonywali rozkazy twojego szefa. Twojego szefa.

– Nie znałem ich – sprzeciwił się łamiącym głosem. – Byli z Wydziału Z. I chcesz wiedzieć... dlaczego tu jestem? Dlatego że wysłali dwóch innych do mojego mieszkania. Mnie też chcieli zlikwidować. Przez to tutaj trafiłem.

Milczała przez chwilę.

– Zabiłeś ich?

– Tak. Jednego zabiłem. Drugi... cóż, bywało, że miewał się lepiej.

– To dobrze. – Nadal na niego nie patrzyła. – Dlaczego mieliby chcieć twojej śmierci?

– Bo wiedzieli, że was szukam. Bo wiedzieli, że gdyby coś się stało tobie albo Ramazanowi, albo... Wiedzą, że nie spocząłbym, dopóki nie zabiłbym każdego z nich.

Nic nie odpowiedziała.

Dał jej chwilę.

– Nisreen, musimy stąd iść. Zaraz się zorientują, że coś poszło nie tak. Przyślą następnych.

Nie zareagowała. Po długiej chwili rzekła:

– Nie możemy ich tutaj zostawić. Musimy ich pochować.

– Oczywiście. Ale... gdzie? Musimy się ukrywać. Będą nas szukać.

W końcu się do niego odwróciła. Oczy miała czerwone i zapuchnięte, źrenice rozszerzone, tak że wyglądały, jakby wydłubano jej oczy. Choć widok był bolesny, nie to zadało Kamalowi największy ból.

Najgorszy był wyrzut w jej gniewnym spojrzeniu.

– Byle nie tutaj – odrzekła. – Gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Kamal zrozumiał i skinął głową.

– Musimy się ruszyć.

TO BYŁO NAJTRUDNIEJSZE zadanie, jakie mu kiedykolwiek przyszło wykonać.

Jeszcze trudniejsze było oczywiście dla Nisreen. Tak trudne, że nie sposób to wyrazić słowami, nie sposób zrozumieć. Kamalowi jednak nie było łatwo jeszcze z innego powodu. Jakby mało mu było łamiącego duszę bólu związanego ze śmiercią bliskich, musiał stawić czoło szokowi Nisreen.

Nadal oddychała, nadal się poruszała, nadal reagowała, nadal żyła... ale jej tam nie było. Już nie. Życie w znaczeniu wykraczającym poza metaboliczny sens tego słowa zostało z niej wydarte. Obserwując ją, widząc wyrytą na jej twarzy bezdenną rozpacz, zastanawiając się, czy ten dzień kiedykolwiek przestanie się kłaść piekielnym cieniem na każdej świadomej sekundzie jej dalszego życia, czuł się, jakby wydzierano mu wnętrzności. W połączeniu z pretensjami wobec niego, jakie wciąż w niej wyczuwał, było to nie do zniesienia.

Złożył oparcia siedzeń w SUV-ie agencji i zaniósł do niego dzieci. Najpierw Tareka, potem Noor. Położył ich z tyłu jedno obok drugiego, zostawiając miejsce dla brata. Jego przyniósł na końcu, a przez cały czas jak cień podążała za nim i obserwowała go Nisreen.

Wszystko działo się w przytłaczającej ciszy.

Zostawiwszy na chwilę Nisreen, sprawdził dwóch zabitych przez siebie agentów. Mieli służbowe legitymacje. Schował je do swojej kieszeni i zabrał ich broń.

Pomyślał, że wszystko może się przydać.

Zostawił telefony agentów i wyjął baterię z aparatu, który zabrał zabójcy ze swojego mieszkania, żeby mieć pewność, że nie będzie śledzony.

Tak wiele trzeba było przemyśleć. Zabił tej nocy trzech agentów Hafiye, a czwartego poważnie okaleczył. Był teraz poszukiwanym wrogiem państwa, bez dwóch zdań – wrogiem morderczego, barbarzyńskiego państwa. Poświęcił swoje dotychczasowe życie zapewnianiu mu bezpieczeństwa, a teraz pragnął jedynie gołymi rękami zetrzeć je z powierzchni ziemi. Przedtem musiał się jednak dowiedzieć, co się dzieje. Musiał zrozumieć, co do tego wszystkiego doprowadziło, dlaczego jego brat z całą rodziną stali się celem działań agencji i dlaczego agenci przyszli też po niego. Musiał się dowiedzieć, co wie Nisreen. Ale trzeba było z tym poczekać.

Teraz należało zająć się trzema pochówkami.

– MAMY PROBLEM. Moi ludzie w zamku... nie odpowiadają.

Celaleddin był w domu, w łóżku. W szparach zasłon widział, że jeszcze nie świta, co oznaczało, że telefon dzwoniący o tak wczesnej porze nie mógł zwiastować niczego dobrego. Ton głosu Kuzeya tylko te przypuszczenia potwierdził.

Jego żona się poruszyła, mruknęła coś, przewróciła na drugi bok i znowu zasnęła. Celaleddin wstał z łóżka i bosy, w nocnej koszuli wyszedł z sypialni.

– A co z ekipą wysłaną do Kamala Agi?

– To samo.

Celaleddin wszedł do swojego gabinetu z nietypowo dla siebie opuszczoną żuchwą i wychudłą twarzą, wykrzywioną w chmurnym grymasie. Może postąpili nierozważnie, posyłając tylko dwóch ludzi, żeby się nim zajęli. Kamal nie raz i nie dwa wykazał się zaradnością. Nikt nie był tego bardziej świadomy niż jego przełożeni z Hafiye.

– Posłał pan ludzi do zamku?

– Są w drodze – potwierdził Kuzey, posługując się jednym z wielu francuskich wyrażeń, które przesiąkły do miejscowej odmiany osmańskotureckiego. – Kazałem też Zaptiye ustawić w okolicy blokady drogowe.

– Jest sporo dróg do obstawienia. Wiejskie trakty i tym podobne.

– Wiem.

– Chcę się dowiedzieć, co zastaną pańscy ludzie, gdy dotrą na miejsce.

– Powinniśmy to wiedzieć w ciągu dziesięciu minut.

Celaleddin wcisnął guzik brzęczyka, żeby wezwać jednego ze służących. Potrzebował kawy. Dużo kawy. Zanosilo się na długi i nerwowy dzień.

Ledwo zdążył o tym pomyśleć, a w drzwiach pojawił się sługa.

– Kawa – rzucił do niego obcesowo. – Duży dzbanek.

– Słucham? – odezwał się Kuzey przez telefon.

Celaleddin zignorował to i odesłał służącego. Miał jednak dla Kuzeya pilne zadanie.

– Proszę mi znaleźć partnera Kamala.

– Taymoora Agę? – spytał Kuzey.

– Tak. – Jego umysł już tworzył różne kombinacje skutków, jakie w jego wyobrażeniu mogły spowodować podejmowane przez nich kroki. – Myślę, że może nam się przydać.

GDY PIERWSZE OZNAKI świtu zaczęły plamić horyzont, Kamal jechał jeszcze wielkim czarnym SUV-em, kierując się pustymi, wiejskimi drogami na wschód. Unikał głównych autostrad i zachowywał nieprzykuwającą uwagi prędkość, wypatrując czujnie blokad na drodze czy tropiącego drona.

Nisreen siedziała obok ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w dal, oboje zachowywali pogrzebową ciszę, choć w środku paliła ich niewypowiedziana furia. Za ich plecami leżały obok siebie trzy ciała przykryte brezentem, który Kamal znalazł w zamku.

Trzeba je było pochować, i to niedługo. Zgodnie z islamską tradycją pogrzeb powinien się odbyć jak najszybciej po śmierci. Ale gdzie?

Naturalnym miejscem wydawał się Paryż. To stamtąd pochodziła rodzina Kamala, to tam znajdował się ich rodzinny meczet, tam byli pochowani dziadkowie i pradziadkowie Kamala i Ramazana. Wiedział, że to tam powinien spocząć jego brat. Był mu to winien. Ale Paryż nie wchodził w grę. Zbyt wielu ludzi ich tam znało, zbyt wielu funkcjonariuszy patrolowało ulice, zbyt wiele kamer monitoringu śledziło numery rejestracyjne samochodów i zbyt wielu informatorów patrzyło tylko, jak wkupić się w łaski władz. Paryża należało unikać jak ognia. Podobnie jak mniejszych miast, pasaży handlowych – tak naprawdę wszystkich miejsc, w których roilo się od ludzi.

Nie pozostawiało to wielkiego wyboru.

I dlatego właśnie Kamal, ze wszystkimi zmysłami postawionymi w stan najwyższej gotowości, kierował się na wschód, w stronę Fontainebleau z jego wielkim pałacem, jednym okiem przez cały czas obserwując drogę, a drugim spoglądając w lusterko wsteczne.

To nie tak, że w Fontainebleau nie było wielu ludzi. Znajdował się tam niesamowity pałac, mieszczący przeszło półtora tysiąca pokoi, usadowiony pośród rozległych parków i ogrodów. Stary château pochodził z dwunastego wieku, ale jego najbardziej spektakularny rozkwit nastąpił w wieku szesnastym i od tamtej pory przez długi czas był ulubioną rezydencją i pałacem myśliwskim wielu królów Francji. Po osmańskim podboju został przekształcony w rozległy uczelniany kompleks, który mieścił madrasę, a także dom społeczności studentów, nauczycieli, pracowników i ich rodzin.

Był ponadto otoczony przez hektary imperialnego lasu.

Kamal już tam był. W dzieciństwie rodzice zabierali jego i Ramazana na pikniki nad małym jeziorem wśród drzew. Często wpadali do madrasy na kazanie albo wieczorny posiłek przed powrotem do miasta. W mniej odległej przeszłości

przyjeżdżał tutaj, gdy chciał pobyć sam. Gdy chciał pomyśleć i naładować baterie.

Po nieco ponadgodzinnej jeździe dostrzegli wysokie minarety otaczające pałac i usłyszeli płynące z nich delikatne nawoływanie do modłów o świcie. Kilka *fersahów* od madrasy Kamal zjechał z głównej drogi i skierował się w las. Było wcześnie. Przy odrobinie szczęścia było możliwe, że nie natkną się na żadnych studentów zmierzających na zajęcia ani na ludzi wybierających się do pracy w cytrusowych gajach, ogrodach oliwnych czy na mlecznych farmach.

Podążał wąskim traktem, aż dotarł do znanej sobie polany. Była pusta. Zgasił silnik i zapatrzył się przed siebie.

Pionowe snopy światła przeszywały otaczającą ich ścianę drzew, stanowiąc tło dla płąsów motyli i drobniejszych owadów. Rozlegający się śpiew ptaków potęgował jeszcze wrażenie panującego w majestatycznym lesie spokoju.

Oni jednak niemal tego nie zauważali.

Kamal spojrzął na Nisreen. Z zastygłą w gniewie twarzą patrzyła przed siebie.

– Nie mogę tego zrobić. Trzeba im wyprawić porządny pogrzeb. To nie w porządku.

Kamal starał się tłumić złość, którą czuł z tego samego powodu.

– Nie możemy. Wiesz, że nie możemy. Na razie nie możemy przebywać wśród ludzi. Będą nas szukać.

– Oni. – Wypluła to słowo jak truciznę.

Poczuł, jak coś się w nim zapada.

– Przykro mi. Ale nie mamy wyboru.

Zaczeekał, aż wreszcie na niego spojrzy i lekko skinie głową.

Wysiedli z samochodu. Mieli wiele do zrobienia. Należało odprawić obowiązujące z dawien dawna rytuały.

Jedno po drugim przeniósł ciała ścieżką prowadzącą z polany na brzeg jeziora, kładąc je delikatnie na miękkiej, suchej ziemi. Nisreen przyglądała się, dygocząc. Jej łzy jeszcze nie wyschły.

Odsunął się od ciała, po czym spytał cicho:

– Na pewno chcesz to zrobić sama?

– Tak.

Zawahał się i dodał:

– Czy mogę ci asystować?

Wpatrywała się w niego, wyraźnie zaciskając zęby.

– Pozwól, żebym ci pomógł. Proszę.

Popatrzyła mu w oczy. Wreszcie skinęła lekko głową.

Wszystko robili w pełnej napięcia, uroczystej ciszy i tylko z rzadka spoglądali sobie

w oczy. Kamal obawiał się przez cały ten koszmarny czas, że w którymś momencie Nisreen się na niego rzuci albo osunie na ziemię, łkając, załamana. Sam z trudem panował nad własnym cierpieniem i gniewem. Co zdumiewające, trzymała się całkiem nieźle, gdy czynili wszystkie niezbędne przygotowania, choć po policzkach stale spływały jej łzy, a palce drżały, gdy dotykała zimnej skóry ukochanych osób.

Wodą z jeziora obmyli trzykrotnie każde z ciał, przestrzegając nakazanej kolejności – górna część, najpierw prawa strona, potem lewa, a następnie dolna część, prawa strona i lewa. Widać było, że Nisreen jest na skraju rozpacz, gdy myła włosy Noor. Przerzywała kilka razy, nim zdołała zapleść jej trzy warkocze. Kamal przez cały czas się hamował, by nie podejść i nie wziąć Nisreen w ramiona, chcąc nie tylko jej, ale i sobie dodać otuchy. Powstrzymywał się jednak, ograniczany kawalkadą sprzecznych emocji.

Nisreen stanęła z boku, gdy Kamal mył ciało Ramazana; palce mu drżały, myśli gubiły się pod wpływem cierpienia, a on zapamiętując każdy por skóry na twarzy brata, powoli robił co trzeba, mimo iż wiedział, że powinni się spieszyć.

Przez cały czas dręczyły go najokropniejsze myśli. Że to on ich zawiódł. Że nie zapewnił im bezpieczeństwa. Że choć tkwił w tym wszystkim – na samą myśl o tym zalewała go fala palącej, jadowitej nienawiści do samego siebie – nie zdołał tego przewidzieć.

A teraz oni nie żyli.

Nie mieli całunów – dużych białych płacht, które byłyby pięciokrotnie okadzone – ani lin zabezpieczających tkaninę, kiedy by już owinęli w nią ciała zgodnie z ustanowionym rytuałem. Zamiast tego grzebali Ramazana, Tareka i Noor w ich długich koszulach. Lewe dłonie mieli położone na piersi, prawe spoczywały na lewych w modlitewnym geście.

Kamal i Nisreen stanęli obok siebie, by odmówić pogrzebowe modlitwy. W normalnych okolicznościach towarzyszyliby im w tym przyjaciele Ramazana i Nisreen, a także członkowie ich społeczności, ale teraz nie było o tym mowy.

Pamiętając o kibli, czyli o tym, by stać twarzą w stronę Mekki, odmówili salat al-dżanazę.

Po niej Kamal zostawił Nisreen i przeszedł na polankę na obrzeżach wielkiego lasu. Tam, korzystając z narzędzi znalezionych w bagażniku SUV-a, wykopał groby. Żłobił ziemię ze złością, walił w nią tak, że bolały go mięśnie, karał ją tak samo jak siebie, kopiąc najpierw trzy szerokie doły, a potem pogłębiając je w środku, tam gdzie miały spocząć ciała. Zgodnie z tradycją grób musiał być orientowany na osi wschód–zachód. W obecności Nisreen patrzącej w pełnym bóleści milczeniu Kamal ułożył ciała, każde na prawym boku, twarzą w stronę Mekki – najpierw Ramazana, potem Tareka, a na końcu Noor. Nisreen przez cały czas odmawiała błagalne modlitwy. Nie mieli glinianych cegieł, które mogliby położyć na owiniętych ciałach, żeby zabezpieczyć je przed bezpośrednim kontaktem z ziemią. Zamiast nich Kamal ułożył

po prostu tyle kamieni, ile zdołał znaleźć, po czym razem z Nisreen podeszli do każdego grobu z osobna i wysypali po trzy garście ziemi. Dopiero wtedy Kamal zasypał mogiły, na każdej tworząc niewielki kopczyk.

Nie ustawili żadnych oznaczeń. Islamska tradycja zezwalała na skromne tablice bądź kamienne płyty, ale zakazywała wielkich pomników czy dekoracji na miejscach pochówku, co w tych okolicznościach Kamalowi i Nisreen bardzo odpowiadało.

Stali nad grobami, a cała planeta zdawała się stapiać z nimi w nabożnej, niesamowitej ciszy, którą mącił tylko cichy szloch Nisreen.

Nie patrząc na nią, Kamal rzekł:

– Nie mam wątpliwości, że anioły o twarzach jasnych jak słońce już wprowadzają ich do rajszych ogrodów.

Otarła oczy i odpowiedziała:

– Nie wyobrażam sobie, by ktoś bardziej sobie na to zasłużył.

I dłużej już nie wytrzymała. Zalała się łzami, zalkała głośno i potykając się, oddaliła od Kamala. Podniesioną ręką dała mu znać, żeby za nią nie szedł, i znikła między drzewami.

Choć sprawiło mu to nieznośny ból, uszanował jej prośbę i postanowił zaczekać na skale przy brzegu jeziora, gdzie dał upust swej wściekłości, snując zupełnie inną wizję życia pozagrobowego, gdzie on jako anioł o ciemnej twarzy odsyła ludzi odpowiedzialnych za śmierć swojej rodziny do wrót piekła.

Przede wszystkim jednak oboje musieli przetrwać. Musiał zapanować nad swoją furią i wszystko przemyśleć. Wiedział, że powinni jak najdalej odjechać od zamku Chevreuse, i to jak najszybciej. Zwłoki pozostawione w jego mieszkaniu i w zamku pewnie już zostały znalezione. Służby bezpieczeństwa będą na nich polować, a dobrze wiedział, jak szybko ustawiano blokady.

Ale musiał dać Nisreen tyle czasu, ile potrzebowała, mimo że czuł wagę każdej sekundy.

Gdy wreszcie wyłoniła się z lasu, zobaczył, że jest załamana, i wiedział, że jej cierpienie szybko nie minie. Mimo wszystko nie mógł dłużej zwlekać i musiał z nią porozmawiać. Musiał zrozumieć, z czym mają do czynienia, żeby obmyślić kolejny ruch.

Odwrócił się do niej. Stała zwrócona twarzą w stronę jeziora z oczami tak szklanymi jak jego tafla.

– Nisreen... – Kamal musiał odczekać i powtórzyć jej imię trzy razy. Cicho. Cierpliwie.

Trzykrotnie wypowiedziane imię jak trzykrotnie zadana śmierć.

W końcu powoli odwróciła się w jego stronę.

– Muszę to wiedzieć – rzekł. – Co się, u diabła, stało? Co się dzieje?

SIEDZIELI NA WIELKIEJ sterczącej z ziemi skale na brzegu jeziora.

Oszołomionym, dochodzącym jakby z oddali głosem Nisreen opowiedziała Kamalowi, co zaszło. Wszystko od samego początku.

Opowiedziała o wytatuowanym mężczyźnie, który zjawił się w szpitalu.

O podejrzeniach Ramazana.

O pierwszej nocnej sesji poszukiwań internetowych. O słowach, które wpisał w wyszukiwarce.

– To na pewno wywołało ich czujność – stwierdził Kamal.

Nisreen wzruszyła ramionami.

– Pewnie już i tak monitorowali naszą aktywność w sieci z mojego powodu. Z powodu tego, co robię. Wiedział o tym.

Jej słowa ucichły, jak gdyby poczuła nagłe wyrzuty sumienia, że to, co powiedziała, zabrzmiało, jakby obwiniała Ramazana. Kamal nie naciskał. Widział, jakie to dla niej trudne – musiała przeżywać ponownie każdą chwilę ostatnich kilku dni, oglądać ją pod mikroskopem, który nie chciał z nią współpracować. Wiedział też, że ludzie często lekceważą niebezpieczeństwo, gdy wydaje im się, że nie robią niczego, co warte byłoby monitorowania, nawet wtedy, gdy mają świadomość, że każde ich uderzenie w klawiaturę najprawdopodobniej jest obserwowane.

Starał się też nie myśleć o tym, że prawdopodobnie zaliczyła go do „nich”, gdy mówiła o monitorowaniu.

Znalazła siłę, by opowiedzieć mu o drugiej nocy, o swojej konfrontacji z Ramazanem dotyczącej jego internetowych poszukiwań. Powiedziała, co jej wtedy wyjawił. Na temat tamtego mężczyzny. I tego, co on opowiedział.

Kamal siedział skupiony i w milczeniu słuchał.

Opowiedziała mu, jak nazajutrz rano poszła z Ramazanem do szpitala; opowiedziała o rozmowie z wytatuowanym mężczyzną, o tym, jak zdradził im zakłęcie. Zakończyła, mówiąc o tym, co Ramazan powiedział jej przez telefon, o tym, jak w szpitalu zjawili się agenci, jak doszło do strzelaniny, a przede wszystkim o tym, co zdarzyło się później.

Kamalowi chwilę zajęło przyswojenie tych informacji.

– Ramazan naprawdę widział, jak zniknął? – Jego głos i spojrzenie pełne były

niedowierzania.

– Tak mi powiedział. Wyrażał się bardzo jasno i precyzyjnie.

– Tak dosłownie zniknął?

– Tak.

– Nisreen...

– Kamal, mówię ci, że ten człowiek zwyczajnie wyparował – powiedziała z nutą złości i zniecierpliwienia.

Kamal zamilkł. Nie wiedział, co powiedzieć. Zdawał sobie sprawę z tego, że Nisreen ledwo to znosi, i musiał postępować bardzo delikatnie. Nie był do końca przekonany, czy jego bratowa w ogóle jest poczytalna, biorąc pod uwagę to, co mu właśnie powiedziała. Ale też za bardzo szanował ją i jej intelekt, żeby zlekceważyć to, usłyszał.

– Czy nie mogła to być jakaś sztuczka? A może Ramazan czegoś nie dostrzegł? Może facet dał nura i umknął, kiedy nie on patrzył?

– Nie. Sama też go o to wypytywałam. To się stało na jego oczach. Inni też to widzieli. To właśnie tak mocno nim wstrząsnęło. Dlatego uciekł.

– To niemożliwe. Ludzie nie znikają.

– Ani nie podróżują w czasie. Ale ten człowiek tego dokonał.

– To on tak twierdzi. Na pewno da się to jakoś inaczej wytłumaczyć.

– Popatrz, co się stało, Kamal. Dlaczego twoim zdaniem do tego doszło? Dlaczego twoim zdaniem tak brutalnie z nami postąpili? Dlaczego przesłuchiwał nas sam Celaledin? Dlaczego...

– Zaczekaj, przesłuchiwał was Celaledin?

Nisreen skinęła głową, lecz widać było, że to wspomnienie jest dla niej bolesne.

Opowiedziała Kamalowi, co zaszło w Cytadeli.

– Niby dlaczego uznali, że musimy umrzeć? Z powodu tego, co wiedzieliśmy. Co zobaczył Ramazan. Powiedziałeś, że dwaj zabici ludzie w zamku byli agentami, którzy też przebywali w szpitalu, gdy to się stało. Ich też na pewno zabił z tego właśnie powodu. Żeby ich uciszyć. Żeby nic się nie wydało.

Kamal spojrzął w bok i się z nią zgodził w myślach, kiwając głową w miarę jak to, co niemożliwe, zaczęło jeśli nie docierać do jego świadomości, to przynajmniej próbowało się wdzierać.

– Twierdzisz więc, że Rasheed, kimkolwiek był, podał ci to zaklęcie?

– Tak. Tak jakby. Połowę. Powiedział nam, jak przenieść się w przeszłość, ale nie usłyszeliśmy, w jaki sposób dostał się do obecnych czasów. Ani jak podróżować w przyszłość.

– Czyli znasz to zaklęcie?

– Nie na pamięć. To znaczy, może coś pamiętam. Czytałam je w kółko i wiele razy

słuchałam nagrania, próbując tłumaczyć... Ale to po palmyreńsku. To język niespokrewniony z żadnym z tych, którymi się dzisiaj posługujemy.

– Dlaczego próbowałaś je przetłumaczyć?

– Chciałam się przekonać, czy jest w nim coś, co przenosi konkretnie w przeszłość. Pomyślałam, że gdyby zamienić ten fragment na coś odnoszącego się do przyszłości albo poruszania się naprzód, może dałoby się podróżować do czasów przyszłych. Tak jak on to robił. Wszystko miałam zapisane w notesie razem z fragmentami, które udało mi się dotąd przetłumaczyć.

– I oddałaś ten notes Celaleddinowi?

– Tak. Nie miałam wyboru. Dlatego już nas nie potrzebują. – Jej twarz przybrała udręczony, pytający wyraz. – Dlaczego zareagowali takim okrucieństwem? Dlaczego musieli... – Oddech jej się urwał, gdy szukała odpowiednich słów. Wreszcie, spoglądając w bok, dodała niskim głosem: – To potwory. Zwyczajne... potwory.

Kamal też odwrócił od niej wzrok i zapatrzył się we własne stopy. I znowu, mimo że właśnie stracił brata, mimo że Nisreen wiedziała, jak bardzo ich wszystkich kocha, wyraźnie wyczuł bijącą od niej pogardę, ale stwierdził, że lepiej dać jej się samej wypalić, niż podsycać jeszcze jej płomień. Na jego korzyść działało to, że wciąż starał się zrozumieć, co zaszło.

– Ten człowiek. Ten, jak twierdzisz, Ayman Rasheed – rzekł. – Jeśli wszystko, co powiedział, jest prawdą, to... zmienił bieg historii. Cofnął się w czasie i wszystko zmienił. A jeśli on zdołał to zrobić, tego samego mógł też dokonać ktoś inny. Taka wiedza, taka władza... Nie potrafię sobie wyobrazić bardziej potężnej broni. A oni wiedzieli, że ty i Ramazan jesteście w jej posiadaniu.

– Ale nie mieli powodu przypuszczać, że zagrozimy imperium. Nie w tym sensie. To przecież nasz świat. Nasze całe istnienie. – Zamilkła, po czym dodała: – Przynajmniej dotąd tak było.

– Mimo wszystko. Dla nich ryzyko było zbyt duże. Moglibyście cofnąć się w czasie i zmienić dzieje, nawet nie mając takiego zamiaru. Moglibyście komuś o tym powiedzieć i ten ktoś mógłby postanowić zniszczyć to wszystko. – Kamal rozłożył szeroko ramiona. – Poza tym, gdybyście nawet nie podjęli żadnych działań, to już sama wiedza jest dostatecznie niebezpieczna.

– Co masz na myśli?

– Imperium. Kalifat. Zawsze wierzyliśmy, że to wola Boga. Sukces imperium, pokonanie chrześcijan, klęska Rzymu zadana ręką sułtana. Wszystko to jest częścią bożego planu, czyż nie? Słuchamy o tym w kazaniach, czytamy w podręcznikach historii. A teraz wyobraź sobie, że na jaw wychodzi coś takiego.

– Że to wcale nie była wola boża. Tylko wola jednego człowieka.

– Otóż to.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę, po czym rzekła:

– Chyba że uznamy go za narzędzie Boga wypełniające jego polecenie naprawy świata. Może to tak wszystko miało być. Może Rasheed przywrócił właściwy porządek rzeczy. To znaczy, skąd możemy wiedzieć, czy ktoś inny nie cofnął się w czasie jeszcze przed nim i nie zmienił wszystkiego, nie nagiął historii i nie przeobraził świata w taki, jaki znał Rasheed?

Był zaskoczony jej trzeźwą odpowiedzią i chciał, żeby mówiła dalej. Każdy temat, na którym mogła skupić uwagę, choćby tylko przez chwilę, był pomocny – dla obojga.

– Nie wiemy tego – odparł. – Ale za tymi drzwiami otwierają się nieskończone możliwości. I wszystko sprowadza się do tego samego pytania: Dlaczego Bóg pozwolił na takie mieszanie się w jego boski plan? Dlaczego nad wszystkim nie panuje? Tego rodzaju pytania są również problematyczne i niebezpieczne.

Wzruszyła ramionami.

– I tak nie ma to znaczenia. Jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. – Jej twarz znowu przybrała nieobecny, jeszcze bardziej smutny wyraz. – Nic tego nie zmienia.

Kamal początkowo nie odpowiadał. Po chwili złapał się na tym, że nie jest w stanie przestać myśleć o czymś, co wydawało się tak nieprawdopodobne. Nie mógł uwierzyć, że to mówi.

– Gdybyś знаła to zakłęcie, gdybyś miała pewność, że wszystkie słowa się zgadzają, przy założeniu, że ono naprawdę działa, czy nie moglibyśmy go użyć, żeby cofnąć się w czasie i wszystko naprawić? Cofnąć się, dajmy na to, o tydzień? Do momentu, zanim się to wszystko stało?

– Nie. Rasheed powiedział, że nie można się cofnąć do czasów, w których się już żyło. Co chyba ma sens. Istniałoby się wtedy w dwóch osobach naraz, nieprawdaż? Zresztą jak mówiłam, nie jestem pewna, czy pamiętam dokładnie całe zakłęcie. Notes jest w ich rękach, a telefon zgubiłam.

– Telefon? Co on ma z tym wspólnego?

– Wszystko nagrałam. Rasheeda, to, co nam opowiedział... nakręciłam filmik. Z całej rozmowy. Ale straciłam go, kiedy nas złapali.

– Masz to w telefonie? Wszystko, co powiedział Rasheed?

– Tak.

– Ja mam twój telefon. Znalazłem go w waszym aucie.

– Gdzie teraz jest?

– Tutaj, w samochodzie. – W jego głowie eksplodowały najróżniejsze możliwości. – Znając zakłęcie... coś byśmy na nich mieli. Moglibyśmy im zagrozić. Moglibyśmy wszystko ujawnić.

– Jak? Przecież wszystko kontrolują. A gdyby nawet było inaczej, nikt by nam nie uwierzył.

– Na niczym im tak nie zależy jak na tym, żeby utrzymać wszystko w tajemnicy. To nam daje przewagę.

– Nigdy nie pozwolą, żeby to zaszło tak daleko. – Z żalem kręciła głową. – Nie spoczną, dopóki my nie będziemy martwi.

– Chyba że jakoś temu zaradzę.

Pokręciła głową, przybita.

– Nie będziesz miał szans. Oboje wiemy, jak skutecznie radzą sobie ze wszystkimi, których uważają za zagrożenie.

Starał się nie słyszeć oskarżenia w jej głosie.

– Pozwól, że się tym zajmę. Ale najpierw muszę cię odstawić w bezpieczne miejsce.

– Nie zależy mi na tym.

Wyciągnął rękę, żeby ją objąć, ale się powstrzymał.

– Nie możesz tak mówić.

W jej oczach pojawiły się dystans i mrozące krew w żyłach napięcie.

– Jeśli chcę przeżyć, to tylko po to, żeby się na nich zemścić. Żeby mi zapłacili. Celaleddin przede wszystkim.

– Zacznijmy więc od zapewnienia ci bezpieczeństwa.

Podniosła na niego wzrok.

– Gdzie? Dokądkolwiek się udam, nie będę bezpieczna.

– Gdziekolwiek się udamy – poprawił ją Kamal. – Siedzimy w tym teraz razem.

Posłała mu zaintrygowane, niepewne spojrzenie, a jej twarz nieco złagodniała.

Był za to wdzięczny. Biorąc pod uwagę okoliczności, ucieszył się, że się zdobyła chociaż na tyle.

– Musiałoby to być gdzieś daleko – powiedział. – Za granicą. Poza ich zasięgiem. Może w Anglii. To najbliższe miejsce. Znajdę sposób, żeby przerzucić cię jakoś przez Kanał.

– Sułtan ma tam swoich agentów, nieprawdaż?

Kamal zmarszczył brwi. Anglia nie należała do imperium ani teraz, ani nigdy wcześniej. Ale Anglików i Osmanów łączyła długa historia współpracy, sięgająca roku 1570, kiedy papież ekskomunikował ich protestancką królową Elżbietę I. Reszta katolickiej Europy także od niej stroniła, co skłoniło ją do zawarcia sojuszu z Osmanami przeciwko wspólnym wrogom. Mimo że sojusz ten zrodził się z chłodnej polityki i ekonomii, Elżbieta z czasem się przekonała, że protestantyzm ma więcej wspólnego z islamem niż z katolicyzmem.

– Anglicy by mnie im wydali – dodała Nisreen. – Chyba że sami dowiedzieliby się, o co chodzi, i zechcieliby mnie zatrzymać dla siebie.

– To może wykorzystajmy Anglię jako pierwszy etap naszej podróży.

– Dokąd?

– Do Ameryki?

Nisreen prychnęła.

– O tak, powitaliby nas tam z otwartymi ramionami! Na pewno.

Chrześcijańska Republika zaciekle strzegła swojej religijnej ekskluzywności. Nie było tam ani meczetów, ani synagog, ani innych świątyń oprócz chrześcijańskich kościołów. Nowi przybysze albo już byli chrześcijanami i mogli to potwierdzić, co skrupulatnie sprawdzano, albo nawracali się zaraz po przyjeździe i godzili się na wielomiesięczny pobyt w Obozach Zbawiciela, dopóki nie uznano, że się całkowicie duchowo odrodzili. Nikt poza tym nie był wpuszczany. Tak po prostu.

– Cóż... mógłbym im się przydać.

Wypowiedziawszy to, Kamal nie mógł uwierzyć, że te słowa padły z jego ust – z ust fetowanego bohatera Hafiye, który teraz jak gdyby nigdy nic rozmawiał o zdradzie swego narodu. A jednak był absolutnie gotowy to zrobić. Właśnie w tej chwili był gotów zrobić wszystko, co konieczne, żeby całe imperium, cały jego morderczy, zakłamany mechanizm legł w gruzach.

– To raczej ja mogłabym im się przydać, gdyby się kiedykolwiek o tym wszystkim dowiedzieli. Jeśli jest ktoś, kto pragnąłby zmienić historię, to z pewnością oni. – Przetarła dłońmi twarz i znużona powoli wypuściła powietrze z płuc. – Może zresztą powinni to zrobić. Może powinni się o tym dowiedzieć. Może należałoby posłać kogoś, kto zmieniłby wszystko na takie, jakie być powinno.

– A wtedy nikogo z nas by tu teraz nie było, zgadza się?

Wzruszyła ramionami i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Czy miałoby to znaczenie?

Kamal nie odpowiedział. Jediną osobą gdzieś tam, która jeszcze coś dla niego znaczyła, był jego ojciec, spokojnie hodujący te swoje kurczaki w Pèrigord i najprawdopodobniej niemający o niczym pojęcia. „Może tak jest lepiej”, pomyślał Kamal, choć wiedział, że będzie musiał powiedzieć mu prawdę o tym, jak zginął jego starszy syn. I to wkrótce.

Po chwili ciszy Nisreen rzekła:

– Naciskałam na niego.

– Słucham?

– Na Ramazana. Powinnam była mu powiedzieć, żeby przestał. Powinnam była zabronić mu zadawania dalszych pytań. – Głos jej się załamał, a z oczu znów popłynęły łzy. – Zamiast tego naciskałam, żeby raz jeszcze z nim porozmawiał, żeby zdobył zakłęcie. Nalegałam, żeby z nim pójść. Może gdybym się tak nie upierała, gdybym...

– Nie – przerwał jej Kamal. – Nie możesz się obwiniać. Na początku była tylko ciekawość Ramazana, która sprawiła, że ruszyli jego tropem. To oni do tego doprowadzili. To ich wina, nie jego czy twoja. Oni są za wszystko odpowiedzialni. I zamierzam dopilnować, żeby za to zapłacili.

Nisreen zdusiła szloch i beznamiętnie pokiwała głową, prowadząc jakąś wewnętrzną debatę.

– Nie chcę uciekać – powiedziała w końcu.

– Chyba nie mamy innego...

– Nie chcę uciekać – powtórzyła dobitnie. – Nie chcę żyć w ukryciu. Już to widywałam. Bywałam wśród ludzi, którzy musieli się ukrywać. To nie jest życie. Nie dla mnie. Choćby nie wiem co.

Zaczekał, aż jej słowa w pełni wybrzmiały.

– Co zatem proponujesz?

– Nie wiem. – Zamilkła, a po chwili jej twarz znowu stężała. – Chcę, żeby umarli. Żeby oni wszyscy umarli. Chcę, żeby cierpieli za to, co zrobili.

Spojrzał na nią. Drżała.

– To jest nas dwoje. Ale od tej pory to już moje zadanie.

– Nie. Chcę w tym uczestniczyć. Chcę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby do tego doprowadzić.

Pomimo drżenia jej głos brzmiał twardo jak stal. Była świadoma każdej wypowiedzianej sylaby.

– A więc to właśnie zrobimy – powiedział jej. – Sprawimy, że za wszystko zapłacą.

Skinęła głową i odwróciła wzrok.

Kamał po chwili wstał.

– Lepiej już ruszajmy.

– Dokąd?

– Nie mamy pieniędzy. I potrzebujemy nowych dokumentów. Dowodów tożsamości, które pozwolą nam poruszać się z nieco większą swobodą. A jedyne znane mi miejsce, w którym możemy zdobyć i jedno, i drugie, to Paryż.

– Chcesz wrócić do miasta?

– Tak. To niebezpieczne, jednak tam łatwiej niż tutaj będziemy się mogli ukryć w tłumie. Będziemy musieli zostawić samochód i znaleźć jakiś inny sposób, żeby się tam dostać. Ale jeszcze nie teraz. Zaczekamy, aż się ściemni. Wydaje mi się, że znam drogę do miasta, która im nie przyjdzie do głowy.

Nisreen nie skomentowała tego, ale wyraźnie nie pasował jej sposób rozumowania Kamala.

– Chcę zobaczyć to nagranie – dodał. – Pójdę po telefon.

Nisreen się podniosła.

– Idę z tobą.

Szli przez las z powrotem w stronę SUV-a. Nisreen wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymywała. W końcu rzekła:

– To... jakiś obłąd.

– Co takiego?

– Wszystko. Cała ta sprawa. I to, co od ciebie teraz słyszę. Kiedy robisz to samo co ci, na których zazwyczaj polujesz.

– Nie poluję na ludzi, Nisreen.

Ze sceptycyzmem wzruszyła ramionami.

– Tak, owszem, polowałem na ludzi – przyznał. – Ale to byli terroryści. Szaleńcy, których celem było zabijanie niewinnych ludzi.

– A do tego prawnicy i profesorowie mówiący rzeczy, które się wam nie podobały.

Z smutkiem pokiwał głową.

– Nie uczestniczyłem... Cóż, mam nadzieję, że nie. Prawda jest taka, że nie mam już teraz takiej pewności. – Złość i żal toczyły w nim pojedynek. – Kuzey i jego ludzie... to oni są mordercami. Biała Róża... to jedno wielkie kłamstwo.

Nisreen patrzyła na niego wielkimi ze zdziwienia oczami, gdy powtarzał jej to, co zabójca z Wydziału Z powiedział mu zeszłej nocy.

– Przykro mi, Nisreen. Wiem, że nigdy nie zdołasz mi wybaczyć tego, że w ogóle...

– Proszę. – Podniosła rękę i mu przerwała. – Nie teraz. To i tak już więcej, niż mogę znieść. Proszę.

Zamilkł, czując, jak całe długie tygodnie i miesiące oddalenia i udręki suną ku powierzchni popychane przez znacznie gorszy ból. Taki, który – jak wiedział – nigdy ich nie opuści.

Wreszcie powoli, noga za nogą, ruszyli przez dębowy labirynt, kierując się do samochodu.

Byli już prawie na polanie, gdy przez gąszcz drzew i listowia Kamal dostrzegł coś przed sobą, jakiś ruch, który przyciągnął jego spojrzenie.

Ludzie. Kręcili się koło SUV-a.

Znaleźli ich.

KAMAL ZŁAPAŁ NISREEN i – jedną ręką zatykając jej usta – ściągnął ze ścieżki za gruby pień.

– Bądź cicho – wyszeptał, wskazując przed siebie.

Nie poruszyła się, gdy wyrzwał zza drzewa.

Zobaczył mężczyznę, a potem jeszcze jednego, przy SUV-ie. Jeden stał odwrócony do nich tyłem i rozmawiał przez telefon. Drugi, na lewo od wozu, rozglądał się po lesie i czekał. Nieco dalej, w cieniu, spostrzegł innego kartala agencji. Miał taki sam drapieżny, matowoczarny lakier, jak auto, którym tu przyjechali.

„Agenci Hafiyę. Ale jak...”

I wtedy go zobaczył. Mężczyznę z telefonem, który obrócił się, ukazując twarz.

Taymoor.

Kamal stłumił przekleństwo. Raz go tutaj przywiózł, wiele miesięcy temu. Zaprosił go na jeden ze swoich spacerów, wpuścił do swojego azylu. Zrobił dobry uczynek – głupi uczynek, jak teraz uznał – gdy jego partner przeżywał trudne chwile.

Czyżby Taymoor go wydał? A może Kamal czegoś nie zauważył? Kamery monitoringu, drona, jakiegoś tropiciela? Nie był pewien. Tak czy owak, szybko im poszło. Celaleddin najwyraźniej korzystał z wszelkich dostępnych środków, żeby ich odszukać.

Kamal myślał szybko. Najsensowniejszym wyjściem zdawało się wycofanie i ukrycie z powrotem w lesie. Dobrze znał teren, wiedział, gdzie prowadzą różne dróżki. Wiedział, jak dotrzeć do rzeki, i mogliby tam wskoczyć na przepływającą barkę. Znał rozkład pobliskich szos. Taymoor, zakładając, że oni wciąż przebywają w lesie, prawdopodobnie otaczał go już kordonem, ale kompleks był ogromny i miał zbyt wielki obwód, żeby można go było w całości obstawić. Wycofanie oznaczało jednak porzucenie telefonu i utratę tego, co im dawało przewagę.

Telefon był im potrzebny.

Mieli przed sobą dwóch mężczyzn – na razie. Taymoora i tego drugiego, w którym Kamal rozpoznał teraz Kenana Hamzę, agenta z ich sekcji, przyjaciela z innego życia. Na korzyść Kamala działał element zaskoczenia.

– Nie ruszaj się – wyszeptał bezgłośnie do Nisreen.

Na jej twarzy odmalował się gwałtowny sprzeciw, ale znowu zakrył dłonią jej usta

i położył palec na swoich.

– Zostań tu i się nie ruszaj – dodał.

Wyciągnął pistolet, przykucnął i ruszył naprzód.

Zaczekał przez moment, a gdy żaden agent nie patrzył w jego kierunku, zaczął się skradać w stronę polany, bez pośpiechu, z bronią gotową do strzału, przemieszczając się od drzewa do drzewa i wzrokiem badając grunt, żeby przypadkiem nie nadepnąć na coś, co mogłoby zaszeleścić albo się złamać i zdradzić jego obecność. Był w połowie drogi do skraju polany, gdy Taymoor i Kenan z wyciągniętymi pistoletami ruszyli ścieżką, którą przed chwilą szedł z Nisreen. Obstawili obie strony dróżki i trzymali między sobą odległość.

Chcieli złapać jego i Nisreen.

Co w zasadzie ułatwiło mu sprawę.

Zatrzymał się za drzewem, nasłuchując uważnie i czekając, aż go miną i znajdzie się za ich plecami. Wtedy się wyłonił powoli, po cichu.

Taymoor musiał go usłyszeć. Zwolnił kroku i odwrócił głowę, czujny jak ważka.

– Nie ruszać się – zawołał do nich Kamal, celując z broni w ich plecy. – Ręce do góry, tak żebym widział. Palce ze spustów.

Sekunda wahania.

– Dalej, bracia. Znacie procedurę.

Obaj powoli podnieśli ręce i obrócili się twarzami do niego.

– Co robisz? – spytał Taymoor. – Postradałeś rozum?

– Połóżcie broń na ziemi, po kolei. Kenan, ty pierwszy. I powoli, proszę. Bardzo, bardzo powoli.

Kenan zaczął się schylać.

Taymoor rzekł:

– Kamal, daj spokój, to...

I w tej chwili, gdy oczy Kamala na ułamek sekundy przeniosły się na Taymoora, Kenan wyciągnął rękę, wycelował w niego i strzelił – tylko że Kamal to zobaczył i zareagował w momencie, gdy agent naciskał spust. Kucnął i przesunął rękę z bronią – miała do pokonania mniejszy łuk niż broń Kenana – po czym wypalił, a ułamek sekundy później usłyszał świst powietrza przy swoim lewym uchu i zobaczył czerwoną mgiełkę wokół prawego uda agenta.

Pistolet wypadł z dłoni Kenana, noga mu się ugięła i mężczyzna runął na bok jak zwalone drzewo. Kamal go zignorował, całą uwagę skupił znów na Taymoorze, który nie trzymał już rąk nad głową, ale opuścił je i celował do niego z broni.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – ryknął Taymoor, rzucając z ukosa szybkie spojrzenie, żeby sprawdzić stan leżącego na ziemi kolegi. – To jeden z nas.

– Tak jak dwóch tamtych gnojów, którzy zeszłej nocy przyszli do mojego domu,

żeby mnie zabić – odparował Kamal. – I jak te sukinsyny, które zamordowały mojego brata i jego dzieci.

Te słowa mocno uderzyły w Taymoora, jego twarz załały zdumienie i konsternacja.

– Co?

– Słyszałeś przecież.

Taymoor nadal był w szoku.

– Ramazan...? I dzieciaki?

– Tak – wysyczał Kamal.

Kenan wił się na ziemi, trzymając się za udo i jęcząc z bólu. Pod nim zbierała się kałuża krwi, ale Kamal stwierdził po jej ilości, że kula nie uszkodziła tętnicy udowej.

– Pomóżcie mi – zawołał Kenan.

Taymoor go zignorował. Wydawał się mocno wystraszony.

– Jak do tego doszło? Co się, do cholery, dzieje? – pytał Kamala.

– Nie uwierzyłbyś mi, gdybym ci powiedział.

– Spróbuj.

– Nie ma na to czasu, bracie. Wątpię, czy dostatecznie długo będziemy tutaj sami. A Kenan potrzebuje twojej pomocy.

– Cokolwiek się dzieje, jakoś to załatwimy.

– Już na to za późno.

Wpatrywali się jeden w drugiego z wycelowanymi w siebie nawzajem lufami – wyglądali tak, jakby ciągnęli dłońmi za końce jakiejś niewidzialnej liny.

Raptem w tę ich konfrontację wdarł się głos.

– Czy on jest jednym z nich?

Kamal i Taymoor na sekundę odwrócili wzrok i ujrzeli Nisreen stojącą na skraju ścieżki naprzeciw Taymoora. Stała przy Kenanie, który nadal zwiżał się z bólu. Trzymała oburącz jego pistolet i celowała prosto w pierś Taymoora. Broń drżała i wydawała się w jej dłoniach nieporęczna i ciężka.

– Nisreen, nie zbliżaj się – krzyknął Kamal.

Nawet nie drgnęła.

– Czy to jeden z nich? – powtórzyła beznamiętnym, kategoriycznym tonem, mocniej ściskając broń.

– Nie – odpowiedział jej Kamal. – Taymoor jest moim partnerem. Nic o tym wszystkim nie wiedział. – Gdy tylko wyrzekł te słowa, wyraz jego twarzy się zmienił. Zmarszczył brwi i niepewnie spojrzął na Taymoora. – Mam rację? Powiedz, że się nie mylę.

– Oczywiście, że nie wiedziałem. *Bismillah*, Kamal. Co w ciebie wstąpiło?

– Mimo wszystko to jeden z nich – wysyczała Nisreen. – On też przyjechał tu, żeby

nas zabić.

– Nie, przyjechał, żeby nas sprowadzić z powrotem – odrzekł Kamal.

– Na jedno wychodzi.

– Nisreen, proszę – nalegał Kamal. Po chwili zwrócił się do Taymora, który przerosił pistolet to w lewo, to w prawo, starając się trzymać na muszce ich oboje, co było trudne, gdyż stali w takich miejscach, że we trójkę tworzyli kąt prosty. – Taymoor, posłuchaj mnie. Odłóż broń. Kenan potrzebuje twojej pomocy. Musisz mu założyć na to udo opaskę uciskową, zanim się wykrwawi.

– Wiesz, że nie mogę tego zro...

Wśród drzew rozległ się strzał, zaskakując obu mężczyzn, bardziej jednak Taymoora, który instynktownie zrobił unik, ale kula zdążyła minąć go ze świstem i drasnąć w głowę. Odwrócił się przodem do Nisreen, która wydawała się tak samo jak on zaskoczona oddanym strzałem.

– Ty stuknięta dziwko – wściekł się i zaczął dłonią macać głowę, sprawdzając, czy nie krwawi, a jednocześnie przynosząc rękę z bronią tak, by wycelować w Nisreen.

Ten ułamek sekundy zamieszania wystarczył Kamalowi. Rzucił się w stronę Taymoora, doskakując do niego w chwili, gdy ten dopiero spostrzegł, że na niego pędzi.

Natarł na partnera i odepchnął uzbrojoną rękę, jednocześnie z całej siły uderzając go w szczękę. Obaj runęli ciężko na ziemię, po czym Kamal zadał jeszcze jeden cios, żeby Taymoor za szybko nie doszedł do siebie. Wyrwał broń z jego dłoni i odrzucił w bok.

Odepchnął się i wstał, celując w partnera z pistoletu. Taymoor splunął i się podniósł, ale wolniej. Brakowało im tchu i głośno dyszeli.

Taymoor piorunował Kamala wzrokiem.

– Ty naprawdę zwariowałeś.

– Nie dałeś mi wyboru – odpowiedział Kamal, podnosząc pistolet Taymoora i cofając się ostrożnie, by dołączyć do Nisreen. – Będę potrzebował waszych telefonów. Twojego i Kenana.

Celując z pistoletu, obserwował obu agentów, kiedy niechętnie wyciągali komórki, żeby mu je rzucić. Nie zawracał sobie głowy podnoszeniem ich z ziemi. W każdy wpakował po prostu kulkę.

Obejrzał się na Nisreen.

Jej uwaga wciąż była skupiona na agentach, przez cały czas trzymała ich na muszce.

– Chodźmy.

Początkowo nie zareagowała.

– Nisreen. Musimy jechać – zawołał z większą stanowczością. Posłał Taymoorowi

pożegnalne spojrzenie. Jeszcze dzień wcześniej ten człowiek był jego partnerem i towarzyszem broni. To, co niewyobrażalne, najwyraźniej miało go spotykać coraz częściej. – Przykro mi, bracie – powiedział.

– Mnie też – odparł ze złością Taymoor.

Kamal z żalem pokiwał głową, po czym odwrócił się i odszedł.

– Mówiłem ci, że wpakujesz się przez nią w kłopoty – zawołał za nim Taymoor.

Kamal popatrzył na idącą obok Nisreen.

Nie odwrócił się ani nie odpowiedział.

Przyspieszył kroku i po chwili dotarli do polany.

– Wsiadaj – poleciał Nisreen, pokazując SUV-a, którym przyjechali. Odwrócił się w stronę wozu Taymoora i przestrześlił w nim obie lewe opony.

Wzbijając tumany kurzu, popędzili krętą drogą prowadzącą poza las.

– Dokąd teraz jedziemy? – spytała.

– Nie wiem – odrzekł, schylając się, żeby sięgnąć do schowka. – Ale będziemy mieli szczęście, jeśli się nam uda wymknąć. Inne ekipy już są pewnie w drodze.

Wyciągnął telefon i go jej podał.

– To ten, prawda?

Wzięła aparat.

– Tak.

– Pilnuj go – powiedział, pokonując zakręt w lewo. – To może być nasz jedyny ratunek...

Jego oczy otworzyły się szeroko. Pędziły na nich dwa samochody. Policyjne radiowozy, sądząc po białych maskach i światłach na dachach. Żadnych syren, żadnych migających kogutów – ale gnały z wielką prędkością.

– Trzymaj się – poleciał Kamal, wciskając gaz do dechy i sunąc w ich stronę.

Nikt się tego nie spodziewał – odległość pomiędzy nimi skurczyła się tak szybko, że policjanci mieli najwyżej jedną albo dwie sekundy na decyzję, jak uniknąć zderzenia.

Kamal się nie zawahał, prując prosto na nich jak rakietą.

Kierowca samochodu na przedzie stchórzył pierwszy. Odbił w bok w ostatniej chwili, ale stracił panowanie nad kierownicą, a wozem zarzuciło tak, że wałnął bokiem w wielkie drzewo. Siła uderzenia była tak duża, że pień wbił się w auto do połowy jego szerokości.

Drugi radiowóz nie zбочzył, ale w ostatniej sekundzie skręcił ostro, ledwo unikając czołowego zderzenia. Otarł się o SUV-a, mijając go, rozległ się zgrzyt metalu, ale oba wozy pomknęły dalej bez większych uszkodzeń.

– Bok! – zdenerwował się Kamal, spoglądając ze złością w lusterko. Dostrzegł światła stopu radiowozu, zobaczył, jak pojazd się okręca na zaciągniętym ręcznym hamulcu i rusza za nim ze wściekle wyjącą syreną i migającymi kogutami.

Nisreen obróciła się na siedzeniu i nerwowo obserwowała ścigający ich wóz.

– Wracają.

– Wiem.

Jego umysł wybiegał naprzód, obliczając, szacując i rozważając różne możliwości. Był do tego przeszkolony. Tylko nigdy się nie spodziewał, że wykorzysta to swoje wyszkolenie w takich okolicznościach. W sytuacji gdy ścigać go będą jego bracia.

Puścił pedał gazu, delikatnie, nie tak, żeby to było zauważalne, ale by ścigający pomyśleli, że ich doganiają. Widział we wstecznym lusterku, jak radiowóz staje się coraz większy, patrzył, jak się zbliża, aż znalazł się tuż za nimi. I wtedy zadziałał.

Szybko i mocno szarpnął kierownicą w prawo i zaraz w lewo, jakby nagle zmieniał pas, i jednocześnie, zerkając w lusterko, wcisnął hamulec. Radiowóz zachował się tak, jak się Kamal spodziewał – skręcił w lewo, żeby nie wpaść na zderzak SUV-a, ale nie wyhamował i znalazł się w pozycji równoległej do niego. W tym momencie Kamal wcisnął znowu gaz i odbił kierownicą w lewo.

Ciężki SUV zepchnął radiowóz na bok, a Kamal, nie zdejmując nogi z gazu, zmienił tor jazdy policyjnego samochodu i posłał go z całym impetem na jeden z potężnych dębów rosnących wzdłuż leśnej drogi. I wtedy poczuł coś w swoich dłoniach. Gwałtowne drżenie, wibracje pochodzące z kierownicy. Podczas zderzenia coś w samochodzie zostało uszkodzone, coś się popsuło. Przednie koła telepały się jak szalone.

A z oddali, od strony lasu, dobiegał dźwięk kolejnych syren.

Ich wycie wyraźnie się zbliżało.

Jechali w ich stronę.

– *Bok, bok, bok!* – ryknął.

I w tym momencie zobaczył boczną dróżkę po swojej prawej stronie prowadzącą w głąb lasu.

Skręcił w nią bez wahania.

– Dokąd prowadzi ta droga? – spytała Nisreen, patrząc nerwowo to za siebie, to w przód.

Spojrzał na nią, mocniej marszcząc czoło.

– Zaraz się dowiemy.

WYSTARCZYŁA MINUTA, może dwie, by ich SUV dotarł do końca krętej drogi – nad duże leśne jezioro. Zatrzymali się w kłębach kurzu tuż nad wodą. Nisreen rozejrzała się dookoła. Miejsce wyglądało na odludne i spokojne, oświetlone teraz przedpołudniowym słońcem. Kilka parkowych ławek było pustych, co w powszedni dzień chyba nikogo nie dziwiło.

Nisreen, głęboko zamyślona, wpatrywała się w swój telefon. Do głowy przysła jej zrodzona z desperacji szalona myśl. Nękała uporczywie jej świadomość od momentu, gdy po raz pierwszy wyraziła ją słowami, jeszcze na polanie, kiedy jej mózg działał na najwyższych obrotach. Teraz ta myśl nachalnie cisnęła się jej do głowy. Może zresztą wcale nie była taka szalona.

Może tylko tak mogli przeżyć.

Włączyła telefon.

– Co robisz? – spytał Kamal.

– Znajdź mi jakiś długopis – powiedziała ze skupieniem na twarzy i ponagleniem w głosie. – Coś do pisania.

– Po co?

– Po prostu zrób to. I włącz swój telefon.

Kamal popatrzył na nią pytająco.

– Po prostu zrób to – powtórzyła z naciskiem.

Syreny rozbrzmiewały coraz bliżej.

Zaczął szukać długopisu, tak jak go poprosiła, grzebiąc w podłokietniku, a potem w schowku, podczas gdy jej telefon się uruchamiał. Znalazł czarny długopis i jej go podał.

– Dobrze – powiedziała, wrywając mu go z ręki. – Otwórz w swoim telefonie Hafizę. Wpisz w okienku „język palmyreński”, a dalej – dokonała w myślach szybkich obliczeń – wyrazy „trzydzieści” i „tysiące”. Znajdź wyniki na stronie Uniwersytetu Damasceńskiego.

Kamal wydawał się zupełnie zagubiony.

– Zrób to – poleciła mu. – To jedyny sposób.

Oczy mu rozbłysły, gdy do niego dotarło, co Nisreen chce zrobić.

– Chyba nie chodzi ci o... trzydzieści tysięcy dni? – wypalił.

– Nie mamy wyboru – odparła. – Naprawdę.
Mijały cenne sekundy. Wycie syren słyhać było coraz bliżej.

– Chyba nie mówisz poważnie, że chcesz to zrobić?

– A masz lepszy pomysł?

Wpatrywał się w nią w osłupieniu, nie wiedząc, co powiedzieć. Dyszał tylko ciężko, podobnie jak ona.

– Marnujemy czas – naciskała.

– A co, jeśli... jeśli coś się spieprzy? Jeśli naprawdę źle trafimy?

– Nigdzie nie może być gorzej niż teraz tutaj.

– A jeśli tam utkniemy? Co, jeśli nie będziemy mogli wrócić? Mówiłaś, że nie wiesz, jak podróżować do przyszłości.

– Chcesz tu wrócić? Do czego? – Wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń. – Zabijają nas, jeśli damy się złapać, Kamal. Wiesz przecież. A ja nie chcę tu umierać. Zwłaszcza z ich rąk.

Wciąż siedział jak zamurowany, wyraźnie zaciskając zęby.

– Nie chcę umierać – powtórzyła.

Zrobił głęboki wdech i skinął głową.

– Dobrze – zgodził się i zabrał do pracy.

Nisreen tymczasem przewinęła rozmowę z Rasheedem, przechodząc od razu do części, którą tak dobrze знаła, do momentu kiedy zdradził im zakłęcie. Trzymała telefon przy uchu i słuchała uważnie, zatrzymując nagranie, by zapisać to, co usłyszała, wielkimi, wyraźnymi literami na własnym przedramieniu.

Syreny zbliżały się, mknąc wśród drzew, były jak zmierzające w ich stronę wyjące zagrożenie nie z tego świata.

– No i? – spytała go, gdy tylko skończyła.

Pokazał jej swój telefon.

– O to chodziło?

Chwyciła aparat, oczami pochłaniając treść widoczną na wyświetlaczu.

– Doskonale – rzekła i te słowa również zapisała sobie na rękę, po czym otworzyła drzwi wozu. – Idziemy.

Kamal się zawahał, lecz ona była już na zewnątrz.

Syreny brzmiały teraz znacznie głośniejszy. Nagle zza drzew wyskoczył czarny SUV agencji.

Kamal wyciągnął broń i ruszył do niej.

Pędem okrążył samochód i stanął obok Nisreen przy drzwiach pasażera. Oboje się schylili i obserwowali zbliżający się wóz znad dachu swojego auta. Niemal na dzerzaku kartala siedział jeszcze jeden pojazd, policyjny radiowóz. Oba jechały

prosto na nich.

Kamal zaczekał, aż znajdą się w zasięgu strzału, wyskoczył, oburącz ściskając broń, i wypuścił serię pocisków w stronę pierwszego z aut. Trzy kule przedziurawiły przednią szybę, reszta utknęła w zderzaku i maskownicy.

Tak jak myślał, SUV się okręcił i zatrzymał gwałtownie, stając do nich bokiem. Jadący za nim radiowóz zrobił to samo, tyle że zarzuciło nim w drugą stronę. Razem z SUV-em utworzył literę V.

Policjanci wyskoczyli z samochodów i się rozpierzchli, szukając schronienia. Taymoora wśród nich nie było. Najwyraźniej jeszcze go nie zabrali.

Kamal się schował i spojrzał na Nisreen.

– Robimy to?

Jej twarz zastygła w obcą maskę.

– Zaraz pewnie nie będziemy mieli wyjścia.

– Kamalu Ago – rozbrzmiał donośnie męski głos. – Dostaliśmy rozkaz, żeby doprowadzić was na przesłuchanie. Żywych. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – To by według nas było najlepsze rozwiązanie. Ale nie jest jedynym możliwym.

Żeby go przekonać, oddali strzały, dziurawiąc kulami lewy bok SUV-a Kamala i Nisreen.

Kamal zaczekał, a po chwili podniósł się i też zaczął strzelać – raptem zamek jego broni odskoczył i się zaciął. Skończyły mu się naboje.

– Szlag by to! – Spojrzał na Nisreen.

Dyszała ciężko.

– Lepszej okazji nie będzie – stwierdził.

Skinęła głową i zwróciła się twarzą do niego. Położyła oba telefony na ziemi obok siebie i wyciągnęła do niego ręce.

– Chwyć moje dłonie – powiedziała.

Kamal odłożył pistolet i ujął jej ręce w swoje, ale naszała go pewna myśl.

– Zaczekaj – rzekł.

Przysunął do siebie telefony i zdzielił je kilka razy kolbą pistoletu, rozbijając wyświetlacze i posyłając w powietrze kawałki plastiku. Podniósł z ziemi pogruchotane aparaty i wrzucił do jeziora najdalej jak mógł.

– Kamalu Ago – ryknął znowu męski głos. – To nasze ostatnie ostrzeżenie.

Kamal ujął dłonie Nisreen.

– Zrób to.

Wykręciła ręce tak, żeby widzieć swoje przedramiona i odczytać słowa, które tam zapisała.

Popatrzyła mu w oczy.

- Powtarzaj za mną. Dokładnie to, co powiem. Nie wysyłaj mnie tam samej.
- Nie ma mowy – zapewnił ją.
- Kamalu Ago – rozbrzmiał znowu głos. – Wasz czas się skończył.

Oczy Nisreen się zwęziły, zaczęła odczytywać słowa zaklęcia.

Powoli.

Wyraźnie.

Co kilka sylab przystając.

Czekała, aż Kamal po niej powtórzy.

Coraz mocniej ścisnęła jego dłonie. Z każdym słowem.

Z każdą sylabą.

Oczami dając znak, że prawie skończyła, przeszła go spojrzeniem, w którym objawił się całe ogrom miłości i nienawiści, podziwu i udręki. Wreszcie zacisnęła powieki i wypowiedziała ostatnie słowa.

Przez sekundę nic się nie działo.

Kamal zamknął oczy.

I wtedy, bez zapowiedzi, bez żadnych sztuczek, bez ostrzeżenia, przy lekkim jedynie odgłosie opadających ubrań i szumie powietrza poczuł, jak jej uścisk znika. Niczego już nie trzymał.

Zaryzykował szybkie spojrzenie.

Nisreen znikła.

W miejscu, gdzie przed nim kucnęła, zostały tylko jej ubrania – pozbawiony życia, niewypełniony ciałem stosik ubrań.

Zacisnął znów powieki.

Mocno.

Zrobił głęboki wdech.

I powtórzył ostatnie słowa.

FONTAINEBLEAU

MUHARRAM, A.H. 1354 (KWIECIEŃ A.D. 1935)

MOMENT PODRÓŻY TRWAŁ właśnie tyle – moment. Trwał krótko, ale był dla Kamala jak kosmiczny klaps i przeszył go niczym najbardziej intensywne i przerażające doznanie, jakiego kiedykolwiek doświadczył.

Czuł się, jakby jego ciało wydrążono i wywrócono na drugą stronę, a oczy wdeptano w piasek; jakby jego mózg zassał się od środka i skurczył do mikroskopijnej wielkości, a potem nagle eksplodował i się rozszerzył, chcąc wypełnić cały wszechświat. Kamal miał ochotę krzyczeć, musiał wyrzeshzczeć swoje cierpienie, a jednak, co dziwne, nie czuł żadnego bólu i nie miał czasu na krzyk, była tylko zimna, bezgłówna nicość. Każda komórka jego ciała została rozerwana i w okamgnieniu złożona na nowo. Podróż dobiegła końca w tej samej sekundzie, w której się rozpoczęła.

Żył. Był na ziemi, gdzieś – kiedyś – ale żył.

Czuł się skołowany i spocony, zmysły miał otępiałe od brzęczenia o wysokiej częstotliwości, które czuł w uszach, oczy zdawały się płynąć w poszukiwaniu ostrości obrazu. Ale wiedział, że na pewno żyje.

Kiedyś, zaledwie przed rokiem, zaskoczyła go eksplozja w pewnym budynku mieszkalnym w Paryżu. Razem z Taymoorem udał się tam, by aresztować mężczyznę podejrzanego o ekstremizm, a ten wysadził się w swoim mieszkaniu, gdy tylko do niego weszli. Zdołali odskoczyć w tył, na korytarz, ułamek sekundy przed wybuchem, i obaj uniknęli poważniejszych obrażeń. Było to najbardziej obezwładniająca, wstrząsająca ciałem i umysłem uczucie, jakiego kiedykolwiek doświadczył, ale i tak było niczym w porównaniu z doznaniem w tej chwili. A jednak to, jak się teraz czuł – zagubiony, otępiał, zredukowany tylko do najbardziej podstawowych poziomów wrażliwości – przywiodło mu na myśl skutki tamtego wybuchu.

Tym razem mgła rozproszyła się znacznie szybciej i... zobaczył Nisreen. Kuciała na ziemi zwrócona do niego twarzą, tak jak zaledwie chwilę temu, o czym teraz przypomniał mu jego umysł.

Żyła, drżała, lśniła od potu i... była naga. Podobnie jak on, z czego dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę.

Kamal widział jej twarz coraz wyraźniej, a malowały się na niej dzikość, szok

i niepewność. Gdy go zobaczyła, najwyraźniej doznała tego samego co on olśnienia – oplotła się ramionami, żeby ukryć piersi, i zacisnęła uda, lecz usta wciąż miała rozchylone. Kamal opuścił ręce, żeby zasłonić genitalia.

Rozejrzała się z twarzą ożywioną teraz zaciekawieniem.

– Czy my...? – Dotarła do niej pustka, która ich otaczała. – Udało się – dodała, na poły twierdząco, na poły pytająco, pozbawionym tchu, pełnym zdumienia szeptem.

Znajdowali się dokładnie w tym samym miejscu nad jeziorem, gdzie ten sam gęsty las się rozstępował, dając miejsce ustronnej polanie, schodzącej ku spokojnej zielonej wodzie. Nadal świeciło słońce, może nieco niżej i nieco słabiej, ale lśniło bezsprzecznie na bardzo błękitnym niebie.

Zniknęły tylko samochody. Razem z ekipą pościgową.

A mimo to nie byli sami.

Świadczyły o tym niespokojne głosy i piski.

Kamal i Nisreen obrócili się w stronę, z której dobiegły, powiedli wzrokiem wzdłuż brzegu jeziora i zobaczyli grupę ludzi – dorosłych i dzieci, prawdopodobnie dwie, może trzy rodziny z usługującymi im kilkoma służącymi – którzy urządzili sobie piknik i mile spędzali czas, dopóki nie przeszkodziło im nagle pojawienie się pary nagich ludzi.

– *Bok* – wymamrotał Kamal.

Biorący udział w pikniku mężczyźni właśnie się zerwali z miejsc i krzyczeli gniewnie na Kamala i Nisreen, podczas gdy kobiety miały się, by zakryć oczy dzieciom, jednocześnie odwracając własne.

– Wynośmy się stąd – powiedział Kamal, rozejrzawszy się szybko dookoła.

Wszystko było w zasadzie takie, jak zapamiętał, jeśli nie liczyć czterech samochodów zaparkowanych wzdłuż linii drzew, w cieniu, bliżej niego i Nisreen niż uczestników pikniku.

Samochody były stare – naprawdę stare.

Chromowane zderzaki, koła ze szprychami, białe opony, podnoszona przednia szyba, czarny materiałowy dach.

Jak były stare, tego nie był pewien. Nigdy podobnych nie widział na drodze, jedynie na zdjęciach i filmach, i w Imperialnym Muzeum Techniki.

– Tam – rzucił, wskazując pojazdy.

Ruszył w ich stronę z Nisreen tuż za swoimi plecami; mężczyźni dopiero po kilku sekundach zorientowali się, co zamierzają zrobić, i rozpoczęli pościg.

Kamal dopadł do najbliższego auta i otworzył drzwi.

– Wsiadaj z drugiej strony – polecił Nisreen, sadowiąc się za kierownicą, zaskoczony nagle tym, co zobaczył.

Wnętrze samochodu wyglądało zupełnie inaczej niż te, do których był

przyzwyczajony. Auto wydawało mu się dosłownie muzealnym egzemplarzem. Miało cienką kierownicę z masy żywicznej, długą, patykowatą dźwignię zmiany biegów sterczącą z podłogi, dwa pedały i jakiś dziwny trzeci, mniejszy od tamtych, w miejscu, gdzie normalnie był pedał gazu, a ponadto trzy zegary pośrodku pozbawionej czegokolwiek innego deski rozdzielczej i pojedynczy, prosty klucz – klucz, który Kamal teraz pospiesznie przekręcił.

Klucz zrobił ćwierć obrotu w prawo i nie chciał się dalej ruszyć. Nie wywołał też pod maską żadnej reakcji.

Kamal cofnął go i przekręcił jeszcze raz.

Dalej nic.

– Co robisz? – spytała Nisreen.

– Nie wiem, jak go uruchomić – odparł Kamal, wzrokiem gorączkowo badając ascetyczną deskę rozdzielczą przed sobą w poszukiwaniu wskazówek.

Dostrzegł małą okrągłą gałkę sterczącą spod krawędzi deski. Była połączona z długim przewodem znikającym w komorze silnika i Kamal uświadomił sobie, że może włączać ssanie. Pociągnął ją i przekręcił. Wciąż bez rezultatu.

– Gdzieś musi być jakiś przycisk startu – stwierdził, szukając go.

Nisreen oglądała się za siebie.

– Pospiesz się. Prawie już tu są.

Spojrzał do tyłu i gdy zobaczył, jak blisko są ludzie, uznał, że należy zrezygnować z samochodu.

– Wsiadamy – powiedział, otwierając drzwi.

Nisreen poszła w jego ślady, a on obiegnął samochód, złapał ją za rękę i ciągnął do lasu.

Mężczyźni gonili ich, dopóki nie dotarli do linii drzew – tam się poddali.

Kamal słyszał, jak ich pełne złości obelgi cichną, w miarę jak wchodzili z Nisreen w las.

Gdy się upewnił, że nikt ich nie goni, zwolnił kroku, a po chwili się zatrzymał, żeby złapać oddech. Było zimniej niż przed skokiem, zwłaszcza że przebywali teraz w cieniu. Słońce wydawało się bledsze. Cofnęli się o trzydzieści tysięcy dni, co pewnie nie równało się pełnym latom – będzie musiał zająć się tymi obliczeniami później. Na pewno nie był to środek lata, ale też raczej nie mieli do czynienia z zimą. Może była wiosna albo jesień. Ale chłodna. W powietrzu czuć było przenikliwe zimno.

Obejrzał się. Nikt ich nie ścigał.

Zwrócił się do Nisreen. Jedną ręką zakrywała piersi, drugą opuściła tam, gdzie kończą się uda. Zauważył, że ma gęsią skórkę, choć nie wiedział, czy to od zimna, czy ze zdenerwowania. Widok jej kompletnie nagiego ciała był dla niego szokiem. Nigdy nie widział bez ubrania żadnej części jej ciała, na co nie pozwalały surowe zasady

obowiązujące w osmańskim społeczeństwie – zwłaszcza że była żoną jego brata. Przez te wszystkie lata wyobrażał ją sobie oczywiście nago, wyobrażał sobie, jak to by było, gdyby byli razem, ale tylko do tego się wszystko sprowadzało – do jego wyobrażeń. A teraz tutaj nieoczekiwanie objawiła mu się nago i nie mógł oderwać od niej oczu, mimo ich tragicznej sytuacji i tego, czego w ostatnim czasie doświadczyli.

Nisreen to zauważyła.

– Czy mógłbyś przestać się tak na mnie gapić?

Oprzytomniał i zawstydzony odwrócił wzrok.

– Przepraszam. Nie chciałem... – Nie wiedział, co właściwie powiedzieć, więc zamilkł.

Niepewnie obrócił się znowu, chcąc spojrzeć jej w oczy.

Stała odwrócona do Kamala bokiem, ale też patrzyła na niego przez ramię.

– Co?

– Udało się – powiedział. – Jesteśmy tutaj. Gdziekolwiek to „tutaj” jest. Albo kiedykolwiek.

Skinęła głową i odetchnęła z wyraźną ulgą, rozglądając się po otaczającym ich cichym lesie.

– Co to właściwie za czas? – spytał.

– Nie jestem pewna. Musiałam szybko myśleć. Trzeba było skoczyć w tył, do czasów, w których jeszcze nie żyliśmy, inaczej by się nie udało. Więc wymyśliłam sto lat, a to jest około trzydziestu sześciu tysięcy pięciuset dni, zgadza się? Ale tłumaczenie tego trwałoby za długo. Byłoby zbyt skomplikowane. Więc wybrałam zblizoną do tego okrągłą liczbę. Trzydzieści tysięcy.

– To o jakieś dwadzieścia procent mniej – stwierdził Kamal. – Więc cofnęliśmy się o mniej więcej osiemdziesiąt lat?

– Tak sądzę.

Dokonał szybkich obliczeń w myślach.

– Czyli... jest chyba rok 1354^[12]? Czasy panowania...

– Sułtana Bajazyda VI – odpowiedziała.

Kamal zastanowił się chwilę. Wiedział, że była to dla imperium złota era. Z arabskich pustyń płynęła ropa zasilająca nowe, żarłoczne technologie. Kraj się rozwijał, ludzie opływali w dostatki i cieszyli się stabilizacją. Bajazyd, ojciec Murada V, był pełnym godności, łaskawym władcą, podobnie jak później Murad. Promował wymianę kulturalną pomiędzy różnymi społecznościami imperium i organizował doroczne sympozja międzyreligijne w swoim pałacu w Stambule.

– Nie najgorzej – stwierdził Kamal.

– Ale można zmarznąć. To nie lato.

– Nic na nie nie wskazuje, prawda?

Rozejrzał się. Z miejsca, gdzie stał, czyli ze środka lasu Fontainebleau, wszystko wydawało się takie samo jak w ich czasach. Wiedział, rzecz jasna, że poza nim różnice będą ogromne. I te pozytywne, i negatywne.

Ale przynajmniej oboje żyli i byli wolni, co wydawało się najważniejsze.

A także to, że byli razem.

Przyłapał się na tym, że znowu się na nią gapi, i znowu musiał odwracać wzrok. Tym razem dostrzegł jednak na jej twarzy cień uśmiechu.

– A to – rzekł, wiodąc ręką w górę i dół swojego ciała – było, jak sądzę, nieuniknione?

– Tak to działa – odrzekła. – Mówiłam ci.

Nagle na jej twarzy odmalował się wyraz paniki i spojrzała na swoje przedramię. Odetchnęła głęboko z ulgą.

– Co takiego?

Podniosła rękę, żeby zobaczyć zakłęcie.

– Wciąż tu jest. – Spojrzała znowu. – Musimy je gdzieś zapisać. Zabezpieczyć. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby je stracić.

– Jesteśmy teraz tutaj – rzekł. – Ale tak, masz rację. Musimy je zapamiętać. Albo kazać sobie wytatuować.

Obejrzała się za siebie, a jej twarz pociemniała od zmartwienia.

– Może nam się jeszcze przydać. Oni mogą tu po nas przyjść. Znają zakłęcie.

– Musieliby wiedzieć, o ile się cofnęliśmy, żeby za nami wyruszyć.

Jej twarz zapłonęła niepokojem.

– Przeglądarka. W twoim telefonie. Mogą się tego dowiedzieć z twojej historii wyszukiwania.

– Rozbiłem go w drobny mak. I wrzuciłem do jeziora. Powinniśmy być bezpieczni.

– Chyba nie było tam zbyt głęboko – zauważyła.

– Raczej nie widzieli, jak to robię.

– Chcesz zawierzyć nasze życie jakimś „raczej”?

Zmarszczył brwi, zły na siebie.

– Powinienem był zachować na to jeden nabój. – Rozejrzał się dokoła. Odniósł wrażenie, że jest za spokojnie. – Lepiej zatem ruszajmy.

– Dokąd pójdziemy? – Ciaśniej objęła się ramionami, a dłońmi pocierała ciało, żeby się rozgrzać. – Nie mamy ubrań ani pieniędzy, ani w ogóle niczego.

– Wszystko w swoim czasie.

Podniósł wzrok ku koronom drzew. Wciąż mieli jeszcze kilka godzin przed nastaniem nocy. Wreszcie wziął się w garść, podjął decyzję i rzekł:

– Chodź za mną.

DO WIELKIEJ MADRASY Fontainebleau było niedaleko i w innych okolicznościach dojście do niej mogłoby być miłym popołudniowym spacerem.

Jednak wędrówka przez las bez ubrań – Kamal szedł przodem, Nisreen podążała za nim – nie należała do przyjemności. Ale pomimo zimna, które stawało się coraz dotkliwsze, w miarę jak słońce zniżało się ku zachodowi, i mimo że byli zupełnie nadzy, towarzyszące im z początku uczucie zdenerwowania i skrępowania przerodziło się wkrótce w osobliwe doznanie wolności, nieznane im dotąd z uwagi na narzucony tradycją wielowarstwowy strój, który oboje musieli nosić, gdy tylko znaleźli się poza zaciszem własnych domów.

Ich stopy jednak nie widziały w tej wędrówce nic pozytywnego.

Stąpali po trudnym gruncie. Patyki i połamane gałęzie, ciernie, kłujące liście i sosnowe igły, kamienie o ostrych krawędziach i skalne odłamki powodowały – nie przez cały czas, ale niespodziewanie, dlatego było to tym bardziej irytujące – ukłucia bólu. Przejście przez las w niczym nie przypominało spaceru po miękkim, utkanym z mchu dywanie. Nie podążali też żadnym utartym szlakiem. Tyczyli własną trasę, godzinami narażając dwieście tysięcy zakończeń nerwowych w swoich stopach na szwank.

Kamal wiedział mniej więcej, w którym kierunku mają iść, ale dopiero popołudniowe wezwanie do modlitwy dochodzące z meczetu w Fontainebleau okazało się dla nich zbawienną wskazówką. Zbiegło się to z ciemniejącym niebem, które szybko zasnuły chmury, temperatura spadła i panujący chłód stawał się coraz bardziej dotkliwy. Przystawali na krótko przy napotkanych strumykach, żeby się napić i obmyć zadrapania i rozcięcia na stopach. Wyzbyli się też nieco nieśmiałości, oswajając się ze swoją nagością, i nie dbali już tak bardzo o zasłanianie intymnych miejsc.

Kamal, idąc przodem, nie był tak świadomy ich cielesności, jak Nisreen, niemniej podczas kilku odpoczynków musiał się mocno pilnować, by nie wpatrywać się w nią zbyt intensywnie.

Myśli Nisreen zaprzętały znacznie ważniejsze sprawy, w tym niepokojąco radykalny pomysł, który nie dawał jej spokoju, odkąd tylko wykiełkował w jej głowie.

Pomysł, który nie pozwalał o sobie zapomnieć.

Gdy wezwanie do modlitwy wybrzmiało, wiedzieli, że są już blisko. W samą porę.

Chmury pociemniały, zgęstniały i rozpętała się gwałtowna burza. Ziemia nasiąkła i zmieniła się w błoto, a oni dygotali z zimna, które wzmagająca wilgoć wnikająca w ich skórę i włosy. Posuwali się znacznie wolniej w strugach deszczu, a Nisreen zasłaniała przedramię, chroniąc zapisane zaklęcie. Musieli znaleźć miejsce, w którym będą mogli się osuszyć i zdobyć ubranie, ale tak, by nikt ich nie zauważył. Szybko robiło się ciemno, co mogło być w ich sytuacji dobrodziejstwem, ale towarzyszący temu spadek temperatury dawał powody do zmartwienia.

W oddali pomiędzy drzewami, pod niebem, które przystroiło się w całą paletę fioletów i różów, ukazały się pierwsze światła madrasy.

Opadła delikatna mgła, otulając ziemię na szlaku prowadzącym pod górę, do dawnej królewskiej rezydencji. Deszcz ustał, a oni podkradli się ostrożnie, trzymając w ryzach narastające zniecierpliwienie, które odczuwali i któremu towarzyszyła nadzieja, że cień gęstego lasu zdoła ich ukryć. Idąc od południa, chowali się za ostatnią linią drzew graniczącą z wielkim parterem – ogromnym zadbanym ogrodem rozciągającym się przed starym pałacem.

Kamal spostrzegł, że Nisreen trzęsie się z zimna. Sam też dygotał. Odruchowo chciał ją do siebie przytulić i ogrzać, ale nie potrafił, nie był w stanie nawet tego zaproponować. Nie teraz, gdy byli nadzy. Zresztą nie miał pewności, czy jego zimna, mokra skóra zapewniłaby jej choć odrobinę ciepła.

Popatrzył w stronę starej królewskiej rezydencji. Nie zobaczył żadnych straży. Żadnych się zresztą nie spodziewał. To było miejsce spotkań religijnej wspólnoty, a nie pałac sultana. Rozległy kompleks wyglądał spokojnie i niegroźnie, tak jak go zapamiętał. W oknach licznych skrzydeł paliło się światło i oczom Kamala ukazywała się raz po raz ludzka sylwetka. Był to zwyczajny wieczór w madrasie. Po zakończonych modłach jej mieszkańcy zjedzą kolację i udadzą się na spoczynek do swoich kwater.

– I co o tym sądzisz? – spytała Nisreen, szcękając zębami z zimna.

– Musimy się dostać do skrzydeł mieszkalnych, ale tak, żeby nas nie zobaczono. – Pokazał ręką przed siebie i w lewo. – Kiedyś były po tej stronie.

– Kiedyś były – powtórzyła znaczącym tonem Nisreen.

– Chyba raczej będą – poprawił się Kamal z delikatną drwiną w głosie, lekko kręcąc głową. W kierunku, który pokazał, prowadziła długa, otwarta aleja, po obu stronach paradnie wysadzana wiązami. – Przejście aleją byłoby zbyt niebezpieczne. Bylibyśmy za bardzo widoczni.

– Pospiesz się. Zaraz zamarznę.

Rozejrzał się po okolicy i wybrał inną drogę.

– Chodź za mną. I się pochyl.

Poprowadził Nisreen naokoło mokrego parkanu ogrodowego, tak że trzymając się skraju lasu i kierując na zachód, zatoczyli łuk i dotarli nad rozległy staw, ciągnący się

do samego pałacu.

Drzewa wokół niego rosły dziko i schodziły na sam brzeg, co ułatwiło im podejście pod budynek. Poruszali się szybko i tylko od czasu do czasu plusk karpia ukazującego się nad taflą wody mącił wieczorną ciszę.

Stary pałac spowijał już prawie mrok. Przemykali przez Ogród Gołębi, Kamal przodem, Nisreen niemal deptając mu po piętach. Zatrzymał się i wepchnął ją za wysoki bukszpanowy żywopłot, żeby uniknąć spotkania z dwójką spacerowiczów, którzy wyszli pomimo lekkiej teraz mżawki. Gdy się oddalili, Kamal i Nisreen opuścili kryjówkę, minęli fontannę, szemrzącą delikatnie, a potem pokonali wąskie przejście, by dotrzeć na owalny dziedziniec przed meczetem.

Świątynię zbudowano wokół dawnej sali balowej Henryka II, poszerzając ją w obie strony wzdłuż jej centralnej osi, a dobudowane części zwieńczono kopułami. Freski Primaticcia i Niccolò dell'Abbatego dawno znikły, pogańskie obrazy przedstawiające Wulkana, Jowisza i Merkurego zostały już zastąpione przez geometryczne kompozycje z płytek i murale z wykaligrafowanymi cytatami z Koranu. Dzieł takich jak Nimfa z Fontainebleau także nie było, gdyż wyobrażenia istot żywych, ludzi czy zwierząt, były przez islam zakazane. Przetrwało trochę dzieł przedstawiających głównie rośliny i kilka obrazów ukazujących świat fauny, ponieważ z biegiem wieków podejście do tych spraw się zmieniało w zależności od tego, kto zasiadał na tronie. Niektórzy sultani byli niezwykle tolerancyjni wobec tego rodzaju sztuki, czasem do tego stopnia, że zlecali wieszanie swoich portretów w Topkapi w Stambule. Ich bardziej restrykcyjni następcy szybko takie uchybienia naprawiali.

W tym momencie meczet wydawał się pusty.

Kamal i Nisreen skradali się po jego obwodzie, by dotrzeć do wysuniętego najdalej na południowy zachód narożnika kompleksu, gdzie według Kamala powinny się znajdować sale sypialne.

Nie pomylił się. Za niskim murem na długich linkach wisiało, kusząc, kilka sztuk ubrań, jednak nie mogły się im przydać. Były kompletnie przemoczone.

Po drugiej stronie dziedzińca w oknach paliło się słabe światło.

– Zaczekaj tu – zwrócił się Kamal do Nisreen. – Pójdę i zwinę coś dla nas.

Miał już ruszyć, gdy Nisreen wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię.

– Zaczekaj. A co, jeśli cię złapią?

Przykrył jej dłoń swoją.

– Nie martw się.

– Ale...

– Nie martw się. Robiłem już podobne rzeczy. – Wzruszył ramionami. – Choć może niezupełnie tak samo.

– Uważaj na siebie.

Jakieś detale na jej twarzy, choć nie umiałby powiedzieć dokładnie jakie, zdradzały,

że wciąż tkwi uwięziona w piekle tego, przez co przeszła. Ciepło skinął do niej głową. Wiedział, że upłynie wiele czasu, zanim będzie mógł zobaczyć, jak prawdziwy uśmiech rozjaśnia jej twarz – o ile w ogóle kiedyś to nastąpi.

Sam też nie tryskał radością. Wciąż mocno trawiły go smutek i wściekłość.

– Zaraz wrócę.

Zostawił ją na skraju lasu i ruszył w stronę muru.

Niewielka furka z kutego żelaza prowadziła na duży dziedziniec, gdzie wisiały ubrania. Kamal otworzył ją ostrożnie i powoli, żeby nie zapiszczała. Udało się.

Znalazłszy się na ogrodzonym terenie, podkraść się do okna dobrze oświetlonego pomieszczenia i ostrożnie zajrzał do środka. Grupa młodych mężczyzn – zapewne studentów – siedziała na niskich poduszkach, pochylona nad wielkim półmiskiem jedzenia stojącym na dywanie. Był czas posiłku. Co oznaczało, że niektóre pokoje mogą być puste.

Przemknął wzdłuż ściany, minął jeszcze kilka oświetlonych okien, aż dostrzegł jedno, które było ciemne. Podeszedł do niego i zajrzał do środka. Zobaczył dużą salę sypialną z dwoma piętrowymi łózkami, z szafkami i biurkami. Nikogo w niej nie było. Kamal popchnął okno, ale było zamknięte i nie zdołał go otworzyć. Wychłodzony zaczął się zastanawiać nad rozbiciem szyby, ale porzucił ten pomysł, obawiając się, że hałas może zaalarmować kogoś w środku. Ruszył dalej, skradając się przez cały czas wzdłuż ściany; minął kilka kolejnych okien, aż wreszcie natrafił na jedno uchylone. Pokój był ciemny i pusty.

Wdrapał się do środka. Poruszał się szybko, żeby znaleźć to, czego potrzebowali. Ubrania nieszczęśliwie różniły się od tych, do których przywykł w swoich czasach: para luźnych czarnych szarawarów, biała koszula, tunika, kaftan, proste rzeczy uszyte ze zwykłej bawełny, nieozdobione żadnym haftem ani guzikami. Gdy tylko znalazł tę odzież, wciągnął ją na siebie, rozkoszując się ciepłem, jakie mu zapewniła. Ubrany zaczął zbierać rzeczy dla Nisreen. Grzebał w szafkach, sprawdzając, czy ktoś mieszkający w tym pokoju nie jest drobniejszy od tego, którego ubranie sam założył. Były to oczywiście męskie rzeczy, ale w tych czasach, chyba nawet bardziej niż w jego własnych, odzież osmańskich mężczyzn i kobiet nie różniła się zbytnio od siebie, zwłaszcza gdy chodzi o codzienny strój szerokich mas, a nie ceremonialne ubiory bogatszych warstw społeczeństwa. Znalazł to, czego szukał. Wziął dla niej parę spodni, koszulę *gomlek* z długimi rękawami, która będzie jej sięgać zapewne do kostek, kaftan *entari* zapinany od szyi do pasa i ciemnoszary płaszcz *ferace*. Nie zdołał jednak zdobyć woalki, zamiast niej złapał jeszcze jedną koszulę, którą Nisreen będzie mogła owinać sobie wokół głowy.

Nie mógł znaleźć także butów, ale wiedział dlaczego.

Zwinął jej rzeczy w duży tobolek i wyszedł przez okno. Posuwał się wzdłuż ściany, aż dotarł do jasno oświetlonego pokoju. Położył zawiniątko na ziemi i zajrzał do środka. Tak jak się spodziewał, mężczyźni mieli na nogach miękkie domowe klapki.

Obuwie zewnętrzne stało zapewne przy drzwiach wejściowych.

Kamal się cofnął, zobaczył drzwi prowadzące do internatu i postanowił zaryzykować. Zresztą wydawało się, że wszyscy byli zajęci posiłkiem.

Upewnił się, że nikt nie idzie ścieżką za budynkiem, po czym zbliżył się do drzwi i powoli, ostrożnie je otworzył. Wetknął głowę do środka i zobaczył rząd ustawionych przy drzwiach skórzanych butów. Zawahał się, a po chwili usłyszał czyjś głos. Jakaś kobieta szła w jego stronę.

Postanowił zadziałać natychmiast. Wparował do środka, capnął dwie pary obuwia stojące najbliżej, a potem czmychnął, nie kłopotując się zamykaniem drzwi.

Przygnał do ściany i skulił się w cieniu. Snop światła ze środka rozszerzył się i kobieta wyszła na zewnątrz. Stała i rozejrzała się z zaciekawieniem. Kamal wstrzymał oddech. Spojrzała najpierw w lewo, potem w prawo, ale go nie zobaczyła. Postąpiła chwilę, popatrzyła w niebo, jakby chciała odgadnąć, jaka pogoda czeka ich w najbliższym czasie, po czym znikła w środku, zamykając za sobą drzwi.

Podniósł z ziemi tobolek z rzeczami i rzucił się biegiem w stronę furtki. Po chwili dotarł do Nisreen, ukrytej wśród drzew.

– Wziąłem, co było – powiedział, podając jej ubrania. – Pewnie nie są najładniejsze, ale przynajmniej suche.

– Może to być nawet cyrkowy kostium. I tak założę – odrzekła, biorąc od niego rzeczy.

Popatrzyła znacząco i zakreśliła palcem.

Zrozumiał i odwrócił głowę, żeby mogła się ubrać.

Rozgrzani nieco, poczuli się lepiej, ale wciąż byli oszołomieni wydarzeniami mijającego dnia i głodni.

– Co teraz? – spytała Nisreen. – Zostaniemy tutaj? Powinni nas przyjąć, nieprawdaż?

– W skradzionych im ubraniach?

– To rozległy kompleks. Moglibyśmy poszukać miejsca w ich przytułku.

Kamal pokręcił głową.

– Nie. Jesteśmy za blisko miejsca, w którym się tu zjawiliśmy. I to tutaj w pierwszej kolejności przyszliby nas szukać, gdyby zdecydowali się za nami wyruszyć. Wiedzą, że dobrze znam tę okolicę.

– No to dokąd pójdziemy?

Myślał o tym, odkąd się tu zjawili.

– Do Paryża.

NA LEŚNEJ POLANIE nad jeziorem Taymoor stał pomiędzy SUV-em, którym uciekli przed nim Kamal i Nisreen, a brzegiem wody.

W pobliżu kręciło się kilku innych agentów. Jeden sprawdzał wnętrze pojazdu. Pozostałych wysłano do lasu na poszukiwanie zbiegów. Uwagę Taymoora zaprzętało jednak miejsce za SUV-em, kawałek gruntu pomiędzy autem a jeziorem.

Miejsce, w którym ostatni raz widziano Kamala i Nisreen.

Miejsce, w którym zostali osaczeni.

Miejsce, z którego według ścigających ich agentów i policjantów nie było ucieczki.

Nie było ucieczki. A jednak ich tam nie było. Dokonali niemożliwego – uciekli.

Jak?

Posłał ludzi, by przeszukali las i sprawdzili, czy nie ma tam czegoś, co pomogłoby rozwikłać zagadkę zniknięcia pary. Wpatrując się w jałową, suchą ziemię na brzegu jeziora, spoglądając w lewo i w prawo, zerkając ku nieruchomej, migoczącej tafli wody, wiedział, że coś mu umyka. Coś ważnego. Coś, o czym nie został poinformowany, bo i jego partner, i przełożeni z Hafiye uznali, że nie jest tego godny.

Dotarli do niego odgłosy zamieszania i spojrzął w stronę, z której dochodziły. Z lasu wyszło czterech policjantów. Prowadzili dwóch mężczyzn, popychając ich do miejsca, gdzie stał Taymoor.

– Taymoorze Ago – zawołał jeden z nich. – Znaleźliśmy tę dwójkę ukrywającą się w lesie.

Ustawili pojmanych mężczyzn twarzą do niego. Starszy wyglądał, jakby przekroczył czterdziestkę, miał pobrużdżoną, nieogoloną twarz. Młodszy miał dwadzieścia kilka lat, przystojną, gładką twarz i był dość drobnej budowy. Obaj wydawali się przerażeni.

Taymoor wiedział, dlaczego się boją. Wiedział, co robili w lesie.

– Chowali się w krzakach na skraju lasu – oznajmił jeden z policjantów.

– Chowali się w krzakach? I co tam robili? Urządzili sobie mały intymny piknik – szydził, czując, jak złość, że nie został poinformowany o tym, co się naprawdę działo, walczy z niechęcią wywołaną koniecznością odegrania prymitywnego bigota.

– Niczego nie widzieliśmy – wyrzucił z siebie nerwowo młodszy z mężczyzn. –

Schowaliśmy się tylko przed strzelaniną.

– Nie zapytałem, czy coś widzieliście – odrzekł Taymoor chłodnym tonem. – Ale teraz jestem w zasadzie przekonany, że tak właśnie było.

Zrobił krok w kierunku młodego mężczyzny, który spuścił wzrok i wyraźnie się trząsł. Stał tak przez dłuższą chwilę, czekając, aż strach zakipi w każdej komórce ciała chłopaka, i niskim, niemal konspiracyjnym głosem dodał:

– Obaj wiemy, co tu robiliście. I obaj wiemy, jakie byłyby konsekwencje, gdybyśmy was za to aresztowali. Ale jeśli powiecie mi, co widzieliście, to może postanowię zapomnieć o waszych sprawkach. Może nawet całkiem liczych. Co na to powiesz, *habibi*?

W Imperium Osmańskim atrakcyjność przez wieki nie miała związku z płcią. Starsi mężczyźni powszechnie szukali towarzystwa młodych, nieopierzonych chłopców, kierując się romantycznym uczuciem albo potrzebą mentorowania. Osmańska literatura pełna była homoerotycznej poezji wychwalającej zalety takiej uduchowionej miłości. Członkowie pałacowych elit, a nawet niektórzy sułtani nie kryli się z pederastią. Wszystko się jednak zmieniło za rządów Abdülhamida. Obecna polityka zakładała brak tolerancji wobec każdego, kto nie pasował do stworzonej przez państwo wizji idealnego obywatela. Homoseksualizm uznano za poważny występki przeciwko moralności i nieoficjalnie traktowano jak przestępstwo, a jego praktykowanie zostało zepchnięte do podziemia.

Młodzieniec zaryzykował spojrzenie na Taymoora, po czym nerwowo popatrzył na swojego przyjaciela. Twarz starszego z mężczyzn była stężała ze strachu i ociekała potem, lecz jego oczy dały młodemu wyraźny znak, że ma być cicho.

A Taymoor to zauważył.

Szybko uderzył młodego mężczyznę w policzek, po czym mocno złapał za szczękę i zmusił do patrzenia sobie w oczy.

– Moja pamięć ma paskudny zwyczaj błyskawicznego utrwalania wszystkiego, czego byłem świadkiem – powiedział do młodego człowieka. – Na pewno nie chcesz, żeby do tego doszło.

Zamilkł, lecz wciąż wpatrywał się w niego groźnie. Twarz chłopaka zmarszczyła się z przerażenia, a po chwili wykrzywił ją wyraz wymuszonej, niechętniej uległości.

– Było ich dwoje – powiedział Taymoorowi. – Mężczyzna i kobieta.

– I?

– To wszystko stało się bardzo szybko. Wypadli z samochodu i się za nim schowali, potem przyjechali inni. Dwa auta. Mężczyzna zaczął do nich strzelać. – Przerwał i zmrużył oczy, jakby sprawdzał, jaki efekt wywołały jego rewelacje, w nadziei że zostały pozytywnie przyjęte przez pytającego.

– I co dalej?

– Krzyczeli do siebie. Funkcjonariusze chcieli, żeby tych dwoje się poddało. Potem

znów padły strzały. Dużo strzałów. – Znowu zamilkł.

– No i? Co się stało z tym mężczyzną i z kobietą?

Oczy młodego człowieka rozszerzyły się ze strachu. Wbił wzrok w ziemię. I nic nie mówił.

– Dokąd poszli? – spytał Taymoor niskim, chrypliwym szeptem.

Chłopak nadal się nie odzywał.

Taymoor zbliżył się tak, że górował teraz nad wystraszonego dzieciakiem.

– Dokąd poszli?

Młodzieniec spojrział na niego kątem oka, po czym drżącymi wargami powiedział:

– Zniknęli.

Na twarzy Taymoora pojawiło się napięcie.

– Co znaczy „zniknęli”?

Młody człowiek dygotał na całym ciele i nie był w stanie patrzeć na Taymoora. Zaryzykował szybkie spojrzenie, a potem opadł na kolana, ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać.

– Zadałem ci pytanie – wściekł się Taymoor.

– Zniknęli – wymamrotał mężczyzna drżącymi wargami, ledwo ośmieliwszy się podnieść wzrok na stojącego nad nim agenta. – Po prostu rozplynęli się w powietrzu.

Taymoor wpadł w szal. Złapał mężczyznę za włosy i podciągnął go jedną ręką, a drugą zamachnął się, gotów wymierzyć kolejny potężny policzek. Chłopak jęknął i się zwinął w kłębek, przyjmując postawę obronną.

– To prawda... przysięgam – wyrzucił z siebie szybko, żeby uniknąć ciosu. – Po prostu zniknęli. Przysięgam.

Taymoor przytrzymał go chwilę, a potem puścił. Mężczyzna kulił się na ziemi u jego stóp. Agent mu się przyglądał. Nie wiedział, jak rozumieć jego słowa. Wiedział tylko, że nie mają one sensu. Będzie musiał przesłuchać go gdzieś w odosobnieniu, żeby wydobyć z niego prawdę.

Zwrócił się do drugiego z zatrzymanych:

– A ty? Masz coś do dodania?

Starszy z mężczyzn wyglądał na tak samo wystraszonego jak jego młodszy towarzysz.

– Jest tak, jak powiedział – zdołał z siebie wydusić niepewnie. – Oni naprawdę się rozplynęli w powietrzu. Wiem, że to brzmi jak brednie, ale tak właśnie było. Nie umiem tego wyjaśnić.

Taymoor z rezygnacją wzruszył ramionami.

– W porządku. Niech wam będzie. – Skinął do swoich ludzi. – Zabierzcie ich. Spróbujemy jeszcze później.

Policjanci chwycili mężczyzn i zaczęli ich popychać przed sobą w stronę samochodów. Zatrzymani próbowali stawiać opór, a młodszy z nich się zaklinał, że mówi prawdę.

– Nie kłamię... przysięgam.

Taymoor skinął tylko do policjantów, żeby robili swoje.

– On mówi prawdę – powtarzał ten starszy łamiącym się głosem. – Tylko tyle widzieliśmy. Byli dokładnie tam. A potem mężczyzna wrzucił coś do jeziora i oboje po prostu zniknęli.

To sprawiło, że Taymoor zamarł. Pstryknął palcami, a policjanci stanęli w miejscu.

Podszedł bliżej do starszego z mężczyzn, złapał go za włosy i obrócił jego głowę tak, by patrzył mu prosto w oczy.

– Wrzucił coś do jeziora?

Mężczyzna gorączkowo pokiwał głową.

Taymoor zmrużył oczy.

– Pokaż gdzie.

CIEMNOŚĆ BYŁA DOBRODZIEJSTWEM, ale nie musieli się już dłużej ukrywać. Każdy, kto by ich zauważył, pomyślałby po prostu, że dwie skromnie odziane osoby idące skrajem nieutwardzonej drogi to mąż i żona albo brat i siostra. Nie było w nich niczego niezwykłego ani rzucającego się w oczy, gdy wymieniali uprzejme pozdrowienia z tymi, których napotkali po drodze nad rzekę.

Port w mieście Fontainebleau znajdował się niedaleko starego pałacu. Kamal miał silne przeczucie, że znajdują tam to, czego szukają. Wiedział, że Sekwana meandrująca przez miasto, za którym ruszała w dalszą drogę do Paryża i jeszcze dalej, do portu Hawr i kanału La Manche, jest ruchliwym szlakiem transportowym. Nie mogło być inaczej zwłaszcza w tych czasach, kiedy nie było jeszcze wszechobecnych ciężarówek. Barki stale pruły jej wody, przewożąc towary tam i z powrotem po całej francuskiej prowincji. Mogła im zapewnić względnie bezpieczny i nierzucający się w oczy sposób dotarcia do Paryża.

Po kilku ostrożnych próbach spotkali kapitana, który nie zadawał zbyt wielu pytań i zgodził się ich zabrać, nie żądając zapłaty. Usiedli na czystym kawałku pokładu na dziobie barki, opierając się plecami o brezent, który okrywał jakieś palety z dachówkami. Temperatura bardzo spadła, słońce dawno zaszło, a poza tym nad rzeką powietrze i tak zawsze było o wiele chłodniejsze niż na lądzie. Ale niebo się przetarło i nic nie zapowiadało, że będzie padać.

Kamal i Nisreen siedzieli blisko siebie pod migoczącym baldachimem niezliczonych gwiazd, gdy barka ruszyła w nocną drogę.

Przez dłuższy czas żadne z nich się nie odzywało. Patrzyli tylko w przestrzeń, zatopieni we własnych myślach.

To Nisreen w końcu przerwała ciszę.

– Co teraz będzie? – spytała. – Co się z nami stanie? Co, jeśli nie uda nam się wrócić do naszych czasów?

Kamal westchnął głęboko, zmęczony.

– Nie wiem. Nie jest to sytuacja, nad którą bym się kiedykolwiek zastanawiał.

Patrzył, jak jej wzrok błąka się po nieskończonej czerni nad ich głowami, jakby szukała znaku, sygnału, wiadomości z niepoznanego zakątka Wszechświata.

– To jakiś obłąd, nieprawdaż? Budzimy się rano z myślą, że to będzie kolejny normalny dzień, nie mając pojęcia, jakimi jesteśmy szczęściarzami, nieświadomi

tęgo, jak cholernie łatwo nas zniszczyć. Aż tu nagle wszystko zostaje nam odebrane. Wszystko się rozpada. Wszystko, co masz drogiego, całe twoje życie zostaje ci po prostu okrutnie wydarte, a ty nie możesz nic z tym zrobić. Wszystko znika. Ot tak. – Zapatrzyła się gdzieś przed siebie. – Co to za Bóg, który na to pozwala?

– Nie umiem ci na to odpowiedzieć, Nisreen. Ale jeśli kiedyś go spotkam, to na pewno sobie z nim porozmawiam. I nie będzie to przyjemna pogawędka.

Znowu zamilkła.

Po chwili rzekła:

– Czuję się jak w więzieniu. I to takim najgorszym. Bez murów, takim, w którym sama się uwięziłam. I jestem pewna, że już nigdy nie będę wolna.

Kamał milczał. Wiedział, że jej dusza przez jakiś czas będzie żerem dla toksycznej ciemności. Chciał ją mocno do siebie przytulić, znaleźć sposób, żeby ją pocieszyć, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ofiarować jakiś banał, coś w rodzaju, jak to czas uleczy jej rany. Jednak nie umiał się do tego zmusić, zresztą to by na Nisreen nie podziałało, nie po tym, co się wydarzyło.

Sam też tkwił w tym więzieniu.

– Jesteśmy teraz tutaj – odezwał się wreszcie. – Jesteśmy tutaj i jesteśmy bezpieczni. I mamy to coś, tę niewiarygodnie przerażającą, koszmarną zdolność podróżowania do miejsc albo czasów, jakie nam się tylko spodobają. Może powinniśmy dać sobie trochę czasu na oddech, przemyśleć to i owo i potem podjąć decyzję.

– Myślałam o tym przez cały dzień.

– Ja też.

Zamilkła. Po chwili rzekła:

– Jeszcze się nawet nie narodziliśmy. W tych czasach. Jeszcze nie istniejemy.

– A jednak tu jesteśmy.

Wzruszyła ramionami.

– A gdyby tak znalazł się sposób, by zostawić wiadomość dla nas samych... dla nas w przyszłości?

– Co masz na myśli?

– Gdybyśmy tak mogli zostawić sobie wiadomość o tym, co się stało... co się stanie? Ostrzeżenie dla Ramazana, żeby trzymał się z daleka od wytatuowanego pacjenta, który zjawi się w szpitalu, żeby w ogóle się do niego nie zbliżał. Może wówczas to wszystko by się nie wydarzyło. Niczego byśmy się nie dowiedzieli. Oni by po nas nie przyszli. – Jej głos się załamał, gdy powiedziała: – Ramazan, Tarek i Noor nie musieliby zginąć...

Ostatnie słowa prawie uwięzły jej w gardle, dolna warga zadrżała lekko, wilgotne oczy ledwo powstrzymywały łzy, uciekając przed jego spojrzeniem – w końcu dłużej

nie wytrzymała i poddała się obezwładniającej żalości.

Kamal poczuł, jak pęka mu serce.

Zastanawiał się nad tym, co powiedziała, i czekał, aż się wypłacze.

– Może – rzekł. – Ale gdybyśmy to zrobili, co by to oznaczało dla naszej obecności w tych czasach, tutaj? Co by się z nami stało?

Rękawem otarła twarz.

– Nie wiem.

– Nie mielibyśmy powodu, żeby tu przybyć. Nawet nie wiedzielibyśmy, że tak można. Co oznacza, że gdybyśmy ocalili siebie w przyszłości, nadal byśmy tam byli. Pewnie w innej wersji. Ale nie możemy być w dwóch miejscach w tym samym czasie, prawda?

– On mówił, że nie. To jedna z reguł. Zakłęcie na to nie pozwala. – Zastanowiła się chwilę, a potem dodała: – Przypuszczam, że musielibyśmy tutaj umrzeć. W tym czasie. Żeby zrobić miejsce dla siebie w przyszłości. – Niepewnie, ze znużeniem wzruszyła ramionami. – Nie wiem, Kamal. To wszystko to jakieś szaleństwo.

Skinął głową, po czym spytał:

– Ale... chciałybyś?

– Co?

– Czy chciałybyś tutaj umrzeć? W tym świecie?

– Gdyby to oznaczało, że oni przeżyją? Gdybym znów mogła z nimi być? Oczywiście.

– Ale to byłabyś inna ty. Nie taka jak teraz.

– Gdybym mogła znów z nimi być, taka jak teraz czy inna, to byłabym gotowa za to umrzeć. – Przerwała i spojrzała na niego uważnie. – A ty?

Zawahał się przez moment, ale nim zdążył odpowiedzieć, Nisreen dodała:

– Przepraszam. To podłe z mojej strony, że cię o to pytam.

– Nie ma w tym nic podłego. – Wziął ją za rękę. – Oczywiście, że też byłbym gotów. Zrobiłbym wszystko, żeby cofnąć to, co się stało. Żeby oddać ci twoją rodzinę. Naszą rodzinę. Bez wahania. Tylko chciałbym, żebyś to była „ta” ty. I że bym to był „ten” ja.

– Ale to niemożliwe.

– Wiem. – Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. – Może powinniśmy to zrobić. Może też powinienem wysłać sobie wiadomość.

– I co byś sobie powiedział?

– Kazałbym sobie bardziej uważać. Przestrzegłbym siebie, że bym był ostrożny i nie dał się porwać fałszywym ideom, i nie wierzył w kłamstwa, że bym z uwagą przyglądał się temu, co się dzieje wokół. Może spróbowałbym coś zmienić, zanim sprawy zaszłyby za daleko.

To najwyraźniej zaskoczyło Nisreen.

– Chciałbyś coś zmienić?

– Mógłbym spróbować... wiedząc to, co teraz wiemy, po przeżyciu tych kilku ostatnich lat. Mógłbym spróbować. – Olśniła go pewna myśl. – Tak właśnie zrobił Rasheed, prawda? Cofnął się w czasie i zmienił swój świat. Może i ja mógłbym tego dokonać. Może istnieje sposób, by nie dopuścić do takiego obrotu spraw, z jakim mieliśmy do czynienia, nie tylko my, ale wszyscy. To znaczy, spójrz na ten świat, na czas, w którym teraz jesteśmy. Niezbyt go jeszcze poznaliśmy, ale z tego co o nim wiemy, było wtedy lepiej niż za naszego życia, prawda?

– Było zupełnie inaczej... To znaczy, jest – poprawiła się, najwyraźniej wciąż z trudem przystosowując się do nowej rzeczywistości. – Bajazyd był szlachetnym człowiekiem. To były dobre czasy. Arabowie nie rozpoczęli jeszcze swoich ataków, a Amerykanie nie stłamsili naszej gospodarki. Ludzie byli bezpieczni i nie martwili się, że skończą w więziennej celi, bo powiedzieli coś nie tak. Albo że wysadzi się obok nich jakiś wariat. – Odrzuciła w tył głowę i zapatrzyła się w niebo. – Żyłoby się wtedy na pewno lepiej, bez dwóch zdań.

Obserwował ją, przyglądał się jej twarzy, jej każdej zmarszczce, którą zapamiętał i w której się zakochał w ich poprzednim wcieleniu – aż ogarnęła go dzika, pierwotna wściekłość na ból, który zmuszona była znosić.

– Szkoda, że nie możemy być tutaj wszyscy razem – dodała i odwróciła głowę. – To znaczy, gdybyśmy tak mogli wrócić do przyszłości, po nich... zanim się to wszystko wydarzy. Żeby sprowadzić ich tutaj. Rozpocząć nowe życie. – Westchnęła ciężko. – To wszystko jest takie... beznadziejne.

Kamal mógł tylko patrzeć bez słowa, sfrustrowany, jak Nisreen zamyka się w sobie, jak gdyby broniła się przed niewypowiedzianym okrutnym światem, a po chwili milczenia zaczyna cicho płakać i drżeć.

Wahał się, tocząc ze sobą heroiczną, rozdzierającą walkę. W końcu ostrożnie, powoli, jakby sięgał po coś nieskończenie kruche i cenne, oplótł ją ramionami.

Początkowo się nie poruszyła. Po chwili, nie podnosząc wzroku, skapitulowała w tych braterskich objęciach, oparła głowę na jego ramieniu, a łzy cichego płaczu przerodziły się w wezbrany potok udręki.

TAYMOOR WSZEDŁ do gabinetu Celaleddina pełen obaw.

Nigdy dotąd nie był w tym mrocznym pokoju i nie wiedział, czego się spodziewać. W ostatnim czasie wydarzyło się wiele rzeczy, których nie rozumiał. Coś przed nim zatajano i musiał poznać odpowiedzi na pewne pytania.

– Proszę wejść, Taymoorze Ago, zapraszam – powitał go Celaleddin, wstając zza biurka i wskazując otomanę po swojej prawej stronie. – Zdaje się, że masz za sobą dzień pełen wrażeń.

– Evet, paszo – przytaknął, kierując się na wskazane miejsce.

Wielkość gabinetu, jego umiejscowienie, oświetlenie, meble i dodatki – wszystko w nim przywodziło na myśl władzę i było zaprojektowane tak, by onieśmielać. Przez żaluzje Taymoor dostrzegł stare wieżyczki twierdzy, a dalej oświetlone minarety i kopuły miasta. Nawet przy tak ograniczonej perspektywie widok był obłądny. Taymoor mógł się tylko domyślać, jak wspaniałe byłby przy podniesionych żaluzjach albo z balkonu, czy o zachodzie słońca, gdy miasto kąpie się w złocistej poświacie.

Miał za sobą paskudny dzień. Obudzono go w środku nocy i rozkazano natychmiast kierować oblawą na własnego partnera. Znalazł zwłoki czterech swoich agencyjnych braci w jakichś zapomnianych przez Boga i ludzi ruinach na pustkowiu. Strzelała do niego bratowa jego partnera, która jakiś czas potem podobno rozplynęła się w powietrzu. Wreszcie został wezwany do matecznika paszy. Naprawdę paskudny dzień. I nie zanosilo się na to, by nadejście nocy miało przynieść chociaż odrobinę wytchnienia.

Celaleddin spoczął na miękkim siedzeniu naprzeciwko agenta. Szef podniósł rękę i dwoma smukłymi palcami machnął w stronę Taymoora.

– Rozumiem, że zostałeś postrzelony?

Taymoor w odpowiedzi lekko potarł głowę.

– To tylko draśnięcie, paszo. Miałem szczęście. Dziękuję, że pan pyta.

– To niedobrze, że udało im się uciec – dodał Celaleddin.

Taymoorowi wydało się, że wychwycił w tonie przełożonego oskarżycielską nutę.

– To ja jestem odpowiedzialny za tę ucieczkę. Poniosłem sromotną porażkę. Chętnie zadośćuczynię temu, co się stało, jeśli łaskawie da mi pan szansę.

– O, zamierzam zrobić coś więcej, niż tylko dać ci szansę, Taymoorze. Chcę, żebyś dla nas wykonał bardzo, ale to bardzo ważne zadanie. Potrzebujemy cię. Imperium cię potrzebuje. Twój sułtan cię potrzebuje. Widzisz, twoja wspólna przeszłość z Kamalem Agą, twoja z nim zażyłość, twoja znajomość jego sposobu myślenia... wszystko to czyni z ciebie idealnego kandydata do tej misji. Ale będzie ona od ciebie wymagała ogromnej dyskrecji i wielu ofiar. Ofiar, które mogą się okazać... trwałe.

Celaleddin zamilkł. Coś sugerował, ale nie wyrażał się do końca jasno.

Taymoor go nie zawiódł. Czoło mu drgnęło, ale starał się ukryć wszelkie oznaki konsternacji czy wątpliwości.

– Moje życie jest w rękach sułtana, który może z nim zrobić, co zechce, paszo.

– Właśnie tego się po tobie spodziewałem, Taymoorze. – Celaleddin pokiwał głową. – Ale ta ofiara wymaga także, abys zajął stanowisko, które może dla ciebie oznaczać pewien... konflikt.

– Nie istnieją konflikty tam, gdzie jest mowa o służbie mojemu sułtanowi i imperium, paszo.

– Nawet gdy chodzi o twojego partnera?

Celaleddin przyglądał się uważnie młodemu agentowi.

Dosłownie chwilę wcześniej odbył długą rozmowę z Kuzeyem i z bezpośrednim przełożonym Taymoora. Pozostało mu po niej jedno wyraźne wrażenie: owszem, Taymoor i Kamal byli partnerami; owszem, byli sobie bliscy i w chwilach zagrożenia chronili się nawzajem. Ale pojawiał się między nimi rozdźwięk w związku z poglądami na bezpieczeństwo imperium, który z pewnością pogłębił się po tym, jak bratowa Kamala strzeliła do Taymoora. Wydawał się idealny do zadania, które trzeba było wykonać. Posiadał umiejętności operacyjne i nie było osoby, która lepiej od niego znałaby Kamalę Agę, która potrafiłaby myśleć tak jak on i przewidywać jego ruchy. W dodatku Taymoor był kawalerem, i z tego co zdołano się dowiedzieć, nie łączyła go z nikim żadna emocjonalna więź. Nadawał się do tej roboty jak nikt inny. Do roboty, którą Celeleddin po długim namyśle postanowił powierzyć siłom zadaniowym w liczbie jednego człowieka.

Ryzyko związane z alternatywnym rozwiązaniem było zbyt duże i zbyt trudne do wyeliminowania.

Zleci to zadanie jednemu człowiekowi... na razie. Wiedział, że jeśli tym razem się nie powiedzie, zawsze będzie mógł wysłać jeszcze kogoś, kolejne siły zadaniowe. Prawdę mówiąc, gdyby jego przypuszczenia się sprawdziły, mógłby powtarzać tę akcję tyle razy, na ile miałby ochotę. Aż wreszcie by się udało. Celeleddinowi jednak teraz pozostawały jedynie domysły. Dopóki nie spróbował, nie mógł mieć żadnej pewności. Ale spróbować musiał.

Zdawał też sobie sprawę, że może się nigdy nie dowiedzieć, czy Taymoorowi udało się wykonać zadanie. Wymyślił sposób, żeby agent przesłał mu wiadomość z przeszłości, w której utknie, ale nie był pewien, czy się to sprawdzi. Wiedział, że wciąż daleko mu do pełnego zrozumienia zasady działania tego niewiarygodnego fortelu.

– Pozwolisz, że zapytam... Kamal Aga. Co wiesz o tym, co się stało z nim i z jego bratową?

– Nic, paszo.

– Zupełnie nic?

– Nie znajduję żadnego wytłumaczenia dla ich ucieczki, za co gotów jestem ponieść pełną odpowiedzialność.

– Nie chodzi mi o przypisanie ci winy, Taymoorze.

– Mimo wszystko nie powinienem był do tego dopuścić. A jednak nie umiem wyjaśnić, jak doszło do tej ucieczki. Nikt niczego nie widział.

– Nikt?

– Nikt. Ludzie obecni tam na miejscu też nie potrafią tego wytłumaczyć. Nie mamy niczego poza nedorzecznym bredzeniem dwóch zboczeńców, których zatrzymaliśmy na miejscu, ale to, co mówią, nie ma żadnego sensu. Rozwikłałam tę zagadkę, paszo. Znajdę ich.

Celaleddin przyglądał mu się przez chwilę. A potem wstał i podszedł do biurka.

– Wiem, Taymoorze. Prawdę mówiąc, sam dostarczę ci informacji, których będziesz potrzebował, aby tego dokonać. Ale musimy działać szybko. Póki trop jest świeży.

Wziął z biurka kilka rzeczy i wrócił na otomanę. Siadając, położył je na dużym stoliku, który stał między nimi.

Taymoor nachylił się, żeby lepiej widzieć. Zobaczył małą foliową torebkę na dowody rzeczowe i plik wydruków. W torebce były dwa rozbite telefony komórkowe.

– Poznajesz je, oczywiście? – zapytał Celaleddin, stukając palcem w torebkę.

Były to telefony, które zaledwie kilka godzin wcześniej jego nurkowie wydobyli z jeziora.

Skinął głową.

– Tak.

Celaleddin nachylił się i patrzył na niego w skupieniu.

– Ta misja musi być wykonana w absolutnej tajemnicy. Nikt nie może się o niej dowiedzieć. Jeśli się jej podejmiesz, twoje życie zmieni się na zawsze. Nie będzie dla ciebie powrotu.

Taymoor wiedział, że Celaleddin w swoim wywodzie pominął jeden aspekt tej sprawy: że jeśli odmówi wykonania zadania, gdy już będzie wiedział, co się z nim wiąże, nie pozostanie przy życiu.

Agent nawet nie drgnął. Mało tego, tym samym uroczystym tonem co wcześniej zadeklarował swoją lojalność wobec władcy.

– Moje życie należy do sułtana, paszo – powiedział komendantowi. – To on uczyni z nim, co zechce.

– KRÓTKO PRZED ŚWITEM barka zacumowała przy ruchliwym nabrzeżu Bercy.

Największy handlowy port Paryża zawdzięczał nazwę małemu miasteczku, do którego pierwotnie należał, a które już dawno zostało wchłonięte przez metropolię.

Nawet o tak wczesnej porze panował w nim wielki ruch. Barki wpływały i wypływały, część stała zacumowana po pięć obok siebie, czekając na swoją kolej, by załadować bądź rozładować towar. Na nabrzeżu cała armia robotników portowych uwijała się, dokładając starań, by w nienasyconym mieście nigdy nie wyczerpały się zapasy najrozmaitszych dóbr, od pszenicy począwszy, na orchideach i ceramice łazienkowej skończywszy.

Kamal i Nisreen pozostali na pokładzie podczas rozładowywania skrzynek i palet. Było jeszcze ciemno, a kapitan miał w sobie dość empatii, by nie wyrzucać ich na pastwę nocy. Ale gdy tylko zaczęło świtać, a nawoływanie muezinów do modlitwy rozbrzmiało i ucichło, Kamal zaczął odczuwać niepokój związany z tkwieniem w jednym miejscu dłużej, niż to było konieczne, i powiedział Nisreen, że powinni się zbierać. Podziękowali kapitanowi za jego dobre serce i się oddalili.

Gdy tylko opuścili ruchliwe nabrzeże, zmiany, jakie zaszły w mieście do ich czasów, wydały się uderzające. Pierwszą różnicę zauważyli w powietrzu. Nie odbiegało ono od powietrza w lesie, było czystsze i oddychało się nim przyjemniej niż w Paryżu, który znali z przyszłości. Jeździły samochody, autobusy i tramwaje – nieliczne o tej porze, gdy miasto wciąż jeszcze spało – ale w ogóle było ich znacznie mniej. Mniej było także ludzi. Trzy miliony mieszkańców w tym wcieleniu stanowiło zaledwie jedną trzecią liczby osób żyjących w mieście w chwili ich ucieczki.

Prawdę mówiąc, wszystko, zwłaszcza o tak wczesnej godzinie, było bardziej przyjazne dla zmysłów. Ulice wyglądały czystiej i łatwiej dawało się po nich poruszać, nie były też tak upstrzone znakami. Nie istniały światła na skrzyżowaniach. Także mowa ciała mijanych osób wydawała się inna: ludzie poruszali się bardziej płynnie, mniej nerwowo. Nawet budynki były przyjemniejsze dla oka. Niższe, rzadziej rozmieszczone i bardziej ozdobione. Miasto było wyraźnie spokojniejsze – i to na tysiąc sposobów. Może nie wydawało się takie tym, którzy w nim żyli, bo przecież nie wiedzieli, że może być inaczej, zwłaszcza że i tak była to zatłoczona, tętniąca życiem metropolia, zapewne ruchliwsza i bardziej hałaśliwa niż jeszcze nie tak dawno. Ale na Kamalu i Nisreen takie właśnie zrobiła wrażenie.

Bez pieniędzy i odczuwając coraz bardziej nieprzyjemne skutki głodu, ruszyli w stronę miejsca, gdzie jak wiedzieli, będą mogli liczyć na jedzenie i poślanie, w stronę wakfu, takiego jak ten, w którym pracował Ramazan. Kamal wolał nie pytać kapitana barki, czy któryś z kompleksów znanych mu z jego czasów już istnieje. Wiedział, że działa Hurrem Sultan *Küllüye*, ale uznał, że pójście tam może być czymś zbyt oczywistym, a przez to niebezpiecznym. Miał pewność, że jeszcze dwie inne placówki były w ich czasach na tyle wiekowe, że teraz powinny już funkcjonować. Tego rodzaju kompleksy powstawały licznie i rozwijały się wraz ze wzrostem zamożności społeczeństwa i przy stabilnych rządach panujących akurat sułtanów, a to był dla imperium czas dobrobytu i pokoju.

Blżej z tych dwóch znajdował się kompleks Haseki Sultan, na lewym brzegu Sekwany, tuż za Uniwersytetem Sulejmana VI. Nie mając pieniędzy, by skorzystać z jakiegokolwiek formy płatnego transportu, to tam właśnie skierowali swe kroki.

Po półgodzinie stanęli u bram *küllüye*.

Podobnie jak Hurrem, Haseki był wielkim kompleksem budowli. W jego skład wchodziły meczet, pięćdziesięciopokojowy przytułek, przychodnia i dwa budynki. To ich Kamal i Nisreen potrzebowali najbardziej: *imaretu*, publicznej jadłodajni, z której przechodziło się do małego *hanu*, zajazdu przyjmującego wędrowców. Podobnie jak wszystkie wakfy, Haseki podlegał ścisłym regułom. Szczodrość imperium nie wykluczała stosowania jasnych przepisów, według których goście mogli korzystać z poszczególnych instytucji i ich dobrodziejstw. W *imarecie*, gdzie trzy razy dziennie do stołów w ogromnych salach jadalnych zasiadały prawie dwa tysiące ludzi, trzeba było przestrzegać surowej zasady starszeństwa, regulującej, co, komu i w którym momencie przysługiwało.

Kamal i Nisreen starali się jak najmniej wdawać w rozmowy, idąc do recepcji *imaretu*, gdzie Kamal ostrożnie ich przedstawił. Zapożyczył sobie życiorys od własnego ojca, mówiąc, że jest hodowcą drobiu, który przyjechał do Paryża z Périgord. Nisreen była jego posłuszną żoną, która na potwierdzenie tego nie odezwała się ani słowem. Wyczuł pewne delikatne wątpliwości ze strony recepcjonisty, być może wzbudził je ich skromny ubiór. Kamal próbował go przekonać pokorą w swoim zachowaniu i udawaną poufałością, zwierając się urzędnikowi, że nastąpiły dla niego ciężkie czasy po tym, jak na farmie przed miesiącem wybuchł pożar, w którym zginęło całe stado. Ze skromnością i stoickim spokojem powiedział, że przyjechał do Paryża, by poszukać innych możliwości zarobkowania. Podstęp się udał i już po chwili obydwójce otrzymali dokument meldunkowy. Następnie zostali zaprowadzeni do sali jadalnej, gdzie przedstawili rzeczony dokument osobie nadzorującej wydawanie posiłków i zostali zaproszeni do długiej kolejki.

Żywienie się w publicznej jadłodajni nie wiązało się w imperium z żadnym napiętnowaniem. Zamożne rodziny przeżywające trudniejsze chwile jadały tam

równie często jak biedacy. Władcy wypełniali zobowiązania dotyczące karmienia rzesz poddanych, traktując je jako widzialny znak swojej potęgi, pobożności i ich prawowitej władzy; lud zaś uważał możliwość skorzystania z darmowego posiłku za godny pozazdroszczenia przywilej. Osoby cieszące się większym prestiżem – przebywający z wizytą dygnitarze, kupcy, podróżnicy i uczeni – jedli pierwsi i otrzymywali lepszą strawę. Później mogli zaspokoić głód biedacy. Kobiety i dzieci karmione były na końcu.

Kamal i Nisreen jedli z apetytem i w mgnieniu oka opróżnili swoje miski z ryżem przyprawionym miodem i szafranem oraz pochłonęli przysługujące im porcje chleba. Obawiając się demaskacji i tego, że mogliby zostawić jakiś trop, Kamal starał się ograniczyć rozmowę z sąsiadami przy stole do minimum. Wyszli od razu po skończonym posiłku i przeszli przez otoczony kolumnadą dziedziniec prowadzący do zajazdu. Tym razem proces meldowania się przebiegł bez zakłóceń i gospodarz zajazdu szybko uznał za stosowne przydzielenie im niewielkiego pokoiku, z oknem wychodzącym na spadzisty, kryty dachówką dach nad kolumnadą otaczającą kolejny dziedziniec, przy którym stał jeden z minaretów.

Jako podróżni mogli liczyć na trzydniową gościnę. Potem musieli sobie radzić inaczej. Byli wyczerpani i od razu padli na wąskie łóżka, prawie się nie ruszając ani nie odzywając.

Musieli się uporać z tyloma rzeczami, oboje.

Gdy Kamal spojrział na Nisreen, chcąc nie chcąc, poczuł, jak narasta w nim wściekłość na to, co się stało, na to, co jej zrobiono. I choć bardzo się starał pokazać, że z nią jest, pocieszyć ją i ze zrozumieniem wysłuchać, to ona zachowywała dystans i nie bardzo chciała rozmawiać, wciąż pogrążona w myślach, niemal jak w transie.

Sam też miał nad czym myśleć.

Byli bez pieniędzy i dokumentów, nie mieli przyjaciół, rodziny ani żadnych kontaktów. Nie było w tych czasach nikogo, kogo by znali, żadnych życzliwych drzwi, do których mogliby zapukać. Jakby wylądowali na innej planecie. Oczywiście mogliby poszukać swoich dalekich krewnych, przodków, może pradziadków, i poprosić ich o pomoc. Ale co by im powiedzieli i dlaczego ci ludzie mieliby ich uznać za kogoś więcej niż nieznajomych, którymi w istocie byli? Jeszcze bardziej niepokojące było pytanie, czy wkraczając w życie swoich przodków, nie naraziliby się na ryzyko zmiany historii własnego życia, czy nie wpłynęliby na dokonywane przez tych ludzi wybory, które z kolei mogłyby zmienić ich własny los w zupełnie nieodgadniony sposób.

Krok tego rodzaju mógłby mieć tak nieprzewidywalne skutki i mógłby być tak niebezpieczny, że lepiej było nie brać go pod uwagę.

Jednocześnie mieli pewien atut, który mogli wykorzystać. Wiedzieli, co przyniesie przyszłość – wiedzieli, jak potoczą się pewne wydarzenia, i mogli postarać się tę wiedzę spożytkować. Prawdę mówiąc, gdyby postępowali ostrożnie i inteligentnie,

mogliby tu sobie ułożyć całkiem udane życie, i choć hazard był zakazany przez prawo, a giełda w tym czasie dopiero raczkowała, to musiało być mnóstwo innych możliwości, które zdołaliby wykorzystać. Dlatego właśnie jakaś część Kamala pytała: „A gdybyśmy tak tutaj zostali? Gdybyśmy spędzili resztę życia tutaj, w spokoju?”.

Wiedział, że to bezsensowne pytanie.

Głęboki smutek, ból, który wciąż ją dręczył... wszystko to było wyryte głęboko w jej oczach, na jej ustach, na twarzy. Zmiana, jaka zaszła w tych pięknych rysach, była subtelna, ale wyraźnie dostrzegalna dla kogoś, kto znał ją tak dobrze jak on.

Subtelna, ale głęboko wyryta. Podobnie jak w nim.

Odkąd przenieśli się w czasie, gdy tylko jego myślom zdarzyło się zabłąkać – choćby na ulotną chwilę albo dwie – gdy pozwolił sobie zapomnieć o gniewie i pragnieniu zemsty oraz ulec naiwnej nadziei, gdy zdołał porzucić rzeczywistość i dał jaźni zawędrować do krainy fantazji, zawsze wyobrażał sobie, że zostaje w tym nowym świecie z Nisreen i na nowo razem układają sobie życie. Cudownie było o tym pomarzyć, zwłaszcza że coś podobnego nie stanowiło w osmańskim społeczeństwie większego problemu – bynajmniej.

Jako szwagier wdowy miał obowiązek opiekować się osieroconą rodziną brata. Ożenek z nią nie spotkałby się z dezaprobatą; wręcz przeciwnie, byłby powodem do świętowania. W normalnych okolicznościach pomogłoby to wzmocnić tkankę rodziny i zachować należny wdowie spadek. Mówiąc wprost, zerwaliby tylko częściowo z tradycją, która nakazywała wdowom zachowanie żałoby, zgodnie z zasadami trwającej cztery miesiące i dziesięć dni. W tym czasie nie wolno im było się kontaktować w żaden sposób, nawet w obecności przyzwoitki, z jakimikolwiek mężczyznami, których mogłyby poślubić.

Dając się ponieść fantazji, Kamal zastanawiał się, czy z czasem nie zdołaliby zapomnieć o tragedii, która wyrzuciła ich życie do góry nogami, czy ich wspomnienia w końcu by nie wyblakły, czy on i Nisreen nie mogliby razem stworzyć alternatywnego bytu w tym świecie, do którego by się zaadaptowali. Pewnie, że było to samolubne marzenie. To on zawsze tego pragnął i dobrze o tym wiedział. Ale nie wątpił, że taki układ byłby dobry także dla niej – gdyby zdołała odnaleźć znowu szczęście, zapomnieć o bólu i cieszyć się każdym porankiem.

Szkopuł w tym, że było to tylko marzenie. Niemożliwe do spełnienia.

Wiedział, że nigdy się nie urzeczywistni; wiedział, że nie ma takiej możliwości. Każda zmarszczka na jej twarzy to potwierdzała; doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak może się czuć osoba w jej sytuacji i z jej duszą. Wiedział, że nigdy nie znajdzie wytchnienia od udreki, która nią zawładnęła. Ta nigdy nie miała odpuścić. A jeśli już, to tylko wtedy, gdy jego nie będzie w pobliżu, gdy nie będzie jej ciągle przypominał, co się wydarzyło.

Nie istniało dla nich żadne wspólne „długo i szczęśliwie”. Tego jednego był pewien.

Oddalił od siebie tę myśl, doszedłszy do wniosku, że lepiej się na niej nie koncentrować, że bez sensu jest wałkowanie w kółko tego nieszczęsnego pomysłu. Stwierdził, że mądrzej będzie pozwolić, by wszystko ułożyło się samo, i przekonać się, co im przyniesie przyszłość.

Żywiąc przy tym nadzieję, że nie obejdzie się z nimi zbyt brutalnie.

Nie musiało upłynąć wiele czasu, by ta nadzieja okazała się płonna.

KAMAL NAWET NIE drgnął, mimo że wołanie muezina dobiegało z minaretu w pobliżu ich pokoju. Zamiast go obudzić, kojący, śpiewny głos uspił go jeszcze mocniej.

Jednak bęben, którego bicie wzywało na posiłek, zdołał pokonać głęboki sen. I tak ominął ich już posiłek po modlitwie w południe, teraz miał być ostatni tego dnia.

Kamal czuł się zamroczony i dopiero po chwili uświadomił sobie, gdzie jest. Podparł się na łokciach i rozejrzał po obcym pokoju. Przy oknie siedziała Nisreen.

Zapytał:

– Od dawna nie śpisz?

– Nie mogłam zasnąć.

Usiadł.

– Hatun, powinnaś odpocząć.

– Nie mogłam. Przez cały czas myślałam o tym, o czym rozmawialiśmy. O tym, co mogłabym zmienić. Żeby ich ocalić. – Wypuściła powietrze z płuc w długim, bolesnym oddechu. – Wszystko zawsze sprowadza się do jednego. Do braku możliwości powrotu do naszego życia. Myślałam nawet, żeby wrócić do momentu, gdy Rasheed zachorował. Do Paryża jego czasów. Żeby wydobyć z niego zakłęcie umożliwiające podróż do przyszłości... a potem go zabić. Żeby nigdy nie zawędrował do naszych czasów.

Kamal się zasmucił.

– Byłoby bezpieczniej, gdybyśmy po prostu zostawili sobie ostrzeżenie.

– Ale ostrzeżenie może się gdzieś zagubić w ciągu wszystkich tych lat... Albo możemy w nie później nie uwierzyć.

– Wszystko jedno. I tak nie zdołamy wrócić.

– Wiem... ale musi być coś, co da się zrobić. – Jej oczy znowu wypełniły się łzami.

Podszedł do niej i ją przytulił.

– Tak mi strasznie przykro...

Przytuleni stali w ciszy przez dłuższą chwilę. Wreszcie Nisreen odsunęła się powoli.

– Naprawdę musisz odpocząć – powiedział do niej. – Najpierw chodźmy na dół coś zjeść. Wrócimy do tej rozmowy później.

Nisreen usiadła na łóżku.

– Nie jestem głodna.

– Nie wiem, kiedy znów będziemy mogli zjeść posiłek.

Nic nie powiedziała. Wzruszyła tylko ramionami i położyła się do łóżka, naciągając na siebie prześcieradło aż po same uszy, by schować się przed światem.

– Idź sam.

Wewnętrzna pustka, która wypełniała go od kilku dni, jeszcze się pogłębiła, ale nie pozwolił jej się uzewnętrznić. Zamiast tego zaproponował:

– Coś ci przyniosę.

Nie odpowiedziała.

Kolejka po wieczorny posiłek była dłuższa niż rano, a tłum ludzi czekających, aż zostaną zawołani do stołu, kłębił się w wielkiej sali przed wspólną jadalnią. Kamal przeciskał się przez ciżbę w stronę porządkowego, który zwykle pilnował kolejki, gdy zauważył... Taymoora. Właśnie tam, w *imarecie*, rozmawiającego akurat z tym człowiekiem, z którym wcześniej rozmawiał Kamal. Za plecami agenta w tłumie stało dwóch mundurowych z Zaptiye, funkcjonariuszy pochodzących nie z jego czasów, ale sądząc po starodawnych mundurach, miejscowych, których Taymoor najwyraźniej zdołał jakoś skłonić do współpracy.

W czasie rozmowy twarz Taymoora wyrażała napięcie i skupienie, a oczy przeczesywały salę.

Porządkowy potakiwał.

Kamal zaklął pod nosem, zrobił kilka kroków w tył, by wmieszać się w tłum, starając się odgrodzić od Taymoora jak największą liczbą nieświadomych niczego osób. W głowie roiło mu się od pytań. Jak to się stało, że Taymoor się tu znalazł? Jak za nimi trafił? Czyżby znaleźli jego telefon w jeziorze? I co bardziej niepokojące, jak udało mu się tak szybko zorganizować miejscowy oddział pościgowy? Czym przekonał władze w tej epoce, w tym czasie, do udzielenia sobie wsparcia?

Na odpowiedzi musiał poczekać. Kątem oka obserwując byłego partnera, cofał się, aż dotarł do korytarza prowadzącego w stronę zajazdu. Tam zaczął biec.

Jego mózg już odtwarzał topografię całego kompleksu, wytyczając potencjalne drogi ucieczki. Przestraszył Nisreen, wpadając do pokoju.

– Musimy iść. Natychmiast. Taymoor tu jest.

Nisreen popatrzyła na niego zaspanymi, nierozumiejącymi oczami.

– Taymoor? Tutaj?

– W *imarecie*. Szybko. – Kamal złapał ją za rękę i pociągnął, żeby wstała. – Chodźmy.

Uchylił drzwi, wyjrzał.

Na korytarzu było pusto.

– Trzymaj się blisko mnie.

Popędzili w kierunku przeciwnym niż ten, w którym znajdowała się kuchnia, w stronę wejścia do zajazdu przez meczet. Kamal prowadził Nisreen długim, wąskim przejściem, ciało miał spięte, każdy mięsień czujny i gotów do natychmiastowej reakcji, gdy mijali dziesiątki zamkniętych drzwi do sypialni.

Mieli już zejść po schodach prowadzących na parter zajazdu, gdy hałas na dole sprawił, że Kamal stanął. Nachylił się, nastawiając uszu, choć wiedział już, co się dzieje. W ich stronę szli dwaj policjanci, ludzie z Zaptiye, zwerbowani w jakiś sposób przez Taymoora.

– Do tyłu, do tyłu – wyszeptał do Nisreen, kierując ją ze schodów z powrotem w miejsce, z którego przyszli.

Pobiegli korytarzem i mieli właśnie skręcić za róg, za którym znajdował się ich pokój, gdy na końcu długiego przejścia pojawił się Taymoor.

Jego twarz pociemniała i zmarszczyła się gniewnie, gdy ruszył w ich stronę. Kamalowi się zdawało, że spod płaszcza wystaje mu kabura z pistoletem.

Kamal się obrócił i pognął korytarzem w przeciwnym kierunku, ciągnąc za sobą Nisreen. Wiedział, że są w potrzasku, wiedział, że mają tylko jedno wyjście, dlatego złapał za klamkę pierwszych napotkanych za zakretem drzwi i wpadł do małego pokoiku, identycznego jak ich sypialnia.

Pokój był pusty, ale gdyby nawet było inaczej, Kamala to nie obchodziło. Nie zamierzał pozostać tutaj więcej czasu, niż wymagało tego otwarcie okna.

– Tędy – rzucił, przechodząc przez parapet.

– Ale...

– Chodź – ponaglił Nisreen, wyciągając rękę.

Złapała ją, wyszła przez okno i z oczami pełnymi strachu stanęła na spadzistym, krytym dachówką dachu nad arkadą opasającą dziedziniec wielkiego meczetu.

– Przejdziemy po skosie – wyszeptał. – Szukaj podparcia dla stóp na styku dachówek i uważaj na obluzowane.

Skinęła głową.

Sunęli po dachu, przy czym Nisreen zostawiała nieco w tyle, niepewnie stawiając krok za krokiem, aż raptem krzyk gościa z okna innego pokoju w zajeździe i skierowany w nich palec uświadomił im, że czas na jakąkolwiek ostrożność minął.

– Pospiesz się – wychrypiał Kamal.

Spostrzegł, jak przez okno nieopodal wychodzi Taymoor, i przyciągnął Nisreen, ale jej stopa trafiła na obluzowaną dachówkę, która wypadła ze swego miejsca, pozbawiając ją równowagi. Kamal się nachylił i zdążył złapać Nisreen tuż przed tym, jak lawina ceramicznych płytek z głośnym stukiem zeszła w dół, rozbijając się na dziedzińcu, gdzie rozległy się pełne złości krzyki.

Kamal spojrział w górę i zobaczył w oknie Taymoora.

Dwaj agenci splekli płonące spojrzenia, w których były lata przyjaźni przemienionej teraz w lodowatą wrogość.

– Chodź – powiedział do Nisreen, podciągając ją do siebie.

Poprowadził ją, pokonując nisko na nogach resztę dachowej połaci, aż dotarli do jej krawędzi.

Zebrani na dziedzińcu rozwścieczeni wierni przeklinali ich, wygrażając pięściami, a ich złość dodatkowo podsycalo to, że jednym ze sprawców zamieszania była kobieta. Kamal nie zwracał na nich uwagi. Chwycił się krawędzi dachu i przerzucił nogi. Zawisł, trzymając się tylko palcami, i po chwili skoczył. Upadł z niemałej wysokości na twardy bruk. Ciężko o niego uderzył, mimo że ugiął kolana, żeby zamortyzować zderzenie z ziemią. Rzucił się na bok, by siła uderzenia rozłożyła się na pięć punktów ciała, tak jak został nauczony, po czym natychmiast wstał, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Był obolały, ale nic poważnego mu się nie stało.

Nisreen wystawiła głowę nad krawędzią, jeszcze bardziej rozjuszając zebranych na dole gapiów. Niepewnie myślała o skoku. Kamal zignorował zbliżających się do niego mężczyzn i machnął do niej ręką.

– Zawieś się i skacz! – krzyknął. – Złapię cię. Dalej.

Zawahała się, ale przełożyła nogi, zawiesiła się na krawędzi i zwolniła uchwyt. Kamal ją złapał i oboje runęli na ziemię, a wtedy ktoś z tłumu podszedł i szarpnął go za bark. Kamal zerwał się na nogi i mocno odepchnął napastnika, lecz zaraz do akcji wkroczył następny mężczyzna i zamachnął się na niego potężnie. Kamal zrobił unik i odpowiedział hakiem, celując prosto w żebra przeciwnika, czym powalił go na kolana. Do walki przystąpił trzeci, młodszy zapaleniec, wykrzykując dzikie przekleństwa w stronę Nisreen, lecz kopniak w nerki, a potem cios prosto w ucho szybko go uciszyły.

Tłum szalał, wrzeszcząc coraz głośniejsze, lecz na moment przycichł nieco, zdumiony zdecydowaną reakcją Kamala.

Kamal wiedział, że musi działać szybko.

– Odsunąć się, wy psie syny – warknął na mężczyzn, energicznie kierując palec w stronę Nisreen. – Jestem z Hafiyę, a ta kobieta podlega ochronie sultana, słyszyście? Odsunąć się albo poniesiecie konsekwencje.

Absolutne zdecydowanie w jego głosie wywołało w zgromadzeniu pomruk niepewności, co wystarczyło, żeby mogli utorować sobie drogę. Kamal odwrócił się do Nisreen i szybkim ruchem ręki pokazał jej, że ma do niego dołączyć. Ruszyli przez tłum, mocno trzymając się za ręce. Na widok jego groźnie zmarszczonego czoła mężczyźni rozstępowali się niechętnie, żeby ich przepuścić.

Kilku powątpiewających młodszych narwańców wyszło naprzód, żeby zagrozić

im drogę, ale byli w gruncie rzeczy słabeuszami i – podobnie jak innym – brakowało im wykształcenia, jakie otrzymał Kamal. Kilkoma precyzyjnie wymierzonymi ciosami utorował sobie wśród nich drogę i nim pozostali pojęli, co się dzieje, wybiegł z Nisreen z dziedzińca meczetu na ulicę.

Szybkie spojrzenie w lewo i w prawo – typowe paryskie popołudnie, tylko że nie takie, jakie znali. Mniej było ludzi i pojazdów, co powodowało, że Kamal czuł się zdecydowanie za bardzo odsłonięty. Ale czas modlitwy sprawił przynajmniej, że do meczetu zmierzały ze wszystkich stron grupki wiernych, a dzięki temu uciekinierzy stali się mniej widoczni dla dwóch funkcjonariuszy Zaptiye, którzy kręcili się przy wejściu do publicznej jadłodajni przy tej ulicy.

Kamal poprowadził Nisreen chodnikiem w przeciwnym kierunku, oddalając się od jadłodajni i zajazdu. Szli ze spuszczoneymi głowami blisko ścian, poruszając się w rozsądnym tempie, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Bez oglądania się za siebie Kamal, z Nisreen tuż za swoimi plecami, dał nura w pierwszą boczną uliczkę, potem skręcił w następną, zygżakiem oddalając się od Taymoora i jego ludzi i brnąc coraz głębiej w miasto, które wydawało im się zarówno niepokojąco obce, jak i znajome.

PRZESZŁOŚĆ, W KTÓREJ SIĘ znaleźli, różniła się od ich czasów na wiele sposobów, przy czym część tych różnic mogła w ich położeniu okazać się użyteczna, a część niekoniecznie. Akurat w tej chwili brak stosowanej w obserwacji i komunikacji technologii, z której Kamal i jego bracia z Hafiyę korzystali z tak imponującym skutkiem, plasował się wysoko na liście tych pierwszych różnic.

Kamal nie wątpił, że w czasach, z których przybyli, on i Nisreen już dawno zostaliby złapani. Jeśliby nawet udało im się wydostać z zajazdu, Hafiyę zaraz poddałaby ścisłej obserwacji całą okolicę; kamery ulicznego monitoringu, może nawet z wykorzystaniem drona, śledziłyby każdy ich ruch, a wyspecjalizowana ekipa oglądałaby uważnie cyfrowy zapis ze wszystkich urządzeń, koordynując działania pieszych i zmotoryzowanych patroli i zaciskając wokół nich pętlę.

Tutaj jednak nie było telefonów komórkowych, krótkofalówek czy urządzeń wykorzystujących GPS. Kamala i Nisreen teraz musieliby ścigać pojedynczy agenci, piechurzy kierowani ustnymi komendami niebazującymi na żadnych bieżących danych z obserwacji – wolni strzelcy wykorzystujący jedynie własny spryt, żeby wpaść na trop swoich ofiar.

Brak technologii pozwolił Kamalowi i Nisreen uciec.

Posuwali się naprzód bez przeszkód przez ponad godzinę, przemykając wąskimi uliczkami i zaułkami, unikając głównych ulic, gdzie mogliby ich zauważyć agenci w przejeżdżających samochodach. Było to straszne i wyczerpujące, ale innego wyjścia nie mieli. Musieli jak najbardziej oddalić się od Taymoora.

Potrzebowali także kryjówki. Nie mogli ryzykować, odwiedzając zajazd kolejnego wakfu; musieli znaleźć coś mniej oczywistego i bardziej anonimowego, a ponadto potrzebowali pieniędzy. Gdy o nie chodzi, pewien pomysł przyszedł Kamalowi do głowy jeszcze w zajeździe, gdy po raz pierwszy spojrzął z góry na dziedziniec meczetu.

Przemierzając teraz ulice Paryża, mijali kilka meczetów – miasto było nimi usiane, zarówno nowymi, jak i powstałymi z kościołów – i już przed pierwszym z nich Kamal poprosił Nisreen, żeby zaczekała. Nie miał ochoty zostawiać jej samej, ale wiedział, że wchodząc do środka w pojedynkę, będzie się mniej rzucał w oczy.

Do wieczornej modlitwy wciąż pozostało trochę czasu i dziedziniec meczetu był pusty. Kamal sunął ostrożnie naprzód, aż spostrzegł to, czego szukał: stojący

w ciemnym kącie arkady *sadaka taşi* – kamień jałmużniczy. Rozglądając się uważnie wokół, podszedł do niego.

Był to kamienny słup nieco wyższy od Kamala, z wykutą blisko wierzchołka niszą. Miał jedno proste przeznaczenie: zapewnienie eleganckiego sposobu spełnienia muzułmańskiego obowiązku *sadaki* – jałmużny. *Sadaka* według islamskiej tradycji stanowiła o dobrobycie każdej społeczności, ale też była warunkiem koniecznym wiecznego zbawienia każdego pobożnego muzułmanina. Słup pozwalał bogatym anonimowo składać datki – wystarczyło, żeby wyciągnęli rękę i włożyli pieniądze do niszy. Ludzie w potrzebie mogli potem podejść i wziąć tyle, ile im było potrzeba, pozostawiając resztę dla innych. Dzięki temu biedacy nie musieli się upokarzać żebraniem na ulicy, a bogaci mogli w elegancki, niechępliwy sposób wypełnić religijny obowiązek. Słupy często trudno było zauważyć, kryły się bowiem w spokojnych zakątkach meczetów albo na ich dziedzińcach, zapewniając dyskrecję zarówno dającym, jak i biorącym, niemniej ich obecność była pewnikiem.

Kamal dobrze znał etykietę związaną z braniem pieniędzy, ale w tej chwili musiała ona zejść na dalszy plan, ustępując miejsca potrzebie przetrwania. Nie czuł wielkiego wstydu, opróżniając niszę w słupie w tym meczecie i w czterech kolejnych, które mijali podczas swej szybkiej, niezaplanowanej wędrownki w poszukiwaniu schronienia. Pod koniec mieli dość pieniędzy, by kupić bilety na tramwaj i udać się na drugą stronę miasta, do chrześcijańskiego getta kulącego się w cieniu wzgórza Montmartre.

Montmartre jako jedna z nielicznych dzielnic w mieście pozostała w głównej mierze chrześcijańska. Jej religijne korzenie sięgały głęboko w przeszłość: biskup znany jako Święty Dionizy został tutaj ścięty przez Rzymian kilka wieków przed nastaniem islamu. W miejscu, gdzie podobno zginął, wciąż stał niewielki klasztor, a resztę wzgórza zajmowało znacznie większe opactwo benedyktynów, wznosząc się nad osadą, która wyrosła u jego podnóża.

Kamal znał przyszłą topografię tej okolicy ze swej pracy śledczego. *Hafiye* jego czasów musiała się zmagać nie tylko z zagrożeniem ze strony arabskich islamistów, ale też z terrorystami chrześcijańskimi. *Uraza*, która dała początek ich działalności spiskowej, nie była znana i obecna w Paryżu, w którym znaleźli się teraz z *Nisreen*. Miasto nie zaznało jeszcze gospodarczego krachu po gwałtownym spadku cen ropy. *Uraza* ta była odpowiedzią na ksenofobiczną, autorytarną politykę *Abdülhamida III* i jego prowokacyjną, stwarzającą podziały retorykę, a reakcyjne siły w Ameryce podsycaly ją jeszcze propagandą i przesyłaną gotówką. Wcześniej – w czasach, w których znaleźli się obecnie Kamal i *Nisreen* – mniejszości chrześcijańskie i żydowskie w całym imperium współistniały zgodnie z muzułmańską większością, jeśli nawet ich członkowie pod wieloma względami byli obywatelami drugiej kategorii. I jak to z mniejszościami bywa, gromadziły się zwykle i żyły na ograniczonym terenie, tak jak chrześcijanie na Montmartre.

W czasach, z których pochodzili Kamal i Nisreen, ukrywanie się tam byłoby złym pomysłem. Społeczność chrześcijańska naszpikowana była informatorami, za wszelką cenę pragnącymi wkupić się w łaski państwa. W epoce, do której przybyli, sprawy miały się inaczej. Chrześcijanie nie zostali jeszcze napiętnowani przez populistyczne zapędy sułtana i nie mieli paranoi na punkcie swojego bezpieczeństwa. Okolica nie była wroga przybyszom, a prowadzone w niej firmy nie zamykały swoich podwoi przed muzułmanami ani żydami. I to dlatego Kamal i Nisreen nie rzucali się zbyt w oczy ani nie wyróżniali się z tłumu, gdy weszli do małego, skromnego zajazdu, udając męża i żonę.

Tam mogli wreszcie dać odpocząć zmęczonym członkom i nieco odetchnąć.

Ale jak długo?

KOLACJA BYŁA PROSTA, ale sycąca, składała się z dane, potrawy z baraniny i ryżu, po której podano zirbaç, deser z rodzynek, śliwek i migdałów. Jedli sami w małej rodzinnej restauracyjce rzut kamieniem od zajazdu, prawie nie rozmawiając ze sobą, po pierwsze dlatego, że byli bardzo zmęczeni, a po drugie – żeby ich nikt nie podsłuchał. Nisreen ledwo tknęła jedzenie, a Kamal, jak zauważyła, był tak miły, że tylko raz o tym wspomniał. Choć jej organizm wyraźnie domagał się posiłku, to nie miała siły jeść. Z trudem znajdowała w sobie energię, by oddychać.

Chwila wytchnienia od strachu i ucieczki sprawiła, że koszmary minionej nocy zaatakowały z jeszcze większą mocą. Smutek zepchnięty na bok przez pęd ku przetrwaniu powrócił tak głęboki i obezwładniający, że Nisreen prawie nie była w stanie ruszyć palcem. Jej mąż i dzieci odeszli na zawsze. Pogodzenie się z tym było niemożliwe. Ciągle do tego wracała, w kółko od nowa, jej mózg odmawiał przyjęcia tego, co się stało, do wiadomości i przez cały czas szukał drogi wyjścia, jakiegoś szczegółu, który dotąd pomijała, a który mógłby przywrócić ich do życia. Być może bardziej niż rozdzierający smutek dobijało ją przytłaczające poczucie bezsilności wobec okrutnej nieodwracalności tego, co się stało.

Wrócili do pokoju. Przydałyby się im kąpiel i zmiana ubrań, ale jedno i drugie musiało poczekać. Oboje byli zbyt skonani, by zrobić cokolwiek, padli tylko na łóżka ze wzrokiem utkwionym w sufit.

Nisreen pierwsza przerwała ciszę.

– To się nigdy nie skończy, prawda? – rzekła. – Stale będą nas ścigać. To znaczy, sam wiesz, jacy są, wiesz, jak działają. Nigdy nie odpuszczają.

– Nie, nie odpuszczają. Nie przy takiej stawce.

– Czyli teraz takie ma być nasze życie? Przez cały czas będziemy się oglądać za siebie z lękiem, kto się tam może pojawić?

Kamal wzruszył ramionami.

– Możemy przenieść się w inne czasy. Spróbować ich znowu zgubić. Upewnić się, że tym razem nie zostawiliśmy żadnego tropu.

– Ale nigdy nie będziemy pewni, czyż nie? Zawsze będzie istniało prawdopodobieństwo, że nas namierzą. Liczba agentów, których będą mogli za nami posłać w taką czy inną przeszłość, jest nieograniczona. Co oznacza, że zawsze będzie nam towarzyszyć ten strach, ta niepewność.– Przekreśliła się na bok, żeby go

widzieć. – Ja tak nie potrafię. Nie będę tak żyć.

– Możemy nie mieć wyboru.

– Zawsze jest wybór.

Pomysł, który przyszedł jej do głowy, gdy płynęli barką minionej nocy, powrócił i zaprzętał jej myśli. Pojawienie się Taymoora tchnęło w ową koncepcję nowe życie; złość i poczucie bezsilności dodały jej skrzydeł.

– To, co mówiłeś w nocy... że chciałbyś coś zmienić – powiedziała. – Że chciałbyś wykorzystać to, co wiemy, by uczynić świat lepszym... Może tu chodzi o coś większego niż tylko o nas. Może nie chodzi o to, byśmy obmyślili tylko sposób, jak powrócić do naszego dawnego życia. Może to wszystko wydarzyło się ze znacznie ważniejszego powodu.

– Co masz na myśli?

– Świat, który znamy... czasy, z których przybyliśmy, czy te, w których teraz jesteśmy... nie tak miały wyglądać.

Kamal popatrzył zdumiony.

– On je zmienił. Rasheed. Wszystko to – rozłożyła ramiona – wygląda tak, jak wygląda, przez niego. Imperium, nasz styl życia wciąż funkcjonuje, bo on się o to postarał. Ale nie powinno tak być.

– O czym ty mówisz, Nisreen?

– Jesteśmy tu, tutaj czy w czasach, z których przybyliśmy, bo on zmienił historię. Gdyby nie on, nie tylko nic z tego, co tu zastaliśmy, lecz także całe nasze życie w ogóle by nie zaistniało.

– Twierdzisz, że zawdzięczamy mu nasze istnienie?

– Twierdzę, że wszystko, co wiemy o naszym świecie, jest kłamstwem. Wypaczeniem, historycznym oszustwem. I uważam, że powinniśmy to naprawić.

Kamalowi opadła szczęka.

– Naprawić? To nasz świat.

– Jest zafałszowany.

– Nisreen...

– Jest fałszem, Kamal – obstawała twardo przy swoim. – Nie tak miał wyglądać.

– Rasheed ocalił imperium i sprawił, że jego władza rozciągnęła się na pół świata – odparował Kamal.

– Wypaczył historię.

– Na naszą korzyść. Na korzyść ludzi takich jak my.

– I na szkodę milionów innych. Ludzi, którzy mogliby, którzy powinni zaistnieć. Którzy powinni przeżyć swoje cudowne albo tragiczne, szczęśliwe bądź nieszczęśliwe życie, ale przez niego nie dostali szansy.

– Za to dostały ją miliony innych, w tym my.

Nisreen prychnęła.

– I popatrz, jak to się skończyło.

Kamal odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, i potarł oczy.

– Świat, który opisał, w takim kształcie, w jakim istniał, zanim go zmienił... cóż, też trudno go nazwać rajem, nie uważasz?

– To prawda... ale chyba żaden świat nim nie będzie, nie sądzisz? Nasz wcale nie był lepszy. Znając ludzką naturę, a ty akurat mogłeś ją poznać bardzo dobrze, chyba nie wierzysz, że świat bez konfliktów jest w ogóle możliwy?

Nie musiał odpowiadać.

– Posłuchaj, nie ma tak naprawdę znaczenia, czy świat, który znał Rasheed, był dobry czy zły – przekonywała go dalej. – Ale z tego, co mówił, wydawał się znacznie lepszym miejscem pod jednym zasadniczym względem: pod względem wolności. Ludzie cieszyli się wolnością, o jakiej my nie możemy nawet pomarzyć. Mogli mówić, co chcieli, żyć, jak chcieli, jeździć, gdzie chcieli. Mogli nawet wybierać swoich przywódców. Głosowali. A w świecie tak otwartym, gdzie ludzie bez obaw mogą wyrażać to, co myślą, gdzie mogą uczestniczyć w debatach dotyczących ważnych dla nich spraw, na pewno nie znalazłoby się miejsce dla kłamstw, dla manipulacji i korupcji, które musieliśmy znosić. W takim świecie ludźmi nie mogliby rządzić bandyci trzymający ich żelazną ręką. Tamci ludzie mogli sami wpływać na swoje życie. A nam to nie będzie dane ani tu teraz, ani nigdy.

– Tak, ale...

– Świat Rasheeda nie był jakimś wyjątkowo strasznym miejscem, Kamal. On wcale nie ocalił nas przed koszmarną egzystencją. A jeśli nawet, to nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że zdecydował za nas. Jeden człowiek. Morderca. Brutalny, bezwzględny zabójca. Jeden człowiek zdecydował o tym, jak wszyscy będziemy żyć. Odebrał wolność milionom ludzi. Odebrał im życie. A to nie może być słuszne.

Trochę potrwało, zanim Kamal jej odpowiedział. Wydawał się męczyć, szukając sposobu na obalenie jej argumentacji i próbując ogarnąć umysłem ogrom tego, do czego zmierzała.

– Nie byłby to pierwszy raz, gdy zdecydował o tym jeden człowiek – rzekł w końcu.

– O czym ty mówisz?

– Przez cały czas żyjemy według nauk jednego człowieka.

Tym razem to Nisreen doznała szoku.

– Powiedz mi, że wcale tak nie myślisz.

– Próbuję tylko powiedzieć...

– Nie sugerujesz chyba, że Rasheed jest jakimś świętym wysłannikiem – weszła mu w słowo – prowadzonym boską ręką?

– Sam nie wiem – odrzekł Kamal. – Że posiada boską moc, to pewne.

– Pozyskał ją brutalnością i przemocą – odparła gniewnie Nisreen. – Od człowieka, który był jego więźniem. Od człowieka, którego zabił. Czy to według ciebie świadczy o boskości?

– Oczywiście, że nie, ale...

– A idąc tym tropem, kto może stwierdzić, czy i nas nie prowadzi boska ręka? – naciskała.

– Nas?

– A dlaczego nie? Może taki był boski plan, żebyśmy się z tym zetknęli. Żebyśmy wszystko naprawili. Przecież to tak samo prawdopodobne, czyż nie?

Kamal zaniemówił.

– Nie ma w tym nic boskiego, Kamalu. To znaczy, nie ma takiej możliwości. Nie wiem, skąd pochodzi to zakłęcie. Nie wiem, dlaczego przed laty zostało wyryte na ścianach tamtej krypty. Wiem tylko, że wszystko, co widzisz, nie wygląda tak, jak powinno. On to zmienił. Ukradł historię. A to nie może być słuszne.

– A skąd wiesz, że ktoś inny nie zmienił świata już przed nim? Skąd wiesz, że świat, który Rasheed opisał, wyglądał tak, jak powinien? Może wcześniej istniała jeszcze inna rzeczywistość, którą ktoś zmienił. A przedtem jeszcze inna. Można tak to ciągnąć w nieskończoność.

– Być może. Nie wiem. – Była sfrustrowana. Ale się nie poddawała. Przypomniały jej się pierwsze sprzeczki, do jakich dochodziło między nimi, gdy sprawy przybrały zły obrót, gdy Paryż zaczął się ślaniać, uciskany rządami nowego sułtana. – Ale wiem, co on zrobił. I wiem, jestem pewna, że to było złe. Mamy do czynienia z oszustwem, z kłamstwem, z nikczemnym pokalaniem tego, jak wszystko miało wyglądać. I musimy to naprawić.

– Naprawić?

– Musimy go powstrzymać.

Oczy Kamala zrobiły się wielkie ze zdumienia.

– Chcesz powstrzymać Rasheeda... przed czym? Przed doprowadzeniem do tego, żeby to wszystko zaistniało?

– Tak.

– Sami istniejemy... żyjemy dlatego, że on zrobił to, co zrobił.

– Wiem. Ale to fałsz. A my możemy wszystko zmienić.

– To... szaleństwo.

– Czyżby? On to zrobił. Dlaczego my nie możemy?

– Bo... bo to...

Czekała, aż Kamal dokończy, ale nie zdołał. Nie było żadnego „bo”.

– Możemy temu zapobiec – nie odpuszczała. – Możemy cofnąć się w czasie i powstrzymać go przed zmianą historii.

– Nisreen...

– Pomyśl tylko – przerwała mu. – Widziałeś, jak się to wszystko skończyło. Być może tego nie dostrzegaleś, ale żyliśmy w strasznych, naprawdę strasznych czasach. Ludzie byli zamykani w więzieniach za wyrażanie swoich myśli, za sprzeciw wobec sultana, którego służby nie zawahały się zamordować mojego męża i moich dzieci, żeby bronić tego... tego wielkiego oszustwa. – Usłyszała drżenie w swoim głosie, poczuła napływ łez, ale mówiła dalej. – Rządził nami zidiociały brutal, a kto wie, jak bardzo jeszcze pogorszy się sytuacja. Powstrzymanie go, naprawienie tego koszmaru... może to najlepszy sposób uczczenia pamięci Ramazan, Tareka i Noor. Dzięki temu może ich śmierć nie byłaby daremna.

KAMAL POCZUŁ SIĘ pokonany niezwykle żarliwością jej przemowy.

Mimo wszystko to, co proponowała, zakrawało na... zuchwałość, jeśli nie na obłąd.

– A więc nie pragniesz już zemsty? – spytał.

– Co masz na myśli?

– Zanim skoczyliśmy, mówiłaś, że chcesz, żeby wszyscy umarli. Celaledin, ci, którzy posłali za tobą, to znaczy za nami, pościg. Pragnęłaś śmierci ich wszystkich. Moglibyśmy przenieść się w przyszłość i o to postarać. Nie wiedzieliby, że się na nich zamierzamy.

– Przecież nie znam zaklęcia przenoszącego w przyszłość, zapomniałeś? Wiem tylko, jak się cofać w czasie.

– Może zdołalibyśmy się go domyślić.

– Może. Ale to wydaje mi się o wiele ważniejsze.

– Chcesz uczcić pamięć Ramazana i dzieci? – naciskał. – To może cofnijmy się o kilka lat... nie wiem, pięć, dziesięć... żeby się uwolnić od Taymoora? Może ucieknijmy stąd do jakichś bezpiecznych czasów i tam się zastanówmy, jak zmienić przyszłość naszą i przyszłość tego świata? Dlaczego chcesz to wszystko zniszczyć? Bo z tego, co mówił Rasheed, tak by było, nieprawdaż? Imperium do jego czasów nie przetrwało.

– To by nie oznaczało żadnej naprawy. Może imperium wcale nie powinno było przetrwać. Zresztą takie rozwiązanie nie wchodzi w grę, bo oni wiedzą, że tu jesteśmy. Przez cały czas będą nas szukać; wiesz, że tak będzie. Mogą wysłać grupę ludzi kolejnych dziesięć, dwadzieścia lat wstecz; mogą zostawić ostrzeżenia przed nami w całym imperium, w całej jego historii, żeby mieć pewność, że jesteśmy totalnie osaczeni. Znamy prawdę i możemy ją wykorzystać. Stanowimy dla nich ogromne zagrożenie. A każda próba zmiany, każda próba ostrzeżenia przed nadciągającymi złymi czasami będzie niczym flaga obwieszczająca, gdzie jesteśmy. Tylko się w ten sposób zdradzimy. Nigdy nie zostawią nas w spokoju. Nie, jest tylko jeden sposób, żeby to naprawić, jeden sposób gwarantujący, że nigdy nas nie znajdą,

jeden sposób, żeby wprowadzić trwałe zmiany, tak by nikt nigdy nie mógł cofnąć tego, co zrobimy, i byśmy wreszcie odnaleźli spokój. Przede wszystkim trzeba się postarać, żeby do tamtej ingerencji w historię nigdy nie doszło, a to oznacza powrót do źródła problemów. Czyli do Rasheeda. Musimy go powstrzymać, zanim cokolwiek zmieni.

Kamal nie potrafił znaleźć kontrargumentu.

– Gdybyśmy nawet chcieli, toż to przecież niemożliwe.

– Jemu się udało.

Kamal nerwowo i z napięciem wypuścił powietrze.

– Czyżbyś chciała...

– Chcę wrócić do jedyne miejsca i czasu, o których wiemy, że się w nich znalazł. Do jedyne miejsca, w którym możemy go znaleźć; do miejsca, gdzie się to wszystko zaczęło. Na pola pod Wiedniem w miesiącu ramadan tysiąc dziewięćdziesiątego czwartego roku^[13].

– Chcesz się przenieść do roku tysiąc dziewięćdziesiątego czwartego?

– Tak.

– I co wtedy zrobisz?

– Zamierzam dopilnować, żeby armia sułtana nie zajęła Wiednia. I chcę zabić Aymana Rasheeda, bo tylko wtedy będziemy mieli pewność, że nie cofnie tego, co zrobimy.

– Chcesz go zabić?

– Tak. Nie widzę innego wyjścia.

Ze wszystkiego, co właśnie usłyszała, to zdanie wstrząsnęło nim najbardziej. Nisreen – pełna wiary w ideały, prawa, zasadnicza Nisreen – znowu mówiła o zabijaniu, i to zupełnie spokojnym głosem. Nie tylko spokojnym. Mówiła z chłodnym zaangażowaniem.

Świat naprawdę stanął na głowie.

– Zresztą – dodała – nie zapominaj, że Rasheed wciąż gdzieś tam jest. Uciekł. Wrócił do przeszłości. I tak samo może wrócić do naszych czasów. Do każdego czasu. Może nas znaleźć. Może się tu jutro pojawić. A ten twój pomysł, żeby cofnąć się o kilka lat i zmienić naszą przyszłość... on bez trudu będzie mógł odkręcić to, co zrobimy, jeśli mu się coś nie spodoba.

– Tak samo jak Celaleddin i jego ludzie – zauważył Kamal.

– Nie, jeśli wrócimy do źródła. Jeśli powstrzymamy Rasheeda, zanim cokolwiek zmieni. Jeśli tak postąpimy, Celaleddin nie będzie częścią naszej przyszłości. Nie będzie go i nie będzie mógł nikogo za nami posłać. Nigdy nie zaistnieje.

– Podobnie jak my?

– My będziemy już w przeszłości.

– Tak, ale trafimy do niej z przyszłości, której nigdy nie było.

– Była, gdy my w niej byliśmy. A wtedy będziemy już w przeszłości. Nie obrócimy się nagle w pył ani nie przestaniemy istnieć z tego powodu. Rasheedowi się to nie przytrafiło.

Kamal przyglądał się jej przez chwilę oszołomiony tym, co usłyszał. Musiał zawrócić ją z tej drogi, musiał ją powstrzymać – i to nie ze względu na imperium, ale dla jej własnego bezpieczeństwa.

– Nisreen, czy ty siebie słyszysz? Naprawdę chcesz znaleźć się w strefie wojny i zabić najbardziej cenionego doradcę sułtana? Myślisz, że możesz się tam ot tak pojawić i do tego doprowadzić? Jak? Jak się do niego dostaniesz? I jak twoim zdaniem mogłabyś go zabić? Nie było wtedy takich pistoletów jak nasze. Były muszkiety. Wiesz w ogóle, jak się nimi posługiwać?

– Nie. – Jej oczy wciąż płonęły dziko, ale przygasły odrobinę, gdy dodała: – Ale możesz mnie tego nauczyć.

– Skąd ci przyszło do głowy, że ja potrafię? Nisreen, to szaleństwo. To samobójstwo... W dodatku to nie w porządku wobec wszystkich, którzy...

– Zrobię to, Kamal. Tak trzeba. Moje życie tutaj nie ma żadnego celu, żadnego sensu. Co mielibyśmy tutaj robić? Rozpocząć nowe życie w tych czasach, samotni w świecie obcych ludzi, nie mając nikogo poza sobą nawzajem, nikogo, kto by coś dla nas znaczył? Chcesz, żebym brnęła przez resztę swoich dni, udając, że się nic nie stało? Może potrafisz żyć w takiej pustce, ja nie. Nie chciałabym. I nie mogłabym siedzieć z założonymi rękami i nic nie robić, wiedząc to, co wiem. Jesteśmy winni historii naprawienie tamtego oszustwa. A przynajmniej musimy spróbować. Jeśli nie zamierzasz mi pomóc, to naprawdę nie mamy o czym ze sobą rozmawiać.

Zerwała się do drzwi i szarpnęła za klamkę, ale nim dała krok za próg, Kamal rzucił się w jej stronę i nie pozwolił ich otworzyć.

– Nisreen, proszę cię...

– Zejdź mi z drogi. – Próbowała uchylić drzwi i się obok niego przecisnąć.

Oparł się o skrzydło plecami i wyciągnął ręce, łapiąc ją za barki.

– Nisreen, posłuchaj mnie, nie chodź...

Strąciła jego dłonie.

– Daj mi spokój.

Nie ustępował, wyciągniętą ręką blokował teraz drzwi, nie dając Nisreen ich otworzyć.

– Nie. Nie pozwolę ci umrzeć gdzieś w zapomnianej przez Boga i ludzi przeszłości. Przemyślmy to dokładnie.

Odepchnęła jego rękę, a jej gniew zaczął przechodzić we wściekłość.

– Właśnie przemyśleliśmy. Trzeba to zrobić.

Poruszył się, chcąc ją wziąć w ramiona, ale odtrąciła jego rękę. Oboje zamilkli i tylko wpatrywali się w siebie w brzemienną ciszę.

– Jak możesz nie widzieć, że to jedyne słuszne wyjście?

– Nisreen...

Pohamował się, zaskoczony niemożliwą do zniesienia mieszaniną złości i rozczarowania, które lśniły w jej oczach.

Dyszała ciężko, wpatrując się w niego gniewnie. W końcu pokręciła powoli głową.

– Gdzie się podział dawny Kamal? – rzekła. – Byłeś kiedyś taki... śmiały. Taki niezłomny i nieokiełznany. Kiedy wstąpiłeś do Hafiye, pomyślałam: „Dlaczego?”. Jesteś inteligentny; mogłeś sobie wybrać wiele bezpieczniejszych, lepiej płatnych zawodów. Ale nie. Powiedziałaś, że chcesz coś zmienić, pamiętasz? I nie masz pojęcia... nie masz bladego pojęcia... jak bardzo cię za to podziwiałam. Poświęciłeś życie dla nas, dla tego miasta. Dla obcych ludzi. A gdy doszło do pierwszych ataków bombowych, nie spałam po nocach, martwiąc się o ciebie. Zastanawiając się, do czyich drzwi pukasz, jakie czyhają na ciebie niebezpieczeństwa. – Zaciśnęła zęby i westchnęła. – Ale potem zrobiło się paskudnie... a ty niczego nie zauważyłeś. Nie widziałeś, jaką drogą podążamy. I co gorsza, nie widziałeś, że sam w tym uczestniczysz. Uczestniczysz w okropieństwie, które zaczęło władać naszym życiem. Ale nawet w najgorszych chwilach, nawet wtedy, gdy nienawidziłam wszystkiego, co reprezentowałeś, i nie mogłam znieść dźwięku twojego imienia, w głębi duszy jakaś częśćka mnie nadal podziwiała twoją siłę, twoje oddanie, to, że nie siedzisz gdzieś z boku, ale walczysz o coś, w co wierzysz, jeśli nawet było to coś, co odeszło, przestało istnieć, coś, co przemieniło się w dokładne przeciwieństwo tego, czego zawsze broniłeś.

Kamal poczuł, jak żebra ściska mu niewidzialne imadło, zapierając dech w piersiach.

– Wiem, że popełniałem błędy. Ale to...

– Trzeba to zrobić, Kamal. Może teraz nie dostrzegasz tej konieczności, ale kiedyś zrozumiesz. Tak będzie właściwie. Jeśli nic nie uczynimy... znajdziemy się po złej stronie historii.

Długo nabierał powietrza i popatrzył na nią uważnie, czując, jak parzy go jej świdrujące spojrzenie.

– Nie zdołam cię od tego odwieść, prawda?

– Nie ma mowy. – Z niezłomnym zaangażowaniem odcisniętym jak piętno na jej twarzy nie dało się dyskutować. – Zrobię to.

Pytanie nie padło. A jednak dało się wyczuć, wisiało nad jego głową. Miażdżąco ciężkie.

A on mógł jej dać tylko jedną odpowiedź.

Miała rację. Ich przeszłość już nigdy nie miała im dać spokoju, niezależnie od tego,

czy prześladowałby ich Taymoor albo inni agenci, czy też wspomnienie tego, co się stało z Ramazanem i dziećmi.

Z tym drugim nie mógł już chyba nic zrobić, ale z pierwszym... istniała szansa, żeby położyć temu kres. Niewielka, ale była.

– Nie mogę pozwolić, żebyś to zrobiła sama.

– Nie wolno mi się zgodzić, żebyś robił coś ze względu na mnie – odpowiedziała.

– Nie będę.

Może nawet była to prawda. Może dostrzegł sens w tym, co mówiła. A może był zbyt zmęczony, zbyt wyczerpany, żeby logicznie myśleć. Albo za bardzo się w niej kochał i nie mógł odpowiedzieć w żaden inny sposób.

– Masz rację – powiedział jej w końcu głosem delikatnym i spokojnym. – Powinniśmy to zrobić. Dla Ramazana. Dla Tareka. Dla Noor. Dla wszystkich.

Spojrzała na niego, a on po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, dostrzegł w jej oczach iskierkę ciepła i wyczuł autentyczną czułość, a także, co znacznie ważniejsze, szacunek.

Już samo to wystarczyło, aby rozwiać wszelkie wątpliwości, czy nie powinien zareagować na jej szalony, brawurowy, radykalny plan inaczej.

– CHCIAŁBYŚ SIĘ DOWIEDZIEĆ czegoś na temat oblężenia Wiednia?

Nisreen wróciła do stolika w czytelni obładowana książkami – było ich chyba z tuzin i wszystkie dotyczyły dwóch tematów, podboju Wiednia i życia Aymana Rasheeda Paszy.

Kamal wziął od niej książki i położył je na stole, przeglądając okładki.

– Odbyłem podróż w czasie, żeby dać się przytłoczyć stertami mądrych papierzysek?

– Obawiam się, że tak – powiedziała, siadając obok niego. – Mam nadzieję, że umiesz szybko czytać. Musimy dowiedzieć się o tych czasach wszystkiego, co tylko jest dostępne, i to w błyskawicznym tempie.

Popatrzył na książki ze sceptycyzmem.

– Historia nigdy nie była moją mocną stroną.

Nisreen wzruszyła ramionami i posłała mu nieśmiałe spojrzenie.

– No to masz teraz okazję, żeby to zmienić.

Znajdowali się na lewym brzegu rzeki, dokładnie na wprost Luwru, w głównej czytelni Imperialnej Biblioteki Sultana Majida. Wspaniała, zwieńczona kopułą budowla była największą publiczną biblioteką we Francji – świątynią nauki, odkąd przed wiekami Mazarin, niesławny kardynał króla Ludwika XII, ufundował ją, by umieścić tu swój ogromny księgozbiór. Pod rządami Osmanów Bibliothèque Mazarine rozrosła się, zajmując większość przyległych budynków dawnego Institute de France, wśród których zajmowała honorowe miejsce, dopóki jej zbiory nie stały się tak wielkie, że znowu przestały się mieścić. Nowa biblioteka publiczna, w której Nisreen spędziła niezliczone godziny, najpierw jako studentka, potem jako prawniczka, miała powstać dopiero za kilkadziesiąt lat. Ten stary budynek jednak był jej znany, bo odwiedziła go kilka razy po tym, jak został przerobiony na muzeum.

Musieli działać szybko. Taymoor wciąż gdzieś tam był i ich szukał. Rozważali możliwość przeniesienia się w bezpieczniejsze czasy, czasy bez niego. Wydawało się, że to oczywisty środek bezpieczeństwa. Gdyby nie zostawili za sobą żadnych śladów, żadnych zapisów tego, o ile księżyców się cofnęli, nie mógłby za nimi ruszyć. Wystarczyłby skok nawet o tydzień wstecz, pod warunkiem że przez ten tydzień byłiby w stanie dowiedzieć się wszystkiego, co potrzeba. Wzięli jednak pod uwagę ryzyko związane z kolejną podróżą w czasie. Gdyby się na nią zdecydowali, wylądowaliby w nieznanym okolicznościach, znowu bez ubrań, bez pieniędzy i bez

gwarancji, że ich przybycie pozostanie niezauważone i nie będzie odnotowane w żadnych dokumentach, które Taymoor mógłby znaleźć w czasie, w którym obecnie przebywają, i na tej podstawie ich wytropić.

Zbyt wiele było niewiadomych i koniec końców zdecydowali, że biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw, tak samo bezpiecznie mogą się czuć, pozostając tutaj, pod warunkiem że będą się dyskretnie zachowywać. Z tego właśnie powodu postanowili przyjechać do biblioteki osobno i osobno wrócić do zajazdu. Nie mogli wypożyczyć żadnych książek, bo nie mieli dokumentów tożsamości wymaganych do wypełnienia karty bibliotecznej, ale może to było lepszym rozwiązaniem, gdyż dzięki temu nie zostawią żadnych pisemnych śladów swojej obecności ani tego, czym się interesowali.

Podzielili się zadaniami. Czytali, notowali, dyskutowali o tym, czego się dowiedzieli, i znowu czytali. Była to długa, żmudna praca, której oboje oddali się bez reszty, mocno się koncentrując na najdrobniejszych nawet szczegółach. Zależało od tego ich życie, nie mówiąc już o wypełnieniu zadania, które miało zmienić świat.

Pierwszego dnia przeczytali tyle, że u jego schyłku plany mogły zacząć przybierać realne kształty. Było to jednak dalekie od ideału.

Kamal zamknął wydaną niedawno biografię Rasheeda, którą akurat czytał.

– To zdumiewające – stwierdził, odsuwając od siebie książkę i wydając głośne westchnienie wyrażające frustrację. – Tyle się można dowiedzieć o tym, co zrobił po zajęciu Wiednia: o marszu przez Europę, o zajęciu Rzymu, Paryża i tak dalej. O jego wynalazkach, o jego bronii i taktyce; o pomysłach na społeczeństwo, politykę i technologię; o wizji przyszłości...

– Przyszłości, z której sam przybył – wtrąciła Nisreen. – On niczego nie przewidział ani nie wynalazł. Był oszustem.

– Zgoda... ale abstrahując od tego... nie ma prawie nic o jego życiu sprzed Wiednia.

– Bo przed Wiedniem wcale go nie było. A to, czego możemy się dowiedzieć, jest mało wiarygodne – stwierdziła Nisreen. – Nie sposób na tym bazować. Wszystko zmyślił. Stworzył sobie przeszłość, która nie istniała.

– Musimy kopać dalej. Musimy znaleźć sposób, żeby do niego dotrzeć, zanim armia wyruszy ze Stambułu.

– Ale jak? Nie mamy żadnych wiarygodnych informacji pozwalających obmyślić plan, jak go odszukać.

– Tak, ale po opuszczeniu miasta znacznie trudniej będzie go powstrzymać. Stanie na czele największej armii w historii świata.

– Możemy nie mieć wyboru.

Kamal zmarszczył brwi.

– Musimy szukać dalej. Bylibyśmy o niebo bezpieczniejsi, gdybyśmy znaleźli sposób, żeby dorwać go przed oblężeniem. Wiemy, że był w Stambule, zanim armia

rozpoczęła marsz na Wiedeń. To tam pojawia się po raz pierwszy. Może powinniśmy po prostu się tam udać i czekać, aż o nim usłyszymy.

– O niczym nie usłyszymy. Nie jest to coś, co zostałoby w jakiś sposób nagłośnione. A sułtan na pewno trzymał Rasheeda blisko siebie. Prawdopodobnie przebywał w pałacu pod jakąś strażą. Jestem pewna, że pałac był wówczas strzeżony równie pilnie jak teraz. Z pewnością nie byłby to łatwy cel.

Kamal mocniej zmarszczył brwi.

– Nie wiedząc, gdzie dokładnie go szukać w danym dniu czy danej nocy – dodała Nisreen – narazilibyśmy się na ryzyko pojmania. Nie wydaje mi się, żeby to było choć odrobinę mniej ryzykowne niż podróż do Wiednia. W dodatku musielibyśmy dostać się do Stambułu teraz, w tych czasach, żeby odbyć skok. Bez dokumentów, bez pieniędzy... i mając do dyspozycji raczej ograniczone środki transportu.

Miała rację. Przenieśli się do epoki podróży koleją. Silnik odrzutowy nie został jeszcze wynaleziony. Samoloty były napędzane śmigłami, o lichej konstrukcji i małej prędkości lotu. Idea lotów pasażerskich dopiero raczkowała.

– Do Wiednia łatwiej się będzie dostać, to pewne. Ale wylądujemy w samym środku wojennego zamieszania. A tego wolałbym uniknąć.

– Mnie też nieszczególnie się to podoba – odpowiedziała Nisreen. – Ale wiemy, że na pewno go tam spotkamy. Nie wydaje mi się, byśmy mieli jakiś wybór. – Wzruszyła ramionami. Była równie niezdecydowana jak on. – Posłuchaj, nie rzucimy się na oślep. Mamy sterty książek z informacjami na temat tamtych wydarzeń.

To także była prawda. Oblężenie Wiednia stanowiło punkt zwrotny w osmańskiej historii i uczeni rozebrali je na czynniki pierwsze, zapisując swoje dociekania na niezliczonych kartach.

– I są to informacje wiarygodne. Co oznacza, że będziemy dobrze przygotowani. – Wzięła jedną z książek ze sterty tych nieprzeczytanych, obróciła ją figlarnie i położyła przed Kamalem. – Dlatego właśnie najwyższy czas wrócić do czytania.

– Musimy wymyślić coś innego.

– Raczej bym na to nie liczyła. Uważam, że kości zostały rzucone, a wynik może być tylko jeden. I nie jest to legendarne *du shesh* – zażartowała, używając tureckiego określenia na dwie szóstki, najlepszy wynik rzutu kostką w tryktraku.

Kamal przyglądał się jej przez moment. Miło było zobaczyć, jaka jest dla odmiany rozluźniona i beztraska, choćby tylko przez chwilę. Historyczne dociekania były nie tylko warunkiem koniecznym do realizacji ich planów, ale też, ku jego zadowoleniu, pozwoliły Nisreen choć na chwilę uwolnić się od spowijającego ją mroku.

Niechętnie przysunął do siebie książkę i spojrzął na okładkę.

– Jak pragnę zdrowia – rzekł z szerokim uśmiechem, stukając w nią. – Przeżywam tutaj na nowo najmniej przyjemną część swojej młodości.

– Tylko że teraz bardziej musisz się postarać o dobrą ocenę – odrzekła Nisreen,

poważniejac. – Niedostateczna zdecydowanie nie wchodzi w grę.

– Bez dwóch zdań – odpowiedział Kamal, po czym otworzył książkę i zaczął się mozolić nad jej treścią.

NIEWIELE TRZEBA BYŁO CZASU, by oboje doszli do wniosku, którego się obawiali.

Najlepszym sposobem wykonania ich planu i najprostszą linią ataku, jedyną, przy której mogli bazować na wiarygodnych informacjach, była ta najbardziej niebezpieczna.

Decydujące wydarzenie czy kluczowa interwencja Rasheeda, która zmieniła wynik bitwy o Wiedeń i oddała miasto w ręce Osmanów, ograniczała się do samobójczego zamachu przeprowadzonego podczas uroczystego przeglądu chrześcijańskich wojsk pod Tulln, trzydzieści kilka kilometrów na zachód od Wiednia.

To właśnie musieli zmienić.

Rasheed przechwalał się tym swoim pomysłem przed Ramazanem, który potem, tamtej nocy w ich mieszkaniu, powiedział o nim Nisreen. To była mistrzowska zagrywka, dlatego będący pod narkozą oszust chętnie o niej opowiadał.

Historyczne książki i biografie opisywały to bardzo drobiazgowo. Wszystkie regimenty chrześcijańskiego wojska zgromadziły się na północnym brzegu Dunaju i przez kilka dni czekały, by przekroczyć rzekę. Ich inżynierowie zbudowali mosty łyżwowe, ale kilkudniowa jesienna ulewa podniosła poziom wody w rzece, przyspieszając jej nurt, przez co konstrukcje zostały uszkodzone i doszło do opóźnienia. Jednak dwa dni przed uroczystym przeglądem wojsk deszcz ustał, a żołnierze mogli wreszcie przepłynąć się przez rzekę. Znalazłszy się na południowym brzegu, armie zebrały się w miasteczku Tulln za obronną palisadą, która chroniła je przed krążącymi w okolicy osmańskimi wojownikami ghazi i ich tatarskimi sprzymierzeńcami. To tam miał się odbyć przegląd, po którym wojska miały ostatecznie ruszyć na wschód, na otaczającą Wiedeń równinę, gdzie obozowała osmańska armia i gdzie planowano rozegrać bitwę o miasto.

Jeden diabelski ruch wystarczył, aby najlepsi dowódcy wojskowi chrześcijańskiego świata, zaprawione w boju legendy, takie jak polski król Jan III Sobieski i Karol, książę Lotaryngii, zostali unicestwieni. Na ich zaskoczone wojsko natychmiast natarła osmańska armia. Tego dnia zginęło czterdzieści tysięcy ludzi, obłąpany, głodujący lud Wiednia znalazł się na łasce najeźdźców, a cała Europa stanęła otworem przed ich niepowstrzymaną nawałnicą.

Było jasne, że należy zapobiec temu samobójczemu zamachowi i ocalić chrześcijańską armię. Trzeba było ostrzec Sobieskiego i pozostałych, tak by szykowana przez Osmanów zasadzka obróciła się na ich korzyść.

Ale to jeszcze nie wszystko.

Należało zabić Rasheeda, żeby nie mógł po prostu cofnąć się znowu w czasie

i spróbować raz jeszcze.

Kamal i Nisreen musieli bezwzględnie dokonać jednego i drugiego. Wykonanie jednej części planu by nie wystarczyło. W dodatku do obu tych zdarzeń musiało dojść mniej więcej w tym samym czasie, zanim Rasheed uświadomiłby sobie, że poniósł porażkę, i przeniósł się w przeszłość, by spróbować znowu wszystko odkręcić.

Zabicie Rasheeda wydawało się trudniejszą częścią planu. Kamal się upierał, że wykona to zadanie sam. Nie miał najmniejszego zamiaru ryzykować i zabierać ze sobą Nisreen, gdy będzie próbował przeniknąć do osmańskiego obozu. Co oznaczało, że w którymś momencie będą się musieli rozdzielić, a to żadnemu z nich się nie podobało. Zdawało się jednak, że innego wyjścia nie ma. Dotarcie do Rasheeda i zabicie go w odpowiednim czasie będzie dla Kamala niełatwe nawet bez troszczenia się o Nisreen.

Gdy ta strategia została ustalona, ich badania nieco się zawężyły. Mogli czerpać wiedzę z całego mnóstwa źródeł i w ciągu tygodnia zdołali zgromadzić dość informacji, by opracować, jak się zdawało, składny, rozsądny plan.

Kamal i Nisreen liczyli się z dużym ryzykiem, ale starali się je zminimalizować i obrócić poznane fakty na swoją korzyść, zdobywając wiedzę na temat każdej możliwej do przewidzenia komplikacji. Czytali też o życiu w tamtych czasach, skupiając się głównie na pismach słynnego osmańskiego podróżnika tamtej epoki, Ewliji Czelebiego, który był w Wiedniu kilka lat przed oblężeniem. Ale w pewnym momencie liczba źródeł ich przytłoczyła.

Czas naglił. Trzeba było w końcu chwycić byka za rogi i wykonać skok.

Na koniec zostały dwie sprawy.

Po pierwsze, należało obliczyć dokładną liczbę księżyców, o jaką mieli się cofnąć, i przetłumaczyć ją na palmyreński, język zaklęcia.

Wybór momentu, w którym powinni się zjawić, też nie był łatwy. Przybywając na długo przed samobójczym zamachem, za bardzo naraziliby się na nieoczekiwane zwroty akcji. Zjawiając się tuż przed bitwą, mogliby ze wszystkim nie zdążyć. Po dłuższym zastanowieniu postanowili pojawić się dwa dni przed uroczystym przeglądem wojsk pod Tulln. Dzięki temu mieliby czterdzieści osiem godzin na to, by dotrzeć do dowódców chrześcijańskiej armii i ostrzec ich przed tym, co ich czeka, a Kamal zdążyłby w osmańskim obozowisku zlikwidować Rasheeda.

Druga sprawa wymagała od nich głębokiej wiary.

Ramazan nie zdążył zapytać Rasheeda o drugą część zaklęcia – o wersję umożliwiającą podróżowanie w przyszłość. Kamal i Nisreen rozmawiali o tym, że dobrze byłoby ją znać, i choć nie była niezbędna dla realizacji ich planu, to zgodzili się, że lepiej by się czuli, gdyby ją znali. Jeśli coś poszłoby nie tak, mogłaby im się przydać.

Czepiając się nadziei, że jest to tylko kwestia podmiany jednego słowa w zaklęciu,

a nie zupełnie innej jego treści, Nisreen poświęciła tej sprawie całe popołudnie. Analizowała poszczególne słowa, porównując je do palmyreńskich materiałów źródłowych, jakie udało jej się znaleźć, tłumaczyła je jedno po drugim, ale nie znalazła żadnego oczywistego rozwiązania. Palmyreński był mało znanym, wymarłym językiem, który nieczęsto stawał się przedmiotem badań; zachowało się bardzo niewiele napisanych w nim tekstów, a z tego, co udało jej się zrozumieć, żadne ze słów zaklęcia nie oznaczało po palmyreńsku „przeszłości” ani „przyszłości”, czy „naprzód” i „wstecz”.

Jeden wyraz wszakże ją zaintrygował. Według dokumentów, do których zdołała dotrzeć, po palmyreńsku oznaczał on „światło”. Zadała sobie pytanie, czy się nie pomyliła. Słowo to pojawiało się po liczbie księżyców, o jaką ktoś chciał się przenieść, i wydawało się tu nie pasować. To zaklęcie umożliwiało podróż w przeszłość, a intuicja podpowiadała jej, że przeniesienie się o ileś księżyców wstecz nie powinno kojarzyć się ze światłem, oczekiwałyby raczej słowa kojarzącego się z ciemnością.

Ale gdy się dłużej nad tym zastanowiła, stwierdziła, że może jednak ma to sens.

Podróż w przeszłość oznaczała przeniesienie się w czasy znane, w czasy, w których nie ma nic tajemniczego – czyli do światła. Idąc tym tropem, być może podróż w przód, czyli do niepewnej przyszłości, mogła się kojarzyć z ciemnością, z mrokiem tego, co nieznanne.

Wczytywała się w zaklęcie bez końca i nie zdołała dostrzec w nim żadnego innego określenia, które mogłoby wyrażać przeszłość bądź przyszłość. To musiało być to słowo: „światło”. Nie mając innego pomysłu, sprawdziła, jak jest po palmyreńsku „ciemny” i „ciemność”, i przekonała się, że oba te wyrazy tłumaczą się tak samo. Uznała, że nic lepszego nie wymyśli. Podstawienie tego słowa wydało jej się najbardziej realną możliwością zmiany zaklęcia na takie, które pozwalałoby na podróż w przyszłość. Pozostała jednak kwestia właściwej wymowy. Musiała się zdać na domysły, ale były to domysły oparte na zdobytej wiedzy. Zresztą może to wcale nie będzie potrzebne. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, razem z Kamalem wydobędą zaklęcie umożliwiające skok do przyszłości od Rasheeda, jeszcze zanim znajdą się w jakiejś trudnej sytuacji, w której zmuszeni będą do sprawdzenia, czy ich domysły były słuszne.

Przed wyruszeniem musieli zadbać o coś jeszcze. Musieli dopilnować, żeby nie stracić zaklęcia, i to zarówno tego prowadzącego do przeszłości, jak i wersji potencjalnie umożliwiającej skok w przyszłość. Zamierzali, rzecz jasna, spróbować je zapamiętać. Ale na pamięci nie można było do końca polegać. Oczywistym rozwiązaniem wydawało się wytatuowanie magicznej treści na własnej skórze, ale tatuaże w tamtym czasie nie były w osmańskim społeczeństwie zbyt powszechne. Jedynymi muzułmanami noszącymi je w imperium byli mężczyźni służący w wojsku albo instytucjach strzegących porządku, którzy, tak jak Kamal, mieli na prawej ręce i nodze wytatuowany symbol swojej jednostki i osobisty numer identyfikacyjny.

Muzułmanki nigdy się nie tatuowały. Kobiety noszące jakiegokolwiek znaki na skórze pochodziły zazwyczaj z podbitych społeczności chrześcijańskich. Tatuowały krzyże i starożytne emblematy na własnych ciałach i ciałach swoich dzieci, broniąc się w ten sposób przed przymusowym nawróceniem albo wyrażając wobec niego bierny opór – ponadto częściej się to spotykało na Bałkanach niż we Francji.

Ukrywając się w głębi chrześcijańskiego getta na Montmartre, zdołali znaleźć starego szewca, który jednocześnie był tatuażystą. Człowiek ten wiedział, że lepiej nie zadawać zbyt wielu pytań; posiadanie tatuażu nie było czymś, o czym się otwarcie rozmawiało. Tak więc zachował pytania dla siebie i zabrał się do pracy, mając do dyspozycji przedramię Nisreen. Poleciała mu umieścić na skórze słowa zaklęcia z fonetycznym zapisem liczby księżyców, o jaką chcieli się cofnąć, żeby znaleźć Rasheeda, liczoną od dnia, kiedy pociąg, którym zamierzali podróżować, przybędzie do Wiednia. Kazała też sobie wytatuować słowo umożliwiające skok w przód i kilka palmyreńskich liczebników – jeden, dziesięć i sto – na wypadek gdyby ich potrzebowali.

Nisreen powiedziała Kamalowi, że jej zdaniem on też powinien zrobić sobie ten tatuaż.

Sprzeciwił się.

– Nie jest mi potrzebny.

– Niby czemu, do diabła?

– Nigdzie się bez ciebie nie ruszę.

– Nie bądź niemądry – nalegała. – Może będziesz musiał. I to dla dobra nas obojga.

– Nauczyłem się go na pamięć.

– Jesteś absolutnie pewny? Łącznie z tymi wszystkimi dodatkowymi słowami, żeby zmienić liczbę dni?

Na twarzy Kamala pojawiła się niepewność.

– Tak jakby.

– Tak jakby nie wystarczy. Chyba nie boisz się małej igielki, co?

Oczywiście dał sobie wytatuować zaklęcie.

Wyglądało tak samo jak to na przedramieniu Nisreen, ale oprócz niego miał jeszcze na ręce i nodze symbole Hafiye. Wolał, żeby szewc ich nie widział, dlatego dał do wytatuowania drugie przedramię.

W końcu byli gotowi do podróży.

OSTATNI WIECZÓR PRZED opuszczeniem Paryża spędzili w małej restauracyjce, w której nigdy wcześniej nie byli, trzymając się zasady niepowracania w to samo miejsce. Kolację jedli w ciszy, usiłując nie zwracać uwagi na nerwowe podniecenie i strach przed tym, czego mieli dokonać.

Posiłek zakończyli filiżanką uspokajającej anyżowej herbaty i długą chwilą milczenia.

– Nadchodzi moment prawdy – odezwał się w końcu Kamal. – Nadal jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

Nisreen przełknęła herbatę, odstawiła filiżankę i wbiła w nią spojrzenie. Po chwili podniosła wzrok na Kamala.

– Nie będę cię okłamywała, mówiąc, że się nie boję. Tak naprawdę jestem przerażona. To bardzo dalekie od wszystkiego, co kiedykolwiek robiłam. Ale wciąż jestem absolutnie przekonana, że tak trzeba.

Kamal poważnie pokiwał głową.

– Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale dla mnie to też coś bardzo dalekiego od tego, co do tej pory robiłem. Może nawet od tego, co było dotąd udziałem jakiegokolwiek człowieka.

– Z wyjątkiem Rasheeda.

– Tak, z wyjątkiem jego.

Nisreen pokiwała głową.

– Możemy się pobać razem?

Kamal zarechotał krótko.

– Będziemy dygotać i szczękać zębami unisono.

Uśmiechnęła się – były w tym uśmiechu melancholia i smutek. Wspomnienie koszmaru przez cały czas czaiło się tuż pod powierzchnią.

Kamal napawał się tą chwilą, dręczony jednak myślami o czekającej ich podróży. Żartował, ale to nie znaczy, że niepokój czy strach się go nie imają. Mówiąc wprost, nie cieszyła go perspektywa przeniesienia się w czasie, ale wierzył w ich sprawę i był jej oddany. A jeśli ta sytuacja miała jakąś dobrą stronę, to było nią to, że przygotowania do podróży, wszystkie te dni spędzone na zdobywaniu informacji i planowaniu, absolutne skupienie na czekającej ich misji pozwoliły Nisreen choć trochę zapomnieć o nieszczęściu, które na nią spadło. Była inną kobietą niż ta, z którą skoczył w przeszłość. Nie miał cienia wątpliwości, że wciąż cierpi. Sam też stale odczuwał ból. Słyszał czasem późno w nocy jej ciche łkanie, gdy psychicznie wyczerpana powinna mocno spać. Ale za dnia mrok w jej spojrzeniu stopniowo się rozpraszał, rozświetlany iskrą ożywienia. Za dnia Nisreen powracała do życia, choćby tylko chwilowo.

„Może zdoła znaleźć znowu szczęście”, pomyślał. Może w tej nienapisanej jeszcze, niezbadanej przyszłości spotka kogoś, kto zdoła jej zapewnić nowy początek, a z czasem zastąpi ból przeszłości lepszą teraźniejszością.

Może.

„Jeśli przeżyjemy”.

Wyraz jego twarzy się zmienił, stał się bardziej poważny.

– Kiedy to zrobimy, jeśli uda nam się wszystko zmienić... nie będzie powrotu do życia, jakie znaliśmy. Wszystko zostanie wymazane.

– Wiem.

– Wszyscy, których znaliśmy, wszystko z naszego dawnego życia... zniknie na zawsze.

– To mnie nie przeraża. I tak za nic bym tam nie wróciła. Nic mnie tam nie czeka. – Zamilkła na chwilę, po czym zapytała: – A ty? Czy nadal chcesz to ze mną zrobić?

Popatrzył jej prosto w oczy i przez chwilę nie odpowiadał.

– Żartujesz? – rzekł wreszcie. – Przecież nie dowiedziałbym się, jak to się skończy, gdybym cię opuścił.

Zaskoczył ją. Jej twarz się rozluźniła, ale uniosła brew z powątpiewaniem, które on odegnał, uspokajająco podnosząc otwartą dłoń.

– To znaczy... tak. Z całą pewnością.

Po twarzy Nisreen rozlało się delikatne ciepło.

– Dziękuję ci. – Wyciągnęła ręce nad stołem i ujęła jego dłonie w swoje.

INNYM PASAŻEROM POCIĄGU Konstantiniyye Express wcale nie wydawali się dziwni.

Zajmujące dwuosobowy przedział małżeństwo jadące nocnym pociągiem z Paryża do Wiednia. Z wizytą do krewnych, może na romantyczne wakacje, a może z okazji jakiejś rocznicy. Nikt tak naprawdę nie wiedział nic o celu ich podróży, gdyż para spędzała większość czasu w przedziale, a posiłki jadała tylko w swoim towarzystwie.

To, że pojawili się rankiem na dworcu z jedną tylko sztuką bagażu, mogło się wydać dość niezwykle, ale snu z powiek nikomu raczej nie spędzało. Nikt nie musiał wiedzieć, że była to używana walizka kupiona w pośpiechu razem z nieco bardziej modnymi ubraniami, które mieli teraz na sobie, w sklepie z używanymi rzeczami na Montmartre, ani że znajdowały się w niej stroje skradzione z madrasy w Fointainebleau i stanowiły cały ich dobytek.

Kamal rozluźnił się nieco dopiero wtedy, gdy pociąg ruszył z wielkiego Dworca Osmana Sofu Paszy i rozpoczął podróż na wschód, do Stambułu. Nawet wtedy jednak zachował czujność. Dokładali wszelkich starań, by nikt nie zwrócił na nich uwagi ani wczesnym rankiem po drodze z zajazdu na okazały dworzec, ani potem, kiedy szli przez jego wysokie hale na peron, gdzie stał pociąg. Sroga mina Kamala stanowiła niemą barierę niepozwalającą nikomu się zbliżyć, a twarz Nisreen chowała się pod najbardziej nieprzezroczystą chustą, jaką zdarzyło jej się do tej pory nosić. Nie zwracali na siebie uwagi i nie podszedł do nich żaden policjant, czyli było lepiej, niż się Kamal spodziewał. Ostatecznie spędzili w Paryżu nieco ponad tydzień i nawet przy technologicznych ograniczeniach epoki Taymoor miał mnóstwo czasu, żeby przekonać władze do wydania za nimi listu gończego. Być może Kamal przecenił możliwości swojego byłego partnera. Nie czekała ich także żadna kontrola dokumentów, bo nie trzeba było przekraczać granicy. Cała podróż miała się odbyć na terytorium imperium, po którym jego obywatele mogli się przemieszczać bez ograniczeń.

Konduktor przedziurkował ich bilety i jeszcze zanim pociąg ruszył, zostali ulokowani w przedziale. Był wczesny ranek, a pogoda znowu się zmieniła, zrobiło się chłodno, a niebo zasnuły groźne chmury, z których w każdej chwili mógł lunąć deszcz. Mimo to, gdy tylko gęstą miejską zabudowę zastąpiły otwarte przestrzenie, Kamal poczuł, jak przelamując opór napięcia i nerwowości, zstępuje na niego głęboki spokój. Powitał to uczucie z radością, wiedząc, że to jedynie chwilowe wytchnienie. Ów głęboki spokój miał zostać zakłócony, gdy tylko wysiądą z pociągu, i zniknąć

zupełnie, gdy wykonają skok.

Podróż ekspresem do Wiednia trwała dwadzieścia pięć godzin, tak więc mieli przybyć na miejsce nazajutrz rano, po dwóch krótkich przystankach w Sztrasburgu i Monachium. Kiedy wysiądą, pociąg pojedzie dalej, by po kolejnych dwóch dniach dotrzeć do stacji końcowej, na dworzec Müsira Ahmeta Paszy w Stambule.

Aby zapłacić za bilety, Kamal uciekł się do czegoś, co wcześniej byłoby dla niego nie do pomyślenia. Po opróżnieniu pobliskich kamieni jałmużniczych pozostało mu tylko jedno: kradzież. Było to ryzykowne przedsięwzięcie, głównie ze względu na to, że w razie schwytania mogła zostać zbadana jego tożsamość. Choć szariat przewidywał kary za większość popełnianych przestępstw, to nie obejmował bardziej współczesnych występków, takich jak fałszerstwo czy szantaż, a jego surowe zasady i procedury bardzo komplikowały proces wymierzania sprawiedliwości. Aby temu zaradzić, Murad wprowadził świecki system prawny, *kanun*, który ułatwiał ściganie przestępców i czynił je bardziej skutecznym. Za panowania Murada na mocy ustanowionego przez niego kodeksu zwykli złodzieje, których schwytano, a nawet ci, którzy zabili podczas rabunku swoje ofiary, nie zawsze podlegali surowej karze cielesnej rodem z islamskiego prawa. Zamiast tego często kazano im jedynie zwrócić pieniądze bądź skradzione dobra krewnym ofiary wraz z odszkodowaniem w ustalonej przez obie strony formie i wysokości.

Kamal nieszczególnie się tym przejmował. Gdyby został złapany, zawsze mógł skorzystać z zakłęcia, pod warunkiem jednak, że mógłby to zrobić razem z Nisreen. Mimo wszystko narażał siebie i ją na niebezpieczeństwo, ale nie miał wyboru.

Gdy chodziło o samo dokonanie przestępstwa, jego spore doświadczenie i umiejętności minimalizowały ryzyko. Tamtego dnia przez wiele godzin spacerował z dala od zajazdu, namierzając różne potencjalne cele, biorąc pod uwagę nawet pocztę, ostatecznie jednak dochodząc do wniosku, że to zbyt niebezpieczne. W końcu zdecydował się na sprzedawcę luksusowych tekstyliów wełnianych z Carcassonne, a upewnił się jeszcze, że dokonał słusznego wyboru, gdy kupiec potraktował go nieuprzejmie i lekceważąco podczas zwiadowczej wizyty w jego sklepie.

Skradzione złote monety pozwoliły Kamalowi zapłacić za ubrania, za walizkę i dwa bilety na podróż w małym przedziale sypialnym. Był to przedział drugiej klasy, ale niczego tam nie brakowało. Miał wyłożone boazerią ściany, duże okno i sofę, która po rozłożeniu stawała się piętrowym łóżkiem, a do tego niewielką toaletkę z umywalką. Każdy wagon sypialny, a było ich dwanaście, posiadał dwie osobne toalety dla pasażerów, ale nigdzie, nawet w pierwszej klasie, nie było łazienki ani prysznic. Całości dopełniały dwa wagony restauracyjne i trzy hamulcowe, wszystkie wykończone tą samą imperialną czerwienią.

Jeszcze przed południem opuścili terytorium francuskiej prowincji. Pociąg sunął gładko, wprowadzone niedawno podwozia na sprężynach tłumiły hałas i wstrząsy wywołane pracą potężnej lokomotywy parowej i nierównościami torów. Płaski teren

wkrótce ustąpił miejsca bardziej pofałdowanemu, a gdy tory zaczęły się pięć przez bujne lasy porastające wzgórze Wogezów, w Kamalu i Nisreen zrodził się niepokój, który rósł wraz z każdym przebytym kilometrem, mimo że żadne z nich słowem o nim nie wspomniało.

Spędzili ten dzień w przedziale, co jakiś czas powracając do swoich planów, by się upewnić, że nie przeoczyli czegoś, co mogłoby się okazać katastrofalne w skutkach. Wychodzili tylko na posiłki w wagonie restauracyjnym.

Musieli dotrzeć do chrześcijańskiego dowództwa przed zamachem bombowym podczas uroczystego przeglądu wojsk przy drewnianej palisadzie w Tulln. Aby tego dokonać, nie mogli zdecydować się na skok w Wiedniu, który był otoczony przez największą osmańską armię, jaka kiedykolwiek została wystawiona. Po dwóch miesiącach nieustannych ataków miasto było bliskie upadku. Ci, którzy w nim pozostali, w tym tysiące uchodźców z okolicznych wsi, tkwili uwięzieni za kruszącymi murami, egzystując w rozpaczliwych warunkach. Zważywszy na to, że niezłomny komendant, hrabia Starhemberg, odmówił osmańskiemu dowódcy poddania się i przejścia na islam, wszystkich przebywających w mieście w razie jego upadku czekała rzeź albo niewola.

Kamal i Nisreen nie chcieli znaleźć się w pułapce wraz z nimi. Nie byliby w stanie się wydostać, żeby ostrzec armię papieską przed zamachowcami samobójcami. Dlatego ich plan zakładał, że wysiądą z pociągu w Wiedniu, a potem wynajmą samochód albo konny powóz, który zawiezie ich za miasto, w miejsce dalekie od stojących tam wcześniej wojsk, gdzie bezpiecznie będą mogli przenieść się w czasie i skontaktować z chrześcijańskimi przywódcami.

W trakcie zbierania informacji dowiedzieli się, że przed przekroczeniem Dunaju i udaniem się do Tulln król Polski i reszta dowódców zebrali się na zamku Stetteldorf. Zamek, elegancka dwukondygnacyjna budowla z renesansową fasadą, stał na dominującym nad okolicą wzgórzem, z którego rozciągał się widok na naddunajskie łąki i miasteczko Stokerau. Kamal i Nisreen chcieli wykonać skok w czasie, będąc gdzieś w zamku, tak by wylądować wtedy, gdy znajdowali się tam dowódcy, których chcieli ostrzec przed samobójczym zamachem i atakiem Osmanów. Dowódcy będą musieli obmyślić i wprowadzić w życie własny plan, który jeśli się powiedzie, zdziesiątkuje szturmujące osmańskie wojsko i położy kres podbojowi Rasheeda.

Ale to jeszcze nie wszystko. Kamal w tym samym czasie będzie musiał zabić oszusta. Miał pomysł, jak to zrobić, ale nie podzielił się nim z Nisreen. To by się jej nie spodobało. Sam też nie był nim zachwycony, ale nie potrafił wymyślić nic lepszego, by dotrzeć do sułtańskiego doradcy. Historyczne książki powiedziały im, gdzie był podczas zamachu bombowego i skąd przyglądał się jatce, która po nim nastąpiła. Stał na szczycie wzgórze i to tam Kamal zamierzał go dopaść.

Jeśli wszystko dobrze pójdzie.

Krótko przed lunchem pociąg dojechał do Sztrasburga, gdzie zgodnie z rozkładem

jazdy był pierwszy przystanek. Kamal i Nisreen nie dołączyli do pasażerów, którzy wysiedli, by rozprostować nogi. Bezpieczniej było pozostać w przedziale i z niego podziwiać wielki sztrasburski meczet. Przed podbojem była to katedra, której druga wieża nigdy nie została zbudowana. Osmanowie dokończyli budowę w swoim stylu. Obie wieże, podobnie jak w innych przerobionych kościołach, były teraz zwieńczone kopułami i otoczone jeszcze wyższymi minaretami.

Postój trwał tylko dziesięć minut. Tuż przed ich odjazdem na sąsiedni tor wjechał inny pociąg, zwykły osobowy, lokalny, zmierzający w przeciwnym kierunku. Kamal zajrzał przez jedno z jego okien. Był to pusty wagon bez siedzeń. Na podłodze przy stertach wiejskich produktów siedziało kilku chłopów palących długie złożone fajki. Jakaś kobieta podniosła wzrok i spostrzegła Kamala. Nie odwróciła głowy, tylko przez jakiś czas wpatrywała się w niego tępyim wzrokiem.

Ten widok coś w nim poruszył. Ci pasażerowie, ci prości ludzie – jeśli jemu i Nisreen się uda – wkrótce zostaną unicestwieni. Zastanawiał się nad tym. Czy to sprawiedliwe? I co to właściwie oznacza? Czy oni zwyczajnie znikną? Tak jakby nigdy nie istnieli? Było to jednocześnie niepokojące i zdumiewające, dlatego Kamal ucieszył się, gdy ekspres ruszył, odrywając jego myśli od ludzi z drugiego pociągu.

Z upływem dnia żywą, wiosenną zieleń lasów otulającą wijące się tory zaczęły wchłaniać cienie zniżającego się słońca. Pod wieczór mieli przekroczyć Dunaj, a kilka godzin później wjechać do Monachium. Kamal i Nisreen znowu postanowili nie wychodzić z przedziału na krótką przerwę w podróży. Pociąg ruszył w tę samą stronę, z której przyjechał, po czym okrążył miasto od południa i się skierował na wschód. Kolejny przystanek, Wiedeń, miał być po śniadaniu.

Nie minęło wiele czasu, Monachium ze swoimi wieżami zostało daleko w tyle, a pociąg z mozołem pokonywał górzyste tereny. Powietrze stało się chłodniejsze, gdy znaleźli się u podnóża pokrytych śniegiem gór, oddzielających bawarskie krainy od ich austriackich sióstr. Ich majestat podkreślało zachodzące słońce, które zdołało się jakoś przebić przez przytłaczającą powłokę chmur. Właśnie podczas tej powolnej wspinaczki, krótko po opuszczeniu Monachium, konduktor dzwonkiem zaprosił pasażerów na kolację.

Kamal i Nisreen opuścili przedział i przeszli do wagonu restauracyjnego, gdzie spożyli posiłek w głębokiej ciszy. Chwila prawdy była tuż-tuż i ta świadomość bardzo im ciążyła. Powietrze przesycił zapach jabłkowo-miodowego tytoniu, dobywający się z licznych wodnych fajek, co dodatkowo potęgowało przygnębienie. Zanim kelner podał im kawę i napar z róży, czuli się zupełnie psychicznie wyczerpani, a nastrój mieli tak ponury, jak grobowa ciemność za oknami wagonu restauracyjnego.

– Powinniśmy się przespać – stwierdził Kamal. – To może być ostatnia noc w najbliższym czasie, jaką będziemy mieli okazję wygodnie spędzić.

Twarz Nisreen była mocno napięta, jej wzrok gubił się gdzieś w oddali.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

– Tak. Tylko... tyle jest niewiadomych. Język. Wojna. Jak nas tam przyjmą... jedzenie, choroby, wszystko, do czego nie są przyzwyczajone nasze organizmy. Mamy przed sobą wielki skok w nieznaną.

Kamal wzruszył ramionami.

– To prawda. Ale nie skaczemy w ciemno.

– Mimo wszystko... sama nie wiem, co o tym myśleć. Staram się wmawiać sobie, że jesteśmy pionierami, których czeka ekscytująca przygoda, odkrywcami wyruszającymi na nieznaną wodę... ale nie mogę pozbyć się strachu.

– Będziemy po trochu jednymi i drugimi.

– Wyjdziemy z tego cało, prawda?

– Oczywiście. Obiecuj mi tylko, że mnie nie zostawisz i nie przeniesiesz się do innych czasów, nie mówiąc mi, w jakim miejscu zamierzasz się znaleźć.

– Chyba raczej, w jakim momencie.

– To też.

Napięcie na jej twarzy nieco złagodniało. Wzięła z kolan serwetkę, położyła ją na stole i odsunęła krzesło.

– Daj mi chwilę, żebym się mogła umyć, dobrze? Czuję, że się lepię.

– Nawet więcej niż chwilę – odpowiedział. – Nie ma pośpiechu.

Popatrzył, jak Nisreen wstaje od stołu. Posłała mu ustami słaby uśmiech, który nie zbliżył się nawet do jej oczu, po czym przeszła przez wagon restauracyjny i zniknęła w drzwiach na końcu.

W GŁOWIE NISREEN, gdy odchodziła, wciąż roiło się od pytań, na które nie było odpowiedzi.

Przeszła wąskim korytarzem, minęła stewarda i jakieś starsze małżeństwo, po czym pokonała przejście między wagonem restauracyjnym a sypialnym, w którym podróżowali.

Włożyła klucz do zamka ich przedziału, otworzyła drzwi i weszła do środka. Zaczęła się rozbierać, gdy usłyszała delikatne pukanie. Uśmiechnęła się lekko i podeszła do drzwi.

– Mówiłeś chyba, że nie ma pośpiechu – rzekła, przekręcając klucz w zamku.

Drzwi się otworzyły, pchnięte brutalnie przez silne, niewidoczne ręce. Zdezorientowana poleciała do tyłu, ledwo unikając uderzenia w głowę, i w tej samej chwili uświadomiła sobie, co się stało.

To nie Kamal wpadł jak burza do przedziału.

Był to Taymoor.

Gwałtownie zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz, po czym się odwrócił, ruszył na nią i zatkał jej usta ręką tak szybko, że nawet nie zdążyła krzyknąć.

KAMAL SKAMIENIAŁ, gdy przy drzwiach na drugim końcu wagonu restauracyjnego zobaczył Taymoora. Taymoor patrzył w jego stronę i ich oczy natychmiast się spotkały. Jego twarz była pozbawioną wyrazu, beznamiętną maską. Ruszył powoli między stolikami w stronę Kamala.

– Tylko bez hysterii, proszę – powiedział, podnosząc otwarte dłonie, po czym odsunął krzesło Nisreen i usiadł. – Jestem sam, tak? Tylko ja.

Kamal to spoglądał na niego gniewnie, to przebiegał wzrokiem po wagonie, wypatrując Nisreen, wypatrując ludzi, których być może sprowadził Taymoor, wypatrując niepokojących reakcji innych gości spożywających kolację.

Niczego takiego nie zauważył.

Kamal poczuł, jak nagła trwoga ściska mu pierś.

– Nisreen. Gdzie ona jest?

– Nic jej się nie stało – odparł Taymoor. – Czuje się świetnie. Zafundowałem jej małą drzemkę. Stwierdziłem, że będzie korzystniej, jeśli porozmawiamy tylko we dwóch. W cztery oczy.

Kamal piorunował go wzrokiem, wyraźnie gotując się w środku, gotów w każdej chwili się na niego rzucić, ale Taymoor podniósł dłonie w uspokajającym geście.

– Spokojnie. Powiedziałem ci, że nic jej nie jest – powtórzył.

– Gdzie jest?

– W bezpiecznym miejscu. I śpi jak aniołek. Dlatego wyświadczyć nam wszystkim przysługę, weź się w garść i wyluzuj. Chcę tylko porozmawiać.

Kamal wciągnął głęboko powietrze. Miał ochotę złapać Taymoora za ubranie i zwalić go z krzesła.

– Jak nas znalazłeś? Jak się tu w ogóle dostałeś?

Taymoor wzruszył ramionami, rozejrzał się, by sprawdzić, czy ktoś ich nie podsłuchuje, po czym oparł się wygodnie.

– Przysłał mnie Celaleddin.

– Po co? Żeby nas zabić?

Taymoor wytrzymał płonące spojrzenie Kamala i znów wzruszył ramionami, nachylił się i zniżył głos.

– Powiedział mi, co odkryli Nisreen i Ramazan. Podał mi zakłęcie i kazał z niego skorzystać, żeby was znaleźć.

– I zabić.

– Bracie, gdybym chciał was zabić, obydwójecie bylibyście już karmą dla robaków. Nie po to tutaj jestem.

Kamal oparł się o krzesło i milczał. Bombardowały go najróżniejsze pytania.

– Skąd wiedziałeś, gdzie... – Nagle go olśniło. – Mój telefon. Znaleźliście mój telefon.

Taymoor przytaknął.

– Wiedzieliśmy, o ile się cofnęliście. Panowało przekonanie, że była to niezaplanowana, spowodowana potrzebą chwili ucieczka, a datę wybraliście przez wzgląd na łatwość przetłumaczenia. Zgadza się?

Tym razem to Kamal przytaknął.

– Ale jak nas znaleźliście? Mieliśmy sporą czasową przewagę.

– Nie mieliście żadnej przewagi.

– O czym ty mówisz?

Taymoor prychnął pogardliwie.

– Jesteś, bracie, w tej kwestii jeszcze większym amatorem ode mnie.

Kamal patrzył tylko na niego zdezorientowany.

– Zjawiłem się tutaj przed wami – wyjaśnił Taymoor. – Dodaliśmy do zakłęcia jeden dodatkowy dzień. Żebym mógł przybyć zawnazu i się przygotować. Byłem tu wcześniej od was. Czekałem nad jeziorem. Zobaczyłem, jak zjawiasz się z Nisreen. To było dziwne. W jednej sekundzie nic tam nie ma. A potem puff! I jesteście oboje. Duchem i ciałem. Kompletnie nadzy. Widziałem, jak uciekacie do lasu. Widok był całkiem przyjemny, nie powiem – dodał z chytrym uśmiechem. – Zwłaszcza gdy chodzi o nią.

Kamal posłał mu wściekłe spojrzenie, które ucięło wywód. Taymoor przez cały czas udawał. Nawet tutaj... po wszystkim, co się stało.

– Szedłem za wami aż do *hanu*, do zajazdu – ciągnął Taymoor. – Ale gdy uznałem, że pora pogadać, tobie odbiło i wyskoczyłeś przez okno.

– Jak przekonałeś ich do współpracy?

– Kogo?

– Tych z Zaptiye. Jak sprawiłeś, że ci uwierzyli?

Na twarzy Taymoora pojawił się cień niezrozumienia.

– Jakich z Zaptiye?

– Tych w hanie. Byli z tobą ludzie. Miejscowi policjanci.

– Byłem sam, bracie. Owszem, byli tam gliniarze. Kilku widziałem. Ale nie mieli ze

mną nic wspólnego. Wystrzegalem się ich tak samo jak ty, zwłaszcza po tym, jak zwałeś z tego dziedzińca. – Przyjrzał mu się z zaciekawieniem. – Naprawdę myślałeś, że mam ze sobą całą ekipę? Miejscowych?

Kamal nie odpowiedział. Czuł się jak głupiec. Gdyby wiedział, że Taymoor jest sam, nie czułby się taki bezbronny. Nie uciekałby, jakby się paliło.

– Miałeś broń – zauważył Kamal.

Taymoor rozejrzał się po wagonie, a potem odchylił nieco połą płaszcz, by ukazać kaburę, która tkwiła u pasa. – Nadal ją mam – powiedział. – Powiedzmy, że ją zarekwirowałem. Podobnie jak ubrania i parę innych dodatków. I pieniądze, żeby kupić bilet na ten pociąg.

– Czyli podążałeś za nami aż na Montmartre? Dlaczego to tam do mnie nie podszedłeś?

– Prawdę mówiąc, aż tam nie trafiłem. Zgubiliście mnie koło *hanu*. Szukałem was przez cały tydzień.

– I jak nas znalazłeś?

– W bibliotece. Miałem szczęście.

– W bibliotece?

– Celaledin poprosił mnie, żebym dał mu znać, kiedy skończę. Wpadł na pomysł, jak to zrobić stąd, z tych czasów. Miałem pójść do Imperialnej Biblioteki Sultana Majida, bo wiedział, że już wtedy, to znaczy teraz, istniała, i zostawić mu wiadomość na wybranej stronie książki, która już w tym czasie się w niej znajdowała, takiej, która jest rzadko wypożyczana. W jakimś niezrozumiałym, zakurzonym, starym tomisku, które kazał wyszukać swoim ludziom. Właściwie to kazał znaleźć trzy, tak na wszelki wypadek. No więc jak was zgubiłem, a potem przez cały tydzień nie mogłem znaleźć, pomyślałem, że powinienem pójść i sprawdzić, czy te książki tam są, może nawet naskrobać wiadomość, zanim postanowi przysłać kogoś innego, może nawet całą grupę. – Po czym dodał znaczącym głosem: – Zamierzałem napisać, że zadanie zostało wykonane.

Zaintrygował Kamala.

– Wykonane? Czyli że oboje nie żyjemy.

– Tak.

– Dlaczego?

– Przez cały tydzień myślałem o tym i owym, myślałem całkiem sporo od czasu, gdy dotarło do mnie, że jestem tu tak naprawdę uwięziony, to znaczy, wszyscy jesteśmy uwięzieni, prawda? Nie wiecie, jak przenieść się do przyszłości?

Kamal poczuł nagły niepokój, słysząc to pytanie, ale nie dał nic po sobie poznać i tylko pokręcił głową.

– Nie. Ramazan miał zapytać o to Rasheeda, gdy zjawili się kolesie z Wydziału Z i zaczęła się strzelanina.

– I to dlatego szukaliście informacji o Rasheedzie i Wiedniu? Chcecie cofnąć się jeszcze bardziej, odszukać go i wydobyć resztę zaklęcia?

Nagły niepokój przerodził się w wielkie zdenerwowanie. Taymoor nie tylko widział ich w bibliotece, ale też sprawdził, co tam robili. Jednocześnie wskazał teraz Kamalowi drogę, podsunął idealną wymówkę, dzięki której Kamal mógł odwrócić jego uwagę od swojego prawdziwego celu.

– Tak – odrzekł tonem tak spokojnym, na jaki go tylko było stać. – To jedyny sposób. Tylko on zna drugą część zaklęcia. Musimy się cofnąć i je od niego wydobyć.

– Widzisz, też tak pomyślałem. Ale potem przyszło mi do głowy pytanie, dlaczego Wiedeń? I po co te dociekania dotyczące bitwy o miasto? – Zamilkł na chwilę, jak gdyby próbował ocenić reakcję Kamala. – Moglibyście się cofnąć do bardziej niedawnych czasów. Do Paryża po tym, jak Rasheed został gubernatorem. Byłoby znacznie łatwiej, nie musielibyście nigdzie jechać pociągiem. I o wiele bezpieczniej.

Kamal czuł się, jakby go przypiekano na rożnie. Taymoor podpuszczał go tylko, wspominając wcześniej o Wiedniu. Starał się wycofać, nie dając po sobie poznać zmieszania.

– Wiedeń po jego zdobyciu też jest bezpieczny. Ale, rzecz jasna, braliśmy pod uwagę także Paryż.

– A jednak wybraliście Wiedeń. Widać to po waszych biletach i po tym, że nie wysiedliście ani w Sztrasburgu, ani w Monachium.

Kamal się nachylił. Taymoor dobrze się przygotował.

– Wiemy, że na pewno tam był, znamy dokładne daty i miejsca. Wszystko jest dobrze udokumentowane. Cała reszta, Paryż... nie mamy żadnych konkretnych informacji.

– Czy to taka wielka przeszkoda? Rasheed był gubernatorem. W dodatku był chory. Znalezienie go i dotarcie do niego nie może być zbyt trudne. A mimo to postanowiliście przenieść się do strefy wojny?

Kamal próbował nie dać po sobie poznać, że został przyparty do muru.

– Coś się mogło zmienić po tym, jak wrócił. Nie wiemy, jak daleko się udał po zniknięciu ze szpitala podczas strzelaniny. Ale wiemy, że nie mógł się cofnąć dalej niż do Wiednia. Pomyśleliśmy więc, że to tam skoczymy, żeby na pewno go znaleźć. Zresztą po tym, jak zobaczyłem cię w hanie i założyłem, że masz za sobą Hafiye i policję, Paryż nie wydawał mi się bezpieczny w żadnych czasach. Mogłeś cofnąć się o kilka dekad i wysłać za nami całe mnóstwo listów gończych.

Taymoor popatrzył z powątpiewaniem.

– To by było dość ekstremalne.

– Może. Ale najwyraźniej rozpaczliwie pragniecie nas znaleźć, więc to, co ekstremalne, może nie jest wcale takie niedorzeczne. Chciałem po prostu razem z Nisreen się stąd wynieść.

Kamal, gdy tylko skończył mówić, zdał sobie sprawę, że jego argumentacja nie jest wolna od luk, ale Taymoor rozparł się tylko wygodnie na krześle i z kamienną twarzą pokiwał głową. Zdawało się, że dręczy go coś jeszcze.

– Może... a może jest coś, o czym mi nie mówisz.

– Podobnie jak ty, bracie.

Taymoor przez chwilę przyglądał mu się spokojnie, a na koniec wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej, pozwól, że o coś cię zapytam. Dlaczego chcecie wrócić do naszych czasów?

To pytanie zaskoczyło Kamala.

– Dlaczego?

– Tak, dlaczego? Oboje jesteście poszukiwani. Nie wyobrażam sobie, by Nisreen mogła tam być szczęśliwa, zważywszy na to, co się stało. A jednak podejmujecie ogromne ryzyko, próbując uzyskać drugą część zaklęcia. Po co?

Kamal podjął jego grę.

– To nasz dom. Tak jak powiedziałeś... nasze czasy.

– Tak, ale rozejrzyj się po tym, co tu i teraz. – Twarz Taymoora ożywiła się i stała zdecydowanie mniej wroga. – Moglibyśmy tutaj zostać. Wszyscy.

– Chciałbyś zostać?

– Myślałem o tym przez cały tydzień po tym, jak was zgubiłem. Może to nie jest taki zły pomysł, żeby tu osiąść. Może to tak naprawdę wspaniała możliwość. Pomyśl tylko. Dobrze się tu dzieje. Mają dobrego sułtana. Panuje pokój. Nie ma zagrożenia terroryzmem, nie ma wrogów państwa. Ropa zaczyna przynosić krociowe zyski, a ludzie się cieszą dobrobytem. I trudno mówić o zacofaniu, które czyniłoby życie niewygodnym... To znaczy, jest prąd, są samochody i gorąca woda pod prysznicem. I nikt nic o nas nie wie. A przy całej naszej wiedzy na temat przyszłości... moglibyśmy żyć jak królowie. Mam rację? Moglibyśmy być bogaci. Absurdalnie bogaci. Mieć takie pieniądze, o których nam się nawet nie śniło. – Twarz mu stężała. – I nie mogę pozwolić, żebyście razem z Nisreen temu wszystkiemu zagrozili. Nie ma mowy. Rozumiesz mnie, bracie?

Kamal zaśmiał się cicho. Nie na darmo byli partnerami. Marzył o tym samym i bardzo go to kusiło, ale to było wtedy, zanim Nisreen wpłynęła na zmianę jego sposobu myślenia. A ta zmiana nastąpiła, jeśli nawet wizja Taymoora zrodziła w nim znowu niepewność – niepewność, z którą musiał się teraz zdradzić, żeby Taymoor nie poznał ich prawdziwego planu.

Doskonale rozumiał Taymoora. Sam chciał stworzyć się na nowo, zbudować nowe, komfortowe życie w tym czasie i miejscu – w czasie i miejscu, w którym jak Kamal również wiedział, Taymoor nie musiałby ukrywać swojej orientacji seksualnej, tak jak to robił w ich dawnym życiu, gdzie nie musiałby odgrywać nieustannej farsy, udając

bawidamka, gdzie nie obawiałby się surowych konsekwencji, gdyby prawda wyszła na jaw.

Plan Kamala i Nisreen natomiast miał to wszystko unicestwić. Teraźniejszość, w której obecnie przebywali, miała przestać istnieć. Miała ją zastąpić jej inna wersja, a Taymoor miał w tym zawirowaniu popaść w niebyt.

Kamal uznał, że może to być dobry moment, by wykorzystać wiedzę, którą od dawna miał o swoim partnerze.

– Wiem, że życie tutaj mogłoby ci pasować. Mogłoby być dla ciebie... bezpieczniejsze. – Popatrzył na niego znacząco. – Nie musiałbyś żyć w kłamstwie.

Twarz Taymoora rozbłysła zaskoczeniem, ale po chwili się rozluźnił i wzruszył ramionami.

– Wszyscy żyliśmy w kłamstwie, nieprawdaż?

Kamal wytrzymał jego pytające spojrzenie, ale postanowił wymigać się od odpowiedzi na to pytanie i zmienił temat.

– Życie, które opisałeś... też o nim myślałem – rzekł przekonująco, bez konieczności uciekania się do kłamstwa. – Wygląda to nieźle.

– No i?

– Nisreen nie chce tu zostać. Chce zdobyć zakłęcie prowadzące w przyszłość i wrócić, żeby wymierzyć sprawiedliwość za to, co stało się z Ramazanem i ich dziećmi.

– Sprawiedliwość? To szaleństwo. Wiesz, że nie ma szans. Chyba jej o tym powiedziałaś?

– Powiedziałem. Ale jest nieugięta. A biorąc pod uwagę to, co przeżyła, czy można ją winić?

– Nie, ale... wiesz, co się stanie. Zginie.

– Nie chce o niczym słyszeć. Pragnie ich zmusić do zapłaty. Ale posłuchaj, cokolwiek postanowimy, nie ma to wpływu na to, co sam chcesz zrobić. Cofniemy się i wydobędziemy od Rasheeda odwrotną wersję zaklęcia. Ty zostań tutaj i żyj tak, jak chcesz. Jeśli nam się uda, wrócimy do naszego świata i zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc Nisreen doprowadzić do takiego zakończenia, jakiego pragnie. Ciebie to w żaden sposób nie dotknie. Nasze czasy dzielą od obecnych całe dziesięciolecie, do tej pory dawno zdążysz umrzeć.

Na twarzy Taymoora pojawił się sceptycyzm.

– Przez nieuwagę możecie coś zmienić, jeśli się cofniecie. Namieszać w chronologii. Zmienić przyszłość. Moją przyszłość... tę przyszłość. Co się wtedy ze mną stanie? Co się stanie z tym światem?

Kamal zmarszczył brwi. Poczuł, jak ściany wagonu się wokół niego zaciskają.

– Ona po prostu musi spróbować. Może nawet nie uda nam się zbliżyć do

Rasheeda. Może zobaczą tam, jak zjawia się dwójka nagich ludzi, pomyślą, że jesteśmy dżinami, i zwyczajnie na miejscu nas zabiją.

Twarz Taymoora spochmurniała.

– Nie mogę tak ryzykować, bracie. Nie mogę żyć z taką niepewnością. Nie mogę dopuścić do tego, żeby całe moje życie miało ot tak – pstryknął palcami – zniknąć.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywali się jeden w drugiego.

Ciszę przerwał Taymoor.

– Pomóż mi. Musimy znaleźć wyjście, a ja żadnego nie widzę. Nie wtedy, gdy wystarczy kilka słów, żebyście obydwoje zniknęli.

Kamal się trudził, by wymyślić sposób, jak go unieszkodliwić.

– Mogę spróbować jeszcze raz z nią porozmawiać.

– Pewnie, że możesz, ale jeśli nawet teraz zdołasz nakłonić ją do zmiany zdania... to jaką będę miał gwarancję, że to na stałe?

– Będziesz musiał po prostu mi w tej sprawie zaufać.

Taymoor powoli, z żalem pokręcił głową.

– Z każdą inną dziewczyną postawiłbym na ciebie, bracie. Ale nie z nią. Wiem, jaka jest uparta. I wiem, ile dla ciebie znaczy.

– Odebrali jej całe życie – powiedział Kamal, czując, jak znowu budzi się w nim nieobca mu wściekłość.

– Więc chyba rozumiesz, dlaczego nie mogę ryzykować, że teraz wy odbierzecie moje.

Kamal popatrzył na niego chłodno, ale nic nie powiedział.

Taymoor znowu odchylił połę płaszcza na tyle, by pokazać pistolet w kaburze. Kiwnął w bok głową, pokazując Kamalowi kierunek.

– Bardzo żałuję, że nie ma innego wyjścia, bracie.

– Ja też.

Kamal wstał powoli, jego zmysły były w stanie najwyższej gotowości.

Ruszył przejściem pomiędzy stolikami, mijając nielicznych podróżnych, którzy niczego nie podejrzewając, korzystali z ostatnich chwil wieczoru. Kierował się do wagonu sypialnego, a tuż za nim szedł Taymoor.

IDĄC ŚRODKIEM WAGONU restauracyjnego, Kamal poczuł, że jego ciało przenika elektryczne napięcie.

Dobrze znał to uczucie. Nawiedzało go za każdym razem, gdy miał się znaleźć w niebezpiecznej sytuacji, co w ostatnich latach zdarzało się nierzadko. Był to stan ekstremalnej psychicznej i fizycznej czujności. Każdy nerw działał na najwyższych obrotach, w przyspieszonym tempie odbierając i przetwarzając fizyczne i psychiczne bodźce atakujące jego ciało, przez cały czas przystosowując je do najbardziej właściwej odpowiedzi i dokładając starań, by było w pełni przygotowane do jej udzielenia.

Stawką było nie tylko jego życie, ale też życie Nisreen. A nie zamierzał jej zawieść. Nie teraz, nie tutaj, nie po wszystkim, przez co przeszła.

Z depczącym mu po piętach Taymoorem dotarł na koniec wagonu i przeszedł przez wąskie drzwi do małego przedsiionka. Były w nim wejścia do kilku małych toalet i wyjście na łącznik pomiędzy wagonem restauracyjnym a sypialnym, w którym znajdował się przedział Kamala i Nisreen.

Kamal szybko rozważał, jakie ma możliwości, gdy drzwi jednej z toalet się otworzyły. Wszedł z nich potwornie otyły, spocony mężczyzna i stanął naprzeciw nich, blokując ciasne przejście. Kamalowi przyszły do głowy różne ruchy, jakie mógłby wykonać, ale w każdej z tych sytuacji mężczyzna stanowił wielką przeszkodę, dlatego musiał odpuścić. Należało znaleźć wyjście, które nie narazi na niebezpieczeństwo niewinnych cywili. Po chwili niezręcznego milczenia Kamal precyzyjnie przesunął się obok mężczyzny i odwrócił, by popatrzeć, jak to samo robi Taymoor. Grubas spojrział z zażenowaniem i odszedł, kołyszając się na boki.

Kamal otworzył drzwi i wszedł na łącznik. Przejście pomiędzy wagonami otulała harmonijkowa ściana chroniąca pasażerów i załogę pociągu przed sadzą wyplukaną przez lokomotywę, a także przed deszczem czy śniegiem. Mimo że ruch pociągu był płynny, pomosty obu wagonów wykonywały swoisty taniec-połamanie i żeby przejść z jednego do drugiego, należało mocno się czegoś chwycić i bardzo uważać.

Drzwi wagonu sypialnego otworzyły się akurat w chwili, gdy Kamal do nich dotarł. Jeden ze stewardów miał właśnie wyjść, ale widząc Kamala, cofnął się, żeby go przepuścić.

– Pan pierwszy, hodźo.

Kamal przyjął zaproszenie z uprzejmym skinieniem głowy i przycisnął się obok niego.

Steward miał już ruszyć naprzód, gdy spostrzegł idącego za Kamalem Taymoora. Cofnął się znowu i pozwolił mu przejść, życząc miłego wieczoru.

Kamal się obejrzał i zobaczył, jak Taymoor spogląda przez ramię na stewarda, gdy ten daje nura w przestrzeń za jego plecami i opuszcza łącznik, zamykając za sobą drzwi. Trwające okamgnienie rozproszenie uwagi, wzrok oderwany od celu przez ułamek sekundy – tyle często mogło wystarczyć i Kamal teraz to miał. Inna okazja mogła mu się nie trafić przed dotarciem tam, gdzie Taymoor przetrzymywał Nisreen.

Jego były partner nie miał też wyciągniętej broni.

Kamal ruszył.

Rzucił się na Taymoora w ciasnym przedsiionku, skręcając się w pasie, by wzmocnić siłę ciosu. Trafił potężnie w bok szyi, tak że głowa mężczyzny opadła. Zdarzało mu się tym ciosem pozbawiać przeciwników przytomności, ale Taymoor wciąż stał, wściekle marszcząc brwi, gdy odwrócił się twarzą do swojego ekspartnera. Kamal nie czekał – szybko wymierzył mu sierpowy w żebra, lecz Taymoor umiał walczyć, wiedział, jak zniwelować siłę uderzenia, a do tego przyjął w swoim czasie niejeden cios, dzięki czemu doszedł do siebie szybciej, niżby sobie Kamal życzył. Kamal jednak był jak w amoku – grzmocił pięściami, łokciami, kolanami, żeby unicestwić przeciwnika, a wizja Nisreen w roli jego zakładniczki całkowicie tłumiała resztki jego wstrzemięźliwości biorącej się z tego, że kiedyś byli partnerami. Wiedział też, że musi zakończyć to szybko, zanim ktoś z załogi albo z pasażerów zobaczy, co się dzieje, i uderzy na alarm.

Taymoor, rzecz jasna, też się nie hamował. Kamal kontynuował atak, ale choć jego były partner miał dobrze wyćwiczone reakcje obronne, to tamten pierwszy cios odebrał mu przewagę. Kamal podskubywał mu siły kolejnymi uderzeniami, aż w końcu wymierzył kolejny solidny cios w splot słoneczny. Następnie doskoczył do Taymoora, złapał go od tyłu za szyję i zaczął dusić. Jego ciało działało w trybie bitewnym, a umysł przerzucał pośpiesznie możliwości. Gdyby pozbawił Taymoora przytomności, a potem wciągnął go do jednej z toalet, związał... i co dalej? Do Wiednia było jeszcze daleko i albo ktoś z załogi zostałby zaalarmowany, że jedna minilazienka jest przez cały czas zajęta, albo Taymoor odzyskałby przytomność. A o tym, żeby dowlec go do ich kabiny, w ogóle nie było mowy – nie w pojedynkę.

Płatanina myśli została brutalnie przerwana, gdy Taymoor zaskoczył go brutalnym uderzeniem tyłem głowy w szczękę. Cios odbił się grzechotaniem w jego czaszce, a ramię zaciśnięte na szyi Taymoora osłabło, co jego były partner natychmiast wykorzystał. Znowu zaczęli wymieniać mordercze, desperackie ciosy. Kamal został zepchnięty do obrony, a Taymoor przyparł go do drzwi wyjściowych, gdy obu im przeszkodził krzyk, a właściwie wrzask kobiety. Szybki rzut oka pozwolił zidentyfikować jego źródło: zauważyła ich starsza pani na drugim końcu wagonu.

Stała jak wryta, z ręką przy ustach, a po chwili znikła za drzwiami.

Kamal miał zaledwie kilka sekund, żeby to zakończyć.

Taymoor też dał się rozkojarzyć i to podarowało Kamalowi nanosekundę, w której się nie bronił. Zebrał całą energię, jaka jeszcze tliła się w jego sponiewieranym ciele, i dał jej ujść przez prawy bark, potem przez ramię i pięść, uderzając w bok twarzy Taymoora i czując, jak jego własna skóra i kości zmieniają się w kowadło, odlane z gniewu i woli przetrwania. Cios był przepotężny. Z ust Taymoora dobiegły się krew, ślina i powietrze, jego oczy się przewróciły, a nogi ugięły. Działając szybko, Kamal z całej siły wbił mu kciuk w szyję i obrócił, tak że jego dawny kolega zwrócony był teraz głową do wyjścia, po czym pchnął go do maleńkiego przedsionka kryjącego drzwi na zewnątrz.

– Przykro mi, bracie – wysyczał do ucha byłego partnera, wyciągając rękę i otwierając drzwi wagonu.

Do środka wpadło wściekle zimne powietrze i głośny stukot kół pędzącego pociągu.

Wypchnął Taymoora z pociągu.

Jego były przyjaciel zniknął momentalnie, wchłonięty przez ciemność. Kamal się wychylił, by zobaczyć, gdzie upadł. Było za ciemno, by cokolwiek dojrzeć, ale pociąg wciąż wspinał się po górach, a przemykające za drzwiami tonące w mroku obrazy były gęsto utkane drzewami.

Szybko zamknął drzwi i nie zważając na ból pulsujący z poobijanej twarzy, popędził korytarzem do swojego przedziału. Musiał zniknąć, zanim przybiegnie konduktor albo ktoś z ochrony pociągu, żeby zbadać to, co zobaczyła kobieta. Pomyślał też, że ma pięćdziesiąt procent szans na znalezienie tam Nisreen. Istniały tylko dwa miejsca, w których Taymoor mógł ją zamknąć: w ich przedziale albo w swoim. Ich jednak wydawał się bardziej dostępny. Żeby skorzystać ze swojego, Taymoor musiałby ją tam zaprowadzić, przez cały czas grożąc bronią, a gdyby coś poszło nie tak, zostałoby w nim ciało, co w razie jego znalezienia – a w którymś momencie na pewno by do niego doszło – wpakowałoby Taymoora w poważne tarapaty.

Puls mu przyspieszył, gdy odkrył, że drzwi przedziału nie są zamknięte na klucz, i ustał nagle, gdy zobaczył ją w środku, leżącą na podłodze z zamkniętymi oczami. Padł na kolana i sprawdził tętno, a potem przyłożył ucho do ust.

Oddychała.

– Nisreen – wyszeptał, całując ją w czoło i ujmując w obie dłonie jej twarz. – Nisreen?

Nie odpowiadała.

Starał się ją obudzić, delikatnie, ale nie reagowała. Sprawdził jej źrenice, próbował szczypać, ale znał te objawy. Już je wcześniej widywał. Były skutkiem działania

środków odurzających.

Nie wiedział, co jej podał Taymoor. Rozejrzał się wokół, ale nie zdołał znaleźć żadnego śladu, żadnej podpowiedzi. Doświadczenie mówiło mu, że mógł to być jeden z wielu środków, ale nie miał pojęcia, czego w tym czasie używano. Tabletek, gazów i różnych mikstur do walki z bezsennością czy do usypiania pacjentów przed zabiegami chirurgicznymi było w jego czasach bez liku, ale tutaj, osiem dekad wcześniej, wiedza o środkach nasennych i uspokajających była z pewnością znacznie uboższa. Musiało to być coś, co Taymoor mógł zdobyć bez większych trudności i w łatwy sposób zaaplikować. Mógł zmusić Nisreen do wypicia czegoś albo połknięcia, jeśli to była tabletką, ale Kamal podejrzewał, że raczej coś jej wstrzyknął. Zaczął szukać śladów po igle na jej rękach, ale niczego nie znalazł.

Cokolwiek to było, koniecznie musiał wiedzieć, jak długo będzie działało. Następnym przystankiem na trasie pociągu był Wiedeń.

Znowu próbował ją obudzić, ale na próżno. Podłożył jej poduszkę pod głowę i usiadł obok na podłodze. Wtedy za drzwiami przedziału usłyszał hałas.

Wstał i przyłożył ucho do drzwi, nasłuchując. Usłyszał głos konduktora pukającego do przedziału sypialnego obok i oznajmiającego przepaszającym tonem, że sprawdzają tylko, czy u pasażerów wszystko w porządku. Kobieta, która widziała jego walkę z Taymoorem, musiała to zgłosić, tak jak się obawiał.

Nie było czasu do stracenia.

Odsunął kołdrę Nisreen, podniósł ją z podłogi i położył na łóżku. A potem opatulił, ale tak, aby było widać twarz i aby nie mogło być wątpliwości, że jest kobietą. Następnie rozebrał się, zostając tylko w długiej białej tunice, i zmiął własną pościel. Zgasił światło i w tym momencie rozległo się pukanie.

Zaczekał, aż konduktor zastuka drugi raz, po czym z udawaną sennością odchrząknął i rzekł:

– Chwileczkę. – Dopiero wtedy uchylił lekko drzwi.

Do przedziału wdarło się światło, oświetlając łóżka i twarz Nisreen. W wąskim korytarzu przy wejściu stał konduktor i zaglądał do środka. Za plecami miał ochroniarza, a w tyle Kamal dostrzegł zaciekawioną twarz starszej pani.

Cofnął się odrobinę, żeby nie mogła mu się dobrze przyjrzeć, w razie gdyby zdołała go zapamiętać. Nie chciał też, żeby przyglądał mu się konduktor, gdyż mógłby zauważyć na jego twarzy sińce i opuchliznę.

– Co się dzieje? – spytał, podnosząc rękę, żeby osłonić oczy, udając, że mruży je przed światłem. Mówił niskim głosem, jak gdyby nie chciał obudzić żony.

– Proszę wybaczyć, efendi – rzekł konduktor – ale jedna z pasażerek zgłosiła, że była świadkiem bójki w tym wagonie, i chcemy się tylko upewnić, że wszyscy są bezpieczni.

– Niczego nie słyszeliśmy – odpowiedział półszepem, cofając się nieco bardziej

w mrok, żeby konduktor dobrze zobaczył Nisreen. – Żona nie najlepiej się poczuła podczas kolacji, to pewnie przez tę wspinaczkę po górach, nie jest do tego przyzwyczajona, więc wcześniej się położyliśmy.

Konduktor rozejrzał się po przedziale. Ciało Kamala i jego wyraz twarzy wyrażały zdenerwowanie. Chcąc się jak najszybciej pozbyć nieproszonych gości, powiedział:

– Doceniam waszą czujność. Jestem pewien, że całkowicie nad wszystkim panujecie.

Odsunął się na bok, jakby chciał zamknąć drzwi. Konduktor się zawahał, ale w końcu odpuścił i uпрzejmie skinął głową.

– Przepraszam, że pana kłopotaliśmy, efendi. Życzę, abyście rano obydwójce państwo wstali w dobrym zdrowiu.

– Państwu też życzę dobrej nocy.

Kamal cicho zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Nadstawił ucha, chcąc wiedzieć, co mówią. Wstrzymał oddech i usłyszał cichą dyskusję konduktora ze starszą panią, która w końcu stwierdziła, że nie przyjrzała się na tyle dobrze biorącym udział w bójce mężczyznom, by mieć pewność, że to on był jednym z nich. Dodała, że wszystko wydarzyło się tak szybko i tak nagle, że w gruncie rzeczy nie widziała dobrze ich twarzy.

Usłyszał, jak odchodzą i pukają do następnych drzwi.

Odetchnął.

Udało mu się wyjść cało z tej opresji – przynajmniej na razie. Ale wiedział, jak to wszystko działa. Konduktor nie odpuści. A w którymś momencie, zapewne jeszcze przed dotarciem do Wiednia, znajdzie pusty przedział Taymoora. To zaś zrodzi najróżniejsze pytania. A te mogą doprowadzić albo do kolejnego przeszukania pociągu, a wtedy już się tak łatwo nie wywinie, albo do obstawienia przez policję dworca po przybyciu do miasta.

Musiał jak najszybciej obudzić Nisreen.

TEJ NOCY NIKT już nie pukał do drzwi, ale Nisreen się nie obudziła. Środek, który jej podał Taymoor, najwyraźniej był bardzo silny i miał długotrwałe działanie. Oddychała równo, ale zupełnie na nic nie reagowała. Kamal przez całą noc nie zmrużył oka, siedział przy niej, kontrolował jej stan i od czasu do czasu próbował ją obudzić, by po chwili znów usiąść i przyglądać się jej z coraz większą trwogą, w miarę jak promienie światła rozpraszały mrok, a niebo stawało się coraz jaśniejsze.

Wiedeń był blisko. Przyjazd do miasta był planowany na dziewiątą piętnaście tego ranka, zaraz po śniadaniu. Nisreen wciąż spała, gdy usłyszał dzwonek obwieszczający posiłek i kroki pasażerów przechodzących obok ich przedziału. Zaczął się denerwować, co robi, jeśli wciąż będzie nieprzytomna, gdy dotrą na dworzec.

Pociąg pokonywał pojone przez Dunaj rozległe równiny, by po chwili wjechać na górską przełęcz, wcinającą się głęboko pomiędzy ośnieżone, wapienne szczyty wysuniętego najbardziej na wschód pasma Alp. Kamal siedział i w ciszy kontemplował niesamowity widok, a jego myśli wędrowały do tego, co razem z Nisreen przeczytali o tutejszych wydarzeniach z 1683 roku. Gdy pociąg wtargnęła na porośnięte bujną roślinnością wyżynne tereny Lasu Wiedeńskiego, wyobraził sobie, jak w jego gąszczu roi się od osmańskiego wojska, polskich huzarów i najrozmaitszych żołnierzy, pieszych i konnych, przesuujących się jak figury po szachownicy, by w końcu rzucić się na siebie i rozpocząć krwawą jatkę, która w krótkim czasie miała zabarwić ziemię na czerwono. Kamal poczuł dreszcz. Niedługo sam rzucił się w wir tych wydarzeń.

Temperatura rosła wraz ze wznoszeniem się słońca i spadkiem wysokości, gdy pociąg zawijasami zjeżdżał z gór i zbliżał się do Wiednia. Z każdym pokonanym kilometrem rosła też trwoga Kamala, sięgając zenitu, gdy pociąg wjechał na rozległe peryferie wielkiego miasta. W jego wyobraźni pojawiły się obrazy tego, przez co Wiedeń musiał przejść podczas oblężenia.

Habsburgowie uczynili ze swej stolicy najnowocześniejszą twierdzę w Europie. Miasto od początku cieszyło się korzystnym położeniem na brzegu Dunaju, który stanowił dla niego naturalną osłonę na północy i wschodzie. Przed rokiem 1683 zostało otoczone pierścieniem dwunastu bastionów, połączonych piętnastometrowej wysokości murem. Pod murem znajdowała się fosa o szerokości osiemnastu metrów. Za nią trójkątne w kształcie wysunięte stanowiska armatnie zwane rawelinami

stanowiły pierwszą linię obrony i trzymały atakujących na dystans, tak by nie mogli zagrozić miejskim murom.

Aby odeprzeć atak Osmanów, wiedeńscy ustawili na rawelinach i bastionach przeszło trzysta dział. Bez przeszkód mogli z nich ostrzeliwać zbliżające się osmańskie wojska. Podczas konwencjonalnego ataku naruszenie fortyfikacji z pewnością nie byłoby możliwe. Kule miotane przez działa najeźdźców nie byłyby w stanie ich zburzyć. Ale Osmanowie nie byli głupi. Dostali też pewną nauczkę podczas wcześniejszej próby zdobycia miasta w 1529 roku.

Tym razem opuścili swoje bazy o wiele wcześniej. Siły najeźdźcze – grubo ponad sto tysięcy ludzi – rozłożyły się obozem pod Wiedniem już w połowie lipca. I choć dzień w dzień prowadziły ostrzał miasta, to nie polegały na swojej artylerii. Tym razem Osmanowie sprowadzili małą armię saperów. Pięć tysięcy ludzi, w tym wielu chrześcijańskich niewolników, zostało posłanych do pracy przy kopaniu istnego labiryntu rowów i tuneli prowadzących do murów obronnych miasta. Za pomocą podziemnych ładunków wybuchowych Osmanowie nadwerężali fragment po fragmencie umocnień z zamiarem utworzenia większej wyrwy i wykorzystania zawałonego muru jako rampy umożliwiającej szturm na miasto.

Zamachowcy samobójcy Rasheeda mieli zagwarantować im sukces, torując drogę i umożliwiając rzeź i zniewolenie ludzi uwięzionych w środku.

Kamala wyrwał z zadumy cichy jęk, poczuł obok siebie ruch. Przeskoczył na drugą stronę przedziału do łóżka Nisreen i delikatnie położył rękę na jej potylicy.

– Nisreen?

Jęknęła znowu i zrobiła głęboki wdech, po czym lekko obróciła głowę, a ból malujący się na jej twarzy pozwalał się domyślać, że było to równie trudne jak poruszenie ołowianej kuli. Po chwili podniosła powieki, początkowo ledwo, ledwo, po czym znowu zmrużyła je sennie, najwyraźniej porażona światłem.

– Co się... Kamal? – wymamrotała.

– Jestem tu, *hayatım* – powiedział, lekko głaszcząc jej włosy. – Jestem przy tobie.

Powoli odzyskiwała przytomność i nagle płynący z otępienia spokój na jej twarzy został pokonany przez atak przerażenia.

– Taymoor. Co się dzieje? Gdzie on jest?

– Nie ma go – odpowiedział. – Nie będzie już z nim problemu.

– Co zrobiłeś? Co się stało?

Opowiedział jej w skrócie, co zaszło, po czym przeszedł do bardziej naglącej sprawy – tego, co ich może czekać na dworcu. Pomógł jej usiąść i podał wodę. Powiedziała, że czuje się otumaniona i odrętwiała i chce zrozumieć, jak Taymoor pozbawił ją przytomności. Zdawało jej się, że pamięta, jak przycisnął jej coś do ust i nosa, coś, co miało orzechowy zapach. Kamal wiedział, że to wcześniejsza, być może także silniej działająca forma anestetyku, którego używali w Hafiye w sytuacjach, gdy

musieli po cichu zgarnąć jakiegoś podejrzanego.

Nie wyglądało na to, by Nisreen trwale coś zaszкодziło; odzyskiwała już zdolność jasnego myślenia i tylko to się liczyło. Pociąg sunął teraz powoli przez miasto i Kamal zobaczył za oknami przesuujące się stare mury obronne, które przed wieloma laty broniły miasta przed Osmanami. Znajdowali się już w starej części Wiednia i zależało mu, żeby Nisreen była skupiona, w razie gdyby na dworcu czekały ich kłopoty.

Jego obawy potwierdziły się, gdy tylko pociąg wjechał na Dworzec Główny imienia Sułtana Majida i zajął miejsce na centralnym peronie przepastnej hali. Kamal przysunął się do krawędzi okna i oparł o ścianę tuż przy szybie. Na peronie panowały ruch i chaos. Tłum ludzi czekał, by powitać przybyłych, kręcili się wśród nich bagażowi i drobni handlarze, walcząc o jak najlepsze miejsce. W tym ludzkim roju Kamal dostrzegł konduktora rozmawiającego z grupą umundurowanych funkcjonariuszy Zaptiye.

Jeden z nich szybko rozstawiał agentów na całym peronie. Wykrzykiwali komendy i korzystając z gwizdków, zbierali posiłki.

– *Bok* – zaklął Kamal. – Musieli odkryć zniknięcie Taymoora.

Kamal wiedział, jak wielka skrupulatność cechuje pracowników osmańskich kolei. Konduktora najwyraźniej zastanowił pusty przedział, dlatego wszczął alarm, nie mogąc znaleźć w pociągu podróżującego w nim pasażera.

– Co to ma z nami wspólnego? Nie możemy po prostu odejść, jakby to nas nie dotyczyło?

Kamal mocniej zmarszczył brwi.

– Po kolacji, kiedy odeszłaś, Taymoor siedział ze mną przy stoliku. Chwilę rozmawialiśmy. Stewardzi i inni pasażerowie na pewno nas widzieli. Gdy tylko nas zatrzymają, staniemy się podejrzаныmi w sprawie. Nie mamy nawet dokumentów tożsamości.

– To niech nas aresztują, a wtedy skorzystamy z zakłącia i cofniemy się o miesiąc, o rok, w jakiś bezpieczny czas. Jesteśmy w Wiedniu i tylko to się liczy.

– Pewnie nas rozdziela – stwierdził Kamal – a nie znamy tego miasta. Nie wiemy, co tu się działo miesiąc czy rok temu. Jeśli skoczymy, dwukrotnie narazimy się na lądowanie w jakimś fatalnym miejscu. Zresztą nie chcę ryzykować, robiąc to osobno czy kończąc podróż w dwóch różnych miejscach. Nie chcę cię zgubić. – Nie mieli wielkiego wyboru. – Musimy iść – dodał. – Szybko. Zanim się zorganizują.

Złapał ich małą walizkę i stanął przy drzwiach, nasłuchując, czy mają wolną drogę, a ona w tym czasie założyła buty i poprawiła kaftan i chustę. Gdy była gotowa, Kamal uchylił drzwi i wyjrzał. Na końcu wagonu zobaczył grupę pasażerów zmierzających do wyjścia z pociągu.

– Chodź – powiedział.

– Zaczekaj – rzekła, chwytając go za rękę, zanim otworzył szerzej drzwi. – Co, jeśli

zostaniemy rozdzieleni? Musimy mieć jakiś plan. Tak na wszelki wypadek.

Umysł Kamala pognał do przodu.

– Musimy się cofnąć w czasie i tam się spotkać.

– Cofnąć? O ile? – Podciągnęła rękaw tak, żeby było widać tatuaże na przedramieniu, i wskazała na palmyreńskie słowa oznaczające różne wybrane przez nich liczebności. – Do samego końca?

– Nie. Wylądowalibyśmy w oblężonym mieście. Zostalibyśmy w nim uwięzieni.

– To o ile?

– Nie wiem. O tydzień. Dziesięć dni. Nieważne.

– A więc o dziesięć dni.

– Okej. – Czuł, że nie powinni zwlekać. – Nie pozwólmy tylko się rozdzielić, dobrze? Chodź. Musimy iść.

Ruszyli korytarzem i dołączyli do innych pasażerów.

Znalazłszy się w wąskim przejściu przy drzwiach wyjściowych, Kamal spostrzegł dwóch policjantów przy samych stopniach wagonu. Sprawdzali dokumenty wysiadających pasażerów i przepytывali ich, powodując mały zator.

Cofnął się, żeby go nie zobaczyli, i rozejrzał się, szukając innego wyjścia.

Wyjrzał przez okno w drzwiach po drugiej stronie wagonu. Na torze sąsiadującym z tym, na którym stali, nie było żadnego pociągu. Nacisnął klamkę, ale były zablokowane.

Zaklął pod nosem.

– Co się dzieje? – spytała Nisreen.

– Za późno. Jesteśmy w potrzasku.

KAMAL SZYBKO POPROWADZIŁ Nisreen na drugi koniec wagonu.

Chronieni przed wzrokiem innych przez harmonijkową ściankę, pokonali łącznik i weszli do wagonu restauracyjnego. Nikogo w nim nie było, a ze stolików sprzątnięto już po śniadaniu. Kamal przyspieszył kroku, Nisreen trzymała się tuż za nim. Byli prawie na końcu wagonu, gdy w drzwiach pojawił się steward z tacą pełną sztuców.

Przystanął, gdy zobaczył, że zmierzają w jego stronę, i zrobił niepewną minę. Kamal próbował go unieszkodliwić spokojnym uśmiechem.

– Wagon restauracyjny jest zamknięty, proszę pana... – W tej chwili jego wzrok spoczął na walizce. – Ach, pewnie szukają państwo wyjścia. Jest tam.

W jednej ręce trzymał tacę, a drugą pokazał im drugi koniec wagonu za plecami Kamala.

Kamal zwolnił, ale się nie zatrzymał.

– Tak? Cóż, jestem pewien, że tędy również się wydostaniemy. Tyle przeszliśmy...

Steward się zawahał, a na jego twarzy odmalowały się irytacja i napięcie.

– Obawiam się, że tutaj nie ma wyjścia, hodžo – wyjąkał. – To przejście tylko dla personelu i...

Kamal przez cały czas parł naprzód, a zaraz za nim szła Nisreen. Steward się cofnął nieco, onieśmielony jego natarczywością. Raptem coś rozbłysło w jego oczach. Mowa ciała Kamala, ton jego głosu, niepokój na twarzy Nisreen...

Zrozumiał.

– Hodžo, proszę – rzekł, chwiejąc się i cofając. – Nie chciałem państwa urazić.

Kamal sunął naprzód.

– Nie czujemy się urażeni.

Kelner wsunął się bokiem pomiędzy oparcia dwóch krzeseł, żeby ich przepuścić.

Wypadli przez drzwi i znaleźli się w małej kuchni, gdzie kucharz musztrował młodego człowieka niosącego karton z bakłazanami.

– Przepraszam, *ustaz* – rzekł, ale Kamal nie miał najmniejszego zamiaru się zatrzymać.

Zignorował kucharza i szedł dalej, prowadząc za sobą Nisreen. Minął młodego dostawcę, który omal nie upuścił kartonu, kiedy ustępował mu z drogi.

Dotarli do drzwi wyjściowych. Kolejny kucharz, wielki mężczyzna o potężnych ramionach, stał przy stopniach, nadzorując dwóch innych młodzieńców, którzy rozładowywali produkty z prostego, odkrytego konnego wozu, ustawionego równoległe do pociągu. Kamal wyjrzał za drzwi. Byli na przedzie składu i od lokomotywy dzielił ich tylko wagon serwisowy. Obok wozu, zaraz przy koniu, stał z jakimiś papierami w dłoni siwowłosy brodac, zapewne dostawca produktów.

– Hejże! – zawołał pierwszy z kucharzy za ich plecami.

Okrzyk zaalarmował jego kolegę na peronie, który się odwrócił i spostrzegł czającego się przy drzwiach Kamala z Nisreen. Malująca się na twarzy potężnego mężczyzny serdeczność przerodziła się w ciekawość, a potem w podejrzliwość. Jego postawa i napięcie ciała obwieściły gotowość do konfrontacji.

Kamal pomyślał, że kucharz musiał widzieć biegających wzdłuż torów funkcjonariuszy Zaptiye. Szanse na wymknięcie się niepostrzeżenie z pociągu były w zasadzie zerowe.

– Trzymaj się blisko – powiedział i wyskoczył z wagonu.

Kucharz ruszył, by mu zastawić drogę, ale Kamal odepchnął go i przemknął obok. Brodaty starzec przy zaprzęgu spał się, chcąc im przeszkodzić, ale działał zbyt powolnie. Kamal chwycił go za kłapy płaszcz i odepchnął w bok, po czym wskoczył na wóz i wdrapał się na miejsce dla woźnicy.

– Chodź – zawołał do Nisreen, podając jej rękę.

Wciągnął ją na wóz w chwili, gdy za ich plecami rozległ się gwizdek. Nie popatrzył do tyłu. Zwolnił ręczny hamulec, chwycił cugle, smagnął konia i rzucił głośno „wio!”.

Koń zastrzygł uszami, schylił głowę i ruszył. Wśród okrzyków i gwizdków policji odbijających się echem po dworcu wóz potoczył się po peronie, rozganiając pasażerów, bagażowych i handlarzy, którzy zaczęli uciekać w popłochu. Z przodu lokomotywy Kamal spostrzegł dwóch policjantów pędzących w ich stronę i sięgających do kabur po broń. Skierował konia w bok i wóz minął przód pociągu akurat w chwili, gdy rozległy się pierwsze strzały.

– Schył się – krzyknął do Nisreen, machając cugłami i pokrzykując na konia, żeby jeszcze bardziej pospieszyć.

Wóz popędził drogą serwisową, minął jakieś stragany i wpadł do hali głównej, rozpędzając tłum ludzi i tratując towary. Ze wszystkich stron zbiegali się policjanci i ścigali wóz. Kamal wciąż poganiał konia, szukając wzrokiem drogi ucieczki.

Główne wejście na dworzec znajdowało się daleko przed nimi, podświetlone promieniami zachodzącego słońca. Kamal jeszcze raz smagnął konia cugłami i skierował go w tamtą stronę. Miał przed sobą dwoje drzwi umieszczonych po bokach większej bramy, która wydawała się dostatecznie wysoka i szeroka, by pomieścić wóz.

Minęli ją w pełnym pędzie i znaleźli się w otoczonym kolumnami portyku

u szczytu monumentalnych schodów.

– Trzymaj się! – wrzasnął Kamal, gdy koń przemknął pomiędzy filarami i ruszył po stopniach, ciągnąc za sobą klekoczący wóz, z którego sfruwały kartony, aż wśród krzyków i gwizdów znalazł się na dole.

Na ulicy przed dworcem panował chaos, było na niej tłoczno od samochodów, taksówek i konnych zaprzęgów załadowanych najróżniejszymi dobrami. Wóz bez szwanku wylądował na ziemi i pognął w stronę jezdni. Kamal dostrzegł pomiędzy dwoma samochodami odstęp, który wydał mu się na tyle szeroki, by pozwolił przedrzeć się na drugi pas. Skierował tam konia, ale gdy przecinali pas zewnętrzny, na wewnętrzny wjechał jakiś samochód. Kamal pociągnął mocno za cugle, kierowca ostro zahamował, ale żaden z nich nie był na tyle szybki, by nie doszło do kolizji. Wóz prawie ominął auto, lecz piasta lewego tylnego koła uderzyła mocno w przedni zderzak auta, uszkadzając go z metalicznym zgrzytem. Zaraz też głośny trzask obwieścił pęknięcie osi i wóz natychmiast zaczął się chybotać jak szalony.

Kamal popędził konia po wewnętrznym pasie, ale było to z góry skazane na porażkę. W gęstniejącym tłumie ludzi i przy wtórze policyjnych gwizdków rozbrzmiewających już na ulicy wóz zdołał wyprzedzić jeszcze parę aut, nim tylna oś puściła zupełnie i pękła na pół. Lewe tylne koło przez kilka sekund chybotало się niemilosierdzie, wreszcie odpadło, wóz przechylił się niebezpiecznie i wtedy odpadło także prawe koło. Tył wozu uderzył o ziemię i zaczął szorować po asfalcie.

Kamal i Nisreen trzymali się siedzenia, podczas gdy koń się silił, próbując ich ciągnąć dalej. Kamal wiedział jednak, że pora kończyć tę jazdę. Pociągnął mocno za cugle i gdy tylko koń stanął, zeskoczył.

– Chodź – ponaglił Nisreen.

Pobiegli ulicą, ścigani przez grupę policjantów. Samochody i piesi, zaalarmowani krzykami i dźwiękami gwizdków, przystawali, aby zobaczyć, co się dzieje, a niektórzy nawet zastawiali im drogę. Przecięli boczną ulicę i pędzili dalej wzdłuż szeregu starych budynków mieszczących kilka sklepów. Kamal gnał niezmordowanie, a Nisreen za nim. Potrzebne im było jakieś rozwiązanie, i to natychmiast. Stało się jeszcze pilniejsze, gdy Kamal zauważył sunącego w ich stronę uzbrojonego funkcjonariusza. Trzymał w ręce pistolet i krzyczał, że mają się zatrzymać, a po chwili stanął, przykucnął i przyjął pozycję do strzału.

Kamal pociągnął Nisreen w bok i dał nura w najbliższe drzwi. Było to wejście do piekarni. Przy szerokiej ladzie stały kobiety, a na półkach i w oszklonych szafkach ułożone były równo bochny chleba i inne pieczywo. Kamal przedarł się przez pomieszczenie, za nic mając kakofonię okrzyków przerażenia i sprzeciwu, po czym wpadł do kuchni, zakładając, że musi tam być jakieś tylne wyjście, przez które będą się mogli wymknąć.

Wyjście było, ale prowadziło w wąski zaułek, ślepo zakończony z jednej strony, a z drugiej prowadzący w stronę dworca.

Naprzeciwko mieli kilkoro drzwi, tylnych wejść do innych lokali. Kamal rzucił się do pierwszych i próbował otworzyć, ale były zamknięte na klucz. Drugie też. Walił pięściami, wołając o pomoc, ale na próżno.

Byli w pułapce. Jakby na potwierdzenie tego u wylotu zaułka zjawił się policjant i już ich widział.

– Nie ruszać się! – wrzasnął, po czym kilka razy dmuchnął w gwizdek i sięgnął po broń.

Kamal odwrócił się do Nisreen i chwycił ją za ramiona.

– Musimy skoczyć. Teraz.

Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki, ale z zapalem pokiwała głową.

– Dobrze, ale... o ile? O dziesięć dni?

Podciągnęła rękawy i wpatrywała się w tatuaże, nerwowo przesuwając wzrokiem po napisach.

Kamal widział, że się pogubiła.

– Nieważne. Może być. No już.

Nisreen była wyraźnie spanikowana.

– Zaczekaj. Muszę podstawić „dziesięć” za...

Kamal przeniósł wzrok na policjanta, który zbliżał się do nich ostrożnie, celując z broni.

– Nie ma czasu. Musimy skakać.

– Ale nie jestem jeszcze... daj mi chwilę, żeby...

– Użyj tego, co znamy! – krzyknął, podwijając własny rękaw i wskazując na całe zakłęcie. To, które miało pełną liczbę księżyców.

To, które miało ich zabrać w czasy obłączenia.

– Musimy to zrobić – rzekł. – Teraz.

Popatrzyła na niego przerażonym wzrokiem i skinęła głową.

Ujął jej twarz w swoje dłonie i ją pocałował mocno w usta, jego wargi stopiły się z jej wargami i nie chciały się rozłączyć, ale musiały. Kamal cofnął głowę, przytrzymał jej twarz, patrząc płonąłym wzrokiem w jej oczy, i kiwnął głową.

– Do zobaczenia na miejscu.

Ledwo im starczyło czasu na oddech, oszołomienie rozpało jej twarz na jedno uderzenie serca, ale oboje znowu zaczęli wypowiadać zakłęcie, tylko że tym razem szybciej niż ostatnio, bardziej nagłeni potrzebą.

Nisreen mówiła pierwsza, Kamal powtarzał, nie odrywając od niej wzroku.

Policjanci skradali się w ich stronę z wyciągniętą bronią, zadziwieni tym, co widzą.

Mężczyzna i kobieta stali naprzeciw siebie, spleceni w uścisku, niezważający na kierowane do nich ostrzeżenia i rozkazy, zatraceni w jakimś cichym, hipnotycznym

rytuale.

I nagle zniknęli.

WIEDEN

RAMADAN, A.H. 1094 (WRZESIEŃ A.D. 1683)

TRAFILI DO PIEKŁA.

Udało im się wykonać skok i wylądować razem, naprzeciwko siebie, w takiej samej pozycji, w jakiej wymawiali ostatnie słowa okamgnienie wcześniej. Ale to okamgnienie, w którym materia ich ciała zdawała się eksplodować bezlikiem fragmentów, a następnie złożyła się na nowo z niewysłowioną brutalnością, znalazło się dwieście pięćdziesiąt dwa lata wcześniej.

Byli w zupełnie innym Wiedniu.

Pierwszym wrażeniem, jakie zaatakowało ich zmysły, był hałas, i to ogłuszający. Powietrze przecinały kule armatnie, pociski moździerzowe spadające z hukiem, od którego grzechotały kości, i wzbijające w powietrze gejzery ognia i kamieni. Towarzyszył im deszcz zatrutych strzał przelatujących nad murami miasta i prujących zadymione niebo, by na koniec z gwizdem opaść w dół, niosąc śmierć. W oddali rozlegały się wystrzały z muszkietów. Do tego krzyki, najprzeróżniejsze, przedzierające się przez cały ten zamęt i dobiegające do nich ze wszystkich stron: bitewne zawołania niepokonanych jeszcze obrońców miasta walczących na murach, zawodzenie rannych i umierających, jęki chorych i głodujących. Jednak najbardziej uderzający był zapach, ohydny, przyprawiający o mdłości smród, który ciążył w otaczającym powietrzu i wnikał w pory ich nagich ciał jak złowroga, wzbierająca fala. Nie przypominał niczego, co czuli kiedykolwiek wcześniej, ale pamiętając o tym, co czytali, nie musieli się domyślać, skąd się brał. Był to smród gnijących ciał zmieszany z fetorem fekaliiów, „krwawej biegunki” towarzyszącej dyzenterii, dziesiątkującej osłabionych mieszkańców miasta bardziej niż osmańskie kule armatnie i miecze.

Zapach śmierci.

Natłok wrażeń podziałał na nich jak uderzenie młotem, które pomimo huku w głowie przywróciło im zdolność jasnego myślenia. Ich wzrok się zaostrił i zobaczyli się nawzajem, nadzy tak jak poprzednio, w wąskim zaułku pomiędzy dwoma rzędami starych budynków.

Kamal ujął w dłonie twarz Nisreen, jakby się chciał upewnić, że to naprawdę ona, jakby szukał potwierdzenia, że udało im się przeżyć.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Skinęła potakująco głową, mrugając nerwowo.

Zaczął się rozglądać wokół i pospiesznie badać otoczenie. Dach jednego z budynków w głębi zaułka był zapadnięty, a w ścianie innego ziała wyrwa od pocisku. Cała uliczka usłana była gruzem i śmieciami.

Kamal spojrział na Nisreen akurat w chwili, gdy w pobliski dom uderzyła kula armatnia. Ziemia pod ich stopami zadrżała, ale Nisreen nawet nie drgnęła. Stała z oczami utkwionymi w czymś na drugim końcu zaułka.

– Kamal – odezwała się zdecydowanym, nagłym głosem, chociaż wargi jej drżały, i wskazała palcem coś za jego plecami.

Kamal się odwrócił i zobaczył to, co wywołało jej wstrząs: pomiędzy hałdami gnijących śmieci pod ścianą na końcu uliczki leżała sterta ciał, pewnie kilkudziesięciu. Żerowała na nich chmara insektów i kilka szcurków. Oczy piekły go po skoku, ale uświadomił sobie, że jest tam coś jeszcze. Ludzie – żywi, a raczej ledwo żywi – trzy wychudzone, zabiedzone osoby zrobiły sobie ze zwłok przynętę, próbując zwabić i złapać coś do zjedzenia.

Kamal wiedział, że obrońcom prawie skończyły się zapasy żywności. Zjedli już wszystkie psy i koty w mieście i zostało im tylko polowanie na szczury.

Ludzie ci byli chudzi i brudni, a ich ubrania tak złachmanione, że trudno było stwierdzić, czy to mężczyźni, czy kobiety, nawet wtedy, gdy jedna z tych osób zauważyła Kamala i Nisreen, dała znać pozostałym i cała trójka ruszyła w ich kierunku. Chrypieli coś przy tym niezrozumiale w – jak uznali przybysze z Paryża – wiedeńskiej odmianie niemieckiego, którą posługiwali się mieszkańcy miasta w tamtych czasach.

– Wyośmy się stąd. – Kamal złapał Nisreen za rękę i zaczęli biec.

Wypadli z zaułka na nieco szerszą uliczkę, a ich szokujący wygląd – byli nadzy, zdrowi i czyści, jakby dopiero co opuścili królewską łaźnię – tu też wywołał szok i przyciągnął jeszcze więcej miejscowych desperatów, którzy jakimś sposobem znaleźli siły, by rzucić się pędem w ich stronę.

Mimo że nad Kamalem i Nisreen wisiła groźba schwytania, niesamowitość tego, co ujrzeli, nie dała się zignorować i wprost przykuła im stopy do ziemi.

Większość budynków wzdłuż uliczki nosiła wojenne rany. Wszędzie walały się gruz i zwłoki – część piętrzyła się przy murach, inne, świeższe, nadal leżały tam, gdzie ofiarę zastała śmierć. Dwie ocalałe osoby, chude jak szkielety, pokryte brudem, ciągnęły dwukołowy wózek, na którym leżały kolejne ciała. W powietrzu wisiał pył i dym przesycony dławiącym, wszechobecnym smrodem.

Miasto miało za sobą całe tygodnie najbardziej intensywnego bombardowania i zaciekłych walk, jakie kiedykolwiek widziała Europa. Ale nawet bez tych apokaliptycznych zniszczeń ówczesny Wiedeń bardzo różnił się od tego, który udało

im się zobaczyć przed skokiem. Był znacznie mniejszy. Mimo że w tamtym czasie był czwartym miastem pod względem liczby ludności w Europie, otaczały go potężne umocnienia, co oznaczało, że nie mógł rozrastać się na zewnątrz. Stanowił ciasny labirynt średniowiecznych uliczek utkanych trzy- lub czterokondygnacyjnymi kamiennymi domami, które zwieńczone były przeważnie spadzistymi, krytymi dachówką dachami, czasem z mansardowymi oknami. Rozsiane z rzadka wśród nich wysokie wieże kościołów ginęły w zadymionym niebie. Wszystkie je przyćmiewała strzelista południowa wieża katedry Świętego Szczepana, górująca nad okaleczonym miastem w samym jego centrum. Jakimś cudem wciąż stała i w tym momencie służyła Kamalowi za drogowskaz, każąc mu kierować się w tę stronę.

– Tędy – syknął i pociągnął Nisreen, uciekając przed rosnącą w siłę oblawą.

Jednak poruszanie się boso po usłanych gruzem uliczkach nie było łatwe. Odłamki kamieni i dachówek raniły im stopy, tak że biegli, chwiejąc się i utykając. Nacierało na nich coraz więcej miejscowych, zwabionych krzykami, których ani Kamal, ani Nisreen nie rozumieli.

Kamal skręcił za róg i natknęli się na jakieś pół tuzina wychudzonych austriackich żołnierzy w brudnych mundurach, którzy na ich widok stanęli jak wryci. Kamal przesunął Nisreen za siebie i cofnął się pod ścianę, widząc nacierających żołnierzy i kolejnych cywili. Walił po wyciągniętych rękach, które próbowały go dosięgnąć, ciosami i kopniakami starał się ich odgonić, ale liczebność przeciwników nie dawała mu żadnych szans. Jeden z napastników wskazał ze złością jego tatuaże, w szczególności ten na prawym barku, będący oznaką przynależności do osmańskiej formacji, i Kamal został rzucony na ziemię, gdzie zaczęli się nad nim pastwić jeszcze bardziej. Słyszał za swoimi plecami krzyki Nisreen – „nie!” i „przestańcie!” – i próbował się odwrócić, żeby sprawdzić, w jakim jest stanie, ale ciosy, które na niego spadały, były tak silne i pełne zaciętrzewienia, że nie zdołał.

Zakrwawiony, bez tchu, porażony bólem został postawiony na nogi. Obrócił głowę, szukając Nisreen. Zobaczył ją pod ścianą, unieruchomioną przez grupę gapiących się lubieżnie mężczyzn. Na jej twarzy malował się wyraz grozy i przerażenia.

– Przybyliśmy, żeby wam pomóc – wysapał. – Jesteśmy przyjaciółmi.

Jednak osmański język, jakim się posłużył, by błagać o litość, tylko pogorszył sytuację i spowodował jeszcze więcej krzyków i ciosów. Starał się rozróżnić twarze swoich dręczycieli, starał się dostrzec wśród nich jakiegoś przywódcę, kogoś, z kim mógłby nawiązać porozumienie, ale wszyscy zlewali mu się w jedno, byli jak morze bliskich śmierci desperatów, którzy zobaczyli niespodziewaną, jedną jedyną małą okazję, by dać upust swojej wściekłości.

Wlekli Kamala i Nisreen przez zrujnowane miasto, poszturchując ich, kopiąc i coś wykrzykując, a z każdym krokiem tłum robił się coraz większy. Szybko dotarli do ufortyfikowanych murów, tu pojmany powleczono w górę niekończących się schodów, aż znaleźli się na przejściu obronnym na szczycie. Panował tutaj tak

ogłuszający hałas, że Kamal prawie nie był w stanie logicznie myśleć, a to, co zdołało się uformować w jego głowie, wyrażało udrękę, żal i gniew z powodu stanu, w jakim znalazła się Nisreen, z powodu tego, przez co musiała przechodzić. Gdy dotarli do ławki strzeleckiej wychodzącej na rów pomiędzy wewnętrznym a zewnętrznym pierścieniem umocnień, zrobiło się jeszcze gorzej.

Widok był nie z tego świata.

Na hałdach kamieni i gruzu z częściowo zburzonych murów toczyła się zawzięta walka w bezpośrednim kontakcie z przeciwnikiem. Chmary żołnierzy osmańskich i obrońców Wiednia uśmiercały się nawzajem za pomocą muszkietów, mieczy, halabard, pik, nie gardząc też kamieniami czy gołymi pięściami. Na gruzach w międzymurzu, pełnym dziur i kraterów po wybuchach, leżało mnóstwo nieruchomych ciał, niektóre całe, niektóre pozbawione jakiegś kończyny bądź głowy. Zaciekłość i krwawość zmagania były oszałamiające. Kamal czytał o tych walkach, wyobrażał sobie, jak musiały wyglądać, ale pomiędzy oglądaniem okiem wyobraźni podczas lektury a obecnością na miejscu, w samym sercu wydarzeń, i doświadczaniem wszystkiego niemal na własnej skórze istniała ogromna różnica.

Jedno spojrzenie na Nisreen powiedziało mu, że jest co najmniej tak samo wstrząśnięta i przerażona jak on.

Za murami teren nienależący już do umocnień stanowił labirynt okopów, była ich cała sieć, świadectwo krwi i potu przelanych przez pięć tysięcy saperów, którzy ryli w ziemi przez wiele tygodni. Okopy, dające schronienie elitarnym oddziałom janczarów gotowych w każdej chwili do ataku i mającej ich wspierać lekkiej oblężniczej artylerii, bieły równolegle do murów i się rozpościerały jak okiem sięgnąć. Prostopadle do nich szły przykopy prowadzące do osmańskiego obozu: dziesiątki tysięcy kolorowych namiotów ciągnęły się półkolem przez dwadzieścia cztery kilometry, stanowiąc istne miasto, dom dla wszystkich wojowników, którzy odpowiedzieli na wezwanie sułtana i odbyli długą pielgrzymkę, by poskromić niewiernych. Był to także dom dla przeszło trzydziestu tysięcy wieśniaków – mężczyzn, kobiet i dzieci – pojmanych w małych miejscowościach, splądrowanych przez osmańską armię podczas jej marszu na Wiedeń. Wielu zabito brutalnie na oczach obrońców miasta w ramach dławiącego morale przedstawienia, reszta miała trafić do niewoli na terenie imperium. Cały ten przerażający spektakl rozgrywał się przy ogłuszającym jazgocie osmańskich orkiestr wojskowych, tak zwanych *mehter*, a dźwięki ich wielkich bębnów, talerzy i rogów niosły się echem po polu śmierci, zagrzewając wojowników do boju.

Po lewej stronie, na zwieńczeniu przedpiersia, Kamalowi mignęło coś, czego znaczenia początkowo nie zrozumiał, dopiero po chwili, zdjęty totalnym przerażeniem, uświadomił sobie, że patrzy na skurczone, zdeformowane głowy, odcięte i nabite na piki, i – jeśli to możliwe – jeszcze bardziej koszmarnie skóry zdarte z ludzi i przybite do drewnianych słupów. Ta świadcząca o nieludzkiej brutalności

wystawa miała dręczyć i pozbawiać morale oblegających.

Kamal czytał o tym, co tłumy żądnych zemsty wieńców robiły schwytanym żołnierzom i tym, których podejrzewali o szpiegostwo bądź dywersję. Mieszkańcy miasta, gdy tylko mieli okazję, nie pozostawiali Osmanom dłużni za ich okrucieństwo.

A teraz mogli wziąć rewanż na Kamalu i Nisreen.

WCIĄŻ POSZTURCHIWANI, ZOSTALI poprowadzeni wśród skulonych strzelców i grenadierów i wepchnięci przed działo, a potem w otwór strzelniczy w murze i tam przytrzymani na widoku oblegających. Po lewej stronie Kamala stał cuchnący, chudy jak tyczka żołnierz o twarzy naznaczonej wściekle czerwonymi plamami, który wydawał się przywódcą tłumu. Stanął za Kamalem, żeby schować się przed wrogimi strzelcami, i zaczął wykrzykiwać coś płomiennie, kierując swe słowa do niewidocznych żołnierzy kulących się w okopach i do wojowników gromadzących się na hałdach gruzu, by za chwilę wejść do walki.

Przemowa mężczyzny uciszyła ogień muszkietów, szczęk mieczy i wojenne okrzyki janczarów, a nawet jazgot stojących w pobliżu wojskowych orkiestr. Kamal nie rozumiał, co mówi, ale sądząc po tym, jak ciągnął go za włosy i wytykał palcem jego i Nisreen, dotyczyło to właśnie ich. Ślina mówcy spadała kropelkami na twarz Kamala, gdy kontynuował swoją tyradę wśród dochodzących zewsząd wrzaskliwych wiwatów i gwizdów. Najwyraźniej szydził z Osmanów, informując ich jednocześnie o barbarzyńskim pokazie, który miał się zaraz odbyć.

Żołnierz wyciągnął zza pasa wielki nóż i nie puszczając włosów Kamala, przyciągnął go bliżej i przycisnął ostrze do jego szyi. Przez cały czas wyrzucał z siebie potok gniewnych słów. Kamala ogarnęła nieokiełznana panika, zaczął się szarpać, żeby się uwolnić, ale zbyt mocno trzymało go zbyt wielu ludzi. Jego zmagania zakończył cios w nerki i uderzenie łokciem w szczękę.

Na wpół ogłuszony, usłyszał krzyk Nisreen:

– Przestańcie, proszę, przestańcie! Jesteśmy tu, żeby wam pomóc. Żeby was ocalić.

Uciszył ją mocny policzek. Kamal, widząc to, wpadł w szal.

– Wysłuchajcie jej, lajdaki – wrzasnął. – Sobieski i Lotaryńczyk już tutaj są... są blisko... ale wszyscy zginą, jeśli nie wystuchacie...

Przerwały mu pełne wściekłości wrzaski i kilka solidnych ciosów.

Pobity prawie do nieprzytomności, odszukał wzrokiem Nisreen. Boleść na jej twarzy była lustrzanym odbiciem jego rozpacz, ale w tej chwili desperacji przemknęło między nimi niewypowiedziane wyznanie wdzięczności i miłości. Był to moment głębokiej bliskości, wyrastającej poza ich koszmarną niedolę, moment, który na kilka pięknych sekund dał im zapomnieć o okropieństwie i nędzy – został jednak brutalnie przerwany przez żołnierza o pokrytej plamami twarzy, który podniósł nóż

wysoko w górę i wrzasnął coś, obwieszczając początek krwawego rytuału.

Kamal zobaczył, jak w oczach Nisreen rozpała się ogień. Zdjęta przerażeniem, zaczęła znowu krzyczeć, żeby przestali, ale Kamal zbyt był skupiony na barbarzyńskich błyskach w oczach swego kata, by zrozumieć, co mówi. Wtedy dotarły do niego inne słowa, nie jej, lecz jakiegoś mężczyzny, słowa, które zelektryzowały powietrze i wpłynęły na dynamikę zdarzeń, sprawiając, że żołnierz się zawahał.

Mężczyzna przez cały czas powtarzał swoje ostro i mocno brzmiące przesłanie, głos miał potężny i buntowniczo nieugięty wobec pełnych złości gwizdów, jakimi witała go gawiedź. Wreszcie Kamal go zobaczył, samotną postać torującą sobie drogę poprzez tłum.

Przybysz był mniej więcej w wieku Kamala. Miał ciemnooliwkową skórę i czarną gęstą brodę, ale co najbardziej uderzające, był w wyraźnie lepszej kondycji niż rozpychani przez niego ludzie. Nie był chodzącym szkieletem jak cała reszta. Twarz miał czystą, a jego ubrania nie były złachmanione czy pokryte brudem. Filcowy kapelusz o szerokim rondzie zsunął – prawdopodobnie celowo – tak nisko, że zakrywał mu całe czoło i rzucał głęboki cień na twarz.

Rozgorzała pomiędzy nim a resztą zacięła kłótnia. Tłum popychał go i wściekle wyciągał palce w jego kierunku, a także w kierunku Kamala i Nisreen, ale mężczyzna się nie cofnął. Krzyknął coś i szarpnął za rękę z nożem, zabierając ją z ręki Kamala. Nie bacząc na głosy protestu, zdyszany z wysiłku, jakim okupił tę konfrontację, przysunął się do Kamala i posługując się osmańskotureckim, rzekł:

– Odpowiadaj szybko. Co z Sobieskim? Dlaczego o nim wspomniałeś?

– Jest blisko – odparł Kamal. – Jego przybywająca z odsieczą armia jest blisko. Ale wszyscy zostaną rozerwani na strzępy, nim do was dotrą, jeśli nas nie wysłuchacie.

Mężczyzna przez pełen napięcia moment rozważał słowa Kamala, po czym skierował wzrok na Nisreen, bacznie się jej przyglądając.

– Mówimy prawdę – dodała. – Jesteśmy tu, żeby wam pomóc. Miasto w tej chwili jest bliskie upadku. Inaczej po co mielibyśmy się tu zjawiać?

Podejrzliwość i ciekawość zdominowały twarz mężczyzny, gdy się w nią wpatrywał, po chwili odwrócił się z powrotem do Kamala, strzelając nerwowo oczami i przemawiając nagłym tonem:

– Skąd o tym wiecie? I jak dostaliście się do miasta? Dlaczego jesteście nadzy?

Bez ostrzeżenia powietrze zaszumiało od deszczu strzał. Część przeleciała nad ich głowami, ale dwie trafiły w ludzi zgromadzonych na murach.

Rozbrzmiały nagłe krzyki, gdy na mury spadł tym razem grad kul z muszkietów, otaczający Kamala i Nisreen ludzie się rozpiezchli, by szukać schronienia. Brodaty mężczyzna w filcowym kapeluszu rzucił kilka rozkazów, po czym powtórzył je z większą stanowczością. Gawiedź posłuchała niechętnie, a paru mężczyzn w panice wyciągnęło Kamala i Nisreen z otworu strzelniczego i powlekło na drugą stronę

przejścia.

Wszyscy ruszyli z powrotem po schodach, brodacz schodził pierwszy, a złożona z czterech mężczyzn eskorta wraz z dwojgiem pojmanych za nim. W ślad za strzałami i kulami z muszkietów ruszyły teraz pociski moździerzowe, zadając jeszcze więcej cierpienia spustoszonemu miastu, a Kamal, Nisreen i ich obstawa przemykali wąskimi uliczkami. Kilka domów stało w ogniu, ale brak wody uniemożliwiał ich gaszenie. Dzwonnica kościoła przy pierwszej przecznicy po ich lewej stronie została trafiona akurat w momencie, gdy tamtędy przebiegali. Na ulicę posypały się odłamki kamieni, a po chwili dzwon uderzył o ziemię, wydając głęboki, głuchy, wprost nieziemski jęk.

Tuląc się do ścian, skręcili jeszcze dwa razy i znaleźli się na placu przed katedrą. Przy jej głównych drzwiach stało kilka wozów, a ludzie wnosili do środka zwłoki. Gdy znaleźli się bliżej, Kamal i Nisreen zostali obezwładnieni przez nieczłowiecki zapach dochodzący z gmachu. Był znacznie gorszy niż ten, który czuli wcześniej, tak że ledwo dawało się oddychać. Naczytali się dość, by wiedzieć, skąd się brał: główny cmentarz miejski znajdował się za ufortyfikowanymi murami miasta, dlatego teraz zwłoki były wrzucane do wielkiego, sklepionego pomieszczenia głęboko pod katedrą. Po zajęciu miasta Osmanowie odkryli tam tysiące szkieletów i rozkładających się ciał. Kamal przypomniał sobie o czymś jeszcze i żeby zająć myśli, podniósł oczy na katedralną dzwonnice. Wyteżając wzrok, na wysokości czterystu pięćdziesięciu kademów próbował dostrzec znajdujących się tam obserwatorów, o których czytał. Wieża była kluczowym elementem obrony miasta i przetrwała jego oblężenie i upadek, po którym katedrę przekształcono w meczet. Słońce jednak świeciło mocno i jego oczy nie zdążyły się przystosować, bo został szturchnięty i popędzony po schodach imponującej kamiennej budowli stojącej obok katedry i także wychodzącej na główny plac.

Wspaniałość gmachu dawno przeminęła. Armatnia kula wybiła olbrzymią dziurę w jego fasadzie, a kamiennych odłamków i gruzu z holu przy wejściu nie usunięto. Dokoła wały się zniszczone meble, a w jednym kącie widać było świeże ślady po ognisku. Pomieszczenie było tak brudne, jak prowadzący ich mężczyźni, a na marmurowej posadzce można było dostrzec ślady rozmazanej krwi i nieczystości.

Przeprowadzono ich obok monumentalnych głównych schodów i dalej przez przycupnięte w ich cieniu niskie drzwi. Mężczyźni zabrali kilka pochodni z uchwytych na ścianach i oświetlili nimi drogę w dół wąskich, spiralnych stopni wiodących do piwnicy. Tam Kamal i Nisreen zostali poprowadzeni wilgotnym korytarzem i wepchnięci do ciemnej, ślepej komórki.

Kazano im usiąść na podłodze. Nisreen popatrzyła niepewnie na Kamala. Starł się dodać jej otuchy pewnym siebie, sugerującym cierpliwość skinieniem głowy i oboje zrobili, co im polecono. Zimno kamiennej posadzki przenikało ich nagą skórę, a pomieszczenie było zawilgocone, zakurzone i zagracone pustymi skrzynkami, na

których widniały jakieś nazwy i daty. Kamalowi przyszło do głowy, że musi to być piwnica na wino, którego zapasy dawno się już wyczerpały.

Brodaty mężczyzna stał nad nimi, uważnie im się przyglądając. Zdjął kapelusz i przecesał dłonią gęste, potargane włosy, po czym spytał:

– Kim jesteście?

Kamal popatrzył na niego chmurnie, a potem przeniósł wzrok na Nisreen. Kuliła się i robiła wszystko, żeby się zakryć, lecz gdy odwzajemniła jego spojrzenie, w jej oczach zobaczył wyzwanie.

– Gdzie pańskie maniery? – zwrócił się Kamal do brodacza. – Dajcie najpierw pani coś do ubrania, wtedy będziemy mogli porozmawiać.

Brodacz wydał się urażony jego wybuchem, ale Kamal nie spuszczał z niego wzroku. Po dłuższej chwili mężczyzna powiedział coś do swoich towarzyszy. Tamci się zawahali, więc powtórzył rozkaz, tym razem bardziej stanowczo. Jeden z nich skinął głową, wybiegł i po chwili wrócił z dwoma długimi wojskowymi płaszczami, wyglądającymi, jakby ich dawno nie prano. Podał jeden Nisreen, a drugi Kamalowi.

Wstając, by założyć okrycie, Kamal usłyszał, jak brodaty wydaje kolejne polecenie. Pilnujący ich mężczyźni się odwrócili, zapewniając Nisreen nieco intymności. Zdziwiony Kamal popatrzył z niemym pytaniem – czy raczej zaskoczeniem – na swego rozmówcę.

– Luksus dobrych manier został nam odebrany już wiele tygodni temu – rzekł mężczyzna. – Ale część jakoś przetrwała.

– Dziękuję – odparł Kamal.

Teraz oboje stali.

– A więc... kim jesteście? – spytał znowu mężczyzna.

Kamal popatrzył niepewnie na Nisreen. Oczywiście zastanawiali się wcześniej, jak mają odpowiedzieć na takie pytanie. Musiałoby paść, gdyby się im udało dotrzeć do Sobieskiego, ale mieli nadzieję stawić czoło tym wyjaśnieniom w mniej ekstremalnych okolicznościach – przede wszystkim w ubraniu. Udzielenie przekonującej odpowiedzi było sprawą kluczową. Ale rozważania na ten temat i zmaganie się z rzeczywistością to były dwie zupełnie różne rzeczy.

– Nazywam się Kamal Arslan Aga. Jestem, byłem oficerem sultańskiej Teşkilat-i Hafiyé.

Zgodzili się z Nisreen, że podczas każdego przesłuchania najlepiej będzie trzymać się jak najwierniej prawdy. Wiedział to z doświadczenia nabytego w pracy tajnego agenta. Nic nie uchodziło za bardziej wiarygodne niż bajka tkwiąca korzeniami w prawdzie.

Brodacz wydawał się zdezorientowany.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

Nic dziwnego. Hafiyé jeszcze nie istniała. Była tworem Rasheeda, częścią jego

dziedzictwa, ponadczasowym wkładem w rozwój jego adoptowanej ojczyzny.

– Nie bez powodu. Jesteśmy tajną jednostką służącą bezpośrednio sułtanowi. Naszym zadaniem jest odkrywanie i likwidowanie wszelkich spisków, jakie zostałyby przeciw niemu zawiązane.

Brodacz zrobił niewiele znaczącą minę, jakby uważał, że może to być prawdą, ale nie musi.

– A ona? – spytał, pokazując Nisreen.

– Nisreen Hatun należy do mojej rodziny. Jej mąż był moim bratem.

– Był?

– Został niedawno zabity. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Zabili go ludzie sułtana.

– Razem z dwójką naszych małych dzieci – dorzuciła Nisreen. Głos się jej załamał na to wspomnienie.

Wyraz twarzy brodacza natychmiast złagodniał. Czując się nieswojo po usłyszeniu takiej wiadomości, rzekł:

– Serdecznie współczuję, hatun.

– Dziękuję.

Kamal obserwował Nisreen. Nie mógł znieść tego, że są zmuszeni wykorzystać tę tragedię w taki sposób, i widział, jak wiele ją to kosztuje, ale była to prawda i ważne było, aby ją wykorzystać jako podstawę, na której ułożona zostanie cała reszta.

Jeden z mężczyzn, o szorstkim głosie i mowie ciała odzwierciedlającej chęć konfrontacji, coś powiedział. Zapewne nie rozumiał języka, którym posługiwali się Kamal i brodaczo, i tracił cierpliwość. Mówiąc, podejrzliwie przyglądał się Kamalowi, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wróci do obdzierania go ze skóry. Brodaty odpowiedział mu w ostrych słowach, co momentalnie doprowadziło do zacieklej awantury. Koniec końców mężczyzna niechętnie umilkł i cofnął się o krok.

Brodacz zwrócił się do Kamala:

– A co takiego chcieliście nam powiedzieć? Co jest takie ważne, by zaryzykować tak brawurową akcję, skutkującą możliwością obdarcia ze skóry przez obecnego tu mojego przyjaciela Franza?

Kamal poczuł się odrobinę pewniej. Może jednak nie zostaną oskórowani.

– Sobieski, Karol Lotaryński i ich wojska... są blisko. Prowadzą też ze sobą Bawarczyków. Król i wszyscy dowódcy zebrali się teraz na zamku Stetteldorf.

Gdy wypowiedział nazwę zamku, pilnująca ich grupa nie ukrywała zaciekawienia. Było to jedyne słowo, które zrozumieli, nie licząc nazwisk dwóch dowódców wymienionych wcześniej, jeszcze na murach. Ale zamek nie był żadnym ważnym punktem orientacyjnym, była to niczym niewyróżniająca się rezydencja miejscowej arystokracji, w dodatku leżała na północnym brzegu Dunaju, na terenie, na który nie

zapuszczały się żadne osmańskie ani tatarskie oddziały. To, że posłużył się jej nazwą, z pewnością przykuło ich uwagę.

– Za dwa dni pod Tulln odbędzie się uroczysty przegląd ich wojsk – ciągnął. – Nie wiedzą jednak, że wszyscy mają tam zginąć. Król, Lotaryńczyk... wszyscy. Zostaną wysadzeni w powietrze. Ich siły znajdą się w zasadzce. A potem... potem Wiedeń upadnie.

To wywołało przygnębienie na twarzy jego rozmówcy i niespokojne szuranie nogami wśród pozostałych. Ten sam człowiek, który się odezwał wcześniej, zaczął głośno powarkiwać, najwyraźniej chcąc wiedzieć, o czym mówi Kamal. Brodacz uciszył go kilkoma ostrymi słowami i zwrócił się znów do Kamala:

– W jaki sposób zostaną zabici?

Kamal odchrząknął.

– Za dwa dni, w środę, podczas przeglądu wojsk przybędzie trzech konnych posłańców. Będą prowadzili wielbłądy objuczone sakwami z prochem. Powiedzą, że niosą wiadomość i dary od sułtana. Jedynym darem będzie wielki wybuch, który wszystkich zmiecie z powierzchni ziemi.

Brodaty mężczyzna niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Jego ludzie to zauważyli i tym razem odezwało się dwóch, ale obu szorstko uciszył. Był wyraźnie poruszony tym, co usłyszał.

Zapytał Kamala:

– A skąd wy o tym wiecie?

– Jako oficer Hafiye znałem wszystkie plany dotyczące tej kampanii. A to było planowane od samego początku. Ludzie sułtana wiedzieli, że przybędzie wojsko z odsieczą. Wiedzieli, gdzie będzie czekało. Idealny cel. Dlaczego waszym zdaniem nie podłożyli dotąd wielkiego ładunku pod bastion Löbl i jeszcze go nie zaatakowali?

To ewidentnie zastanowiło brodacza. Od początku oblężenia działania osmańskich saperów koncentrowały się na dwóch najmocniejszych bastionach, zwanych Löbl i Burg – Lew i Zamek – i na znajdującym się między nimi rawelinie. Z dwunastu przypominających kształtem strzałę bastionów otaczających miasto najsłabsze były te od strony Dunaju, ale rzeka płynęła za blisko i była zbyt głęboka, by dało się wykopać tunele i podłożyć ładunki wybuchowe. Löbl i Burg zostały przez najeźdźców wybrane, bo rozciągające się naprzeciw nich pola sprzyjały tworzeniu okopów, fosa przed nimi była sucha, łączący je mur długi, a ich konstrukcja niedoskonała. Kompleks namiotów wielkiego wezyra został wzniesiony w tej części osmańskiego obozu, która znajdowała się naprzeciwko tych bastionów. W połowie odległości między nimi stał rawelin – odsunięta od murów masywna, wysoka na dziewięć metrów platforma ogniowa w kształcie trójkąta – który był już zniszczony przez miny, a oba bastiony także uległy sporym uszkodzeniom podziemnymi wybuchami. Trzymały się dosłownie na włosku.

– Sułtan chce, żeby Sobieski, Lotaryńczyk i pozostali, którzy przybyli pod Wiedeń, aby go ratować, myśleli, że są w stanie wyzwolić miasto – ciągnął Kamal. – Chce, żeby wszystkie filary chrześcijańskiej wojskowości zebrały się w jednym miejscu. Chce ich zlikwidować jednym ruchem. – Kamal zaczął, aż ta wiadomość w pełni dotrze do jego słuchacza, po czym dodał: – Chce pozostawić chrześcijańską Europę bez jej bohaterów.

Brodacz mężczyzna był wyraźnie zaniepokojony – ale miał też wątpliwości.

– Od tygodnia co wieczór posyłamy w niebo race, jak dotąd nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. A wy twierdzicie, że wojska już tam są?

– Tak – upierał się Kamal. – Może są za daleko, by dostrzec wasze race. Albo nie odpowiadają, bo mają nadzieję zaskoczyć Kara Mustafę. Nie wiem. Wiem tylko, że to oni zostaną zaskoczeni. I to w jak najgorszy sposób.

Brodacz rozważał jego słowa, wolno kiwając głową.

– Przyjmijmy, że to, co mówicie, jest prawdą... Dlaczego tu przybyliście? Dlaczego nas o tym powiadamiacie?

– Mój brat został brutalnie zamordowany przez ludzi sułtana, bo kwestionowali jego lojalność. Był tylko medykiem. Człowiekiem, który poświęcił życie ratowaniu innych. Nie zawahali się także zabić jego dzieci. Wszyscy byli niewinni. – Pokręcił głową ze szczerym, płynącym z głębi serca gniewem. – Moja bratowa ledwo zdołała ująć z życiem, tak samo jak ja, kiedy po mnie przyszli. Musieliśmy uciekać. I oto jesteśmy.

– Gotowi zdradzić swojego sułtana, swój naród?

Kamal wzruszył ramionami.

– Pragnąc pomścić tych, których kochaliśmy. Tak czy inaczej, czeka nas śmierć.

– To dość wyjątkowa zemsta.

– Zło, które nam wyrządzili, też było wyjątkowe. Nie ma tam już dla nas przyszłości. Jedyna nasza nadzieja w tym, że jeśli pomożemy wam ocalić miasto, pozwolicie nam rozpocząć tutaj nowe życie.

Brodacz powoli, w zamyśleniu pokiwał głową.

Ich argumentacja musiała być przekonująca. Kamal i Nisreen poświęcili mnóstwo czasu, dbając o każdy szczegół, i oto nadszedł moment prawdy.

Nisreen uznała, że teraz to ona powinna przemówić.

– Odebrali mi to, co miałam w życiu najcenniejszego. Chcę, żeby to samo spotkało sułtana.

Brodacz wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową, jak się zdawało, usatysfakcjonowany.

– A więc pasza wie, że dowódcy są w Stetteldorfie?

Kamal potaknął.

– Grupy Tatarów i baszybuzuków snują się po okolicy i o wszystkim mu donoszą. Niewiele może mu umknąć.

Tatarzy byli pochodzącym z tureckich stepów wędrownym ludem, który trzy stulecia wcześniej osiadł na Krymie i nawrócił się na islam. Ich przywódca, chan, był sprzymierzony z Osmanami. Uznawani za niezrównanych jeźdźców i łuczników, żyli z grabieży, a wolą ich chana było posyłanie ich na wojny, gdzie się mogli wzbogacić. Słyseli z brutalnych najazdów i to dlatego Osmanowie wykorzystywali ich nie tylko w celach rozpoznawczych, ale byli też elementem walki psychologicznej. Posuwali się przed osmańską armią, grabiąc wioski i miasteczka, a na koniec je podpalając. Ci, których nie zabili, byli wymieniani na okup albo zabierani i sprzedawani w jasyr.

Buńczuczni baszybuzucy robili mniej więcej to samo. Stanowili nieregularne osmańskie wojsko – byli niepobierającymi żołdu najemnikami, którzy służyli sułtanowi w zamian za wojenne łupy, za niewolników i dobra, jakie tylko zdołali zdobyć. Byli tak samo jak Tatarzy nieokiełznani i barbarzyńscy – ich nazwa oznaczała dosłownie „popsute głowy” – co Kamal zamierzał teraz wykorzystać w swoim smutnym położeniu.

– Nadal czegoś nie rozumiem... jak dostaliście się do miasta? I dlaczego jesteście nadzy?

Kamal starał się mówić swobodnym tonem, by umniejszyć wagę pytania.

– Szliśmy za wojskiem, bardzo chcąc wpłynąć na losy wojny. Gdy dowiedzieliśmy się o spotkaniu w Stetteldorfie, ruszyliśmy właśnie tam i zostaliśmy pojmani przez bandę baszybuzuków. Postanowili się zabawić i zdarli ubrania z mojej bratowej, żeby potem... – Reszty nie dopowiedział.

Sądząc po minie, brodacz nie był zaskoczony.

– A pan?

Kamal odczekał chwilę, po czym posłał mu znaczące spojrzenie, jakby chciał, by mężczyzna sam doszedł do oczywistego wniosku.

– Nie wszystkich interesowały wdzięki kobiet.

Mężczyzna się skrzywił lekko.

– Ale udało wam się uciec?

– To moja bratowa – odrzekł Kamal zupełnie beznamiętnym tonem. – Nie zamierzałem biernie czekać, co z nami zrobią. No i trochę nam się poszczęściło. Nasi oprawcy wdali się w awanturę, który ma być pierwszy. Wykorzystałem sytuację.

Brodacz popatrzył na Nisreen, jak gdyby wyobrażał sobie to zdarzenie i oceniał w duchu, jaką by była zdobyczą dla bandy nieokiełznanymi dzikusów.

– Ale dlaczego przybyliście do miasta?

– Byliśmy nadzy, bez jedzenia, koni i ciągle ścigani. Musieliśmy działać szybko i znaleźć schronienie. Na szczęście działało się to pod osłoną nocy; inaczej by nas tu nie było.

– Jak dostaliście się do miasta?

– Przepłynęliśmy rzekę i wspięliśmy się po wschodnim murze. To najslabiej strzeżona część umocnień. Wiedzieliśmy o tym od samego początku, gdy tylko rozpoczęto planowanie oblężenia. Dwoje ludzi w środku nocy, wasi wycieńczeni obrońcy, którzy zasypiają prawie na stojąco... może też trochę sprzyjało nam szczęście.

– Ale przybycie tutaj... Jeśli chcieliście ostrzec Sobieskiego, to trafiliście w niewłaściwe miejsce. Jesteśmy otoczeni.

– Tak jak powiedziałem, nie mieliśmy wyboru. Ale udało nam się tu dostać. Co oznacza, że można się też stąd wydostać. Mam rację?

Brodacz nie odpowiedział. Widać było, że od chwili gdy Kamal odpowiedział na jego pierwsze pytanie, mocno się nad wszystkim zastanawia. Było jasne, że wciąż nie wie, czy powinien wierzyć w to, co słyszy. Sporo miał do rozważenia – całą masę szokujących, niepokojących informacji.

– Pański akcent – rzekł w końcu. – Jest... niezwykle

Kamal nie zamierzał tego roztrząsać.

– Nikt nigdy nie miał problemu, żeby mnie zrozumieć. Pan z pewnością też go nie ma.

– Być może.

Pomyślał jeszcze przez chwilę, po czym przysunął się bliżej i ze wzrokiem wbitym w Kamala podciągnął jego rękaw, odsłaniając zakłęcie. Kamal się nie opierał.

Brodacz pokazał tatuaż.

– A to? Co to jest?

Zakłęcie było wytatuowane arabskim pismem, ale nie miało żadnego sensu dla kogoś, kto nie rozumiał palmyreńskiego. Kamal i Nisreen rozmawiali o tym. Wiedzieli, że ich tatuaże wyjdą na jaw i będą trudne do wytłumaczenia, dlatego zdecydowali się na najbardziej wiarygodną odpowiedź, jaka im przyszła do głowy.

Kamal rzekł:

– To sprawa osobista. – Była to zuchwała zagrywka mająca na celu sprowokowanie rozmówcy.

– Nie wydaje mi się, byście mogli jeszcze mieć jakieś osobiste sprawy.

Kamal spojrzał na Nisreen, po czym wzruszył ramionami.

– To nasz wzajemny pakt.

– Pakt?

– Pakt zemsty.

– Nie jest spisany w waszym języku.

– Nie, to chorwacki. Ukrywaliśmy się w balkan – odrzekł Kamal, posługując się osmańskim określeniem „góry”, od którego wziął nazwę cały region na południe od

Dunaju. – Po ucieczce ze Stambułu ludzie z małej wioski w pobliżu Sisaku zlitowali się nad nami i udzielili schronienia. Tamtejsze kobiety i dzieci miały takie tatuaże. Wytłumaczyli nam, co dla nich znaczą, opowiedzieli, że wierzą, iż te znaki mogą zapewnić duchową obronę przed Osmanami... a biorąc pod uwagę to, co mieliśmy w planach, pomyślałem, że i nam mogą się przydać. Wieśniacy z radością wyświadczili nam tę przysługę.

Brodaty mężczyzna zamilkł. Wydawał się przytłoczony tymi informacjami, podczas gdy jego ludzie, pozostając w niewiedzy, wyglądali, jakby byli już na skraju wytrzymałości.

Kamal przerwał ciężką ciszę, pytając:

– Skąd tak dobrze zna pan nasz język?

Mężczyzna zareagował jeszcze bardziej zdumionym spojrzeniem, ale nim zdążył odpowiedzieć, piwnicą wstrząsnęła seria eksplozji. Brzmiały jak niskie pomruki dochodzące gdzieś z bliska i były znacznie potężniejsze od tych, które słyszeli po przybyciu do miasta.

Wybuchy spowodowały drganie ziemi pod nimi, a na ścianach i suficie pojawiły się pęknięcia, z których posypały się pył i drobny gruz. Kamal złapał Nisreen i przytulił ją do siebie, by osłonić ją przed niebezpieczeństwem. I choć nie wiedział, co było źródłem hałasu, natychmiast ogarnął go obezwładniająca niepokój, że Osmanowie zmienili plany, że on i Nisreen przybyli za późno i miasto i tak upadnie.

KAMAL TULIŁ DO siebie Nisreen, chroniąc ją jak tylko mógł, podczas gdy brodaty mężczyzna i jego ludzie mówili coś w swoim języku spanikowanymi głosami.

– Co to było? – spytał Kamal.

Mężczyzna zignorował pytanie i tylko skierował w jego stronę palec.

– Nie ruszajcie się.

– Co to było? – dociekał Kamal.

Mężczyzna zacisnął szczęki, ale po chwili odpowiedział:

– Ładunki wybuchowe. Ogromnej mocy.

Największą i nieprzerwaną psychologiczną udręką dla ludzi uwięzionych w mieście było to, że nie wiedzieli, pod którą częścią umocnień akurat ryją w ziemi Osmanowie ani kiedy nastąpi eksplozja – ta, która umożliwi swobodny napływ najeźdźców.

Do piwnicy wbiegł jakiś człowiek o wykrzywionej strachem, wyniszczonej twarzy. Był zdyszany i wymachiwał rękami, terkocząc coś po swojemu.

Cokolwiek mówił, nie brzmiało to optymistycznie.

Brodacz odpowiedział mu krótko, skinął do swoich ludzi i wybiegł z pomieszczenia. Dwóch z pilnujących Kamala i Nisreen mężczyzn wykrzyczało do nich jakieś polecenia, popchnęło ich i posadziło na ziemi tyłem do siebie. Wzięli po kawałku liny i zabrali się za wiązanie im rąk za plecami. Gdy skończyli, wybiegli z pomieszczenia, zamykając je od zewnątrz na klucz i pozostawiając więźniów w ciemności.

– Dobrze się czujesz? – spytał Kamal.

– Nic mi nie jest. – Nisreen szarpała linę, ale ta nie dawała się poluzować. – Dasz radę nas rozwiązać? Nie mogę znaleźć węzła.

Palce Kamala już nad tym pracowały, ale bez skutku.

– Za ciasno zawiązany. Nie puszcza.

– Nie możemy tu zostać. Musimy znowu skoczyć.

– Nie odczytamy tatuaży. Pamiętasz całe zaklęcie?

Nisreen milczała przez chwilę.

– Nie jestem pewna. Nie miałam czasu dopasować mniejszej liczby dni, gdy się tu

przenosiliśmy.

– Bok – zaklął Kamal i aż stęknął z wysiłku, ale i tak nie zdołał poluzować liny. – Za mocno zawiązana – stwierdził. – Spróbuj podnieść i obrócić przedramię. Może uda mi się odczytać.

Nisreen zmieniła pozycję, żeby podnieść rękę.

– Wyżej nie dam rady. Widzisz?

Kamal się obrócił i przechylił, wykręcając ciało, by odczytać zakłęcie z przedramienia Nisreen, ale pomimo starań nie był w stanie go dojrzeć.

– Nie mogę. Ty spróbuj.

Nisreen pochyliła się w prawo.

– W drugą stronę – powiedział Kamal. – Mam je na prawej ręce.

Przechyliła się na drugi bok i wyciągnęła szyję najdalej, jak zdołała, ale też nie zobaczyła tatuażu.

– Nie widzę – wyszeptała. – Zresztą i tak jest za ciemno. Prawie nic nie widać.

Do pomieszczenia sączyła się przez szczelinę pod drzwiami jedynie słaba poświata pochodni umieszczonej na zewnątrz.

– To bez sensu. Gdy tylko będziemy mieli możliwość, raz na zawsze musimy się nauczyć tego nieszczęsnego zakłęcia na pamięć. Powinniśmy być w stanie skoczyć bez konieczności odczytywania go za każdym razem, gdy wpadniemy w tarapaty.

– Czyżbyś planowała tak często z niego korzystać?

– Byłoby idealnie, gdybym nie musiała. Ale też nie mam wielkiej ochoty tkwić tutaj dłużej niż to konieczne.

Zrezygnowali z prób odczytania zakłęcia i zaczęli oddychać głęboko.

Kamal czuł na plecach bicie jej serca. Przez cały czas myślał o czymś, co wcześniej wyczuł.

– Może nie ma sensu znowu skakać – powiedział.

– Zwariowałaś? Obedrą nas tutaj ze skóry. To znaczy, mój Boże... ci ludzie... przecież to same dzikusy. Po obu stronach. Widziałeś, co się tam dzieje?

– Wiem. To... to po prostu obłąd. Ale...

– To jedna wielka rzeźnia. Co myśmy sobie wyobrażali?

– Wiedzieliśmy, w co się pakujemy.

– Ale ci ludzie... – powtórzyła Nisreen – ci biedni ludzie zmuszeni żyć jak zwierzęta, polujący na szczury... Powiedzieć koszmar to jak nic nie powiedzieć. To takie... nieludzkie.

– Jesteśmy na wojnie.

– Wiem. Tylko nie wyobrażałam sobie, że to aż takie barbarzyństwo. Chcę powiedzieć... że niby o tym wiedziałam, ale... – Westchnęła i położyła głowę na jego

ramieniu.

– Nikt nie powinien przez to przechodzić. Musimy im pomóc.

– Przede wszystkim musimy się stąd wydostać.

– Hmm... wydaje mi się, że może będziemy mieli na to szansę. Myślę, że dotarłem do tego człowieka.

– Tego, który nas tutaj przyprowadził?

– Tak. Chyba nam wierzy. Co oznacza, że może nie powinniśmy skakać. Potrzebujemy go. Mógłby nam cholernie ułatwić przekonanie Sobieskiego, że mówimy prawdę. Jeśli skoczemy, będziemy zdani tylko na siebie. Będziemy musieli zacząć od nowa.

– Ale przynajmniej będziemy wiedzieli, czego się spodziewać.

– Może tak, a może nie. Pod wieloma względami wciąż nie rozumiemy, jak to wszystko działa. Jeśli cofniemy się o dzień, to co się stanie nazajutrz, tego dnia, kiedy się tu pierwszy raz zjawiliśmy? Będziemy podwójni? Czy po prostu znikniemy?

– Nie wiem. – Zmarszczyła brwi. – I tak nie wydaje mi się, że w wypadku tego, co się tutaj dzieje, ma jakieś znaczenie jeden dzień czy dziesięć. Nadal tkwilibyśmy w tym piekle.

– Czyli musiałyby to być dłuższy czas. Może sto dni – rzekł Kamal, przypominając sobie trzeci z zapasowych liczebników, które Nisreen przetłumaczyła na palmyreński i wytatuowała obok zaklęcia.

– Przenieśliśmy się na początek lata, na długo przed oblężeniem. Mielibyśmy mnóstwo czasu, żeby się przygotować.

– Przecież o tym rozmawialiśmy – przypomniał jej. – To niebezpieczne. Musimy wprowadzić jak najmniej zmian, włączyć się do gry jak najpóźniej. Inaczej moglibyśmy niechcący narobić zamieszania, które skłoniłoby Rasheeda do zmiany planów. A wtedy nie wiedzielibyśmy, jak go powstrzymać. Na dodatek musielibyśmy naprawdę przeżyć tutaj te sto dni, w tym czasie, bo nie wiemy, czy poprawnie odgadłaś treść zaklęcia przenoszącego w przyszłość. – Pomyślał nad tym jeszcze przez chwilę. – Nie, uważam, że będzie dla nas lepiej, jeżeli zostaniemy. Jest szansa, żeby to się udało.

– A co, jeśli ten człowiek nie wróci? Jeśli umrze tam, a pozostali zabiorą nas znowu na mury?

– Wtedy będziemy musieli znaleźć sposób, żeby odczytać zaklęcie i wypowiedzieć je naprawdę bardzo szybko – odparł.

Zmarszczyła brwi.

– Nie podoba mi się to.

– Mówię ci, że moim zdaniem z tym człowiekiem mamy szansę – obstawał przy swoim Kamal. – A to już połowa sukcesu. Nie ma sensu znowu wszystko zaczynać od początku. Sto dni to dużo czasu, a musielibyśmy go przeżyć, nie mając tu żadnej

przeszłości. Nawet nie znamy języka.

Nisreen nie odpowiedziała.

– Czy usłyszę chociaż „może”?

Prychnęła z lekką drwiną.

– Może. – Po chwili jednak jego słowa ją przekonały i pokiwała głową. – Właściwie masz rację. Ale jeśli zabiorą nas znowu na mury, nie dam się. Wtedy skoczę.

– Nikt ci nie zrobi krzywdy, *hayatım* – zapewnił ją.

Tym razem nie usłyszał drwiącego prychnięcia. Skuliła się tylko, oparła o niego i znowu położyła głowę na jego ramieniu.

– Chciałabym mieć taką pewność jak ty, *canım*.

MINĘŁO CHYBA KILKA GODZIN, nim w końcu usłyszeli zgrzyt klucza w zamku.

Zjawił się brodaty mężczyzna, tym razem z dwójką innych strażników. Twarz miał napiętą od gniewu i niepokoju, był spocony i ciężko dyszał. W dodatku jego strój był mocno poplamiony krwią. Wyglądał, jakby wracał z samego dna piekła.

– Co się stało? – spytał go Kamal.

Nie odpowiedział od razu. Przyglądał mu się tylko podejrzliwie spod zmrużonych powiek.

– Podłożyli kilka ładunków pod Löbl – rzekł w końcu. – A potem natarli.

Kamal poczuł, jak krew się w nim gotuje.

– Weszli do miasta?

– Nie, ale to chyba cud. Całe gromady wojowników rzucały się do wyrwy, jednak ruiny wysadzonego muru bardzo utrudniały wspinaczkę, dzięki czemu udało nam się odeprzeć atak. – Na jego twarzy odmalowała się udręka. – Ale cena była wysoka.

– Co teraz?

Mężczyzna zdjął kapelusz i brudną ręką przeczesał włosy.

– Znów będą próbować. Wzmacniamy mur kurtynowy. To nasza ostatnia linia obrony. Potem czeka nas już tylko walka na ulicach o każdy dom.

W pomieszczeniu zaległa złowroga cisza. Brodacz schylił się i kucnął, żeby patrzeć im w twarz. Przyglądał im się bacznie z chmurną miną wyrażającą irytację. Wydawało się, że jest znużony, a jednocześnie toczy się w nim jakaś wewnętrzna walka.

Popatrzył na Kamala i rzekł:

– Znam chorwacki.

Dopiero po kilku sekundach do Kamala dotarło, co tak naprawdę usłyszał, a jego oczy zapłonęły. Zanim jednak zdołał zareagować, mężczyzna bez skrupowania złapał go za rękę i podciągnął rękaw, odsłaniając tatuaże. Wskazał je ze złością.

– To nie jest po chorwacku.

Tętno Kamala przyspieszyło jak rakietę, ale nic nie odpowiedział. Został przyparty do muru i siedział, milcząc, podczas gdy brodaty mężczyzna wwiercał w niego spojrzenie rozpalonych oczu.

– Wydaje wam się, że możecie zrobić ze mnie głupca, opowiadając te swoje bajeczki? – zapytał wściekły.

– Sobieski i jego ludzie są blisko – odparował Kamal. – Mogą was ocalić. Ale jeśli nic nie zrobicie, wówczas naprawdę zginiecie. Przybyliśmy tutaj, żeby spróbować temu zapobiec. I tylko to się liczy.

– Wcale ich tutaj nie ma – warknął brodac.

– Skąd pan wie?

– Wiem, bo byłem tam i ich szukałem – ryknął. – Byłem tam nawet minionej nocy. Nie ma po nich ani śladu... – Żal zalał jego twarz. Zaciśnął szczęki i powstrzymał się od powiedzenia czegoś więcej.

Oczy Kamala zrobiły się wielkie ze zdziwienia. Czytał o tym, że Osmanowie i ich tatarscy sprzymierzeńcy schwytali kilku kurierów w przebraniu, którzy nieśli cesarzowi zaszyfrowane informacje o oblężeniu.

Człowiek, który go tu przetrzymywał, był jednym z nich. Tylko że jemu udało się bezpiecznie wrócić.

– Był pan tam? Był pan poza murami i zdołał wrócić?

Brodacz nie odpowiedział. Jego twarz znajdowała się kilka centymetrów od twarzy Kamala, jego oczy były jak dwa kotły płonące wściekłością i frustracją. Wreszcie wstał i spojrzał na nich z góry.

– Kim wy, do diabła, jesteście? – wychrypiał. – Mówcie prawdę.

– Powiedzieliśmy, po co tu jesteśmy – odparł Kamal. – Po co mielibyśmy kłamać? Jaką korzyść miałoby to przynieść waszym wrogom?

– Mogłoby to odwrócić naszą uwagę. A gdyby Sobieski naprawdę tam był, mogłoby go to odwieść od bitwy, która musi się odbyć.

– Wówczas, tak jak pan powiedział, udalibyśmy się wprost do niego – odpowiedział Kamal pewnym i spokojnym tonem. – Po co przychodzilibyśmy tutaj, do tego piekła? Kompletnie nadzy, narażając się na obdarcie żywcem ze skóry?

– Nie wiem. Może przybyliście, żeby zabić hrabiego albo wysadzić arsenał. Różne mogą być powody. Ale dowiem się prawdy. Możecie być pewni.

Poruszył się, jakby chciał opuścić piwnicę, ale Kamal zawołał do niego:

– Proszę zaczekać. Proszę mnie wysłuchać.

Po chwili wahania mężczyzna się odwrócił.

Kamal podjął ostatnią próbę przekonania.

– Torturujcie nas, jeśli chcecie. Zróbcie to, co musicie, a i tak usłyszycie te same

odpowiedzi. Tracimy czas. Od tego, co się wkrótce wydarzy, zależy życie większych rzesz ludzi, niż wam się wydaje. Nie tylko tu i teraz, ale też w przyszłych miesiącach i latach. Mógłbym powiedzieć panu o nas całą prawdę, ale wówczas wydarzyłoby się jedno z dwojga: nie uwierzyliby nam pan, a gdyby stało się inaczej, wszyscy inni pomyśleliby, że albo pan zwariował, albo jest z nami w zмовie. Tak czy inaczej, doszłoby do katastrofy, którą byłby koniec tego miasta i Europy w takim kształcie, w jakim ją znacie. Dlatego błagam, żeby skupił się pan tylko na jednym, na wniosku, który musi pan wyciągnąć z tego wszystkiego: jesteśmy tu, żeby wam pomóc ocalić siebie, ocalić to miasto i ocalić resztę Europy, czyli ocalić Sobieskiego, Lotaryńczyka i ich wojska. Jeśli będziemy działać szybko, może nam się uda. Ale wszystko zależy od tego, co pan teraz zrobi. Musi pan podjąć decyzję. Mam tylko nadzieję, że będzie właściwa.

Brzemienne w skutki sekundy ciągnęły się w nieskończoność, a brodaty mężczyzna wyraźnie zmagął się z tym, co usłyszał, usiłując rozstrzygnąć, czy powinien zaufać dwom pojmanym osobom. Wreszcie rzucił swoim ludziom kolejną krótką komendę i wypadł z piwnicy.

Jego podwładni podążyli za nim, znowu pozostawiając Kamala i Nisreen samych w zamkniętym na klucz pomieszczeniu.

– Nadal uważasz, że go przekonałeś? – spytała Nisreen.

MINĘŁO KILKA KOLEJNYCH GODZIN, zanim ktoś się zjawił.

Byli już wtedy cali obolali od siedzenia w jednej pozycji, a na domiar złego głodni i spragnieni, ale sił dodawały im niepokój i adrenalina. Oboje czuli, że moment prawdy zbliża się wielkimi krokami, a jego heroldowie zjawili się w końcu i podnieśli ich z posadzki.

Nie było wśród nich brodacza, co nie wróżyło niczego dobrego. Podobnie jak obcesowość, z jaką zostali rozwiązani i wypchnięci z pomieszczenia z rękoma nadal skrępowanymi za plecami.

– Dokąd idziemy? – spytał Kamal, lecz nie uzyskał odpowiedzi.

I choć nie podejrzewał, aby prowadzący ich ludzie znali jego język, to zapytał ponownie, ale i tym razem nikt mu nie odpowiedział.

Poprowadzono ich po schodach na parter. Światło sączące się z zewnątrz miało kolor ognistej pomarańczy, ale Kamal nie wiedział, czy to blask zachodzącego słońca, czy łuna szalejących pożarów. Poczul narastający lęk i gdy zbliżali się do holu wejściowego, zerknął na Nisreen. Jej oczy jaśniały strachem, choć wciąż przeblyskiwało w nich wyzwanie.

Przed oczami Kamala przemykały koszmarnie obrazy tego, jak wracają na mury, i tego, co ich tam czeka. Jednak strach szybko ustąpił miejsca uldze, bo nie zostali wyprowadzeni z budynku. Kierowali się po wspinających, rzeźbionych schodach na

pierwsze piętro.

Przeszli przez kilkoro wysokich drzwi, aż dotarli do wielkiego pokoju w głębi budynku. Był oświetlony kagankami i wciąż dało się w nim dostrzec ślady dawnej wytworności – sztukaterie i gzymsy na ścianach, ogromny ozdobny plafon na suficie – świadczące o tym, że w lepszych czasach pokój ten był zapewne miejscem eleganckich zgromadzeń. Teraz się obrócił w taką samą ruinę jak reszta miasta, podłogę pokrywały kurz i gruz, a wysokie okna były zabite deskami.

Wciąż jednak stał w nim wielki, rzeźbiony drewniany stół, za którym ustawiono fotel uszak, a naprzeciwko cztery krzesła z bocznymi oparciami. Błat skrywał się pod rozłożonymi na nim mapami i dokumentami.

Obok jednego z krzeseł, zwrócony do nich twarzą, stał brodac.

Z uszaka za stołem usiłował się dźwignąć wysoki, żylasty mężczyzna o długim, orlim nosie, z małym, podwiniętym w górę wąsem. Kamal rozpoznał w nim postać z książek na temat oblężenia – był to hrabia Ernst Rüdiger von Starhemberg, dowódca wojskowy i człowiek, któremu cesarz powierzył obronę Wiednia.

Żaden z nich nie wydawał się uszczęśliwiony widokiem Kamala i Nisreen.

STARHEMBERG NIE WYGLĄDAŁ DOBRZE.

Kamal widział hrabiego tylko na portretach sprzed oblężenia, na rycinach i olejnych obrazach, które ukazywały go u szczytu świetności. Oblężenie mocno się dało we znaki czterdziestosześcioletniemu arystokracie. Na samym początku walk został ranny, a teraz dodatkowo cierpiał na powtarzające się ataki dyzenterii. Ledwo się poruszał i trzeba było wnosić go na mury, skąd mógł dowodzić obroną. A jednak pomimo złego stanu zdrowia i potarganej peruki, którą zakładał, gdy nie brał udziału w bitwach, pomimo znoszonych butów z wysokimi cholewami, od miesięcy niepucowanych, bił od niego niekwestionowany autorytet. Był arystokratą i wojskowym z krwi i kości i byle rana wojenna czy zagrażająca życiu choroba nie mogły pozbawić go godności ani charyzmy.

Hrabia skinął do brodacza, który zwrócił się do więźniów.

– Siadać – rozkazał.

Kamal i Nisreen zajęli miejsca na krzesłach naprzeciw wielkiego stołu.

Starhemberg przyglądał im się, wciąż stojąc. Miał wściekle spojrzenie wojownika, pod którym Kamal poczuł się nieswojo. Dużo czytał o tym, jak genialnie hrabia bronił cesarskiej stolicy, i ogarnęło go onieśmielenie. Czuł się źle jeszcze z innego powodu: miał świadomość, że choć siedzi tu teraz twarzą w twarz z tym genialnym dowódcą, to w obecnej wersji historii człowiek ten wkrótce umrze. Po upadku Wiednia zostanie schwytyany i ścięty, a jego głowa będzie podarowana sułtanowi – Kamal to wiedział, ale nie mógł się tą wiedzą z nimi podzielić.

Starhemberg został mianowany przez Karola Lotaryńskiego dowódcą obrony miasta. Przybył do Wiednia nazajutrz po tym, jak cesarz i najbogatsi mieszkańcy uciekli, i miał zaledwie tydzień, by zorganizować obronę i przygotować się do ataku Osmanów.

Gdy rozpoczęło się oblężenie, jego taktyka okazała się wysoce skuteczna w udaremnianiu planów wroga i odpieraniu jego ataków. Wykazując się wielkimi umiejętnościami i osobiście dowodząc kontratakami, zyskał ogromny szacunek tych, którzy wraz z nim tkwili tu uwięzieni. Ich walka była jednak skazana na przegraną. Wiele tygodni nieustannych ataków podkopało morale obrońców, głód i dyzenteria zdziesiątkowały ich szeregi. Z jedenastotysięcznej armii – i tak już na początku oblężenia piętnastokrotnie mniejszej od sił najeźdźczych – do walki stawały teraz

tylko cztery tysiące austriackich żołnierzy. Inni już dawno by się poddali, ale Starhemberg wiedział, że to bezcelowe, skoro i tak czeka ich pewna śmierć. Walka do końca i śmierć podczas obrony miasta wydawały się znacznie lepsze od cierpieniaadanego przez Osmanów, słyszących z niezwykle pomysłowych sposobów powolnego uśmiercania wrogów.

Hrabia zapytał o coś brodatego mężczyznę, który zwrócił się do nich i przedstawił swojego dowódcę. Kamal i Nisreen odpowiedzieli uprzejmym ukłonem, po czym Kamal spytał brodacza:

– A pan? Jak pan się nazywa?

Mężczyzna się zawahał, po czym rzekł:

– Nazywam się Jerzy Kulczycki.

Kamal poczuł się lekko zaskoczony.

– Nie jest pan Austriakiem?

– Jestem Polakiem.

Kamal nic nie rozumiał.

– Ale dobrze posługuje się pan językiem Osmanów.

– Wiele lat spędziłem w Konstantynopolu. Byłem tłumaczem Austriackiej Kompanii Orientalnej. Kiedy Turcy zaczęli bardzo utrudniać nam życie, a mnie zmęczyła gościna w rozkoszonym więzieniu sułtana, czar prysnął.

Kamal coś zaczął pojmować i stopniowo uwidoczniło się to na jego twarzy.

– To dlatego był pan w stanie przemieszczać się swobodnie tam i z powrotem. Może pan uchodzić za jednego z nich.

Kulczycki posłał Kamalowi słaby, zmęczony życiem uśmiech.

– Mogę uchodzić za wiele postaci. Zwłaszcza za skromnego kupca z Belgradu próbującego prowadzić interesy.

Hrabia się znecierpliwiał i przerwał im, ponaglając Kulczyckiego.

– Powtórzyłem jego ekscelencji to, co mi powiedzieliście – rzekł Polak. Znaczącym tonem dodał: – To, co dla nas najistotniejsze.

Nisreen spytała:

– Czyli nam wierzycie?

– Chyba nie mamy wyboru. Jeśli mówicie prawdę, nie możemy sobie pozwolić na jej zignorowanie. Musimy zacząć działać, opierając się na waszych słowach, żeby ich ocalić... żeby ocalić siebie. – Skinął w stronę Starhemberga. – Ale hrabia chciał was poznać osobiście. Zazwyczaj ma dobre wyczucie w tych sprawach.

Kamal poczuł przyływ ulgi i ośmielił się pomarzyć, że ich plan może się powieść. Spojrzał na hrabiego, który zaczął coś mówić. Sądząc po tonie, jego słowa niosły ze sobą złowrobną treść.

– Jego ekscelencja mówi, że wasze przybycie to dobry znak. Zanim się zjawiliście,

porzuciliśmy wszelką nadzieję na odsiecz. Wiedzieliśmy, że śmierć jest blisko, i gotowi byliśmy umrzeć tutaj ze świadomością, że Bóg jest z nami. Wy to zmieniliście, co może być aktem łaski... albo wielkiego okrucieństwa. Hrabia chce, byście wiedzieli, że jeśli okaże się to podstępem z waszej strony, pozwoli swoim ludziom robić z wami to, na co tylko będą mieli ochotę, i tak długo, jak tylko będą chcieli.

Coś w tych słowach nie zagrało Kamalowi.

– Chwileczkę, co to ma znaczyć? Jak zamierzacie ostrzec Sobieskiego?

– Dziś wieczór mamy zamiar wyprawić kilku posłańców.

– A co z nami?

– Zostaniecie tutaj. Jeśli miasto ocaleje, zostaniecie uhonorowani jak bohaterowie. Jeśli wasze słowa okażą się kłamstwem, wówczas umrzecie tu razem z nami. Czy raczej przed nami.

– Nie – sprzeciwił się Kamal. – Też musimy tam iść. Musimy ich ostrzec osobiście.

To zaskoczyło Kulczyckiego. Hrabiego też zainteresował wybuch Kamala; zapytał o coś Polaka. Po krótkiej wymianie zdań ten zwrócił się do nich:

– Jego ekscelencja nie uważa, aby wasza obecność była niezbędna przy przekazywaniu wiadomości. Jego zdaniem zezwolenie na nią byłoby wręcz niemądre. Chce, żebyście tu pozostali na wypadek, gdyby cała rzecz okazała się jakimś fortem.

Kamal poczuł się tak, jakby ściany pokoju zaczęły na niego napierać. Pozostanie w Wiedniu, nawet gdyby posłańcom udało się przekazać ostrzeżenie, oznaczało, że Rasheed może przeżyć. A przez to wszystkie ich wysiłki mogą okazać się daremne.

– Musimy tam pójść – nalegał. – Proszę posłuchać, mogę się przydać nie tylko po to, żeby zanieść ostrzeżenie. Dużo wiem o tym, jak myśli Kara Mustafa i jego dowódcy, jak funkcjonuje armia. Nawet najdrobniejsze spostrzeżenia mogą się okazać bezcenne, a nie sposób zawczasu przewidzieć, co może być użyteczne. – Obrócił się i przemówił wprost do Starhemberga, choć wiedział, że hrabia i tak go nie zrozumie. – Wasza ekscelencjo, błagam... proszę nam pozwolić towarzyszyć posłańcom. Możemy okazać się pomocni, jeśli napotkają wrogie wojsko. Proszę nam pozwolić doprowadzić sprawę do szczęśliwego końca. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wrócimy tu, by razem świętować ocalenie miasta.

Hrabia popatrzył na Kamala, po czym wyszeptał coś do Kulczyckiego, który tłumaczył mu słowa tajemniczego przybysza. Pomyślał przez chwilę i przekazał Polakowi odpowiedź, ani na moment nie spuszczać z oka swego więźnia.

Kulczycki powiedział:

– Świetnie. Hrabia mówi, że może pan iść. Ale pani zostaje.

Kamal i Nisreen jednocześnie zareagowali:

– Co takiego?

– Pan może iść. Ona zostaje.

– Nie. Nigdzie nie zostanę – oświadczyła Nisreen. – Nie możecie nas tak rozdzielić.

– Obawiam się, że nie macie tu nic do powiedzenia – odrzekł Kulczycki.

W głowie Kamala walczyły dwojakiemu rodzaju myśli. Z jednej strony może byłoby bezpieczniej, gdyby Nisreen została. Z drugiej, nie chciał jej opuszczać. Nie w sytuacji, gdy istniało realne zagrożenie, że miasto zostanie zajęte i że spotkają ją tu niewyobrażalne okropieństwa. Ale za murami też dochodziło do różnych potworności.

Nagle pojawiło się inne, większe zmartwienie.

– Jest coś jeszcze. Nie możecie wyprawić kilku posłańców – rzekł Kamal. – Popełnilibyście błąd. Co, jeśli choć jeden z nich zostanie złapany? Wasi wrogowie szybko się dowiedzą, jaką niósł wiadomość, i odkrywają, że znacie ich plany, a wtedy je po prostu zmieniają. I straciecie przewagę, jaką daje wam element zaskoczenia.

– Ale przynajmniej ocalimy króla Jana i pozostałych – odrzekł hrabia, gdy Kulczycki przekazał mu argument Kamala.

– Cóż, jeśli to wszystko, na czym wam zależy, to pošlijcie tylko jednego ochotnika, który da się pojmać – odparł Kamal. – Niech im przekazuje, co wiemy, i powie, że jest jeszcze wielu innych posłańców w drodze do Stetteldorfu. Nie będą wiedzieli, że kłamie. Przyjmą, że król zostanie ostrzeżony, i odwołają zamach. Ale wówczas wymyślą coś innego, a wy nie będziecie wiedzieli co. Być może postanowią kontynuować to, co zaczęli, wysadzą Löbl i zajmą miasto.

Kulczycki i Starhemberg szeptem debatowali nad tym, co usłyszeli.

– Proszę posłuchać – wtrącił się Kamal. – Stoicie przed historyczną szansą: możecie zaskoczyć Kara Mustafę i jego całą armię w samych gaciach. Możecie spuścić im potężny, obezwładniający łomot, a może nawet raz na zawsze pożegnać się z zagrożeniem z ich strony. Ale to oznacza konieczność wykonania teraz właściwego ruchu, a właściwym ruchem jest wysłanie do Stetteldorfu jednej i tylko jednej oddanej sprawie i kompetentnej ekipy. – Spojrzał Kulczyckiemu prosto w oczy. – Pana i mnie. Wie pan o tym tak samo dobrze jak ja.

Nisreen zwróciła się do niego z otwartymi szeroko ustami.

– Słucham? Poszedłbyś beze mnie?

– Nisreen, proszę – odpowiedział jej. – Tam jest niebezpiecznie. Poza tym będziemy mogli się szybciej poruszać. Dwójce ludzi łatwiej jest się przemknąć niepostrzeżenie niż trójce.

Nisreen zaniemówiła i nim zdążyła znowu wyrazić swój sprzeciw, do akcji wkroczył Kulczycki.

– Wiele będzie zależało od naszego sukcesu – rzekł i przetłumaczył swe słowa hrabiemu.

– Tak, lecz jeśli się uda – odrzekł Kamal – Osmanowie prawdopodobnie już nigdy

Wiedniowi nie zagrażają.

– Nie zostanę tutaj – upierała się Nisreen.

Kamal odwrócił się do niej, ale jej nie odpowiedział, chciał się skupić na toczącej się rozmowie.

– Niedługo będzie ciemno. A cokolwiek zdecydujemy, działać trzeba dzisiaj – stwierdził w końcu Kulczycki. Skinął na swoich ludzi i podał im krótką komendę. Tamci podeszli do Kamala i Nisreen i położyli im dłonie na ramionach, gotowi ich wyprowadzić. – Dam wam znać.

Nisreen gniewnie pomaszerowała przodem, nie oglądając się na Kamala.

Zamknięto ich w tej samej piwnicy, w której byli wcześniej, z rękami wciąż skrępowanymi za plecami. Tylko że tym razem nie byli ze sobą związani. I na to liczył Kamal.

Nisreen była wściekła jak osa.

– Nie mogę uwierzyć, że chcesz pójść beze mnie i zostawić mnie jako zakładniczkę, żebym tu sama zdychała – wypaliła. – Gdzie się podziało to twoje gadanie, że zrobimy to razem i że mnie nie zostawisz?

Kamal się nie odzywał. Patrzył tylko na nią z lekkim uśmiechem, a jakaś przewrotna część jego natury napawała się tym widokiem.

To rozzłościło ją jeszcze bardziej.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? I co to za dziwna mina?

Podszedł do niej bliżej i zniżył głos.

– Wykiwali nas. Nie przewidziałem tego. A jeśli wyprawiają kilku posłańców i jeden z nich zostanie złapany, wszystko weźmie w łeb. Nie możemy do tego dopuścić. Musimy ich wyprzedzić. – Zniżył głos jeszcze bardziej, do szeptu. – Nie zostawię cię. Znajdziemy Sobieskiego razem.

– Jak?

– Nic nie rozumiesz? – Obrócił się i wykręcił ręce tak, żeby je widziała. – Nie jesteście już ze sobą związani. Możemy odczytać zakłęcie.

Potrzebowała ułamka sekundy, żeby to do niej dotarło.

– Chcesz skoczyć?

– Tak. O jeden dzień. Cofniemy się o jeden dzień. Tyle nam wystarczy. Uciekniemy z tego pomieszczenia, które nie będzie wtedy zamknięte na klucz. To tylko pusta piwnica. A potem wymkniemy się z miasta i znajdziemy Sobieskiego, tak jak od początku planowaliśmy. Kulczycki i cała reszta nie będą nawet wiedzieli o naszym istnieniu. Nie zdążą nas poznać.

Nisreen zrobiła wielkie oczy i poczuła ogromną ulgę.

– Kiedy?

– Teraz.

SIEDZIELI ZNOWU W TEJ SAMEJ piwnicy, zmieniły się tylko dwie rzeczy.

Byli nadzy.

I drzwi nie były zamknięte na klucz, tak jak przewidział Kamal.

Wokół nich panowała zupełna ciemność, spod drzwi nie dochodziło żadne światło. Ale nie byli związani i mogli wyjść.

Przede wszystkim musieli zdobyć ubrania. Nasłuchiwali w milczeniu, po czym uchylili lekko drzwi, czujnie obserwując korytarz i chwytając tę odrobinę słabego światła dziennego, które sączyło się znad schodów. Zważywszy na to, że przebywali w kompletnej ciemności i ich oczy zdążyły się do niej przyzwyczać, teraz źrenice reagowały nawet na najmniejszą ilość światła. Nie minęło wiele czasu, a resztki dnia zostały wchłonięte przez mrok. Co oznaczało, że powinni zacząć działać.

Kamal wyslizgnął się pierwszy, pilnując, by Nisreen przez cały czas była tuż za nim. Nie czuli już skrępowania z powodu nagości. Po wszystkim, przez co przeszli, stało się to dla nich obojętne.

Przemknęli korytarzem, zaglądając za każde mijane drzwi. Były to różne składziki, ale wszystkie puste. Każda rzecz, która choć trochę mogła się przydać, w ciągu wielu tygodni oblężenia została już wykorzystana.

Wspięli się po wąskich schodach i przystanęli u ich szczytu, przy drzwiach wychodzących na parter. Kamal otworzył je ostrożnie. Spłynęła na nich odrobina słabego światła. W oddali huczały armaty, moździerze i broń mniejszego kalibru. Nieco bliżej ktoś rozmawiał – jacyś mężczyźni.

Pokazał Nisreen, żeby była cicho, po czym posunął się odrobinę naprzód, by zobaczyć, co się dzieje. Dostrzegł dwóch mężczyzn stojących tuż przy wejściu do budynku. Oświetlała ich pochodnia płonąca gdzieś w holu. Byli wymizerowani jak wszyscy w tym zrujnowanym mieście. Przyjrzawszy się im dokładniej, Kamal stwierdził, że są muszkietierami. Ich broń stała obok oparta o ścianę. W pobliżu nikogo więcej nie było.

Kamal odwrócił się do Nisreen.

– Będę cię potrzebował.

Zareagowała na jego słowa uniesieniem jednej brwi. Znała go na wylot.

– Do czego?

– Zwab ich tutaj.

Szczęka jej opadła, a usta ułożyły się w bezgłośnie „Co?”.

– Potrzebne nam są ich ubrania i buty – wyjaśnił. – Chyba że masz ochotę znowu biegać po mieście nago.

Spojrzała na niego ze złością, ale w końcu pokiwała głową, niechętnie wyrażając zgodę. Zrobiła kilka głębokich wdechów, żeby się przygotować, a potem swobodnym krokiem minęła go i weszła do holu tak, by mężczyźni mogli ją zobaczyć.

Początkowo jej nie zauważyli. Nisreen zachichotała. Zuchwale i radośnie. Jeden się odwrócił, ujrzał ją, a widok ten podziałał na niego jak elektryczny wstrząs. Wzdrygnął się i otworzył szeroko oczy. Jego przyjaciel to spostrzegł, popatrzył w jej stronę i też go zamurowało. Po chwili podniosła palec i kiwnęła nim powoli, zalotnie, przyzywając żołnierzy do siebie. Przywołała na twarz nęcący uśmiech, żeby nie mieli żadnych wątpliwości. Przyglądała się, jak jej niepojęta propozycja burzy resztki logiki w ich skołatanych głowach i każe im iść, a potem biec w jej stronę.

Dała nura w drzwi, mijając Kamala, który czekał, aż dwaj muszkieteryz dobiegną, po czym wyszedł i stanął im na drodze.

To była nierówna walka. On miał za sobą fachowe szkolenie, a oni ledwo żyli. Uderzenie płaską dłonią od dołu w podbródek załatwiło pierwszego. Szyja mężczyzny odgięła się mocno w tył i natychmiast padł nieprzytomny, bezwładny jak szmaciana lala. Cios pięścią z wystawioną kostką środkowego palca w skroń wyeliminował drugiego.

Poruszając się szybko, Kamal i Nisreen zawlekli ich do niszy za schodami. Ściągnęli z nich ubrania – noszone przez ramię pasy na naboje, szale, płaszcze, koszule, kaftany, pończochy i pludry – i włożyli na siebie.

Nisreen się skrzywiła.

– To obrzydliwe.

Kamal wzruszył ramionami.

– Lepiej do tego przywyknijmy. Dezodorantów na razie nie wynaleziono.

– No to możemy im pomóc w czymś jeszcze.

Jeden z mężczyzn miał półbuty, a drugi sięgające kolan buty z cholewami – obie pary były kompletnie znoszone i obie za duże na Nisreen, ale wybrała półbuty i przywiązała je kawałkiem tkaniny, żeby nie spadały. Kamal zabrał ich szable – był wśród nich jatagan, bez wątpienia zdobyty na wrogu – i zatknął je sobie za pas. Na koniec założyli na głowy kapelusze z szerokim rondem, a Nisreen pod swoim ukryła włosy.

Kamal spojrzał na nią i zmarszczył nos.

– Zdarzało ci się wyglądać lepiej.

– Ty też nie prezentujesz się zbyt szykownie.

Wyszli z niszy i ruszyli do wyjścia. Po drodze nikogo nie spotkali, ale gdy znaleźli się na zewnątrz, Kamal spostrzegł mężczyznę, który zmierzał w stronę budynku... prosto na nich.

Jego widok początkowo zdziwił Kamala. Człowiek miał na sobie pelerynę, ale pod nią ukazało się coś nieoczekiwanego: luźne spodnie, długa tunika, pas i buty z zadartymi czubkami, ubiór wyraźnie osmański, będący pierwowzorem cywilnych strojów, które Kamal znał ze swojego świata. Mężczyzna niósł także w dłoniach baszłyk, a gdy się zbliżył, do Kamala dotarło, że to Kulczycki.

Ciężkie kroki Polaka świadczyły o jego zmęczeniu.

– Uważaj – szepnął Kamal, dyskretnie szturchając Nisreen łokciem, żeby ją przestrzec.

Gdy go mijali, Kamal się odwrócił do Kulczyckiego i posłał mu uprzejme, nieme skinienie głową, którego Polak nie raczył odwzajemnić. Poszli dalej, każdy w swoją stronę. Kamal odetchnął z ulgą, ale zaraz zdał sobie sprawę, że jego strach jest bezpodstawny. Przecież Kulczycki nie wiedział, kim on jest. Jeszcze się nie poznali i gdyby wszystko dobrze poszło, pewnie nigdy by się nie spotkali. Ani on, ani Nisreen nie znali tutejszego języka i zostaliby zdemaskowani, gdyby Kulczycki nawiązał rozmowę.

Musieli unikać jakichkolwiek kontaktów.

Nagle Kamal doznał olśnienia – przyszło mu do głowy, że jeśli dotrą do Sobieskiego, to przekonanie go nastręczy im takich samych trudności, jak przekonanie Starhemberga i Kulczyckiego. A mogliby ich uniknąć, gdyby Kulczycki poszedł z nimi.

Jego reakcja była instynktowna i zuchwała. Ale nie mógł się powstrzymać.

Podszyty wyraźną nerwowością, odwrócił się i zawołał:

– *Herr* Kulczycki.

Nisreen syknęła:

– Co robisz? – Patrzyła zszokowana, ale było za późno.

Kulczycki go usłyszał, zatrzymał się i odwrócił.

– *Ja?* – odrzekł z zaciekawieniem, wyężając wzrok, by w ciemności zobaczyć, kto go woła, ale Kamal już pokonał dzielącą ich odległość i uderzył szybko jak błyskawica.

Złapał Kulczyckiego i go obrócił, po czym trzymając od tyłu i przez cały czas przykładając mu do gardła ostrze jatagana, popchnął na ścianę.

Posługując się osmańskotureckim, rzekł:

– Właśnie był pan za murami, szukając przybywających z odsieczą wojsk, i to dlatego jest pan tak ubrany. Ale niczego pan nie znalazł. Mam rację?

Kulczycki zeszywniał, szykując się do obrony.

– Coście za jedni? – spytał w języku wroga.

– Jesteśmy przyjaciółmi – odpowiedział mu Kamal, wciąż trzymając go mocno. – Przybywamy z pomocą. Ale mamy mało czasu. Sobieski, Lotaryńczyk i reszta... oni już tu są. Po prostu nie dotarł pan dość daleko. Możemy pana do nich zabrać, ale trzeba działać szybko. Kara Mustafa przygotowuje zasadzkę, która zmiecie ich z powierzchni ziemi i rozbije armię. – Odczekał chwilę, aż znaczenie jego słów w pełni dotrze do Kulczyckiego, po czym rozluźnił rękę na tyle, by obrócić mężczyznę i podetknąć mu ostrze pod brodę. – Niech mnie pan posłucha, Jerzy – mówił dalej. – Wiem, że chce pan pomóc tym ludziom. Wiem, że to miasto stało się pańskim domem po tym, jak opuścił pan Kompanię Orientalną, dla której pan tłumaczył, i zaliczył pobyt w więzieniu w Konstantynopolu. Wiem, że cierpienie, jakie tam na pana spadło, przybyło za panem aż tutaj i się rozrosło dziesięciokrotnie.

Kulczycki zrobił wielkie oczy.

– Skąd to wszystko wiecie?

– Nieważne. Ważne jest to, że wojska przybywające z odsieczą już tutaj są. Ale ma pan za sobą kilka wypadów w ich poszukiwaniu i mi pan nie wierzy. Chce pan wiedzieć, kim jesteśmy i skąd to wiemy. Chce pan zawołać swoich ludzi, żeby nas zamknąć i porządnie przesłuchać. I jeśli wtedy nam pan uwierzy, to będzie chciał to omówić z hrabią Starhembergim i jego radą. Ale nie ma na to wszystko czasu. Jeżeli to miasto ma ocaleć, musi się pan zdecydować tu i teraz. Niech pan rozstrzygnie, czy jest gotów mi uwierzyć i nam pomóc. Sam. Tylko pan i... my. Natychmiast.

Było to najbardziej ryzykowne zagranie jego życia, ale jakoś wcale tego nie czuł. Wciąż parł naprzód, napędzany czystym instynktem i adrenaliną. Ostrożność nie miała najmniejszych szans wydostać się na powierzchnię.

Kamal przez cały czas wbijał wzrok w skołowanego Polaka. Wreszcie się odsunął, obrócił w dłoni jatagan i podał go Kulczyckiemu, wywołując zdumienie mężczyzny.

– Pański wybór – powiedział Kamal, wręczając mu broń. – Może pan nas teraz pojmać... albo iść z nami i pomóc ocalić swój lud.

Kulczycki wziął jatagan powoli, po czym podniósł go tak, że czubek dotknął szyi Kamala.

– Popeliłeś błąd – wyszczał. – Wkrótce się dowiemy, o co tu chodzi.

Kamal nawet nie drgnął.

– Doskonale. Niczego to nie zmieni w tym, co pan od nas usłyszał, za to przypieczętuje naszą śmierć. Naszą i pańską. Zginiemy tutaj wszyscy razem.

Wpatrywali się w siebie groźnie w ciężącym wszystkim milczeniu, a dookoła nocą wstrząsały eksplozje i huk muszkietów.

– A więc? – naciskał Kamal.

Kulczyckiemu drżały wargi. Widać było, że zмага się sam ze sobą.

– Pójść z wami... dokąd?

– Ostrzec Sobieskiego.

Zmrużył oczy, mierząc Kamalą wzrokiem.

– Gdzie on jest?

Kamal się zawahał, a wtedy pomogła mu Nisreen, odkrywając ich ostatni atut w tej grze.

– W Stetteldorfie. Wszyscy tam są, na zamku, przygotowują plan bitwy. Może pan nam pomóc się tam dostać. Poza tym pana wysłuchają chętniej niż nas.

Kulczyckiemu trzęsła się ręka, a oczy biegały nerwowo od jednej twarzy do drugiej. Najwyraźniej w jego głowie rozgrywała się walka równie zaciekle jak ta na murach.

– Nie mamy czasu – wypalił Kamal. – Chce pan ocalić to miasto czy nie?

Kulczycki nie palił się do działania.

– Musiałbym być szaleńcem, żeby wam zaufać.

– Skaże pan wszystkich dokoła na okrutny los, jeśli pan tego nie zrobi.

Brodaty Polak stał napięty jak struna, dysząc ciężko.

– To jakiś obłąd.

– Jeśli pan z nami nie pójdzie, za dzień albo dwa będzie pan trupem. Ale może pan ocalić siebie i ludzi w mieście... i nie tylko. Bo nie ma co się łudzić, że sułtan poprzestanie na Wiedniu. Jego wojska pójdą o wiele dalej. A po śmierci Sobieskiego i Lotaryńczyka zatrzymanie ich będzie cholernie trudne.

W oczach Kulczyckiego lśniły niezdecydowanie i frustracja. W końcu opuścił broń i skinął głową na znak zgody.

– Jesteście posłańcami Boga albo diabła.

Kamal poklepał go po ramieniu.

– Być może po trochu jednym i drugim. Ale nie pożałuje pan tego. Powinniśmy ruszać. Natychmiast.

Nisreen spytała:

– Którędy?

Kulczycki rozejrzał się w zamyśleniu, najwyraźniej wciąż jeszcze do końca niezdecydowany. Wreszcie rzekł:

– Wschodnie mury. To najlepsza droga. Za mną.

MINĘLI KATEDRĘ OŚWIETLONĄ pochodniami i pełną wiernych, którzy wciąż ściągali do niej ze wszystkich stron – wynędzniałe, chude jak szczapy niedobitki, powłóczące nogami ludzkie cienie, wiszące jedne na drugich, wzdrygające się na odgłos każdego wybuchu rozdzierającego ciemność.

– Co wieczór kościoły są pełne ludzi. Wszyscy przychodzą się modlić o wyzwolenie – powiedział Kulczycki. – Na razie ich modły nie zostały wysłuchane.

– Pomóżmy zatem to zmienić – odpowiedział Kamal.

Kulczycki bez entuzjazmu pokiwał głową i poszli dalej, trzymając się jak najbliżej ścian domów. Poruszali się zdecydowanym krokiem, by nie zwracać na siebie uwagi.

Dotarli do ukrytych we wnęce drzwi, przy których Polak pokazał im, żeby się zatrzymali. Kamal rozejrzał się dookoła, żeby zobaczyć, gdzie się znajdują. Przypomnił sobie, co czytał o oblężeniu, i próbował przywołać przed oczy obraz studiowanych map.

Najsłabszymi punktami na obwodzie miasta były dwa odcinki, na których blisko murów płynęła rzeka. Jeden stanowił część wschodniej flanki w okolicy wiedeńskiego portu i wyspy Leopoldstadt, gdzie wzdłuż murów biegł niewielki Kanał Dunajski prowadzący do przystani. Drugi odcinek znajdował się na południowo-zachodnim krańcu miasta, w miejscu, gdzie rzeka Wiedenka spływała zygzakiem ze wzgórz Lasu Wiedeńskiego, by połączyć się z Dunajem. Oba odcinki miały starsze i mniej rozbudowane umocnienia, a także słabszą obronę, gdyż trudniej było przypuścić na nie atak – obecność wody uniemożliwiała kopanie tuneli, niosąc zagrożenie gwałtownego zalania i uwięzienia kopiących.

Zdawało się, że Kulczycki dokonał właściwego wyboru. Kierowali się na wschód, a ponieważ ich celem było dotarcie do zamku Stetteldorf, który znajdował się na północny zachód od miasta, wybór wschodniej części obwarowania wydawał się logiczny. Większa część osmańskiego obozu i gęsto porośnięte wzgórze Lasu Wiedeńskiego, tworzące półkole, opasywały miasto od zachodu. Wyjście na wschód było bezpieczniejsze, jeśli nawet oznaczało nieco dłuższą wędrówkę – zresztą Stetteldorf nie leżał przecież tak daleko. Poza tym, gdy cofnęli się w czasie o dzień, zyskali więcej czasu na dotarcie na miejsce. Ominięcie potężnego obozu nie oznaczało, że nie napotkają żołnierzy wroga: nieregularne formacje osmańskie, ich węgierscy sprzymierzeńcy i hordy tatarskich jeźdźców włóczyły się po lasach i łąkach

na północnym brzegu rzeki.

Kulczycki wyjawiał im swój plan i wyjaśnił swoje intencje, po czym się schylił i wtarł w dłoń nieco brudu z progu pod drzwiami.

– Co pan robi? – spytał Kamal.

– Zróbcie to samo. – Wtarł brud w twarz, tak że trudno go było poznać.

Kamal i Nisreen zrobili, co im kazał. Potem wyruszyli. Poruszali się szybkim truchtem w ciemnych, wąskich wąwozach ulic tworzących stare miasto.

Nad ich głowami wisiał pękaty księżyc, przesłaniany z rzadka przez przetaczające się chmury. Uśmiechał się z wysoka, gdy rozbłyskał, by oświetlić im drogę, po czym się chował i zmieniał krajobraz w smutną, mroczną krainę umarłych. Minęli jeszcze kilku wycieńczonych obrońców, ale poruszali się tak pewnie i zdecydowanie, że wystarczyło tylko zdawkowe skinięcie głową albo pomachanie ręką i mogli iść bez przeszkód dalej. Gdy zbliżyli się do wschodnich granic miasta, odgłosy bitwy i bombardowania na zachodzie przycichły nieco; nie minęło dużo czasu, a ujrzeni przed sobą zarys wysokich umocnień.

Ukryli się w cieniu naprzeciw murów i obserwowali.

– Dlaczego się chowamy? – spytała Nisreen. – Przecież pana znają?

– Zna mnie mniej ludzi, niż wam się wydaje. Im mniej jest takich, którzy wiedzą, co robię, tym lepiej.

Tej strony miasta broniły dwa mniejsze bastiony, Gonzaga i Mały Gonzaga, znany także jako Szpic. Pomiędzy nimi biegł stary mur obronny z ustawioną przed nim nową palisadą. U podnóża muru zobaczyli grupki uzbrojonych mężczyzn, czasem w mundurach, a czasem po cywilnemu. Jedni spali, inni siedzieli i czekali na kolejny atak. Pewna liczba obrońców znajdowała się też na murach – szczątkowa załoga złożona ze strzelców wyborowych, artylerzystów i pełniących wartę muszkieterów.

Chcieli, żeby księżyc, który pomagał im w przejściu przez miasto, teraz się skrył. Kiedy wyszedł zza chmur i świecił, schody prowadzące na mury były zbyt widoczne, by dało się po nich niepostrzeżenie dotrzeć na górę. Jego światło pomogło im jednak znaleźć coś, czego rozpaczliwie potrzebowali: linę. Kulczycki dostrzegł jej zwój na ziemi przed jednym z budynków przy murze, zawalony stertą skrzynek i innych rupieci. Sterta miała im też posłużyć za osłonę, dzięki której mogli się bardziej zbliżyć do schodów.

Czekali, aż księżyc schowa się za chmurą. Wtedy ruszyli przez otwartą przestrzeń i dali nura za skrzynki. Księżyc znów się wyłonił zza chmur i Kulczycki sprawdził linę. Znalazł dostatecznie długi kawałek, zwinął go i zarzucił sobie na ramię, mocując za pasem. Znowu musieli zaczekać.

Księżyc z uporem wykazywał ekshibicjonistyczne skłonności, aż w pewnym momencie powietrze przeciął głośny świst, który przestraszył Kamala i Nisreen. Przygłąnęli mocniej do skrzynek i spojrzeli w górę, skąd dobiegł ich dźwięk.

Z katedralnej wieży w ciemność wystrzeliła raca sygnałowa, wznosząc się wysoko nad miasto i eksplodując jasnymi, białymi błyskami. Podążyły za nią dwie kolejne. Wiedeńczycy wysyłali w niebo wiadomość o swoim cierpieniu, żywiąc rozpaczliwą nadzieję, że armia przybywająca z odsieczą jest w pobliżu, i modląc się o to, by też odpowiedziała racą.

Kamal i Nisreen spojrzeli na Kulczyckiego. Nie był zaskoczony – wiedział, że race zostaną wystrzelone. Cała trójka miała świadomość, że nie nadejdzie żadna odpowiedź, ale flary pomogły im w pewien sposób. Ludzie broniący fortyfikacji i pełniący służbę na murach powstawali, wymachiwali czapkami i krzyczeli, całą uwagę skupiając na światełkach na niebie.

– Odpowiedź nigdy nie przychodzi – powiedział Kulczycki, a jego ton i wzrok pełne były podejrzliwości.

– Są jeszcze za daleko – odparł Kamal. – Ale dopilnujemy, żeby tu dotarli.

Kulczycki popatrzył na niego przez chwilę i rzekł:

– Chodźmy.

Przemknęli przez otwartą przestrzeń. Kulczycki przyłączył się do machających i wiwatujących ludzi, a Kamal, gdy tylko dotarli do schodów, poszedł w jego ślady. Kilku mężczyzn wspinało się przed nimi, spiesząc, by zająć miejsce z jak najlepszym widokiem na skrawek nieba, z którego mogła nadejść wyczekiwana odpowiedź. Cała trójka podążała za nimi, a Nisreen musiała naciągać kapelusz mocno na głowę, żeby ukryć twarz.

Dotarli na przejście obronne i oddalili się od zgromadzonych tam ludzi, sunąc ukradkiem, aż się znaleźli na nieobsadzonej obrońcami części muru. Poruszając się szybko, Kulczycki wspiął się na stanowisko ogniowe i wyrzwał, po czym machnął ręką, żeby podeszli.

Przez ścianę z pni tworzących palisadę dostrzegli w dole zakrzywiony zarys koryta Dunaju, prawie suchego po wyjątkowo gorącym lecie. Dalej była już tylko złowroga ciemność, przełamana jedynie słabą poświatą rozsznycanych po okolicy ognisk osmańskich baterii i oddziałów janczarów, czyhających za wielkimi ziemnymi nasypami i czekających na rozkaz ataku.

Akurat w tej chwili panował zupełny spokój. A księżyc znowu zaczął się bawić z nimi w chowanego.

Kulczycki rozwinął linę. Przywiązał jeden koniec do mosiężnego szpikulca sterczącego z przedpiersia, po czym się upewnił, że nikt nie patrzy, i przerzucił zwój na drugą stronę muru.

Jeszcze jeden rzut oka na niebo i zdecydował, że mogą ruszać.

– Trzymajcie się blisko – polecił.

Miał się akurat wdrapać na blankę, gdy w ciemności po ich lewej stronie, czyli odwrotnej niż ta, z której przyszli, rozległ się ostry krzyk.

Kulczycki przykucnął, żeby się ukryć. Z mroku wyłoniło się trzech biegnących w ich stronę mężczyzn. Celowali do nich z muszkietów.

– Ani słowa – przestrzegł Polak niskim głosem Kamala i Nisreen, robiąc krok naprzód, żeby ich za sobą schować. – Zajmę się tym.

Mężczyźni zatrzymali się kilka kroków od nich.

Dowódca wiedeńskich muszkietierów zaterkotał jak karabin, zadając Kulczyckiemu kilka pytań. Przyglądał się podejrzliwie całej trójce i wymachiwał lufą muszkietu. Polak odpowiadał spokojnie, ale stanowczo. Nastąpiła kolejna gorączkowa wymiana zdań i choć Kamal i Nisreen nic z niej nie rozumieli, to po mowie ciała jej uczestników poznali, że nie jest to przyjacielska pogawędka.

Mówili coraz bardziej podniesionymi głosami, dowódca patrolu zwrócił uwagę na Nisreen i zadał jeszcze kilka pytań. Odpowiedź Kulczyckiego go nie zadowoliła i mężczyzna postąpił krok naprzód, żeby się jej lepiej przyjrzeć. I to wtedy Kulczycki wziął sprawy w swoje ręce, wyciągając jatagan i chwytając muszkietera niespodziewanym, szybkim jak błyskawica ruchem.

Przyłożył ostrze do jego szyi i przemówił wściekle z przejmującą chrypką, najwyraźniej udzielając mu reprimendy. Kamal wychwycił, jak kilka razy powtarza nazwisko Starhemberg. Wreszcie zakończył w kilku słowach, brzmiących jak stanowczo zadane pytanie. Powtórzył kwestię dwukrotnie.

Dwaj pozostali muszkietierowie się zawahali, ale pokiwali głowami na znak zgody.

Kulczycki wymruczał kilka słów, odepchnął od siebie schwytanego dowódcę. Schował jatagan i odprawił całą trójkę lekceważącym gestem. Mężczyźni uklonili mu się lekko i wycofali w ciemność, a dowódca, zanim się odwrócił, posłał Kulczyckiemu jeszcze jedno pełne urazy spojrzenie.

– O co poszło? – spytał Kamal.

– O desperację – odparł Kulczycki. – Nieważne. Idziemy.

Popatrzył w niebo, upewniając się, że księżyc jest skłonny do współpracy, i poprowadził ich na blanki.

Zeszli po skarpie do fosy, używając liny. Na dnie przykucnęli ostrożnie, rozglądając się wokół, by zyskać pewność, że nie zostali zauważeni. Było spokojnie. Kulczycki pokazał im, żeby podążali za nim, po czym rzucił się biegiem w otwartą przestrzeń, omijając głębokie leje po wybuchach granatów, by dotrzeć do przeciwnkarpy.

Przeciwnkarpa wydawała się nie do pokonania, ale pomogły im dwie rzeczy: nie była idealnie pionowa i wzniesiono ją z cegły, dzięki czemu mogli liczyć na oparcie dla dłoni i stóp. Na samej górze przebiegli przez kryte przejście i dotarli do palisady. Teraz już tylko grube, zakończone ostro pnie drzew wbite głęboko w ziemię oddzielały ich od terytorium kontrolowanego przez Osmanów.

– Mam nadzieję, że nie jest to monumentalny błąd z mojej strony – odezwał się

Kulczycki z twarzą wciąż zasnutą cieniem wątpliwości.

– Najpierw uratujmy Wiedeń – odrzekł Kamal. – Wtedy będzie pan mógł zdecydować, czy to był błąd czy nie. – Wyciągnął do Kulczyckiego rękę. Polak wahał się przez chwilę, ale w końcu ujął ją i mocno uściskał.

Kamal odwrócił się do Nisreen.

– Gotowa?

– Czy to coś zmieni, jeśli powiem, że nie? – zapytała.

Kulczycki zdobył się na uśmiech – potem spojrział ostatni raz przez prześwit i nie widząc niczego niepokojącego, ruszył naprzód.

Palisada okazała się małą przeszkodą. Nie była to solidna, jednolita ściana z drzew. Pnie znajdowały się od siebie w takiej odległości, że bokiem swobodnie można się było między nimi przecisnąć, ale jednocześnie ustawiono je na tyle gęsto, by uniemożliwiały szturm atakującej hordy. Za palisadą była już tylko otwarta przestrzeń, ciągnąca się aż do kanału, do którego bardzo szybko dotarli.

Kanał się skurczył do rozmiaru strumienia, a jego głębokość prawdopodobnie sięgała najwyżej pasa.

– Pójdziemy wzdłuż koryta kanału do głównego nurtu rzeki – powiedział.

Skuleni przemykali wzdłuż kanału, trzymając się z dala od wody, żeby uniknąć chlupania. Ziemia pod ich stopami była błotnista, co trochę spowalniało marsz, ale byli tu bezpieczniejsi niż w otwartym terenie. Gdy wyszedł księżyc, tulili się do brzegu i czekali, świadomi bliskości osmańskich pozycji. Małe ogniska płonęły rozsiane po zgliszczach wspaniałych willi i sadów Leopoldstadt, zamożnego przedmieścia, które Starhemberg kazał zniszczyć jeszcze przed rozpoczęciem oblężenia, żeby najeźdźcza armia nie mogła się tam ukrywać.

Wciąż była ciemna noc, gdy dotarli do głównego koryta Dunaju. Rzeka płynęła na północ, potem ostrym łukiem skręcała na zachód, w stronę Tulln i Stetteldorfu. Musieli ją w którymś momencie przekroczyć, gdyż zamek stał na północnym brzegu. Kulczycki czuł, że będzie rozsądniej mieć to z głowy tutaj, bo wody było tak mało, że dało się przejść w bród. Każde opady deszczu gdzieś w górze rzeki mogły to nieoczekiwanie zmienić.

Zaczęli brnąć powoli przez rzekę, trzymając się blisko siebie. Mulista woda miała dziwnie orzeźwiające działanie i podnosiła na duchu Kamala i Nisreen po gehennie, jaką przeszli, uwięzieni w oblężonym mieście. Przekroczywszy rzekę, położyli się przemoczeni na brzegu i oddychali szybko, krótko, wpatrując się w górę, w nocne niebo.

Po długiej chwili milczenia z brzucha Nisreen dobyło się powolne, głębokie burczenie.

– Ktoś jest głodny – stwierdził Kamal.

– Kiedy ostatnio jedliśmy? – spytała.

– Kilkaset lat temu? – odpowiedział.

Nisreen zachichotała lekko i spojrzała na Kulczyckiego, który wydawał się zdziwiony odpowiedzią Kamala.

– Obawiam się, że może minąć trochę czasu, zanim będziecie mogli coś zjeść – zwrócił się do niej. – Do zamku jest jakiś dzień drogi.

– Dam radę – odrzekła Nisreen.

Kamal zwrócił się do Kulczyckiego:

– Ile razy pan to już robił?

– Za wiele – odparł Polak.

Kamal westchnął głęboko.

– Miejmy nadzieję, że ten będzie ostatni.

Zauważył, jak Kulczycki mu się przygląda, wreszcie Polak rzekł:

– Chyba jesteście mi winni wyjaśnienie, co was tu sprowadza.

Kamal się zamyślił nad jego pytaniem, nie wiedząc, co powiedzieć.

Polak wyprowadził ich bezpiecznie z miasta. Byli w drodze do Stetteldorfu. Należało mu się wyjaśnienie. A przynajmniej coś, co by na nie wyglądało. I Kamal, choć był wyczerpany i świadomy niebezpieczeństw, które czyhały wokół, musiał przyznać Kulczyckiemu rację. Miał prawo wiedzieć.

Powiedział mu to, co tamten pragnął usłyszeć. Były to te same fakty, które przedstawił wcześniej, kiedy odpowiadał na jego pytania, gdy z Nisreen siedzieli związani w piwnicznej komórce następnego dnia – dnia, który miał nigdy nie nadejść. Opowiedział w skrócie o swojej przynależności do tajnej jednostki stworzonej przez sułtana i o swoim pragnieniu zemsty za zabójstwo brata. Nie była to cała prawda, ale – tak jak wcześniej – Kamal miał nadzieję, że wystarczy, by Polak uwierzył, iż są po tej samej stronie.

Pod koniec opowieści nawet w słabym świetle księżyca trudno było nie dostrzec, że Kulczycki nie wygląda na do końca przekonanego.

– Dlaczego mam wrażenie, że to tylko niewielka część waszej historii? – spytał.

– Doprowadźmy sprawę do końca – odpowiedział Kamal spokojnym tonem. – Będzie jeszcze czas, żebyśmy pomówili o tym później.

Kulczycki popatrzył na Kamala, pokiwał głową i znowu zapatrzył się w niebo.

Kamal spojrzał na Nisreen. Leżała obok niego na plecach zatopiona we własnych myślach.

Stwierdził, że nie będzie jej przeszkadzał.

Cała trójka postanowiła pobyć przez chwilę we własnym świetle i posłuchać ciszy, mimo że stanowiła ona wylęgarnię lęków przed tym, co ich czekało.

Wiedzieli, że muszą ruszyć w dalszą drogę. Przed świtem należało się jak najbardziej oddalić od osmańskiego obozu okalającego miasto.

Zamek Stetteldorf, gdzie zebrali się dowódcy wojsk chrześcijańskiego świata, znajdował się zaledwie o trzydzieści pięć kilometrów od nich. A randka tych osobistości ze śmiercią z każdą sekundą była coraz bliżej.

DO ŚWITU UDAŁO im się pokonać szmat drogi.

Prowadzeni przez Kulczyckiego, szli brzegiem rzeki na północ, poruszając się z największą ostrożnością, wyczuleni na każdy dźwięk i każdy najlżejszy nawet ruch.

Wędrówka nocą była powolna i bardziej wyczerpująca niż za dnia, ale była też bezpieczniejsza. Napięcie związane ze słabą widocznością w nieznanym terenie w połączeniu z głodem, jaki wszyscy odczuwali, osłabiło ich i dodatkowo spowalniało marsz. Ale bez koni i jakiegokolwiek uzbrojenia Kulczycki, Kamal i Nisreen nie byłiby w stanie się zmierzyć z żadnym zagrożeniem, dlatego bezwzględnie musieli pozostać niewidoczni.

Gdy horyzont po prawej stronie pojaśniał, wykorzystali rozpadlinę w wysokim rzeczonym brzegu, żeby odpocząć, napić się wody, a potem ruszyć dalej. Po kolejnej godzinie marszu rzeka skręciła w lewo, płynąc dalej na zachód, w stronę Stetteldorfu i Tulln. Teren pod ich stopami zaczął się wznosić i znaleźli się na niewielkim pagórku, a gdy dotarli na jego wierzchołek, ujrzeli przed sobą gęsty las – ścielący się na północnym brzegu rzeki kobierzec utkany z dębów i buków, któremu musiały ustąpić miejsca rozległe łąki, które do tej pory przemierzali.

Słońce miało ich wkrótce pozbawić osłony mroku, dlatego szybko musieli się znaleźć w bezpieczniejszym miejscu.

Schodzili akurat z pagórka, gdy Kulczycki dostrzegł poruszenie w oddali. Zamarł i wyteżył wzrok, skupiając go na granicy lasu. Z gąszczy drzew wyłoniło się kilku jeźdźców, którzy wpadli na rozciągającą się przed nimi równinę niecałe trzy *beridy* – mniej niż kilometr – od nich.

– Kryć się – rzucił Polak.

Cała trójka padła na ziemię i przywarła płasko do trawy i polnych kwiatów, podnosząc głowy tylko na tyle, by wzrokiem śledzić zagrożenie.

Pojawiali się kolejni jeźdźcy, aż grupa urosła do przeszło pięćdziesięciu konnych. Ziemia zadudniła pod kopytami, a w powietrze dokoła wzbijała się wściekle chmura pyłu.

Kulczycki zmrużył oczy, obserwując oddział.

– Tatarzy – mruknął przez zaciśnięte zęby.

Jeźdźcy zmierzali w ich stronę.

Kamal i Nisreen nigdy niczego podobnego nie widzieli. Nawet z tej odległości bijąca od wojowników wrogość budziła niepokój.

Jechali w krótkich strzemionach, posuwali się naprzód płynnie i szybko. Każdy prowadził za sobą dwa albo trzy dodatkowe wierzchowce, które ponoć wymieniali, by wiozące ich zwierzę zawsze było w pełni sił. Konie były potężnie zbudowane, hodowane po to, by przemierzać z dużą prędkością wielkie odległości. Jeźdźcy nie mieli zbroi ani broni palnej, polegali jedynie na swoich specyficznym wygiętych łukach, których wychylone na zewnątrz końce kumulowały energię i pozwalały na krótszy, szybszy i gładszy naciąg. Od najmłodszych lat ćwicząc łucznicstwo i jazdę konną, tatarscy jeźdźcy potrafili ze śmiertelną celnością wypuścić deszcz ciężkich strzał, i to w pełnym galopie. Po wiekach najazdów i grabieży w pełni zasłużyli na przydomek diabelskich jeźdźców.

I teraz ci diabelscy jeźdźcy sunęli prosto na nich.

Kulczycki popatrzył w prawo, potem w lewo, omijając wzrokiem Kamala i Nisreen.

– Przetoczcie się – rzucił, dźgając palcem powietrze za nimi. – Przetoczcie się w dół zbocza.

Wzniesienie opadało łagodnie od miejsca, gdzie leżeli, ku rzece, a z morza wysokich traw wyrastały tylko tu i ówdzie kępy grabów i wychodnie skalne.

– Już, już, już – syknął, popędzając ich gestem.

Zaczęli się turlać po skosie jedno za drugim w wariackim tempie, czepiając się ziemi. Toczyli się tak szybko, jak się tylko dało. Pęd i wirowanie przyprawiły o zawroty głowy spotęgowane jeszcze głodem, ale nie ustawali, a przy każdym obrocie ich uszy wyłapywały coraz głośniejszy tętent zbliżających się koni.

– Tam – rzekł Kamal, pokazując sterczącą skałę, która choć niewysoka, była na tyle rozłożysta, że mogli się za nią ukryć.

Zaczęli się czołgać jedno za drugim nisko przy ziemi w jej stronę, podczas gdy konna burza była coraz bliżej. Schowali się za skałę w chwili, gdy tętent końskich kopyt zabrzmiał tak, jakby oddział miał ich zaraz stratować, ale jeźdźcy przemknęli obok, mijając wychodnię i trzymając się porośniętej trawą otwartej przestrzeni.

Kamal zaryzykował i wyjrzał, gdy przegalopował ostatni z Tatarów. Mężczyźni różnili się wyglądem od znanych mu Osmanów i Austriaków; rysy mieli raczej azjatyckie, do tego spiczaste brody i strzępiaste wąsy. Różnili się też ubiorem – nosili szerokie czapy z wywijanym dołem, skórzane pancerze, grube pasy przytrzymujące zatknięte za nie bułaty, a ponadto te jedyne w swoim rodzaju łuki, przewieszane przez plecy razem z kołczanami pełnymi strzał.

Wszyscy troje czekali, dysząc ciężko i napinając mięśnie, aż oddział się oddali.

– Niewiele brakowało – wymamrotał Kamal.

– Są wszędzie – powiedział Kulczycki. – Te dzikusy i baszybuzucy. Sam nie wiem, którzy gorsi.

Kamalowi mimo woli przyszło do głowy jego tłumaczenie, dlaczego on i Nisreen zjawili się w Wiedniu bez ubrań, jakie podsunął Kulczyckiemu, gdy się pierwszy raz spotkali. Okazało się nieprzyjemnie bliskie prawdy.

– Musimy dotrzeć do lasu – rzekł Kulczycki.

– A potem? – spytała Nisreen.

– Jesteśmy prawie w połowie drogi do zamku – odpowiedział Polak. – Gdy już będziemy w lesie, podążymy wzdłuż rzeki, aż znajdziemy się naprzeciwko Tulln. Stamtąd do Stetteldorfu trzeba się kierować na północ. Ale to otwarta przestrzeń.

– Czyli że nic nas nie będzie osłaniać – stwierdził Kamal.

– Tak, ale niedługo. Powinniśmy pokonywać ten teren nie dłużej niż dwie godziny. A jeśli to, co mówicie o odsieczach, jest prawdą, myślę, że ryzyko napotkania tam tych barbarzyńców będzie już mniejsze.

– No to lepiej chodźmy – rzekła Nisreen.

Kulczycki skinął głową i ruszył przodem.

Kamal zamykał pochód, z każdym krokiem jednak jego niepokój wzrastał. Pieszostanowili łatwy cel dla konnych oddziałów. Byłoby idealnie, gdyby zaczęli znowu do nocy, ale nie mieli takiej możliwości. Był poniedziałek. Zamachowcy samobójcy mieli uderzyć w środek w samo południe. Gdyby zaczęli do wtorku, Sobieski i jego sojusznicy mieliby zaledwie dobę na zaplanowanie pozbycia się zamachowców i przygotowanie zasadzki na osmańską armię, która będzie za nimi podążać. A Kamal ponadto potrzebował czasu, żeby przeprowadzić jeszcze swój własny plan.

Musiał też przedyskutować to, co przeczytał o tamtych wydarzeniach, z Nisreen i Kulczyckim. Jako oficer Hafiye tę część swego zadania domowego – eksperckie sprawozdania z tego, co się wydarzyło w tę nieszczęsną środę – uznał za szczególnie zajmującą. Wielkie zwycięstwo Osmanów wysławiał niejedyn historyk, ale dziełem, które zaintrygowało Kamala najbardziej, był opis zdarzeń autorstwa samego Rasheeda. Wędrowiec w czasie dał poszaleć swojemu ego, pisząc o swym genialnym posunięciu, i zapewnił Kamalowi wszystkie informacje, których ten potrzebował. Kamal obmyślił plan kontrataku i teraz musiał podzielić się nim ze swoimi towarzyszami, na wypadek gdyby coś mu się stało w drodze do Stetteldorfu. Cały czas poruszali się po otwartym terenie i mieli być narażeni na niebezpieczeństwo aż do chwili przekroczenia wrót zamku.

Musiał ich też wtajemniczyć w swój plan dotyczący Rasheeda. Nie mógł z tym dłużej zwlekać. Nie podobało mu się, że będzie musiał zostawić Nisreen na zamku, ale nie miał innego wyjścia. Wiedział, że będzie to dla nich niewyobrażalnie trudne, ale taka była konieczność.

Posuwali się naprzód, a on wyjawiał im, co wie na temat czasu i szczegółów samobójczego zamachu oraz na temat ataku wojska, który ma potem nastąpić. Ciągłe spokoju nie dawało mu pytanie, co się stanie, gdy już dotrą do Stetteldorfu.

Kiedy skończył, Nisreen, jakby czytając w jego myślach, o to właśnie zapytała.

PYTANIE TO WYCHYLAŁO SWÓJ NIEMIŁY ŁEB, ilekroć Nisreen znalazła chwilę, by spokojnie pomyśleć, co – być może na szczęście – nie zdarzało się zbyt często, odkąd wykonali ostatni skok.

Słuchając teraz Kamala omawiającego swój plan, czuła, że pierwszą część zadania – ostrzeżenie Sobieskiego – mieli względnie dokładnie zaplanowaną. Ale co z drugą częścią? W jaki sposób dopilnują, żeby Rasheed nie cofnął się znowu w czasie i nie spróbował ponownie?

Jeszcze w bibliotece w Paryżu – wydawało jej się, że było to całe wieki temu, owo krótkie interludium jawiło się teraz raczej jako sen niż rzeczywistość – Kamal powiedział jej, że Rasheeda będzie musiał usunąć sam, na co ona niechętnie, ale się zgodziła. Jednak w miarę jak się do tego momentu zbliżali, lęk przerastał ją niczym perz.

Postanowiła o to zapytać, gdy tylko Kamal skończy mówić, co zbiegło się z ich wkroczeniem do względnie bezpiecznego lasu, przez który musieli przejść, żeby dotrzeć znowu do rzeki.

Kulczycki krążył w poszukiwaniu jedzenia; w pewnej chwili się schylił i coś podniósł. Odwrócił się i kiwnął na nich.

– Tutaj, moi przyjaciele – zawołał. – Ucztę czas zacząć.

Kamal i Nisreen dołączyli do niego. Ziemia pod drzewami była usiana małymi jasnobrązowymi grzybami.

– Pycha – jęknęła Nisreen.

– Te akurat nie są trujące – zapewnił Kulczycki, odgryzając kawałek grzyba. – Zaraz znajdziemy też jagody.

– Szkoda, że nie mamy czasu, żeby zapolować na dzika – rzekł Kamal. – Przypuszczam, że te lasy to część cesarskich terenów łowieckich.

– Kiedyś nimi były. Teraz poluje się w nich na nas – odparł Kulczycki. – Miejmy nadzieję, że już niedługo się to zmieni. – Po czym cierpko dodał: – *Inszallah*, jeśli Bóg pozwoli.

Nisreen zobaczyła, jak Kamal odpowiada mu lekkim, milczącym ukłonem.

Odczuwała lęk przez cały czas, gdy zbierali grzyby, czarne jagody i kwiaty prymuli, żeby się nimi posilić. Zaspokajali głód na brzegu rzeki, gdy w końcu zdecydowała się poruszyć ten temat.

– Kamal – zaczęła z wahaniem. – A co z Rasheedem?

Kamal przestał pić wodę, którą miał w stulonych dłoniach, i popatrzył, jak ucieka mu między palcami. Wbił wzrok w pomarszczoną powierzchnię rzeki, po czym westchnął głęboko i dopiero się do niej odwrócił.

– Będę musiał wyruszyć. I to niedługo.

Chociaż się tego spodziewała, słowa potwierdzające jej obawy bardzo ją zdenerwowały.

Kulczycki wtrącił się z pytaniem:

– Będzie pan musiał wyruszyć? Dokąd?

Kamal westchnął, jakby musiał dobrać odpowiednie słowa, by mu odpowiedzieć.

– Wielkiemu wezyrowi i sułtanowi doradza pewien człowiek. To on za tym wszystkim stoi. Muszę dopilnować, żeby tego nie przeżył.

Kulczycki wyglądał na skonsternowanego.

– Jeśli nam się uda... jeśli powstrzymamy ich zabójców i wykorzystamy ich własną zasadzkę, osmańska armia zostanie pokonana. Czy to nie wystarczy?

– Nie – odparł Kamal. – Musimy dopilnować, żeby on zginął.

– Kto? Nic nie rozumiem – dopytywał się Kulczycki.

– Nazywa się Ayman Rasheed.

– Nigdy o im nie słyszałem.

– To on wszystkim kieruje. Jest mózgiem całej akcji. I proszę mi uwierzyć, jego możliwości są nieograniczone. Jeśli chcemy, by to, co osiągniemy, miało trwałe skutki, pozbawienie go życia jest koniecznością. – Widział, że Kulczycki nie bardzo może się w tym wszystkim połapać. – Byłem jednym z nich – dodał Kamal. – Wiem, co mówię... może mi pan zaufać. Muszę go odszukać i zabić.

– Gdzie? – spytała Nisreen.

– W obozie. Jego namiot znajduje się obok namiotów wielkiego wezyra.

Nisreen spodziewała się to usłyszeć, a mimo to, gdy te słowa padły, przeszły ją niczym nóż.

Kulczycki patrzył w osłupieniu.

– Mówicie nie tylko o przeniknięciu do obozu wroga, ale i o zabiciu człowieka, i to ważnego, w jego najlepiej strzeżonej części! – Wyglądał, jakby wciąż próbował zrozumieć, co to wszystko oznacza. – To szaleństwo.

– Gorzej niż szaleństwo – dodała Nisreen. – To samobójstwo.

– Niekoniecznie – odrzekł Kamal – a poza tym nie ma innej możliwości. To jedyne miejsce, w którym on na pewno będzie. Razem z wielkim wezyrem oglądał walkę z pozycji na wzgórzach, ale nie wiem dokładnie skąd. Jedyne pewnym miejscem jego pobytu, z tego co wiem, jest obóz, ale tylko do momentu, gdy jutro zaczną się przemieszczać do Tulln.

– Chwileczkę, że jak? – przerwał mu Kulczycki. – Co pan ma na myśli? Oglądał? Przecież bitwa się jeszcze nie odbyła.

Kamal zerknął ukradkiem na Nisreen. Sądząc po minie Polaka, oboje się poczuli tak samo głupio przyłapani.

– To znaczy, taki mają plan – wycofał się szybko Kamal. – Przejęczyłem się. – Zwrócił się do Nisreen. – *Hayatim*, myślałem o tym długo, bardzo długo. To jedyny sposób. Ale jestem w stanie wyjść z tego cało. Brałem już udział w tajnych operacjach. Wiem, jak sobie radzić w takich przypadkach. I uwierz mi, nie mam zamiaru zostawiać cię tutaj samej. – Wymówił to ostatnie zdanie z naciskiem, a ona zrozumiała, że chodzi mu o to, co pozostało niewypowiedziane, z czym nie mógł się zdradzić przed Polakiem.

Podszedł bliżej i ujął jej dłonie.

– Wszystko będzie dobrze, *hayatim*. Będzie mi łatwiej ze świadomością, że jesteś bezpieczna na zamku. A kiedy wszystko się skończy, wrócę tam po ciebie. Obiecuję.

Wytrzymała jego spojrzenie, choć czuła się tak, jakby ktoś szarpał jej wnętrzności.

Odgadując to, co czuła, Kamal dodał:

– Poza tym mamy przecież nasz własny sposób wychodzenia z opresji, czyż nie?

W głowie wciąż kłębiły jej się myśli, ale złapała się na tym, że kiwa głową, mimo iż była zbyt zdenerwowana, żeby uświadomić sobie implikacje tego, co zasugerował.

– Kiedy musisz ruszać?

– Zaraz po dotarciu na zamek, wyruszę jak najszybciej, żeby wykorzystać światło dnia. Nocą niewiele mi się uda przejść. A jutro muszę dotrzeć do obozu i go znaleźć. To powinno wystarczyć. Zabić go należy w ostatnim momencie, gdy armia będzie ruszać do walki. Nie chcę za wcześnie wprowadzać zamieszania i ryzykować, że zmienią plany.

Spowiła ich ponura cisza, którą w końcu przerwał Kulczycki.

– To takie proste – rzekł z wyraźnym sarkazmem w głosie. – Ale niby jak zamierza pan pokonać Wienerwald? – Posłużył się miejscową nazwą Lasu Wiedeńskiego. – Zna pan okolicę?

– Studiowałem mapy.

– Mapy? Myśli pan, że to się uda, bo studiował pan mapy? Po Wienerwaldzie nie wędruje się z mapą. Jeśli się zejdzie z głównej drogi, trafia się do istnego labiryntu wąskich ścieżek. Łatwo jest się zgubić wśród szlaków wijących się po tych wzgórzach to w górę, to w dół. Nie, nie ma pan najmniejszych szans. Pójdę z panem.

Kamala zatkało. Nie mógł powiedzieć Kulczyckiemu, że mapy, które studiował, były o wiele, wiele dokładniejsze od prymitywnych szkiców istniejących w tych czasach, jedynych, jakie znał Kulczycki. Ale Polak w jednym miał rację. Przejście przez góry oznaczało wyczerpujące wyzwanie, a on nie dysponował nieograniczonym czasem. Nie mógł sobie pozwolić na żadną zwłokę i wiedział, że pokonanie drogi do osmańskiego obozu z Kulczyckim jako przewodnikiem może tak naprawdę zadecydować o wszystkim.

Kamal skłonił lekko głowę na znak szacunku.

– Nie wiem, jak panu dziękować, *herr* Kulczycki.

– Mówcie mi Jerzy – rzekł, nie biorąc sobie do serca słów Kamala. – Myślę, że przeszliśmy razem tak wiele, iż możemy sobie darować formalności.

Kamal się uśmiechnął i znowu ukłonił.

Kulczycki popatrzył na niego z błyskiem zaciekawienia w oku.

– Nie mogę się już doczekać, żeby było po wszystkim i żebyśmy mogli w końcu usiąść i naprawdę porozmawiać – rzekł. – Zamierzam cię tak upić, że sam nie będziesz wiedział, co mówisz.

– Już się na to cieszę. – Kamal się uśmiechnął, odwrócił do Nisreen i dłużej zatrzymał na niej wzrok. – Co ty na to? – spytał.

Popatrzyła na niego przez chwilę i chcąc nie chcąc, uległa jego optymizmowi i zaraźliwej brawurze.

– Zamierzam sama tego dopilnować.

– No to jesteśmy umówieni. – Kamal wyszczerzył zęby w promiennym uśmiechu.

I wyruszyli.

PODSZYCIE W LESIE BYŁO gęste i spowalniało marsz, ale przynajmniej mieli lepszą osłonę niż w otwartym terenie – i to zarówno przed oczami wroga, jak i przed promieniami południowego słońca, które zalewało okolicę swym wszechobecnym blaskiem.

W lesie panowała niesamowita, przytłaczająca cisza. Nie docierał tu żaden szum z autostrady, nieba nad głowami nie przecinały samoloty, które mogłyby zmącić ów spokój. Cisza ta jeszcze wzmagала ich strach przed tym, co się mogło czaić w ciemnych leśnych zakamarkach.

Mimo wszystko poruszali się z nową energią, posileni owocami, a ponadto napędzani świadomością zbliżania się do zamku.

– Tulln jest już niedaleko, jakieś pół godziny drogi stąd – obwieścił Kulczycki. – Przy odrobinie szczęścia za dwie godziny będziemy w Stetteldorfie.

– Nie możemy zbyt długo pozostawać na zamku – powiedział mu Kamal. – Mam nadzieję, że szybko uda ci się przekonać Sobieskiego.

– Nie martw się, wiem, co mówić – zapewnił go Kulczycki. – Jestem posłańcem Starhemberga, odkąd zaczęła się ta katastrofa. Uwierzy mi.

Kamal pokiwał głową, nie przerywając marszu.

Nisreen szła teraz obok niego. Zerknął na nią i posłał jej uśmiech, który nie do końca maskował niepokój tłący się w jego oczach.

– Będzie ciężko – powiedział jej. – Będziesz musiała odpowiedzieć na wszelkie pytania, jakie Sobieski zechce ci zadać po tym, jak opuszczę zamek.

– Słuchałam uważnie, nie musisz się martwić – odpowiedziała. Z bardziej zimną barwą w głosie dodała: – To chwila, której przez cały czas się najbardziej obawiałam.

Nie zatrzymując się, Kamal wyciągnął rękę i ujął jej dłoń w swoją.

– Będzie dobrze – pocieszył ją. – Zobaczysz.

Bez słowa ścisnęła jego rękę i po chwili ją puściła.

Przez dłuższy czas się nie odzywali. Lawirowali między drzewami w ciszy, którą zakłócał jedynie chrzęst grubego kobierca z gałązek i liści pod ich stopami. I tylko raz po raz spotykały się ich spojrzenia.

Szli kilka kroków za Kulczyckim.

– To takie... niesamowite – odezwała się Nisreen cicho, żeby Polak jej nie usłyszał. – To, że tu jesteśmy. To wszystko. Nie uważasz?

– To bardzo, bardzo dziwne – przyznał Kamal. – To znaczy, jesteśmy tutaj teraz, idziemy przez ten las i wydaje się to... jakies takie normalne.

– Ramazan, Tarek, Noor... tak wiele się dzieje, że oni schodzą gdzieś na dalszy plan. To wszystko oddala nas od przeszłości. A ja tego nie chcę. – Zrobiła pauzę, po czym dodała: – Mam wrażenie, że to się stało wieki temu. I w pewnym sensie chyba tak jest. Ale nie chcę, żeby moje wcześniejsze życie odeszło w niebyt. Nawet jeśli to bolesne. Nie chcę się od niego uwalniać. Ale jeśli ciebie nie będzie w pobliżu, wspomnienia o nich w końcu się rozmyją. A to byłoby straszne. – Przystanęła, dając mu znak, żeby na nią spojrzął. – Obiecuj mi, że wrócisz, żeby oni też zawsze byli ze mną.

– Ja też nie chcę ich zapomnieć. I nie zapomnimy. Nigdy. Choćby nie wiem co się działo.

– W pociągu... obiecałeś, że nigdy beze mnie nie skoczysz. A co, jeśli będziesz musiał, jeśli w obozie wpadniesz w jakies tarapaty? Jak się wtedy znajdziemy?

Zatrzymał się i zwrócił do niej twarzą.

– Nie mam zamiaru cię stracić, *hayatim*. Ani w tym życiu, ani w żadnym innym. Możesz być tego pewna.

Skupiła się na jego oczach, jak gdyby gromadziła całą siłę woli, by sprawić, że żadne z nich nie zapomni o tych, których straciła.

– A co potem? Co się stanie, jeśli już uda nam się doprowadzić tę sprawę do końca? Co wtedy zrobimy? Dokąd pójdziemy?

– Nie wiem. Najpierw to załatwmy. A potem... kto wie...

– Nie chcę pozostać w tym czasie – oświadczyła. – Jest zbyt... barbarzyński.

– W takim razie nie zostaniemy.

– Jeśli zamierzamy wrócić do bardziej cywilizowanej epoki, będziesz musiał wyciągnąć z Rasheeda zakłęcie umożliwiające podróż w przód. – Podciągnęła rękaw, żeby pokazać mu tatuaż na swoim przedramieniu. – Nadal nie wiemy, czy moje domysły były słuszne.

– No to lepiej, żebyś je zdobył – rzekł z cieniem uśmiechu w głosie i popatrzył przed siebie.

Kulczycki nie zauważył, że zostali w tyle.

– Chodźmy – powiedział Kamal. – Lepiej, żebyśmy trzymali się razem.

Dogonili swojego przewodnika i podążyli za nim w dół gęsto zalesionego stoku. Powietrze stało się wyraźnie chłodniejsze, co mogło świadczyć o bliskości wody.

– Zaraz będziemy mogli opuścić las – poinformował ich Kulczycki. – Ale najpierw powinniśmy się napić. Na otwartym terenie w słońcu będziemy dziękować, że to zrobiliśmy.

Maszerowali gęsiego przez dziewiczą puszcę.

Już po chwili dotarł do ich uszu szmer strumienia i ruszyli w tym kierunku.

Kamal szedł tuż za Kulczyckim, gdy nagle Polak zwolnił na tyle, że pozwolił mu niemal się ze sobą zrównać.

Nie odwracając się, cichym głosem powiedział:

– Jesteśmy obserwowani.

Kamal spał się cały.

– Co? Gdzie?

– Przed nami po prawej. Widziałem jednego. Ale jest ich więcej.

– Kogo? – spytał Kamal.

– Nie dałem rady rozpoznać.

– Co robimy?

– Idziemy jak gdyby nigdy nic. Jeśli tam są, nie ma sensu się chować ani prowokować walki. Rzadko poruszają się w małych grupach.

Jakby na potwierdzenie tych słów obok nich świsnęła strzała, wbijając się w pień kilka kroków przed nimi.

Na ścieżce pojawił się mężczyzna. Potem jeszcze jeden. A później zza drzew wyłonili się kolejni.

Kulczycki wysunął się naprzód, Kamal i Nisreen stanęli za nim.

– Baszybuzycy – wyszeptał do nich Polak.

„No i wykrakałem”, pomyślał Kamal, wspominając to, co powiedział Kulczyckiemu podczas przesłuchania, gdy się pierwszy raz spotkali: że to najemnicy o „popsutych głowach” spowodowali, iż on i Nisreen nie mieli na sobie ubrań, gdy ich schwytano w Wiedniu.

– Zachowajcie spokój i dajcie mi mówić – rzekł Kulczycki, po czym podniósł rękę w geście pozdrowienia. – Spokojnie, bracia – zawołał. – Jesteśmy po tej samej stronie.

Mężczyźni się zbliżyli.

Było ich sześciu. Nie mieli na sobie mundurów. Wyglądali jak zwykła hołota z luźno zawiązanymi na głowach chustami, w powiewających płaszczach i pelerynach. Niektórzy nosili kolczyki w kształcie kół w uszach, a kilku miało bardzo ciemną skórę i afrykańskie rysy. Łączyło ich jednak to, że byli uzbrojeni po zęby. Większość miała po dwa pistolety skałkowe tkwiące w przytwierdzonych do pasa skórzanych kaburach, ponadto bandolierę, po kilka sztuk jataganów i szabli.

Jeden z rabusiów, mężczyzna o niezwykle czarnych, sterczących do góry wąsach i spojrzeniu, w którym zdawał się płonąć piekielny ogień, podszedł bliżej, skierował w Kulczyckiego, a potem w jego przyjaciół czubek swojej szabli, dając im znak, żeby mu się lepiej pokazali.

Kamal i Nisreen zrozumieli i wyszli zza Polaka, stając po jego bokach.

Mężczyzna przyglądał im się podejrzliwie.

– Mówisz, że jesteśmy po tej samej stronie – zawołał. – To dlaczego oni mają na sobie mundury niewiernych?

– To nasi szpiegzy z Wiednia. Ledwo zdołali uciec po tym, jak zostali zdemaskowani – odkrzyknął Kulczycki.

Mężczyzna podszedł bliżej, przez cały czas patrząc z zaciekawieniem.

Kamal bacznie go obserwował i analizował sytuację. Lata szkolenia i pracy wyrobiły w nim intuicję, dzięki której potrafił wyczuć zamiary człowieka. Kierunek tej rozmowy w ogóle mu się nie podobał.

– Czyi szpiegzy?

Nie wyglądało to dobrze. Kamal widział, że z każdą sekundą jest gorzej, coraz gorzej. Nagle wpadł mu do głowy pomysł. Desperacki i bardzo ryzykowny.

– Aymana Rasheeda Paszy! – zawołał silnym i prowokacyjnym tonem.

Baszybuzuk popatrzył na niego chmurnie i podejrzliwie.

– Kogo? Nigdy o nim nie słyszałem.

– To specjalny doradca wielkiego wezyra – odparł Kamal.

– Nie znam żadnego specjalnego doradcy o tym imieniu.

– To oczywiste – odrzekł Kamal. – Ale to dzięki niemu Wiedeń wpadnie w nasze ręce, a my odpowiadamy tylko przed nim.

Twarcz jeźdźca jeszcze pociemniała; poczuł się wyraźnie urażony zuchwałością Kamala.

– Mówisz z dziwnym akcentem.

– Tak bywa po latach spędzonych wśród niewiernych – powiedział Kamal. – Długo już jesteśmy szpiegami.

Mężczyzna zmarszczył brwi, najwyraźniej przetwarzając to, co usłyszał.

– Mówisz, że służycie temu specjalnemu doradcy?

– Aymanowi Rasheedowi Paszy, zgadza się – odparł Kamal.

– No to pojedziemy i się z nim spotkamy – oświadczył mężczyzna. – Zaraz się przekonamy, czy to, co mówicie, jest prawdą. – Zbliżył się do nich o kilka kroków i podniósł jatagan tak, że jego ostrze znalazło się tuż pod brodą Kamala. – A mam wielką nadzieję, że nie jest.

KAMAL POCZUŁ ULGĘ, że nie próbowali wszczynać walki. Banda baszybuzuków okazała się liczyć ponad dwudziestu ludzi, bezwzględnych, nieokiełznanych awanturników, którzy nie mogli się doczekać przelewu krwi.

Posadzono ich na koniach, a każdy z wierzchowców był przywiązany postronkiem do konia jednego z osmańskich grabieżców. Kamal nie miał szansy porozmawiać z Kulczyckim ani z Nisreen. Mogli jedynie wymieniać spojrzenia, przekazując sobie lęk przed tym, co ma nastąpić.

Byli zmuszeni wrócić tą samą drogą, którą dopiero co pokonali na piechotę. Wyjechali z lasu i podążyli brzegiem Dunaju w stronę Wiednia.

Kamal jechał pierwszy, potem Nisreen i Kulczycki, wszyscy oddzieleni od siebie przez osmańskich najemników. Kamal odwrócił się do Nisreen, żeby sprawdzić, jak się czuje. Popatrzyła na niego znacząco wzrokiem naładowanym niema wiadomością, by po chwili wyraźnie przenieść wzrok na przedramię i dyskretnie podciągnąć rękaw, odsłaniając tatuaż.

Kamal zrozumiał.

Jej spojrzenie pytało: „Skaczymy?”.

Odpowiedział jej, lekko, ale wyraźnie kręcąc głową.

Nie tak to sobie zaplanował, ale nie mieli wyboru – już nie. Zresztą pojmanie przez osmańskich najemników mogło okazać się najlepszym, jeśli nie jedynym, sposobem dostania się do Rasheeda i zabicia go, nawet jeśli miało do tego dojść, zanim zdążą ostrzec Sobieskiego i pozostałych. Gdyby im się nie udało, Rasheed na pewno wykorzystałby zdolność podróżowania w czasie do tego, by ich ścigać do upadłego.

Ponadto, gdyby znikli w tej chwili, Rasheed najprawdopodobniej by się o tym dowiedział i domyślił, że coś jest na rzeczy. Ich polskiego towarzysza czekałaby niechybna śmierć, a tego Kamal też nie chciał. Poza tym, gdyby nawet udało im się porozumieć na tyle, by ustalić, o ile dni się cofają – możliwości w tym względzie też były ograniczone – to nie mieliby pewności, czy zdążą wyrecytować całe zaklęcie, zanimby pilnujący ich Osmanowie przeszkadzili jednemu z nich. A to oznaczałoby osamotnienie dla tego, kto zdołałby uciec, i pewną śmierć dla tego, kto by został.

Kamal nie miał wątpliwości. Musieli zrobić wszystko, by ta próba się powiodła.

Opuścił rękę dłonią w dół, rozstawiając lekko palce, jakby chciał powiedzieć: „Spokojnie, nie musimy się z niczym spieszyć”.

Skinęła głową na znak, że rozumie, przez cały czas obserwując lękliwie eskortujących ich baszybuzuków.

NIM SŁOŃCE ZASZŁO, ich oczom ukazały się miejskie mury. Po tej stronie miasta, od północnego zachodu, nie toczyły się żadne walki. Przekroczyli znowu Dunaj i truchtem pokonali ruiny przedmieścia zniszczonego na rozkaz Starhemberga, jeszcze zanim przybyła armia sułtana. Pojawiły się pierwsze szańce, a po chwili minęli żołnierzy pierwszej linii frontu, strzegących ziemi niczyjej pomiędzy okopami a murami, i ruszyli w głąb, do samego serca ogromnego obozowiska Osmanów.

Jego wielkość z trudem mieściła się w głowie. Kamal widział je przez moment, gdy wraz z Nisreen zostali zawleczeni na mury w tamtych obłąkanych chwilach po ich pierwszym przybyciu do Wiednia, ale jego umysł nie pracował wtedy normalnie i nie był w stanie zarejestrować tego widoku. Szeregi namiotów sięgały po horyzont, były ich dziesiątki tysięcy, ustawione w ciągnące się przez dwadzieścia cztery kilometry półkole – taki obszar był potrzebny, by pomieścić armię liczącą dobrze ponad sto tysięcy ludzi, którzy pokonali długą drogę, maszerując tu ze swojej ojczyzny.

Stały tu namioty wszelkiego rodzaju: do zakwaterowania wojska, do przechowywania broni, namioty-latryny i namioty, w których można było wziąć kąpiel czy dokonać rytualnego obmycia. Znalazły się nawet takie, w których wykonywano uroczyste egzekucje.

Ale ten rozległy obóz z pewnością nie był już taki, jak w pierwszych dniach oblężenia.

W miarę jak posuwali się w głąb obozowiska, gdy każdy ich krok śledziły apatyczne spojrzenia bezczynnych osmańskich wojowników, tragiczna kondycja sułtańskiego wojska coraz bardziej rzucała się w oczy.

Po kilku miesiącach walk w palących promieniach bezlitosnego letniego słońca obóz stał się siedliskiem rozprzestrzeniającego się brudu i chorób. Rany gniły nieopatrzone, bo były zbyt liczne, by dawało się zadbać o wszystkie. Ciał było tak wiele, że nie nadążano z grzebaniem, więc zwłoki leżały całymi dniami, zanim zostały w końcu załadowane na wóz i wywiezione. Te zaś, które grzebano, przykrywano tylko cienką warstwą luźnej ziemi, którą nabrzmiałe, rozkładające się ciała szybko rozsuwały na boki. Martwe zwierzęta też gniły niezakopane. Doły kloaczne wokół obozowiska były przepelnione. Smród rozkładu był wszechobecny, podobnie jak roje much.

Mimo to wojsko szykowało się do mającego nastąpić nazajutrz wymarszu. Janczarzy i spahisi czyścili buty i przygotowywali broń. Planowano wyruszyć we wtorek rano, żeby przejść przez Las Wiedeński i zająć pozycję do ataku na przybywającą z odsieczą armię. Do bitwy miało dojść następnego dnia, w środę, na przedpolach Tulln. Pomimo zmęczenia mieli zwyciężyć.

Ich widok tylko utwierdzał Kamala w przekonaniu, że koniecznie musi wykonać

swoje zadanie.

Niekończące się rzędy namiotów okalały Wiedeń, ciągnąc się z północy na południe, a strefa dworska znajdowała się pośrodku, w miejscu, gdzie teren okalający miejskie mury wznosił się lekko. To tam stał namiot wielkiego wezyra. Był znacznie wyższy i większy od pozostałych, niczym gigantyczny gmach górował nad wszystkimi, które go otaczały.

Do Kamala dotarły też teraz obrazy i odgłosy toczącej się walki. Dwa atakowane bastiony znajdowały się po jego lewej stronie, lecz zanim jeszcze ukazały się jego oczom, do uszu dobiegł rozdzierający powietrze huk ognia muszkietów i wybuchających granatów. Działa siały śmierć w szeregach obu armii przy akompaniamencie okrzyków „Jezus Maria!” i „Allachu!”, dobywających się z ust walczących po przeciwnych stronach żołnierzy, którzy jak teraz zobaczył, wyrzynali się nawzajem na fortyfikacjach.

Widok ich zmagania z tego miejsca budził dodatkowy niepokój. Kamal był na murach miasta, oglądał starcie z drugiej strony, z miejsca w pierwszym rzędzie obserwował walkę. Przez chwilę pomyślał o ludziach, którzy zaciągnęli go razem z Nisreen tam, na górę, ciekaw był, ilu z nich jeszcze żyje, a ilu już pochłonął na zawsze mielący nieustannie młyn wojny.

Wkrótce dotarli do części obozu otaczającej siedzibę dowództwa. Znajdowała się na lekkim wzniesieniu, z namiotem Kara Mustafy w jego najwyższym punkcie, naprzeciwko dwóch bastionów, na których skumulował się atak. Kamal czytał o tym, że wielki wezyr mógł obserwować zmagania swoich ludzi w okopach i na murach ze swej wygodnej, spowitej w jedwabie kwatery.

Strefa dworska bardzo różniła się od reszty obozu. Najbardziej w oczy rzucało się to, że była od reszty znacznie czystsza. Namiot Kara Mustafy miał rozmiar pałacu i olśniewał bogactwem tkanin, cudownością zielonego jedwabiu, ozdobionego złotym haftem i drogocennymi kamieniami. Gdy go mijali, Kamal spojrzął ponad głowami wartowników i zobaczył część tego, o czym czytał w paryskiej bibliotece: wspaniałe ogrody z fontannami i pawiami, namioty dające schronienie ulubionym koniom wezyra, czarnych eunuchów strzegących rozłożonego obok namiotu, w którym trzymał swój harem. Dookoła przechadzał się nawet struś.

Dowódca baszybuzuków przystanął, żeby zapytać o coś jednego ze strażników. Usłyszawszy odpowiedź, odwrócił się, spojrzął gniewnie na Kamala i niechętnie kiwnął ręką na swoich ludzi. Jeźdźcy ruszyli, minęli namioty wielkiego wezyra i dotarli do sąsiedniego kompleksu, nieco mniejszego, ale równie luksusowego.

Zmysły Kamala były wyostrzone do granic możliwości.

Buluk Pasza, rotmistrz janczarskiej straży, wystąpił naprzód, żeby ich powitać. Przywódca baszybuzuków zsiadł z konia i z nim porozmawiał. Potem rotmistrz poprowadził go, mijając kilku strażników, w kierunku kompleksu namiotów.

Po kilku minutach pojawili się znowu, a rotmistrz ruchem głowy i kilkoma gestami

poinstruował strażników, żeby wprowadzili pojmanych.

Wszyscy troje zsiadli z koni i zostali wprowadzeni do obozowego dworu, pilnowani każdy przez osobnego strażnika, pozostawiając baszybuzuków i ich wyraźnie niezadowolonego przywódcę na zewnątrz.

W centrum tego kompleksu także stał ogromny namiot, uszyty z tkaniny bogatej w aplikacje i haftowane kwiaty, rozpiętej na kilkunastu stelażach.

Minęli zasłonę zewnętrzną, przeszli przez niewielki przedsionek i kolejną zasłonę i znaleźli się w części głównej namiotu.

Była ogromna, większa niż salon któregokolwiek z paryskich mieszkań odwiedzonych przez Kamala. Sufit i ściany podpierane przez grube pale z polerowanego mahoniu były pokryte tkaninami o wytwornych wzorach, podłogę zaś stanowiło kilka warstw grubych dywanów. Honorowe miejsce w głębi pokoju zajmowała pełniąca funkcję łoża otomana, nabijana drogocennymi kamieniami i wyłożona miękkimi poduchami, pod jedną z bocznych ścian stał ozdobny stół, zarzucony notatnikami i mapami. Oliwne lampki zapewniały tej ogromnej przestrzeni ciepłe, rozproszone światło, a jaśminowe i lawendowe świece nasyciły powietrze kojącą wonią.

Pośrodku tego wszystkiego stał człowiek, którego machinacje zmusiły ich do zaryzykowania wszystkiego, co mieli, i odbycia podróży w czasie.

Jego wysoka, imponująca postać opływała w przepych i bogactwo, począwszy od pękatego, misternie zawiązanego turbanu wieńczącego głowę, przez wspaniałe szaty, które miał na sobie, a skończywszy na okrywających stopy pięknych pantoflach, uszytych z kilku idealnie ze sobą połączonych warstw, delikatnego jedwabiu, bogato haftowanego złotą nicią. W talii był przewiązany szerokim pasem, za którym tkwił zatknięty janczarski jatagan o główicy ozdobionej układem drogich kamieni, dorównujących wspaniałością tym w zdobiących jego palce pierścieniach.

Nie było wątpliwości, że Ayman Rasheed przebył długą drogę do czasu swego pobytu w obozie jenieckim Camp Bucca.

Początkowo się nie odzywał. Stał tylko i się przyglądał swoim więźniom, każdemu posyłając krótkie, lecz intensywne spojrzenie, z którego były spryt i przebiegłość. Nie poznał ich, rzecz jasna. Nie odbył jeszcze podróży do czasów, w których się spotkali w Paryżu. To miało nastąpić kilkadziesiąt lat później.

Kiedy się zdawało, że dokonał już pełnej oceny, z zaciekawieniem zmarszczył czoło, westchnął głęboko i przemówił.

– I co my tu mamy?

MĘŻCZYŻNA STOJĄCY PRZED NISREEN bardzo się różnił od schorowanego człowieka, który zaczarował ją swoją historią opowiedzianą w szpitalnym łóżku w Paryżu.

Był to oczywiście Ayman Rasheed. Co do tego nie miała wątpliwości. Ale ten Ayman Rasheed był młodszą, szczuplejszą, zdrowszą wersją człowieka, którego spotkała. Nie tylko jego wygląd był szokująco różny od wyglądu pacjenta leżącego w szpitalu. Mężczyzna, przed którym teraz stała, był w pełni sił – a nie odurzony lekami i osłabiony chorobą – i roztaczał wokół siebie przyprawiającą o dreszcz aurę pewności siebie i władzy.

Władzy, która pozwoliłaby mu jednym pstryknięciem palców pozbawić Nisreen życia, z czego ona w pełni zdawała sobie sprawę.

Starala się zachować spokój i opanować strach, mimo że wszystko dokoła było takie onieśmielające. Tuż przy niej, po jej prawej stronie, stał Kamal, a obok niego Kulczycki. Każde z nich miało za plecami swojego strażnika, muskularnego mężczyznę, bezgranicznie czujnego i gotowego w każdej chwili zaatakować. Obok Rasheeda stał rotmistrz janczarów.

Jego pytanie wisiało przez chwilę w powietrzu; wreszcie Rasheed odezwał się znowu:

– Powiedzieliście tym ludziom, że jesteście moimi szpiegami. Twierdziliście, że pracujecie dla mnie na terenie Wiednia. Wszyscy wiemy, że to nieprawda. Dlatego pytam... kim jesteście?

Nisreen się zawahała, po czym spojrzała na Kamala akurat w chwili, gdy zaczynał mówić.

KAMAL NIGDY WCZEŚNIEJ nie spotkał Rasheeda osobiście. Mógł go znać jedynie z portretów widzianych w książkach w bibliotece, z reprodukcji pełnych przepychu olejnych malowideł, ukazujących bohatera imperium u szczytu sławy.

Rasheed, którego miał przed sobą, bardzo przypominał tamtego mężczyznę. I domagał się odpowiedzi.

W drodze do obozu Kamal mocno się martwił tym, co go czeka. Wykorzystał ten czas, żeby się zastanowić, co mógł zrobić i jak to rozegrać, przerabiając w myślach różne scenariusze.

Teraz nadszedł moment, by zastosować manewr obmyślony podczas jazdy.

Wiedział, że nie jest doskonały, ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

– Proszę nam wybaczyć to oszustwo, paszo – odpowiedział pełnym szacunku, spokojnym głosem – ale musieliśmy tak powiedzieć, żeby nas do pana przyprowadzono.

– No i jesteście – odparł Rasheed. – Ale wciąż nie odpowiedzieliście na moje pytanie.

– Jestem Kamal Arslan Aga, a to moi towarzysze. Jesteśmy wędrowcami. Tak jak pan.

Na tę odpowiedź Rasheed uniósł brwi, nie ukrywając zaciekawienia.

– Ach tak?

– Tak. To, co pan odkrył w Palmyrze, wyryte na ścianie słowa... nas też one tu przywiodły.

Zaciekawienie ustąpiło miejsca zaskoczeniu. Rasheed najwyraźniej nie spodziewał się takiej odpowiedzi, a jednak wydawał się umiejętnie panować nad swoimi reakcjami. Spojrzał na stojącego obok rotmistrza, po czym przemówił.

– Interesujące – rzekł. – Musieliście zatem odbyć niezwykłą podróż, żeby tutaj dotrzeć. W dodatku dość ryzykowną.

– W rzeczy samej.

– A co was skłoniło do podjęcia takiego ryzyka? W jakiej sprawie musieliście się ze mną zobaczyć?

Kamal dzięki swojemu doświadczeniu zdołał uspokoić oddech i zachować niewzruszoną twarz.

– Przybyliśmy, żeby pana ostrzec, paszo. Inni też znają pański sekret. I wykorzystają go, żeby zjawić się tutaj i próbować pana zabić.

Kulczycki obserwował go w milczeniu, a na jego twarzy pojawiła się dezorientacja, która nagle przerodziła się w gniew.

– Co? – ryknął. – Ty kłamliwy sukinsynu. Oszukałeś mnie...

Stojący przy nim strażnik podniósł rękę i mocno uderzył Kulczyckiego płaską dłonią w bok głowy, uciszając go.

– Zachowuj się – powiedział Rasheed do Polaka. – I tak już muszę się bardzo starać, żeby znaleźć powód, który pozwoli mi zachować was przy życiu. – Przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza i zaczekać, aż jego słowa i chmurne spojrzenie zapadną więźniom głęboko w pamięć, po czym zwrócił się do Kamala: – Ci wędrowcy... dlaczego mieliby chcieć mnie zabić?

Kamal koncentrował się na zachowaniu spokoju i unikał patrzenia na Kulczyckiego.

– Żeby powstrzymać waszą ekscelencję przed tym, co zamierza zrobić. Żeby powstrzymać pana przed zmianą historii.

Nie zdołał się oprzeć i zerknął na Polaka. Kulczycki gotował się z wściekłości.

– To dziwne – odrzekł spokojnie Rasheed. – Bo niedawno usłyszałem dokładnie to samo.

Tym razem to Kamal wyglądał na zaskoczonego. Spojrzał z ukosa na Nisreen. Jej twarz wciąż była nieodgadniona, ale Kamal wychwycił cień zatroskania, którego nie zdołała przed nim ukryć.

Nim zdążył spytać Rasheeda, o kim mówi, ten skinął do stojącego obok rotmistrza.

– Wprowadzić go – rozkazał.

Kamal poczuł, jak puls przyspiesza mu niczym rakietą, gdy janczar wyszedł i wrócił z jeszcze jednym więźniem prowadzonym przez czwartego strażnika.

Był to Taymoor.

Usta miał zakneblowane, brodę w nieładzie, był wymizerowany i zgnębiony. Najwyraźniej spędził tu już trochę czasu, i to nie w roli hołubionego gościa. Nie miał lewej nogi od kolana w dół i pomagał sobie w chodzeniu długim kijem, którego używał jako prowizorycznej kuli.

Oczy Taymoora otworzyły się szeroko, gdy zobaczył swojego dawnego partnera i Nisreen.

– Zostaw nas – powiedział Rasheed do rotmistrza rzeczowym tonem.

Janczar zmierzył Taymoora spojrzeniem i opuścił namiot. Rasheed zwrócił się do strażnika Taymoora i dał mu znak ręką. Strażnik wyciągnął jatagan i przyłożył ostrze do gardła swego więźnia, a drugą ręką poluzował i wyciągnął mu z ust szmatę, która nie pozwalała mówić.

Rasheed srogim gestem podniósł palec, by ostrzec Taymoora.

– Znasz zasady. Uważaj. – Zaczekał, aż Taymoor odpowie niechętnym skinieniem głowy, a wtedy się zwrócił do Kamala i Nisreen. – To samo dotyczy was – obwieścił, po czym posłał krótkie, szybkie skinienie głowy do ludzi pilnujących Kamala, Nisreen i Kulczyckiego. Strażnicy wyciągnęli jatagany i przyłożyli im do gardeł. – Teraz możemy swobodnie porozmawiać. Ci eunuchowie są *dilsiz* – wyjaśnił. Mówił o głuchoniemych zatrudnianych często w sultańskich pałacach. Byli użyteczni nie tylko z tego względu, że nie mogli podsłuchiwać czy zdradzać tajemnic, ale jako kaci nie słyszeli też ostatnich błagań skazańców. – Będą mnie obserwować jak jastrzębie – dodał. – Jeśli tylko któreś z was zacznie recytować zaklęcie, wystarczy, że podniosę palec, a natychmiast poderzną wam gardła. – Uśmiechnął się. – Uważam po prostu, że byłoby to nader nieuprzejme, gdyby ktoś z was opuścił nas nagle w trakcie pogawędki, nie sądzicie?

Rasheed zamilkł i przysunął się bliżej. Powiódł po nich wzrokiem, przyglądając się najpierw Kulczyckiemu, potem Kamalowi, a na końcu Nisreen. Stał przed nią przez chwilę, po czym spokojnie sięgnął w dół i złapał ją za rękę. Przez cały czas patrząc jej w oczy, podciągnął jej rękaw, odsłaniając tatuaż.

Popatrzył na napisy, a potem podniósł wzrok na Nisreen.

– Moi ludzie powiedzieli, że macie dziwne znaki na rękach. – Uśmiechnął się do niej. – Wygląda na to, że czegoś się ode mnie nauczyliście... a raczej nauczycie.

Ta uwaga zbiła Kamala z tropu; po chwili uświadomił sobie, że Taymoor musiał opowiedzieć Rasheedowi o wszystkim, co się stało. Popatrzył gniewnie na swojego partnera, ten jednak wytrzymał jego spojrzenie.

Wciąż wpatrując się w Nisreen, Rasheed spytał:

– A więc... z jakiego roku przybywacie?

Nisreen odrzekła:

– Z tysiąc czterysta trzydziestego ósmego.

Rasheed pokiwał głową, jakby ta data zrobiła na nim spore wrażenie.

– Przeszło trzysta lat. I mówicie naszym językiem, a więc imperium najwidoczniej wciąż istnieje.

Kamal postanowił się wtrącić.

– Owszem.

Rasheed spojrzał na Taymoora.

– Czyli nie kłamałeś w tej kwestii. – Wzruszył ramionami, nie kryjąc sceptycyzmu. Zwrócił się do Kamala i Nisreen: – Widzicie, powiedział mi, że mój wielki plan się powiódł. Powiedział, że przeszło trzy wieki później imperium wciąż istnieje i że jest większe i potężniejsze niż kiedykolwiek.

Kamal skinął głową.

– Owszem.

Rasheed popatrzył zamyślonym wzrokiem.

– Więc dlaczego tu jesteście? Naprawdę chcecie mnie ostrzec? Widzicie, Taymoor Aga i ja mieliśmy mnóstwo czasu na rozmowy, odkąd się tu pojawił. Opowiedział mi tę niewiarygodną historię o... cóż, o mnie... o mnie w przyszłości. Nie tylko o mnie, ale i o was, o nas wszystkich. Jak się spotkaliśmy, jak się to wszystko potoczyło aż do momentu, gdy wypchnąłeś go z pociągu, przez co jego noga została tak bardzo uszkodzona, że nie dało się jej uratować. – Przerwał i przyglądał się Kamalowi, jakby chciał poznać jego reakcję. – Wyjawiał, że w pociągu wyznałeś mu, iż wybierasz się tutaj, żeby poznać wersję palmyreńskiego daru dotyczącą przyszłości. Ale widzę, że już ją macie. – Od niechcenia machnął ręką w stronę Nisreen. – Więc jest oczywiste, że ukryłeś przed nim swoje prawdziwe zamiary. Przybyliście tu z innego powodu. A biorąc pod uwagę to, co powiedział mi o waszych poszukiwaniach i o waszym pragnieniu zemsty na imperium za śmierć rodziny, mogę się domyślać, że zjawiliście się tutaj, żeby zrobić to, przed czym rzekomo chcecie mnie ostrzec. Przybywacie, żeby mnie zabić, to akurat jest jasne. Ciekawe tylko... dlaczego?

Nikt nie odpowiedział, a pytanie zawisło ciężko w powietrzu.

Rasheed popatrzył na Nisreen, potem na Kamala i znowu przeniósł spojrzenie na nią.

– To milczenie jest takie męczące. Może staniecie się bardziej rozmowni, gdy na początek zaczniemy... obcinać wam palce? – Dał stojącemu za Kamalem strażnikowi prymitywny znak, którego zrozumienie nie wymagało żadnego szkolenia.

Strażnik złapał dłoń Kamala i przyłożył ostrze jatagana tak, że jego czubek znalazł się pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem.

Rasheed spokojnie się wpatrywał w Nisreen, która nagle, w chwili gdy posłał strażnikowi skinienie, krzyknęła:

– Nie, przestań! Nie rób tego. Proszę... nie rób.

Rasheed gestem powstrzymał strażnika i popatrzył wyczekująco na Nisreen.

Nisreen zniechęcona zwiesiła głowę.

– To prawda. Po to tu przybyliśmy.

– Żeby mnie zabić?

Skinęła potakująco głową.

– Dlaczego?

– Żeby ci się nie udało. Żeby to wszystko zakończyć – odparła, wyraźnie starając się powstrzymać drżenie w głosie.

– Zakończyć oblężenie?

– Powstrzymać podbój Europy.

Rasheed był w szoku. Zrobił kilka kroków, zmarszczył czoło i się zamyślił.

– Chcecie zapobiec mojemu wielkiemu zwycięstwu, zwycięstwu, któremu zawdzięczacie swe istnienie? – wysyczał, a w jego głosie wyraźnie dał się wyczuć narastający cichy gniew. – Dlaczego? Bo obwiniacie mnie o śmierć swojej rodziny? Dlatego? Obwiniacie o to imperium? Oni nic nie znaczyli. Nie stanowili nawet przypisu w dziejach świata.

Na wzmiankę o swojej rodzinie potraktowanej w tak lekceważący sposób Nisreen znieruchomiała. Stała prosto, jak gdyby uwolniła ze swego wnętrza ukryty zasób sił.

– Nikt nie stanowi przypisu w dziejach świata. Problem z tobą i ze wszystkim, co sobą reprezentujesz, polega na tym, że tego nie rozumiesz.

– Och, proszę cię – prychnął i lekceważąco machnął ręką.

Odwrócił się, ale Nisreen jeszcze nie skończyła.

– Popelniliś historyczne oszustwo – stwierdziła kategorycznie.

Rasheed się zaśmiał szyderczo.

– Oszustwo? I to ci się nie podoba? – Wydawał się szczerze zdziwiony. – Podarowałem wam imperium, które przetrwało dłużej niż jakiegokolwiek inne w dziejach ludzkości. Nie wiem, jak jest w waszych czasach, jeszcze nie mogę się tam

udać, żeby to sprawdzić, bo jeszcze ich nie zmieniłem, ale z tego co on mi powiedział – pogardliwie kiwnął głową w stronę Taymoora – warto było uciec się do tego oszustwa. A wy chcecie obrócić to wniwecz? Chcecie przywrócić świat, z którego się wywodzę, świat, o którym nic nie wiecie, świat, w którym nigdy nie żyliście?

– Wiem o nim tyle, że mężczyźni i kobiety byli wolni i sami mogli wybierać, jak chcą żyć. – Jej twarz była jak obraz huraganu. – Zduśliłeś tę wolność, a zamiast niej narzuciłeś im, nam, jednego władcę. Tyrana. Człowieka, który dyktuje warunki obejmujące całe nasze jestestwo.

– Potrzebujecie tyranów – odparł Rasheed. – Ludzie kochają tyranów. Głosowali na nich w świecie, z którego pochodzę.

– Nie wierzę ci.

– Po co miałbym kłamać? – Uśmiechnął się pobłaźliwie. – Taka jest prawda. Widzisz, *hanum*, za bardzo wierzysz ludziom. Zdaje się, że ulegasz romantycznym złudzeniom dotyczącym demokracji. – Zaśmiał się. – Ale demokracja to tylko inne określenie na rządy motłochu. Pewien mądry człowiek z mojego świata, człowiek, który w waszym świecie nie zaistniał, powiedział kiedyś: „Demokracja polega na tym, że dwa wilki i owca głosują, co zjeść na obiad”. Jak myślisz, jak to się skończyło?

Nisreen zaniemówiła, jej wargi miały problem z wypowiedzeniem słów.

– Demokracja to iluzja – ciągnął Rasheed. – Błąd w rozumowaniu. To tyrania większości. I wcale się nie sprawdza. Wszystkie demokracje giną z własnej ręki. Tak było ze starożytną Grecją i do tego zmierzał świat moich czasów. Ludzie bawili się w demokratyczne ustroje przez kilka stuleci, ale gdy stamtąd odchodziłem, wszystko chyliło się ku upadkowi. A wiecie dlaczego? Społeczeństwa marnieją, gdy stają się zbyt demokratyczne. Bo jeśli pozwoli się zwykłym ludziom wybierać tych, którzy mają nimi rządzić, to w końcu zaczynają wybierać źle. Podejmują koszarne, naprawdę koszarne decyzje z tej prostej przyczyny, że mają skłonność do wybierania przywódców podobnych do siebie, przywódców będących tak naprawdę ich własnym odbiciem. A spójrzmy prawdzie w oczy, nie jesteśmy w gruncie rzeczy najszlachetniejszym z gatunków. Jesteśmy zasadniczo całkiem paskudni. Jesteśmy samolubni, chciwi, okrutni i mamy skłonność do rasizmu. Czy o czymś zapomniałem? Ach tak, jesteśmy ignorantami. W przeważającej części. Widzisz, ludzie nie lubią być kierowani przez szlachetnych, mądrych mężów stanu. Nie chcą nikogo, kto będzie ich wprawiał w kompleksy czy zażenowanie. Chcą być rządzeni przez takich samych jak oni. I w którymś momencie ten motłoch łatwowiernych głupców wybiera zręcznego manipulanta, który sprawia wrażenie, jakby był jednym z nich, który wmawia im, że tylko oni się liczą, który podsycia w nich skłonność do obwiniania ludzi z zewnątrz o wszystko, co ich zdaniem jest nie tak z ich własnym życiem. Wybierają kogoś, kto ceni najgorsze ludzkie cechy i wszystko, co robi, robi tylko dla siebie, dla władzy i dla pieniędzy, dla niczego innego. Nie dla wielkiej wizji miejsca swojego narodu w historii, nie dla gorącego pragnienia, by uczynić życie

lepszym. Kierują nim tylko chciwość i ego. I każdy taki żądny władzy narcyz doprowadzi w końcu swój kraj do ruiny. Tak właśnie kończyły demokratyczne idee w wielu, wielu krajach mojego świata. Tym się to zawsze kończy.

– Może istotnie tak było w twoim świecie – skontrowała Nisreen. – Ale przynajmniej ludzie mieli wybór. A nie chce mi się wierzyć, że nie wybraliby lepiej, widząc, że raz popełnili błąd.

– Zakładasz, że ten przywilej nie zostanie im odebrany. A zawsze do tego dochodzi.

– Czyli dokonaleś tego wyboru za nas? Za nas wszystkich? – powiedziała Nisreen. – I mamy ci być za to wdzięczni? Mam ci być wdzięczna za to, że ukradłeś nam historię? – Jej twarz płonęła wściekłością. – Że twoje wspaniałe imperium zamordowało moją rodzinę?

– Nie, *hanum*. W twoim przypadku wiem, że to już nigdy nie będzie możliwe. A szkoda, naprawdę. Jestem pewien, że mogłabyś mi opowiedzieć wiele fascynujących rzeczy. Ale z drugiej strony – uśmiechnął się – myślę, że będzie jeszcze ciekawiej zobaczyć, jak się to wszystko potoczy, gdy sami nie będziecie mogli dopełnić tego, jak to zgrabnie ujęłaś, oszustwa.

Po tych słowach odwrócił od niej wzrok i pogardliwym gestem dał strażnikom dwa szybkie znaki.

Były zatrważająco oczywiste.

Pierwszy mówił: „Zabrać ich”.

Drugi: „Przynieść mi ich głowy”.

RASHEED NIECO SIĘ USPOKOIŁ.

Nieoczekiwane przybycie pierwszego gościa go wystraszyło. Było to kilka tygodni wcześniej, w pierwszych dniach oblężenia, krótko po tym, jak armia sułtana rozbiła obóz wokół Wiednia. Mężczyzna mieniący się specjalnym wysłannikiem przedostał się do siedziby Rasheeda i poprosił o doprowadzenie przed jego oblicze. Następnie mu się przedstawił jako Taymoor Aga i wyjawiał, co wie. Powiedział, że przychodzi, żeby go ostrzec, a w zamian poprosił tylko o resztę zakłęcia, żeby mógł wrócić do czasów, z których przybył, i dalej wiernie służyć imperium.

Taka prośba zaskoczyła Rasheeda, zwłaszcza że padła z ust człowieka, którego kariera – jeśli mówił prawdę – opierała się na podstępach i manipulacji. Choć w gruncie rzeczy może nie było to aż tak zaskakujące. Wydawało się oczywiste, że mężczyzna rozpaczliwie pragnie wrócić do świata, do którego był przyzwyczajony. A jego skok w czasie nie był przypadkowy, biorąc pod uwagę to, że ci nowi przybysze, przed którymi Taymoor go przestrzegał – stojący teraz przed nim mężczyzna i kobieta – rzeczywiście się pojawili.

Rasheed mógł odetchnąć. Kryzys został zażegnany. Wszystko wskazywało na to, że był to odosobniony incydent. Jeśli Taymoor mówił prawdę, ci przybysze byli samotnymi wilkami, nie podzielili się swoją wiedzą z innymi. Był pewien, że gdy tylko się z nimi rozprawi, w najbliższym czasie nie będzie musiał mierzyć się z innymi nieproszonymi gośćmi. Będzie mógł swobodnie, bez oglądania się za siebie, pożeglować w przyszłość.

Odkąd tylko tu przybył i przekonał sułtana o swojej wartości, Rasheed bardzo się starał wprowadzać jak najmniej zamętu. Dążył do tego, by oblężenie Wiednia zakończyło się inaczej, ale musiał uważać, żeby nie dokonywać zbyt wielkich zmian, żeby wydarzenia, których nie wziął pod uwagę – wydarzenia, o których nie przeczytał, takie, które tak naprawdę nie miały jeszcze miejsca – go nie zaskoczyły.

Jego starania już niedługo miały przynieść owoce.

Armia chrześcijańskiego świata i jej przywódcy wkrótce znikną. Wiedeń upadnie.

A gdy to zostanie osiągnięte, nie będzie musiał się hamować.

Od tego momentu wszystko się zmieni. Historia zboczy z utartego szlaku i ruszy przez nieznaną dotąd terytoria. Będzie miał wolną rękę, będzie mógł robić, co zechce, nie martwiąc się, że popsuje coś, na co liczył, bo nie będzie niczego do

popsucia. Wkroczy na dziewiczy teren. Będzie mógł uwolnić pełną moc swojej strategii – nowe rodzaje broni, szeroko zakrojony atak, selektywną eliminację – i według własnej woli ją wykorzystywać. Będzie szkicował przyszłość według swojej niepowtarzalnej wizji, będzie wykuwał alternatywną historię, tworząc od zera nowy świat.

Nowy świat, w którym nie będzie miejsca dla intruzów znających jego sekret i zdolnych użyć go do zburzenia wszystkiego, co zbudował.

Dosyć już usłyszał. Czas zakończyć ten zabawny spektakl i przygotować się na wielki dzień.

Nowy świat czekał.

TAYMOORA OGARNĘŁO PRZYGNĘBIENIE, gdy patrzył, jak Rasheed gromi Nisreen.

Owszem, to prawda, że sami byli sobie winni. Byli winni także tego, że on stracił nogę. Ale gdy tak na nich patrzył, lotem błyskawicy wróciła do niego cała przeszłość – przeszłość, która nie dawała się tak łatwo wymazać. Miał sporo czasu, żeby wszystko przeanalizować, żeby pomyśleć o nich, o tym, co zrobili i dlaczego. I teraz, patrząc na nich, gdy zaraz mieli umrzeć, poczuł nagły ucisk w żołądku. To on ostrzegł przed nimi Rasheeda. Jeśli jego dawni przyjaciele mieli zginąć, to w znacznej mierze działo się to przez niego.

Nie chciał, żeby tak się to potoczyło, ale nie miał większego wyboru.

Próbował.

Po tym, jak Kamal wyrzucił go z pociągu, minęło kilka dni, zanim został znaleziony przez przejeżdżającego kupca, który zabrał go do Wiednia, żeby tam się nim zajęli. Medycyna w tamtym czasie nie była tak rozwinięta jak w jego epoce i nogi nie dało się uratować. Taymoor spędził w Wiedniu wiele tygodni, najpierw dochodząc do siebie, potem szukając sobie miejsca w tym nowym mieście. Spodobało mu się. Było mniejsze od Paryża, mniej zaganiane. Orzeźwiająca. Chciał sam siebie przekonać, że mógłby tu ułożyć sobie nowe życie zamiast w Paryżu. W mniejszym mieście łatwiej o wpływy. Ale strach zwyczajnie nie odpuszczał.

Choćby nie wiadomo jak dobrze się wszystko układało – a ułożyło się dobrze, i to bardzo szybko, bo Taymoor nie był głupcem, gdy chodzi o sterowanie ludzką naturą i poszukiwanie nowych możliwości – nie umiał pozbyć się lęku, że za sprawą Kamala i Nisreen nagle się to wszystko skończy. Wstawał w nocy zlanym zimnym potem, zastanawiając się, czy wciąż tam jest, czy świat, w którym się budzi, jest tym samym, w którym kładł się do łóżka.

Mimo że nie do końca to rozumiał, strach władał każdą sekundą jego życia. Jak by to było? Czy po prostu przestałby istnieć? Czy w ogóle by coś wiedział, poczuł, czy byłby czegokolwiek świadom? Im dłużej o tym myślał, tym bardziej się czuł wystraszony i zagubiony. Stało się to nie do zniesienia, ten egzystencjalny terror,

jakim było bezradne siedzenie i czepianie się nadziei, że jego życie nie zostanie wymazane z dziejów.

Ale przecież wcale nie był bezradny.

Mógł ich powstrzymać.

Problem w tym, że wiedział tylko, jak się cofać w czasie. Co wzbudziło jeszcze inny lęk: obawę przed utknięciem w przeszłości. Przeszło dwa wieki wcześniej. W znacznie bardziej prymitywnych, dzikich czasach.

Nie miał wyjścia. Nie mógł tego dłużej ciągnąć, żyć w strachu, który nieustannie zatruwał mu dni i noce. Coś z tym musiał zrobić.

I to dlatego postanowił przywędrować tutaj, przybyć w pierwszych dniach obłączenia, by mieć pewność, że zdąży przed nimi. Rasheed go wysłuchał, ale zamiast potraktować jak cenionego gościa, zamknął go i zakneblował mu usta, by mieć pewność, że nie ucieknie.

A teraz Taymoor mógł tylko patrzeć, jak jego partner i Nisreen są prowadzeni na śmierć.

Ale nie tylko ich czekała śmierć, co właśnie sobie uświadomił i wpadł w panikę, gdy strażnik szturchnął i jego.

– Co to? – spytał, lecz odpowiedzią na jego zdumione spojrzenie był tylko mocniejszy kuksaniec w nerki i rozkaz, by się ruszył. Taymoor się zaparł i zawołał do Rasheeda:

– Wasza Ekscelencjo, mój paszo...?

Wszyscy przystanęli, gdy Rasheed się odwrócił z czołem naznaczonym lekkim zdziwieniem.

– Mój beju, sługa chyba źle zrozumiał pański rozkaz?

Rasheed odczekał chwilę, aż pytanie wybrzmi, po czym jego wargi wykrzywiły się obojętnie.

– Ależ skąd – odpowiedział swobodnym tonem i dał znak głuchoniememu eunuchowi, by robił swoje.

– Chwila moment – zawołał Taymoor, opierając się strażnikowi i nie dając się ruszyć z miejsca. – Wasza Ekscelencjo, doprawdy... Wyświadczyłem Ekscelencji przysługę – mówił błagalnie. – Przybyłem tu, by pana ocalić i zapewnić bezpieczeństwo pańskiemu świętemu imperium. Wypełniłem swoją powinność jako wierny poddany sułtana.

– I znakomicie wypełniłeś swój obowiązek, Taymoorze Ago. Jestem twoim dłużnikiem, sułtan jest twoim dłużnikiem, całe imperium ma wobec ciebie dług.

Taymoor patrzył w osłupieniu.

– Nie rozumiem.

– Cóż, mając przed sobą tak wyszkoloną i doświadczoną osobę – odrzekł Rasheed –

byłem nieco zaskoczony, że tak bardzo, tak poważnie się przeliczyłeś w tak podstawowej sprawie. Prawdę mówiąc, to dość niepokojące.

Taymoor osłupiał.

Rasheed jeszcze nie skończył.

– Miałeś nadzieję uzyskać resztę zakłącia? Żeby móc się przenieść w dowolne czasy i żyć w nich długo i szczęśliwie?

– Zawarliśmy układ, Wasza Ekscelencjo.

– Układ? Naprawdę uważasz, że pozwoliłbym komuś, komukolwiek... – wyszczał Rasheed – żyć gdzieś tam, płatać się po świecie z taką wiedzą?

– Ale...

Rasheed niecierpliwie machnął ręką.

Taymoorowi gwałtownie skoczyło tętno.

Posłał pełne żalu spojrzenie Kamalowi i Nisreen, którzy przyglądali się wszystkiemu z rosnącym niepokojem, i zaatakował.

Wystrzelił ręką w górę, zaskakując janczara, chwycił jego dłoń trzymającą jatagan i ją odepchnął. Jednocześnie wpakował łokieć w twarz mężczyzny, wywołując ogólny chaos, gdyż Kamal i Kulczycki natychmiast poszli w jego ślady i podjęli walkę.

KAMAL WIEDZIAŁ, co zrobi Taymoor, gdy tylko dostrzegł wyraz jego twarzy. Widywał to już wcześniej – ten nieposkromiony ogień w jego oczach, zuchwałość, która każe stawić czoło wszelkim zagrożeniom. Był gotów, gdy ułamek sekundy później jego były partner wykonał ruch.

Uwaga Kamala była skupiona na dwóch rzeczach: na ostrzu, które nie tkwiło już pod jego brodą, ale wciąż znajdowało się dość blisko, by w okamgnieniu zadać mu śmiertelną ranę. I na ostrzu, które to samo mogło zrobić Nisreen.

Musiał zneutralizować obydwa zagrożenia jednocześnie.

Szybko ocenił sytuację. Nisreen stała blisko niego, co okazało się kluczowe, gdy najpierw się zwinął, a potem uwolnił energię w serii szybkich jak strzały z karabinu ruchów w obu kierunkach, chwytając rękę z nożem pilnującego go mężczyzny, a jednocześnie częstując strażnika Nisreen potężnym kopniakiem w kolano, które wygięło się w tył z głośnym, przyprowadzającym o mdłości traskiem.

Mężczyzna krzyknął z bólu i upadł, co pozwoliło Nisreen się uwolnić.

Wtedy Kamal obiema dłońmi chwycił za rękę swojego strażnika i użył wszystkich sił, żeby go rzucić z hukiem na leżącego już rannego mężczyznę. Tylko że strażnik nie dał się tak łatwo unieszkodliwić i z zaskakującą gibkością stanął zaraz na nogi, łokciem uderzając Kamala w pierś, żeby go odepchnąć.

Kamal się zachwiał, ale wciąż nie puszczał ręki mężczyzny i skoncentrował się na odsunięciu od siebie śmiertelnoośnego ostrza. Kątem oka dostrzegł, że Taymoor

i Kulczycki też toczą walkę ze strażnikami, podczas gdy Rasheed stoi nieruchomo w miejscu, zaskoczony nagłą eksplozją brutalności.

W końcu Kamal odparł cios swojego przeciwnika i skontrował uderzeniem w jego szyję, które jednak nie przyniosło spodziewanego skutku. Kątem oka spostrzegł Nisreen stojącą przy jednym z dużych filarów namiotu i patrzącą na nich z przerażeniem.

Ale Nisreen nie tylko patrzyła.

Jej wargi się poruszały.

Coś recytowała.

PODCZAS GDY KAMAL W długiej drodze do obozu rozważał różne scenariusze tego, co się może wydarzyć po dotarciu do Rasheeda, Nisreen wykorzystała ten czas inaczej.

Co rusz spoglądała ukradkiem na swoje przedramię, podstawiając słowa właściwe dla dziesięciu dni i starając się wszystko dokładnie zapamiętać.

Wiedziała, że na działanie będzie miała nie więcej niż kilka sekund. Wiedziona czystym instynktem, na nic nie zważając, postanowiła wykorzystać zakłęcie.

Dziesięć dni do tyłu.

Jej wargi wypowiadały słowa najszybciej, jak potrafiły.

W ostatnim momencie zobaczyła Rasheeda wciąż stojącego w miejscu, oszołomionego posunięciem Taymoora, i oczy Kamala, wielkie i zszokowane, gdy zdał sobie sprawę z tego, co robi.

A potem znajomy pęd, to samo uczucie makabrycznego rozdarcia i palącego scalenia na nowo, których doświadczała wcześniej, i znów była w namiocie, w tym samym miejscu, naga, sparaliżowana strachem i... sama.

Rasheeda tam nie było.

Jej mózg działał na najwyższych obrotach, gdy próbowała podjąć decyzję, co powinna zrobić, lecz szybko skupiła się na tej jednej rzeczy, którą mogła uczynić.

Ocalić Kamala.

Mając nadzieję, że wciąż żyje.

Mając nadzieję, że człowiek, z którym walczył, został tak ogłupiony jej zniknięciem, iż nie był w stanie zareagować; mając nadzieję, że udało jej się podarować Kamalowi kilka rozstrzygających sekund, które mogły zadecydować o życiu lub śmierci.

Zrobiła kilka szybkich kroków przez namiot do miejsca, gdzie ostatnio widziała stojącego Rasheeda, po czym ustawiła się dwa kroki za nim i zrobiła coś, czego jej zdaniem nie mogli się spodziewać.

Po drodze zapamiętała nie tylko zakłęcie przenoszące w przeszłość. Nauczyła się też na pamięć wersji, której się domyśliła, a której poprawność właśnie potwierdził Rasheed – wersji, która umożliwiała podróż do przyszłości.

Tej samej przyszłości, z której przybyła, tyle że kilka sekund później.

Co w tej chwili bardzo jej odpowiadało.

Znowu szybko wypowiedziała wyuczone słowa, znowu poczuła nagłe rozdarcie i już była z powrotem.

W namiocie.

Wciąż naga.

Bombardowana gradem obrazów, które jak pociski trafiały w jej zamroczony umysł.

Twarz Taymoora wykrzywiona z bólu po tym, jak ostrze jego przeciwnika przebiło mu bok.

Kulczycki toczący zaciekły bój ze swoim strażnikiem.

Kamal na ziemi, oszołomiony, cofający się przed janczarem, który stał z podniesionym ostrzem i najwyraźniej miał nad nim przewagę, ale wydawał się chwilowo zdezorientowany i unieruchomiony zniknięciem Nisreen.

No i Rasheed.

Nie tam, gdzie go ostatnio widziała i się spodziewała zobaczyć teraz.

Zbliżał się z wyciągniętą szablą do Kamala, by w końcu nad nim stanąć.

I go zabić.

– Nie! – krzyknęła.

Wszystkie głowy się odwróciły i na okamgnienie wewnątrz namiotu znieruchomiło niczym malowidło będące studium niepokromionego barbarzyństwa.

Ten moment wystarczył, by Kamal uniknął egzekucji.

USŁYSZAŁ KRZYK, jeszcze zanim zobaczył Nisreen.

Stał między nimi Rasheed, który obrócił się, słysząc jej głos, podobnie jak jego strażnik.

Krzyk poza tym, że przykuł ich uwagę, zaowocował czymś jeszcze. Wywołał u Kamala wyrzut adrenaliny na tyle silny, że przebił się przez oszołomienie i ból spowodowany pobiciem i rozpałił nową energią jego zmaltretowane zmysły.

Ale wszystko działo się za szybko.

Kamal się poderwał i rzucił na swojego osłupiałego i rozkojarzonego przeciwnika akurat w chwili, gdy Rasheed ruszył w stronę Nisreen.

Członki Kamala wskoczyły na szósty bieg razem z jego strachem.

Zaskoczył strażnika potężnym ciosem w ucho i zaraz wpakował mu w krocze kolano. Jego przeciwnik runął jak kłoda na dywan. Wzrok Kamala skupiony był na ostrzu jataganu, ale przez cały czas rejestrował też Nisreen cofającą się w głąb namiotu i sunącego za nią Rasheeda.

Wszystko zmieniło się w pęd szalonych obrazów przemykających przed oczami Kamala, w rozgrywający się z prędkością światła koszmar.

Jeden ruch, którym wyrwał jatagan z ręki leżącego eunucha i podcinał mu gardło.

Rozedrgany obraz Rasheeda skradającego się w głąb namiotu i jego potężna sylwetka zasłaniająca mu Nisreen.

Przeskok nad leżącym strażnikiem i pęd w ich stronę.

Ręka Rasheeda biorąca zamach i opadająca, a także jego przybliżające się czarne plecy.

Głośny, pełen bólu jęk Nisreen w chwili, gdy dopadał do jej oprawcy i go przewracał.

Długie ostrze wbite w jego bok.

Pełen cierpienia ryk, gdy przekręcał i wyszarpywał ostrze. Odciąganie Rasheeda od Nisreen.

Nisreen zapatrzona w niego z twarzą wykrzywioną szokiem i bólem, jej chwytające się za brzuch dłonie.

Sącząca się przez palce krew.

Przerażenie w oczach, gdy nogi się pod nią ugięły i runęła na ziemię.

KAMAL RZUCIŁ SIĘ na dywan i wziął ją w ramiona.

Ręce mu drżały, gdy gładził jej twarz; wreszcie przeniósł spojrzenie w dół i zobaczył kałużę krwi rozlewającą się po jej brzuchu. Delikatnie przesunął jej palce, żeby spojrzeć na ranę.

Doświadczenie podpowiedziało mu, że jest źle.

Bardzo źle.

– Zostań ze mną, *hayatım* – powiedział, naciskając na miejsce, skąd lała się krew, i usiłując wykarczować ścieżkę w gąszczu atakujących go emocji. – Zajmę się tym, *hayatım*. Naprawimy to.

Nisreen nie odpowiadała. Oczy miała wilgotne i powoli, smutno kręciła głową, to wpatrując się w niego, to znów zaciskając mocno powieki, by powstrzymać fale bólu i strachu.

Kamal, łykając łzy, obejrzał się szybko za siebie. Rasheed się nie ruszał. Oczy miał zastygłe w martwym spojrzeniu skierowanym w górę, jego pokiereszowany tułów stanowił mieszaninę krwi i wnetrzności. Nieco dalej Kamal zobaczył zakrwawionego Taymoora dobywającego resztek sił, by wydusić życie ze strażnika, z którym walczył, a potem łapiącego swoją kulę i kuśtykającego przez namiot, żeby pomóc Kulczyckiemu toczącemu własną walkę na jatagany.

Kamal skupił uwagę z powrotem na Nisreen, podczas gdy jego mózg szukał wyjścia, jakiegokolwiek rozwiązania, czegokolwiek, co mogłoby pomóc ją ocalić.

Widział tylko jedną możliwość.

– Musimy skoczyć, *hayatım*. Skoczyć do przodu. Wrócić do naszych czasów.

– Nie...

– Zabiorę cię do szpitala – nalegał. – Wiedeń będzie większy niż teraz. Znajdziemy się w mieście. Będą karetki. Ludzie będą mieli telefony. Wyleczymy cię, ale musimy to zrobić natychmiast.

Jej palce splotły się z jego palcami.

– Nie – wyszeptwała. – Nie ma czasu.

– Ależ jest – mówił błagalnym tonem. – No już. Wypowiedz zaklęcie. Będę z tobą.

Jej palce się zacisnęły, a twarz stężała w mocnym postanowieniu.

– Nie, *canım*. Musisz zostać. Musisz to dokończyć. Musisz ostrzec Sobieskiego.

– Przeniosę się z tobą. Zajmiemy się twoją raną, a potem wrócę.

Pokręciła głową.

– Nie. Jesteś tak blisko... Zresztą zbyt wiele jest niewiadomych. A wiesz, jak to działa. Moglibyśmy wylądować pośrodku autostrady. Albo na ścianie.

– Zaczekam tam z tobą – zdołał z siebie wydusić, walcząc ze łzami i starając się ze wszystkich sił sprawić wrażenie opanowanego. – Znajdziemy ci opiekę... poświęcimy nieco czasu, żeby to lepiej zaplanować. A wtedy tutaj wrócę i załatwię sprawę. Obiecuję.

Pokręciła głową z większą stanowczością.

– Musiałabym wrócić z tobą. Inaczej znikłabym... po tym, jak dokonałbyś zmiany.

– A więc wrócimy razem.

Jej twarz złagodniała, jak gdyby odnajdowała powoli jakiś wewnętrzny spokój, stoicką akceptację.

– *Canim* – wyszeptła pomiędzy cichymi kaszlnięciami, jej głos brzmiał słabo, oczy patrzyły ciepło, a ręka podniosła się z trudem, by pogłodzić go po policzku. – Przybyliśmy tu w określonym celu i możesz ten cel osiągnąć. Wiem, że możesz. Idź. Załatw to. Zrób to dla mnie, dla swojego brata, dla naszej rodziny... zrób to przez wzgląd na wszystko, o czym rozmawialiśmy. Ja nie mam już po co żyć.

– Oczywiście, że masz...

Jej palce się zsunęły i zakryły mu usta, gdy znowu zakaszła, a po chwili odezwała się ledwo słyszalnym, łamiącym się szeptem.

– Nie. To zbyt bolesne. Wszystko to jest zbyt bolesne. A ja nie chcę z tym bólem żyć. To zadanie... tylko ono trzymało mnie przy życiu. – Wykaszła trochę krwi, zaciskając przy tym powieki, wyraźnie dręczona nieznośnym bólem. Jej głos słabł coraz bardziej. – Ono... i ty. Byłeś cudowny... jak prawdziwy Kamal, ten, którego zawsze nosiłam w sercu.

– Wypowiedz słowa zaklęcia, *hayatim*, proszę... wypowiedz je. Wypowiedz.

Jej dotyk stał się lżejszy.

– Idź, *canim*... dokończ to.

Nie mógł powstrzymać łez, schylił się, zamknął oczy i pocałował ją, stapiając swe usta z jej wargami, wmawiając sobie, że ona nie umrze, jeśli tak będą trwać, jeśli zatrzyma ją przy sobie i z każdym oddechem będzie wlewał w nią życie.

Ale nie mógł jej uratować. Trzymał ją w objęciach, gdy uleciał jej ostatni oddech. Poczuł, jak jej dusza wnika w niego i zapuszcza korzenie, i nie chciał się ruszyć, już nigdy, nie chciał rozerwać tego połączenia, nie chciał ryzykować, że Nisreen się uwolni i rozplynie w nasyconym brutalnością i krwią powietrzu tego złowrogiemu namiotu.

Ale ona odeszła i po długiej chwili wreszcie to do niego dotarło.

Odsunął się delikatnie, zapatrzony w jej rozluźnioną twarz. Oczy na szczęście miała zamknięte i wydawała się teraz przepelniona spokojem, nie cierpieniem.

Być może udało mu się jakoś pomóc jej znaleźć drogę do ciepłego i bezpiecznego miejsca wiecznego odpoczynku.

Usłyszał ruch za swoimi plecami i odwrócił się, spięty i gotów do obrony.

To był Kulczycki. Stał nad martwym strażnikiem, z którym przed chwilą jeszcze walczył, przygarbiony ze zmęczenia, z rękoma zwieszonymi bezwładnie, w prawej dłoni trzymając zakrwawiony jatagan.

Tuż obok leżał Taymoor, ale się nie ruszał.

Kulczycki spojrział na Kamala. Polak dyszał ciężko, a na jego twarzy widoczne były zmęczenie, determinacja, a przede wszystkim zdumienie tym, czego właśnie był świadkiem.

Gdy Kamal patrzył mu w oczy, po głowie chodziły mu tylko dwa słowa.

Ostatnie słowa wypowiedziane przez miłość jego życia tuż przed tym, jak wydała ostatnie tchnienie.

„Dokończ to”.

NIKT JUŻ SIĘ nie pojawił.

Mało prawdopodobne, żeby ktoś coś usłyszał przez dwie warstwy grubej tkaniny, która chroniła wewnątrz namiotu przed światem zewnętrznym, zwłaszcza w hałasie bitwy szalejącej na murach i w harmidrze przygotowań do mającego się rozpocząć nazajutrz długiego marszu. Jeśli nawet odgłosy walki zostały podsłuchane, to było jasne, że ludzie Rasheeda z największą powagą potraktowali jego zakaz wchodzenia do namiotu.

Kamal wreszcie zdołał się oderwać od ciała Nisreen i krążył wśród leżących na ziemi ludzi, szybko sprawdzając, czy na pewno nie żyją, podczas gdy Kulczycki, uzbrojony w dwie szable, pełnił straż przy zasłonach broniących wejścia do namiotu.

Wszyscy byli martwi, Rasheed, Taymoor i czterech strażników.

I Nisreen.

Kamal zatrzymał się na chwilę nad zwłokami Taymoora, zalewany złością pomieszaną z żalem. W końcu się odwrócił i podeszedł do Kulczyckiego.

– Zdaje się, że nikt nic nie słyszał – powiedział Polak. – W obozie panuje ruch; wszyscy się szykują do jutrzejszego wielkiego wymarszu.

Kamal skinął głową, choć myślami był gdzie indziej. Wydawał się nie widzieć, że Kulczycki przygląda mu się zdziwionym i wyczekującym wzrokiem.

– Zechcesz mi wyjaśnić, co właśnie widziałem? – spytał w końcu Polak.

Kamal westchnął znużony.

– Później.

– To wszystko, co oni mówili... o przyszłości. O tym, co się stało. To prawda?

– Tak.

Kulczycki był oszołomiony.

– A to coś... ty też umiesz to robić?

Kamal niechętnie skinął głową.

– Kim ty...? Czy jesteś Zauberer? – W jego skołowanej głowie najpierw pojawiło się niemieckie określenie czarodzieja, a dopiero po chwili pamięć podsunęła osmańskoturecki wyraz. – Jesteś *büyücü*?

Na takie pytanie trudno było odpowiedzieć wymijająco.

Kamal wzruszył ramionami.

– To jedyny czar, jaki znam – odrzekł. – Posłuchaj, możemy o tym pomówić później. Teraz musimy się zastanowić, co robić.

Przypomniał sobie ciąg zdarzeń i uporządkował myśli.

– Jutro jest wtorek – powiedział do Kulczyckiego. – Wojska Kara Mustafy wyruszą z obozu o świcie, żeby zająć pozycję do ataku, który ma być przeprowadzony w środę około południa. Musimy wcześniej ostrzec Sobieskiego. – Próbował przywołać przed oczy mapę okolicy z pozycjami wszystkich sił. – Sobieski i większość wojska jeszcze dziś przekroczy Dunaj i przybędzie do Tulln. Reszta armii dotrze tam jutro. Wszyscy będą gotowi do śródogowego uroczystego przeglądu wojsk.

– Podczas którego dojdzie do samobójczego zamachu.

– Tak – potwierdził Kamal. – Jak długo jedzie się stąd konno do Tulln?

Kulczycki zastanowił się chwilę.

– To jakieś pięć *fersahów* stąd. – Czyli niecałe trzydzieści kilometrów. – Ale oddziela nas od niego Wienerwald. Najprostsza droga prowadzi traktem wijącym się pod górę, na wzgórze, i potem znowu w dół, na równiny pod Tulln.

– To droga, którą jutro wyruszą siły Kara Mustafy, żeby przejść na drugą stronę.

– Z pewnością – odrzekł Polak. – To jedyne przejście. Poza nim są tylko wąskie szlaki i ścieżki prowadzące przez doliny i lasy.

– Musimy dopilnować, żeby Sobieski i jego ludzie zajęli wzgórze, zanim znajdzie się tam armia Osmanów – stwierdził Kamal. – Musimy dotrzeć do króla i przekonać go, żeby wyruszył już z pierwszym brzaskiem. Jeśli zajmie pozycję wyżej, ludzie sultana wejdą prosto w pułapkę. Zostaną zatrzymani w drodze na górę i husarzy będą mogli ich wyrzynać do woli. Cały obóz znajdzie się na łasce Sobieskiego.

– Ale wędrówka głównym traktem jest niebezpieczna. Kara Mustafa na pewno rozesłał patrole, żeby zabezpieczyły przejście.

– Jak inaczej możemy dostać się do Tulln?

– Okrążając wzgórze. Albo od wschodu, tak jak nas tu przywieźli. Albo od zachodu, wzdłuż rzeki Wiedenki. Tam będzie pewnie mniej patroli, na które moglibyśmy się natknąć, ale droga zajmie nam więcej czasu.

– O ile więcej?

Polak zastanowił się nad odpowiedzią.

– Za dnia, biorąc pod uwagę teren... moglibyśmy dotrzeć na miejsce w trzy godziny.

– A teraz? W środku nocy? Zdołasz nas tam doprowadzić?

– Może to potrwać dwa razy dłużej, ale... tak, myślę, że dam radę.

Kamal skinął głową.

– To tak zrobimy. Wyruszymy natychmiast. Musimy się zbierać.

Kulczycki rozejrzał się po namiocie.

– Możemy rozciąć tkaninę i wymknąć się z tyłu. W ciemności pewnie zdołamy czmychnąć niepostrzeżenie.

– Nie powinniśmy tego tak zostawić. Jeśli znajdą ciała, wszystko może wziąć w łeb. Mogą zmienić plany.

Polak popatrzył na niego z lekkim zdziwieniem.

– I co z tego? Chyba lepiej, żeby je zmienili, czyż nie?

– Nie. W żadnym razie nie chcę, żeby pomyśleli, że coś jest nie tak. Musimy zachować pozory, że wszystko idzie zgodnie z planem.

– Ale Rasheed nie żyje.

Kamal skinął głową.

– Oni nie muszą o tym wiedzieć. – Rozejrzał się po ponurym otoczeniu. Wreszcie jego oczy spoczęły na zwłokach Rasheeda. Szybko ułożył w głowie plan i zwrócił się do Kulczyckiego: – Mówiłeś wcześniej, że możesz wcielić się w każdego?

– W granicach rozsądku.

Kamal pokazał Rasheeda.

– Będziesz musiał udawać jego.

Kulczycki zmarszczył brwi, a po chwili wzruszył ramionami i się zgodził.

– W ciemności... to jest do zrobienia.

Kamal przeszedł przez namiot i klęknął przy ciele Nisreen. Wiedział, że nie może jej tak zostawić. Popatrzył na nią, przykładając dłoń do jej policzka, po chwili delikatnie przesunął palcami w górę jej czoła i przeczesał włosy. Była jeszcze ciepła.

Zwrócił się do Polaka:

– Zaczniemy od niej.

KULCZYCKI ZASKAKUJĄCO DOBRZE wpasował się w rolę Rasheeda.

Obaj byli podobnego wzrostu i podobnej budowy. Obaj mieli śniadą skórę i podobne w kształcie brody, a liczne warstwy ubrania Rasheeda – szaty o bogatej fakturze, potężny turban – sprawiły, że Kulczyckiego tak naprawdę mało co było widać.

Ciemną nocą, rozświetloną tylko słabym blaskiem obozowych pochodni, Polak bez trudu mógł ujść za przybysza z przyszłości. Słuchał go też dość długo, by poznać jego głos i sposób mówienia i w razie potrzeby upodobnić się do niego, gdyby zmuszony był przemówić. Udawanie innych stanowiło wszak talent, który zdarzało mu się już nieraz z powodzeniem wykorzystywać.

Kamal z kolei założył strój strażnika, którego udusił Taymoor. Tylko ten jeden nie był zakrwawiony. Przebrali się z Kulczyckim dopiero wtedy, gdy zaciągnęli zwłoki w odległy kąt ogromnego namiotu, po czym odginając kolejne warstwy grubych perskich dywanów, które okrywały ziemię, ułożyli ciała płasko jedno obok drugiego, wyrzebawszy najpierw nieco ziemi, żeby nie powstał kopiec, a potem przykryli je z powrotem dywanami.

Kamal nie chciał kłaść Nisreen razem z nimi. Ukryli ją pod dywanami po drugiej stronie namiotu. Zanim ją przykryli, Kamal złożył ostatni pocałunek na jej czole, przyciskając do niego usta przez długą chwilę.

– Dokończę to później, *hayatim* – wyszeptał. – Gdy tylko się to skończy, wrócę tu i pochowam cię jak należy.

Raz jeszcze spojrzął na jej przedramiona. Miał obawy związane z pozostawieniem jej tutaj właśnie przez wzgląd na tatuaże. Gdyby została znaleziona, ktoś mógłby z łatwością odkryć, do czego służą, choćby nawet w pierwszej chwili, przed wypróbowaniem, zupełnie ich nie rozumiał. Jednak Kamal nie był w stanie teraz się z tym zmierzyć. Wszystko było dla niego zbyt świeże, na domiar złego czas naglił. Zajmie się tatuażami, kiedy tu wróca, gdy już będzie po wszystkim.

Przykrył ją dywanami, a gdy skończył, niewielkie wyrzuszenia w dwóch kątach namiotu były prawie niedostrzegalne.

Obaj mężczyźni podkradli się do zasłon przy wejściu do namiotu.

– Gotów? – spytał Kamal Kulczyckiego.

Polak, by dodać sobie otuchy, dotknął tkwiącego w pochwie, wysadzanego

klejnotami jataganu, a na twarzy zagościł mu srogi mars, taki, jaki zdążył zaobserwować u Rasheeda. Warknął:

– *Gidelim.*

Chodźmy.

Kamal zgodził się z nim skinieniem głowy, zrobił głęboki wdech i przeszedł przez zasłony.

Wyłonił się z namiotu. Było ciemno jak w grobie, jeśli nie liczyć słabego światła kilku pochodni ustawionych na obwodzie siedziby Rasheeda. Rotmistrza nie widzieli w pobliżu, ale przy bramie prowadzącej do kompleksu namiotów straż trzymało trzech janczarów, rozmawiając swobodnie. Stali na tyle daleko, że trudno by im było dostrzec rysy twarzy Kamala.

– Koń dla paszy. Osiodłać i przyprowadzić tutaj razem z jeszcze jednym dla mnie. Raz-dwa! – krzyknął do nich z akcentem, którego nauczył go Kulczycki.

Mężczyźni obejrzel się, zaskoczeni nocnym rozkazem. Rasheed nie miał w zwyczaju wyjeżdżać nigdzie po ciemku. Prawdę mówiąc, Kamal wyczytał w relacjach z oblężenia, że w ogóle rzadko opuszczał obóz.

– Ruszać się – rozkazał z naciskiem Kamal.

Mężczyźni odeszli w pośpiechu i zaraz wrócili z dwoma końmi. Pierwszy z nich, najwyraźniej Rasheeda, był wspaniałym zwierzęciem o smukłym, długim grzbiecie, pochyłym zadzie i długich, muskularnych nogach. Jego czarna sierść miała metaliczny połysk i migotała w świetle pochodni. Na grzbiecie wierzchowca tkwiło kosztowne, aksamitne w dotyku siodło, ozdobione szlachetnymi kamieniami i złotym haftem, połączone z pozłacanymi ostrogami.

Janczarzy szybko ustawili rumaka Rasheeda przed wejściem do namiotu i umieścili przy nim małe schodki. Kamal się odwrócił od mężczyzn i zniknął w namiocie. Za chwilę się ukazał znowu, przytrzymując zasłonę u wejścia, w którym ukazał się Kulczycki. Janczarzy pochyłili głowy w pełnych szacunku ukłonach. Ze zmarszczonym czołem, idąc pewnym krokiem, Polak nie odezwał się ani słowem. Pozwolił tylko, by Kamal pomógł mu wejść po stopniach i dosiąść konia. Kamal wsiadł na swojego wierzchowca i tylko srogo skinął głową do trzymających go za uzdy janczarów. Opuścili obozowy dwór Rasheeda, nic więcej nie mówiąc.

Nie musieli. Rasheed był cenionym doradcą sułtana i jego nadwornym mędrcom. Dla janczarów sam był niemal władcą. Byli tu po to, żeby mu służyć, a nie zadawać pytania – zwłaszcza że chodziło o człowieka, którego otaczała aura tajemniczości i który znany był z niekonwencjonalnych metod działania.

Dwór Rasheeda znajdował się w centrum obozu, obok dworu wielkiego wezyra. Oba położone były na wzniesieniu, z którego Kara Mustafa i sułtański doradca bezpiecznie, poza zasięgiem armatnich kul, mogli obserwować postępy w walkach na bastionach. Z uwagi na położenie namiotów Kamal i Kulczycki nie musieli długo

jechać, by opuścić obóz i pogalopować w mrok.

Po jakimś czasie Kulczycki zwolnił i jadąc klusem, zorientował się w terenie. Nawet w bladym świetle księżycy wąska Wiedenka połyskiwała wyraźnie, meandrując i ginąc w lesie.

– Pojedziemy wzdłuż rzeki do Purkersdorfu, potem odbijemy na północ i brzegiem potoku Gablitzbach dotrzemy do wzgórz. Jeśli tylko księżyc nie zacznie bawić się z nami w chowanego, nie powinniśmy się zgubić.

– Po prostu nas tam doprowadź – powiedział Kamal. – Zbyt wiele już straciłem, żeby teraz polec.

Kulczycki popatrzył mu w oczy.

– Doprowadzę cię tam i wszystko załatwimy. Choćby po to, żebyś nie miał wymówki i wyjaśnił mi, co tu się, do cholery, dzieje.

Kamal skinął głową.

– Zgoda. – Spiał konia nogami i przyspieszył.

JECHALI CAŁĄ NOC.

Przejechali przez porośniętą z rzadka krzewami równinę, po czym wspięli się na niezamieszkaną, gęsto zalesioną wzgórzka i omijając wcinające się w nie doliny, poruszali się zygzakami przez poprzecinany strumieniami bukowo-dębowy las. Przez cały czas byli czujni, obawiając się spotkania z nieregularnymi oddziałami osmańskimi, takimi jak ten, który ich pojmał, ale wiedzieli, że ci łupieżcy nocą zazwyczaj się nie wychylali. Mieli też nadzieję nie natknąć się na żołnierzy armii chrześcijańskiej – w strojach, które teraz nosili, marnowaliby tylko czas na udowadnianie swoich dobrych zamiarów któremuś ze zwiadowczych patroli.

Do świtu wciąż było daleko, gdy dotarli na grzbiet wzgórzka i zaczęli zjeżdżać po mniej stromych stokach w kierunku Tulln. Im byli niżej, tym bezpieczniej się czuli, ale nadal posuwali się ostrożnie, wypatrując w ciemnościach jakichkolwiek oznak życia. Po jakimś czasie znaleźli się na równinie. Ruszyli szybciej, a delikatne żółtawe światło zaczęło wydobywać z mroku kontury wzgórzka, które zostawili za sobą.

Blask odległych ognisk był jak latarnia morska – wskazywał im drogę podczas ostatniej godziny wędrówki. Wiedzieli, że musi to być armia chrześcijańskiego świata, i nie minęło wiele czasu, gdy zostali zatrzymani przez patrol złożony z bawarskich jeźdźców. Kulczycki wprawił ich w osłupienie, gdy zdjął turban i przemówił bezbłędnie po niemiecku, podczas gdy Kamal patrzył tylko i milczał. Polak wiedział, co mówić. Zabrano im broń i na wszelki wypadek związane ręce za plecami, po czym obaj zostali odprowadzeni do obozowiska chrześcijan.

Nawet w ciemności siłującej się wciąż z atakującym światłem nie dało się nie zauważyć ogromu zgromadzonej przez papieża armii. Na przedpolach małego miasteczka, jak okiem sięgnąć, roilo się od wojska – austriackiego, bawarskiego,

saksońskiego, frankońskiego i polskiego – a morze namiotów rozlewało się po całej szerokiej równinie, ciągnącej się aż po brzeg Dunaju. Pośrodku tego wszystkiego stał wielki obozowy dwór należący do naczelnego dowódcy, króla Polski.

Człowieka, z którym miał się spotkać Kamal, przebywszy tak daleką drogę.

Łatwiejsza część zadania została wykonana.

Bitwa, do której się szykowano, miała zadecydować o losach świata.

DZIEŃ, KTÓRY ZNOWU zmienił historię, rozpoczął się tak zwyczajnie jak każdy inny.

Słońce przebiło się przez zasłonę ciemności, szczerze rozlewając po ziemi swój blask, a życie we wszystkich swych przejawach porzuciło bezpieczny kokon snu i wybrało się na poszukiwanie pożywienia.

Tego szczególnego dnia działo się jednak coś jeszcze. W idyllicznym zakątku świata po obu stronach wzgórz Wienerwaldu szły w bój dwa potężne legiony mężczyzn, uzbrojonych i wyćwiczonych w zadawaniu jak najbardziej krwawych ran.

I tak jak miało to miejsce wcześniej, w skradzionej historii, której nikt z uczestników bitwy nie był świadom, armia chrześcijańskiego świata raz jeszcze zwyciężyła.

Sobieski wysłuchał wszystkiego z uwagą.

I zadziałał.

W przekonaniu króla, aby uwierzył przybyszom, kluczową rolę odegrał Karol, książę lotaryński. Cesarz jeszcze przed rozpoczęciem oblężenia powierzył Karolowi, swojemu szwagrowi, dowództwo cesarskiej armii. Książę był wiedeńczykiem i dobrze znał Starhemberga, a doniesień Kulczyckiego dotyczących heroicznych wysiłków hrabiego i rozpaczliwej sytuacji za murami oblężonego miasta nie sposób było zignorować. Chyba jednak ostatecznie przypieczętowało decyzję władcy Polski to, że mógł się zapoznać z argumentacją Kamala bez pośrednictwa tłumacza, gdyż Sobieski, zanim został królem, spędził wiele lat w Stambule jako wysłannik dyplomatyczny na dworze sułtana. Tam nauczył się języka, a poświęcenie Kamala i jego dokładna znajomość planów Kara Mustafy na następny dzień wydawały się, podobnie jak ponure sprawozdanie Kulczyckiego, zbyt ważne, by można je było zlekceważyć.

Dowódcy szybko sporządzili nowy plan bitwy.

Poniechano uroczystego przeglądu wojsk. Zamiast tego ludzie zostali obudzeni i zarządzono szybki marsz w stronę traktu prowadzącego do Lasu Wiedeńskiego.

Zamachowcy samobójcy nie dotarli na miejsce uroczystego przeglądu wojsk, gdyż się on nie odbył. Zamiast tego wpadli w zasadzkę habsburskich strzelców, którzy zdumieni się niepomiernie, widząc olbrzymią kulę ognia, jaka rozbłysła po ich wystrzale z muszkietów.

Osmańska armia, która miała natrzeć po zamachu, nie dotarła nawet do pustego

obozowiska na równinie pod Tulln. Została kompletnie zaskoczona na wzgórzach pod Wiedniem, z których wciąż rozciągał się widok na turecki obóz pod miastem. Sobieski wykorzystał swój pobyt w Stambule także na zapoznanie się z osmańskimi tradycjami wojskowymi i teraz dobrze tę wiedzę wykorzystał.

Jego armia – konni husarzy i dragoni nacierający przed piechotą – dotarła na szczyty wzgórz i rozlała się po stokach Lasu Wiedeńskiego na kilka godzin przed dotarciem na nie wojska osmańskiego. Przeprowa nie była łatwa, żołnierze musieli się zmagać ze stromymi zboczami i luźnym podłożem wąskich przejść. Lekką artylerię zostawiono na sam koniec, żeby nie spowalniała pochodu wojska. Dla kawalerii wspinaczka była wyjątkowo trudna. W wielu miejscach husarzy musieli zsiadać z ciężkich koni i prowadzić je po nierównym terenie. Mimo wszystko papieska armia parła naprzód, oddana swej świętej misji.

Aż w końcu zaatakowała.

Ze wzgórz z widokiem na Wiedeń, na rozciągający się w całej okazałości osmański obóz i na mury obleżonego miasta, polscy muszkietrzy i ich sojusznicy posłali grad kul na prących do przodu Turków. Zaskoczyli ich, a zaraz potem w dół ruszyła kawaleria – prawie dziesięć tysięcy konnych – i starła w proch ich armię.

Ludzie Kara Mustafy, wycieńczeni i zniechęceni po kilku miesiącach oblężenia, zwyczajnie uciekli.

Polscy husarzy, którzy poprowadzili szarżę, stanowili przerażający widok: zaciekli wojownicy, których fatalna reputacja wyprzedzała ich samych, mieli na sobie zbroje z polerowanej stali, nieśli niezwykle długie kopie i dosiadali masywnych rumaków. Mieli też przymocowane do pleców wysokie drewniane stelaże z orlimi i strusimi piórami, które podczas galopu wydawały niesamowity gwizd. Zstępujący ze wzgórz w długich, zwartych szeregach, mający za sobą miotające ogień połowe działa, wojownicy wyglądali jak niosące śmierć anioły zemsty, gdy nabijali osmańskich wojowników na kopie albo cięli ich za pomocą przytroczonych do nadgarstków długich, trójkątnych w przekroju mieczy.

Wokół toczyła się krwawa jatka: na wijącym się wśród wzgórz trakcie, na odchodzących od niego ścieżkach, w lesie, wśród krzewów u podnóża stoków i w winnicach ciągnących się aż do obozu. Chrześcijańscy wojownicy fala za falą sphywali ze wzniesień, niszczycielska armia wyzwolenicza niosła śmierć pod białym sztandarem ozdobionym szkarłatnoczerwonym krzyżem.

Odwrót Osmanów był utrudniony przez strome zbocza, skalisty teren i pola gęsto splecionych winorośli. Obozu nikt nie bronił przed atakiem z Lasu Wiedeńskiego. Wszystkie umocnienia znajdowały się po drugiej stronie, w pobliżu murów miasta. Nie istniało żadne bezpieczne miejsce, w którym mogliby się przegrupować, a ci, którzy dotarli do obozowiska, nawet się tam nie zatrzymywali, lecz zwyczajnie uciekali dalej, porzucając wszystko i kierując się w stronę Budy, głównie pieszo, nie licząc garstki szczęśliwców czmychających z pola bitwy na koniach.

Kara Mustafa też uciekł. W pośpiechu zabrał ze sobą tylko skarbczyk i zielony sztandar proroka, świętą chorągiew, którą sułtan podarował mu przed rozpoczęciem kampanii, i ledwo zdołał umknąć na końskim grzbiecie w towarzystwie kilku strażników.

Obóz turecki stanął przed zwycięzcami otworem.

Jatka nie trwała długo.

W ciągu kilku godzin teren się zamienił w jedno wielkie cmentarzysko. W promieniu kilku kilometrów ziemia była usłana ciałami i nasiąknięta krwią. Robiąc przerwę w zabijaniu, wyzwoliciele uwolnili też trzydzieści tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, których Osmanowie spędzili tu z miasteczek i wiosek w pobliżu Wiednia. Kara Mustafa przed ucieczką z obozu kazał ich zabić, ale jego ludzie nie zdążyli wypełnić tego rozkazu.

Przybyła z odsieczą armia odniosła pełne zwycięstwo, które Sobieski i jego sojusznicy okupili zaskakująco małą liczbą ofiar po swojej stronie.

Wiedeń został ocalony.

Ale nie tylko.

Imperium Osmańskie poniosło druzgocącą klęskę, największą w całej swojej wspaniałej historii. Pociągnęła ona za sobą serię pomniejszych wojen, które się toczyły przez całe stulecie i zapoczątkowały powolny upadek imperium. Rozpoczęło się odbijanie ziem w ciągu stuleci opanowanych przez islam, a w głowach zwycięzców zrodziło się nawet śmiałe marzenie o wyzwoleniu samego Konstantynopola.

KAMAL I KULCZYCKI BYLI W pobliżu Sobieskiego, gdy ten prowadził swe zwycięskie wojsko przez wiedeńską Bramę Szkocką.

Wszyscy wyszli na ulice, żeby go pozdrowić. Przy porywającym dźwięku trąbek i bębnow Starhemberg i reszta miejskich oficjeli powitali go gromkimi wiwatami, podczas gdy tłum wdzięcznych ocalałych obrońców miasta zasypał swego wybawcę okrzykami wdzięczności i ruszył całować jego dłonie i stopy.

Prowadząc jednego z cennych koni wielkiego wezyra i ciągnąc za sobą zdobyte osmańskie chorągwie, polski król odpowiadał tłumowi krzyczącemu „Niech żyje król!” łaskawym skinieniem dłoni, by w końcu oświadczyć: *Venimus, vidimus, Deus vicit* (Przybyliśmy, zobaczyliśmy, Bóg zwyciężył).

Było jednak oczywiste, że miasto potrzebuje dużo czasu, by wygoić rany. Zginęło wielu jego mieszkańców. Prawie każdy budynek naznaczony był głęboką wojenną blizną. Wciąż szalały choroby, które wkrótce miały pochwyć w swe macki także wyzwolicieli.

Ale przed przystąpieniem do odbudowy mieszkańcy miasta i uchodźcy mogli się pocieszyć czekającym ich wielkim plądrowaniem, gdyż wyludnione obozowisko

osmańskie było istną skarbnicą dóbr. Uciekający Turcy zostawili dziesiątki tysięcy namiotów, do tego całe stada koni i sto tysięcy sztuk zwierząt hodowlanych, w tym anatolijskie bawoły, wielbłądy, bydło domowe, owce i kozy. Było tam więcej dział artyleryjskich, prochu i amunicji, niż wiedeńczykom dane było kiedykolwiek oglądać, ponadto muszkiety i szable o złotych rękojeściach oraz nieprzebrane zapasy zboża.

Polska jazda wkroczyła na teren obozu jeszcze tego samego wieczoru i jako pierwsza mogła zakosztować zwycięskich łupów.

Kamal i Kulczycki też tam byli. Ale Kamal nie poszedł po zdobycze. W towarzystwie swojego polskiego przyjaciela pospieszył wprost do namiotu Rasheeda, docierając na miejsce, zanim rozebrali go husarzy. Pod dywanami znalazł ciało Nisreen, tak jak je zostawił noc wcześniej.

Była blada, jej skóra miała sinawy odcień, ale na szczęście fetor rozkładu i obrzęk jeszcze się nie pojawiły.

Początkowo Kamal nie mógł się zmusić, żeby jej dotknąć. Siedział tylko i patrzył, przytłoczony ogromnym smutkiem.

Kulczycki trzymał się z tyłu; czekał, dając nowemu przyjacielowi czas na uporanie się z myślami i uczuciami. Wreszcie po cichu podszedł i rzekł:

– Powinniśmy ją już przenieść.

Kamal skinął głową.

Była sztywna i zimna, kiedy zawijali ją w jeden z mniejszych dywanów. Zanieśli ciało na cmentarz po północnej stronie miasta, tuż za umocnieniami. Ale przed pochówkiem Kamal musiał zrobić coś jeszcze. Zadanie było obezwładniająco bolesne, jednak czuł, że powinien je wykonać. I musiał to zrobić pod nieobecność Kulczyckiego.

Poprosił go o chwilę samotności i wyciągnął jatagan. Następnie, czując jak drżą mu palce, zrobił nacięcia na wytatuowanych na przedramieniu wyrazach, pilnując, żeby stały się nieczytelne. Z każdym pociągnięciem ostrza miał wrażenie, że powstaje głęboka rana w jego sercu.

Nie czuł takiego bólu, gdy rozprawiał się z tatuażami na ciele Rasheeda, będąc jeszcze w namiocie.

Po obmyciu jej sam dopełnił pogrzebowego rytuału. Udało mu się zdobyć białe prześcieradło, w które ją owinął, i kawałek liny do obwiązania. W obecności Kulczyckiego, który stał obok w milczeniu, wyrecytował modlitwę pogrzebową. Wreszcie ułożył ciało ukochanej pod prostym kamiennym nagrobkiem, na którym wyrył tylko jedno słowo: *Hayatım*.

Moje życie.

KARA MUSTAFĘ TEŻ spotkał smutny koniec. Jego śmierć była szybka i okrutna.

Udało mu się dotrzeć do Belgradu. Choć po drodze spotkało go jeszcze kilka

militarnych upokorzeń, to wiadomość o klęsce pod murami Wiednia była tą, która pobudziła sułtana do działania. Nikt nie był zaskoczony jego decyzjami, a już w szczególności sam wielki wezyr.

Po południowej modlitwie tamtego pamiętnego dnia zdjął szaty i turban i klęknął na ziemi. Dwaj sułtańscy kaci założyli wezyrowi na szyję jedwabny sznur i stojąc po jego obu stronach, zaczęli ciągnąć. Umarł szybko, nie stawiając żadnego oporu. Z jego głowy zdarto skórę, by wypchać ją suchą słomą, umieścić w aksamitnej torbie i posłać sułtanowi razem z powierzonym wcześniej wezyrowi świętym sztandarem proroka.

Gdy to się działo, w całej Europie z niezwykłą, nieoczekiwaną radością biły kościelne dzwony.

Był dwudziesty piąty grudnia 1683 roku.

POD CIEPŁYM PÓŻNOLETNIM NIEBEM Kamal i Kulczycki przez resztę nocy przyglądali się z bezpiecznego miejsca w jednym z bastionów wychodzących na obóz plądrowaniu.

W dole panowało istne szaleństwo, wydawało się, że mają przed sobą mrowisko pełne niosących pochodnie szabrowników, raczących się wszystkim, co tylko zdołali znaleźć.

– A ty? – spytał Kamal Kulczyckiego. – Nie chcesz niczego? Zaraz wszystko wyczyszczą.

Kulczycki zachichotał.

– Powiedziałem już Starhembergowi, czego chcę. Był nieco zdziwiony, ale się zgodził.

– O co poprosiłeś?

– Turcy zostawili wielki zapas ziaren kawy. Tysiące worków.

– I wszystkie ci dał?

– Nikt ich nie chce. Są kwaskowe. I paskudne w smaku.

– To dlaczego chcesz je zabrać?

– Oni nie wiedzą, co to jest, a ja wiem. – Kulczycki się uśmiechnął.

Kamal też się roześmiał. Wiedeńczycy nie znali kawy. To znaczy, jeszcze nie znali. Kulczycki, mając za sobą lata spędzone w Stambule, wiedział, z czym ma do czynienia.

Miasto już mogło się cieszyć, że powstanie w nim wiele kawiarni, które na długie lata wpiszą się w jego tradycję.

– Ale jedno, czego naprawdę chcę – dodał Kulczycki – to żebyś dotrzymał słowa. Muszę zrozumieć to, czego byłem świadkiem.

Kamal czekał, aż Polak poruszy ten temat. Zastanawiał się, jak mu to opowiedzieć, ale właściwie jego myśli przez cały czas krążyły wokół innego pytania: Co powinien teraz zrobić?

Ten problem już wcześniej pojawiał się w jego rozmowach z Nisreen, ale nie przypuszczał, że sam będzie musiał się z nim zmierzyć.

Dokonał tego, co było celem ich wyprawy. Skierował historię z powrotem na właściwe tory. Nic więcej już robić nie musiał. Od tej pory wszystko miało się dziać bez interwencji niepożądanych osób. Zamierzał pozostawić świat samemu sobie, by

jego losy toczyły się tak jak kiedyś – żeby nikt się do nich nie mieszał.

I to dlatego nie mógł powiedzieć Kulczyckiemu prawdy. Nie mógł powiedzieć mu całej prawdy.

Wiedział, że mógłby nic nie mówić. Albo zbyć Polaka jakimś kłamstwem. Ostatecznie Kulczycki widział tylko, że Nisreen zniknęła i pojawiła chwilę później w nieco innym miejscu, naga. Był też świadom, że Kamal i Nisreen mieli dużą wiedzę na temat oblężenia, ale nie miał pojęcia, w jaki sposób ją zdobyli. Kamal jednak czuł, że jest Polakowi coś winien. Mężczyzna powierzył jemu i Nisreen swoje życie; podjął największe ryzyko, opierając się tylko na ich słowach.

I tak Kamal przedstawił mu skróconą wersję swoich dziejów. On i Nisreen przypadkiem posiadli umiejętność podróżowania w czasie. Odkryli, że Rasheed namieszał w historii, przez co stali się wrogami państwa. Dobrali się do nich ludzie sultana; rodzina Nisreen zginęła, a oni we dwoje cofnęli się w czasie, żeby naprawić świat.

Celowo mówił dość niejasno i się pilnował, żeby nie zdradzić Kulczyckiemu żadnych szczegółów, które pomogłyby mu odkryć więcej, niż Kamal by sobie życzył. Nie chciał, żeby znowu ktoś zaczął majstrować przy historii, choćby nie wiadomo jak godny szacunku był to człowiek. Ale jego słowa tylko rozpały gorączkową ciekawość Polaka, który zasypał go pytaniami.

Kamal uchylał się od odpowiedzi lub odpowiadał tak wymijająco, jak tylko potrafił. Szybko stało się jasne, że Kulczycki rozumiał jego rozterki. Polak przestał w końcu wypytywać i rzekł:

– Co się teraz wydarzy?

– Wiem tyle co i ty – odparł Kamal. – Przyszłość jest dla mnie tak samo niezapisaną kartą jak dla każdego.

Kulczycki w zamyśleniu pokiwał głową.

– Co zamierzasz zrobić?

Kamal wzruszył ramionami.

Rozmowa z przyjacielem uświadomiła mu dwie rzeczy. Po pierwsze, nie mógł tutaj zostać. Ani w Wiedniu, ani w tych czasach. Jako Osman byłby tym, który stał po niewłaściwej stronie. Oczywiście był bohaterem. Sobieski i pozostali dopilnowaliby, żeby go uczczono i należycie o niego zadbano. Ale i tak trudno by mu było dopasować się do tego społeczeństwa.

A po drugie, zdał sobie sprawę, że musi się dowiedzieć, co z tego wszystkiego wynikło. Nie umiał z tego zrezygnować. Musiał to zobaczyć na własne oczy.

Zresztą tutaj i tak nic go już nie trzymało. Ale też nic nigdzie na niego nie czekało. Miał jednak nadzieję. Nadzieję na lepszy świat, na nowy początek w lepszym miejscu.

WIEDEN

LIPIEC A.D. 2017

KAMAL TRWAŁ W NIEUSTANNYM ZDUMIENIU.

Wszystko – absolutnie wszystko – było inne.

Nie zdarzyło mu się być w Wiedniu w jego czasach, więc mógł go porównać tylko do Paryża roku 1438 – teraz liczonego jako 2017, co szybko odkrył. Rzecz jasna w jego Paryżu też były samochody, autobusy i przecinające niebo nad głową samoloty. Jeśli nawet miały inny kształt, to jednak pod wieloma względami były podobne.

Chodziło o coś innego.

Wszystko wydawało się jakby jaśniejsze. Kolor był wszędzie, zwłaszcza w ubraniach, które stały się lekkie i oszałamiająco barwne – i dosyć skąpe, co zauważył ku swemu zdumieniu – ale też w samochodach, tramwajach i rowerach, na szalonych, przyciągających wzrok wystawach sklepowych i na billboardach, prezentujących najprzeróżniejsze przykuwające uwagę obrazy. Nawet światło słońca zdawało się jaśniejsze, podobnie jak oczy i twarze ludzi, których spotykał, snując się po wielkim mieście.

Wszystko było bardziej zmysłowe, bardziej przepelnione energią.

Bardziej żywe.

Wokół siebie widział rzeczy, które go szokowały, ale w pozytywny sposób. Większość mężczyzn była gładko ogolona. Wielu chodziło dziwnie ubranych – w ciemne marynarki i spodnie, z kolorowym paskiem materiału, czymś w rodzaju cienkiego szalika, zwisającym pod kołnierzykiem koszuli. Przede wszystkim jednak jego uwagę zwracały kobiety. Były wszędzie. Chodziły same albo w towarzystwie czy to mężczyzn, czy to innych kobiet. Miały odkryte nie tylko twarze, ale też inne części ciała, i przechadzały się swobodnie w krótkich spódnicach i sukienkach, ukazując gołe nogi. Chwiejąc się lekko w delikatnie wyglądających butach na wysokich obcasach, z rozwianymi włosami przemierzały miasto, skupione na swoich celach i wolne.

Jeśli chodzi o jego doświadczenie życiowe, było to coś niezwykłego.

Widział pary, które spacerowały, trzymając się za ręce; inne bez skrępowania się całowały. Widział nawet mężczyzn, którzy też, jak gdyby nigdy nic, publicznie się trzymali za ręce – mijali policjantów w białych czapkach, a ci nic sobie nie robili z ich

zachowania, sama zaś obecność stróżów prawa najwyraźniej nie budziła lęku w przebywających w pobliżu ludziach.

W kawiarnianych ogródkach oferujących oszałamiająco różne dania i napoje roiło się od ludzi, mężczyzn i kobiet w różnym wieku, roześmianych, palących papierosy, często raczących się filiżanką kawy – najwyraźniej Kulczycki odcisnął na wiedeńskiej historii też inne piętno – albo otwarcie spożywających, jak Kamal odkrył, alkohol.

Poczucie wolności było odurzające.

W mieście wyczuwało się też spokój, był niemal namacalny, choć chwilę trwało, zanim Kamal to sobie uświadomił. Tutejsi mieszkańcy nie wydawali się żyć pod rządami strachu, a jednak nie sposób było dostrzec chaos czy samowolę. Kamal nigdzie nie widział anarchii, o której go uczono, ani zgłiszczy, o których mówił Rasheed. Wszędzie panował porządek – nawet większy niż w jego rodzinnym Paryżu, który zapamiętał. Było czysto i schludnie, nigdzie nie walały się śmieci. Samochody poruszały się według ustalonych zasad, nie było słyhać nieustannego wycia klaksonów, ludzie czekali na zmianę świateł, żeby przejść przez skrzyżowanie, a piesi wydawali się szanować siebie nawzajem i raczej nie wypływało to ze strachu przed karą. Nie dało się też nie zauważyć, że miasto kwitło: wystawy sklepów z ubraniami były pełne żywych kolorów, w ladach cukierniczych ledwo mieściły się najróżniejsze ciasta, a wszędzie tłumnie przechadzali się ludzie – często, tak jak on, turyści, co bez trudu Kamal rozpoznawał. Podziwiali zabytki, rozmawiali, śmiali się i robili zdjęcia telefonami. Bezsprzecznie był to najbardziej szczęśliwy i spokojny czas i miejsce z tych, z którymi się zetknął. Muzycy występowali na ulicach, licząc na szczodrość obcych ludzi. Nawet światła przy przejściach dla pieszych wyświetlały zielony symbol dwóch osób trzymających się za ręce i małe migające serduszko nad nimi.

Chodził i chodził, karmiąc oczy tym nowym światem; jego umysł, pijany podziwem, wciąż przetwarzał nowe obrazy. Przez cały czas nie mógł przestać myśleć o Nisreen, o tym, jak by zareagowała na to wszystko, na wolność i równość, o które przez wszystkie te lata walczyła.

O tym, jak bardzo by jej się tu podobało.

– DOZPOCZAŁ SWĄ PODRÓŻ W katedrze Świętego Szczepana.

Założył, że pomimo upływu lat nadal będzie stała, i okazało się, że miał rację.

Przybył w nocy, gdy świątynia była zamknięta dla zwiedzających, i natychmiast w oczy rzuciła mu się różnica: nie zastał w niej tłumów chorych i umierających, odór śmierci od dawna był w niej nieobecny. Zamiast tego ujrzał wspaniałe wnętrze, któremu przywrócono pełny blask, by świątynia znów była światłem przewodnim dla stąpających po tym świecie wiernych, tak jak założyli to jej budowniczkowie.

Czuł się brudny i pragnął się umyć, co okazało się możliwe w małej łazience, gdzie znów dane mu było się rozkoszować bieżącą ciepłą wodą. Wytarł się papierowymi ręcznikami i szczęśliwym trafem znalazł stertę używanych ubrań i butów w małym

pomieszczeniu przy dolnej zakrystii – nie mógł wiedzieć, że są to dary dla potrzebujących zbierane przez Kościół. W niczym nie przypominały ubrań, do których był przyzwyczajony, ale wybrał dla siebie kilka rzeczy, które zdawały mu się składać na sensowny męski strój. Znalazł też trochę monet w szufladzie biurka i schował je do kieszeni. Potem zaczekał, aż wstanie dzień i drzwi świątyni zostaną otwarte, i wyruszył w świat.

Szok był natychmiastowy. Opuścił koszmarne zniszczone miasto, w którym panowały śmierć i cierpienie. Wizualny kontrast był tak wielki, że początkowo trudno mu było się z nim oswoić, zwłaszcza że od razu po wyjściu z katedry zobaczył stojący tuż obok niej budynek, w którym był przetrzymywany z Nisreen. Nie nosił już śladów zniszczeń dokonanych przez armatnie kule Kara Mustafy, a pod arkadami na parterze mieściły się teraz liczne restauracje i kawiarnie.

Oszołomiony i zdumiony snuł się po mieście, dziwiąc się wszystkiemu, co zobaczył, usłyszał, poczuł, czym odetchnął, dostrzegając każdy niewinny drobiazg i starając się nie zwracać przy tym na siebie uwagi. Próbował się zorientować, gdzie jest, idąc drogą, którą pokonał z Kulczyckim i Nisreen, by dostać się na mury, ale szybko się zgubił. Nie zdołał znaleźć fortyfikacji ani bastionów. Tylko od czasu do czasu wspomnienie budził jakiś kościół.

Próbował znaleźć cmentarz, na którym pochował Nisreen, ale mu się nie udało. Miasto było teraz znacznie większe. Rozrosło się niewiarygodnie przez te prawie trzy i pół wieku, jakie minęły od czasu oblężenia, i wyszło daleko poza dawne umocnienia. Doznając mieszanych uczuć, spacerował dalej, ale szybko do jego umysłu zaczął się sączyć niepokój.

Nie rozumiał tutejszego języka. Znał wprawdzie łaciński alfabet i był w stanie odczytać wyrazy, ale wiedział dzięki temu tylko, jak brzmią, a nie, co oznaczają. Nie miał żadnych przyjaciół, żadnych kontaktów, nikogo, kto by go znał. Nie miał też pieniędzy ani dokumentów.

Poczuł się całkowicie, zupełnie samotny.

Snując się, dotarł w końcu do pałacu Hofburg, minął go i jego wspaniałe ogrody i znalazł się na Naschmarkcie, rozległym targowisku, gdzie na licznych stoiskach można było kupić jedzenie i różne bibeloty. Poczuł przypływ nadziei na widok budki z czymś, co znał ze swojego dawnego życia – z wielkim, obracającym się rusztem obłożonym mięsem. Było to stoisko z kebabem, jakich nie brakowało w jego Paryżu. Na markizie widniał napis „Bosphorus”.

Wahając się, podszedł do starszego z dwóch mężczyzn, którzy tam pracowali. Był po sześćdziesiątce, miał bujne siwe wąsy, nosił biały fartuch i białą czapkę.

Kamal wskazał na ruszt i po osmańskoturecku zapytał:

– Ile to kosztuje?

Mężczyzna spojrział na niego z zaciekawieniem, po czym rzekł:

– Skąd jesteś, bracie?

Mówił po turecku, ale jego wymowa była inna od tej, do której przywykł Kamal, była bardziej miękka, przyjemniejsza dla ucha. Najwyraźniej jemu też wymowa Kamala wydała się niezwykła.

Kamal poczuł się nieswojo. Uśmiechnął się zawstydzony i zaczął się cofać, ale mężczyzna zawołał za nim:

– Hej, zaczekaj. Przepraszam. Nie chciałem być wścibski. Tutaj wszyscy jesteśmy braćmi. – Wyszedł z za lady i w powitalnym geście wyciągnął do Kamala rękę, próbując go zaprosić z powrotem. – Chodź, proszę. Wyglądasz na głodnego. Pozwól, że poczęstuję cię kanapką.

Kamal się zawahał, ale uległ naleganiom mężczyzny i przyjął jego zaproszenie. Usiedli przy małym, wysokim stoliku przed budką, gdzie Kamal łączywie pochłonął kanapkę i kubek *ayranu*.

Początkowo był dosyć ostrożny, ale szybko zrozumiał, co założył sobie sprzedawca kebabów, który przedstawił się jako Orhan. Przyjął, że Kamal, tak jak on, przybył z Turcji, będącej jak się domyślił Kamal, pozostałością po imperium. Dowiedział się, że w Wiedniu jest wielu nielegalnych tureckich imigrantów, i Orhan wziął go za jednego z nich. Kamalowi to odpowiadało. Powiedział nowemu znajomemu, że pochodzi ze wschodu kraju, z okolic Diyarbakır, czując się dość nieswojo, że posługuje się informacjami, jakie pamiętał na temat pewnego obserwowanego kiedyś przez siebie Turka podejrzanego o terroryzm.

Sprzedawca kebabów znał trudną sytuację swoich rodaków i im współczuł. Udzielił Kamalowi kilku użytecznych wskazówek, co powinien teraz zrobić, skoro już się tu znalazł: gdzie szukać dachu nad głową i jedzenia, jak wystąpić o azyl. Kamal się zastanawiał, czy nie będzie musiał się na to zdecydować i zostać tu przynajmniej na razie, dopóki nie zrozumie lepiej tego miejsca i nie nauczy się poruszać po tym nowym świecie.

– To niesamowite, że mieszkańcy tego miasta jeszcze nas tutaj przyjmują – zauważył – po wszystkim, co im zrobiliśmy.

Twarz Orhana zasnuła się cieniem. Nie zrozumiał aluzji.

– Chodzi mi o oblężenie Kara Mustafy – wyjaśnił Kamal lekko zdziwionym tonem. – Przed laty.

– Ach, to. – Sprzedawca kebabów machnął ręką. – To było tak dawno temu. Wątpię, żeby ktoś jeszcze w ogóle o tym myślał. Interesujesz się historią?

– Można powiedzieć.

– W takim razie spodobają ci się tutejsze muzea. Są wyjątkowe.

Sprzedawca kebabów opowiedział mu o nich trochę, ale jedna rzecz, o której napomknął, wbiła się Kamalowi w pamięć i nie mógł o niej zapomnieć.

Poczuł, że musi iść, i obiecawszy Orhanowi, że niedługo wróci, wstał i odszedł.

Niecałą godzinę później stał przed bramą Heeresgeschichtliches Museum.
Austriackiego Muzeum Historii Wojskowości.

KAMAL STAŁ PRZED MUZEUM i nie mógł się ruszyć. Bał się emocji, jakie mogło wywołać wejście do środka, i nawet piękno budynku nie było w stanie uwolnić go od tego lęku.

Sprzedawca kebabów powiedział mu, że w muzeum można podziwiać wielkie wystawy poświęcone wojnom z Osmanami. Oczywiście najbardziej znana była ta dotycząca oblężenia z 1683 roku. Dodał nawet, że eksponatów jest tak dużo, iż oglądając je, ma się wrażenie, jakby się tam było, której to uwadze Kamal chętnie by zaprzeczył, gdyby tylko znalazł w sobie dość obojętności, żeby zrobić to w zabawny sposób.

Bo w jego wspomnieniach nie było niczego zabawnego.

Przyglądał się, jak tłumy turystów wysiadają z autokarów i kierują się do wejścia. Robiąc głęboki wdech, w końcu ruszył z miejsca i przeszedł przez otwartą bramę.

Muzeum mieściło się w dziewiętnastowiecznym gmachu, wzniesionym w pięknym neobizantyjskim stylu z wyraźnie orientálną nutą. Jego fasada z cegieł w dwóch odcieniach była ozdobiona geometrycznymi wzorami z terakoty i zwieńczona kamiennym krenelażem ze sterczącymi wieżyczkami. Do środka prowadziło troje łukowych drzwi.

Trudno mu było zrozumieć, co mówi kasjerka. W końcu pokazała cenę na ulotce, a on zapłacił za wstęp sześcioma jednoeuroowymi monetami, które zabrał z katedry. Kasjerka spytała go, skąd jest, na co odpowiedział: „Turcja”. Wtedy pokazała mu, żeby podszedł do sąsiedniego okienka, i powiedziała coś do obsługującej je kobiety. Przeszedł tam, a kobieta wręczyła mu dziwny zestaw, złożony z małego pudełeczka z elektroniką z doczepionym do niego sznurkiem i kablem ze słuchawkami. Po krótkich pertraktacjach Kamal zrozumiał w końcu, co otrzymał: był to audioprzewodnik, w którym pracownica wybrała język turecki.

Włożył do uszu słuchawki i wcisnął guzik odtwarzania.

Co ciekawe, urządzenie zdawało się ożywać w najbardziej odpowiednich momentach, przedstawiając informacje na temat wystawy, którą Kamal akurat oglądał, a pierwszą z nich był Feldherrnhalle – Panteon.

Sala była przewspaniała – wyrastał w niej las przepięknie udekorowanych kolumn zebranych w grupy i łączących się w górze w ciąg sklepień żebrowych. Każda grupa kolumn mieściła cztery naturalnej wielkości posągi. W sumie było ich pięćdziesiąt sześć, a przedstawiały najslawniejszych dowódców wojskowych i bohaterów

wojennych z niemal tysiąca lat historii Austrii, z nazwiskami wyrytymi na tablicach umieszczonych nad każdym z nich.

To tam Kamal doznał pierwszego wstrząsu.

Na jednym z postumentów stał, patrząc na niego z góry, hrabia Ernst Rüdiger von Starhemberg.

Posąg był niemal jak żywy. Lepszy niż żywy, bo przedstawiał Starhemberga w pełni sił, a nie wymęczonego dyzenterią i rannego. Nie takiego jak wtedy, gdy poznał go Kamal podczas oblężenia.

Kamal nie był w stanie się ruszyć, bo przez głowę galopowały mu hordy obrazów i doznań. Zbliżył się do rzeźby nieśmiało, jak gdyby się bał, że może w jakiś sposób ożywić hrabiego. Widok jego postaci przeniósł go z powrotem do tamtego pełnego napięcia spotkania w usianym gruzem pokoju, a przy okazji przywołał bolesne wspomnienie Nisreen, nie pełnej życia i energii, ale martwej w przeklętym namiocie Rasheeda.

Gdy wreszcie zdołał się otrząsnąć, rozpoznał innego mężczyznę uwiecznionego w marmurze. Mężczyzna ten, znacznie wtedy młodszy, był obecny na spotkaniu z Sobieskim pod Tulln. Audioprzewodnik podpowiedział mu, że to książę Eugeniusz Sabaudzki, który odegrał drugoplanową rolę w wyzwoleniu Wiednia, stał się później jednym z najbardziej czczonych bohaterów wojennych Austrii.

Kamal opuścił Panteon i ruszył w głąb muzeum. Tak jak mu powiedział sprzedawca kebabów, sale poświęcone walkom z Osmanami były całkiem spore. Wystawiono w nich najróżniejsze rodzaje broni: od tureckich łuków przez wszelkiego rodzaju miecze po muszkiety, armaty i moździerze. W jednej z sal zgromadzono wielką kolekcję zbroi i hełmów wraz z figurami muszkieterów i pikinierów, sprawiających niesamowite wrażenie żywych ludzi. Wystawiony był nawet potężny namiot należący do jakiegoś osmańskiego dostojnika, sądząc po bogato zdobionej tkaninie; obok niego znajdowała się gablota mieszcząca zdobyte buńczuki wrogich dowódców.

Idąc przez kolejne sale, Kamal się dowiedział, że po ocaleniu Wiednia miały miejsce kolejne bitwy z Osmanami: pod Zentą w 1697 roku, pod Petrovaradinem w 1716, pod Belgradem w 1717. Turcy zostali zepchnięci aż do Konstantynopola, ale wielka bizantyńska stolica nigdy nie była zagrożona.

Rozmach muzeum budził trwogę. Wciąż było wiele sal do zwiedzenia, mimo że obszedł już wszystkie poświęcone wojnom z Osmanami. Co tam się jeszcze mieściło?

W głębi duszy Kamala zrodził się niepokój.

Doznał szoku, stając przed dziwnym eksponatem, który wydawał się zupełnie nie na miejscu w muzeum historii wojskowości. Był to zabytkowy samochód, wielki, czarny i luksusowy, ze składanym dachem, starszy nawet od aut, które widział w Paryżu po swoim pierwszym brzemennym w skutki skoku w czasie z Nisreen.

Podszedł bliżej i pozwolił, by audioprzewodnik o nim opowiedział.

Dowiedział się, że to automobil marki Gräf & Stift, którym podróżował arcyksiążę Franciszek Ferdynand, gdy zginął w zamachu w Sarajewie w 1914 roku.

Przewodnik wyjaśnił następnie, że to wydarzenie przyczyniło się do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Przeszedł go dreszcz strachu.

Wojny światowej?

Pierwszej wojny światowej?

To znaczy, że były kolejne?

Słyszając pulsowanie własnej krwi w żyłach, wysłuchał cierpliwie całej prezentacji przewodnika, a z każdym usłyszonym słowem czuł, jak przygniata go coraz większy ciężar. Gdy opowieść dobiegła końca, powlókł się do następnej sali, gdzie poczuł się jeszcze gorzej. Znalazł w niej bezlitosną, pełną krwawych szczegółów kronikę pierwszej wojny światowej i upadku monarchii Habsburgów.

Dalej było jeszcze straszniej.

Całe skrzydło muzeum poświęcono Anschlussowi i dojściu do władzy nazistów.

NAJMOCNIEJ WSTRZĄSNĘŁY NIM nie różne rodzaje broni ani nawet ogromne haubice czy czołgi używane przez różne nacje, a zgromadzone teraz w Panzergarten, na zewnątrz muzeum. Największym wstrząsem był niekończący się zbiór przytłaczających filmów i fotografii wyświetlanych na płaskich ekranach.

Kamal czuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę.

Półprzytomny wyszedł z muzeum i się kręcił, nie wiedząc, co ma robić. Był pewien tylko tego, że chce się dowiedzieć więcej.

A gdy się już dowiedział, to tego pożałował.

Udało mu się znaleźć kawiarenkę internetową i zaczął uzupełniać wiedzę na temat tego, co się wydarzyło przez minione trzy i pół wieku. Nie było mu łatwo, bo jak odkrył, język turecki w piśmie nie posługiwał się już turecko-perskim alfabetem, z którego on zawsze korzystał. Teraz obowiązywało pismo łańskie. Jednak gdy tylko wyszukał odpowiednią stronę, informacje, które na niej znalazł, pozbawiły go sił.

Całe mnóstwo wojen wybuchło od czasu ocalenia Wiednia. Wojen, których nie było w jego świecie po podboju Europy przez Osmanów.

Nieliczone konflikty targaly Europą, której narody zwracały się jeden przeciwko drugiemu. W wielu krajach doszło do krwawych rewolucji. Te najbardziej znane wybuchły we Francji i w Ameryce, a najstraszniejsza w skutkach – w Rosji. Komunizm, jaki się wraz z nią zrodził, przyniósł kolejną falę śmierci i cierpienia. Na samej Ukrainie na początku lat trzydziestych cztery miliony ludzi straciły życie na skutek kampanii Stalina mającej na celu zdławienie nacjonalistycznych dążeń

tamtejszego narodu. W Chinach i Kambodży liczba śmiertelnych ofiar komunizmu była jeszcze większa.

Wielki terror i czystki. Dwie wojny światowe. Holokaust. Rzeź Ormian. Wietnam. Bomby atomowe – musiał sprawdzić, co to jest – w Japonii.

Czuł, jak ogarnia go odrętwienie, gdy liczby ofiar wciąż rosły. Ilu ludzi zginęło, odkąd pochował Nisreen? Pięćdziesiąt milionów? Sto? Jeszcze więcej?

To było coś niewyobrażalnego, coś, co powodowało, że z trudem oddychał.

Nurzał się w żalu i pustce, która chciała go wessać i zetrzeć z powierzchni ziemi.

Nieustannie bombardowało go jedno pytanie: Czyżby popełnił gigantyczny, nieprawdopodobnie tragiczny błąd?

Wiedział, że podbój Europy przez Osmanów też nie obył się bez rozlewu krwi. Mnóstwo ludzi zginęło, gdy armia sułtana parła przez kontynent. Wojna z Rosją, która wybuchła kilka dekad później, również była krwawa i wszyscy mieli świadomość, że w obliczu utarczek o źródła energii brana była pod uwagę nawet wojna z Amerykanami. Nie pomogło to jednak zdławić przerażenia, jakie ogarnęło Kamalą w związku z tym, co spotkało planetę w tej wersji historii, w której Osmanowie ponieśli klęskę i nie zajęli Wiednia.

I to była zdecydowanie jego wina.

SPĘDZIŁ TĘ NOC, snując się bez celu po mieście; nie mógł spać i przystawał tylko od czasu do czasu, by odpocząć, po czym szedł dalej, niczego tak naprawdę nie widząc i nie słysząc, zatopiony we własnych myślach, dręczony miazdzącym poczuciem winy.

W pewnej chwili, jak gdyby prowadzony jakąś okrutną, obłąkaną ręką, znalazł się na skrzyżowaniu i czekając na rogu, żeby przejść przez jezdnię, zawiesił wzrok na tabliczce z nazwą ulicy przytwierdzonej do ściany budynku: Kolschitzkygasse.

Ulica Kulczyckiego.

Zatrzymał się osłupiały, gdy słowo to przedzierało się do jego świadomości. Po chwili popatrzył w górę, by odkryć coś jeszcze: na płycie wystającej z narożnika budynku na wysokości pierwszego piętra stał spory posąg.

Był to Kulczycki. Miał na sobie turecki strój i w jednej ręce trzymał dzbanek z kawą, a w drugiej tacę. Stał wyprostowany i nalewał kawę do małej filiżanki, a z tyłu za swoimi stopami miał stos mieczy, toporów i tarcz, zapewne dla upamiętnienia bohaterskiej roli, jaką odegrał w ocaleniu miasta.

Ten widok jeszcze wzmógł jego udrękę.

Idąc przez miasto, zaczął się zastanawiać, czy nie powinien naprawić swojego błędu, czy nie jest jego obowiązkiem wrócić i spróbować cofnąć to, czego dokonał. Jego myśli gnały coraz szybciej, podsuwając różne scenariusze i przedstawiając konsekwencje każdego z nich.

Mógł wrócić, jasna sprawa. Ale w którym momencie? Nie mógł się cofnąć do żadnej chwili, w której on i Nisreen już istnieli. Czy powinien przenieść się w pierwsze dni oblężenia? A może do czasu, gdy przybył Taymoor, czy też nawet powinien go ubiec? A może udać się do Stambułu i znaleźć tam Rasheeda jeszcze wcześniej? I co by wtedy miał zrobić? Ostrzec go? Powiedzieć mu, że wraz z Nisreen zjawi się, żeby go dopaść w przyszłości? Czy miał w ogóle prawo tak myśleć, zdradzać ją w ten sposób? A gdyby tak postąpił, czy to by wszystko zmieniło? Czy Rasheed zmodyfikowałby jakoś swój plan i zmienił przyszłość tak, że Kamal i Nisreen nigdy by się nie spotkali albo nawet w ogóle by nie zaistnieli?

Było to niepojęte i przy ogólnym wyczerpaniu coraz głębiej pograżało go w rozpacz. Odkrył, że nie potrafi uciec przed czarnymi myślami, które go nawiedzały.

Zaczął się nawet zastanawiać nad samobójstwem.

MINĘŁO WIELE GODZIN, zanim znowu znalazł się w miejscu, które znał.

Na Naschmarkcie panował ruch, ale tłum rzedł, w miarę jak zbliżał się koniec słonecznego spektaklu na niebie. Przy budce z kebabami stało kilka osób, lecz gdy tylko Orhan go zobaczył, wesołość z jego twarzy znikła i zastąpiła ją troska. Mimo wszystko zdobył się na ciepły uśmiech i pomachał do Kamala.

Zaproponował mu znowu posiłek i usiadł z nim przy małym stoliku, korzystając z chwili spokoju przed wieczornym szczytem. Na zmianę popijając kawę i zaciągając się papierosem, z zaciekawieniem obserwował jedzącego powoli, bez apetytu, Kamala.

– Co się stało, bracie? – zapytał go. – Wyglądasz, jakby świat zawałił ci się na głowę. Kamal wzruszył ramionami.

– Bo tak się czuję.

Orhan popatrzył na niego w zamyśleniu.

– Będzie lepiej, zobaczysz. Dobrze się tu żyje. Dużo lepiej niż w ojczyźnie. Będziesz zadowolony, że tu przyjechałeś.

Kamal poczuł wdzięczność za te słowa pociechy, lecz Orhan, rzecz jasna, nie miał pojęcia, co się tak naprawdę dzieje w jego głowie.

– Też tak kiedyś myślałem – odpowiedział mu słabym głosem – ale teraz już nie jestem pewien. Może jednak mój świat ze wszystkimi swoimi wadami był... lepszy.

– Nie – zaprzeczył Orhan. – Wcale nie. Możesz mi wierzyć.

Kamal odwrócił wzrok i popatrzył na długie szeregi stoisk ciągnących się we wszystkie strony, ale nic nie powiedział.

Orhan nachylił się i mówił dalej.

– Posłuchaj mnie, Kamal. Nasz świat... wciąż jeszcze czeka go długa droga. A i to nie wiadomo, czy kiedykolwiek tu dotrze.

– Dotrze? Dokąd?

– Tutaj. – Rękami powiódł po okolicy. – Do tego wszystkiego, co widzisz dokoła siebie.

Zaciągnął się głęboko papierosem, po czym zgasił go w blaszanej popielniczce.

– Ta część świata – ciągnął wywód – toczyła swoje wojny. Przeżyła swoje rewolucje. Ludzie walczyli o obalenie monarchii i niewolnictwa, o rozdział państwa i religii. Walczyli o wolność. I zapłacili za to wysoką cenę. W walce o tę wolność zginęły miliony. Dlatego znają tutaj jej wartość. Życie tutaj też ma wartość. – Jego głos brzmiał nieustępliwie. – Każda osoba ma swoje prawa. My mamy prawa. Wszyscy. Ja, on, ona – mówił, pokazując przypadkowych ludzi przechadzających się po targu. – Wszyscy jesteśmy równi. Bogaci czy biedni, nieważne. Czy urodził się tu twój

pradziadek, czy jesteś świeżym przybyszem, tak jak ja... wolność i godność wszystkich nas jest szanowana... i brana w obronę. Może nie zawsze. Może nie przez wszystkich. Nie jest idealnie... ale jest o wiele lepiej niż u nas. Dlatego tutaj jestem. Tam, skąd pochodzimy... nasza część świata... wciąż jest daleko w tyle. Tam wciąż toczą się wojny, wybuchają rewolucje, a życie ludzkie w tej chwili nie ma żadnej wartości. Byle żołnierz może cię wyciągnąć z łóżka, zabrać cię nie wiadomo dokąd, i nikt nie jest w stanie nic z tym zrobić. Tysiąc osób może zostać zagazowanych w wiosce i nikt nie zdoła temu zapobiec. Zresztą kto wie. Może nigdy tam nie zajdą tak daleko jak tutaj. Może już zawsze będą się trzymać swoich zwyczajów i zasad. Tak czy inaczej, mnie to nie obchodzi. Mnie już dawno wtedy nie będzie. – Zaśmiał się. Jego wzrok utknął gdzieś w oddali. – Prowadziłem w Stambule niezły interes, wiesz? Miałem restaurację i mały sklep. Dobrze nam się powodziło. Ale kraj zaczął się zmieniać. Dlatego wyjechałem. I choć teraz mam tylko tę małą budkę, to i tak życie tutaj jest znacznie lepsze. Przekonasz się.

– O jakich zmianach mówisz? – spytał Kamal.

– Przed laty różniliśmy się od naszych arabskich sąsiadów, tak? Różniliśmy się. Byliśmy państwem demokratycznym. Naprawdę. Mieliśmy wolne media. Pilnowano rozdziału religii od państwa. Byliśmy nowoczesnym, cywilizowanym mostem pomiędzy Zachodem a Bliskim Wschodem, mieliśmy wstąpić do Unii Europejskiej. A potem wybraliśmy człowieka, który uznał, że nasz kraj to jego prywatne imperium, i zaczął zamykać wszystkich, którzy ośmielili się z tym nie zgodzić. Wtedy właśnie wyjechałem. Kiedy się zrobiło paskudnie.

W głowie Kamala rozbrzmiała tyrada Rasheeda wygłoszona w namiocie pod Wiedniem.

– Został wybrany? – Kamal zreflektował się w połowie pytania i tak zmienił ton, aby zabrzmiało bardziej jak stwierdzenie.

Orhan prychnął.

– Oczywiście. To był dla niego tylko środek do celu. Zapomniałeś już tę słynną przemowę sprzed lat? „Demokracja jest jak pociąg. Gdy dotrze się do celu, to się po prostu wysiada”. Ale nikt się tym nie przejmował. Ludzie nigdy się nie przejmują, dopóki nie jest za późno. – Westchnął. – Wybory nie są doskonałe. Daleko im do tego. I jak coraz częściej widać, można nimi manipulować. Nawet w Ameryce, tak? Nawet bez mediów społecznościowych. Ten potwór w Rosji: wybierano go, „wybierano” – poprawił się, robiąc w powietrzu cudzysłów – na prezydenta ile to już razy? W Syrii prezydent wygrywa wybory, oficjalnie uzyskując dziewięćdziesiąt siedem procent głosów. Ogłaszają to nawet w swojej telewizji. Nie mają za grosz wstydu... – Pokręcił głową. – Jednak prawdziwe wybory, wolne i otwarte, z udziałem wielu partii i prawdziwej opozycji, umożliwiające prawdziwą wymianę poglądów, prawdziwą debatę nad tym, jak żyć... czyż może być coś lepszego?

– Ale cena tej wolności... wszystkie te wojny... – powiedział Kamal, ostrożnie

dobierając słowa, gdy w uszach wciąż mu dźwięczały szydercze słowa Rasheeda. – Czy nie dałoby się ich jakoś uniknąć?

– Jak?

– Gdyby tak przed wiekami jedno imperium podbiło... no, sam nie wiem... całą Europę. Choćby Osmanowie. Wyobraźmy sobie, że byliby do tego zdolni.

– Byli blisko – myślał na głos Orhan. – Prawie zajęli to miasto.

– No to wyobraźmy sobie, że naprawdę je zajęli – odparł Kamal. – Wyobraźmy sobie, że poszli dalej i zajęli całą Europę. Może gdyby tak się stało, nie doszłoby do tych wszystkich rewolucji i wojen światowych. Może byłoby lepiej.

Orhan się zaśmiał.

– Co ty dodajesz do swojej sziszy, bracie? – Z lekceważeniem machnął ręką. – Lepiej? Nie ma mowy.

– Dlaczego?

– Kto wie, jak potoczyłaby się historia. Ale posłuchaj mnie, bracie. Życie pod rządami dyktatora, bo sułtan był dyktatorem, co do tego nie ma wątpliwości, w żadnym razie nie może być lepsze od życia w wolnym społeczeństwie. W żadnym razie. I mogę cię zapewnić o jednym. Dyktator, czy będzie nim sułtan czy prezydent, który traktuje demokrację jedynie jak przejazd pociągiem i sposób na dobranie się do władzy, taki człowiek nigdy z własnej woli nie zrezygnuje z rządzenia. Nigdy. A to oznacza, że prędzej czy później, choćby taki dyktator nie wiadomo jak bardzo kontrolował swój lud, ten lud powstanie. Będzie miał dość korupcji, zapagnie wolności, zapagnie być słyszany i nieuchronnie będzie musiał za to oddać życie. Taka jest ludzka natura. Tak się działo na całym świecie. I możesz być pewien, że do tego samego doszłoby w twoim wspaniałym Imperium Osmańskim.

Kamal ponuro pokiwał głową. Wydawało się, że dzieje świata to nieustający cykl bólu i cierpienia. Słowa Orhana wskrzesiły wspomnienia zamętu, jaki zapanował w Paryżu za jego dawnego życia, i przywołały mu je przed oczy z przerażającą wyrazistością. Wszystkie wstrząsające wydarzenia, wszystkie kłótnie i dyskusje, jakie w ciągu minionych kilku lat odbył z Ramazanem i Nisreen. Cały ten ból.

Orhan miał rację. Lont bez wątpienia został podpalony. Wielka wojna wisiała w powietrzu. A gdyby do niej doszło, gdyby ludzie powstali do walki o wolać, nie sposób przewidzieć, ile krwi zostałoby przelanej i jak by się to wszystko skończyło.

Ani jak wpłynęłoby to na Nisreen, na Ramazana, na dzieci i na niego.

Kamal wrócił myślami do Nisreen, do pasji, która ją napędzała, i do wolności, za którą zawsze się opowiadała. Uświadomił sobie, że o tę wolność toczy się nieustanna walka. I zaczął rozumieć, że znalazł się teraz w miejscu i czasie, gdzie znaczna część tej walki już się rozegrała.

W tej chwili przyszło mu do głowy pytanie, co czułaby Nisreen, będąc z nim tutaj, siedząc obok niego przy stoliku przed budką Orhana, i nie mógł oprzeć się

przekonaniu, że głęboko by ją ucieszyło to, co by zobaczyła.

Ta myśl wywołała na jego twarz uśmiech zaprawiony odrobiną goryczy.

– Ktoś, chyba to był Winston Churchill – ciągnął Orhan – powiedział kiedyś, że „Demokracja to najgorsza forma rządu, jeśli nie liczyć wszystkich innych form, których próbowano od czasu do czasu”. A ja się z tym absolutnie zgadzam. Ale ludzie w naszej części świata i w wielu innych... oni jeszcze tego nie odkryli. Kochają żyć pod rządami swoich tyranów. Wielu uważa, że to gwarantuje stabilność. Tak jak w Iraku, Syrii, i w Libii, zanim zaczął się ten bałagan. Może kiedyś była to prawda. Ale to zacofane myślenie. Nie mogło przetrwać. Ludzie mogą teraz zobaczyć, jak żyją inne narody, i chcą tego samego dla siebie – powiedział, wskazując miasto dokoła. – Inni zaś wcale nie pragną takiego życia. I dopóki wszyscy tego nie zrozumieją, będzie dochodzić do rozlewu krwi. Dlatego właśnie tutaj jestem. Bo wiem, jak chcę żyć. – Rozłożył ręce, znowu pokazując nimi miasto. – Czy nie dlatego i ty wyjechałeś?

– Pewnie tak – odrzekł Kamal.

– Zobaczysz – powiedział Orhan, a na jego twarz wypłynął pełen otuchy uśmiech. – Nie mówię, że będzie łatwo. Będziesz musiał ciężko pracować. I nieraz napotkasz przeciwności. Do gry przystąpiły ciemne moce. Wzmaga się rasizm. Władzę zdobywają ksenofobi. Ale przynajmniej na razie życie tutaj jest lepsze. Bo niezależnie od wszystkiego, co się dzieje, twoja godność i twoje prawa jako istoty ludzkiej są bardziej szanowane niż w domu. I zaufaj mi, kiedy raz tego zakosztujesz, nie będziesz mógł uwierzyć, że kiedyś się bez tego obywałeś.

Kamal odpowiedział swojemu gospodarzowi uśmiechem.

Może miał rację. Może Nisreen przez cały czas też miała rację.

To był lepszy świat.

I właśnie wtedy, dokładnie w tym momencie, doznał nagłego olśnienia, a niesamowita, zupełnie niespodziewana myśl rozpałała każdą komórkę jego ciała.

Owszem, to był lepszy świat.

Ale on być może zdoła go uczynić jeszcze lepszym.

EPILOG

PALMYRA

LISTOPAD A.D. 2010

KAMAL MIAŁ WOLNĄ RĘKĘ i sam mógł zdecydować, kiedy złożyć wizytę w starożytnym mieście.

Jak zawsze, postanowił cofnąć się do chwili względnie bliskiej wybranego wydarzenia, żeby zminimalizować ryzyko niechcianego zamętu, jaki mógłby wywołać jego skok.

W tym przypadku wiedział, że pierwszymi zwiastunami powstania były protesty, które rozpoczęły się na początku 2011 roku. Za pierwszy dzień syryjskiej wojny domowej uznano piętnasty marca, „Dzień Gniewu”. Był on odpowiedzią na tortury i morderstwo trzynastoletniego chłopca, który nabazgrał na ścianie jakieś antyrządowe graffiti. Rozwścieczeni protestujący w Damaszku wylegli na ulice, domagając się reform i uwolnienia tysięcy więźniów politycznych. Lont został podpalony.

Wcześniej jednak Syria była względnie bezpiecznym miejscem – pod warunkiem że ktoś nie rozeźlił jej prezydenta tyrana i bandy jego podejrzanych kumpli. A kiedy Kamal wylądował na lotnisku w Damaszku, rząd był w samym środku wielkiej kampanii promującej na świecie ów kraj jako uroczy cel turystycznych podróży. W tej kampanii Syria była przedstawiana jako kolebka chrześcijaństwa, jako gościnna kraina, gdzie odwiedzający mogą podążyć śladami Świętego Pawła i pokonać legendarną drogę do Damaszku.

Kamal już doznał swojego objawienia.

Bardziej go teraz interesowała droga do Palmyry.

Miał spędzić w stolicy tylko jedną noc. Wynajął wcześniej samochód, który nazajutrz wczesnym rankiem miał go zawieźć na miejsce. Czekala go długa podróż – trzygodzinna, jak mu powiedziano, gdyż do miasta prowadziła wąska droga, po jednym tylko pasie w każdą stronę.

Co okazało się prawdą.

Pustynia szybko ustąpiła zmyślności człowieka, wyparta przez oliwne i palmowe gaje, przez plantacje zbóż i bawełny. Po jakimś czasie w oddali ukazały się słynne ruiny starożytnego miasta. I jeszcze zanim prowadzony przez szofera mercedes zatrzymał się przed muzeum starożytności, Kamal mógł się przekonać, że rządowna

kampania działała.

W Palmyrze roilo się od turystów. Wszędzie dokoła niego z autokarów wycieczkowych wylewały się grupy podekscytowanych podróżnych, którzy przybywali tu z różnych stron świata nie bez przyczyny. „Oblubienica pustyni” była doprawdy imponująca. Słyszcząca ze swej majestatycznej architektury, wytyczanych kolumnami ulic i niespotykanych wież mieszczących grobowce, była zamieszkała przez przeszło cztery tysiąclecia. Rzymianie, Grecy, Partowie i Sasanidzi – wszyscy oni wnieśli swój wkład w jej ukształtowanie, budując świątynie i pałace, których ruiny podczas wizyty Kamala wciąż stały. Palmyra została wpisana na listę światowego dziedzictwa jako miejsce, w którym w historii ścierały się kultury Wschodu i Zachodu, była ważnym symbolem zarówno historycznej harmonii, jak i syryjskiej różnorodności.

„Gdyby tylko wiedzieli, co nadchodzi”, pomyślał Kamal, kiedy wysiadł z samochodu. Starożytne miasto miało się wkrótce stać świadectwem kruchości – i brutalności – cywilizowanego świata.

Umówił się wcześniej na spotkanie z dyrektorem muzeum, podając się za bogatego niemieckiego sponsora pragnącego pomóc w finansowaniu dalszych badań archeologicznych.

Dyrektor, jak się dowiedział Kamal, opiekował się miastem i jego dziedzictwem od przeszło pięćdziesięciu lat. Przekroczywszy niedawno siedemdziesiątkę, był sam sobie sterem, żeglarzem i okrętem, sam zarządzał muzeum, kierował wykopaliskami i pracami renowacyjnymi, gromadził fundusze i asystował naukowcom, którzy przyjeżdżali tutaj z całego świata. Był nie tylko wybitnym znawcą bogatej historii starożytnej metropolii. Był także jej opiekunem.

I wkrótce miał umrzeć, o czym Kamal wiedział. Od strzału w twarz, z rąk pochodzącego z Iraku dowódcy ISIS, niejakiego Anwara Rasheeda.

Ale Kamalowi mogło się udać temu zapobiec.

Dyrektor przyjął go bardzo uprzejmie, częstując świeżą lemoniadą miętową, po czym zabrał na wycieczkę po muzeum. Mężczyzna miał w sobie jakąś życzliwość i delikatność, nie sposób w nim było nie dostrzec uczonego wznoszącego modły na ołtarzu wiedzy i historii, człowieka uwielbiającego swoje miasto.

Tym bardziej to, co musiał mu powiedzieć Kamal, miało być dla niego bolesne.

Byli już po kilkugodzinnej rozmowie i gdy spacerowali po ruinach świątyni ku czci Nabu, Kamal uznał, że pora powiedzieć, z czym przybywa.

– Proszę mi wybaczyć, panie dyrektorze, ale... muszę pomówić z panem o tym, dlaczego tu naprawdę jestem.

Twarz dyrektora zasnuł cień.

– Dłaczego pan tu naprawdę jest?

Kamal skinął głową, po czym tonem tak swobodnym, na jaki tylko mógł się zdobyć,

wyjawił:

– Wiem o tym, co pan odkrył. W krypcie, wyryte na ścianie.

ZaczeKał, aż jego słowa w pełni dotrą do mężczyzny, po czym widząc wahanie i strach w jego oczach, podciągnął rękaw koszuli, odsłaniając wytatuowane zakłęcie.

Zszokowany dyrektor głośno wciągnął powietrze, a jego oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Przyjrzał się słowom na przedramieniu Kamala, po czym podniósł na niego wzrok.

– Skąd pan to zna? – wyjąkał. – Kim pan jest?

– To długa historia i będzie najlepiej, jeśli pana nią nie obarczę.

– Ale korzystał pan z tego...? Podróżował pan?

Kamal kiwnął głową.

– Tak. Nie raz.

Podróżował. I się uczył. Kamal spędził wiele godzin, studiując ten nieznan, nowy świat, który pomógł stworzyć – czy raczej odtworzyć. Starając się go zrozumieć.

Próbując podjąć decyzję, co dalej.

Przez cały ten czas myślał o Nisreen. Jej słowa, że żaden człowiek nie powinien decydować za wszystkich innych, nieustannie kołatały mu się po głowie. Ostatecznie to ta myśl pchnęła ich do przedstawienia zegara historii, do przywrócenia dziejom świata ich naturalnego biegu. Ale Nisreen nie znała całej historii. Nie wiedziała o wszystkich potwornościach, z jakimi musiał się zmagać świat po Wiedniu, ani o skrajnym złu, jakiemu się musiał przeciwstawiać.

Gdyby wiedziała, na pewno zmieniałaby zdanie.

Żaden porządny człowiek, mężczyzna ani kobieta, nie mógłby siedzieć z założonymi rękami i patrzeć na to, co się dzieje.

Dyrektor otworzył usta. Z trudem formułował słowa.

– Do przeszłości? Przyszłości? – spytał.

– I tu, i tam.

– Mój Boże – sapnął dyrektor.

Nogi się pod nim ugięły; zrobił kilka kroków w stronę przewróconej kolumny i na niej usiadł.

– Domyślał się, że pan tego nie robił? – spytał go Kamal.

– Skorzystałem z zakłęcia tylko raz, krótko po odkryciu. Cofnąłem się w czasie. Za bardzo mnie to przeraziło, żebym miał znowu spróbować. Dlatego nie próbowałem.

Kamal wzruszył ramionami.

– Rozsądna decyzja, jeśli mi wolno tak powiedzieć.

– Ale pan go używał?

– Nie z własnej woli – wyjaśnił mu Kamal.

– Czy to dzięki temu pan się tu znalazł?

– Tak. Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć – powiedział Kamal spokojnym tonem. – Musi mnie pan bardzo uważnie wysłuchać.

Dyrektor skinął głową.

– Szykuje się wojna. Wybuchnie tutaj, w pańskim kraju, i obejmie pańską ukochaną Palmyrę. Będzie strasznie. Naprawdę strasznie.

– Kiedy? – spytał dyrektor.

– Niedługo. Za kilka miesięcy. Początkowo będziecie myśleli, że to początek czegoś dobrego. Że coś się dzięki niej zmieni na lepsze. Ale nie.

– Arabska wiosna... dotrze też tutaj?

Masowe protesty wybuchały już w Tunezji, Libii i Egipcie. Syria miała być następna, tylko że tutaj powstanie miało się przerodzić w zakrojoną na szeroką skalę wojnę domową, do której zostaną wciągnięte międzynarodowe siły, setki tysięcy ludzi stracą życie, a miliony staną się uchodźcami.

– Nazwałbym to raczej srogą zimą. To będzie katastrofa.

– Dlaczego pan mi o tym mówi?

– Zjawi się tutaj pewien mężczyzna. Bardzo brutalny. Zmusi pana do wyjawienia wszystkiego, co pan o tym wie – rzekł, pokazując tatuaże na swojej ręce. – Potem pana zabije i w potworny sposób wykorzysta zdobytą od pana wiedzę.

Oczy dyrektora zapatrzyły się w nicość, jakby zostały wessane przez czarną otchłań przygnębienia.

– Co mam robić?

– Gdy tylko zacznie się coś dziać, musi pan zrobić dwie rzeczy. Zniszczyć kryptę, gdzie pan odkrył ten sekret. I wyjechać.

– Wyjechać?

– Opuścić Palmyrę. Niech pan zabierze wszystkie skarby, jakie chce, schowa je, zakopie... a potem wyjedzie. Jeśli pan tego nie zrobi, zostanie pan zabity. Zapewniam, że tak będzie. Ludzie, którzy tu przyjdą, nie są miłośnikami historii. Zwłaszcza tej historii – dodał, wskazując ręką ruiny dokoła.

Dyrektor siedział tylko, powoli kręcąc głową i ubolewając nad tym, co usłyszał od nieznajomego.

– Czy mogę liczyć, że pan tak zrobi? – spytał Kamal.

To pytanie nie dawało mu spokoju. Czy naprawdę mógł być pewien, że mężczyzna zrobi to, o co go poprosił? Czy powinien zaryzykować, pozostawiając na tym świecie kogoś jeszcze, kto wiedział to co on, i kto mógł tę wiedzę wykorzystać, żeby zmienić bieg zdarzeń?

A może powinien się zdecydować na bardziej trwały sposób neutralizacji tego ryzyka?

Pomysł ten jednak umarł, nim zdążył zaczerpnąć powietrza. Dyrektor był Bogu ducha winnym, porządnym, pełnym najlepszych intencji człowiekiem, a Kamal nie zaliczał się do bezwzględnych zabójców. W dodatku teraz, gdy go poznał, miał pewność, że naprawdę może liczyć, iż mężczyzna zrobi tak, jak mu zasugerował.

Dyrektor, jak gdyby wyczuwając jego wątpliwości, pokiwał głową.

– Nie mam większego wyboru, prawda?

– Nie, jeśli chce pan żyć. I jeśli leży panu na sercu dobro tego świata.

Znów pokiwał głową.

– Zrobię to, o co pan prosi.

– Dziękuję – odparł Kamal i wyciągnął rękę.

Dyrektor wstał i ją uścisnął.

Kamal popatrzył mu w oczy.

– Powodzenia.

Ruszył już do wyjścia, gdy dyrektor zawołał za nim:

– A pan? Co pan zrobi?

Kamal się zatrzymał, a po chwili się odwrócił, pamiętając dokładnie moment, w którym go olśniło przed budką Orhana w Wiedniu – gdy uświadomił sobie, co będzie go prowadziło przez resztę życia.

– Czeka mnie praca do wykonania – powiedział dyrektorowi.

Posłał mu lekkie, melancholijne skinienie głową, po czym obrócił się i odszedł.

POSŁOWIE I PODZIĘKOWANIA

ODKĄD PAMIĘTAM, w książkach, w filmach i w telewizji zawsze ciekawiły mnie podróże w czasie. Wkrótce do tych zainteresowań dołączyło uwielbienie dla opowieści o alternatywnej rzeczywistości. Możecie więc sobie wyobrazić mój zachwyt, gdy pewnego późnego letniego wieczoru wpadł mi do głowy pomysł na powieść, która połączyłaby jedno i drugie. To, że poszukiwanie informacji do tej książki i pisanie jej będzie świetną zabawą, było dla mnie oczywiste od samego początku. Najbardziej jednak porywało mnie w tym projekcie to, że będzie on – musiał być – niezwykle odzwierciedleniem czasów, w których żyjemy, czasów niespokojnych i niepokojących. Bo w ostatnich latach gdziekolwiek się obrócę, odnoszę wrażenie, że suniemy w dół, jakby wciągani przez coraz to mroczniejsze odcinki serii „Czarne lustro”.

Wiele niepokojących zjawisk ze świata Kamala obecnych jest także w naszym świecie. Na całym globie zagrożone są prawda i wolność słowa. W Chinach naprawdę funkcjonuje System Wiarygodności Społecznej. Artykuł 275 kodeksu karnego, mówiący o zdradzie, istnieje w rosyjskiej rzeczywistości, podobnie jak Wydział Z, stanowiący obecnie jedną ze struktur Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej, spadkobierczyni KGB. Ogólnonarodowe – nie imperialne – Centrum Gromadzenia Cyberdanych dla Bezpieczeństwa to olbrzymia placówka amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, zlokalizowana w Utah. W USA działa też Program Przeciwdziałania Zagrożeniom Wewnętrznym, skierowany przeciw ludziom odpowiedzialnym za wyciek informacji. Po całej książce rozsiane są aluzje do naszego świata i naszej historii, znajdziecie je w imionach bohaterów, nazwach miejsc i instytucji, a także w przedstawionych wydarzeniach – ale nie będę psuł Wam przyjemności ich samodzielnego odkrywania, jeśli to lubicie.

Większość faktów historycznych opisanych w powieści jest prawdziwa. Koszmarne oblężenie Wiednia, a także wszystkie nazwiska i wydarzenia z nim związane (poza interwencją moich podróżników w czasie) zostały tu wiernie odtworzone. Posąg Kulczyckiego wciąż stoi przy ulicy noszącej jego imię. W obozach jenieckich w Iraku powstałych po inwazji w 2003 roku naprawdę zrodziło się ISIS. Jego wojownicy rzeczywiście zajęli Palmyrę i zabili dyrektora muzeum starożytnego miasta. Kara Mustafa został stracony w dzień Bożego Narodzenia 1683 roku.

Próba wyobrażenia sobie, jak mogłoby wyglądać Imperium Osmańskie w XXI wieku, okazała się prawdziwym wyzwaniem, mimo że doskonale się bawiłem,

prowadząc wszystkie konieczne badania do napisania tej książki. Trudność z imperium polegała na tym, że nie mogłem zwyczajnie zacząć od dnia jego upadku pod koniec pierwszej wojny światowej. Jego historia musiała się rozpocząć znacznie wcześniej – jeszcze w roku 1683 – i od tamtego momentu budować się na nowo. A to z tego prostego powodu, że klęska pod Wiedniem była początkiem końca Imperium Osmańskiego i choć przetrwało ono jeszcze dwa i pół wieku, to jego ewolucja w tym czasie była bardzo mocno naznaczona staraniami Osmanów, by dogonić Europę, która pędziła naprzód w okresie oświecenia i przy gwałtownym rozwoju przemysłu, nie wspominając już o jednej czy drugiej rewolucji, które wybuchły w tym czasie. W świecie Kamala do tego wszystkiego nie doszło, dlatego musiałem sobie wyobrazić, jak owe trzysta lat historii mogło ukształtować się w próżni, bez wpływu żadnego z tamtych sejsmicznych wydarzeń. Mam nadzieję, że udało mi się stworzyć prawdopodobną wizję tego, jak mogły się potoczyć dzieje świata.

Innym wyzwaniem było wyobrażenie sobie, jak Ayman Rasheed mógł w wiarygodny sposób doprowadzić nie tylko do podbicia Europy przez Osmanów, ale i do utrzymania ich panowania przez przeszło dwa wieki. I znów mam nadzieję, że moja wizja okazała się przekonująca. Chętnie zawarłbym w powieści owoce moich dociekań na wszystkich tych płaszczyznach, ale to mogłoby spowolnić akcję powieści, a tego nie chciałem.

Wiele osób pomagało mi w czasie tej podróży – wielu przyjaciół, ekspertów i kolegów po fachu, którzy podsuwali mi pomysły i dzielili się wiedzą dotyczącą tego, co osmańskie. Jestem im wszystkim wdzięczny, ale w sposób szczególny chciałbym wyróżnić moich agentów, Mitcha Hoffmana i Eugenie Furniss, najwyższego kapłana i najwyższą kapłankę wytrwałości; moich redaktorów i przyjaciół z londyńskiego wydawnictwa Michael Joseph: Rowlanda White'a, Ariel Pakier i Sarah Kennedy; a także ich równie nieocenione odpowiedniczki z Tor/Forge w Nowym Jorku: Bess Cozby, Devi Pillai, Lindę Quinton i Lucille Rettino.

Na koniec chciałbym ogromnie podziękować wszystkim, którzy pracowali w działach sprzedaży, marketingu i reklamy wydawnictw Michale Joseph i Tor/Forge za ich ogromny trud, którego owocem było umieszczenie tej książki na księgarskich półkach i zwrócenie na nią uwagi czytelników. Chciałbym też wyrazić swoją wdzięczność wszystkim księgarzom, którzy zaprosili ją do swoich sklepów i polecili klientom. W czasach opanowanych przez Facebook, Instagram, Netflix i Fortnite nie jest to wszystko łatwym zadaniem. Jeszcze raz dziękuję Wam wszystkim.

SPIS POSTACI

WSPÓLCZEŚNIE

Ayman Rasheed – człowiek, który zaburzył bieg dziejów.

Kamal Arslan Aga – agent wydziału przeciwdziałania terroryzmowi paryskiej jednostki Teşkilat-i Hafiye, sułtańskiej tajnej policji.

Ramazan Arslan Hekim – brat Kamala, anestezjolog.

Nisreen Arslan – żona Ramazana, aktywistka, obrończyni praw obywatelskich.

Tarek i Noor – dzieci Nisreen i Ramazana.

Taymoor Erkun Aga – partner Kamala w Hafiye.

Huseyin Celaledin Pasza – szef paryskiej jednostki Hafiye.

Fehmi Kuzey – prawa ręka Celaledina, szef Wydziału Z w Hafiye.

Moshe Fonseca – chirurg w szpitalu Sułtanki Hurrem.

Abdülhamid III – sułtan.

Elijah Huntington – prezydent Chrześcijańskiej Republiki Ameryki.

1683

Mehmed IV – sułtan z dynastii Osmanów panujący w latach 1648–1687.

Kara Mustafa Pasza – wielki wezyr i dowódca wojsk Mehmeda.

Jan III Sobieski – dowódca armii przybyłej w 1683 roku na odsiecz obleganemu Wiedniowi.

Ernst Rüdiger von Starhemberg – komendant Wiednia podczas oblężenia 1683 roku.

Jerzy Kulczycki – polski tłumacz i kupiec, bohater oblężenia 1683 roku.

[1] A.H. – *Anno Hegirae* (roku hidżry) – odnosi się do księżycowego kalendarza muzułmańskiego, którego początek przypada na Nowy Rok Muzułmański A.D. 622, czyli na czas hidżry, emigracji proroka Mahometa z Mekki do Medyny w obawie przed spiskiem mającym na celu zamach na jego życie. W Imperium Osmańskim muzułmański kalendarz obowiązywał w sprawach religijnych, a równoległe z nim funkcjonował kalendarz „rzymski”, bazujący na juliańskim, ale mający początek także w A.D. 622.

[2] Rok 1100 według muzułmańskiego kalendarza hidżry to A.D. 1689.

[3] kadem – miara odległości odpowiadająca stopie (ok. 30 cm) – *przyp. tłum.*

[4] *sajjid* (z arab.) – tytuł honorowy nadawany mężczyznom, wyrażający szacunek – *przyp. tłum.*

[5] *hekim* (tur.) – lekarz, doktor – *przyp. tłum.*

[6] *fersah* – jednostka długości równa ok. 5785 m – *przyp. tłum.*

[7] Według muzułmańskiego kalendarza hidżry albo A.D. 1683.

[8] *dunam* – jednostka powierzchni odpowiadająca 1 akrowi, czyli ok. 4000 m² – *przyp. tłum.*

[9] *hatun* (tur.) – kobieta, pani, żona – *przyp. tłum.*

[10] A.D. 2017.

[11] A.D. 1683.

[12] A.D. 1935.

[13] Wrzesień A.D. 1683.